



**You have downloaded a document from  
RE-BUS  
repository of the University of Silesia in Katowice**

**Title:** Światopogląd humanisty

**Author:** Józef Pieter, Ewa Pieter-Kania (oprac.)

**Citation style:** Pieter Józef, Pieter-Kania Ewa (oprac.). (2019). Światopogląd humanisty. Katowice : Uniwersytet Śląski.



Uznanie autorstwa - Na tych samych warunkach - Licencja ta pozwala na kopiowanie, zmienianie, rozprowadzanie, przedstawianie i wykonywanie utworu tak długo, jak tylko na utwory zależne będzie udzielana taka sama licencja.



UNIwersYTET ŚLĄSKI  
W KATOWICACH



Biblioteka  
Uniwersytetu Śląskiego



Ministerstwo Nauki  
i Szkolnictwa Wyższego

Józef Pieter

# Światopogląd humanisty



WYDAWNICTWO  
UNIwersytetu śląskiego



# Światopogląd humanisty

Mecenas wydania



Józef Pieter

# Światopogląd humanisty

Tekst opracowała  
dr Ewa Pieter-Kania



WYDAWNICTWO  
UNIwersytetu śląskiego

KATOWICE 2019





Józef Pieter





## Przedmowa

Fundacja im. Profesora Józefa Pietera przyczyniła się do wydania niniejszej książki.

Celem Fundacji jest m.in. ocalenie od zapomnienia nieopublikowanych prac Profesora, zarówno tych przygotowanych za Jego życia do druku, jak i rozszerzonych wznowień.

Jak wspominają syn i córka, Profesor pisał codziennie, był aktywny i twórczy aż do swojego odejścia. W latach ucisku intelektualnego w PRL wskazywał czasem na stos swoich prac oryginalnych, dotąd niedrukowanych i tych poprawionych, na nowo opracowywanych do druku i mówił: „nadejdzie czas, kiedy znajdą się w rękach czytelników”.

Książka ta jest jedną z nich.

Zarząd Fundacji  
im. Profesora Józefa Pietera



## Wstęp

*Światopoglądem humanisty* nawiązuję do *Problemów humanisty* z roku 1973. W *Problemach...* przedstawiłem skrótowo – i przeważnie w układzie chronologicznym – założenia (poniekąd również metody i wyniki) prac badawczych i naukowo-pisarskich, jakie realizowałem w ciągu mej kariery naukowej od roku 1930. Wobec tego, że w ich obrębie nie mało czasu i miejsca poświęciłem sprawie powstawania zagadnień filozoficznych, start do *Światopoglądu humanisty* wydaje się zrozumiały, przynajmniej w przekonaniu autora.

Jednakże rzecz ta nie tylko stąd się wywodzi. Jak to dość szczegółowo wyjaśniałem w *Problemach humanisty*, podjętą istotną do mych studiów uniwersyteckich stanowił niepokój światopoglądowy, który ostro przeżywałem w trzech ostatnich klasach gimnazjum klasycznego (1921–1924). Rezultat sprowadzał się do wniosku, że studiować muszę przede wszystkim filozofię, i to niezależnie od wartości praktycznej spodziewanego dyplomu akademickiego. Z góry wiedziałem, że nawet dyplom doktora filozofii na niewiele mi się przyda w przyszłej pracy zawodowej, a więc że oprócz filozofii wybrać trzeba będzie jakiś kierunek studiów, dzięki któremu miałbym zabezpieczoną pracę nauczyciela w szkole średniej. Zgodnie z tym faktycznie odbyłem studia dwukierunkowe (filozoficzne i historyczne), uzupełnione później pedagogicznymi; studia filozoficzne – z głodu wiedzy czy z potrzeby serca, historyczne i pedagogiczne – ze względów bytowych.

Jako student filozofii zmierzałem przez pewien czas do wypracowania „własnego” systemu filozoficznego na miejsce światopoglądu teologicznego, który rozsypał się jeszcze na ławie gimnazjalnej. Zmierzając do tego

celu ulegałem czarowi wielkich myślicieli, z których zapatrywaniem na świat i życie gorliwie zapoznawałem się w czasie studiów uniwersyteckich. Co więcej, przekonany byłem głęboko o tym, że sens ma, względnie może mieć tylko jeden logicznie spoisty układ prawd, dotyczący świata i życia. Również i o tym, że na drodze analizy pojęć i zagadnień filozoficznych układ ten można ustalić. Wszak prawda „ostateczna” o świecie i życiu może być tylko jedna. Chodzi „tylko” o to, aby poznać ją dzięki myśleniu wnikliwemu i systematycznemu.

Stopniowo w trakcie studiów z przekonań powyższych rezygnowałem. Nachodziły mnie i coraz mocniej czepiały się zwątpienia co do wartości poznania filozoficznego i metody zdobywania wiedzy filozoficznej. Równocześnie coraz więcej szacunku miałem dla badań doświadczalnych i wiedzy empirycznej. Proces ten dokonywał się częściowo pod wpływem studiów psychologicznych, pedagogicznych i historycznych. Być może pod ich wpływem bynajmniej nie ulegałem ani sceptycyzmowi, ani relatywizmowi w filozoficznym znaczeniu tych pojęć. Natomiast rezygnując z marzeń – które coraz bardziej uważałem za nierealne – na temat możliwości wypracowania „właściwego” systemu filozoficznego oraz z samej idei takiego systemu, coraz wyraźniej opowiadałem się za uprawianiem zwyczajnej nauki. Za karierą naukową bez filozofii.

Coś jednakże ze studiów filozoficznych w moim umyśle pozostało, a może raczej na ich gruncie powstało. Mianowicie powstało i utrzymywało się zainteresowanie dla problemu źródeł psychicznych, czyli psychogenezy, zagadnień i przekonań filozoficznych. Problem ten w oczach systematyków filozofii był nieważny, a nawet nie miał szans pojawienia się w ich umysłach. Wszak nie o to im chodziło, jak ludzie filozofują, jak zdobywają „ostateczną” prawdę o świecie i życiu, natomiast o jej treść; o układ niezbitych prawd podstawowych, dotyczących rzeczywistości. Wprawdzie pewne załączki zainteresowania dla genezy i mechanizmu myślenia filozoficznego można stwierdzić już w poglądach filozofów starożytnych, jednak brak było warunków do ich ugruntowania się, a tym bardziej do badań doświadczalnych nad psychogenezą filozofowania. Tego pokroju problematyka psychologiczna do niedawna prawie nie istniała.

Rozumie się, że ani zainteresowanie problemem źródeł psychicznych myślenia filozoficznego, ani odnośne prace badawcze nie prowadziły do konstrukcji „własnego” systemu filozoficznego. Skromniej – do „własnego” poglądu na świat. Wszak nawet w wypadku uzyskania poważnych osiągnięć w zakresie psychologii filozofowania w grę wchodziłoby tylko małe poletko na wielkim obszarze badań i wiedzy psychologicznej. Wiedza ta

ze swej strony dotyczy tylko części rzeczywistości. A przecież filozofowie zawsze zmierzali do poznania jej całości.

Jednakże pomimo rezygnacji z zamiaru wypracowania systemu „własnego” wiedza zdobyta w czasie studiów i badania psychologiczne nad powstawaniem zagadnień filozoficznych przecież w pewnej mierze prowadziły ku „własnej” filozofii. I to w zasadzie tak samo, jak prowadzą do niej ludzie, którzy nigdy ze studiami filozoficznymi nie mieli do czynienia ani nie badali filozoficznego sposobu myślenia. Po prostu stopniowo wyjaśniałem sobie różne sprawy, którymi filozofowie zajmowali się odwiecznie. Bez wątplenia studia filozoficzne przyspieszały, ukierunkowywały i ułatwiały ten proces.

Wobec tego, że stopniowo do filozofii zacząłem się odnosić w zasadzie jako obserwator, a nie jako zdobywca prawd „ostatecznych”, wyniki rozważań miewały przede wszystkim charakter krytyki. Niemniej wyłaniały się niejako mimochodem domniemania światopoglądowe.

Co prawda, w rezultacie wieloletniego nastawienia na poznawanie filozofii jako przedmiotu badań, a nie na jej systematyczne uprawianie, powstała i utrwaliła się powściągliwość w ocenie sensu własnych zapatrywań światopoglądowych. Znaczy to, że żadnego z nich nie traktowałem ani nie traktuję jako prawdy w danej sprawie, lecz właśnie i tylko jako domniemania różnego pokroju. Jedne z nich jako dość przekonujące (mnie osobiście) i o tyle nieomal pewne, inne jako hipotezy czy ewentualności, osadzone na glinianych nogach. Jeszcze inne – jako w różnej mierze zbliżone do pierwszych bądź do drugich. Wszystkie razem – jako „rzeczy do dyskusji”.

Nie znaczy to, że gotów jestem zmienić nasilenie pewności subiektywnej pod wpływem argumentu byle jakiego. Znaczy natomiast, że jestem świadom kruchości logicznej wszelkich problemów bądź twierdzeń światopoglądowych. Nie mogąc ich uniknąć, traktuję je jednakże „z rezerwą”. Nie oznacza to agnostycyzmu. Jak to już zauważyłem wcześniej, byłem i jestem entuzjastą postępu wiedzy naukowej. A tylko pod wewnętrznym przymusem – z którego wyrasta odwiecznie myślenie filozoficzne – uległem niewdzięcznemu zadaniu w postaci próby obrysowania osobistego poglądu na świat.

Ze względu na przebieg i treść moich studiów uniwersyteckich, później – moich prac badawczych, pogląd ten ma charakter humanistyczny. Stąd właśnie „światopogląd humanisty”. Rozumie się więc samo przez się, że w rezultacie ewentualnych studiów przyrodniczych, medycznych lub technicznych, nad których wyborem zastanawiałem się w okresie matu-

ralnym, osobisty pogląd na świat musiałby się różnić od tego, jaki przedstawiam w pracy niniejszej. Musiało tak być nawet wówczas, gdybym rozpatrywał zagadnienia jedne i te same. Uzależnienie to stanowi zarazem usprawiedliwienie wyboru zagadnień tutaj poruszonych oraz ich układu, jako psycholog próbuję więc przede wszystkim opisać drogę powstawania poglądu na świat. Próbuję odpowiedzieć na pytanie, w jaki to sposób z wiedzy osobistej wyłania się stopniowo również osobisty światopogląd.

Opis ten, sam przez się wcale nie światopoglądowy, prowadzi do refleksji krytycznych nad powstawaniem obiektywnie traktowanej wiedzy naukowej. Refleksje te zajmują znaczną część niniejszej pracy, wydaje się więc, że powinienem objaśnić ogólnie ich sens.

Wstępnie więc można by przyjąć, że na świat patrzę przez filtr wiedzy naukowej. Ściślej – poprzez charakterystykę tego filtra, a nie bezpośrednio. Głównie z tego powodu uważam poszczególne przekonania własne na temat natury bytu – w najszerszym znaczeniu tego zwrotu – jako różnego pokroju domniemania o rozmaitym stopniu pewności. Przy tym świadom jestem tego, że zróżnicowanie stopni pewności zależne jest łącznie i prawie nierozdzielnie zarówno od jakości mej osobistej wiedzy w danej dziedzinie, jak i od stanu zaawansowania wiedzy obiektywnej. Od osobistych kompetencji, względnie od ich niedostatku, jak też od zasobu faktów i dobrze uzasadnionych teorii naukowych, który można by określić mianem kapitału wiedzy obiektywnej. Rozumie się przy tym, że im bardziej w mych refleksjach na temat wiedzy naukowej oddalam się od poletka własnych kompetencji naukowych, tym wyraźniej moje „być może”, „prawdopodobnie”, „niewątpliwie”, „wątpić można, czy”, „dość pewne jest to, że”, „wydaje się, że”, „teoria dobrze uzasadniona”, „pogląd z palca wyspany”, „twierdzenie sugestywne, lecz bez pokrycia” i wiele innych zwrotów tego pokroju wskazuje raczej na mą osobistą niewiedzę aniżeli na stany obiektywnej pewności danego składnika wiedzy.

Może się wydawać, że próba opracowania ogólnego poglądu na świat z uwzględnieniem kryteriów wiedzy naukowej jest w gruncie rzeczy tożsama z próbą ułożenia systemu filozofii na podstawie krytycznej analizy wszelkiego poznania. Sądzę, że mniemanie takie byłoby mylne. W refleksjach nad wiedzą naukową nie zmierzam do ustalenia źródeł i warunków „prawdziwego poznania rzeczywistości” – co przyświecało nieomal wszystkim filozofom – lecz do charakterystyki i oceny wartości określonych dziedzin wiedzy naukowej, np. psychologicznej. Natomiast sprawą krytyki wszelkiego poznania, np. krytyki w postaci transcendentalizmu Immanuela Kanta, zajmę się osobno w rozdziale na temat sensu zagadnień

epistemologicznych. Jednakże już tutaj zauważę, że w zasadzie przedstawię mój pogląd na temat źródeł psychicznych powstawania zagadnień i przekonań epistemologicznych. Być może krytycy tego poglądu dostrzegą w nim próbę merytorycznego obrysowania własnej teorii poznania, tj. własną próbę rozwiązania problemów gnozeologicznych.

Ze względów historycznych podejmę próbę wyjaśnienia obecności epistemologii w ludzkiej psychice, pośrednio w kulturze, na podstawie analizy – znów głównie psychologicznej – procesu powstawania zagadnień ontologicznych. Znów też – być może – mimochodem dam wyraz przypuszczeniom o pokroju merytorycznym.

Rozdziały dotyczące wiedzy osobistej i wiedzy obiektywnej razem z rozdziałami w sprawie źródeł i mechanizmu myślenia filozoficznego stanowią trzon *Światopoglądu humanisty*. Wobec tego nie byłaby bezpodstawna sugestia, że – być może – stosowniejszy byłby tytuł: „Wiedzo-pogląd humanisty”. Nie sposób – z drugiej strony – zaprzeczyć, że poprzez krytykę wiedzy naukowej i filozoficznej bądź co bądź dostrzegam rzeczywistość. Zresztą, wszelka wiedza stanowi jej część; bez wątpienia – swoistą.

W świetle poczynionych objaśnień wydaje się zrozumiały brak w niniejszej pracy systematycznego poglądu na przyrodę. Brak systemu wiedzy niechby w bardzo zwięzłym ujęciu, a to w takim znaczeniu, w jakim systematycy encyklopedyści, np. Hubert Spencer, przedstawiali stan wiedzy naukowej swojego czasu. Nie jest to brak przypadkowy. Systematyczny, dość wysoce uogólniający ogląd współczesnej wiedzy naukowej wydaje się po pierwsze – przysłowiowym porywaniem się z motyką na księżyc, po drugie – zamierzeniem nieomal zabawnym – a to w czasach, w których uczonym-specjalistom niełatwo jest dokonywać syntezy wiedzy w nauce, do której ich poletko badawcze przynależy. Właśnie tym bardziej we współczesnych problemach układania poglądów na świat potrzebna jest przede wszystkim krytyka wiedzy. Rozumie się, że przez taką krytykę trochę umyślnie, poniekąd mimochodem jej autor daje wyraz swym domniemaniom lub przekonaniom na temat „budowy świata”. Ostatecznie żaden światopogląd nie może się kończyć czy wyczerpywać w krytyce.

Jeśli zgodzić się z tym, że w takim razie wobec znikomej celowości i nie-realności – w dzisiejszych czasach – opracowywania systemu wszelkiej wiedzy (dodajmy: piórem jednego człowieka) w obrębie problemów przekraczających ramy krytyki poznania, uwzględnić wypada przede wszystkim zagadnienia ogólne, zarazem trudne i sporne. Takie, w których obrębie spory specjalistów często, acz w sposób uproszczony, dochodzą



do wiadomości publicznej. Weźmy tu np. sprawę „najprostszych” cząstek w skomplikowanej – według wiedzy dzisiejszej – budowie atomu czy sprawę planowego przekształcania „garnituru” genów człowieka. Zresztą właśnie bądź głównie takie sprawy mają – w mniemaniu powszednim – charakter światopoglądowy.

Charakter taki mają również coraz częściej opracowywane wizje futurologów. W swej aktywności powszedniej ludzie nastawieni są – ze względu na walkę o byt – na przyszłość. Dążą do określonych celów, żywią nadzieje, planują. Nic dziwnego, że coraz częściej i w sposób coraz bardziej konkretny również społeczeństwa ludzkie planują swą przyszłość. W związku z tym krytycy dają wyraz swym obawom i zastrzeżeniom. A zarówno futurologi, jak i ich krytycy filozofują, jeśli nawet przekonani są o tym, że po prostu uprawiają naukę. Ba, naukę najbardziej potrzebną.

Otóż nie będzie to – jak mniemamy – dziwne, jeśli na zakończenie swoich rozumowań autor *Światopoglądu humanisty* spróbuje własnymi oczyma spojrzeć na przyszłość; powiedzmy – do początków XXI wieku. Oto objaśnienia wstępne do treści niniejszego przedsięwzięcia pisarskiego.

Osobno potrzebne są objaśnienia terminologiczne. Głównie chodzi tu o znaczenie pojęć „światopogląd” i „filozofia”, występujących w niniejszej rzeczy na wielu miejscach, a to ze względu na ich częściowo zamienne stosowanie. Nie mniej z uwagi na frontalną analizę powstawania zagadnień filozoficznych oraz cech znamienych przekonań z tymi zagadnieniami związanych. Przy okazji potrącić wypada o terminy jednoznaczne bądź pochodne, np. pogląd na świat, zagadnienia filozoficzne, stanowiska filozoficzne, systemy filozoficzne, filozoficzne poglądy na świat itp.

Istotne jest tutaj – oczywiście – porównanie (zarysowe, orientacyjne, bo o szczegółach mowa będzie później) znaczeń terminów: „światopogląd” i „filozofia”. Ten drugi jest odwieczny, a w każdym razie sięga starożytności greckiej. Pierwszy jest całkiem świeżej daty, bo na dobre zadomowił się w piśmiennictwie dopiero pod koniec pierwszej ćwierci XX wieku. Pomimo to analizę rozpocząć wypada od pierwszego. Przemawiają za tym dwa względy:

1. Frontalnie i według nagłówka chodzi tu o „obraz” światopoglądu autora.

2. Wprawdzie „obraz” ten jest mniej lub bardziej filozoficzny, pozostaje jednakże oparty istotnie na przesłankach psychologicznych, związanych pośrednio z czynnościami patrzenia, oglądania, w ogóle zaś z czynnościami poznawczymi. Znaczy to, że sens słowa „pogląd”, a nie słów „uko-

chanie mądrości” (wiedzy obiektywnej) występuje tu na plan pierwszy (*Filos* ‘kochany, drogi’; *sofia* ‘mądrość, wiedza, nauka’).

A zatem – co to jest światopogląd?

1. Jest to przede wszystkim ogólna wiedza osobista o świecie w przeciwieństwie do masy wiadomości i wiadomości szczegółowych. Co prawda, tylko umownie można by sprecyzować granice między osobistą wiedzą ogólną a wiedzą szczegółową. Pomimo to nietrudno porozumieć się za pomocą przykładów. I tak znajomość np. praw mechaniki ogólnej, przedstawionych praw genetyki, najczęściej występujących na Ziemi pierwiastków chemicznych bezspornie zaliczymy do wiedzy ogólnej. Natomiast znajomość odmian kartofla, konkretnych dat związanych z powstaniem i z dziejami jakiejś mało znanej miejscowości niemal każdy uzna za wiadomości szczegółowe.

2. W światopoglądzie nie mniej ważna jest orientacja w sprawach wysoce spornych w naukach podstawowych, zarazem w sprawach interesujących tzw. ogół wykształcony. Są to przeważnie problemy związane z pojęciami ogólnymi, a nie z drobnymi wiadomościami. I bodajże w odniesieniu do nich rozumie się sens właściwy słowa „pogląd” w odróżnieniu od słowa „wiedza”. Podstawowe prawa mechaniki czy genetyki zna się (lub nie), natomiast co do treści bądź właściwego kierunku rozwiązania problemów spornych ma się (lub nie) określony pogląd. Na przykład – co do problemu eksperymentalnego przekształcania genów w chromosomach człowieka celem podkreślenia biologicznej wartości gatunku ludzkiego.

Orientacja w sprawach spornych i wątpliwych ujawnia się w sposobie traktowania naukowych hipotez, twierdzeń, poglądów, stanowisk, opisów, wyjaśnień itp. Jedne z nich są – dla danej osoby – oczywiste, niewątpliwe, udowodnione, jasne; inne – przeciwnie – są bardziej niż wątpliwe, nieprawdopodobne, bezpodstawne. A między jednymi a drugimi mieści się pojemna gama twierdzeń, poglądów, naukowych informacji o różnym stopniu prawdopodobieństwa. Otóż właśnie i głównie ze względu na rozmaity, mniej lub bardziej zróżnicowany dystans w granicach między zdecydowaną akceptacją a odrzuceniem wiedza osobista, nabyta początkowo przeważnie w wyniku szkolnego uczenia się, stanowi składnik istotny poglądu na świat, a nie po prostu i tylko osobiste odzwierciedlenie obiektywnej wiedzy, „zakodowanej” w programach nauczania. A stanowi go w dużej mierze dzięki refleksji krytycznej, pojawiającej się czy to w trakcie uczenia się, czy to z recepcji kultury z innych przekazów, np. z piśmiennictwa popularnonaukowego.

3. Ale i to nie wszystko. Intuicyjnie lub w sposób sprecyzowany domyślamy się – mówiąc o światopoglądzie bądź o posiadaniu tegoż – obecności ogólnych przekonań o wartościach. W szczególności – o wartościach moralnych (np. o powinnościach czy cechach charakteru człowieka „porządnego”), estetycznych (np. o formach brzydoty czy urody), politycznych (np. o warunkach ustroju demokratycznego), prawnych (np. o praworządności w stosunkach między urzędnikami a obywatelami) itp. Na tym odcinku częściej mówi się wprawdzie o posiadaniu charakteru czy przekonań niż o światopoglądzie, nie ma jednak wątpliwości, że rzecz wyrażalna jest w ogólnych twierdzeniach, stanowiących swoistą wiedzę.

A zatem i w ujęciu związłym: w światopoglądzie (osobistym) domyślamy się obecności czy posiadania: po pierwsze – ogólnej wiedzy naukowej o świecie i życiu, po drugie – orientacji bądź własnych zapatrywań w ogólnych sprawach spornych w zakresie wiedzy naukowej, po trzecie – ogólnych przekonań o wartościach.

Tak pojęty światopogląd jest swoistym „majątkiem” osobistym, tj. stanem posiadania danej osoby. Jest też bez wątpienia stanem ogromnie zmiennym indywidualnie w zależności od wielu czynników różnicujących. W grę wchodzi tu przede wszystkim: zasób wiadomości i jakości wykształcenia, jakość i kierunki zainteresowań, szczególnie o pokroju intelektualnym, poziom inteligencji ogólnej, poniekąd również płeć i wiek. Ze względu na czynnik ostatni i celem ograniczenia wieloznaczności „światopoglądu” warto tu zwrócić uwagę na skłonność niektórych psychologów do dopatrywania się obecności światopoglądu nawet w wieku dziecięcym. Pomimo trudności ustanowienia granicy między wiekiem życia, w którym już można mówić o posiadaniu światopoglądu, a tym, w którym jeszcze się go nie ma, jest to bez wątpienia co najmniej przesada. Jest tak m.in. w świetle szczegółowych opisów rzekomego światopoglądu dziecięcego. Wynika z nich, że psychologom chodziło o swoisty sposób myślenia dzieci i ich postawy wobec rzeczywistości, a nie o abstrakcyjną wiedzę ogólną, o ogólne zapatrywania w sprawach spornych ani ogólne przekonania o wartościach.

Dodać trzeba, że niezależnie od zapatrywań co do granic wieku, mówiąc o światopoglądzie niekoniecznie lub nawet wcale nie domyślamy się w nim obecności poglądów i problemów filozoficznych, chociaż z góry ich nie wyłączamy. Znaczy to, że czasem czy w pewnych wypadkach czyjś światopogląd ma bądź może mieć charakter filozoficzny. Idzie w ślad za tym domniemanie intuicyjne, że czyjś światopogląd, w szczególności światopogląd wyraźnie filozoficzny, niekoniecznie jest logicznie i grama-

tycznie uporządkowany czy usystematyzowany. Krytycy lub biografowie nierzadko „wyłuskują” z utworów danego pisarza jego pogląd na świat, nigdy przez niego samego nie sprecyzowany ani logicznie ułożony, a przecież immanentnie w utworach tych obecny.

Rozmaitość i zmienność indywidualna światopoglądów każe niejako sama przez się rozpatrywać je jako fakty psychologiczne bądź jako swoiste struktury osobowości. Z tego właśnie względu kompleksową analizę „własnego” światopoglądu rozpocznę – w rozdziale najbliższym – od ogólnego, oczywiście psychologicznego, opisu dróg powstawania światopoglądu osobistego. Co prawda, podejście przede wszystkim psychologiczne wcale nie wyklucza pytania, jak dalece dany światopogląd jest prawdziwy? Otóż właśnie z punktu widzenia tego to pytania mówi się raczej o filozofii, w pewnych wypadkach o systemie filozoficznym aniżeli o światopoglądzie. Rzecz w tym, że mówiąc tak, przynajmniej intuicyjnie domyślamy się, że dany światopogląd stanowi pojęciowy obraz rzeczywistości, a nie po prostu czy tylko czyjś obraz, ukształtowany w ciągu wielu lat w czyjejś osobistej aktywności poznawczej. W tym sensie traktujemy go jako filozofię, co do której możemy w zasadzie tak samo jak w odniesieniu do wyników badań naukowych stawiać pytania: Prawdziwą czy błędną? Jak dalece prawdziwa bądź błędna? Nie ma też wątpliwości co do tego, że filozofowie sami niemal zawsze i wszędzie (w każdej kulturze) swój pogląd na świat traktowali jako pogląd prawdziwy i że w tym aspekcie uważali go za – obiektywnie ważną – filozofię, a nie po prostu czy tylko za swój osobisty światopogląd.

Nie ma tu – tj. we Wstępie – miejsca na choćby tylko próbę odpowiedzi na pytania merytoryczne, czym to właściwie filozofia jest, a czym nie jest, jednakże w świetle znaczeniowego porównania pojęć „światopogląd” a „filozofia” zwrócić trzeba uwagę na pewne cechy znamienne filozofii, w szczególności systemów filozoficznych. Otóż zazwyczaj przyjmuje się – przynajmniej intuicyjnie czy domyślnie – że jako obiektywne odzwierciedlenie rzeczywistości jest to raczej usystematyzowany ciąg myśli czy twierdzeń ogólnych aniżeli zbiór luźnych aforyzmów. Ze względu na to założenie poglądy filozoficzne pewnych autorów, np. Friedricha Nietzschego, traktuje się raczej jako osobiste światopoglądy aniżeli jako – że tak rzec – porządną filozofię. Wszak w najlepszym razie system filozoficzny można z nich krytycznie wyłuskać, i to z niemałymi wątpliwościami interpretacyjnymi.

Niezależnie od sposobu pojmowania filozofii – jej zadań, istoty, cech znamienych jej treści – filozofowie traktowali i traktują swoje dzieło, tj. odzwierciedlenie rzeczywistości, jako dzieło ważne obiektywnie, a nie

jako rezultat poprawnych czy błędnych rozumowań własnych. Wprawdzie oni je stworzyli, a więc im należy się chwała, jednakże oni tylko dzięki swemu geniuszowi stwierdzili faktyczny stan rzeczy i poznali prawdę. Wprawdzie ich system wyłonił się z ich umysłu, ale gdy się to stało, stanowi prawdę obiektywną, od ich osoby niezależną odwiecznie i na zawsze prawdziwą.

Zaakcentowana tu obiektywizacja własnych spojrzeń na świat – znamienna dla filozofów – pociąga za sobą problem szczególny, zarazem nad wyraz kłopotliwy, a to w postaci pytań, na czym polega swoiste zadanie filozofii w porównaniu z nauką (względnie z naukami poszczególnymi) i wiedzą naukową jako rezultatem pracy naukowej. Filozofowie odzwierciedlają rzeczywistość, ludzie nauki również. Czy nie ma tu nadmiaru działań poznawczych? A wobec niekwestionowanej ważności nauki – czy filozofia jest potrzebna? Niezależnie od sposobu podejmowania swych zadań wszyscy filozofowie naszych czasów problem ten – chcąc nie chcąc – rozpatrują frontalnie lub przynajmniej go potrącają.

Również niezależnie od stanowiska w sprawie istoty filozofii wszyscy filozofowie, względnie myśliciele, prócz historyków uważali się za filozofów, rozpatrywali czy rozpatrują frontalnie lub mimochodem zagadnienia specyficznie filozoficzne, skupiane zazwyczaj w trzech zbiorach: 1. zagadnienia ontologiczne, tj. dotyczące istoty bytu; 2. zagadnienia epistemologiczne, tj. odnoszące się do istoty i warunków prawdziwego, czyli obiektywnego, poznania rzeczywistości; 3. zagadnienia aksjologiczne, w szczególności i na pierwszym planie etyczne, tj. dotyczące wartości bezwzględnych, przede wszystkim bezwzględnego dobra (względnie zła) i absolutnych powinności człowieka.

Jeśli w odniesieniu do (obiektywnej) filozofii bądź do systemów filozofii stosować termin „światopogląd”, ze względu na wskazane trzy zbiory problemów powiemy, że dla filozofii znamienny jest przede wszystkim światopogląd filozoficzny, tj. stawianie i podejmowanie prób rozwiązania problemów ontologicznych, epistemologicznych i aksjologicznych. Natomiast w światopoglądach naukowców, np. fizyków, historyków, naukowców w zakresie nauk technicznych, również w światopoglądach laików owe problemy bywają niekiedy obecne, lecz być nie muszą. W ujęciu naukowców filozofujących na plan pierwszy wysuwają się daleko posunięte syntezy czy uogólnienia, nawiązujące do ich wiedzy fachowej. Zapytania co do istoty bytu, prawdziwego poznania i naczelnych wartości w ich filozofiach pojawiają się zazwyczaj mimochodem, jeśli w ogóle występują.

Co prawda, również filozofujący naukowcy traktują zazwyczaj „serio” swoje zapatrywania światopoglądowe, tj. jako obiektywnie pewne „podsumowania” najbardziej nowoczesnej wiedzy naukowej. W ich przekonaniu przedstawiają oni w swych pracach filozoficznych obiektywną wiedzę, a nie zapatrywania osobiste.

W końcu parę słów o terminach równoznacznych i pochodnych. Równoznaczny „światopoglądowi” jest „pogląd na świat”. Powodem do stosowania tego drugiego jest potrzeba unikania jednostajności werbalno-stylistycznej. Nic ponadto.

Nierzadko w rzeczy niniejszej mowa będzie o osobistym poglądzie na świat. Czy zachodzi różnica rzeczowa między nim a po prostu poglądem na świat lub światopoglądem? Nie, natomiast zachodzi różnica akcentu. Posługując się terminem „osobisty pogląd na świat”, akcentujemy zależności w procesie powstawania i w treści światopoglądu od cech osobowości, losów życiowych, przebiegu kształcenia i jakości wykształcenia itp. Rozumie się, że również bez przydawki „osobisty” dany światopogląd jest uzależniony od tych czynników. Znaczy to, że jest czyjś.

Inaczej ma się rzecz z „filozofią” a „systemem filozoficznym”. Zastosowalność pierwszego pojęcia jest daleko szersza niż drugiego. Z systemami filozoficznymi mamy do czynienia jedynie w wypadkach, gdy zapatrywania światopoglądowe danego myśliciela, dotyczące przede wszystkim podstawowych zagadnień ontologicznych, epistemologicznych i aksjologicznych, zostały w jego własnych dziełach logicznie uporządkowane i ściśle rzecz biorąc, ułożone dedukcyjnie. Jest tak naprawdę tylko w nielicznych wypadkach bogatej tradycji filozoficznej; dodajmy: kultury europejskiej. Przykładami są systemy filozoficzne Arystotelesa, św. Tomasza z Akwinu, Leibniza, Spinozy. Jednakże nawet w tych wypadkach jedynie fragmenty danej filozofii, praktycznie biorąc ogólne wprowadzenia do niej mają charakter swoistego systemu myślowego. Wiele innych części powiązane bywa z nim luźno, i to tak, że możliwe i potrzebne są czy były interpretacje krytyków i historyków filozofii.

„Filozoficzny pogląd na świat” oznacza pogląd ułożony systematycznie przez danego myśliciela bądź mniej lub bardziej luźny, bądź domyślnie zawarty w jego pismach, dotyczący wyłącznie lub przede wszystkim zagadnień ontologicznych, epistemologicznych i aksjologicznych. Powiedzmy też inaczej – odwiecznych zagadnień filozoficznych; zagadnień odwiecznie zaliczanych do „matecznika” filozofii.

Czasem używa się terminu „doktryny filozoficzne”. Etymologicznie znaczy to: ‘zapatrywania filozoficzne, stanowiące przedmiot nauczania’



(*docere* ‘szerzyć’; *doctrina* ‘nauka’). Wprawdzie termin ten ma zazwyczaj wydźwięk pejoratywny. Znaczy to, że wskazuje na negatywno-krytyczną ocenę zapatrywań tak nazywanych.

Natomiast bez nacechowania ujemnego używa się terminu „poglądy filozoficzne”. Jednakże posługując się tym terminem na uwadze mamy przede wszystkim powiązania osobowościowe reprezentanta danej filozofii, w szczególności danego systemu filozoficznego. Potem dopiero dostrzegamy logiczną treść tegoż, rozpatrywaną krytycznie, zwłaszcza w świetle pytania: jak dalece treść ta stanowi poznanie obiektywne w sensie ogólnego odzwierciedlenia rzeczywistości?

Osobno uwzględnić wypada zadomowiony termin „zagadnienia filozoficzne”. Na ogół używa się tego właśnie terminu, a nie w zasadzie znaczącego to samo terminu „problemy filozoficzne”. Postępuje się tak zwykle celem zaznaczenia różnic między problemami naukowymi a filozoficznymi. Rozumie się, że myśliciel akcentujący naukowość filozofii posługuje się raczej terminem „problemy filozoficzne”, chyba że sprawę naukowości filozofii uważa za błędną lub nieinteresującą.

W związku z tym zauważyć trzeba „przekonania filozoficzne” bądź „przekonania światopoglądowe”. Trudno obejść się bez nich wobec notorycznego faktu, że zagadnienia filozoficzne rozwiązywano i rozwiązuje się nadal. Ale tu wraca sprawa różnic między filozofią a nauką. Nie ma czegoś takiego jak „przekonania naukowe”, przynajmniej w odniesieniu do logicznego wyniku prac naukowo-badawczych. Nie znaczy to, że pracownik naukowy nie bywa przekonany o słuszności tegoż lub przeciwnie – że miewa wątpliwości. Rzecz w tym, że w ramach danej metody roboczej ustala określone wyniki, np. w formie stwierdzenia faktów dotychczas nieznanych. Jednakże nie są to przekonania tego pokroju jak w zakresie zagadnień filozoficznych; przekonania, których się broni, tym samym otwarcie lub domyślnie zwalczając inne. Spory między naukowcami mają inny charakter niż spory między filozofami. Będzie o tym mowa osobno (w rozdziale trzecim: *Nauka a filozofia*).

Wydaje się, że po wstępnych objaśnieniach można przystąpić do „wykładu” światopoglądu humanisty, tj. autora niniejszej pracy. Zgodnie z założeniami mowa będzie nasamprzód o drogach powstawania światopoglądu osobistego. Znaczy to, że skupimy się najpierw na faktach psychologicznych. Dotyczą one głównie procesu powstawania wiedzy osobistej.

Rozdział pierwszy

# **Powstawanie światopoglądu osobistego**





## **Idea zdobywania spoistej wiedzy**

Światopogląd, w szczególności dobrze ułożony logicznie system filozoficzny, jest przede wszystkim swoistą reprezentacją wiedzy osobistej, zwłaszcza wiedzy odzwierciedlającej obiektywny dorobek różnych nauk. Jest wprawdzie ponadto pewnego rodzaju syntezą osobistą różnego pokroju przekonań o wartościach, na pierwszym planie o wartościach moralnych i społecznych, jednakże bez wątpienia wiedza osobista odgrywa w nim rolę istotną. Wobec tego, aby opisać drogi powstawania światopoglądu osobistego, trzeba wysunąć na plan pierwszy fakty dotyczące powstawania i scalania się wiedzy osobistej. Wszak każdy światopogląd – ułamkowy lub ułomny czy wysoce uporządkowany – jest rezultatem stopniowego scalania się wiadomości i wiadomostek, pojęć i poglądów różnego kalibru i z różnych dziedzin. Jest swoistą budowlą, a nie tylko zbiorem elementów. Wiadomo, że do utworzenia możliwie spoistej budowli zmierzają organizatorzy nauczania szkolnego, pośrednio – nauczyciele.

Stara to, lecz trudna do urzeczywistnienia idea dydaktyczna, aby w rezultacie nauczania absolwentom szkół pozostała – do rozporządzania praktycznego bądź do dalszej nauki – wiedza jako tako spoista, a nie masa luźnych wiadomostek. Z istoty problemu w niej tkwiącego pedagodzy zdawali sobie intuicyjnie sprawę od dawien dawna, o czym świadczą m.in. hasła funkcjonalności wiedzy zdobywanej w szkole.

Sprawa jest wysoce złożona. Tutaj ograniczę się – w związku z nią – do zarysowanej odpowiedzi na pytanie, jakie to czynniki i okoliczności przyczyniają się do scalania wiedzy osobistej, a w jej obrębie głównie – wiedzy nabywanej, względnie nabytej dzięki szkole i pracy nauczycielskiej.

Co prawda, w tym celu wyjść trzeba od czynników obecnych i wywierających wpływ niezależnie od nauki szkolnej.

## **Pojęcia: „wiedza”, „poznanie”, „wiedza obiektywna”, „wiedza osobista”, i rodzaje wiedzy**

Ustalić wypada nasamprzód sens kilku bliskoznacznych pojęć: „wiedza”, „poznanie”, „wiedza obiektywna”, „wiedza osobista” i „umiejętności”. O wiedzy mowa będzie obszernie w rozdziale następnym, jednakże już na tym miejscu potrzebne są objaśnienia znaczeniowe.

Słowa: *wiedza*, *wiedzieć*, *wiadomości*, *powiadamiać*, pochodzą z tego samego rdzenia: „wied”. Znaczenie pokrewne mają słowa: *znać*, *poznać*, *poznanie*, *poznawanie*, *znajomość* itp. Różnica między nimi ta, że „wiedza” oznacza stan istnienia lub posiadania, natomiast „poznanie”, zwłaszcza zaś „poznawanie”, oznacza przede wszystkim drogę do tego stanu, a dopiero pochodnie również stan posiadania. Zauważyć trzeba, że wprawdzie w wielu językach odróżnia się „wiedzę” od „poznawania”, ale słowa pochodne wskazują na skłonność do zamiennego używania tych pojęć.

„Wiedzy” pokrewna jest „nauka”. Niekiedy i tych pojęć używa się zamiennie, np. w zwrotach: *nauka grecka (helleńska) = wiedza grecka*. Częściej łączy się te dwa pojęcia w jedno: „wiedza naukowa”. Tak czy owak słowa-pojęcia „wiedza”, „nauka” i „poznanie” są bliskoznaczne. Tutaj zasadniczo mowa będzie o wiedzy i o jej składnikach w sensie sposobu jej zdobywania i posiadania przez daną osobę, jej powiązań wewnętrznych u danej osoby, znamienych cech tych powiązań itp., czyli o wiedzy osobistej w przeciwieństwie do wiedzy naukowej, obiektywnie istniejącej. Ale nie sposób nie uwzględnić związków między jedną a drugą.

Rozróżnienie wiedzy obiektywnej i osobistej jest potrzebne zarówno z punktu widzenia psychologii, jak i teorii poznania. Ze stanowiska psychologicznego narzuca się ze względu na fakt, że uczniowie każdego stopnia i pokroju zapoznają się – mniej lub bardziej czynnie – z wiedzą już istniejącą, z wiedzą im przekazywaną. Nasuwa się zatem pytanie: Jakie są podobieństwa i różnice, jakie związki zależności między wiedzą obiektywną a zdobywaną i posiadaną, tj. właśnie wiedzą osobistą?

Wiedza – czy to obiektywna, czy to osobista – jest zjawiskiem wysoce złożonym. W ujęciu całościowym można rozróżnić szereg jej rodzajów, a na drodze analizy szereg składników. Przyjrzyjmy się jednym i drugim. Następujące rodzaje wiedzy (lub choćby tylko ich rozróżnienia), wymagają

tu krótkiej charakterystyki: wiedza naukowa, wiedza pospolita (powszednia), wiedza ogólna, wiedza fachowa, wiedza specjalistyczna, wiedza teoretyczna i wiedza praktyczna.

Rozpocniemy od „wiedzy naukowej”, ponieważ głównie o nią tutaj chodzi. Wszak nauczanie i uczenie się szkolne – w krajach cywilizowanych podstawowy sposób zdobywania wiedzy osobistej – ma zasadniczo za swój przedmiot wiedzę naukową. A zmierzamy do tego, aby osobista wiedza absolwentów stanowiła w miarę możliwości odzwierciedlenie obiektywnie istniejącej wiedzy naukowej. Co to jest wiedza naukowa? Jest nią wiedza oparta na wynikach badań naukowych. Odpowiedź w zasadzie słuszna, ale zawiera wątpliwości. Czy problemy i hipotezy naukowe stanowią część wiedzy naukowej? Czy w jej obręb wchodzi tylko „ostatnie zdobycze nauki”, czy również osiągnięcia już nieco przestarzałe, dajmy na to sprzed 25 lat? Czy w rachubę wchodzi tylko całkiem pewne i sprawdzone wyniki badań naukowych, czy również tzw. wyniki tymczasowe? I kto jest kompetentny, aby udzielić odpowiedzi poprawnej? Nie ma tu miejsca na rozpatrywanie tych pytań. Pytań trudnych i niebłahych.

A co to jest „wiedza pospolita” (powszednia, przednaukowa, nienaukowa)? I czy w ogóle istnieje taka wiedza? Rzecz ma dwa aspekty:

1. Co ludzie wiedzą pospolicie o danej sprawie, ewentualnie o wszelkich sprawach łącznie, w porównaniu z aktualnym stanem wiedzy naukowej, ale ostatecznie na podstawie wiedzy naukowej zdobytej w rezultacie szkolnego nauczania?

2. Co ludzie wiedzą niezależnie od nauczania szkolnego i od książek o treści naukowej? I czy w ogóle mają tego rodzaju wiedzę?

Aspekt pierwszy jest natury egzaminacyjnej. Znaczy to, że celem uzyskania wiarygodnej odpowiedzi trzeba by przeprowadzić odpowiednie egzaminy. Z badań w tej sprawie przeprowadzonych wynika, że przeciętny stan wiedzy osobistej jest mizerny w stosunku do tej części wiedzy naukowej (obiektywnej), którą programowo podaje się w szkole do wyuczenia. Co więcej, jest mniej lub bardziej zniekształcony i przepleciony informacjami z obiegowej wiedzy pospolitej, mniej lub bardziej zabarwionej uprzedzeniami, „ludowymi pewnikami”, np. w dziedzinie medycyny.

Aspekt drugi jest interesujący ze względu na sprawę źródeł wiedzy, ponadto w związku ze starą koncepcją tzw. zdrowego rozumu, czyli – z angielską – *common sense*. Jest to oczywiste, że ludzie niejedno wiedzieli o świecie, zanim zaczęli uprawiać naukę (w obecnym znaczeniu tego pojęcia) i uczyć się w szkołach. Również obecnie to i owo jest wiedzą bez szkolnej nauki, bez książek. Dzięki czemu? Dzięki tradycji i osobistemu

doświadczeniu. Można nie przykładać wielkiej wagi do wiedzy matematycznej, fizycznej, chemicznej, biologicznej, medycznej, farmaceutycznej, lingwistycznej, zdobytej jedynie dzięki tradycji i doświadczeniu. Ale nie sposób zlekceważyć – na takich to źródłach opartej – wiedzy psychologicznej i socjologicznej, ponadto związanego z nimi zasobu przekonań o wartościach, tj. o tym, co i jak dalece jest ważne, wartościowe, słuszne, trafne, godne naśladowania lub pochwały, wymagające nagany, piękne, godziwe.

Przeważna część tradycji i doświadczenia osobistego odnosi się do spraw ludzkich i pozostaje na tle osobistej walki o byt, na tle trosk, kłopotów, cierpień moralnych, porażek, osiągnięć, zwycięstw. Wielu problemów w zakresie tych spraw nauka albo jeszcze wcale nie rozwiązała przez odpowiednie badania, albo na razie nie dokonała tego w mierze dostatecznej. Wobec tego liczyć się trzeba z wiedzą pospolitą, jako pewnego rodzaju podsumowaniem doświadczeń osobistych wielu ludzi, a nawet wielu pokoleń. Na razie nie ma odpowiedzi na pytanie, jak dalece psychologiczna i socjologiczna wiedza pospolita (powszednia) wytrzymuje krytykę. Ale jest nieco danych do twierdzenia, że podobnie jak to było w zakresie pospolitej fizyki, chemii, „ludowej” medycyny, wiedza o faktach jest tu przemieszana z przesądami i uprzedzeniami. Innymi słowy: rozum nie zawsze i niekoniecznie jest zdrowy.

Nieco mniej kłopotu jest z rozróżnieniem: wiedza ogólna a fachowa i specjalistyczna. O tej pierwszej mówi się nasamprzód z uwagi na programy nauczania w szkolnictwie ogólnokształcącym, pośrednio również ze względu na stan potrzeb i wymagań życiowych, wspólnych dla wszystkich obywateli (dorosłych) danego kraju. Jedno z drugim ze swej strony pozostaje w związku z wiedzą pospolitą i z osobistym doświadczeniem.

Nie rozróżnia się wyraźnie pojęć „wiedza fachowa” a „wiedza specjalistyczna”. Ze sposobu użycia tych nazw wynika jednak, że o wiedzy fachowej mówi się z akcentem na praktykę i w powiązaniu ze szkolnictwem zawodowym, zaś o wiedzy specjalistycznej – z akcentem na związkach z wiedzą i postępem naukowym i w odniesieniu do szkolnictwa wyższego. Oczywiście, tu i tam w grę wchodzi związek z pracą zawodową. Specjalistyczną jest wiedza ze względu na specjalizację pracy zawodowej, m.in. pracy badawczej naukowców. Trzeba tu jednak mieć na uwadze stopnie specjalizacji. Chirurg jest specjalistą, ale wobec lekarza pracującego w tzw. chirurgii plastycznej jest „omnibusem”.

Wobec tego, gdy mowa o wiedzy specjalistycznej, na uwadze mieć trzeba nasamprzód różnice w stanie osobistego posiadania (osoba ogólnie wykształcona, np. maturzysta, a specjalista-naukowiec), niemniej jednak

w grę wchodzi odpowiednio różnice obiektywne, uwidocznione przykładowo w zestawie podręczników do szkoły ogólnokształcącej czy do danego technikum, np. mechanicznego, lub do studiów w szkole wyższej. Rozumie się, że w obrębie wiedzy specjalistycznej wyodrębnić można by tyle osobnych rodzajów wiedzy, ile jest osobnych nauk.

Ze względu na własności logiczne i ze względu na związek wiedzy z życiem uwzględnić trzeba dwa rodzaje wiedzy:

1. wiedzę teoretyczną w szerokim sensie tego słowa, tj. jakąkolwiek wiedzę, zawierającą pogląd naukowy na jakąkolwiek sprawę, a to stosownie do formalnego pytania, „jak ta rzecz się przedstawia”;

2. wiedzę praktyczną, również w szerokim sensie tego słowa, tj. wiedzę zawierającą pogląd naukowy na jakąkolwiek sprawę według pytania formalnego, „co i jak racjonalnie wykonać”.

Innymi słowy, jedne składniki wiedzy związane są głównie z czynnikami poznawczymi, inne głównie z praktycznym działaniem, przede wszystkim z wszelkiego pokroju pracą.

Zarówno w sensie obiektywnym, jak i subiektywnym wiedzę rozłożyć można na składniki w szerokim sensie tego słowa. Intuicyjnie i w świetle podanych objaśnień jest to oczywiste, że do czynienia mamy z różnymi rodzajami składników i że składniki jedne nie są równe innym. Również i to, że składniki różnych rodzajów są coraz bardziej złożone i że u podstaw wszystkich rodzajów leżą składniki proste. Na przykład: wiadomości, informacje elementarne, pojęcia proste.

## **Składniki wiedzy osobistej**

Czy składniki wiedzy osobistej są tożsame ze składnikami wiedzy obiektywnej? Jeśli spojrzeć na to pytanie z punktu widzenia logiki, powiemy, że wiedza składa się z pojęć. Jeśli mamy o czymś pojęcie – niechby „zielone” – coś wiemy o danym zjawisku, o danych stosunkach, o danych substancjach, o odkryciach naukowych itp. A jeśli coś wiemy o tym i owym, potrafimy to wyrazić w odpowiednim twierdzeniu lub twierdzeniach: mówionych, pisanych lub jakoś inaczej umownie znakowanych. Gramatyk powie: wyrazić w zdaniach, logik – wyrazić w sądach. Bo jeśli tego zrobić nie potrafimy, co najwyżej rozporządzamy samą tylko nazwą lub może jakimiś konkretnymi wyobrażeniami-wspomnieniami, a nie wiedzą.

Składnikami wiedzy są zatem potencjalnie pojęcia, aktualnie zaś odpowiednie twierdzenia (sądy, zdania). Ich związek wzajemny ma się mniej

więcej tak, jak – w fizyce – związek energii potencjalnej z energią kinetyczną. Pierwsza warunkuje drugą, druga stanowi „aktualizację” pierwszej.

Stwierdzenie, że wiedza składa się z pojęć, jest jednak zbyt ogólnikowe, aby jej analizę na tym zakończyć. Trzeba bowiem uwzględnić fakt, że pojęcia są różnego rodzaju i że pozostają w rozmaitych związkach wzajemnych. Przede wszystkim wszelkie pojęcia są w różnym stopniu ogólne, względnie nadrzędne lub podporządkowane innym. Z tego punktu widzenia można by je ułożyć w „piramidy” stosownie do wielkości zakresu nimi objętego, względnie do bogactwa ich treści. Są też pojęcia różnego rodzaju, np. matematyczne i psychologiczne. Dalej – już z psychologicznego punktu widzenia – pojęcia mniej lub bardziej jasne dla danej osoby czy sprecyzowane; pojęcia empiryczne, czyli oparte na doświadczeniu, i teoretyczne, czyli wyrozumowane, względnie stanowiące składnik jakiejś teorii itp.

Co do stopnia ich ogólności rzecz ma się podobnie jak ze składnikami ciał materialnych. Z chemicznego punktu widzenia wszystkie ciała „ostatecznie” składają się z atomów około stu pierwiastków. Jednakże czy prawda ta wystarczająco poucza o budowie materii? Wiadomo, że nie. Świadczą o tym podręczniki elementarnej chemii. Krótko mówiąc – „świat pojęć” jest nad wyraz zróżnicowany.

Obiektywnemu zróżnicowaniu składników wiedzy i nierówności kalibru składników różnego pokroju w pewnej mierze odpowiadają takie wyrażenia, jak: wiadomości, wiadomości, pojęcia, teorie, poglądy, lub takie zwroty językowe kwalifikujące posiadacza wiedzy, jak: „ma głowę wypchaną wiadomościami”, „erudyta”, „erudyta nieżyciowy”, „chodząca encyklopedia”, „ma jasny pogląd na sprawę”, „ma trzeźwy sąd”, „ma sieczkę w głowie”, „chodzący system filozoficzny”, „mędrzec”, „człowiek mądry”, „ignorant”, „dyletant”, „dobry fachowiec, ale poza tym ciasna głowa” i wiele podobnych. Niemożliwe byłoby na tym miejscu rozpatrywanie szczegółowe rodzajów wśród pojęć, czyli składników wiedzy czy różnych układów.

## **Formy i uzależnienia spoistości wiedzy osobistej**

Wiedza wiedzy nierówna. Jest tak m.in. z punktu widzenia jej spoistości wewnętrznej. Można by pokusić się o umowne oznaczenie różnic według stopnia jej spoistości w granicach między zupełnym chaosem w zasobie posiadanych wiadomości różnego pokroju a całością spoistą wiadomości, logicznie dobrze ułożonych. W tych zaś granicach można by – stosownie do potrzeby i do stopnia niezawodności metod diagnostyki psychologicz-



nej – wyodrębnić dowolną liczbę układów. W jednym kierunku szlibyśmy ku wiedzy osobistej coraz bardziej spoistej, ostatecznie ku spoistemu pogładowi na świat, w kierunku drugim – ku wiedzy coraz wyraźniej, że tak rzec, rozsypującej się.

Spośród wielu można by tu wyodrębnić dwie formy spoistości wiedzy osobistej:

1. spoistość „mechaniczną” lub skojarzeniową, opartą głównie na pamięciowym uczeniu się;

2. spoistość „logiczną”, powstającą pod wpływem rozwiązywania problemów, w szczególności różnego pokroju zadań szkolnych.

Rozwiązywanie problemów wymaga skojarzeń rzeczowych, odpowiadających treści danej sprawy, tym samym zaś nastawienia na składniki rzeczywistości. Natomiast zapamiętywanie „mechaniczne” i nawiązujące do tej czynności skojarzenia, względnie przypomnienia funkcjonują bez takiego nastawienia. Znaczy to, że niekoniecznie mają sens (często sensu nie mają) w myślowym przystosowywaniu się do rzeczywistości.

Wskazane dwie i każda inna forma spoistości umożliwiają korzystanie z wiedzy nabytej, jednakże ku jako tako ułożonemu światopogladowi osobistemu relatywnie najpewniej prowadzi spoistość poszczególnych zbiorów wiadomości nabyta, względnie nabywana w trakcie rozwiązywania problemów, a zatem dzięki myśleniu mniej lub bardziej samodzielnemu.

Jednym z istotnych warunków zbliżania się ku spoistemu światopogladowi osobistemu, w znaczeniu szczególnego rodzaju reprezentacji wiedzy osobistej, jest postępujący ład w układzie jej składników. Każe on domyślać się hierarchicznego uporządkowania pojęć rozporządzalnych, a więc posiadania wiedzy ogólnej jako nadbudowy nad masą wiadomości szczegółowych różnego pokroju. Wysoce spoista struktura logiczna wiedzy osobistej w zakresie poszczególnych rodzajów pojęć, np. biologicznych, obojętnie skąd zaczerpniętej, w szczególności z przygodnego doświadczenia czy z nauczania szkolnego – wskazuje na bliską obecność światopoglądu osobistego. Wynika stąd, że znając czy poznając składniki przyczyniające się do powstawania ładu i spoistości wiedzy osobistej, poznajemy przynajmniej częściowo procesy i warunki kształtowania się światopoglądu osobistego.

Wyłania się stąd pytanie: jakie czynniki przyczyniają się do spoistości wiedzy osobistej? Jest ich co najmniej kilka, ale o mocy różnej. Rolę pierwszoplanową gra „miejsce logiczne” danej wiadomości; ściślej – znajomość tego miejsca przez daną osobę. Przyjrzyjmy się temu z bliska. Faktem jest, że różne wiadomości, przyswajane przez osobę uczącą się z przygod-



nego doświadczenia czy dzięki szkole, mają niejednakową wartość logiczną. Są one w różnym stopniu ogólne i zastosowalne do nierównie zasobnych przedmiotów dalszego uczenia się umysłowego czy działania praktycznego. Tkwi w tym podstawa do kształtowania się w świadomości i pamięci danej osoby pojęć o zakresach różnych i o treściach niejednakowo zasobnych. Nawet bez pomocy nauczycieli i programów nauczania na tej drodze wiedza osobista różnicowuje się stopniowo w granicach między nieporównywalnymi wiadomościami a wiadomościami ogólnymi, obejmującymi wiele szczegółów. W ślad za różnicowaniem postępuje – poniekąd bezwiednie, po części zaś na drodze świadomej refleksji – proces scalania się wiedzy osobistej. Proces ten jest prawdopodobnie w zasadzie jednakowy u ludzi korzystających z kształcenia szkolnego, jak też u cywilizowanych analfabetów oraz ludzi z kręgu tzw. ludów prymitywnych. Bez wątpienia szkoła przyczynia się istotnie do wzrostu roli względnej refleksji nad związkami między wiadomościami czy doświadczeniami powszednimi.

Swoistą rolę w porządkowaniu wiedzy nabytej, bądź właśnie nabywanej, grają spory bądź ożywione rozmowy o podkładzie uczuciowym. Ludzie każdego wieku niekiedy spierają się, a póki nie trzeba uciekać się do fizycznej przemocy czy do okazania możliwości jej zastosowania, walczą na słowa. Znaczy to, że argumentują. Wskazują na ogólne zasady, powołują się na zarządzenia lub inne normy i wyciągają z nich wnioski. Czasem uogólniają przykłady, tj. wnioskują indukcyjnie. Tak czy owak, niekiedy dzięki sporom zmuszeni bywają do myślenia logicznego, i to niezależnie od posiadania wiadomości z jakiejś teorii logiki. W każdym razie dyskusje i spory, poniekąd nawet zwyczajne rozmowy, stanowią podniety do logicznego łączenia ze sobą pojęć, względnie wiadomości różnych. Podniety te nabierają niekiedy szczególnej mocy pod wpływem potrzeby uzasadniania poczynań czy to impulsywnych, czy to wprawdzie świadomie zamierzonych i postanowionych, lecz sprzecznych z normami obowiązującymi; w ślad za tym mniej lub bardziej ostro potępianych. Ogromna ilość różnego rodzaju usprawiedliwień, wyjaśnień i wybieleń we współżyciu ludzi ze sobą, w rodzinie, w szkole, w grupie koleżeńskej, w zespole pracowników, w stycznościach zabawowych, erotycznych i wielu innych polega na argumentowaniu celem usprawiedliwienia własnych poczynań, na przemawianiu do cudzego rozumu lub na wykazaniu cudzych błędów. W ten sposób na ogół przygodnie, ale nierzadko skutecznie, pojawia się – w trakcie działania, pośrednio w czyjejś wiedzy osobistej – zrozumienie związków między wiadomościami, pojęciami i twierdzeniami uprzednio niezauważone.

Potrzeba wykazywania słuszności własnego postępowania czy też – przeciwnie – nierozumności i niegodziwości postępowania cudzego jest w procesie scalania wiedzy osobistej szczególnie ważna w zakresie wszelkiego rodzaju norm i celów postępowania, zwłaszcza norm moralnych i prawnych. Na jej podstawie dokonuje się – o wiele bardziej i szybciej niż przez dyskusje i spory – proces powstawania idei działania, tj. pojęć nie tylko czy po prostu w jakimś sensie odzwierciedlających rzeczywistość, ale ponadto zawierających napęd do działań w pewnym kierunku.

Wielu rozmaitych słów można w związku z tym używać i używa się faktycznie, m.in. takich oto: *życzenie, pragnienie, nastawienie, ideał, plan, program*, nie mówiąc już o bogatym słownictwie pojęć oznaczających rozmaite potrzeby i motywy. W każdym wypadku w grę wchodzi połączenie jakiegoś wyobrażenia celu z jakimś napędem. Chodzi tu o proces psychiczny, który ongiś w ujęciu abstrakcyjnym Alfred Fouillée nazywał *ideał-siłą (idée force)*. Na każdym kroku w świadomości dzieci i dorosłych, ludzi prymitywnych i wysoce kulturalnych występują w najrozmaitszych kształtach i połączeniach właśnie idee-siły. W słownictwie Williama McDougalla, Leona Petrażyckiego i innych autorów sentymenty przedstawiane są jako zbitki wiedzy z odpowiednimi napędami uczuciowymi.

Napędy skojarzone z różnymi wyobrażeniami, pośrednio z różnymi składnikami wiedzy osobistej i z odpowiednimi twierdzeniami stają się w ślad za nimi mniej więcej logiczne. To właśnie miał swego czasu na uwadze Théodule-Armand Ribot mówiąc i pisząc o logice uczuć. Jeśli bowiem napędy do określonych działań nazwać ogólnie uczuciami złożonymi, nie można im odmówić logiki różnego kształtu i stopnia. Innymi słowy, uczucia bywają mniej lub bardziej logiczne. Znaczy to – rozmaicie przystosowane do danej sytuacji życiowej i do odpowiednich zasobów wiedzy osobistej. Rozmaicie – w granicach między uczuciami doskonale przystosowanymi do konkretnej sytuacji a uczuciami zupełnie nieprzystosowanymi. W takim sensie – błędnymi, nielogicznymi. Jak wiadomo, niedostatki logiki uczuć są przedmiotem leczenia psychiatrycznego i odpowiednich badań.

Otóż logika uczuć, podobnie jak logika twierdzeń czy pojęć, wskazuje na układ i na porządek hierarchiczny w ich zakresie. Jedne uczucia są podporządkowane innym, inne są nadrzędne. Są też uczucia przeciwstawne i sprzeczne ze sobą, np. miłość i nienawiść. Rozwój osobowości jest częściowo równoznaczny z rozwojem tego ładu, tj. integracji uczuć. A czynniki integracji uczuć są poniekąd tożsame, poniekąd zbliżone do czynników przyczyniających się do wzmocnienia spójności w wiedzy

osobistej. Osoba wysoce spoista wewnętrznie ma w sobie ład zarówno wiedzy osobistej, jak i uczuć. Rozumie się, że ład uczuć sam przez się nie jest poglądem na rzeczywistość, jednakże ład ten sprzężony z ładem wiedzy przyczynia się do kształtowania osobistego poglądu na świat.

Pomimo powiązań takiego poglądu z uczuciami nie ma jednakże wątpliwości co do tego, że na planie pierwszym występuje w nim wiedza jako osobiste odzwierciedlenie rzeczywistości. Wskazuje na to samo pochodzenie słów: *światopogląd* i *pogląd na świat*. Wszak każą się one domyślać czynności oglądania przedmiotów naocznych, a nie przeżywania uczuć pomimo to, że bez uczuć nie obejdzie się nawet w na pozór całkiem obojętnym, ale uważnym oglądaniu czegoś.

## **Walka o byt i zabawy jako czynniki integracji wiedzy osobistej**

Potężnym czynnikiem wiązania różnych wiadomości ze sobą jest szeroko pojęta walka o byt. Na jej gruncie występują mniej lub bardziej wyraziście różne uczucia, np. zawiści, zazdrości, życzliwości, nieżyczliwości, lęku, agresywności, niepewności, przyjaźni, nieprzyjaźni. A ich część przeważna pojawia się na tle różnego pokroju stosunków międzyludzkich. Zrozumiałe jest przeto, że praca i troska o byt stanowią istotnie ważne okazje do gromadzenia wiadomości, prawie zawsze zespolonych z jakimiś doświadczeniami. Co więcej, stanowią one niejako środki do ich zespalania i podporządkowania według stopni ważności. Należą tu przede wszystkim wiadomości o narzędziach pracy i sposobach jej wykonywania. Pośrednio – o zjawiskach natury martwej i żywej, o naturze psychicznej ludzi, o ich zdrowiu, chorobach i wytrzymałości.

Praca, względnie w ogóle szeroko pojęta walka o byt jest zapewne czynnikiem spajającym ze sobą różnego pokroju wiadomości na każdym etapie kultury, w każdej formacji społeczno-historycznej i w każdym zawodzie. Słusznie można więc mówić o specyficznej wiedzy zbieraczy, myśliwych, rybaków, rolników, oczywiście również strażników, posłańców, czarowników, znachorów, kapłanów, jeśli wymienić tylko niektóre rodzaje pracy zawodowej obecne już na etapach prymitywnego życia społecznego. Rozumie się, że niemniej słusznie mówić można o odrębnych rodzajach wiedzy osobistej w ramach specjalności zawodowych cywilizacji naukowo-technicznej. Specjalności różnych są już obecnie setki, a nawet tysiące (zależnie od podstawy rozróżnień). Zawsze oczywiście do czynienia mamy

z wiedzą osobistą, przystosowaną do konkretnego układu warunków gospodarczych, społecznych i kulturowych. W ślad za tym mówić można poniekąd również o odpowiednio wielu rodzajach i formach światopoglądów osobistych ludzi różnego zawodu.

Jednakże nie tylko praca (walka o byt) sama przez się spaja ze sobą wiadomości różnego rodzaju. Osobnym czynnikiem ich integracji są również działania czy poczynania wypełniające czas wolny od szeroko pojętej walki o byt. W rachubę wchodzi tu wszelkie poczynania związane z życiem seksualno-erotycznym, rozmaite gry, zabawy, rozrywki, tańce, ćwiczenia sportowe, podróże, jak również pospolite w każdego pokroju współżyciu ludzi ze sobą pogawędki, rozmowy towarzyskie. Osobno – występy artystyczne, np. śpiewy, a w związku z tym wszelkie pouczenia oraz informacje przekazywane z zamiarem nauczania czegoś nowego słuchaczy czy uczniów. To wszystko w jakiejś mierze – od wypadku do wypadku innej – przyczynia się wprost lub mimochodem do zdobywania nowych wiadomości, zarazem do ich porządkowania w splotach prawie zawsze uczuciowo naładowanych. To wszystko stanowi źródło wiedzy osobistej i pewnego porządku w jej obrębie. Dzięki temu wszystkiemu rzadko zdarza się, że nowe składniki wiedzy osobistej są całkiem luźne, tj. nieskojarzone z innymi oraz z jakimiś uczuciami, a w tym znaczeniu całkiem przygodne czy przypadkowe.

Razem wzięwszy, wiele czynników przyczynia się nie tylko do pomnażania wiedzy osobistej, ale także do jej częściowego i niechby nawet bardzo ułomnego zespalania w pewne całości. Pośrednio do powstawania osobistego poglądu na świat. Szczególnego rodzaju czynnikiem zdobywania wiedzy i jej osobistego scalania jest nauczanie szkolne. Jemu więc trzeba się przyrzeć osobno.

## **Integracyjna rola nauczania szkolnego**

Nie wszędzie nauczają się w szkołach. Nie wszędzie ludzie mają dostęp do szkół i uczą się w nich. Jednakże tam, gdzie tak się dzieje, proces powstawania i scalania się wiedzy osobistej jest uzależniony właśnie i przeważnie od szkoły, a nie tyle od opisanych powyżej czynników. Od nich trzeba było zacząć ze względu na ich powszechność, tj. na obecność w każdym środowisku społecznym i we wszystkich warunkach kulturowych. Weźmy tylko pod uwagę wszędzie obecną walkę na słowa i usprawiedliwianie się, toczy się wszędzie tam, gdzie ludzie współżyją ze sobą w osobistej walce

o byt, w życiu erotycznym, w zabawie bądź w recepcji kultury, chociaż zapełniona jest wciąż zmieniającą się treścią. Natomiast rola kształcąca szkoły jest ograniczona do pewnych warunków społeczno-kulturowych, chociaż ogromna większość ludzi w tzw. krajach cywilizowanych korzysta z kształcenia szkolnego.

W roli szkoły, jako instytucji wywierającej wpływ przemożny na powstawanie wiedzy osobistej, istotne jest programowanie; w ślad za tym przekazywanie i zdobywanie wiedzy i umiejętności na kanwie określonych programów. Stanowią one i stanowiły zawsze podstawę każdej szkoły. Nawet takiej, w której całość lub część programów ulega często zmianie bądź ustalana jest doraźnie czy na krótko według swobodnego uznania nauczycieli. Zgodnie z istotną rolą programów nauczania charakter różnych szkół określano i określa się przede wszystkim według ogólnie ujętej ich struktury i treści, np. szkoła ogólnokształcąca, szkoła zawodowa.

Pomimo nie wiedzieć jak wielkich różnic treści każdy program kształcenia szkolnego stanowi czynnik porządkowania informacji w wiedzy osobistej i układów działań nawykowych, tj. umiejętności z nimi zespolonych. Stanowi niejako układ sztywnych kanałów, według których wiedza obiektywna przenika do świadomości i zestraja się z już obecnymi zasobami wiedzy osobistej, wzbogacając je relatywnie szybko i nieustannie. Rzec by można, że w ślad za nim również w wiedzy osobistej powstają, utrwalają się i pogłębiają odpowiednie kanały. Ich pierwszorzędna i stale obecna funkcja polega na stwarzaniu subiektywnej jasności, pewności i poczucia porządku w osobistej wiedzy. Wyraźnie z tej właśnie funkcji szkoły i programów nauczania zdawał sobie sprawę Jack London jako autor *Martina Edena*: „Co za szczęście mieć przewodnika w procesie zdobywania wiedzy dzięki szkole i jej programom!” Tak oto można by streścić jedną z myśli znamiennych tej powieści-autobiografii.

Proces integracji wiedzy osobistej, ułatwiany i znakomicie przyspieszany jakimkolwiek programem kształcenia szkolnego, nie jest koniecznie zależny od logicznego układu treści kształcenia. Wiele programów nauczania zawierało niewiele logiki. Raczej i przede wszystkim zależny jest od samego istnienia sztywnych ram. W ich obrębie porządek treści może być i bywa w zakresie wielu przedmiotów nauczania nawykowy czy umowny, a nie dedukcyjny czy w ogóle logiczny.

Mimo to jest prawdopodobne, że im lepiej treści nauczania ułożone są logicznie oraz im lepsza jest logiczna poprawność powiązań między poszczególnymi przedmiotami nauczania, np. między matematyką, fizyką, chemią i biologią, tym silniejszy jest wpływ integracyjny szkolnego kształ-

cenia. Pośrednio dotyczy to wpływu wiedzy obiektywnej, przekazywanej za pośrednictwem szkoły. Bez wątpienia różnice jakościowe programów nauczania rzutują na jakość struktury wiedzy osobistej, na stopień jej spójności i na proces powstawania całościowego poglądu na świat. Od dawna zdawano sobie z tego sprawę, np. na kanwie porównań między umysłowością absolwentów liceów ogólnokształcących a absolwentów techników zawodowych.

Razem wzięwszy, kształcenie szkolne przyczynia się istotnie z natury swej planowości i choćby tylko częściowo logicznego układu treści nauczania do powstawania relatywnie spójnych układów w wiedzy osobistej, pośrednio do formowania się całościowego poglądu na świat. Rozumie się przy tym intuicyjnie, że jedne formy kształcenia szkolnego przyczyniają czy przyczyniały się do tego słabo i dość wątpliwie, np. w greckim gimnazjum, w którym akcentowano wychowanie fizyczne i śpiew, podczas gdy inne formy – w wysokim stopniu, np. nowoczesne liceum ogólnokształcące, w zasadzie co do swej budowy jednakowe w wielu krajach.

Dodać trzeba, że każda szkoła kształciła i kształci poprzez różne treści uczucia moralne, intelektualne i estetyczne, przyczyniając się do rozwoju logiki uczuć, pośrednio również do integracji wiedzy osobistej.

## **Kształcenie ideologiczne jako czynnik integracji wiedzy osobistej**

Osobnym, zarazem specyficznym czynnikiem integracji wiedzy osobistej i formowania się poglądu na świat jest nauczanie światopoglądu jako przedmiotu szkolnego w ramach określonego programu. Dodajmy – światopoglądu miarodajnego czy oficjalnego w danym społeczeństwie. Oczywiście, osobno w rachubę wchodzi pośrednie i niejako mimochodne nauczanie światopoglądu oficjalnego poprzez poszczególne przedmioty i programy, zwłaszcza przedmioty humanistyczne, przede wszystkim przez nauczanie języka ojczystego i historii. Jednakże nauczanie frontalne światopoglądu ma inny charakter niż mimochodne i wplecione w inne przedmioty nauczania. Z jednej strony przyspiesza i ułatwia zarówno przekaz, jak i odbiór pojęć stanowiących części składowe światopoglądu obowiązującego. Ze strony drugiej wskutek zawsze obecnych nacisków autorytatywnych i dogmatyczności wzbudza opór krytyczny, nastawienie polemiczne i pogotowie do buntu połączone z uległością. Jednakże pokusa szybkiego formowania subiektywnych odzwierciedleń świato-



poglądu oficjalnego bywała zawsze i pozostaje zbyt wielka, aby skłonić do zaniechania frontального nauczania tegoż na rzecz mimochodnego i pośredniego. Skuteczność frontального nauczania światopoglądu wydaje się istotnie zależna od subiektywnego prawdopodobieństwa jego treści w świetle osobistej wiedzy ucznia, pośrednio – wiedzy naukowej, przekazywanej w trakcie nauczania przedmiotów innych, zarówno w zakresie nauk ścisłych, jak i humanistycznych. Tu zapewne tkwi główna przyczyna szybkiego zanikania w różnych krajach światopoglądu religijnego współczesnej młodzieży na rzecz światopoglądu naukowego.

Integracyjna rola nauczania światopoglądu jest skomplikowana, gdy faktycznie, jeśli nie planowo, naucza się frontalnie, chociaż z wykorzystaniem różnych kanałów, różnych poglądów na świat; konkretnie i w naszych warunkach: poglądu materialistycznego i fideistycznego. Nie zbadano, jak dotąd, wystarczająco skutków konfliktów stąd wynikających w procesie scalania się wiedzy osobistej i emocji kulturalnych na drodze do formowania się osobistych, mniej lub bardziej filozoficznych poglądów na świat. Są jednak dane do przypuszczenia, że osobiste poglądy na świat w takich warunkach powstające są mniej lub bardziej sprzeczne. Są takie w granicach między – że tak rzec – obojętną „oboksiebnością” różnych twierdzeń ogólnych i takich to emocji a uczuciowo wyraźnie zabarwioną syntezą osobistą, w której jeden światopogląd wyuczony góruje zdecydowanie nad innymi również wyuczonymi, zawierając jednakże w sobie wiele agresywności wobec światopoglądu współistniejącego w pamięci, lecz pokonanego. Wynikają stąd konsekwencje specyficzne w zakresie funkcjonowania osobistych, mniej lub bardziej scalonych i w różnej mierze ogólnych poglądów na świat.

## **Granice integracji wiedzy osobistej**

Wszystkie opisane procesy przyczyniają się do scalania wiedzy osobistej, jednakże nawet w wypadkach scalenia najdalej posuniętego, zawsze aktywne są i pozostaną czynniki ograniczające te procesy. Oto niektóre przyczyny ograniczenia ich wpływu, a więc tym samym granic spistości wiedzy osobistej.

Wiele czynności przystosowawczych trzeba wykonywać bez refleksji, niezależnie od jakości posiadanej wiedzy. Nawet osoby wysoce zintelektualizowane nierzadko zachowują się impulsywnie. Co więcej, takie właśnie zachowanie na ogół niesie ze sobą zadowolenie pomimo to, że w skutkach

dalszych bywa niekiedy przykre i szkodliwe. Wiadomo, że nieplanowane postępowanie stanowi jedno z istotnych źródeł odpoczynku i powrotu do sił. I niemało w tym tkwi przyczyna raz w raz powtarzanego buntu przeciwko intelektowi i intelektualizmowi. Mieści się w tym bunt przeciwko zbyt daleko posuniętemu scaleniu pojęciowo-ideowego odzwierciedlenia rzeczywistości; niemniej przeciwko nadmiernemu uporządkowaniu życia. Stanowi to m.in. jedno ze źródeł egzystencjalizmu.

Uwzględnić trzeba ponadto granice integracji, wynikające trwale, każdego czasu i niezależnie od treści obiektywnej kultury ze słabości inteligencji ogólnej i z wynikającej stąd wąskości zainteresowań poznawczych. Dla masy osób przeciętnych, tym bardziej dla niezbyt inteligentnych, potrzeba świadomego scalania wiedzy, poszukiwania związków wszystkiego z wszystkim praktycznie biorąc nie istnieje. Wobec tego nawet największe wysiłki integracyjne szkoły czy najbardziej umiejętne nauczanie światopoglądu natrafiają i zawsze natrafiać będą na mur obojętności i brak zrozumienia dla smaku rozległych horyzontów umysłowych. Nierzadko łączy się to z niezbędną w sam raz lojalnością, z pamięciową uczonością i pozorami zainteresowania dla spraw wprost czy mimochodem dotyczących poglądu na świat.

## **Spoista wiedza a osobisty pogląd na świat**

Na podstawie przedstawionych opisów można – jak sądzę – pokusić się o odpowiedzi na pytania: czym jest osobisty pogląd na świat i jak funkcjonuje? W świetle objaśnień dotyczących procesów i warunków scalania się wiedzy osobistej na pierwsze z tych pytań nasuwa się odpowiedź, że pogląd na świat jest wiedzą osobistą, dostatecznie spoistą logicznie. Znaczy to, że samo przez się posiadanie masy wiadomości czy wiadomostek różnego pokroju, ale bez znajomości ich powiązań wzajemnych nie wskazuje na posiadanie zarazem osobistego poglądu na świat. Czy jednakże znajomość – niechby ułamkowa – związków między wiadomościami z danej dziedziny wiedzy, zwłaszcza zaś z dziedzin różnych, wystarcza po temu, aby mówić o jakimś poglądzie na świat? Czy w tym wypadku nie byłoby trafniej orzekać, że osoba dana posiada spoistą wiedzę w przeciwieństwie do osoby innej, posiadającej tylko masę różnych wiadomostek?

Przypuszczenie to wyłącza się z powszechnego rozumienia słowa „pogląd”; domyślnie: „pogląd na coś”. Otóż pogląd na coś czy w danej spra-



wie miewamy wówczas, gdy zachodzą wątpliwości, twierdzenia rozbieżne bądź sprzeczne, gdy rozmówca lub dyskutanci nie zgadzają się ze sobą, gdy wypowiadają i podtrzymują zdania własne. Takie zdanie to właśnie ich pogląd, różny lub sprzeczny z poglądami cudzymi.

Kiedyż to ludzie wypowiadają swoje poglądy? Wtedy, gdy dana sprawa jest wątpliwa, jako czy to wysoce złożona, czy to jeszcze nie zbadana, czy – wreszcie – zależna od uczuć, nastawień, od mniej lub bardziej emocjonalnych przekonań. Nie miałoby sensu mówić o czyichś poglądach w sprawach definitywnie ustalonych. W szczególności w sprawach stanowiących części naukowej wiedzy. Wiedzy tej trzeba czy można się uczyć i właśnie to stanowi jedno z podstawowych zadań szkoły. Co prawda, w szkole nabywa się również rozmaitych poglądów, i to niemało w związku z procesem systematycznego nauczania czy uczenia się. Jednakże na plan pierwszy wysuwa się zdobywanie osobiste części wiedzy obiektywnej i ustalonej. Może się zdarzyć i zdarza się, że absolwent danej szkoły ma przysłowiową sieczkę w głowie, tj. że posiada wiele wiadomości, ale niepołączonych ze sobą. Znaczy to, że nie posiadając dostatecznie spójnej wiedzy, nie ma zarazem dość warunków po temu, aby wyrobić sobie własny pogląd na świat. Jednakże nie sposób utożsamić takiego poglądu ze spójną wiedzą osobistą. Krótko mówiąc, wiedza taka jest tylko jednym z istotnych warunków powstawania spójnego, osobistego poglądu na świat.

Jak już zarysowo zaznaczyłem we *Wstępie*, warunkiem nie mniej ważnym jest posiadanie osobistych poglądów na różne sprawy niejasne, wątpliwe, trudne do rozstrzygnięcia, sporne, a przy tym zaczepiające o praktycznie ważne odcinki ludzkich poczyną. Na sprawy, w których fakty spletają się nierozdzielnie z ocenami i wartościami. Zazwyczaj w odniesieniu do takich spraw mówi się o posiadaniu określonych przekonań, a różne częściowe poglądy danej osoby są po prostu jej przekonaniach. Stanowią pogotowie do wypowiadania twierdzeń z naukowego punktu widzenia niepewnych i nienależących do zakresu ustalonej wiedzy. W ślad za tym – pogotowie do odpowiednich postaw i poczyną praktycznych.

Otóż właśnie spłot dostatecznie spójnej wiedzy osobistej – jako rezultatu inteligentnego i solidnego uczenia się – z szeregiem poglądów na różne sprawy wątpliwe, lecz z różnych względów ważne, tworzy osobisty pogląd na świat. Pogląd taki obejmuje w szczególności pewien zasób przekonań ogólnych o mechanizmie życia ludzkiego, zwłaszcza na odcinku motywacji postępowania, o stosunkach międzyludzkich i społecznych, o środowisku fizycznym, o świecie roślin i zwierząt, o technice, o wyżywieniu, o chorobach i leczeniu, o warunkach utrzymania zdrowia itp. Nie-

mniej ważny w jego obrębie jest pewien zasób przekonań o tym, co godne, a co niegodziwe, co piękne i brzydkie, prawdziwe, błędne, prawdopodobne, nieprawdopodobne, niemożliwe, wykluczone, a więc przekonań wyrażnie emocjonalnych, choć oczywiście skojarzonych ze składnikami wiedzy osobistej, jako odzwierciedlenia obiektywnego poznania procesów przyrody, rzeczy, ludzi i kultury.

W osobistym poglądzie na świat splatają się ze sobą: ogólna wiedza o świecie z ogólnymi przekonaniami, przede wszystkim z przekonaniami o wartościach, chociaż zapatrywania – przekonania intelektualne również wchodzi tu w rachubę. Drobne wiadomości – niechby nawet całkiem pewne naukowo – i przekonania w sprawach tuzinkowych, np. z zakresu higieny osobistej, umieścimy bowiem co najwyżej na jego marginesie. Spoista wiedza ogólna w połączeniu z ogólnymi przekonaniami o wartościach daje ich posiadaczowi szanse wnioskowania redukcyjnego, a więc uzdatnia dzięki temu do przystosowania się do wielu i rozmaitych okoliczności zmiennych. Umożliwia patrzenie na bieg życia z lotu ptaka i odpowiednie działania.

Nie wystarczy jednak określony zasób przekonań ogólnych o życiu i o świecie, aby mieć wiedzę scaloną w postaci osobistego poglądu na świat. Nie mniej niezbędne jest minimum niesprzeczności między różnego pokroju przekonaniami ogólnymi o tym, co istnieje, co jest możliwe i co być powinno. Światopogląd w całej pełni spoisty i całkowicie pozbawiony sprzeczności jest strukturą nieosiągalną, jednakże trudno przypisać komuś posiadanie poglądu na świat, jeśli w masie osobistych uogólnień wszystko z wszystkim się kłóci.

Nasuwa się tu potrzeba ustalenia granic między wiedzą osobistą, jako tako scaloną oraz uwieńczoną osobistym poglądem na świat, a wiedzą niewyraźnie uporządkowaną, jeszcze bez takiego poglądu. Innymi słowy, chodzi o kryteria obecności, względnie stwierdzania obecności osobistego poglądu na świat u danej osoby. Rzec jest trudna. Sądzę, że przystąpić trzeba do niej praktycznie. Przede wszystkim w odniesieniu do kryterium niesprzeczności wystarczającej czy sprzeczności znośnych. Z indywidualnego punktu widzenia mogłoby nim być zadowolenie z jakości własnego poglądu na rzeczywistość. Ze społecznego stanowiska za kryterium takie przyjąć można by zdolność do jako tako harmonijnego współżycia z ludźmi, pomimo pewnych sprzeczności w zachowaniu się, stwierdzanych obiektywnie np. przez psychiatrę. Jak widać, problem niesprzeczności w światopoglądzie styka się tu z problematyką higieny psychicznej i społecznej.

To nie wszystko. Trudno przyznać komuś posiadanie wiedzy jako tako scalonej i osobistego poglądu na świat, jeśli wprawdzie posiada sporo wiadomości ogólnych o świecie i życiu, ale jeśli są to po prostu i tylko wiadomości, dodajmy: wyuczone pamięciowo i zupełnie pozbawione ładunku emocjonalnego, którego obecności słusznie domyślamy się we wszelkich przekonaniach, zwłaszcza w tzw. przekonaniach głębokich. Inaczej – jeśli to, co ktoś wie, ani go nie ziębi, ani nie grzeje i jeśli wobec tego nie wywiera żadnego wpływu na jego postępowanie. W pewnych wypadkach można by powiedzieć: oto suchy erudyta. No cóż – orzekniemy – wiele wie, ale o niczym nie jest przekonany.

Z tym wiąże się sprawa częściowo inna. Zdarzyć się może, że ktoś nie jest po prostu suchym erudyta, w sensie posiadania wielkiej masy rozmaitych wiadomości, a przecież niekoniecznie ma sprecyzowany pogląd na świat. Może być tak, że po prostu nauczył się wiele i że to, czego się nauczył, stanowi w dużej mierze spoistą całość, a nie zbiór wiadomości. Znaczy to, że mówiąc o posiadaniu światopoglądu domyślamy się obecności nie tylko samej przez się spoistości wiedzy osobistej, ale ponadto zaznaczonych wcześniej przekonań o wartościach. Przekonań, które mobilizują nie-sprzecznie do najrozmaitszych działań. Znaczy to, że spoistość logiczna wiedzy osobistej, nabyta przeważnie dzięki odpowiedniemu nauczaniu szkolnemu, stanowi tylko jedną z podstaw osobistego poglądu na świat.

Przy spełnieniu wymienionych warunków światopogląd osobisty, zbliżony do filozoficznego, przypiszemy osobie, która na gruncie osobistych zmartwień intelektualnych o odwieczne sprawy ontologiczne, epistemologiczne i etyczne, w szerszym ujęciu: aksjologiczne, ma ponadto jako tako spoisty zbiór przekonań co do istoty bytu, co do naczelnych powinności człowieka oraz co do natury i kryteriów prawdy. Powiemy, że osoba ta ma nie tylko i po prostu pewien pogląd na świat i życie, ale także pewną filozofię; niechby całkiem osobistą i odbiegającą od filozofii o treści znanej z dziejów kultury filozoficznej.

Tym samym przyjąć trzeba, że ludzie mając swe osobiste poglądy na świat niekoniecznie umieją zająć stanowisko wobec problemów zdecydowanie filozoficznych. Sprecyzowany pogląd na świat i życie ma wielu ludzi umysłowo dojrzałych, natomiast – ponadto – pogląd filozoficzny mają tylko bardzo nieliczni intelektualiści. Nie znaczy to zresztą bynajmniej, że są oni umysłowo bardziej dojrzałymi od znacznie od nich szerszego kręgu ludzi z „kręgosłupem” światopoglądowym czy też że znajdują się na wyższym od nich poziomie kultury intelektualnej.

## **Rola światopoglądu w życiu i w dalszym rozwoju wiedzy osobistej**

Sprecyzowany, systematyczny, spójny i przekonaniowo silny czy – przeciwnie – niejasny, bez nadrzędnych uogólnień, źle uporządkowany i o słabym gatunku uczuciowym pogląd na świat, umownie odróżniony od zbioru wiadomości, działa, funkcjonuje. Spełnia jakąś rolę w życiu danej osoby, a więc również w jej psychice jako osobowości. W szczególności spełnia swoistą rolę w dalszym rozwoju wiedzy osobistej. Rozumie się, że rola ta jest wysoce zmienna i zróżnicowana stosownie do stopnia spójności i kształtu stanu aktualnego wiedzy osobistej oraz do nadbudów w postaci przekonań o ogólnych sprawach wątpliwych czy otwartych i o naczelnych wartościach. Znaczy to, że w życiu i w osobowości jednych ludzi światopogląd gra rolę przemożną, w życiu innych – niepozorną. Czy rolę tę można opisać twierdzeniami ogólnymi, tj. w zasadzie ważnymi w odniesieniu do jednych, jak też do drugich? Bez wątpienia tak, ale przy założeniu, że znajdujemy się powyżej umownej granicy, tj. że z sensem wskazujemy na czyjś światopogląd, jako na relatywnie spójną wiedzę osobistą, a nie chaotyczny zbiór posiadanych wiadomości. W drugim wypadku brak istotnie ważnej podstawy do wyrobienia osobistego, niekoniecznie zresztą filozoficznego, poglądu na świat.

Nasamprzód formalnie można i trzeba utrzymywać, że rola danego światopoglądu osobistego jest tym większa, im bardziej jest on ogólny, syntetyczny, logicznie poprawny i przekonaniowo ugruntowany. Twierdzenie to odpowiada możliwości i realności różnic indywidualnych w granicach wcześniej wymienionych.

W opisie realiów uwzględnić trzeba najpierw fakt, że każdy światopogląd jest przede wszystkim pewnym rodzajem mniej lub bardziej scalonej wiedzy osobistej, że jest przy tym wiedzą syntetyczną i ogólną. Znaczy to, że akcentujemy w nim wiedzę, a nie uczucia uporządkowane. Otóż, jako wiedza pogląd na świat funkcjonuje w odniesieniu do coraz to nowszych nabytków, jako czynnik istotny ich przyswajania sobie i włączania do już posiadanej wiedzy osobistej. Rzec można by, że funkcjonuje podobnie jak biblioteka racjonalnie prowadzona w odniesieniu do nowych nabytków możliwych i faktycznie dokonywanych. Znaczy to w ujęciu praktycznym, że stosownie do jakości swego poglądu na świat dana osoba ocenia informacje docierające do niej od rozmówców, od nauczycieli i wykładowców; z książek, z prasy, z publicystyki, z radia, z telewizji i z jakichś innych źródeł – jako prawdziwe lub błędne, jako mniej lub bardziej ważne, praw-

dopodobne, możliwe, sensowne, interesujące, zasługujące na pogłębienie i dalsze poszukiwanie bądź przeciwnie – jako całkiem nieważne, nieprawdopodobne, niemożliwe, bezsensowne, nieinteresujące, niezasługujące na uwagę, wysiłek i stratę czasu. Znaczy to, że stosownie do swej jakości światopogląd osobisty funkcjonuje przede wszystkim jako „odsiewnik” i klasyfikator nowych informacji. Im lepiej jest uporządkowany, tym bardziej przyczynia się do dalszego porządkowania wiedzy osobistej, i to już na poziomie wiadomości banalnych. Osoba bez wyraźnego poglądu na świat jest bezradna wobec naporu podniet umysłowych. Osoba ze światopoglądem spójnym i mocnym patrzy z lotu ptaka na ogrom stale atakujących ją nowych informacji. Jest to funkcja ważna, tym donioślejsza, z im większą liczbą informacji „zaczepnych” mamy do czynienia, jak to jest faktycznie w życiu opartym na nowoczesnej nauce i technice.

Po stronie ogólnych przekonań o wartościach sposób funkcjonowania światopoglądu osobistego jest częściowo taki sam jak w zakresie intelektualnym, ma też jednak cechy specyficzne. Podobieństwa dotyczą wpływu wszelkich reguł ogólnych na szczegóły, przy czym znajomość ogólnych praw przyrody, względnie odnośne przekonania można tu traktować jako pewien rodzaj reguł ogólnych. I tak kto ma sprecyzowane ogólne przekonania moralne, ten bez trudności uzasadnia własne postępowanie, w szczególności własne decyzje w stosunkach z ludźmi i poniekąd logiczne wnioski: „Tak postępuję, bo zgadza się to z innymi przekonaniem. Co więcej, moje przekonania moralne są obiektywnie słuszne”. Co prawda, tego rodzaju wpływy czy użyteczność ogólnych przekonań moralnych polega też czasem na pozornie słusznym uzasadnieniu postępów błędnych, czyli na ich wybielaniu. Stanowi to swoiste kłamstwo i wskazuje na obłudę czy przewrotność, tj. na tylko formalne uwarunkowanie danych zasad moralnych ze względów taktycznych lub oportunistycznych.

Ogólne przekonania o wartościach, zwłaszcza przekonania moralne, służą ponadto do oceny cudzego postępowania, i to również na podstawie rozumowania dedukcyjnego. Na ogół bywa tak, że im lepiej sprecyzowane i im bardziej zdecydowane, tym pewniejszą stanowią podstawę zarówno do wydawania ocen, jak i do logicznego ich uzasadniania.

Póki dana osoba nie skostnieje w swym rozwoju, póty już obecne przekonania o wartościach, w szczególności przekonania moralne bądź ich zadatki, stopniowo się przekształcają. Stosownie do treści już nabytych doświadczeń życiowych i do bieżących warunków dalszego ich nabywania – stają się coraz pewniejsze, lepiej ugruntowane oraz powiązane

z ogólną wiedzą o świecie. Osoby skłonne do filozofowania w węższym znaczeniu tego słowa – o czym mowa będzie później – na gruncie swych przekonań aksjologicznych, w szczególności moralnych, stawiają sobie ogólne zagadnienia etyczne. A zatem już obecnie przekonania, względnie zarysy tychże stają się jednym z czynników powstawania osobistego, filozoficznego poglądu na świat.



Rozdział drugi

## **Nauka i wiedza**





## **Światopogląd osobisty a nauka i nauczanie**

W aktualnych warunkach cywilizacyjnych światopoglądy osobiste kształtują się pod przemożnym wpływem nauczania szkolnego. Pomimo różnic w programach nauczania ogólnokształcącego w poszczególnych krajach zręby programów szkolnych są wszędzie w przybliżeniu jednakowe; oczywiście, poza obrębem takich przedmiotów, jak historia i język ojczysty. W każdym razie niewiele różnią się od siebie w zakresie matematyki i nauk przyrodniczych. A jest tak, ponieważ programy nauczania muszą być – przynajmniej w tych naukach – przystosowane do ustalonego w danym czasie stanu, poniekąd nawet do bieżącego postępu wiedzy naukowej. W przeciwnym wypadku nauczanie chybiłoby celu, zwłaszcza ze względu na efektywność kształcenia zawodowego, z konieczności przystosowanego do postępów ogólnie pojętej wiedzy technicznej, pośrednio do postępów wiedzy w zakresie tzw. nauk podstawowych.

Jak przedstawiono w rozdziale poprzednim, proces integracji wiedzy osobistej, a w ślad za tym proces powstawania osobistego poglądu na świat, dokonuje się pod wpływem wielu różnych czynników, a nie tylko pod wpływem nauczania szkolnego. Zgodnie z tym słusznie mówią etnolodzy o światopoglądach ludzi z kultur prymitywnych. Jednakże ich odsetek wszędzie szybko maleje. Nawet bowiem przeważna część dorosłych analfabetów, np. w Indiach czy w krajach Ameryki Łacińskiej, pośrednio podlega skutkom obecności szkolnictwa, np. przez oddziaływanie dzieci już korzystających z nauczania szkolnego.

Z tego wynika, że praktycznie biorąc osobiste poglądy na świat olbrzymiej większości mieszkańców globu ziemskiego w coraz większym stopniu stanowią odzwierciedlenie wiedzy naukowej; oczywiście, zawsze

przeplecione z nadbudową, powstającą pod wpływem doświadczeń osobistych, trybu życia, poziomu inteligencji ogólnej, zainteresowań, dobrobytu lub nędzy itp. Znaczy to, że w aktualnych warunkach cywilizacyjnych „mechanizm” powstawania osobistego poglądu na świat poznawać trzeba przede wszystkim przez „pryzmat” wiedzy naukowej. Z kolei wiedza ta może być zrozumiała głównie na tle faktów dotyczących nowoczesnej nauki, w szczególności pracy naukowo-badawczej. Właśnie to stanowi przedmiot niniejszego rozdziału.

Treść i zakres pojęć „nauka” i „wiedza” częściowo się zazębiają. Znaczy to, że nie są tożsame. Ogólnie rzecz biorąc, mówiąc o nauce (nie w znaczeniu dydaktycznym) domyślamy się społeczno-historycznego rozwoju działalności ogółu uczonych, prowadzącego do zdobywania wiedzy naukowej. Tę drugą traktujemy więc jako rezultat owej działalności. Do czynienia mamy więc ze stosunkiem czynności do wytworu. Lepiej jednak powiedzieć, że w nierozzerwalnym splocie nauki i wiedzy raz akcentujemy tę pierwszą, innym razem tę drugą. Robiąc to zauważamy na pierwszym planie fakty i problemy różne. Patrząc na naukę – przede wszystkim problemy ergonomiczne, tj. dotyczące pracy naukowej, w szczególności naukowo-badawczej, oraz problemy organizacyjne w świetle określonych warunków społecznych i historycznych. Natomiast obserwując wiedzę naukową dostrzegamy nasamprzód problemy logiczne, epistemologiczne i psychologiczne. Te ostatnie widoczne są zwłaszcza wówczas, gdy zmuszeni jesteśmy do rozróżniania wiedzy naukowej jako swoistego, obiektywnego „stanu rzeczy” oraz wiedzy osobistej, jako czegoś, co „przynależy” do danej osoby.

## **Cele poznania naukowego**

W każdym okresie dziejów ludzie uprawiający naukę chcieli poznać prawdę; zresztą wszystko jedno, z jakiego powodu: dla samej prawdy („nauka dla nauki”), dla celów praktycznych („nauka to potęga”), z obu tych motywów łącznie czy też jeszcze z jakichś innych względów, np. dla rozrywki. Co prawda, przy tym samym celu ogólnym (tj. poznawanie prawdy) poglądy uczonych różnego czasu na istotę prawdy i na właściwą drogę dochodzenia do niej bywały różne, a nawet sprzeczne. W ciągu wielu wieków ogół uczonych przekonany był o tym, przynajmniej postępował jak gdyby w myśl tego przekonania, że wiedzę prawdziwą o świecie można wyrozumować lub wydyskutować. Jeszcze nie tak dawno, bo z początkiem wieku XIX, niektórzy filozofowie, np. Schelling, „wyrozu-

mowywali” szczegółowe opisy zjawisk przyrody. Niewiele wieków temu znikomą mniejszość stanowili uczeni, którzy na podstawie doświadczenia, niekiedy nawet doświadczenia eksperymentalnego, usiłowali poznać świat, w szczególności rośliny, zwierzęta, gwiazdy, zjawiska atmosferyczne, budowę ciała ludzkiego itp.

Warto przy tym zaznaczyć, że pod wpływem odwiecznego animizmu, tj. skłonności do uduchowiania zjawisk i rzeczy, uczeni z uniwersytetów średniowiecznych na ogół skłaniali się ku przekonaniom następującym:

1. poznawać świat znaczy to rozumem docierać do „istoty rzeczy” w danym zjawisku;

2. „istotę rzeczy” stanowi „siła ukryta” (*vis occulta*) w niej tkwiąca.

Zgodnie z tym liczne pokolenia uczonych poszukiwały – w danej dziedzinie – „istoty rzeczy” w postaci „sił ukrytych”. W wiekach średnich przekonania te stanowiły część bardzo znamiennej wiedzy scholastycznej, pielęgnowanej na uniwersytetach ówczesnych lub w klasztorach. Taki sposób uprawiania nauki nie przyniósł rezultatów użytecznych w społecznej walce o byt, natomiast spowodował wiele jałowych sporów.

Bardziej użyteczne – dla postępu naukowego – okazały się zapatrywania filozofów-empirystów, poczynawszy od pomysłów i haseł Francisca Bacona, systematycznie rozwiniętych przez „twórcę” nowożytnego empiryzmu Johna Locke’a. Wprawdzie przedmiotem ich rozważań bywało przede wszystkim abstrakcyjnie pojmowane poznawanie (obiektywnej prawdy), a tylko wtórnie działanie nastawione na pomnażanie wiedzy naukowej. Sens i genezę tego rodzaju rozważań omówimy szczegółowo w rozdziale jedenastym, zatytułowanym *Ogólna filozofia poznania – epistemologia*.

## **Ideały nauki nowożytnej**

Pod wpływem rewolucji kopernikańskiej w poglądach astronomicznych, a także pod wpływem „świeżego wiatru” z odkryć geograficznych wiara w wartość wiedzy scholastycznej pod koniec XV wieku i w wieku XVI zaczęła szybko podupadać. Jej miejsce zajmować zaczął i stopniowo utrwalał się nowy pogląd na sens i metodę nauki, tylko częściowo oparty na epistemologicznych przekonaniach myślicieli-empirystów. Twierdzenia stanowiące jego treść istotną to: Poznawanie świata oprzeć trzeba na doświadczeniu i na metodzie wnioskowania indukcyjnego, tj. ze spostrzeżeń doświadczalnych (Francis Bacon). Zerwać trzeba z ideami „istoty rzeczy” i „sił ukrytych”, opisywać zaś to, co widzimy, i tak, jak widzimy. Rze-

czy absolutnie niewidzialne nie istnieją. Oczywiście, trudności techniczne mogą powodować czasową lub względną niewidzialność rzeczy istniejących. Dotyczy to na przykład rzeczy niezmiernie małych lub ogromnie odległych. Opis naukowy rzeczy (zjawisk) widzianych, słyszanych lub innymi zmysłami spostrzeganych winniśmy ujmować ilościowo, tj. podawać liczby dotyczące częstotliwości, wielkości, kształtu, wzajemnych stosunków przestrzennych i czasu. Krótko: opis ilościowy stosunków przestrzennych i czasowych powinien stanowić właściwą treść naukowego poznawania zjawisk i rzeczy. Opis ten powinien opierać się, tam gdzie to jest możliwe, na eksperymencie.

Oto wyznanie wiary ludzi nauki, którzy powołali do życia nowożytną fizykę (Galileusz, Huygens, Toricelli, Guericke, Newton), chemię (Boyle, Mariotte, Lavoisier), medycynę, względnie biologię (Harvey, Leeuwenhoek, Spallanzani, Malpighi) i nauki pokrewne bądź pochodne. Warto zauważyć, że były to same tylko nauki przyrodnicze, nie było wśród nich nauk humanistycznych. W każdym razie rzecznicy tychże, np. historycy, nie wywierali wyraźnego wpływu na kształtowanie się określonego wcześniej ideału poznania naukowego. A niektórych nauk, w zasadzie lub wyłącznie uważanych obecnie za humanistyczne, np. psychologii czy socjologii, wówczas jeszcze nie było wcale bądź też stanowiły części filozofii.

Pod wpływem wielkich odkryć fizycznych, oczywiście również pod wpływem nowych warunków społeczno-ekonomicznych w tworzącym się w XVII wieku ustroju kapitalistycznym, dokonano wielu praktycznie wartościowych wynalazków technicznych. Dzięki temu doszło do tzw. pierwszej rewolucji techniczno-przemysłowej w XVIII wieku (najpierw w Anglii, później na kontynencie europejskim), a pod jej wpływem zaczęły się szybko przeobrażać formy i poziom życia mas ludzkich w Europie Zachodniej.

W tym stanie rzeczy nic bardziej zrozumiałego, jak powstanie i utrwalanie się w świadomości wykształconych Europejczyków, przede wszystkim naukowców-przyrodników, szczególnego ideału nauki, który niejako odzwierciedlał i podsumowywał w sobie świetne osiągnięcia fizyki i – początkowo prawie niezależnie od nich – zdobycze techniki. Ze względu na ścisły związek z fizyką mówić można by tu o fizykalnym ideale nauki.

## **Fizykalny wzorzec nauki**

Jego przesłanki już znamy. Wypracowali je ludzie Odrodzenia i czasu wielkich odkryć geograficznych. Treść najważniejszą ująć można zwięźle

następująco: „Droga prawdziwej nauki powinna być taka sama jak droga fizyki. A drogą fizyki jest opis matematyczny zjawisk, oparty na badaniach eksperymentalnych”.

Oczywiście, nie ma w niej „istoty rzeczy” ani „sił ukrytych”. Fizyk (również chemik i biolog) mówi o energiach, np. o energii kinetycznej i potencjalnej. Ale mowa o energiach jest liczbowym opisem przemienności widocznych zjawisk, np. przemienności ciepła w ruch. W opisie tym fizyk nie domyśla się czegoś w rodzaju wysiłku mięśniowego i wrażeń kinestetycznych, a więc czegoś „wewnętrznego”, co można by uważać za „istotę” danej energii. Nie domyśla się w nim również „istoty” jako rzekomej „sprężyny” zjawisk, czynnika wprawdzie działającego, lecz niepoznawalnego; nieuchwytnego w żadnych pomiarach, a więc w liczbach. A właśnie istnienie takiej to sprężyny w zjawiskach życiowych zakładali tzw. witaliści, tj. zwolennicy poglądu, w myśl którego różnica istotna między ciałami martwymi a roślinami i zwierzętami polega na braku, względnie na obecności specyficznej, acz ukrytej, siły wewnętrznej, wywołującej wszelkie procesy życiowe i kierującej nimi. Siła ta ujawnia się wprawdzie w czynnościach życiowych, lecz sama jest dla wzroku bądź dla innych zmysłów niedostępna. Pogląd ten nawiązywał do filozofii Arystotelesa i był zgodny ze sposobem myślenia uczonych scholastycznych. Był natomiast sprzeczny ze sposobem myślenia i z ogólnymi założeniami poznawczymi twórców nauki nowożytnej.

W ideale nauki, jaki stopniowo ukształtował się pod wpływem odkryć fizyki i wynalazków technicznych, od samego początku mieścił się postulat ścisłości pojęć i dokładności pomiarów. Niedostatki na tym polu stanowiły w dużej mierze przyczyny niepowodzeń nader wątpliw fizyki scholastycznej, w następstwie dalszym – niepowodzeń techniki, stopniowo coraz bardziej opartej na pojęciach i odkryciach fizyki. Jeśli bowiem odkrycia te i wynalazki techniczne mają ostatecznie służyć praktyce, przede wszystkim na odcinku walki o byt, odpowiednie narzędzia, sprzęty, maszyny czy urządzenia muszą być dokładnie przystosowane do stosunków przestrzennych; do rzeczy, zjawisk, urządzeń itp. Wynika stąd pierwszoplanowa ważność różnego pokroju instrumentów pomiarowych w fizyce i w naukach pochodnych.

A zatem idee: eksperymentu, energii jako równoważników poszczególnych etapów przemian zjawisk, ścisłość pojęć i dokładność pomiarów należą do podstaw nowożytnej fizyki. Dodajmy: do podstaw, których wartość niezmiennie potwierdzała się w praktyce.

W fizykalnym ideale nauki mieściło się przekonanie co do szczególnej i całkiem wyjątkowej roli wzroku w naukowym poznawaniu przyrody:

„Tyle poznania prawdziwego i sprawdzalnego, czyli obiektywnego, ile możliwości wzrokowego dotarcia do zjawisk badanych”. Tak mniej więcej można by w uproszczeniu przedstawić ideał ten, a zarazem stanowisko epistemologiczne. Krótko: fizyczny ideał nauki był ideałem „wzrokopochodnym”.

Fizycy, astronomowie, chemicy, biolodzy, ludzie medycyny opisują faktycznie to, co jest naoczne. Przedstawiają związki zależności, ruchu, stosunki geometryczne między składnikami lub kolejnymi fazami tego, co widać; tego, co „okiem i szkiełkiem mędrca” można zaobserwować i co dzięki temu można stwierdzać jako obiektywny stan w naocznej rzeczywistości. Przy tym spostrzeżenia dotykowe miewają zwykle wartość kontroli dodatkowej. Ważne skądinąd spostrzeżenia słuchowe, z których składają się np. mowa, śpiew, muzyka, hałasy, „uprzedmiotowia się” w sposób wzorkowy, np. w formie pisanych nut, wykresów, fal dźwiękowych.

W ujęciu ogólnym ideały nauki nowożytnej były początkowo i w zasadzie empiryczne. Tkwiła w nich przemożna wiara w wartość poznania zmysłowego, w szczególności wzrokowego. Gdy jednak z czasem zaczęto uogólniać odkrycia i opracowywać teorie naukowe, zwłaszcza teorie mechaniki, stopniowo korygowano dość prymitywny empiryzm Bacona czy myślicieli jemu podobnych i uzupełniano go wyrazami uznania dla abstrakcji rozumowych; co prawda, dla abstrakcji wyłaniających się z naukowego doświadczenia zmysłowego. W parze z tym procesem szedł rozwój matematyki, jako instrumentu poznania naukowego, i to zarówno na odcinku doświadczalnych pomiarów, jak i abstrakcyjno-teoretycznego opisu zjawisk. Można by rzec, że stopniowo empirystyczne ideały nauki zaczęły się w pewnej mierze równoważyć z racjonalistycznymi. Wciąż jednak i po dziś dzień w codziennym trudzie badawczym tysięcy ludzi nauki przeważa ideał empiryczny Bacona.

Co więcej, ideały poznania naukowego, jakie stopniowo wypracowywali ludzie późnego Odrodzenia, miały zarazem charakter zdecydowanie mechaniczny. Złożyło się na to kilka przyczyn:

1. obiektywne zapotrzebowanie na wiedzę naukową z dziedziny zjawisk mechanicznych (usprawnienia środków transportu, konstrukcja maszyn produkcji manufakturowej, ulepszanie broni palnej itp.);
2. tradycje wiedzy antycznej, np. w dziedzinie fizyki, nawrót do starożytnego atomizmu (Leucypa, Demokryta, Epikura), jako praktycznie biorąc jedynej alternatywy racjonalnej dla arystotelizmu w próbach powiązania nauki nowożytnej z założeniami filozoficznymi; platonizm do tego celu zupełnie się nie nadawał, jeśli zwłaszcza wziąć pod uwagę antyteolo-



giczne, a więc pośrednio antyidealistyczne, nastawienie twórców nowożytnej nauki;

3. wreszcie również wpływ potężny autorytetu Galileusza, właściwego jej inicjatora, wszak Galileusz – to mechanika, to nowa, zwycięska fizyka, skuteczna w zastosowaniach technicznych; znaczyłoby to, że wszelkie zjawiska przyrody należy traktować mechanicznie, tj. jako układ wektorów i jako ruchy ciał w przestrzeni.

Gdy nowe ideały poznania naukowego się zakorzeniły, stanowiły odtąd wzorzec jedyny i – jak się zdawało – nieomylny naukowego poznania. Tryumfowały w wieku XVIII, w którym przyczyniły się pośrednio do zwycięstwa Wielkiej Rewolucji Francuskiej (encyklopedyści). W wieku następnym nieco przybladły, acz nadal pozostawały podstawą badań naukowych, w każdym razie przyrodniczych.

Gdy pod koniec XIX wieku rozgorzał spór metodologiczny na temat podstaw nauk humanistycznych, w szczególności historycznych, okazało się, że ideały nauki, powstałe w wieku XVII, a utrwalone w następnym, mają znaczenie ograniczone tylko do części badań doświadczalnych, w szerokim sensie tego słowa, obejmującym również historiografię. Ale w naukach niektórych, np. w psychologii, wciąż jeszcze „pokutują” ślady mechanicznego poglądu na świat.

## **Ideał matematyzacji poznania naukowego**

Na postulat ilościowego opisu zjawisk zwróciliśmy już uwagę w streszczeniu ideałów nauki nowożytnej. Jednakże rzecz wymaga analizy dokładniejszej z uwagi na nasilającą się w XX wieku tendencję do zmatematyzowania wszelkiego poznania naukowego; w szczególności do oparcia na matematyce (powiedzmy prościej: na liczeniu i mierzeniu) wszystkich nauk humanistycznych z historią włącznie. Na tym miejscu autor występuje nie z opisem faktów historycznych dotyczących nauki nowożytnej, lecz jako rzecznik stanowiska, które może być i bywa przedmiotem sporów. Innymi słowy – jako „sprawozdawca” części własnego poglądu na świat.

Nie sposób autorowi – jako psychologowi – wnikać w złożoną problematykę przedmiotu i metod roboczych matematyki. Jednakże jako użytkownikowi wiedzy matematycznej wypada mu i trzeba, zwłaszcza na tym miejscu, wyrazić pogląd na sens istotny poznania matematycznego. Pogląd taki jest niezbędny do zajęcia stanowiska w sporze na temat roli



„liczenia i mierzenia” w naukach humanistycznych, głównie w psychologii i w historii, z którymi autor jest „fachowo” związany.

Jak wiadomo, matematycy posługują się liczbami i przeprowadzają na nich rozmaite operacje. Na podstawie tego banalnego faktu można by przeto mówić zamiast „matematyk” – „liczyciel”, a zamiast „matematyka” – „nauka o liczbach” (powiedzmy żartobliwie: „liczbologia”). Co więcej, byłoby to słuszne etymologicznie, gdyż słowo „matematyka” pochodzące ze starogreckiego *mathema* oznaczało pierwotnie wszelką naukę i umiejętność na niej opartą, a więc znacznie więcej niż „naukę i umiejętność liczenia”.

Co prawda, ważniejsza wydaje się tu podstawowa treść owej nauki i umiejętność w ujęciu historycznym. Otóż z tej strony rozpatrywane początki rozwoju matematyki i jej stan na etapie klasycznym nauki greckiej, z której zaczerpnięto nazwę, z liczbami i z liczeniem związane były tylko pośrednio. Natomiast frontalnie matematyka oznaczała długo przede wszystkim, a nawet po prostu geometrię, tj. naukę o mierzeniu ziemi. W ujęciu bardziej ogólnym – naukę ogólną o stosunkach i pomiarach przestrzennych. Oczywiście, liczenie było do tego niezbędne, niemniej na plan pierwszy wysuwały się stosunki przestrzenne.

Matematyka stawiała się stopniowo i jest obecnie nauką wysoce teoretyczną, jednakże liczenie celem poznawania stosunków przestrzennych potrzebne było przede wszystkim ze względów praktycznych, w ich zaś obrębie celem mierzenia działek gruntów uprawnych w krajach, w których gruntów tych bywało wciąż za mało w stosunku do masy ludności do wyżywienia. Dotyczy to przede wszystkim Egiptu faraonów, a także cywilizacji miejskich starożytnej Mezopotamii. Bezpośrednio liczenie i mierzenie niezbędne było celem ustalania wciąż na nowo wielkości działek i odpowiednich podatków po każdym wylewie Nilu, Eufratu i Tygrysu oraz po każdym nadwerężeniu kanałów irygacyjnych. Permanentna potrzeba zmuszała ludzi do odpowiedniego wysilania inteligencji. A wobec faktu, że wylewy rzek dających życie – w każdym razie wylewy Nilu – są okresowe, powtarzające się w okresie rocznym, ta sama inteligencja ludzi władnych bądź sług uprzywilejowanych (kapłanów, uczonych urzędników) musiała służyć do bacznych obserwacji ruchów okresowych słońca, księżyca i gwiazd. W ten sposób powstawały kalendarze i elementy astronomii praktycznej. Stopniowo wyłaniały się elementy wiedzy matematycznej przystosowane do specyficznych (dla delt Nilu, Eufratu, Tygrysu, poniekąd również Indusu) społeczno-gospodarczych warunków życia.

Warunki te na ogół nie skłaniały do abstrakcyjnych rozważań nad liczeniem i mierzeniem; nad liczbami i sposobami pomiarów. Do tego rodzaju wysiłków umysłowych niezbędne było niechby częściowe wyzwolenie ludzi zdolnych i skłonnych do myślenia abstrakcyjnego od powszedniej walki o byt. Co więcej, potrzebne było zamięłowanie i atmosfera do sporów intelektualnych. Jedno i drugie zaistniało w starożytnej Helladzie, złożonej z licznych miast-państw. Ustrój niewolniczy stanowił w niej trwałą podstawę do powstawania i utrzymania się warstw obywateli niezmuszonych do pracy produkcyjnej, a więc mających trwale dużo wolnego czasu do rozporządzenia. Położenie geograficzne, m.in. rozrzucenie wielu miast-państw na wyspach Morza Egejskiego lub blisko wybrzeży, zarówno ułatwiało handel, jak i skłaniało, a nawet zmuszało do niego ludzi przedsiębiorczych. Wieloletnią podróż powrotną Odyseusza spod Troi można by tu potraktować jako opowieść symboliczną, dobrze odzwierciedlającą faktyczny stan rzeczy.

W wielu miastach-państwach greckich powstały i utrwaliły się formy życia publicznego, utożsamiane później z demokracją, a polegające głównie na publicznym rozpatrywaniu spraw ważnych dla ogółu obywateli. Ten fakt wraz z masą docierających do nich – dzięki kupcom i żeglarzom – nowinek o życiu ludzi w miastach innych, zaprzyjaźnionych czy wrogich ułatwiał kształtowanie się swoistego klimatu do rozważań i sporów intelektualnych. Powstała i utrzymała się w ciągu kilku wieków potrzeba społeczna ludzi umysłowo giętkich i wygimnastykowanych; zwano ich sofistami. Dziś powiedzielibyśmy: ludzi inteligentnie spierających się, wiele wiedzących, umiejących walczyć za pomocą argumentów logicznych lub pozornie takich. Ludzie ci niezależnie od funkcji innych, np. w charakterze adwokatów, nauczycieli domowych, mówców lub wykładowców, cieszyli swych współobywateli zdolnością do swoistego pokroju przedstawień, polegających na pełnej błyskotliwości dyskusjach i sporach intelektualnych.

W takich warunkach mogła się pojawić i faktycznie pojawiła się raczej nieobecna lub nader wątpliwa w Egipcie, w Mezopotamii czy w dolinie Indusu potrzeba „nadbudowy teoretycznej” nad całkiem praktyczną sztuką liczenia i mierzenia, o której wspomniano wcześniej. Sprzyjała ona powstaniu i rozwojowi matematyki jako nauki, a zarazem zabawy intelektualnej, prawie całkiem niezależnej od zadań, jakie do wykonania mieli mierniczy gruntów i kopalni, obserwujący ruch gwiazd i zakładający kalendarze.

Jednakże pozostał – wprawdzie odległy – związek z obowiązkami mierniczych i kapłanów-astronomów. W każdym razie dyskusje, rozważania,

studia i spory matematyków greckich skupiały się głównie na założeniach teoretycznych, pojęciach i problemach geometrii. Jak wiadomo, najstarszy matematyk Hellady, a nawet całej cywilizacji grecko-rzymskiej, Euklides był i uchodził przede wszystkim za twórcę czy „kodyfikatora” założeń geometrii, tj. „nauki o mierzeniu ziemi”. Wprawdzie zajmował się teoretycznie również liczbami i liczeniem, jednakże robił to głównie ze względu na założenia i „prawa” stosunków geometrycznych. Wiadomo zresztą, że ustalenie tychże bez liczb i liczenia byłoby niemożliwe. Uprzytomnijmy sobie tylko dla przykładu praktyczne zastosowanie znaków twierdzenia Pitagorasa:  $a^2 + b^2 = c^2$ .

Otóż właśnie akcent historyczny na geometrii (a nie na arytmetyce) każe zastanowić się przede wszystkim nad istotnym sensem mierzenia, jako działania leżącego u podstaw geometrii. W ślad za tym dopiero – nad istotnym sensem liczenia. Inaczej, lecz to samo: nad istotnym sensem poznawania wielkości i stosunków przestrzennych, a na tym tle nad istotnym sensem liczenia i liczb.

Wyjdźmy od pytań, kiedy i w jakich okolicznościach czy przy spełnianiu jakich założeń mierzenie (czegokolwiek) jest możliwe i wykonalne? Kiedy nie byłoby możliwe, a nawet nie miałyby sensu? Z takim stanem rzeczy mielibyśmy do czynienia, gdyby przedmiot pomiarów był zupełnie niezróżnicowany, np. całkiem bezchmurne niebo lub zachmurzenie zupełne i ciągłe. Zbliżone do tego – jako przedmiot pomiarów – jest niebo o zachmurzeniu niewyraźnym, o konturach płynnych, przy czym nawet zabawowe liczenie chmur jest mało sensowne. Przy tym jednak – w odniesieniu do jakichkolwiek przykładów – przedmiotem ewentualnych pomiarów są w zasadzie stosunki przestrzenne wymierne. Rozumie się, że z takimi stosunkami do czynienia mamy jedynie w odniesieniu do „rzeczy” zróżnicowanych, których części składowe nadają się do utożsamienia. A właśnie o takie „rzeczy” chodzi, ilekroć pojawia się potrzeba liczenia. Przykładowo na chybił trafił: wzrost danej osoby, grubość danej książki, szerokość przeszkody do przeskoczenia. W tych trzech i w jakichkolwiek przykładach innych „rzeczy” do zmierzenia są, względnie musiałyby być zróżnicowane w sensie ich niewątpliwego wyodrębnienia w otoczeniu.

Ale to nie wszystko. W tych i we wszelkich innych przypadkach przynajmniej niewyraźnie domyślamy się czynności porównywania przedmiotu pomiaru z innymi, np. danej osoby z osobami innymi, danej książki z książkami innymi, danej przeszkody z przeszkodami innymi. Nieporównawcze mierzenie nie miałyby sensu, jeśli w ogóle byłoby możliwe. Ponadto w mierzeniu, jako w porównywaniu wielkości czy stosunków przestrzen-

nych, również przynajmniej niewyraźnie – „intuicyjnie” – domyślamy się jakiegoś zwyczajnego czy przeciętnego stanu rzeczy. Na podstawie takiego domysłu wzrost danej osoby oceniamy jako wielki, daną książkę jako cienką, daną przeszkodę jako łatwą do pokonania. Na ogół przy tym w domysłach tych i niezliczonych innych tkwi, względnie tkwiłoby odniesienie do możliwości i potrzeb; ściślej – do przeciętnych możliwości. To właśnie należało do treści istotnej sławnego powiedzenia sofisty Protagorasa, że „człowiek jest miarą wszystkiego” (*anthropos metron panton*).

W ogromnej liczbie przypadków z życia codziennego tak właśnie opisane mierzenie, tj. porównywanie ze sobą „rzeczy” przestrzennie odrębnych, lecz w zasadzie podobnych do siebie i „widzianych” w świetle przeciętnych ludzkich możliwości i potrzeb, wystarcza na co dzień. Można by powiedzieć, że na tym polega geometria pospolita. Jednakże geometria ta nie wystarcza w społecznej walce o byt, opartej na pracy, wymagającej z reguły i coraz bardziej w miarę postępu cywilizacji posługiwania się rozmaitymi, praktycznie biorąc niezliczonymi rzeczami różnego kształtu i wymiaru. Na tym tle na każdym kroku potrzebne są pomiary, i to pomiary daleko dokładniejsze od intuicyjnych, oraz ściśle przystosowanie się do wyników pomiarów różnego pokroju; ściśle „pasowanie”, dopasowywanie, np. precyzyjnych części maszyn.

Tkwi w tym najpierw potrzeba mierników przestrzennych, w ślad za tym potrzeba właściwego posługiwania się nimi oraz liczenia. Póki chodzi o praktycznie mało ważną ocenę wysokości czyjegoś wzrostu, orzeczenia intuicyjne, takie jak: średni, niski, wysoki, wystarczają do porozumienia się. Natomiast gdy trzeba wybrać w sklepie konfekcyjnym właściwe ubranie, ocenić czyjaś przydatność do określonego sportu lub pracy zawodowej, niezbędny jest pomiar niechby tylko z dokładnością co do kilku centymetrów, a nierzadko z dokładnością znacznie większą. W tym celu potrzebny jest stały miernik, zastosowalny jednakowo przez wszystkich, którzy nim się posługują. W każdym wypadku chodzi o miernik umowny, niezależnie od tego, czy umowa oparta jest na wiedzy naukowej, czy na tradycji, np. metr i łokieć, centymetr i cal. Sens istotny miernika polega na liczeniu wielokrotności w zastosowaniu do przedmiotu pomiarów. Bez liczb i bez liczenia pomiary byłyby niemożliwe. Znaczy to, że nie byłoby geometrii bez arytmetyki. Jeszcze inaczej: ze względów praktycznych, tj. na dane działanie, na zadanie do wykonania czy na daną pracę, chodzi o wystarczająco dokładne poznanie – zwykle różnego pokroju – stosunków przestrzennych. Jednakże jednym z istotnych warunków osiągalności tego celu jest liczenie wielokrotności występowania danej miary umownej

bądź na stwierdzeniu występowania tylko częściowego, np. siedem centymetrów jako części całego metra. Z kolei istotnym warunkiem jest znajomość wiedzy, dotyczącej liczenia i liczb.

Mieści się w tym krytyka rzekomego napisu u wejścia do Akademii Platońskiej: „Kto się nie zna na geometrii, niechaj tu nie wchodzi” (*Ageometretos medeis eisito*). Rzecz w tym, że nie na samej geometrii opiera się matematyka, lecz również na arytmetyce i na wielu naukach pochodnych.

Co prawda, nie na nich wyłącznie. Póki u jej podstaw leżała potrzeba pomiaru przedmiotów względnie stałych i w stanie spoczynku, mierzenie (np. odległości) i liczenie (np. kroków) mogło w sam raz wystarczać jako metoda poznawcza wymiarów i stosunków rzeczy przestrzennych. W zasadzie wystarczyło to również do poznawania odległości, stosunków wzajemnych i ruchu jednostajnego ciał niebieskich. Mierzono kąty, liczono sekundy, minuty i stopnie. Gdyby nie wystarczyło, nie zaistniałaby astronomia ludów Wschodu starożytnego i Greków ani rewolucja kopernikańska.

Z czasem jednakże tradycyjna geometria i arytmetyka przestały wystarczać. Stało się tak, gdy Galileusz i jego następcy zaczęli badać i poznawać prawo ruchów jednostajnie przyspieszonych bądź opóźnionych i gdy w związku z tym zaczęła się wyłaniać koncepcja wielkości nieskończone małych. W ślad za tym – potrzeba ich mierzenia i liczenia w układach ciągłych. Założenia elementarnej geometrii i arytmetyki pozostawały oczywiście nadal ważne. Natomiast powstała potrzeba budowania – w różnych „kształtach” – tzw. matematyki wyższej. Potrzeba ta miała dość długo, bo prawie do końca XIX wieku charakter teoretyczny, o ile wzbudzała problemy interesujące głównie matematyków i fizyków. Z czasem jednak okazało się, że teorie i liczne nauki matematyczne wypracowane na jej podstawie stanowią zarówno znakomite, jak i nieodzowne narzędzia dokładnego poznawania praw procesów ciągłych w materii martwej i ożywionej, gołym okiem prawie lub wcale niedostrzegalnych, uchwytnych pośrednio jedynie za pomocą odpowiednich badań eksperymentalnych, statystycznych lub jednych i drugich łącznie.

Znaczy to, że podczas gdy matematyka „klasyczna” (geometria i arytmetyka) wyrosła z nader prozaicznych potrzeb praktycznych, przeważnie gospodarczych, i stanowiła uwieńczenie teoretyczne rozmaitych stwierdzeń empirycznych (w zakresie pomiarów i zliczeń), nowożytna matematyka „wyższa” nasamprzód umożliwiła prowadzenie wnikliwych badań nad różnymi mechanizmami przyrody, pośrednio zaś zaczęła stanowić twardy grunt dla nowoczesnej techniki „naukopochodnej” – tech-

niki fizycznej, chemicznej, biologicznej, ponieważ nawet psychologicznej i socjologicznej. Stara matematyka wieńczyła wielowiekowe dzieje poszukiwań empirycznych, nowa matematyka antycypowała, stwarzała podwalinę planowych badań nad niedostępnymi dla gołego oka współzależnościami między zjawiskami przyrody i między wytworami techniki, konstruowanymi dzięki poznawaniu tejże.

Stosownie do wzrostu wymagań w zakresie dokładności pomiarów i ścisłości opracowania tychże powstają w twórczym trudzie współczesnych matematyków – bacznie śledzących poczynania badawcze fizyków, chemików, biologów, lekarzy, ekonomistów, psychologów, socjologów, filologów itp. – wciąż nowe teorie matematyczne, niekiedy nazywane odrębnymi naukami, np. różne gałęzie typologii, tj. „nauki o miejscach” (oczywiście przestrzennych). Na pozór wydaje się, że tradycyjne teorie mierzenia (geometria) i liczenia (arytmetyka) ustępują całkiem nowym dziedzinom wiedzy matematycznej. W gruncie rzeczy stale powstają udoskonalenia odwiecznie znanych „sztuk” mierzenia i liczenia, przystosowania tychże do specyficznych problemów nauk nowoczesnych. W uproszczeniu można by rzec, że współcześni uczeni „zamawiają” u matematyków coraz subtelniejsze „instrumenty” mierzenia i liczenia jednostek zjawisk, stanowiących przedmiot ich badań, ale że niekiedy matematycy z własnej inicjatywy przewidują potrzebę konstruowania „instrumentów” subtelniejszych niż dotychczasowe, że opracowują je niejako na wyrost. Powierzają je do zastosowania uczonym, nastawionym bezpośrednio na poznawanie zawiłości w zjawiskach przyrody lub na konstruowanie zawiłości technicznych i technologicznych.

Wciąż jednakże sytuacja podstawowa pozostaje w zasadzie ta sama. Oto jej elementy: zróżnicowanie świata materialnego, tj. przedmiotów w przestrzeni i w czasie, podobieństwo wzajemne jednostek, np. ludzi, roślin, zwierząt, artykułów spożywczych, mebli, maszyn, urządzeń odrębnych, potrzeba przystosowywania się ludzi do odrębności rzeczy w przestrzeni i w czasie, w ślad za tym potrzeba mierzenia i liczenia; w zakresie mierzenia – potrzeba umownych mierników, w zakresie liczenia – potrzeba nowych wielkości liczbowych.

Ogólnie rzecz biorąc, tak rozumiany sens matematyki dotyczy świata materialnego, tj. „rzeczy” w przestrzeni i w czasie; na pierwszym planie „rzeczy” w szerokim sensie tego słowa fizycznych. Jak dalece i czy w ogóle w rachubę wchodzi plan dalszy – oto problem nie lada. W ujęciu konkretnym – czy, jeśli tak, to jak dalece w rachubę wchodzi matematyka w poznawaniu zjawisk humanistycznych, tak czy owak związanych z procesami



psychicznymi? Jak wiadomo, „liczenie i mierzenie”, a więc matematyka, występuje w naukach humanistycznych faktycznie. Jednakże na tym poprzestać nie można. Chodzi bowiem o to:

1. czy, a jeśli tak, to jak dalece jest niezbędna;
2. jak dalece ma sens, a więc o ile przyczynia się do postępu naukowej wiedzy w tych naukach?

Celem uzyskania trafnych odpowiedzi na te pytania bynajmniej nie wystarczy samo stwierdzenie obecności liczb w pracach czy badaniach naukowych z zakresu nauk humanistycznych. Istotna jest bowiem zasadność tych liczb.

Ten właśnie problem zaczął występować w nauce nowoczesnej i stopniowo coraz wyraźniej występuje w nauce współczesnej w miarę postępu matematyzacji nauk nieprzyrodniczych, związanych z człowiekiem jako istotą działającą i tworzącą, istotą świadomą. W związku z tym coraz ostrzejszy i coraz bardziej skomplikowany staje się spór o sens i granice matematycznych podstaw nauk humanistycznych, w szczególności nauk historycznych, psychologicznych, społecznych, prawniczych, filologicznych i innych. W każdym zbiorze tychże spór ten ma poniekąd oblicze swoje, niemniej we wszystkich razem występują te same problemy i wątpliwości zasadnicze, zarazem wspólne. Nabrały one i nabierają nadal ostrości w świetle współczesnej nauki o informatyce, której kamieniem węgielnym jest założenie, względnie twierdzenie, że informacją naukową może być tylko stwierdzenie pomiarowe, tj. wyrażalne liczbowo. A co nie jest tak wyrażalne, nie ma charakteru naukowego.

Nie sposób na tym miejscu wnikać w szczegóły problematyki nad wyraz złożonej. Zrobiłem to w odniesieniu do nauk psychologicznych w części trzeciej (*Spór o rolę matematyki w psychologii*) drugiego wydania książki *Sporne problemy psychologii* (PWN 1975).

## **Tendencje rozwojowe nauki nowożytnej**

Przedstawione ideały stanowiły, względnie nadal stanowią nieformalne dyrektywy badawczej pracy uczonych, zwłaszcza w zakresie nauk przyrodniczych. Rezultaty tej pracy stanowią – przynajmniej w pewnej mierze – proces wcielania ideałów w życie; w ślad za tym – cegiełki do historii nauki i do postępu naukowego. Spróbujmy spojrzeć na ten proces przede wszystkim oczyma historyka-badacza, który na podstawie źródeł śledzi powstawanie poszczególnych problemów, hipotez, metod, odkryć,

wynalazków, poglądów i teorii naukowych, poszczególnych nauk lub ich gałęzi. Na to nie ma tu miejsca. W tym celu niezbędny byłby bowiem obszerny zarys historii nauki. Natomiast spróbować można zwięzłego opisu ogólnych tendencji kierunkowych w dziejowym rozwoju nauki, oczywiście w oparciu o ustalone przez historyków-badaczy fakty co do genezy poszczególnych problemów, odkryć, teorii, nauk itp. To właśnie spróbujemy tutaj zrobić. Otóż „z lotu ptaka” w dziejach nowożytnej nauki widać po kolei następujące tendencje, względnie procesy kierunkowe:

1. proces emancypacji spod teologii i wiedzy scholastycznej;
2. proces organizacji i stabilizacji nauki opartej na nowych zasadach;
3. proces specjalizacji, czyli zróżnicowania na nauki coraz bardziej specjalistyczne;
4. proces integracji, tj. skupiania się przedstawicieli różnych nauk specjalistycznych celem rozwiązywania problemów kompleksowych;
5. proces „industrializacji” nauki, tj. jej przekształcania się, zwłaszcza w dziedzinie nauk ścisłych i technicznych, na swoisty przemysł, „produkujący” wiedzę i bezpośrednio związany z przemysłem;
6. wreszcie, proces dominacji, tj. stawiania się nauki istotnym instrumentem wszelkich form życia zbiorowego, poniekąd regulatorem ekonomii, polityki i kultury.

Przyjrzymy się procesom tym z osobna, acz tylko migawkowo.

## **Proces emancypacji nauki**

Nauka nowożytna powstawała w trakcie nieustających starć z ideami światopoglądu średniowiecznego oraz z jego przedstawicielami. W procesie tym niejednen z jej promotorów został stracony, wielu innych zmuszono do wycofania się z pozycji nowych, a jeszcze innych do „kluczenia”, tj. do taktyki pełnej zakrętów, wahań, załamania, pozornej uległości do zakłamania itp.

W wieku XV sytuacja ogólna Kościoła była nad wyraz zła. Niezadowolenie z kleru, z jego przekupstwa i rozwiązłego trybu życia, bogactw nieusprawiedliwionych pracą, nie mniej z jego wichrzeń przeciwko władzy państwowej było powszechne. A wśród ówczesnych intelektualistów, prawie wyłącznie zresztą członków kleru, żywa była nadzieja na zasadniczą reformę Kościoła w kierunku pierwotnych form chrześcijaństwa.

W takim stanie rzeczy było możliwe, że ptolemeizmowi przeciwstawił się ksiądz Mikołaj Kopernik i że jego teoria nie napotykała począt-



kowo na wyraźny opór. Jednakże po wybuchu Reformacji, a zwłaszcza po reformach wewnętrznych, jakie dokonały się w Kościele po soborze trydenckim (1545–1563), sytuacja zmieniła się istotnie w kierunku usztywnienia światopoglądu teologicznego. Zresztą położenie nowego pokroju uczonych stawało się trudne również w krajach ogarniętych przez Reformację. W ogniu walk wewnętrznych zwinglianie, kalwiniści, jak również nieco bardziej od nich umiarkowani luteranie na ogół niechętnie, a nawet zdecydowanie wrogo zaczęli się odnosić do wszelkich nowatorów, którzy nie stanęli zdecydowanie po ich stronie, którzy po swojemu ośmielali się objaśniać Biblię bądź których poglądy naukowe były lub wydawały się sprzeczne ze stanowiskiem teologów reformatorów. Tak przeto w drugiej połowie XVI wieku rozpoczął się ostry bój między rzecznikami nowożytnej nauki a reprezentantami światopoglądu mniej lub bardziej teologicznego. Linie podziału były niewyraźne. Za nowymi ideami czy ideałami nauki opowiadali się czasem wybitni teolodzy, bynajmniej nie zrywający z Kościołem, np. Piotr Gassendi. A przeciwko nim występowali nieraz (aż do niedawnych czasów) ludzie świeccy, np. przeciwnicy ewolucjonizmu, w niektórych stanach USA jeszcze w wieku XX.

Stan napięcia walk zależał niekiedy od okoliczności politycznych, np. od przekonań władcy w danym kraju czy mieście. Na ogół jednak w krajach katolickich, szczególnie w Hiszpanii i we Włoszech, położenie twórców nauki bywało od końca wieku XVI gorsze niż w krajach protestanckich. Stosunkowo najlepsze było w liberalnych Niderlandach, gdy te ostatecznie uzyskały niepodległość (pokój westfalski 1648).

Prawdziwym przełomem w historycznym procesie emancypacji nauki stała się najpierw działalność francuskich encyklopedystów w połowie XVIII wieku, z kolei Wielka Rewolucja Francuska, stanowiąca formalne zakończenie wiekowej walki z porządkiem średniowiecznym. Po niej nastąpiła wprawdzie reakcja Restauracji, niemniej walka nowego ze starym w wieku XIX już należała do przeszłości. W każdym razie nauki ścisłe, zwłaszcza jednak fizyka i chemia, właściwie nie miały odtąd z teologią nic do czynienia. W drugiej połowie XIX wieku jeszcze raz rozgorzał prawdziwy bój światopoglądowy, tym razem darwinizm i jego kompetencje. Jednakże rzecznicy Kościoła byli już wówczas w defensywie.

W wieku XX definitywnie i prawie powszechnie utrwaliło się przekonanie nie tylko uczonych, ale także wykształconych laików co do niezależności nauki od jakichkolwiek wierzeń religijnych. Co prawda, jeszcze i dziś w niektórych krajach można natrafić na tendencje przeciwnie.

## Proces stabilizacji i organizacji nauki

Naukę scholastyczną uprawiano prawie wyłącznie na uniwersytetach i w klasztorach. Profesorowie przeważnie należeli do stanu duchownego, gdyż organizacja nauki była bezpośrednio lub pośrednio związana z Kościołem. Wobec tego niełatwo było ówczesnym „wolnomyślicielom” uzyskać tytuł doktora i stanowisko profesora bez poparcia lub wbrew woli miejscowych władz kościelnych.

Sytuacja ludzi, którzy mieli odwagę mniej lub bardziej wyraźnie przeciwstawiać się uświęconym zapatrywaniom na świat, była rzeczywiście trudna bytowo i moralnie. Począwszy od kontrreformacji coraz trudniej przychodziło im uzyskiwanie poparcia w kręgach kościelnych i również na uniwersytetach, które wbrew nowym prądom umysłowym coraz bardziej kosztowały w scholastyce. Z konieczności więc nowy rodzaj nauki mogli uprawiać raczej ludzie świeccy, i to zamożni, ewentualnie też ci, którzy umieli pozyskać sobie możnych opiekunów i mecenasów. Czasem się to zdarzało, jeśli inteligentni książęta, burmistrzowie miast, niekiedy nawet biskupi lub opaci byli otwarci na nowości i skłonni do umiarkowanego buntu przeciw marazmowi tradycji. Zresztą nie tylko w takich warunkach wielu możnych „szalało” na punkcie alchemii i zdobywania złota za pomocą czarów (np. cesarz Rudolf II) i z chciwości skupiało wokół siebie „eksperymentatorów”. Dzięki temu uczeni nowego pokroju stopniowo znajdowali oparcie bytowe, jeśli nie mieli go z racji osobistej niezależności majątkowej.

Ale to nie wszystko. Do konsekwentnej pracy badawczej potrzebne jest zaplecze moralne: możliwość porozumiewania się z innymi uczonymi, dowiadywania się o ich poglądach, komunikowania wyników badań, uzyskiwania moralnej zachęty, zapoznawania się z ocenami własnych poczynąń itp. W ślad za tym idzie możliwość zrzeszania się, bo stosunkowo najpewniejsze zabezpieczenie zaplecza daje odpowiednia organizacja.

Faktycznie już w drugiej połowie XVI wieku zaczęły powstawać zrzeszenia uczonych nowego typu. W nawiązaniu do Akademii Platońskiej chętnie nazywano je akademiami. Ale niezależnie od nazwy były to zrazu próby-efemerydy, np. Accademia dei Lincei w Rzymie (1603-1630), Accademia del Cimento we Florencji (1657-1667). Stopniowo jednak umacniało się przekonanie o konieczności trwałego zrzeszenia ludzi uczonych. Można było temu sprostać jedynie przy wsparciu władzy państwowej, gdyż zbyt niepewna okazywała się nierzadko łaska tego czy owego mecenasa prywatnego.

Na tym tle w drugiej połowie wieku XVII powstały pierwsze solidne towarzystwa naukowe: w roku 1662 The Royal Society (Towarzystwo Królewskie) w Londynie, w roku 1666 Académie royale des sciences w Paryżu; pierwsza z nich z inicjatywy prywatnej naukowców angielskich, druga z inicjatywy i pod protektorem dworu królewskiego Ludwika XIV.

Odtąd historia naukowych zrzeszeń żwawo potoczyła się naprzód. W wieku Oświecenia zaczęły powstawać kolejne akademie i skromniej nazywane towarzystwa naukowe w różnych krajach. W tym też czasie akademie z pewnym zasobem tradycji i środków materialnych zaczęły finansować badania i wyprawy naukowe, rozpisywać konkursy, nadawać nagrody itp. Nauka nowoczesna zaczęła się stawać zorganizowaną instytucją i ważnym organem życia społecznego.

Gorzej miała się rzecz z organizacją w sferze wymiany myśli. Oczywiście, w Paryżu, Londynie, Rzymie czy Petersburgu nie było trudno o spotkania i dyskusje. Ale wielu uczonych pracowało z dala od wielkich ośrodków nauki, a komunikacja ówczesna była kłopotliwa. Do ogłaszania wyników badań potrzebne były czasopisma, rzecz kosztowna i trudna do sprawnego prowadzenia. Musiały powstać, ale zanim się to stało, uczeni radzili sobie za pomocą korespondencji. Zapewne w żadnym innym okresie dziejów nauki nie korespondowali tyle, co w drugiej połowie XVII wieku czy w wieku XVIII. Korespondencja spełniała funkcję czasopism naukowych, dysput średniowiecznych oraz dzisiejszych pogadanek naukowych.

Stopniowo nowoczesna nauka zaczęła przenikać do uniwersytetów i innych szkół wyższych, zwłaszcza w krajach protestanckich, najpierw w Niderlandach i Anglii, w wieku XVIII w Niemczech, rozbitych na szereg drobnych księstw, w których przy znacznym dobrobycie ogólnym każde chciało błyszczeć kulturą i nauką. W konsekwencji punkt ciężkości nauki zaczął się przenosić z Francji (po upadku Napoleona I) i Anglii do krajów niemieckich. I głównie Niemcy w wieku XIX rozwinęli prawie wszystkie dziedziny nauki i zaprowadzili nowoczesną organizację zakładów i katedr na uniwersytetach i na politechnikach. W połowie XIX wieku niemało pod ich wpływem nauka była już zorganizowana w uczelniach wyższych mniej więcej tak, jak obecnie.

## **Proces specjalizacji nauk**

Świat jest jeden, a więc również wiedza jako jego reprezentacja pojęciowa jest jedna. Oprócz tego – świat jest wielki, a wszyscy wszystkim

zajmować się nie mogą, niechby tylko w formie uczenia się, coś dopiero w formie badań naukowych. Podział pracy, a więc i jakiś podział nauk, przeto sam się narzucał.

Pewien podział istniał w starożytności grecko-rzymskiej, ale przystosowany do ówczesnych celów nauczania i w ogóle do szkolnictwa, a nie do specjalizacji badań naukowych. Gimnastyka, muzyka, poezja, retoryka, gramatyka, matematyka – oto główne wówczas przedmioty nauczania, po części nawet główne nauki. Do tego w szkołach niektórych dochodziła astronomia, później również geografia i historia. Oczywiście, zawsze ważne były informacje o bogach i mitach. W Rzymie na wyższym poziomie nauczania królowała filozofia, jako ogólna nauka o bycie.

Ten stan rzeczy w przybliżeniu przetrwał pomimo upadku świata antycznego i odżył na uniwersytetach średniowiecznych. W ich organizacji ukształtował się w ramach czterech fakultetów (wydziałów) i odpowiednich nauk: filozofii z tzw. naukami wyzwolonymi, prawa, medycyny i teologii, korony nauk wszystkich. Większości nauk nowoczesnych, ani nawet ich nazw, nie było wcale. Nie było fizyki, chemii, biologii, fizjologii, psychologii, aczkolwiek od czasów starożytnych utrzymywała się tradycja odpowiednich badań lub co najmniej dociekań.

W tym stanie rzeczy uczonym nowego pokroju, przeważnie przyrodnikom w ogólnym sensie tego słowa, najistotniejsza wydawała się stara i szacowna, wiele obiecująca nazwa: „filozofia“, przeważnie z przydawką – „naturalna“. Tak właśnie nazwał Newton swoje klasyczne dzieło o „mechanice niebios”: *Philosophiae naturalis principia mathematica* (1667) – „Filozofii naturalnej podstawy matematyczne“. Nazwa rodzajowa „filozofia” utrzymywała się długo jako oznaczenie nauki w dzisiejszym sensie tego pojęcia; np. w tytule klasycznego dzieła prekursora ewolucjonizmu Jeana-Baptiste’a Lamarcka: *Philosophie zoologique* (1809, T. 1-2).

Jednakże w miarę jak nauka rozwijała się i utrzymywała, nieuchronnie musiały wyodrębniać się i ustalać nauki specjalne, z osobnymi katedrami, zakładami, reprezentowane przez fachowców, do których już nie sposób było zastosowywać zbyt ogólnego pojęcia: filozof. Etapowo i z wahaniem z filozofii naturalnej wyłaniały się: mechanika, chemia, botanika, zoologia, fizjologia, nieco później biologia ogólna i inne. Geografię już wcześniej traktowano odrębnie i niezależnie od filozofii. Z początkiem XX wieku „filozofia naturalna” obejmowała już kilkadziesiąt nauk specjalnych. Obecnie jest ich kilkaset.

Podobny przebieg miały przeobrażenia „filozofii moralnej”, gramatyki, historii i prawa – w kierunku do wyodrębnienia również kilkuset

nauk specjalistycznych w dziedzinie humanistyki. Nie inaczej działa się z naukami technicznymi.

Proces specjalizacji nauk to nie tylko czy po prostu wyodrębnianie się „gałęzi” czy „gałązek” z nauk macierzystych. Jest to zarazem proces ograniczania się pracowników nauki do coraz węższych „poletek” wiedzy i badań. W ślad za tym narastające niebezpieczeństwo utraty styczności z naukami innymi i wystarczającego rozumienia ich rzeczników.

W progu nauki nowożytnej prawie każdy uczony mógł ogarnąć wszystko, czym w ogóle zajmowali się wówczas ludzie nauki. Ba, mógł działać twórczo w kilku obszarach nauki. Mógł być tzw. polihistorem. Dosadnym przykładem jest Kartezjusz: nowator w matematyce, fizyce, fizjologii i psychologii. Natomiast obecnie przeciętny i pracowity uczony może wgryźć się tylko w jedną wąską specjalność naukową; w innych może być tylko amatorem; zaś uczony wybitny może działać twórczo w kręgu niewielu powiązanych z sobą problemów ramowych. Przy tym z reguły tylko jedna wąska specjalność jest jego właściwym terenem badań.

## **Proces integracji nauki**

Gdyby opisany proces miał utrzymywać się i rozwijać bez granic, naukę czekałaby prawdopodobnie zagłada od wewnątrz, tj. od „logiki niewiedzy”. Na szczęście dokonuje się i staje coraz bardziej ważki proces odwrotny – integracji nauki. Podczas gdy specjalizacja wynika z natury badań naukowych, przyczyną procesu odwrotnego są przede wszystkim potrzeby społeczne. Można by też rzec: więź teorii z praktyką. Poniekąd również względy logiczne, prowadzące ku filozofii danego zbioru nauk, np. ku filozofii przyrody. Tu jednakże istotnie chodzi o wymagania praktyczne.

Nauka od dawna stanowi podstawę teoretyczną w technice i w medycynie. Nauka wzbudza też od dawna nadzieje na możliwości załatwiania dzięki jej osiągnięciom trudnych spraw życia zbiorowego. Nauka wywołuje więc „zamówienia społeczne” na rozmaite badania celem rozwiązania praktycznych problemów społecznych, dotyczących np. budownictwa, zagospodarowania nieużytków, walki z przestępczością nieletnich, osuszania pustyń, zdobywania głębin morskich, zabezpieczania mas ludności w wodę słodką. Każdy z tych problemów i wiele innych wymaga badań „kompleksowych” – jak się je obecnie nazywa – czyli z wielu stron, przez specjalistów nauk różnych. Rzecz jasna, że muszą się oni z sobą spotykać,

porozumiewać, dyskutować, wymieniać doświadczenia, współpracować i – co nie mniej ważne – wzajemnie się uznawać.

Proces ten szybko się nasila i zapewne rychło nadejdą czasy, w których istotnym warunkiem postępu pracy specjalistycznej będzie współudział w badaniach kompleksowych. Znaczy to, że na drodze od praktyki społecznej ku teorii dokonuje się integracja nauki. Proces ten stanowi skuteczną przeciwwagę dla nadmiernej, choć nieuchronnej, specjalizacji i w pewnym sensie lekarstwo na jej zgubne skutki.

## **„Industrializacja” nowoczesnej nauki**

Nauka nowoczesna zmierza do „industrializacji”. Proces ten już się częściowo dokonał i w coraz szybszym tempie postępuje naprzód.

Wyrażenia „industrializacja” używam tu w cudzysłowie, ale można by znak ten opuścić, jeśli uwzględnić szybkie przenikanie wzajemne przemysłu i nauki. Z jednej strony bowiem coraz bardziej integralną częścią wielkich zakładów przemysłu współczesnego jest odpowiedni wydział badań naukowych. Ze strony drugiej coraz więcej przedsięwzięć badawczych, pryncypialnie poznawczych, a nie produkcyjnych, przybiera pod względem organizacyjnym formy przemysłu. A jeśli wziąć pod uwagę instytuty naukowe ściśle związane z przemysłem – na pierwszy rzut oka trudno je odróżnić od nowoczesnych fabryk. Niektóre różnice zauważy wprawdzie laik, a podstawowe to obecność wielkich hal „taśmowej” lub zautomatyzowanej obróbki surowca i montażu w potężnych zakładach produkcyjnych, natomiast poniekąd warsztatowego charakteru produkcji prototypowej bądź eksperymentalnej w instytutach naukowych. Ale są między nimi a właściwymi fabrykami liczne formy pośrednie.

Pewne różnice między instytutami naukowymi – ogólniej: „produkcją” naukową – a właściwymi zakładami przemysłowymi oczywiście utrzymują się i mają charakter obiektywny. W przeciwnym razie musielibyśmy po prostu utożsamić naukę z przemysłem. Przede wszystkim jednak bezpośrednie cele działalności jednych i drugich są inne. Fabryki służą bezpośrednio celom gospodarczym, ściślej – zaspokajaniu potrzeb społecznych w zakresie określonych towarów. Instytuty (do fabryk podobne) służą bezpośrednio do opracowania nowych konstrukcji technicznych, do ich wypróbowywania, a w związku z tym do poznania rozmaitych uzależnień.

Jeśli jednak skupić uwagę na organizacyjnej stronie nowoczesnego przemysłu i nauki „uprzemysłowionej”, rozmiar różnic zmaleje. Podobnie



bowiem jak w wielkich zakładach przemysłowych, również w wielkich przedsiębiorstwach naukowo-badawczych „pierwsze skrzypce” grają organizatorzy, a nie właściwi specjaliści danego rodzaju przemysłu bądź danej nauki. Wynika to nasamprzód z potrzeby rozmaitych uzgodnień między różnego pokroju kooperantami, w ślad za tym – z potrzeby poczynień praktycznych, wymagających raczej wiedzy psychologicznej, socjologicznej, ekonomicznej i prawniczej, nie mówiąc już o wiedzy w zakresie nauki o organizacji, aniżeli wiedzy specyficznej dla danego przemysłu lub dla danej nauki.

Zgodnie z tym, w wielkim przedsiębiorstwie produkcyjnym, jakim jest np. nowoczesna huta, dyrektorem naczelnym często bywa ekonomista, a dyrektorem technicznym – specjalista danej gałęzi przemysłu. Podobnie jest w wielkich przedsiębiorstwach naukowo-badawczych, zwłaszcza w zakresie nauk technicznych. Ich organizator bywa nieraz raczej politykiem aniżeli specjalistą z danego odcinka badań naukowych.

Czy tendencja do „industrializacji” znaczy, że nauka w całości przekształci się z czasem w swoisty przemysł? Na pewno nie. W wielu dziedzinach nauki, zwłaszcza w humanistyce, część przeważna badań będzie prawdopodobnie zawsze miała charakter „rzemieślniczy” lub co najwyżej „chałupniczo-przemysłowy”. Zapewne bowiem nie zaistnieje w ich obrębie ani potrzeba, ani nawet możliwość zespołowych i zindustrializowanych badań na wielką skalę; np. badań historycznych nad początkami Polski. Co więcej, istotnym warunkiem pomyślnego rozwoju zindustrializowanych form nauki będzie i zapewne zawsze pozostanie „rzemieślnicza” praca badawcza indywidualnych uczonych na odcinku tzw. badań podstawowych, tj. badań pryncypialnie nawiązujących do historii danej nauki, do jej problemów przekazanych przez poprzedników, a więc raczej do „logiki niewiedzy” aniżeli do bieżących potrzeb społecznych. Znaczy to pośrednio, że w nauce pomyślnie rozwijającej się prymat zawsze będzie należał do twórcy, a nie wytwórcy, do „kooperanta” lub do organizatora. Myśl twórcza, acz uzależniona wielu czynnikami społecznymi, należeć będzie zawsze do mniej lub bardziej wyjątkowej jednostki, a nie do zespołu, tym mniej do zorganizowanego zespołu kooperantów.

Uogólniając, powiedzieć można tak: Nauka zmierza pospiesznie w kierunku „industrializacji”, ale utrzymują się i zapewne istnieć będą trwale wszelkie formy jej organizacji, od całkiem „prywatnej” nauki poczynszu do na wskroś „uprzemysłowionych” gigantów naukowo-badawczych.

## Sprawa dominacji i supremacji nauki

Z tym wiąże się często rozpatrywane dyskusyjnie przewidywanie co do przyszłej dominacji nauki. Przy tym mówi się czasem o jej supremacji w życiu społecznym. Z konieczności ograniczymy się do paru słów na ten – wielce interesujący, ale i sporny – temat.

Gdy Bacon mawiał blisko 350 lat temu, że nauka to potęga (*scientia est potentia*), było to właściwie tylko marzenie, gdyż w jego czasach faktycznie nauce i jej ludziom daleko było do odgrywania ważnej roli w życiu zbiorowym. Prestiż wybitnych uczonych był wprawdzie niemały, ale w gospodarce, polityce, lecznictwie, szkolnictwie wiedza naukowa nie miała znaczenia istotnego w porównaniu z tradycją, opartą na tzw. grubej empirii.

Sytuacja ta zmieniła się poważnie pod koniec XIX wieku, a dokonało się to przede wszystkim w medycynie i w związku z wyścigiem zbrojeń przed pierwszą wojną światową. A w czasie jej trwania wyścig twórczy naukowców w dziedzinie techniki (pośrednio w niektórych naukach podstawowych) stanowił o wielu zaskoczeniach i porażkach. W okresie międzywojennym i w czasie drugiej wojny światowej wyścig myśli naukowej stanowił już – co najmniej na odcinku techniki wojskowej i w służbie zdrowia – prawie że bezpośrednie i pierwszorzędne działania wojenne. Wieloletnia „zimna wojna” po roku 1947 była w mierze istotnej wojną między laboratoriami naukowymi dwóch wielkich obozów politycznych. Zgodnie z tym świadomość rzeczywistej potęgi nauki w umysłach laików jest już niemal powszechna.

Czy rozwój dalszy należy pojmować tak, że w nieodległej przyszłości nauka, ściślej biorąc uczeni, zawładną światem, tj. że w ich ręku znajdzie się potęga polityczna? W odniesieniu do naukowców jest to co najmniej wątpliwe, głównie ze względów psychologicznych. Nauka i polityka wymagają całkowicie różnych uzdolnień, nawyków i nastawień. Ludzie nauki są w zasadzie „obserwatorami rzeczywistości”, przy czym – rzecz jasna – również eksperymentatorów do nich zaliczyć trzeba. Politycy są w zasadzie działaczami i organizatorami. Może się zdarzyć i już nieraz zdarzało się, że uczeni brali aktywny udział w życiu politycznym; również odwrotnie, że politycy okazali zainteresowanie dla pracy naukowej. Nie przeczy to zasadniczej odrębności uzdolnień, nawyków, nastawień oraz funkcji społecznej.

Praktycznie biorąc uczoney wchodzący w skład gabinetu ministrów przynajmniej na czas urzędowania zrywa z nauką: niekiedy zresztą definitywnie, nawet po opuszczeniu fotela ministerialnego. A trzeba sobie zdać sprawę z faktu, że z reguły jako minister jest raczej rzeczoznawcą aniżeli politykiem lub inicjatorem decyzji czy „władcą”.



Zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie układ stosunków wzajemnych między nauką a wiedzą polityczną jest w zasadzie taki, że ludzie nauki wraz ze swymi laboratoriami i współpracownikami stanowią „trust mózgów” dla ludzi rozporządzających władzą. Doradzają, konstruują nowe rodzaje broni, wynajdują nowe środki społecznej walki o byt, natomiast ludzie stojący u władzy słuchają porad (według swego uznania) i korzystają z wynalazków naukowych do realizacji szeroko pojętych celów politycznych. Oczywiście z konieczności „otrząskują się” sami ze zdobyczami postępu naukowego.

Nie ma dość podstaw do przypuszczenia, że taki właśnie stan rzeczy w przyszłości zmieni się istotnie. Z pewnością rola nauki i uczonych będzie stale wzrastać. Ale to nie znaczy, że kiedyś uczeni wezmą w swoje ręce ster władzy – powiedzmy: ster przyszłego Państwa Światowego. Gdyby nawet formalnie tak się stało, że jakaś przyszła Światowa Akademia Nauk zamieniłaby się w Światowy Gabinet Ministrów, nie do niej, jako do zespołu wybitnych specjalistów nauki, należałaby władza, lecz do grupy ludzi o uzdolnieniach i nawykach politycznych, ludzi, którzy wczoraj byli uczonymi, z nauką zerwali, obecnie są władcami i rządzą dążąc do realizacji celów politycznych, a nie specjalistyczno-naukowych. Zresztą prawdopodobnie Sekretarz czy Prezes Światowej Akademii Nauk byłby „z urodzenia” raczej politykiem aniżeli uczonym, jak to faktycznie i nierzadko bywa w narodowych akademiach nauk.

Krótko mówiąc, nieustanny wzrost potęgi nauki nie oznacza jej dominacji w sensie politycznym; tym mniej supremacji nad całością życia w cywilizacji naukowo-technicznej. Dominacja i supremacja zawsze należeć będzie do polityków jako rzeczników woli społecznej. Nie przeczy to możliwości ich rodowodu z klanu ludzi nauki.

## **Planowanie w nauce**

Do cech istotnych nauki współczesnej należy planowanie – przede wszystkim badań naukowych, w ślad za tym środków materialnych i organizacyjnych służących do realizacji badań. Z planowaniem w nauce spotykamy się we wszystkich krajach o wysoce zaawansowanej cywilizacji naukowo-technicznej, jednakże frontalnie występuje ona w krajach socjalistycznych. W nich stanowi część składową szeroko pojętych planów społecznych.

Z planowaniem nierozdzielnie związana jest idea postępu naukowego. Powiedzieć można by, że kto naukę planuje, nastawiony jest na jej postęp.

Tkwi w tym kompleks niełatwych problemów, będących przedmiotem dyskusji wielu naukowców i wymagających oświecenia w niniejszym kontekście.

W ślad za planowaniem nauki i za odpowiednimi działaniami organizacyjnymi nasila się potrzeba ilościowego podejścia do efektów działalności naukowej. Ilości stanowią rezultat ogólnie pojętego pomiaru i liczenia. Działania te występują wyraźnie zwłaszcza w ekonomice nauki i w jej planowaniu. Pośrednio lub bezpośrednio skłaniają do przekonania, że efektywność badań naukowych można mierzyć choćby tylko przez porównywanie rezultatów działalności badawczej instytucji jednoimiennych, zajmujących się w zasadzie tymi samymi problemami (np. etiologią raka) i dysponujących w przybliżeniu jednakowymi warunkami kadrowymi, finansowymi i technicznymi. Łatwo na tej drodze dojść do wniosku, że liczbowe ustalenia w zakresie ekonomiki nauki i jej organizacji oraz porównania efektywności pracy badawczej instytucji pokrewnych oznaczają pomiary postępu naukowego. Otóż właśnie taki wniosek jest co najmniej wątpliwy, wymaga więc zbadania. Chodzi przy tym o uniknięcie zwodniczej tendencji do utożsamiania masy różnego pokroju liczb i statystycznych zestawień tychże – dotyczących życia nauki – z pomiarem postępu naukowego.

## **Postęp naukowy**

Postęp naukowy stanowi formę szczególną postępu pojętego ogólnie. Trzeba się zatem najpierw zastanowić nad pojęciem postępu w znaczeniu ogólnym. Jest to pojęcie abstrakcyjne, jednakże nawiązuje do doświadczania konkretnego, zmysłowego. Wszak postęp poniekąd widać, mianowicie jako „stąpanie naprzód”. Znaczy to, że etymologia „postępu” każe domyślać się wzrokowo zauważalnego chodzenia, kroczenia. Oczywiście nie dreptania w miejscu, lecz kroczenia naprzód ku jakiemuś celowi widocznemu lub w jakimś celu bezpośrednio niewidocznym.

Niezależnie od etymologii i powiązań abstraktów z konkretami znaczenie to wskazuje na istotny związek wszelkiego postępu z wartościami. Cele, ku którym „kroczymy”, są w jakimś sensie bądź w jakimś zakresie cenne. Co więcej, są takie ze względu na ludzi, którzy je cenią, a nie „same w sobie”. Innymi słowy, ludzie (w każdym razie niektórzy ludzie) pragną określonego postępu i czynnie zdążają do niego, ceniąc sobie go jako cel, do którego zdążać warto. Dotyczy to w zasadzie jednakowo postępu każdego rodzaju:

społecznego, ekonomicznego, politycznego, prawnego, moralnego, nie mniej – postępu w zakresie działalności twórczej. A w jego obrębie postępu naukowego.

W postępie każdego rodzaju mamy do czynienia z nagromadzaniem się osiągnięć twórczych, gdyż każdy postęp stanowi w pewnej mierze rezultat pomysłowości i aktywności twórczej, a nie tylko czy po prostu wciąż nowej pracy, wykonywanej w sposób ustalony obiektywnie, zarazem mniej lub bardziej nawykowo i sprawnie. Poza tym oprócz pomysłowości twórczej we wszelkim postępie do czynienia mamy z obecnym na każdym kroku i niezbędnym oparciem na zasobach tradycji i na działaniu według wzorów już znanych.

Proces twórczego przystosowywania się do tradycji, tj. do kulturowych wzorów, zarazem częściowego odrywania się od nich, dokonuje się zawsze w mniej lub bardziej złożonym układzie warunków społecznych, wyznaczających wszelkie działania ludzi, w szczególności ich pracę. Znaczy to, że postęp każdego rodzaju uzależniony jest zawsze zarówno od pomysłowości i aktywności twórczej w ramach danej kultury, pośrednio przede wszystkim od osobistych uzdolnień, jak i od ogółu warunków społecznych, dzięki którym uzdolnienia i przygotowanie do określonego rodzaju pracy twórczej mogą się ujawnić.

Tak rozumiany postęp i jego uzależnienia pojmuje się zazwyczaj jako proces ciągły, tj. niekończący się, co więcej jako proces ponadindywidualny. Ponadindywidualny charakter postępu mamy na uwadze domyślając się intuicyjnie lub eksplicytnie stwierdzając związek jednostronnej bądź wzajemnej zależności wielu dzieł twórczych i wielu twórców w danym czasie bez określenia ani początku, ani końca działalności twórczej. Wprawdzie postęp dokonuje się dzięki pracy pojedynczych osób, np. ludzi nauki, jednakże stanowi swoisty i ciągły proces społeczno-historyczny.

Jak wszelkiego rodzaju postęp, również postęp naukowy jest społeczno-historycznym procesem ciągłym nagromadzania wartości, dokonującym się dzięki działalności twórczej, mniej lub bardziej przystosowywanej do wzorów w zakresie kultury danego rodzaju, zarazem częściowo zrywającej z nimi. Rozumie się, że na tej podstawie potrzebne jest ustalenie jego cech specyficznych celem odróżnienia od innych form postępu.

Rzecz wiąże się z ideałami nauki. Otóż niezależnie od ich zróżnicowania i historii stwierdzić trzeba, że zawsze akcentowano w nich działalność poznawczą. Rozmaicie ją pojmowano, ponadto łączono ją z celami działania praktycznego, nigdy jednak nie przeczoło twierdzeniu, że uczeni zmierzają do poznawania prawdy, co więcej – utrwalano przekonanie,

że powinni to robić. Znaczy to, że prawda stanowi dla nich wartość nadrzędną. Spierali się przy tym o istotę prawdy, to jednakże stanowi zagadnienie osobne.

Na ogół naukowcy współcześni rzadko posługują się słowem „prawda”, natomiast często – terminami „wyniki badań”, „fakty”, „teorie naukowe” itp. Nie znaczy to jednak, że nie uznają poznawania prawdy jako nadrzędnego ideału dla swej działalności. Rzec by można, że nieco krępuje ich powszechne stosowanie słowa „prawda”, „sfatygowanego” w niezliczonych rozważaniach filozofów. Tak czy inaczej, uczeni współcześni zdążają do prawdy w zasadzie tak samo, jak uczeni z wieków dawniejszych. A zatem również obecnie postęp naukowy to przede wszystkim ciągły proces nagromadzania prawd. Zachodzą jednak dwie ważne różnice w sposobach poznawania prawdy między naukowcami współczesnymi a dawniejszymi. Obecnie na plan pierwszy w poznawaniu prawdy, a więc zarazem w społecznie rozumianym postępie naukowym, wysuwa się doskonalenie metod roboczych. Jest szczególnie znamienne dla postępu w naukach przyrodniczych i stosowanych, zwłaszcza technicznych i medycznych. W ślad za tym idzie organizacja pracy badawczej i ciągłe jej doskonalenie. Pewne jej zawiązki znane są ze starożytności, ale obecnie organizacja badań i w ogóle nauki stanowi warunek istotny postępu naukowego.

A zatem nowa wiedza, coraz lepsze metody robocze, coraz bardziej zróżnicowane formy organizacyjne – oto trzy najbardziej znamienne składniki postępu naukowego w naszych czasach. Splatają się one w trudno rozdzielną całość. Z ich uwzględnieniem proponuję taką oto definicję postępu naukowego:

„Postęp naukowy jest to społeczny proces dokonywania coraz nowszych osiągnięć w zakresie wiedzy naukowej za pośrednictwem coraz nowszych metod badań i coraz nowszych form organizacji pracy naukowej”.

## **Uzależnienia postępu naukowego**

Postęp naukowy uzależniony jest od wielu warunków obiektywnych, w szczególności społecznych i kulturowych, oraz subiektywnych, m.in. od akceptowania określonych ideałów poznania naukowego, o których mowa była wcześniej. Zawsze w grę wchodzi splot uzależnień zmieniających się. Spróbujmy przedstawić je w zarysie, a to z punktu widzenia pytania, o ile znajomość warunków danego rodzaju umożliwia zrozumienie przeobrażeń w nauce i stopniowego nagromadzenia się wiedzy naukowej.

Znajomość warunków ustrojowych (gospodarczych, społeczno-politycznych i cywilizacyjnych) pozwala odpowiedzieć na pytanie, czemu to właśnie w XVI wieku dokonał się ruch iście rewolucyjny „zrywania z drzemką dogmatyczną” Średniowiecza i gorączkowego szukania wiedzy w oparciu o doświadczenie i rozum, a nie o uznane z dawna autorytety. Znajomość ideałów, jakie w trakcie poszukiwań się krystalizowały, prowadzi do zrozumienia ogólnego kierunku wysiłków badawczych, jaki obrali twórcy nauki nowożytnej.

Jednakże jedno z drugim nie daje podstaw do wyczerpującego wyjaśnienia procesu rozwojowego nauki jako postępu. Uwzględnić trzeba bowiem osobno źródła psychiczne w pracy poznawczej uczonych na tle już istniejącej wiedzy naukowej. W uproszczeniu sprawa przedstawia się tak:

Jeśli tylko istnieje dostatecznie gorące zarzewie do przeciwstawienia się tradycji danego rodzaju, z energii buntu i wątpliwości zaczynają się wyłaniać mniej lub bardziej sprecyzowane pytania, z nich gorzej lub lepiej uzasadnione problemy naukowe. Kto wie jasno, czego nie wie, czyli czego szuka i chce się dowiedzieć, ma tym samym szansę główną po temu, aby się dowiedzieć, a więc aby daną rzecz poznać. Jeśli bowiem nie wie, czego szukać, na nic przyda mu się wiedzieć, jak bogata jest wiedza osobista w danej dziedzinie.

Poszukiwania prowadzą do skupienia się na pytaniu: Jak ten problem rozwiązać? W ślad za tym do mniej lub bardziej trafnych pomysłów, konstrukcji lub odkryć metodologicznych. Ze skuteczną metodą „w rękę” uczony prowadzi badania – mniej lub bardziej szczęśliwie – kończy je i opracowuje. Dochodzi do wyników, tj. do stwierdzenia (przeczuwanych, poszukiwanych, czasem zupełnie nieoczekiwanych) faktów, odkryć, praw naukowych, z kolei niekiedy do spoistych teorii naukowych. Jak dalece pomyślne są jego wysiłki i wyniki pracy – to w dużej mierze zależy od uzdolnień uczonego, od jego charakteru i od splotu warunków środowiskowych jego pracy.

Niechby jednak wyniki jego trudu były ze wszech miar pomyślne, mają one zawsze tylko wartość czasową. Nie wszystko w jego stwierdzeniach faktów innym uczonym wydaje się pewne, ścisłe i dokładne, nie wszystko w metodzie jego badań i w jego teorii naukowej jest logicznie spoiste. Co więcej, budzą się zwykle pytania pochodne, w ślad za nimi niekiedy sprecyzowane problemy do naukowego zbadania. Skutki te w pewnej mierze wynikają z zawodowej zawiści kolegów, ale w mierze przeważającej z natury myślenia, z granic ludzkiej inteligencji, pomysłowości twórczej, wytrzymałości „nerwowej”, pracowitości itp. Po prostu na pewne osiągnięcia danego

uczonego stać, na inne już nie. Pałeczkę w sztafecie, jaką jest historyczny rozwój nauki, przejmują z kolei uczeni inni, mniej lub bardziej uzdolnieni.

Naukownawczo, a nie motywacyjnie rzecz biorąc reagują oni na błędy, braki i luki w osiągnięciach swych poprzedników. Wobec tego krytyka naukowa jest jednym z licznych motorów postępu naukowego. Rozumie się, że rzeczoznawcy jako krytycy wskazują niemniej na osiągnięcia należycie przystosowane do ustalonych faktów w jakimkolwiek znaczeniu twórcze, na poglądy, które trafiają im do przekonania, na problemy, metody, koncepcje, odkrycia, które ich urzekają, pociągają za sobą, każą naśladować, prowadzić dalej prace poprzedników uznawanych za mistrzów itp.

Ich reakcje pozytywne czy negatywne uzależnione są od wielu czynników umysłowych i uczuciowych. Otóż reakcje te mają wartość dla postępu nauki, w miarę jak są przystosowane do obiektywnego stanu wiedzy na danym odcinku badań naukowych. Jeśli bowiem nie są przystosowane, ich nowy trud badawczy albo w ogóle nie wchodzi w rachubę, albo szybko ulega eliminacji. Znaczy to, że uczeni „przejmujący pałeczkę sztafety” nie mogą się zainteresować byle czym, krytykować i badać byle czego, snuć teorie według widzi mi się, natomiast muszą pozostawać w należytych związkach i przystosowaniu do wiedzy już osiągniętej. Postępować nie-jako tak, jak w grze w szachy lub w domino. Można by też powiedzieć, że logika wydarzeń historycznych na odcinku badań naukowych idzie w parze z „logiką niewiedzy” i z psychologią myślenia.

W historycznym rozwoju nauki wciąż przeto splatają się następujące przyczyny:

1. na ogół niewidoczne lub trudno dostrzegalne dla uczonego specjalisty warunki ustrojowe, w szczególności gospodarcze, polityczne, społeczne, cywilizacyjne i kulturowe;

2. ogólne dążenia i przekonania ludzi nauki co do wartości wiedzy, co do źródeł prawdziwego poznania, co do sposobu badań sensownych;

3. splot warunków osobistych i przypadkowych wydarzeń, dzięki którym dany uczonego obrał właśnie karierę uczonego, a nie jakąś inną;

4. wreszcie, zaznaczona wcześniej „logika niewiedzy”, jako swoisty „nacisk” na umysł pracownika nauki, względnie kandydata na pracownika ze strony obiektywnego i w danym czasie aktualnego stanu wiedzy i niewiedzy; nieco ściślej: stanu niewiedzy na tle osiągnięć, błędów i braków wiedzy dotychczasowej, w ślad za tym stanem wiedzy postulowanej, potrzebnej i już po trochu, acz niewyraźnie, przewidywanej.

To wszystko razem wyznacza kroki badawcze pojedynczego uczonego, a z lotu ptaka („historycznego”) – „marsz dziejowy” nauki.



## Metody oceny postępu naukowego

Czy jest możliwa racjonalna metoda oceny postępu naukowego? A w ślad za omawianym wcześniej ideałem matematyzacji nauki – czy jest możliwy ilościowy pomiar tegoż? W ujęciu dokładniejszym: czy możliwa jest ocena postępu naukowego, stanowiąca rezultat wartościowania na podstawie pomiarów bądź zliczeń? Odpowiedź na to pytanie spróbujemy uzyskać z trzech stron bądź za pomocą trzech różnych metod. Należą tu: ocena według wzrostu widocznego „majątku” naukowego, przede wszystkim w formie publikacji naukowych, ocena według efektywności zaplanowanych badań naukowych, wreszcie – ocena według miejsca danych osiągnięć z pracy badawczej w strukturze wiedzy naukowej (oczywiście – w zakresie danej nauki). Metoda trzecia wskazuje na potrzebę uwzględnienia osiągnięć w zakresie metodologii i organizacji badań.

W związku z metodą pierwszą spróbujemy nasamprzód spojrzeć na postęp naukowy oczyma tzw. laika, nieuprzedzonego rozważaniami naukoznawczymi, ale nieobojętnego wobec postępu naukowego. Jeśli nie wymagać ścisłej definicji bodajże nietrudno byłoby porozumieć się z nim co do istotnego sensu „postępu naukowego”, np. w rezultacie rozmów w tym celu wywołanych. Otóż prawdopodobnie wydaje się, że nie siląc się na subtelności logiczne i gramatyczne, wyraziłby on w tej sprawie pogląd w przybliżeniu następujący:

Do istoty postępu naukowego należą przede wszystkim takie oto zjawiska: publikuje się coraz więcej różnego pokroju książek naukowych; wydaje coraz więcej czasopism specjalistycznych; wykonuje coraz więcej prac badawczych w zakresie coraz większej ilości nauk o wąskiej tematyce; powstaje coraz więcej i coraz bardziej zróżnicowanych instytucji naukowych; coraz bardziej skomplikowana jest organizacja nauki; w końcu – coraz większe są finansowe nakłady na naukę.

Znaczyłoby to, że średnio wykształcony rozmówca w postępie naukowym na plan pierwszy wysunąłby stronę ilościową w fakcie nagromadzenia się wiedzy naukowej oraz w zjawiskach i działaniach z faktem tym bezpośrednio związanych.

Nie znaczy to, że nie zauważyłby strony jakościowej, dotyczącej rangi nowych dzieł czy prac naukowych, rangi nowych ludzi uprawiających naukę. Rzecz w tym, że intuicyjnie – być może – zauważałby ją, ale że na ogół byłby bezradny wobec pytań, jak i czym „wymierzać” porównawczo jakość prac naukowych jako składników postępu naukowego. Są to pytania trudne nawet dla fachowców. A więc z konieczności „nasz” rozmówca poprzestałby

na relatywnie łatwo zauważalnym stwierdzeniu postępu jako nowych „pozycji”, np. w witrynach księgarń lub w katalogach bibliotek naukowych.

Sposób pojmowania „postępu naukowego”, być może wystarczający w powszednim porozumiewaniu się ludzi wykształconych, bywa niedostateczny ze względu na ogromną różnorodność publikacji naukowych, np. w granicach między pojemnymi, zarazem nowatorskimi dziełami a drobnymi biuletynami naukowymi; między podręcznikami dla szkół podstawowych a specjalistycznymi monografiami naukowymi. Jeśli zmierzamy do czynnego kierowania postępowaniem, do usuwania przeszkód, do poprawiania błędów, do spotęgowania ilościowego i podnoszenia jakości postępu naukowego, przedstawiony sposób rozumienia i oceny postępu naukowego nie mógłby wystarczać. Stanowić mógłby co najwyżej oparcie tymczasowe dla analizy logicznej i aksjologicznej.

Co prawda, pojmowanie i ocenianie postępu naukowego jako wymiernej akumulacji nowych nabytków, np. publikacji naukowych, nie jest w niniejszej sprawie zupełnie bez znaczenia. Jeśli bowiem przyjąć, że na ogół nie publikuje się prac bez jakiegokolwiek oceny ich wartości naukowej, ilościowy wzrost dorobku naukowego można by uznać poniekąd za miernik postępu naukowego. Wobec tego porównując dwa jednoimienne zakłady naukowe, np. w zakresie historii Polski, w przybliżeniu jednakowo wyposażone i z liczebnie jednakową kadrą naukową, można by oceniać wyżej postępy zakładu z relatywnie wysokim ilościowo dorobkiem naukowym. (Powiedzmy, zakład „A” wydaje w ciągu pięciu lat 100 publikacji monograficznych, zakład „B” tylko 50). Tego rodzaju porównania faktycznie nieraz się robi. W takim razie nieraz sceptycy mogliby stawiać pytanie: Czy nie okazałoby się w wyniku analizy tego pokroju, że „50” zakładu „B” stanowi znacznie większy postęp w nauce niż „100” zakładu „A”? Krótko mówiąc, jedynie z poważnymi zastrzeżeniami postęp naukowy oceniać można by po prostu i tylko na podstawie zliczania składników „majątku” naukowego.

W pewnej mierze zbliżony do przedstawionego jest sposób pojmowania postępu naukowego jako efektywności badań naukowych. Również bowiem z tego punktu widzenia postęp naukowy w pewnym sensie widzi się, a więc dzięki temu po prostu stwierdza się go obiektywnie. Co prawda, akumulacja nabytków naukowych w postaci nowych publikacji czy instytucji i wzrostu kadr naukowych – o czym mowa była wcześniej – nie ma tu znaczenia istotnego. Natomiast na plan pierwszy występuje ilościowo stwierdzalne przystosowanie wyników badań naukowych do planów tychże. W ślad za tym idzie odpowiedniość wyników do nakładów finansowych, poniekąd również do czasu i trudu poświęconego na dane badania.



To wszystko można stwierdzić ilościowo i obliczyć metodami statystycznymi. A jeśli postęp naukowy utożsamiać z tak pojętą efektywnością badań, powiemy, że postęp naukowy jest wymierny obiektywnie, w zasadzie tak samo jak inne zjawiska stanowiące przedmiot badań naukowych.

Faktycznie prowadzi się coraz więcej badań nad efektywnością badań naukowych. Znaczyłoby to, że coraz lepiej mierzy się postęp naukowy i że się go w ogóle mierzy. Nietrudno jednak wystąpić z co najmniej dwoma zastrzeżeniami rzeczowymi. Weźmy tu najpierw pod uwagę realizację planów badań naukowych. Stwierdzenie wykonania badań zależy od wielu czynników zmiennych, a nie tylko czy po prostu od wyczerpania niezbędnych działań, przewidzianych w analizie danego problemu określoną hipotezą i metodą roboczą. Różne względy subiektywne i obiektywne mogą skłaniać autorów prac badawczych bądź pracowników kontrolujących czy oceniających przebieg badań do uznania wyników za wyczerpująco przystosowane do planu. W niejednym wypadku autorom czy kierownikom zakładów naukowych może zależeć na stwierdzeniu niewystarczalności danych osiągnięć, a więc tym samym – niedostatecznej efektywności badań z przyczyn obiektywnych, niezależnych od pracowitości i uzdolnień. W ślad za tym – na żądaniu dalszych środków i przedłużenia terminów.

Co więcej, samo stwierdzenie – niechby nawet zgodne ze stanem faktycznym – planowego wykonania badań wcale nie jest równoznaczne z pozytywną oceną jakości wyników ani nawet samego problemu czy przedsięwzięcia naukowego. Może się zdarzyć, że całość wyników badań danego zakładu naukowego bądź ogółu zakładów jednoimiennych w danym kraju jest stuprocentowo przystosowana do planów, lecz pomimo to ze względów logicznych, np. z uwagi na błędność założeń danej problematyki, bezwartościowa. Razem wzięwszy, ilościowa ocena postępu naukowego na podstawie pomiarów efektywności badań może być jeszcze bardziej wątpliwa aniżeli ocena powszednia na podstawie danych ilościowych dotyczących publikacji, zakładów, wzrostu kadr naukowych itp.

## **Problem ilościowej oceny postępu naukowego**

W przedstawionych sposobach oceny postępu naukowego na planie pierwszym występują zjawiska wymierne. A zatem można by stwierdzić, że postęp naukowy jest w zasadzie wymierny. Nie bez podstaw można jednakże wystąpić z zapytaniem, czy wymienione tu pomiary lub jakieś inne, podobne, naprawdę wskazują na postęp naukowy? Prawdopodobnie nawet

zupełny laik w sprawach dotyczących nauki jest świadom niejednakowego znaczenia wciąż nowych, łatwo stwierdzalnych osiągnięć, np. nowych publikacji naukowych, w ocenie postępu naukowego. Jest to co najmniej intuicyjnie oczywiste, że książka książce, publikacja publikacji nie jest równa, i to bynajmniej nie ze względu na różnice rozmiarów, lecz na treść, a więc na wartości logiczne. Znaczy to, że oprócz stwierdzenia nowości w sensie wydawniczym czy potwierdzenia wykonania badań zaplanowanych uwzględnić trzeba nowości w sensie logicznym.

Wyłania się w związku z tym pytanie, czy w ogóle, a jeśli tak, to jak dalece postęp naukowy zauważany wzrokowo (np. ciągle nowe książki naukowe) i relatywnie łatwo wymierny odpowiada postępowi w znaczeniu logicznym i aksjologicznym? Co najmniej wątpliwe byłoby przypuszczenie, że między jednym a drugim zachodzi prosta korelacja tego rodzaju, że im więcej nowości łatwo stwierdzalnych, np. publikacji książkowych, czy efektów badań (wyrażonych np. w sprawozdaniach ilościowych danego zakładu naukowego), tym więcej jest zarazem nowości naukowych w sensie logicznym; bądź też im pełniej wykonane zostały plany badań – tym szybszy jest postęp. Jest to więcej niż prawdopodobne, że masie publikacji naukowych w postaci artykułów w czasopismach i druków zwartych (książek) łącznie niekoniecznie odpowiada „masa” naukowych odkryć, nowych idei, problemów, hipotez, metod roboczych i syntez naukowych. W ogóle trudno porównywać z sobą wzrokowo stwierdzalne książki, broszury, numery czasopism – ostatecznie liczby kartek zadrukowanych – z logicznie stwierdzalnymi składnikami nowości naukowych, rozpatrywanych z punktu widzenia kulturowego kryterium oryginalności. Zdarzyć się może, że ogromna ilość publikacji naukowych w danej sprawie, np. wirusowej etiologii raka czy autorstwa *Iliady* i *Odysei*, praktycznie biorąc nic nie wnosi do rozwiązania danego problemu. Poza tym może się zdarzyć, że jedna niewielka publikacja, np. rozprawa Einsteina z roku 1905, zawarta w 17. tomie *Annalen der Physik*, stanowi milowy krok naprzód w postępie naukowym.

Co prawda, nie wynika stąd, że nowe masy kartek zadrukowanych pracami naukowymi nie mają znaczenia dla postępu naukowego. Pomimo wysoce złożonego wielopostaciowego związku między ilością a jakością w postępie naukowym prawdopodobne wydaje się twierdzenie, że na ogół narastająca masa druków stanowi pomyślne szanse dla postępu naukowego w sensie logicznym. Niedostatek publikacji w danej sprawie utrudnia przygodne skojarzenia, dyskusje, spory, wymianę myśli. Natomiast relatywnie wielka masa publikacji pobudza intelektualnie fachow-

ców, jeśli nawet ich oceny bieżące treści nowych druków są przeważnie wyrazem znudzenia: „nic nowego”, „nic ciekawego”, „pozory nowości”, „ponowne odkrywanie Ameryki” itp.

Razem wzięwszy powiemy, że w postępie naukowym nie można wprawdzie zlekceważyć akumulacji druków, a więc ilościowego wzbogacania się nauki z bibliotekarskiego punktu widzenia, ani również ilościowych sprawozdań z badań wykonanych, ale że zaakcentować trzeba narastanie „majątku” logicznego, praktycznie biorąc wyrażanego za pomocą słowa drukowanego. A zatem wartościowanie, istotne w odniesieniu do wszelkiego postępu, w zakresie postępu naukowego dotyczy głównie treści logicznych, a tylko pośrednio i z zastrzeżeniami dorobku stwierdzalnego wzrokowo, np. w postaci zbioru książek opracowanych przez danego autora-naukowca. Wszak w jednym wypadku do czynienia możemy mieć przeważnie z autorem podręczników szkolnych, w innym wypadku – przeważnie z autorem monografii naukowych, stanowiących podsumowanie jego własnych badań. Wielkość zbioru publikacji może wprawdzie wskazywać na wartość osiągnięć w znaczeniu logicznym, jednakże czy tak właśnie jest w wypadku konkretnym, o tym orzekać można jedynie na podstawie kryterium nowości kulturowej, czyli oryginalności. Oczywiście nowości w zakresie treści i układu myśli, dotyczących określonych problemów naukowych.

Tym samym dochodzimy do stwierdzenia różnicy istotnej między „bibliotekarskim” bądź „efektowym” a logicznym aspektem postępu naukowego. Pierwszy z nich umożliwia bez istotnych trudności ilościowe wartościowanie postępu. Wszak ostatecznie wszystkie druki można by rozłożyć na wymierne składniki tego samego rodzaju, np. na kartki zadrukowane. Celem uzyskania większej dokładności – na poszczególne słowa o przeciętnej ilości liter. Również efektywność badań naukowych można bez istotnych przeszkód sprowadzić do elementarnych stwierdzeń ilościowych, np. w formie procentowej realizacji konkretnych przedsięwzięć naukowo-badawczych.

## **Logiczne podstawy oceny postępu naukowego**

Postęp naukowy rozpatrywany z logicznego punktu widzenia też wprawdzie dopuszcza analizę na składniki, a nawet wymaga jej, jednakże jest to oczywiste, że w grę wchodzi wiele rodzajów składników jakościowo różnych. Nie można rodzajów różnych po prostu sprowadzić do elemen-

tów w postaci pojedynczych twierdzeń, aczkolwiek one właśnie zdają się stanowić „atomy” wiedzy naukowej. Osobno uwzględnić trzeba bowiem różnego pokroju układy twierdzeń. Ponadto różnego rodzaju podstawność układów w odniesieniu do rzeczywistości, do tradycji naukowej i do wymagań logiki.

Wiedza naukowa stanowi w każdej nauce swoistą strukturę, zawierającą różnego pokroju składniki nadrzędne, podrzędne i współrzędne. Znaczący to, że oceny postępu naukowego muszą opierać się przede wszystkim na oznaczeniach miejsc logicznych w owej strukturze. Rozumie się, że niejednakową wartość przyznawać można nowym osiągnięciom w postaci szczegółowych spostrzeżeń naukowych (drobnych „faktów”), a w kształcie nowych, dobrze uzasadnionych teorii naukowych. Przy tym liczba zdań-twierdzeń i pośrednio rozmiar druku mogą być w obu wypadkach jednakowe lub zbliżone do siebie. A więc w świetle kryterium nowości kulturowej obiektywne oceny postępu naukowego w danym zakresie wiedzy wymagają podbudowy w postaci ogólnych ustaleń roli względnej poszczególnych rodzajów składników w strukturze wiedzy naukowej.

To nie wszystko. Każda nauka awansuje dzięki sobie właściwym metodom roboczym. Również w ich zakresie dokonuje się postęp, uzależniony od różnych czynników. W grę wchodzi tu m.in.: wpływ krytyki nowych osiągnięć naukowych, przeobrażenia w czołowej problematyce danej gałęzi wiedzy i w ogólnych teoriach, postępy techniki umożliwiające konstrukcję coraz dokładniejszych narzędzi, w szczególności narzędzi pomiarowych. Również na tym polu mamy do czynienia z pewnego rodzaju strukturą. Jedne metody i narzędzia techniczne służące do badań mają znaczenie ogólne, bo zastosowane są w wielu i różnych naukach oraz do niezliczonych problemów. Inne są specjalne, bo użyteczne tylko w wąskiej dyscyplinie naukowej i do niewielkiego kręgu problemów. Rozumie się, że odpowiednio do tych różnic oceniać trzeba wartość względną konkretnych osiągnięć metodologicznych i wartość postępu metodologicznego.

Ale i na tym nie można poprzestawać w wartościowaniu postępu naukowego. Od dawna badania naukowe mają swoje „zaplecze” w postaci działań organizacyjnych, względnie rezultatów tychże: zakładów, katedr, instytutów, komitetów, komisji, seminariów, sympozjów, konferencji, kongresów, czasopism specjalistycznych, redakcji naukowych, programów, planów, doraźnych projektów badań oraz formalnych przewidywań z tym wszystkim związanych. „Zaplecze” to jest znamienne szczególnie dla współczesnego stanu nauki. A zatem zmiany w organizacji nauki współczesnej dokonują się w dużej mierze pod wpływem pomysłowości

i aktywności twórczej ludzi szczególnie uzdolnionych i przygotowanych do działalności organizacyjnej.

Również w tej dziedzinie nietrudno zauważyć postęp ilościowy, ponieważ podobny do procesu wzbogacania się piśmiennictwa naukowego. Niemal w każdym kraju, w którym uprawia się nowoczesną naukę, zwłaszcza jednak w wielkich krajach uprzemysłowionych, corocznie powstają nowe instytucje naukowe w szerokim sensie tego słowa (obejmującym wszystkie ich formy wcześniej wymienione i inne). Jednakże podobnie jak tam błędne byłoby wartościowanie postępu naukowego po prostu według liczby instytucji w danym czasie powstałych, w porównaniu z określonym czasem uprzednim. A jeszcze mniej uzasadnione byłoby ocenianie tegoż według wzrostu nakładu kosztów czy to absolutnego, czy to jako części dochodu narodowego.

Pomimo to można przyjąć jako rzecz oczywistą intuicyjnie, że rozmiary kosztów ponoszonych na utrzymanie nauki i na jej nowe formy organizacyjne pozostają w ścisłym związku z efektywnością nauki, a nawet to, że w „grubym zarysie” korelują z postępem naukowym, ocenianym według kryterium nowości kulturowej, czyli oryginalności. Jednakże intuicyjny charakter tej współzależności i jej kształt zarysowy nie dają podstawy do regulowania postępu naukowego.

A zatem do czynienia mamy z kilkoma odrębnymi aspektami – zarazem metodami, oceny postępu naukowego:

1. postępem jako narastaniem piśmiennictwa naukowego (oczywiście – w postaci nowych tytułów publikacji);
2. postępem jako efektywnością badań zaplanowanych;
3. postępem wiedzy naukowej, rozpatrywanej logicznie bądź wymagającej tego;
4. postępem wiedzy metodologicznej i związanych z nim urządzeń technicznych;
5. postępem organizacyjnym, służącym, względnie mającym służyć pośrednio postępowi wiedzy i metodologii badań naukowych.

Nie ma co do tego wątpliwości, że na planie pierwszym znajduje się postęp wiedzy, gdyż ostatecznie o nią właśnie chodzi, a nie o publikacje naukowe, o przystosowanie przebiegu i wyników badań do planów, również nie o metodologię i organizację badań. Istotne są awanse wiedzy. Wszystko jedno przy tym, jaki ideał poznania naukowego się akcentuje czy reprezentuje: subiektywny (potrzeba poznawania, uciecha z wyników badań, dociekliwość badawcza), społeczny (użyteczność praktyczna wiedzy przez opanowywanie przyrody), obydwa ideały łącznie czy jeszcze

co innego. Znaczy to – niesprzecznie z powyższym – że postęp naukowy można po prostu utożsamiać z postępem wyników badań naukowych, zaś postęp metodologiczny i organizacyjny można uważać za pierwszoplanowe czynniki uzależniające postęp wiedzy naukowej. W końcu stwierdzenie ilościowego narastania piśmiennictwa naukowego uważać można tylko za podstawę do orientacji wstępnej i do ocen tymczasowych bądź warunkowych.

## **Postęp wiedzy naukowej**

W postępie wiedzy naukowej na plan pierwszy wysuwają się stwierdzenia nowych faktów i opracowywanie nowych teorii bądź nowych przeróbek czy ulepszeń teorii już znanych. Fakty szczególnie ważne dla postępu naukowego nazywa się zwykle odkryciami. Rolę szczególną w postępie wiedzy naukowej odgrywają ustalenia praw naukowych na tle określonych odkryć i teorii naukowych. Jednakże pomimo zróżnicowanego nazewnictwa można powiedzieć krótko, że nowe fakty i nowe teorie naukowe to kwintesencja postępu wiedzy naukowej. Zgodnie z tym głównie faktów i teorii naukowych dotyczy przeważna część rozpraw naukoznawczych. Lepiej rzec – problematyki faktów i teorii naukowych, gdyż w rachubę wchodzi tu niemało problemów mniej lub bardziej złożonych.

Nowe fakty i teorie naukowe nie wyczerpują postępu wiedzy naukowej. Zanim badacz stwierdzi fakty i zanim – ewentualnie – opracuje teorie, musi jasno wiedzieć, co chce naukowo poznać. Znaczy to, że musi sprecyzować problem do zbadania. Wprawdzie samo ustalenie i uzasadnienie problemu nie stanowi postępu w wiedzy naukowej, ale jednak usprawiedliwia pośrednio ocenę pozytywną ze względu na istotny związek z badaniami i z wynikami tychże w formie stwierdzania nowych faktów oraz z opracowywaniem teorii naukowych. Znaczy to, że jeśli dany badacz poprzestaje na samym tylko wytyczaniu należycie uzasadnionych problemów, jego pomysłowość twórcza może stanowić postęp wiedzy naukowej, w każdym zaś razie postęp danej nauki, a to jako drogowskaz i uzasadnienie badań cudzych.

W zasadzie tak samo ma się rzecz z naukowymi hipotezami wysuniętymi w ramach problemów już sprecyzowanych i mniej lub bardziej pewnie uzasadnionych. Zresztą w wielu pracach badawczych nie ma granic między postawieniem problemów do zbadania a hipotezami „robotycznymi”, bezpośrednio naprowadzającymi na określone działania badawcze.



Raczej „akademickie” niż praktycznie ważne może być przy tym pytanie, czy hipotezy – same w sobie – są składnikami postępu wiedzy naukowej. Na pewno są składnikami ogólniej pojętego postępu naukowego, a to z powodu umożliwienia badań, w których rezultacie stwierdza się fakty naukowe i – ewentualnie – opracowuje się teorie naukowe. Znow podobnie jak w odniesieniu do problemów słusznie można stwierdzić, że niekiedy do postępu naukowego przyczyniają się uczeni, których twórczość polega głównie na formułowaniu i uzasadnianiu nowych hipotez naukowych. Same hipotezy postępu wiedzy naukowej nie stanowią, ale przyczyniają się doń, względnie mogą się przyczynić, jeśli są dobrze przystosowane do utrwalonego „kapitału” wiedzy naukowej.

W istocie nie inaczej jest z postępowaniem metodologicznym. Metoda jest narzędziem mniej lub bardziej nadającym się do rozwiązywania określonych problemów naukowych. Konstrukcja nowych metod naukowych czy tylko metod ulepszonych wymaga swoistej pomysłowości twórczej, niekiedy wcale nie słabszej niż opracowywanie teorii naukowych. Co więcej, w ogromnej ilości problemów konstrukcja odpowiednich metod roboczych stanowi „najtwardszy orzech do zgryzienia”, a ogromna część sporów między naukowcami jest pokroju metodologicznego. Wprawdzie więc metody same w sobie nie oznaczają wiedzy poszukiwanej w ramach danych problemów bądź hipotez roboczych, ale stanowią one niezbędne warunki do uzyskiwania wiedzy poszukiwanej.

W rezultacie badań naukowych gromadzi się różnego pokroju materiały, a na ich podstawie dokonuje się rozmaitych opracowań, przeważnie najpierw częściowych lub próbnych. W niektórych pracach badawczych gromadzenie, porządkowanie i przechowywanie materiałów naukowych stanowi swoisty, niekiedy poważny problem, w którego zakresie możliwy, a nawet niezbędny jest postęp, a więc zarazem pomysłowość i aktywność twórcza. Znowu też do czynienia mamy w takim razie ze związkiem pośrednim z postępowaniem danej wiedzy naukowej. Związek ten zasadza się zazwyczaj na unikaniu strat czasu, wysiłku i samych materiałów oraz na ułatwianiu opracowań z oryginalnych prac badawczych lub z badań kontrolnych.

Szczególnego rodzaju składnikiem postępu wiedzy naukowej są próbne analizy implikacji związanych z ilościowymi, częściowymi lub całościowymi wynikami danych badań, ze względu na ogólne pytania: „co one właściwie mówią?” bądź „jak je objaśnić w świetle danego problemu i dotychczasowego stanu wiedzy naukowej?” Każdy autor danych badań próbuje odpowiedzieć na to formalne pytanie i w ten sposób dochodzi do

swojej teorii badanego zjawiska, zarazem do swojego rozwiązania określonego problemu. Jednak w ogromnej ilości prac badawczych wyniki opublikowane bądź znane z referatów bywają mniej lub bardziej wieloznaczne, wobec czego różnym specjalistom kompetentnym w danej problematyce „mówią” co innego. W ślad za tym stanowią przedmiot dyskusji bądź sporów w zespole naukowców zainteresowanych; z reguły również stanowią przedmiot omówień krytycznych i recenzji. Na tej drodze dane wyniki badań ostają się jako cząstki akumulacji wiedzy nowej lub – przeciwnie – zostają odrzucone czy postawione pod znakiem zapytania. Znów oczywiście do czynienia mamy ze składnikiem postępu wiedzy naukowej.

W odniesieniu do każdego składnika, zwięźle tu opisanego, zastosować można formalnie jedno i to samo stwierdzenie ogólne: Każdy z nich wymaga z osobna oceny krytycznej ze względu na pytania, czy w ogóle bądź w jakiej mierze jego „kształt” konkretny przyczynia się do postępu wiedzy naukowej. Wyłania się stąd zasadnicza rola krytyki naukowej jako metody wartościowania postępu. Jeśli w postępie naukowym dostrzegalibyśmy tylko wzrokowo stwierdzalne składniki, np. oddzielne druki czy arkusze wydawnicze, moglibyśmy postęp wiedzy naukowej mierzyć na podstawie liczenia, a więc oceniać go w świetle danych ilościowych. Niestety, takie podejście do trudnej sprawy na niewiele by się przydało i mogłoby pociągnąć za sobą fatalne wnioski praktyczne z punktu widzenia problemu planowego kierowania postępowaniem naukowym.

Znaczy to, że „nie tędy droga”. W próbach oceny postępu naukowego nieunikniona jest krytyka, uwzględniająca wymienione tu etapy badań naukowych, a w ślad za nimi logiczną strukturę wiedzy. Co prawda, w krytyce nie trzeba zasadniczo wykluczać ustaleń ilościowych, należy jednak podkreślić stosowanie uprzednio sprecyzowanych kryteriów, a na ich podstawie analizy myślowej, a nie pomiarów. Postęp naukoznawstwa idzie w kierunku coraz ściślejszego precyzowania kryteriów i szczegółowego ustalenia warunków praktycznego ich zastosowywania w krytyce naukowej. Jednak w obu kierunkach jest jeszcze wiele do zrobienia.

## **Obiektywny a osobisty charakter wiedzy naukowej**

Wiedza naukowa w znaczeniu obiektywnym, tj. jako swoisty rodzaj kultury, zarazem majątku społecznego, stanowi rezultat badań wielu pokoleń ludzi nauki. Konkretnie badania danego uczonego przyczyniają się mniej lub bardziej do wzbogacania wiedzy, czyli do jej postępu. Rozumie się przy



tym, że chodzi przede wszystkim o wiedzę w sensie obiektywnym, a nie tylko czy po prostu o wiedzę osobistą pracownika nauki. Ale i to się rozumie, że nasamprzód czy w pierwszej chwili ten pracownik, np. doktorant lub profesor, wie coś więcej niż wiedział uprzednio, i to właśnie dzięki swoim badaniom. Tak przeto stajemy wobec problemu – trudnego i złożonego – dwoistego istnienia wiedzy: obiektywnego i osobistego. Jedno wiąże się z drugim, niemniej wymaga rozpatrzenia osobnego. W każdym razie, jeśli poznawać i opisywać wiedzę naukową jako pewien stan obiektywnej rzeczywistości społecznej, nie sposób nie potrącać o człowieka poznającego, w szczególności o badacza. Poza tym jeśli patrzeć na formy i sposoby osobistego istnienia wiedzy, trzeba pamiętać o jej istnieniu obiektywnym i nawiązywać do niego. Niemniej są to „rzeczy” osobne. A zatem rozpa-trzyć trzeba je również osobno.

Na czym polega „obiektywne istnienie wiedzy”? Przede wszystkim: czy jest to istnienie naprawdę bezosobowe? Tak się to zazwyczaj rozumie, gdy używa się znanego zwrotu: „współczesny stan wiedzy naukowej”, lub zwrotów podobnych: „nauka dziewiętnastowieczna”, „nauka polska”.

Co mamy na myśli, posługując się nimi? Rozpatrzmy rzecz na przykładzie: „współczesny stan psychologii”. Czy jest nim stan wiedzy psychologicznej najwybitniejszych specjalistów w tej dziedzinie? Raczej nie. Najpierw trudno byłoby stwierdzić, kto do tego grona należy lub kto miałby prawo należeć. Ale nawet gdyby trudność tę obejść, nie sposób stanu posiadania wiedzy psychologicznej przez grono najwybitniejszych specjalistów uznać za stan obiektywny istnienia „współczesnej wiedzy psychologicznej”. Jest to bowiem mało prawdopodobne, że grono to znałoby i umiałoby w razie potrzeby, np. w obozie jenieckim, przedstawić – bez niczyjej pomocy – „z pamięci własnej” wszystkie osiągnięcia psychologii.

Nasuwa się więc potrzeba uwzględnienia pomocy, a to w sensie możliwości korzystania z istniejącej i dostępnej już literatury psychologicznej zawartej w czasopiśmie i w książkach, ze sprzętu laboratoryjnego, poniekąd również z żywej informacji ze strony kolegów nienależących do owego fikcyjnego grona najwybitniejszych specjalistów.

Widać więc, że obiektywne istnienie wiedzy psychologicznej (i oczywiście wszelkiej innej wiedzy, krótko i ogólnie: obiektywnej wiedzy naukowej) jest wielce złożonym stanem rzeczy. Jego warunkiem jest bez wątpienia stan subiektywny istnienia wiedzy naukowej, i to u wszystkich osób, mających cokolwiek wspólnego z psychologią. Przecież na nic biblioteki, laboratoria, sprzęty psychologiczne, jeśli nikt nie umiałby z nich korzystać w jakiejś sytuacji wyjątkowej, np. wskutek niesamowitej katastrofy

światowej, w której wszyscy ludzie zginęliby, natomiast rzeczy przez nich wytworzone pozostałyby nietknięte.

Ważną częścią składową obiektywnej wiedzy psychologicznej są oczywiście, acz tylko pośrednio, wszelkie rzeczy i zjawiska pozostające w związku z psychologią i z ludźmi jako psychologami, a więc książki, rękopisy, korespondencje, sprzęt laboratoryjny itp. W rachubę wchodzi ponadto umiejętności korzystania z wymienionych rzeczy, redakcja czasopism i książkowych wydawnictw psychologicznych, instytuty, katedry i zakłady psychologiczne, towarzystwa psychologiczne, komitety organizacyjne konferencji i zjazdów psychologicznych, wykłady, odczyty, posiedzenia seminaryjne, ćwiczenia, konsultacje studentów z profesorami itp. To wszystko razem stanowi kulturowy majątek psychologii bądź sposób ujawniania się jego istnienia. To wszystko w jakiejś mierze gwarantuje obiektywne istnienie wiedzy psychologicznej. W tym wszystkim razem tkwi potencjalnie lub aktualnie „współczesny stan psychologii” w znaczeniu obiektywnym. Oczywiście, podobnie ma się rzecz ze współczesnym i obiektywnym stanem każdej innej nauki.

Jak widać, nie można kategorycznie przeciwstawiać wiedzy osobistej, czyli subiektywnej, wiedzy obiektywnej, aczkolwiek na pierwszy rzut oka różnica wydaje się istotna. Raczej wypadałoby sprawę postawić tak, że stan subiektywny wiedzy psychologicznej (i wszelkiej innej wiedzy) jest sposobem istnienia bądź ujawniania się u danej osoby obiektywnego stanu wiedzy psychologicznej.

A czym jest – w zwięzłym ujęciu – jej stan obiektywny? Niełatwo odpowiedzieć, lecz spróbujmy: Stan obiektywny wiedzy psychologicznej, czyli psychologii, jako wiedzy obiektywnej (i – oczywiście – również stan obiektywny jakiejkolwiek innej wiedzy naukowej) jest to ogół społecznie rozporządzalnych pojęć, poglądów i teorii psychologicznych, pośrednio również ogół problemów i metod psychologicznych, wyrażonych przede wszystkim w odpowiednim piśmiennictwie, wyrażanych na bieżąco w wykładach, lekcjach szkolnych, w rozmowach lub dyskusjach, uzależnionych w swym istnieniu zasadniczo od faktu, że pewna grupa osób – przede wszystkim specjalistów – je zna i rozumie. Być może takie „zwięzłe” określenie ma swoje braki, niemniej jest zastosowalne do innych rodzajów wiedzy, np. do wiedzy historycznej i do wiedzy wszelkiej w sensie obiektywnym.

Co więcej, widać stąd, że podstawowym warunkiem istnienia wiedzy obiektywnej jest możliwość wzajemnego porozumienia się ludzi związanych z danym jej rodzajem, zarazem możliwość jednakowego rozumienia

układu znaków (słów, twierdzeń, rozumowań), w których jest zobiektywizowana. Wobec faktu, że rozumienie i porozumienie się wzajemne jest rzeczą stopnia, wynika stąd, że tym samym ustopniowane jest również obiektywne istnienie wiedzy. Innymi słowy, co do swej obiektywności jedna wiedza drugiej wiedzy nierówna.

Z przedstawionego ujęcia różnic między wiedzą subiektywną a obiektywną wynikałoby, że to, co ktoś wie z psychologii lub z nauki innej, uzyskuje po prostu i jedynie od innych ludzi, przede wszystkim od profesorów i wykładowców, ponadto z książek i z czasopism psychologicznych. Co prawda, takie ujęcie sprawy oznaczałoby – niewątpliwie niesłuszne – przekreślenie możliwości zdobywania i posiadania niechby małej części wiedzy psychologicznej dzięki własnemu wysiłkowi twórczemu, a nie po prostu dzięki uczeniu się danej osoby.

## **Pochodzenie wiedzy naukowej**

Kłopot ten naprowadza na trudne zagadnienie pochodzenia wiedzy naukowej. Jeśli wziąć pod uwagę fakt niewątpliwy, że przeważną część wiedzy osobistej czerpiemy z obiektywnej wiedzy naukowej przez szkolne uczenie się, w takim razie stanowi ona – w jakimś sensie do bliższego ustalenia – jej odzwierciedlenie. Przy tym niezależnie od pytania co do jej jakości pewne jest starszeństwo obiektywnej wiedzy naukowej.

Odpowiedź na pytanie kolejne, skąd ona się wywodzi, wydaje się łatwa na pierwszy rzut oka: Z wyników badań poszczególnych ludzi nauki i całych ich pokoleń, jako pewnego rodzaju „podsumowanie” wyników. Gdzie w takim razie znajduje się jej początek? Jaką rolę w jej genezie przypisać ludziom pojedynczym, zwłaszcza myślicielom – filozofom z czasów dawniejszych oraz uczonym – specjalistom od czasu społecznego czy organizacyjnego wyodrębniania się danej nauki? W jaki sposób dokonują się przeobrażenia w jej stanie obiektywnym? Jak wytłumaczyć wręcz oszałamiający postęp wiedzy obiektywnej („postęp nauki”) w naszych czasach?

W związku z tym może się nasuwać przypuszczenie, że wielcy uczeni, odkrywcy i wynalazcy wyłączyli się od przemożnego wpływu tradycji i otoczenia i że przeważnie własnym wysiłkiem twórczym, własnym doświadczeniem i mocą własnego rozumu stwarzają wiedzę. Czemuż w takim razie nie stwarzali jej w czasach dawniejszych, gdy z pokolenia na pokolenie właściwie tylko przyjmowano wiedzę tradycyjną, nic lub niewiele do niej dodając? Czyż dopiero w wieku XX, ewentualnie i w XIX

ludzie stali się naprawdę inteligentni i naukowo twórczy? Byłoby to co najmniej mało prawdopodobne. A wiele wskazuje na to, że sprawa przedstawia się następująco:

W ciągu niezliczonych pokoleń postęp wiedzy bywał niezmiernie powolny, a nawet całkiem znikomy. Z pokolenia na pokolenie dzieci i młodzież uczyły się rzeczy prawie tych samych, dorósłszy zaś przekazywały swym dzieciom w zasadzie tylko przez siebie odziedziczony zasób wiedzy. Rozumie się, że mimo to każde nowe pokolenie coś niecoś dodawało od siebie, tj. ze swego doświadczenia, przetrawionego rozumem swoich ludzi, zwłaszcza ludzi takich, którzy w naszych czasach mieliby rangę Rutherforda, Einsteina, Pawłowa, Fleminga i innych uczonych tej miary.

Dzięki temu pomimo niezmiernego uzależnienia od tradycji i znikomości roli doświadczenia osobistego przecież w sposób niespostrzeżony i bezimiennie – „szlifowała” się stopniowo tzw. medycyna ludowa, pospolita zoologia, botanika i innego pokroju wiedza przyrodnicza, nie mówiąc już o tzw. mądrości ludowej, zawierającej przeważnie wiedzę psychologiczną i socjologiczną; ogólnie: wiedzę, dotyczącą człowieka w sensie humanistycznym. Miliony ludzi dowcipnych, bystrych, umiających obserwować i myśleć dokładało w ciągu wielu wieków okruczności osobistych spostrzeżeń i myśli, zresztą na ogół niedostatecznie sprawdzonych. Bardzo wiele z tej to osobistej, acz przeważnie bezimiennej, twórczości poznawczej przepadało i nadal przepada w mrokach niepamięci. Ale to i owo – w korzystnym układzie okoliczności – utrzymywało się jako przekonanie pospolite i jako tradycja weszło do kulturowego stanu posiadania pokolenia następnego i dalszych pokoleń.

W ten sposób formułowała się przednaukowa wiedza obiektywna. Działo się to powoli, niewyraźnie, bezimiennie i – co najważniejsze – bez dostatecznego sprawdzenia. Zgodnie z tym, w obrębie owej wiedzy oprócz stwierdzeń wiarygodnych, sprawdzalnych, a nawet poniekąd sprawdzonych, utrwały się i trwają nadal liczne przekonania błędne, rozmaitego pokroju uprzedzenia i przesady. I one bowiem stanowią część – i to część nie byle jaką co do swej mocy – wiedzy obiektywnej, tj. wiedzy społecznie rozporządzalnej.

Dzięki czemu w nauce nowoczesnej osobiste doświadczenie badaczy gra rolę – zdałoby się – przemożną w porównaniu z potęgą tradycji, oczywiście w dziedzinie wiedzy? Na pewno nie dzięki wyższości inteligencji ludzi dzisiejszych, jak ktoś mógłby mniemać. Nie ma bowiem podstaw do przypuszczenia, że inteligencja ludzi dzisiejszych jest bystrzejsza niż ludzi parę wieków, a nawet setki pokoleń temu. Natomiast jest bądź stało

się tak dzięki wzrostowi obiektywnych „spichlerzy” wiedzy w postaci bibliotek oraz dzięki istnieniu wszelkich innych form „majątku” naukowego w formie instytucji, urządzeń laboratoryjnych, uczelni wyższych, podręczników – dzięki wypracowaniu w ciągu minionych czterech stuleci metod krytycznej kontroli doświadczeń i poglądów naukowych, dzięki istnieniu już wielu milionów ludzi wykształconych i kilku milionów pracowników naukowych, nade wszystko zaś dzięki metodzie naukowej i społecznej organizacji pracy badawczej. To wszystko razem umożliwia systematyczne gromadzenie nowych wyników badań naukowych – oczywiście, zawsze dzięki pracy jednostek – i sprawdzanie tychże. W szczególności umożliwia to tysiącom samych badaczy skupianie się na drobnych wycinkach rzeczywistości – w świetle wąskich problemów – i planowe stwierdzanie nowych faktów. Zdarza się przy tym nieraz, że obiektywnie drobne osiągnięcia stanowią owoc dziesiątków lat pracy badawczej. Gdyby nie metoda naukowa i społeczna organizacja nauki, praca ta nie byłaby ani możliwa, ani skuteczna. Możliwa jest, gdyż przez masę społeczno-kulturowych urządzeń i działań społeczeństwo potrafi nastawić szarego pracownika naukowego na niezmiernie specjalistyczny trud badawczy w ciągu wielu lat, potrafi podtrzymywać go moralnie, bytowo, intelektualnie. A skuteczna jest dzięki temu, że masa „akuszerów” owoców pracy badawczej jest przystosowana i nastawiona na właściwy jej odbiór, na przechowanie i przekazywanie potrzebującym.

Pomimo to jednakże wiedza osobista naukowców, i to nawet w wypadku uczonych wybitnie twórczych i niezależnych, jest przeważnie wiedzą cudzą. Jest wiedzą pochodzącą od aktualnie działającego społeczeństwa i z tradycji, a nie oryginalnie własną wiedzą uczonego. Nieomal w całości nie jest owocem jego osobistego doświadczenia i własnych przemyśleń. Suma osiągnięć z jego własnej pracy badawczej jest bowiem drobiazgiem w porównaniu z sumą wiedzy naukowej przyswojonej w szeroko pojętym procesie wychowawczym i w samokształceniu. Oczywiście, również suma jego własnych uprzedzeń i przesądów, ponadto niesprawdzonych przekonań naukowych jest znikoma w porównaniu z sumą uprzedzeń pochodzących z otoczenia społecznego, pośrednio i przeważnie z tradycji. Razem wzięwszy, zarówno wiedza obiektywna, jak i osobista jest w części przeważnie społeczna co do swych źródeł i sposobów powstawania. Odnosi się to w zasadzie jednakowo do wszelkich form, rodzajów i składników wiedzy wymienionych i pokrótce omówionych w rozdziale poprzednim.

Rozdział trzeci

## **Nauka a filozofia**



## Sens przeciwstawienia

W nagłówku rozdziału tkwi przeciwstawienie filozofii nauce, a więc domniemanie, że nauka – w każdym razie nauka nowoczesna – i wiedza naukowa różnią się jakościowo od filozofowania i od wiedzy filozoficznej. Co przemawia za przeciwstawieniem? Pytanie to budzi się w świetle przedstawionego w rozdziale pierwszym rodowodu światopoglądu osobistego, w szczególności twierdzenia, że mniej lub bardziej filozoficzny pogląd na świat stanowi uwieńczenie długotrwałego procesu integracji wiedzy osobistej; przeważnie i praktycznie biorąc, wiedzy odzwierciedlającej stan i postęp obiektywnej wiedzy naukowej. Z tego punktu widzenia filozofia osobista wydaje się po prostu nadbudową wiedzy osobistej, a filozofia w znaczeniu obiektywnym i kulturowym – nadbudową wiedzy naukowej. A zatem jeśli już odróżniać naukę od filozofii, słuszne wydaje się raczej ich łączenie z sobą aniżeli przeciwstawianie ich sobie.

A jednak właśnie to drugie jest faktem, i to – powiedzmy tak – faktem uporczywym. Rzecz wymaga więc stosownego wyjaśnienia. W ślad za tym – jak się okaże – wymaga ona pryncypialnego rozpatrzenia pytania: Czym właściwie jest filozofia? Ze swej strony odpowiedź czy przynajmniej próba odpowiedzi wymagać będzie opisu „mechanizmu” myślenia filozoficznego. Opis ten stanowić będzie treść istotną niniejszego rozdziału, a rozdział jako całość – zarys ogólny i wprowadzenie do większości rozdziałów dalszych.

Na początek potrzebne są tutaj związane informacje historyczne. W starożytności greckiej i rzymskiej można wprawdzie zauważyć zaczątki przeciwstawienia „nauka a filozofia”, jednak nigdy nie występowało ono tak ostro jak obecnie. W studiach wyższych filozofię traktowano jako uwień-



czenie nauczania, względnie uczenia się szeregu przedmiotów innych, po części odpowiadających poszczególnym kierunkom studiów w uczelniach nowoczesnych, np. matematyce, geografii, historii, gramatyce. Ten stan rzeczy utrzymywał się w ciągu wielu wieków. Pewna zmiana nastąpiła w Europie w wiekach średnich, gdy rolę filozofii, jako uwieńczenia studiów uniwersyteckich, zaczęła odgrywać teologia. Był to wprowadzie swoisty rodzaj studiów filozoficznych: dogmatyczna nadbudowa nad mniej lub bardziej kronikarskim wykładem nieprawomyślnych – „pogańskich” – doktryn filozoficznych.

Twórcy nauki nowożytnej stopniowo zrywali i zerwali z teologią i filozofią scholastyki, pośrednio z systemem filozoficznym Arystotelesa, który w ciągu wielu wieków stanowił podstawę teoretyczną światopoglądu religijnego. W ślad za tym coraz bardziej negatywnie – acz rozmaicie i w różnym stopniu – odnosili się oni do wszelkich systemów filozoficznych. Krótko, do filozofii w ogóle, jako do rodzaju kultury umysłowej i do sposobu myślenia istotnie odmiennego, jeśli nie wręcz sprzecznego z ideałami poznania naukowego. Stopniowo filozofia znajdowała się coraz wyraźniej „na cenzurowanym”. Wprawdzie uprawiano ją nadal – głównie na uniwersytetach – a niektórzy filozofowie znajdowali rozgłos i uznanie w świecie naukowym, jednakże w zasadzie skończyły się czasy, w których filozofia zajmowała niekwestionowaną pozycję „królowej nauk”. Jeśli już o „królowaniu” mogła być mowa, w grę wchodziła najpierw od drugiej połowy wieku XVII fizyka, ściślej – mechanika, zaś w wieku XX matematyka, względnie różne nauki pochodne tejże.

Co prawda, również obecnie filozofię uprawia się nadal, a kilka ważkich faktów zdaje się podważać słuszność przekonania czy twierdzenia, że jej pozycja różni się zasadniczo od pozycji nauk innych. Ściślej – od innych kierunków studiów akademickich. Dotyczy to przede wszystkim organizacyjnej pozycji filozofii w ramach tych studiów. Filozofowie – profesorowie, docenci, studenci, doktoranci filozofii – mają wszędzie takie same prawa i obowiązki jak matematycy, przyrodnicy, fizycy, historycy, medycy, technolodzy itp. W szczególności jednakowe są formalne warunki naukowych awansów.

Pomimo to nie sposób przeoczyć dwóch znamiennych faktów:

1. Nakłady społeczne na uprawianie nauk filozoficznych są wszędzie relatywnie mniejsze, a nawet znikome w porównaniu z nakładami na takie nauki podstawowe, jak fizyka czy chemia, i liczne nauki pochodne.
2. Organizacyjnie i formalnie sposób traktowania nauk teologicznych (względnie odpowiednich uczelni) nie różni się od sposobu traktowania

filozofii i nauk przykładowo wymienionych. Tam, gdzie istnieją wydziały teologiczne uniwersytetów czy akademie teologiczne, prawa profesorów i studentów nie różnią się od praw profesorów i studentów fizyki, biologii, no i – filozofii.

Ba, w zasadzie takie same prawa przysługują profesorom i studentom wyższych uczelni artystycznych i muzycznych, w ogóle wszelkich szkół wyższych, w których nauczanie prowadzi do uzyskiwania dyplomów i dalszych awansów akademickich. Znaczy to, że z tożsamości formalnych uprawnień i schematów organizacyjnych nie wynika, że we współczesnym świecie akademickim i – szerzej – we współczesnej kulturze filozofii nie przeciwstawia się nauce (ostrożniej: naukom niefilozoficznym). Odnosi się to również do krajów, w których filozofię uprawia się oficjalnie jako istotne narzędzie kształcenia, konkretnie: kształcenia w światopoglądzie naukowym.

Dlaczego tak jest? Odpowiedź w odniesieniu do aktualnego stanu rzeczy jest i musi być – co najmniej częściowo – inna niż odpowiedź w odniesieniu do kulturowej sytuacji z wieku XVIII. Wszak obecnie praktycznie biorąc naukowcy, np. fizycy, chemicy, biolodzy, nie walczą z arystotelizmem i ze scholastyką. (Być może, że niektórzy z nich nawet wcale nie orientują się w arystotelizmie). Co więcej, filozofowie, w szczególności filozofowie reprezentujący naukowy pogląd na świat, przeważnie jak najbardziej podzielają założenia i ideały nauki współczesnej. Pomimo to również obecnie przeciwstawienie „filozofia a nauka” utrzymuje się nadal; co prawda, w innej postaci niż w czasach walki ze średniowiecznym – teologiczno-scholastycznym – poglądem na świat. Obecnie przeciwstawienie wynika ze swoistości problemów i metod filozofowania w porównaniu z problemami i metodami nauk poszczególnych, a dzielają je również naukowcy doceniający wartość i niezbędność kultury filozoficznej. Wobec tego, że sprawie tej przyjrzymy się z bliska w rozdziałach dalszych na kanwie analizy różnych zbiorów zagadnień filozoficznych, na razie ograniczymy się do ogólnych sformułowań różnic istotnych między filozofią ze strony jednej a naukami poszczególnymi ze strony drugiej.

Otóż w ujęciu najbardziej ogólnym i zarysowym zagadnienia filozoficzne są przede wszystkim wysoce abstrakcyjne. Są nimi tak dalece, że hipotezy czy zapatrywania, stanowiące bądź mające stanowić ich rozwiązanie, są zbyt odległe od sprawdzonych czy sprawdzalnych faktów i teorii naukowych. Rozpatrujący je intelektualista stoi więc wobec konieczności gromadzenia wciąż na nowo argumentów: *pro* i *contra*. *Pro* – w odniesieniu do poglądu, który uznaje za słuszny, *contra* w odniesieniu do poglądu,

który uważa za błędny. Co więcej, poszukiwanie i gromadzenie argumentów *pro* i *contra* staje się – praktycznie biorąc – wolną metodą filozofowania. Metodą, której zastosowanie staje się trwałym źródłem sporów – czy to między filozofami (z fachu), czy to między naukowcami czy intelektualistami filozofującymi.

Najdalej posunięta abstrakcyjność zagadnień i trwały akcent na argumentacji *pro* i *contra* idą w parze z trudnością porozumienia się z sobą filozofów o przekonaniach odrębnych. Idzie za tym wątpliwość co do postępu wiedzy filozoficznej. Bez wątpienia filozofia wciąż przeobraża się, o czym wymownie świadczą pękate dzieła z historii filozofii. Jednakże naukowcy, nawet ci najmocniej akcentujący doniosłość kultury filozoficznej, mają wątpliwości w sprawie, czy wciąż nowe „wcielenia” filozofii można z dostatecznym uzasadnieniem wiązać teoretycznie z nowymi osiągnięciami nauk, tj. z postępem naukowym, o którym mowa była w rozdziale poprzednim. Przeważa przekonanie – podzielane przez autora i stanowiące składnik jego światopoglądu osobistego – że filozofowanie twórcze i zapatrywania filozoficzne jako ich zobiektywizowane rezultaty stają się wprawdzie coraz bardziej subtelne i wnikliwe, ale że nie oznacza to bynajmniej narastającego postępu naukowego. Powiedzmy – „postępu wiedzy filozoficznej”. Wskazuje na coraz większą sprawność intelektualną, a to wobec konieczności przystosowywania się filozofów do narastającego bogactwa wiedzy naukowej. Jednakże nie oznacza nowych i obiektywnie coraz pewniejszych rozwiązań odwiecznych zagadnień filozoficznych.

## Dwie drogi do uprawiania filozofii

Rzecz wymaga bliższego rozpatrzenia. Zrobimy to na razie na podstawie stwierdzenia faktu, że od czasu ustabilizowania się nauk poszczególnych i stosownie do procesu ich dalszego zróżnicowywania się, do filozofii liczącej się kulturowo uzdolnieni i przygotowani dzięki odpowiedniemu wykształceniu intelektualności dochodzą na ogół na jednej z dwóch odrębnych dróg. Jedni przez studia filozoficzne. Praktycznie biorąc, przez studia uniwersyteckie czy to w zakresie samego tylko programu nauk filozoficznych i pomocniczych, czy też ponadto równolegle realizowanego programu jakiejś nauki specjalistycznej, np. biologii, historii. Raczej do wypadków należą studia „hobbystyczne” samej tylko filozofii.

Podstawę (uniwersyteckich) studiów filozoficznych stanowi historia filozofii, a to mniej więcej w takim sensie i celu, w jakim podstawę stu-

diów medycznych stanowi anatomia opisowa. Warto przy tym zaznaczyć, że wprawdzie formalnie rzecz biorąc historia filozofii stanowi odrębną i szczegółową część wielkiego zbioru nauk historycznych, ale że sposób jej uprawiania zarówno przez autorów dzieł z historii filozofii, jak i przez studentów i profesorów jest swoisty; inny niż w odniesieniu do historii politycznej, gospodarczej itp. Nie chodzi w nim bowiem o sam w sobie zasób konkretnej wiedzy co do powstania, treści i powinowactwa danego stanowiska filozoficznego, ale ponadto o krytykę pozytywną i negatywną w świetle zapatrywań filozoficznych autora danego dzieła, profesora prowadzącego wykłady czy wreszcie studenta skłaniającego się ku danemu pogładowi. Znaczy to, że nauka i nauczanie, względnie uczenie się historii filozofii stanowi istotny etap na drodze gromadzenia argumentów *pro* i *contra* danemu stanowisku bądź systemowi filozoficznemu. Na kanwie historii filozofii studia akademickie w jej zakresie obejmują – w różnym układzie – analizę podstawowych zagadnień, jakie filozofów niepokoiły odwiecznie, a mianowicie – ontologicznych, epistemologicznych i aksjologicznych. Rozumie się, że ponadto różne przedmioty pomocnicze, przy tym logikę, zalicza się czy to do nich, czy to do filozofii „właściwej”, co zresztą nie ma znaczenia praktycznego.

Natomiast znaczenie istotne ma rezultat studiów filozoficznych, uprawianych w przedstawiony sposób. Powiedzmy – studiów fachowych. Rezultat ten stanowi w zasadzie całościowe odzwierciedlenie osobiste kultury filozoficznej, względnie jej historii. Nie przeczy im specjalizacja, zainicjowana w pracach dyplomowych studentów i później kontynuowana przez doktorantów i kandydatów do stanowisk samodzielnych w ramach działalności filozoficznej.

Jeśli pominąć kilka możliwości pośrednich, zupełnie innego pokroju jest droga do filozofii tych intelektualistów, praktycznie biorąc naukowców, którzy na gruncie swej pracy badawczej i wiedzy specjalistycznej stopniowo dochodzą do twórczego rozpatrywania zagadnień filozoficznych. Nieistotne jest przy tym, czy w jakimkolwiek zakresie jako studenci uniwersyteccy zapoznali się z kulturą filozoficzną. Natomiast istotne jest to, że na podstawie swojej wiedzy fachowej, np. biologicznej, historycznej, medycznej, technicznej lub jakiejś innej, najpierw dostrzegają, z kolei zaś frontalnie analizują zagadnienia we własnym mniemaniu fachowe, np. biologiczne, jednakże obiektywnie filozoficzne. Przy tym zazwyczaj działa się i nadal dzieje się tak, że niejako mimochodem czy z rozpędu intelektualnego poszerzają coraz bardziej krąg swych zainteresowań i dociekań filozoficznych. Na przykład swą filozofię w zakresie wiedzy biologicznej

rozwijają w kierunku ogólnej filozofii przyrody. Co więcej, „logika filozofowania”, o której mowa będzie osobno dalej, naprowadza ich stopniowo na trop ogólnych zagadnień ontologicznych, z kolei – epistemologicznych i aksjologicznych. Zagadnień w istocie tych samych, od których formalnie rozpoczęli swoje studia akademickie studenci filozofii. A zatem pomimo odrębności dróg (w ramach studiów czy to filozoficznych, czy to specjalistycznych) mamy w zasadzie rezultat taki sam. Jest nim twórcze zaniepokojenie odwiecznymi problemami bytu, poznania i wartości.

Co prawda, zachodzą różnice. Na drodze kariery normalnej – tj. począwszy od akademickich studiów filozoficznych – „fachowiec” w ich zakresie jest nasamprzód „omnibusem”, z kolei specjalistą praktykiem, np. jako wykładowca filozofii, a w pewnych wypadkach – rzadkich, podobnie jak i w innych dziedzinach – twórczym myślicielem, i to przeważnie na jakimś wąskim poletku, np. w zakresie historii filozofii. Na drodze „anormalnej” – tj. począwszy od studiów, praktycznie biorąc nic wspólnego nie mających z filozofią, np. chemicznych – filozof jest najpierw twórczym specjalistą, np. w filozofii przyrody, a potem także ewentualnie i w jakiejś mierze znawcą i teoretykiem w obrębie całości kultury filozoficznej.

Co wynika z porównania odrębnych dróg dojścia i zajmowania się zagadnieniami filozoficznymi? Wynika prawdopodobieństwo, że zagadnienia te nie są przypadkowe, a potem, że jakiś szczególny przymus skłania intelektualistów do ich formułowania, z kolei do ich rozpatrywania, wreszcie do prób ich rozwiązywania. Narzucają się pytania: Czy ten przymus skłania tylko intelektualistów? Czy zagadnienia filozoficzne stanowią swoisty produkt w dziejach kultury, a może tylko i po prostu kultury europejskiej? Odpowiedzi mogą być tylko negatywne, a to w świetle notorycznego faktu, że na swój sposób i według swoich możliwości filozofują również ludzie bez wykształcenia akademickiego, w szczególności bez wykształcenia filozoficznego. Co więcej, ludzie bez wykształcenia, i to nawet nieznający wcale słowa „filozofia” i terminów pochodnych, niekiedy stawiają sobie czy innym pytania w zasadzie te same, jakie intrygują filozofów „fachowych” bądź uczonych specjalistów, naprowadzonych na zagadnienia filozoficzne przez badania naukowe i specjalistyczną wiedzę naukową. Znaczy to, że filozofowanie stanowi specyficznie ludzki rodzaj aktywności poznawczej, a nie swoisty produkt kształcenia akademickiego.

## **„Dziwność istnienia” – wspólna rama zagadnień filozoficznych**

Sprecyzowania wymaga choćby część zagadnień, które w zasadzie jednakowo niepokoją filozofów, filozofujących naukowców i laików. Bodajże najbardziej powszechne i wspólne, acz nie zawsze jednakowo sformułowane, są zagadnienia następujące: Jaki ostatecznie sens ma życie, świat cały, to wszystko? Co istniało dawno, dawno temu przed narodzinami gwiazd i mgławic? Czy mogło być kiedykolwiek tak, że niczego w ogóle nie było? Czy mogłoby się stać tak, że świat cały „zniknie”? Co będzie hen, w tej niezmiernie odległej przyszłości, do której myśl już tylko chyłkiem sięga? Skąd wziął się ten przedziwny świat, w którym nam żyć wypadło?

Oto na chybił trafił garść pytań (przez fachowców nazywanych zazwyczaj ontologicznymi), jakie niekiedy nasuwają się ludziom wielu, jeśli nie wszystkim. Trzeba by nie być człowiekiem, aby naprawdę i nigdy w życiu nie doznać szczególnego zdziwienia i dusznego niepokoju wobec pytań tego rodzaju. Niechby nawet z miejsca odrzucanych jako śmieszne czy niemające żadnego sensu. W Chinach czy w Europie, u ludów prymitywnych i narodów o kulturze wyrafinowanej, w najodleglejszej starożytności i dzisiaj, wszędzie ludzie stają czasem zaniepokojeni wobec zasadniczo tej samej dziwności istnienia. W przeróżne słowa przyoblekają swoje zdziwienia, jednakże w zasadzie rzecz jest wszędzie i zawsze ta sama. Wszyscy w gruncie rzeczy zapytują czasem o to samo: „co jest ostatecznie?”, „skąd ostatecznie?” i „po co ostatecznie?”. Już raczej niektórzy ludzie (odpowiednio wykształceni i „wyrafinowani” umysłowo) stawiają i rozpatrują pytania – również kłopotliwe – nawiązujące mniej lub bardziej widocznie do powyższych, a nazywane przez specjalistów epistemologicznymi, aksjologicznymi itp.

Otóż właśnie pytania-zagadnienia epistemologiczne, etyczne, ogóln aksjologiczne, ponadto ontologiczne, w szczególności kosmologiczne oraz zagadnienia stanowiące swoistą nadbudowę wiedzy w zakresie poszczególnych nauk można formułować (i formułuje się) tak, że nieomal nie dostrzega się w nich „dusznego niepokoju” co do dziwności istnienia. Przeciwnie – na plan pierwszy występuje lub wystąpić może ściśle powiązanie z wiedzą naukową, a zwłaszcza z „najnowszymi jej osiągnięciami”. Subtelna precyzja sformułowań, odwoływanie się do wyników badań z astronomii, fizyki, chemii, biologii, psychologii lub nauk innych pozwala na chwilę łudzić się, że do czynienia mamy z tym samym rodzajem myślenia i z takimi samymi w zasadzie problemami, z jakimi do czynienia ma



„zazwyczaj” naukowiec. Jednakże jeśli śledzić bieg rozumowań subtelnie i naukowo-filozoficznych, nietrudno zauważyć obecność – bliską czy odległą – zapytań, wyłaniających się z „dziwności istnienia”, tj. zapytań filozoficznych.

## **Dwa sposoby zajmowania się zagadnieniami filozoficznymi**

Do pytań wymienionych wcześniej i pokrewnych, krótko – do filozofii, można podchodzić dwojako. Przede wszystkim więc można ją „uprawiać”. Znaczy to, że można stawiać i rozwiązywać zagadnienia filozoficzne. Można tworzyć i uzasadniać poglądy filozoficzne. Właśnie filozofem jest lub uchodzi za takiego ten, kto to robi.

Ale można też filozofię „obserwować” i badać jako pewne zjawiska w świecie ludzkim. Niekoniecznie przy tym trzeba samemu być filozofem. Po prostu uczonym. W ten sposób filozofię badano od dawien dawna. Co prawda, na ogół dość jednostronnie, bo w ciągu wielu wieków prawie wyłącznie z historiograficznego punktu widzenia. Robił to na przykład, już w czasach greckich, Diogenes Laertios. Zresztą, historycy filozofii przeważnie sami mniej lub bardziej uprawiali filozofię, tj. próbowali – że tak rzec – na własny rachunek formułować i uściślać zagadnienia filozoficzne oraz zajmować stanowisko wobec przekonań, poglądów i systemów filozoficznych. A w uniwersyteckich studiach filozoficznych historia filozofii i przedmioty „ściśle filozoficzne” od dawna wzajemnie się przenikały. Jest tak nadal.

W przybliżeniu od początków XX wieku sytuacja zaczęła się komplikować. Obok historii filozofii pojawiały się bowiem zrazu nieśmiało, stopniowo zaś umacniały się – socjologia i psychologia filozofii. Pierwsza z nich powstała poniekąd pod wpływem zróżnicowania się problematyki socjologii kultury, częściowo zaś na gruncie sporów i walk ideologiczno-politycznych. Natomiast psychologia myślenia filozoficznego zarysowała się w kręgu pojęć typologicznych oraz w świetle problemu, czy, a jeśli tak, to jak dalece rodzaj przekonań światopoglądowych uzależniony jest od typu tzw. konstytucji psychicznej? Przy tym na pierwszy plan wysuwano rozróżnienie dwóch typów przeciwstawnych: człowieka „łagodnego” a „szorstkiego”, ekstrawertyka a introwertyka, cyklotymika a schizotypika itp. (James, Jung, Kretschmer i inni); razem wzięwszy – człowieka otwartego a zamkniętego w sobie.

Historię, socjologię i psychologię filozofii łączy w zasadzie podejście naukowo-badawcze; „obserwacyjne”, a nie „zaangażowane”. Znaczy to, że rzecznicy tych nauk sami niekoniecznie muszą być filozofami, jeśli nawet „po cichu” w przeprowadzaniu swych badań empirycznych opowiadają się za pewnym poglądem czy systemem filozoficznym. Jednakże historię filozofii oddzielają niemałe różnice od socjologii filozofii i od psychologii filozofowania. Otóż – po pierwsze – historię filozofii traktowano przeważnie jako wstęp i warunek systematycznego i merytorycznego rozpatrywania zagadnień filozoficznych; a więc jako pewnego rodzaju narzędzie. Natomiast socjolodzy i psychologzy filozofii traktują filozofię – w mierze daleko większej niż socjolodzy i psychologzy – po prostu jako zjawisko i starają się poznać z różnych stron „mechanizm” jego powstawania.

Po drugie zainteresowania socjologów i psychologów „mechanizmem” filozofii miawały nierzadko podkład emocjonalny w postaci mniej lub bardziej krytycznego ustosunkowywania się do poglądów filozoficznych. W każdym razie podkład ten łatwiej wykryć w pracach badawczych z socjologii i psychologii filozofowania niż w pracach z historii filozofii. Rzecz można by po krótku ująć tak: dla filozofów historia filozofii stanowiła przeważnie zbędną pomoc w twórczości własnej na polu precyzowania zagadnień i uzasadnienia określonych stanowisk filozoficznych. Natomiast dla uczonych, raczej powątpiewających w wartość poznawczą filozofii, badania socjologiczne i psychologiczne obiecywały umocnienie argumentów na poparcie ich przekonania, że prawda twierdzeń filozoficznych jest pozorna.

Nie przeczy temu fakt, że bez trudności można stwierdzić również u nich w pewnej mierze podejście „instrumentalne”. W każdym razie głównie z ich punktu widzenia coraz wyraźniej zaczęła się zarysowywać koncepcja „teorii filozofii jako zjawiska”; oczywiście teorii empirycznej. W ujęciu formalnym – teorii w zasadzie takiej samej, jak w zakresie innego rodzaju zjawisk społecznych lub psychicznych. Głównie też pod wpływem hipotez i badań z zakresu socjologii filozofii i psychologii filozofowania rozbrat między „uprawianiem” filozofii a badaniem jej jako zjawiska stał się oczywisty. Wprawdzie jeszcze ani socjolodzy, ani psychologzy nie rozporządzają tak poważną wiedzą naukową o filozofii jak historycy, ale „wiedzą, czego chcą”, i szybkimi krokami zmierzają do opracowania teorii filozofii czy filozofowania.

W tym stanie rzeczy niejako samoistnie zaczął wyłaniać się problem właściwego i należytego zestroju wiedzy historiograficznej, socjologicznej i psychologicznej celem wypracowania ogólnej teorii naukowej o pochodze-



niu filozofii jako specyficznego zjawiska. W jego obrębie narzuca się przede wszystkim pytanie o właściwą rolę i udział względny wiedzy historycznej, socjologicznej i psychologicznej w „wyjaśnieniu” filozofii jako zjawiska.

Właśnie na to pytanie spróbuję odpowiedzieć w kolejnych trzech rozdziałach niniejszej pracy. Z uwagi na bogate tradycje historii filozofii zacznę od sprawy udziału tej nauki w poznawaniu filozofii. Z kolei podejść do kwestii zadań i granic socjologii filozofii. W końcu spróbuję określić przedmiot i możliwości psychologii filozofowania. W ostatniej sprawie zabierałem kilkakrotnie głos w różnych publikacjach, poczynawszy od 1933 roku. Dopiero na tej podbudowie spróbuję w rozdziałach dalszych rozpatrzeć problemy psychologiczne filozofowania.

A więc stawiam pytania: Co i w jakiej mierze historycy filozofii potrafią wyjaśnić – oczywiście wykorzystując swoje metody, źródła i badania – w sprawie istnienia przeobrażeń w pojęciach, poglądach i systemach filozoficznych? Co potrafią już lub ewentualnie potrafiliby z czasem wyjaśnić w tej sprawie socjolodzy, oczywiście na podstawie swych metod, prac badawczych i materiałów naukowych? Jakie są granice wyjaśnień historyków i socjologów co do istnienia filozofii i jej przeobrażeń? Wreszcie – na podstawie odpowiedzi na te pytania – czy, a jeśli tak, to w jakim zakresie potrzebni są również psychologowie celem wyjaśnienia obecności i rozwoju tak szczególnego zjawiska, jakim jest filozofia? Pierwsze dwa pytania, względnie problemy poruszę tutaj tylko zarysowo. Rzecz wymagałaby bowiem szczególnego omówienia. Natomiast skupię się – w rozdziałach dalszych – na psychologicznych problemach filozofowania.

Z uwagi na ustalony wcześniej przedmiot pracy zrezygnuję choćby tylko z próby opisu sposobów pojmowania i traktowania tak bardzo wieloznacznego pojęcia, względnie zjawiska, jakim jest filozofia. Jedynie bez objaśnień wypada, a nawet trzeba zaznaczyć czy przypomnieć, że faktycznie i przeważnie – wyłącznie bądź razem – cztery różne funkcje „widziano” czy nadal „widzi się” w filozofii:

1. pogląd na sprawy „ostateczne” co do istnienia bytu, w szczególności człowieka;
2. syntezę naukowej wiedzy o świecie, czyli systematyczny, a zarazem ogólny pogląd na świat; czyli ogólną teorię bytu;
3. analizę podstawowych warunków „ostatecznego” poznawania bytu; ściślej – analizę najważniejszych pojęć w ich obrębie: prawdy, poznania, rzeczywistości i pojęć pochodnych;
4. wreszcie ogólny pogląd na świat i życie z akcentem na naczelných ideach wartości, a więc na ideach działania osobistego bądź społecznego.

„Widziano” też kilka funkcji pomniejszych. Nierzadko uwzględniano wszystkie funkcje razem wzięte.

Funkcje te nie są ani nie były nigdy wyraźnie odrębne, ale bądź co bądź wskazywały na możliwość akcentu na pewnych stronach twórczej działalności filozofów. Zgodnie z tym i faktycznie poglądy niektórych filozofów – wzięte całościowo – miały przeważnie charakter albo ontologiczny (np. Kartezjusz), albo syntezy wiedzy naukowej (np. Comte, Spencer, Engels), albo analizy podstawowych pojęć, warunkujących „ostatecznie” poznanie bytu (Kant), albo światopoglądu ideologicznego (np. Sartre). Co prawda, w każdym systemie filozoficznym znaleźć można poniekąd wszystko: „ostateczny” pogląd na byt i człowieka, podsumowanie wiedzy naukowej, analizę „pryncypialnych” pojęć warunkujących poznanie wszechrzeczy oraz „stopień” ostatecznych wartości z podstawami obiektywnego bytu.

Niezależnie od akcentu na określonych funkcjach czy zadaniach filozofii autor zajmuje wobec niej w zasadzie stanowisko „obserwacyjne” i w ogóle poznawcze, a nie – że tak rzec – konstrukcyjne. Wynika stąd próba odpowiedzi na pytania, z jakimi to problemami – dotyczącymi pochodzenia filozofii – do czynienia mają specjaliści różnych nauk, przede wszystkim historycy, socjolodzy i psychologowie.

## **Na czym polega historia filozofii?**

Wprawdzie systemy filozoficzne zmieniały się w ciągu dziejów, jednak pomimo zmian pewne idee i konstrukcje myślowe utrzymywały się stale w formach częściowo takich samych. Filozofowie każdego czasu nawiązywali do koncepcji swych poprzedników bezpośrednich, dalszych, odległych, poniekąd do całej znanej im tradycji światopoglądowej. Jest w takim razie zrozumiałe, że aby poznać ze stanowiska historycznego i metodami historiografii pochodzenie filozofii, trzeba by przede wszystkim zbadać łączność zachodzącą między kolejnymi ogniwami tradycji filozoficznej.

Sprawa ta prowadzi do zagadnienia oryginalności w nowych ogniwach kultury filozoficznej. Wszak ogniwa te nie tylko łączą się z sobą w ten sposób, że późniejsze wywodzi się poniekąd z wcześniejszego. Gdyby nawet nie było nic zasadniczo nowego „pod słońcem”, to przecież nie sposób przeczyć, że do pewnego stopnia w nowych poglądach i systemach filozoficznych znajdujemy częściowo nowe idee, problemy, konstrukcje pojęciowe, przynajmniej zaś nowe sformułowanie rzeczy starych.

Trzeba zatem na podstawie źródeł i metodami historiografii wyjaśnić na tyle, na ile to jest możliwe, powstanie nowych idei, problemów i konstrukcji pojęciowych. Trzeba też odróżnić to, co stare i już znane, od tego, co względnie nowe w danym stanowisku filozoficznym. Już starożytni kronikarze filozofii, np. Diogenes Laertios, próbowali w pewnej mierze zadanie to rozwiązać, ale nawet w nowoczesnych badaniach z historii filozofii jest ono rozwiązane tylko ułamkowo. Niekiedy do oceny oryginalności danego poglądu brak historykowi filozofii materiałów źródłowych. Brak mu również – jak dotąd – wystarczającej pomocy ze strony socjologicznych i psychologicznych wyników badań nad pochodzeniem filozofii.

Trzeba wreszcie idee i systemy filozoficzne powiązać z całością życia społecznego, ostatecznie z warunkami życia gospodarczego. Zadanie to rozwiązano jak dotąd ułamkowo. Jest ono daleko trudniejsze niż wykazywanie – w tradycji filozoficznej – podobieństw, tożsamości, wpływów i oryginalności. Spróbujmy zastanowić się nad tymi sprawami.

Filozofia jest częścią i pewnym rodzajem kultury. Historyk kultury w znacznej mierze wyczerpuje swą pracę badawczą, gdy na podstawie źródeł udaje mu się stwierdzić, że „ten oto” utwór literacki, pomysł techniczny, dzieło sztuki, idea etyczna powstały pod wpływem utworów, dzieł, idei innych. Jak widać, historyk kultury w pewnym sensie „sprowadza” jedno zjawisko do drugich. Rozbiory literackie, analizy etyczne, o ile zahaczają o historię, stanowią przeważnie opis wpływu jednych zjawisk kulturowych na drugie. Historia filozofii, literatury, sztuki jest w niemałej mierze historią wpływów kulturowych. Ich poznawanie opiera się na założeniu, że zjawisko podległe wpływom kulturowym jest częściowo identyczne ze zjawiskiem stanowiącym źródło wpływu bądź że bez źródła wpływu nie byłoby w ogóle lub w pewnej mierze zjawiska podległego wpływom.

W zastosowaniu do filozofii znaczy to, że pochodzenie historyczne jest równoznaczne z narastaniem tradycji filozoficznych, że nowe koncepcje filozoficzne wywodzą się z tradycyjnych i że są z nimi przynajmniej częściowo tożsame. Historyk filozofii stara się proces utożsamienia tradycji filozoficznych posunąć możliwie najdalej. A zatem przez poznanie łańcucha tożsamości w tradycjach filozoficznych usiłuje rozwiązać częściowo problem pochodzenia filozofii.

Napotyka jednak na granice w postaci twórczości nowej, niezapożyczonej z dzieł przekazanych przez tradycję. Nowość (oryginalność) ogranicza poczynania historyka kultury, w szczególności historyka filozofii, ponieważ utrudnia mu poznanie źródeł danego dzieła bądź czyjejś twórczości

za pomocą metody porównawczej i na podstawie analizy i krytyki źródeł historycznych, w szczególności dzieł filozoficznych. Wobec tego oryginalność pomysłów filozoficznych każe historykowi poszukiwać uzależnień poza obrębem tradycji filozoficznej.

Zanim spróbujemy odpowiedzieć na pytanie, w jaki to sposób historyk filozofii daje sobie radę z oryginalnością (pomysłów, rozumowań, zapytań itp.), objaśnimy na przykładach tezę, że historyk ten przede wszystkim stara się wyjaśnić treść czy formę danego stanowiska na drodze „wywodu” z tradycji, czyli przez poznanie łańcucha tożsamości:

System Schopenhauera jest zrozumiały historycznie po źródłowym stwierdzeniu wpływów transcendentalizmu Kanta, pesymizmu filozofii hinduskiej i jakichś tradycji innych. Transcendentalizm przedstawia się jako rezultat wpływów kontynentalnego racjonalizmu, w szczególności racjonalizmu szkoły Leibniza, oraz wyspiarskiego empiryzmu, zwłaszcza pomysłów Hume’a. Źródła pragmatyzmu amerykańskiego szuka się w neokantyzmie, w ewolucjonizmie i w empiryzmie angielskim. Coś podobnego odnosi się do systemów innych. Póki nie poznaliśmy wpływu pomysłów wcześniejszych i już znanych, nie rozumiemy danego poglądu filozoficznego. Poznając ten wpływ, poznajemy zarazem dany system z historycznego punktu widzenia. Wiadomo więc, że Arystotelesa nie byłoby bez Platona, eklektyzmu Cyserona bez filozofii greckiej, Kartezjusza bez scholastyki, Spinozy bez Kartezjusza itp. Na podstawie tego rodzaju wiadomości czy stwierdzeń stwarzamy – w pewnej mierze – pojęciową nić tożsamości poszczególnych etapów tradycji filozoficznej.

W jakim sensie i w jakim stopniu opis związków tożsamości wyczerpuje sprawę pochodzenia jakiejś koncepcji filozoficznej? Weźmy pod uwagę najpierw sens tych związków. Jest to jasne, że tożsamości tradycji filozoficznych nie można pojmować po prostu jako identyczności „tej oto koncepcji” z koncepcją „tamtą”. Każdy pomysł z wyjątkiem rzeczywistych plagiatów powstaje pod wpływem wielu tradycji. Trzeba więc przyjąć, że „to oto” stanowisko filozoficzne jest częściowo tożsame z wieloma „tamtymi” składnikami tradycji. Z dzieła „A” autor zapożyczył składnik „a”, z dzieła „B” pochodzi składnik „b”, z dzieła „X” składnik „x” itp.

Jeśli nawet uda się wykazać w sposób niewątpliwy daną ilość zapożyczeń, nie można pomimo to utożsamiać składników (zapożyczeń) dzieła rozpatrywanego z odpowiednimi składnikami dzieł źródłowych, gdyż tylko wyjątkowo do czynienia mamy z „prawie że całkowitymi tożsamościami”, nawet w zakresie składników elementarnych. I nawet w zapożyczeniach zbliżonych do plagiatu występuje jakieś przesunięcie znaczeń,

jakieś odchylenie, jakaś krytyka, jakieś – dajmy na to z powodu błędnego zrozumienia źródła – nieudane naśladownictwo. Innymi słowy, częściowe identyczności, stwierdzone w nieprzerwanym łańcuchu tradycji filozoficznych, są zawsze tylko identycznościami z zastrzeżeniami. Rozpatrzmy to na przykładzie.

Dualizm w filozofii okazjonalistów powstał bez wątpienia pod wpływem dualizmu kartezjańskiego i jest z nim częściowo identyczny. Nie wynika stąd, że aby zrozumieć filozofię Malebranche’a, wystarczy poznać same tylko pisma autora *Medytacji*... Pod uwagę wziąć trzeba pisma autorów innych, wpływ obfitej korespondencji itp. W rachubę wchodzi poniekąd wpływ całej w ogóle europejskiej tradycji filozoficznej. Źródła dostępne historykowi pozwalają w gruncie rzeczy jedynie na ułamkowe ustalenia niektórych tożsamości składników dzieł rozpatrywanych z dziełami źródłowymi.

Przypuśćmy jednak, że możliwa jest historiograficzna analiza zupełna wszelkich wpływów tradycji filozoficznych na pomysły i systemy nowe. Czy w takiej sytuacji metodą historyczną wyjaśnilibyśmy bez reszty ich pochodzenie? Otóż bez wątpienia pozostałaby duża reszta do wyjaśnienia. Na genezę pomysłów filozoficznych wpływ niemały wywierają bowiem tradycje innego rodzaju, np. prawne, artystyczne, literackie, w czasach nowszych przede wszystkim tradycje badań i teorii naukowych. Jeśli tylko historyk filozofii obeznany jest dostatecznie z dziejami literatury pięknej oraz z publicystyką danej epoki, znajdzie niejedną nić łączącą dzieła autora, stanowiącego przedmiot jego badań monograficznych z tradycjami niefilozoficznymi. A zatem ze względu na braki w zasobie źródeł i z uwagi na trudności dostępu do nich, historiograficzne poznawanie filozofii jako ciągu tradycji i zapożyczeń nie może być pełne.

Co prawda, nawet bardzo zasobne źródła historiograficzne nie wystarczyłyby do wyczerpującego wyjaśnienia treści danego systemu, zwłaszcza do poznania złożonych uzależnień od warunków społeczno-politycznych i od podłoża ekonomicznego. W tym stanie rzeczy, chcąc nie chcąc, historyk filozofii powołuje się nie tylko na tradycje kulturowe usytuowane poza obrębem filozofii, ale również na przyczyny psychiczne, społeczne, poniekąd nawet biologiczne, chociaż swoimi metodami i na podstawie ogólnie pojętych źródeł historycznych nie umie ich wykazać. Co więcej, historyk filozofii nie chce poprzestać na kronikarstwie, np. Durant stara się przede wszystkim poznać gospodarcze, ustrojowe, prawnopolityczne i obyczajowe źródła danych systemów i poszczególnych stanowisk filozoficznych. Ponadto stara się również poznać ich wpływ na życie społeczne.

Na poznawaniu takich to zależności między „bazą” a „nadbudową” polega zastosowanie metody materializmu historycznego do historii filozofii.

Trzeba jednak stwierdzić, że badanie owych zależności na podstawie źródeł historycznych jest zadaniem niezmiernie trudnym. Z tego powodu historyk filozofii otwarcie lub milcząco uznaje kompetencje innych nauk i specjalistów w pracy nad zrozumieniem pochodzenia filozofii. Podobnie postępuje historyk literatury, muzyki, sztuk plastycznych, obyczajów itp.

Co w filozofii podlega przede wszystkim i relatywnie łatwo poznaniu historycznemu? Nasamprzód – twórczość kontynuacyjna i epigonizm. Pierwsze z nich to wypracowywanie, zazwyczaj przez licznych komentatorów i naśladowców, idei relatywnie nowej; krócej – twórczość pochodna. W porównaniu z kontynuacjami epigonizm jest „schyłkowym ożywianiem” idei czy twórczości już przeważnie wyczerpanej. Zazwyczaj zarówno kontynuacje, jak i epigonizm przeciwstawia się twórczości wielkiej, tj. wysoce oryginalnej. Otóż o ile źródła twórczości oryginalnej zdają się wymykać badaniu historycznemu, twórczość pochodna poddaje się mu stosunkowo łatwo. Znaczy to, że pomysły epigona bez trudu utożsamia się z tradycją. Pomysł wysoce oryginalny, zarazem genialny, utożsamia się z wielkimi trudnościami, i to z różnorodnymi czynnikami tradycji. Łatwiej być przeto historykiem niemieckiej filozofii pokantowskiej, niż poznać historyczne źródła samego transcendentalizmu. Niełatwo zdać sprawę na podstawie źródeł historycznych z czynników tradycji, które powołały do życia system Arystotelesa, łatwiej wykazać wpływ arystotelizmu na dalsze etapy tradycji filozoficznej. Coś podobnego odnosi się do Platona i platoizmu, Descartes’a i kartezjanizmu, Tomasza z Akwinu i tomizmu itp. Im większa oryginalność, tym bardziej zawiły jest – dla historyka – związek z tradycją, tym większy wydaje się wpływ pozatradycyjalnych czynników psychicznych i społecznych na ukształtowanie się „tej oto” filozofii.

Przeważnie do źródeł historycznych odwoływać się trzeba nad genezą języka filozoficznego. Język ten jest bardziej tradycyjny niż kierunki zainteresowań filozoficznych i systemy pojęć. Jego twórcami byli przeważnie kontynuatorzy i komentatorzy. Nie ma kłopotu w szukaniu źródeł historycznych dla przeważnej części terminów w rodzaju: nominalizm–realizm pojęciowy, spirytualizm–materializm, idealizm–realizm, fenomenalizm, hedonizm–rygoryzm etyczny itp.

Trudniej opisać historiograficzne zjawiska inne, zwłaszcza dominowanie pewnych zagadnień i stanowisk filozoficznych w danym okresie dziejowym. Na przykład w drugiej połowie XIX wieku aż do pierwszej wojny światowej dominujące w Europie było zagadnienie epistemologiczne



„realizm-idealizm”, w dobie hellenizmu na planie pierwszym znajdowały się problemy najwyższej powinności i dobra, w wieku XVII problemy ontologiczne. W rachubę brać trzeba wiele tradycji pozafilozoficznych, jak również fakty z dziedziny historii społecznej, gospodarczej, a nawet politycznej. Trzeba się niekiedy decydować na niepewne – z punktu widzenia rozporządzalnych źródeł lub cudzych prac badawczych, opartych na źródłach historiograficznych – wnioski lub uogólnienia. Zazwyczaj pozostaje niewąski „margines wątpliwości”, wyrażający się w sporach teoretycznych między historykami filozofii.

Dochodzimy do wniosku, że w sprawie pochodzenia filozofii historyk (i to pierwszorzędny historyk, a nie kronikarz) zdolny jest do odsłonięcia tylko części prawdy. Źródła myśli filozoficznej są bowiem nad wyraz złożone. Znaczy to, że otwarta jest droga do poszukiwań innego rodzaju, które by uzupełniły wiedzę historyków. Zgodnie z programem zastanowimy się przeto z kolei nad drogą socjologiczną.

## Socjologiczne podejście do filozofii

W ujęciu socjologicznym filozofia jest to przede wszystkim zbiór idei kierowniczych, stanowiących podkład dla działalności społecznej, walki klas społecznych, oceny krytycznej dzieł twórczych, ważnych w świetle potrzeb życia zbiorowego. Nie wynika z tego, że socjologa nie interesują inne strony filozofii jako zjawiska, tj. jego zależności od społecznych warunków życia; np. treść i forma koncepcji logiki formalnej, teorii poznania, estetyki czy sposób zjawiania się zagadnień filozoficznych w umyśle ludzkim. W każdym razie geneza i „mechanizm” idei kierowniczych istnieją w ramach jego problematyki naukowej dotyczącej filozofii.

W jaki sposób – z określonych warunków bytu społecznego – powstają określone idee kierownicze, czyli idee naczelne o wartościach i powinnościach człowieka? W jaki sposób idee te wiążą się z naczelnymi pojęciami o istocie bytu wszelkiego i o istocie poznania ludzkiego? W jaki sposób już wypracowane idee naczelne o wartościach, powinnościach, bycie i poznaniu służą określonym potrzebom? Kiedy idee te przestają im służyć? W jaki sposób idee kierownicze kształtują nowe potrzeby społeczne? Jakie poglądy ontologiczne i etyczne, jakie stanowiska z zakresu logiki, teorii poznania i metodologii nauk odpowiadają najlepiej określonym kierowniczym ideom społecznym? Oto krąg trudnych pytań, w jakim obraca się, jak dotąd jeszcze słabo zaawansowana, socjologia filozofii.



Z czasów starożytnych datuje się pogląd, że filozofia jest narzędziem walk społecznych. Pogląd ten znalazł dobitny wyraz i wypracowany został w materializmie historycznym, tj. w filozofii marksistowskiej. W myśl tegoż klasy społeczne stwarzają swoje spojrzenie na świat, odpowiadające ich interesom żywotnym. „Systemy filozoficzne są związane z ustrojem ekonomicznym społeczeństwa, dając jego odbicie ideologiczne oraz służąc w obronie jego interesów”. Wraz ze zmianą interesów zmienia się także spojrzenie na świat. Typowym interesom odpowiadają pewne typowe poglądy metafizyczne. W szczególności np. metafizyka materializmu odpowiada interesom klas społecznych nieposiadających i uciskanych. Interesom klas posiadających odpowiada raczej idealizm i spirytualizm. Spirytualizm i spokrewnione z nim systemy filozofii idealistycznej stanowią instrument umysłowy do odwracania zainteresowania klas nieposiadających, a za to pracujących, od problematyki twardej walki o byt, instrument mający uśmierzać burze zawiści społecznej i niezadowolonia z niewoli ekonomicznej. Materializm odpowiada potrzebom klasy pracującej. Pogląd ten pozwala dojrzeć realny mechanizm życia i świata, uprzytomnić wyzyskiwanym ich niewolę społeczną i skupić się na walce o wolność.

Między materializmem a idealizmem – tak pojętymi – toczy się odwieczna walka. „Walka materializmu z idealizmem i dialektyki z metafizyką w dziedzinie filozofii, przewaga jednego z nich w filozofii danego okresu, ogólna kierunkowość tej filozofii – to wszystko związane jest tysiącnymi nićmi z bazą ekonomiczną społeczeństwa, z walką klasową, toczącą się w społeczeństwie”.

Wreszcie indyferentyzm religijny, agnostycyzm metafizyczny i pozytywizm epistemologiczny są również związane z walką klas. Są to mianowicie poglądy odpowiadające najlepiej ludziom wprawdzie nieposiadającym kapitałów, lecz sytym i niezależnym, niechby bezwiednie wysługującym się kapitalistom. Ludzie tego typu nie mogą się zdecydować na jasno określony pogląd na świat, toteż najlepiej odpowiada im koncepcja niepoznawalności świata. Stanowisko to, przedstawione w daleko idącym uproszczeniu, pozwala zorientować się co do właściwego sensu problemu społecznego pochodzenia filozofii.

Filozofia stanowi część „świata” wiedzy i idei, toteż zarysowany tu problem można uogólnić w formie pytania: Jaki jest „mechanizm” związków między światem idei a siłami społecznymi? Ponadto trzeba zastanowić się nad pytaniem: Jakimi metodami rozporządza socjolog celem poznania wpływu sił społecznych na filozofię oraz jak dalece metody te są użyteczne?

Pod nazwą „idee” rozumie się koncepcje (pojęcia, pomysły) pozostające w związku z działaniem i nakazujące określone działanie. Ideologie są to teoretyczne uzasadnienia danych idei o zasięgu społecznym; krócej – teorie ideologiczne społecznego działania. Konkretnie rzeczy biorąc, ideami są: ideały osobiste, przykazania moralne, imperatywy etyczne (w systemach filozoficznych), zasady programów politycznych, społecznych i gospodarczych, hasła pedagogiczne, pomysły nowatorskie w literaturze, w muzyce, w sztukach plastycznych itp. Ideologiami są: ekonomia polityczna marksizmu, teorie pedagogiczne, takie jak teoria wychowania zawarta w *Poemacie pedagogicznym* Makarenki. Idee stanowią niejako kościół danych ideologii. Z logicznego punktu widzenia ideologie stanowią system rozumowań, ze stanowiska epistemologicznego – pojęciowe odzwierciedlenie.

Idee stanowią niezbędne narzędzia działania i jako takie wywierają wpływ na działanie. Opis tego wpływu jest podobnie trudny, jak i sprawdzenie wartości idei. Wszystkie działania składają się ostatecznie z ruchów, ruchy świadome są uzależnione od impulsów korowych, impulsy te ze swej strony – od nabytych „dyspozycji” motorycznych. Dyspozycje te stanowią część śladów pamięciowych opartych na doświadczeniu. Wobec tego wpływ idei zasadza się ostatecznie na wpływie dyspozycyjnych śladów pamięciowych. Pamięć ma charakter konserwatywny, stąd również wszelkie idee – nawet idee najbardziej rewolucyjne – utrwaliwszy się, stają się konserwatywne. Idee raz utrwalone w jakimś umyśle niełatwo naginają się do nowych warunków, do nowych potrzeb i nowych okoliczności życiowych.

Idee osobiste powstają i utrwalają się raczej w wieku młodym. W wieku tym rozpoznanie obiektywnego stanu potrzeb i ich uzależnień jest zazwyczaj niedokładne; nierzadko bywa błędne. Młody człowiek nie zawsze zdaje sobie sprawę, czego i dlaczego czegoś chce. Stąd wywodzi się drugie ograniczenie idei osobistych.

Pośrednio i w pewnej mierze dotyczy to również idei społecznych. Utopijność niejednej z nich leżała w młodości jej twórcy lub wyznawcy. Można by więc rzec, że również idee społeczne cierpią niekiedy na młodością niedokładność.

Wprawdzie warunki życia wciąż na nowo korygują już utrwalone idee, pomimo to w świecie idei jest mniej dokładności niż w świecie pojęć naukowych, obciążonych nieporównanie słabszym ładunkiem emocjonalnym i sprawdzalnym o wiele pewniej i dokładniej, praktycznie biorąc bez obawy co do tego, że same tylko metody i czynności sprawdzania spowodują zmiany w zjawiskach poznawczych.

W każdym systemie filozoficznym mieszczą się – oprócz pojęć poznawczych – również idee kierownicze. W systemach zwanych popularnie światopoglądami idee kierownicze, a więc wartości, względnie przekonania o wartościach (w przeciwieństwie do stwierdzeń stanu faktycznego) występują na plan pierwszy. Formalnie rzecz biorąc, przekonania o wartościach wyrażone w określonych twierdzeniach wydedukowane są w nich z „bytu”, realnie natomiast stanowią podstawę i przyczynę opisu bytu w sposób określony; opisu „zabarwionego” przekonaniami aksjologicznymi, wskutek tego – mniej lub bardziej tendencyjnego i błędnego. Znaczy to, że idee kierownicze przenikają w nich etykę, filozofię społeczną, pedagogikę, estetykę, ogólną teorię kultury i cywilizacji, a nawet – pośrednio, przez rozumowania systematyczne – tak odległe od działania dyscypliny, jak ontologia, logika i teoria poznania. Jest jasne, że idee te kształtują się w umyśle danego filozofa pod emocjonalnym naciskiem warunków życia społecznego.

Jednakże potrzeby i całość warunków życia danego społeczeństwa, danej grupy lub klasy społecznej nie odbijają się „automatycznie” w umyśle filozofa. Trzeba przy tym uwzględnić, że zarówno poglądy poznawcze, jak i idee kierownicze kształtują się w czymś umyśle najpierw i w sposób przemożny pod wpływem tradycji – poprzez proces uczenia się i nauczania – to znaczy pod wpływem potrzeb i doświadczeń pokoleń minionych. Chociaż brzmi to paradoksalnie, potrzeby i sytuacje pokolenia w danej chwili działającego i wychowującego przyszłego filozofa wywierają na jego umysł wpływ pośredni. Jeśli nawet w oparciu o osobiste stwierdzenie i gwałtowne uczucia, to jednak prawie zawsze w sposób wymagający wybitnej inteligencji i odwagi do zrywania z tradycją. W systemie filozoficznym w szczególności zawarte w nim idee moralne, społeczne i wychowawcze bez wątpienia w pewnej mierze „odzwierciedlają” aktualne potrzeby i warunki życia danej społeczności, jednakże niełatwo „odczytać” stopnie tej to miary właśnie ze względu na odwagę, sugestywny przymus tradycji, z reguły przyswajanej już w dzieciństwie.

W ten sposób dochodzimy do napomknętego już zagadnienia metodologicznego: W jaki sposób socjolog potrafi ująć miarę zależności filozofii od warunków życia zbiorowego? Od rozwiązania tej kwestii uzależniona jest odpowiedź w sprawie granic socjologicznego opisu pochodzenia filozofii i jej przeobrażeń. Nie sposób rozpatrywać jej szczegółowo. Poprzestanę więc na paru zdaniach.

Jak pojmować wpływ sił społecznych na kształtowanie się zagadnień i stanowisk filozoficznych? Jeśli oprzeć się na pojęciu odzwierciedlania interesów społecznych w świadomości filozofa, przyjąć trzeba, że jest to

proces skomplikowany i że mówić można o nim tylko o tyle, o ile dokonuje się w okolicznościach dostępnych dla obserwacji naukowej. Nie sposób przypuszczać, że struktura warunków społecznych, w jakich żyje dany filozof, „odzwierciedlając się” w jego umyśle, przekształca się szybko i bezpośrednio w formę i treść odpowiednich zapatrywań filozoficznych. Proces odzwierciedlania się warunków społecznych pojmować należy raczej jako wypadkową wieloletnich, wielorakich i wysoce złożonych styczności przyszłego filozofa ze swoim środowiskiem społecznym i kulturowym. Przypuszczalnie proces ten przebiega mniej więcej tak:

Przyszły filozof styka się od pierwszych lat życia ze swoistymi podnietami umysłowymi. Swoiste są jego rozmowy z rodzicami i bezpośrednimi wychowawcami, swoisty jego dostęp do pewnej, właściwej danemu domowi i szerszemu środowisku, literatury pięknej, naukowej i filozoficznej. Nacisk raz w raz powtarzany i zaledwie zauważany wywierają normy moralne i kodeks towarzyski, właściwy temu środowisku. Częściej niż o inne osłuchuje się on o pewne tylko zapatrywania, obowiązujące lub najczęściej wyrażane w tym środowisku. Czynniki te i zapewne wiele innych urabiają w ciągu wielu lat wychowania domowego i szkolnego spłot nawyków myślowych, wyznaczających kierunek zainteresowań i zapatrywań, zanim dziecko staje się człowiekiem skorym i zdolnym do rozumowania samodzielnego.

Splot nawyków, w ich obrębie przekonań, wśród nich uprzedzeń intelektualnych, jakie w okresie wychowawczym opanowują każdego, powoduje, że nawet wysoce krytyczne rozważania myśliciela dojrzałego noszą przecież do pewnego stopnia znamiona jego środowiska z lat dziecięcych i młodzieńczych, z lat „bezkrytycznych”. Wpływ środowiska ujawnia się w sformułowaniu zagadnień, w układaniu ich hierarchii według stopnia ważności, a może najbardziej w przychylaniu się do pewnych tylko rozwiązań ontologicznych i aksjologicznych powziętych lub przyjętych zarysowo, mgliście czy intuicyjnie jeszcze przed zapoznaniem się z terminologią filozoficzną.

Ponieważ bezpośrednio środowisko wychowawcze, przede wszystkim dom rodzinny, związane jest licznymi więzami ze środowiskiem dalszym, strukturalnie podobnym, przekonania, w szczególności uprzedzenia światopoglądowe przyszłego filozofa stają się do pewnych granic produktem niepisanego poglądu na świat warstwy społecznej, towarzyskiej i kulturowej, z której pochodzi i która go pośrednio i bezpośrednio wychowała.

Nie wynika z tego, że utrwalające się niespostrzeżenie zapatrywania przyszłego filozofa odpowiadają rzeczywistym interesom grupy czy klasy

społecznej i środowiska, z którego się wywodzi. Idee są – ze względu na naturę pamięci – konserwatywne i raczej z opóźnieniami przystosowują się do potrzeb społecznych. Zdarza się, że filozofia danej grupy jest w świetle jej żywotnych potrzeb i interesów jak najbardziej fałszywa i samobójcza (np. idealizm i nacjonalizm dla Niemców).

Ale życie dokonuje weryfikacji przekonań światopoglądowych już mniej więcej ukształtowanego filozofa. To znaczy – dokonuje odsiewu przekonań filozoficznych, nieodpowiadających interesom społecznym danej grupy czy klasy. Stopniowo – nierzadko na drodze sporów – dokonuje się przystosowanie określonego układu przekonań filozoficznych do układu potrzeb danej klasy w jej położeniu bieżącym lub danego (mniejszego) ugrupowania społecznego.

Przy tym najpierw dokonuje się weryfikacja, eliminacja i proces przystosowania na odcinku idei społeczno-politycznych, gospodarczych, moralnych i wychowawczych, z kolei dopiero – nieraz w ciągu długiego czasu – na odcinku założeń ontologicznych i aksjologicznych, później zaś w zakresie przekonań epistemologicznych i logicznych. Procesy przystosowania pojęć ontologicznych i epistemologicznych do treści zwycięskich idei kierowniczych, a więc procesy ich logicznego uporządkowania i ubrania w język fachowy filozofów, można bez większych trudności prześledzić na kanwie filozofii. Zresztą historycy filozofii już częściowo to zadanie rozwiązaali. Podobnie, acz mniej wyraźnie ma się rzecz z procesem „rzutowania” systemów filozoficznych opartych na danej ideologii, ostatecznie zaś na danej idei kierowniczej, na potrzeby społeczne; na przebieg, jakość i nasilenie ich przeobrażeń.

Po z konieczności schematycznym ujęciu procesu odzwierciedlania się warunków, w szczególności interesów społecznych, w przekonaniach danego filozofa rzecz można, że kierunek zainteresowań, hierarchia problemów oraz treść zapatrywań czyjegoś (indywidualnego) poglądu na świat muszą być częściowo identyczne z kierunkiem zainteresowań, hierarchią problemów i treścią poglądu na świat określonej klasy społecznej, warstwy kulturowej pewnego narodu, a nawet pewnej cywilizacji.

Faktycznie, zarówno w badaniach historycznych, jak i socjologicznych liczymy się z tą częściową tożsamością poglądów filozoficznych danego autora z „duchem” danej klasy społecznej, danego narodu, wreszcie danej kultury i cywilizacji. Bez wahania klasyfikujemy, zgodnie z tym, pewien pogląd jako „typowy” średniowieczny, hellenistyczny, jako przynależny do epoki francuskich encyklopedystów itp. Miarę identyczności poznajemy przez określenie poglądu na świat danej grupy

czy klasy społecznej bez porównania poglądu już określonego z filozofią danego myśliciela.

Pomimo wielu dalszych możliwości poznawania „mechanizmu” filozofii od strony socjologicznej brak podstaw do przypuszczenia, że na tej drodze można zdobyć wyczerpującą wiedzę na temat źródeł jej powstawania i istnienia czy dalszych przeobrażeń. Niezbędne jest co najmniej uzupełnienie socjologii i historii filozofii jej psychologią. (Co prawda, w niniejszej pracy, napisanej przez psychologa, „uzupełnienie” stanowić będzie część główną opisu filozofii, jako przedmiotu badań naukowych). Wobec tego, że przedmiotem psychologii jest przede wszystkim działanie jako ogół szeroko pojętych procesów przystosowawczych człowieka do rzeczywistości, na planie pierwszym mamy w takim razie filozofowanie, a nie zobiektywizowany wytwór tegoż w postaci czy to filozofii osobistej danego człowieka, czy to poglądów filozoficznych w jakikolwiek sposób udostępnionych społecznie, praktycznie biorąc, w formie drukowanej. A zatem przyjrzyjmy się filozofii od strony psychologicznej, tj. filozofowania.

## Psychologia filozofowania

Aby móc trafnie odpowiedzieć na pytanie, jakie są „sprężyny” filozofowania, trzeba nasamprzód spojrzeć na historię pomysłów i badań w tym zakresie. Otóż ogólnie rzecz biorąc, dzieje psychologii filozofowania są krótkie. W ciągu wielu wieków filozofów interesował nie ich własny warsztat twórczy, lecz świat, i to w ujęciu całościowym. A jeśli skupiali się na warsztacie, jak to robił Kant, bynajmniej nie chodziło im o poznanie mechanizmów psychicznych, lecz raczej o zgłębianie apriorycznych warunków poznania, pojętych jako swoisty rodzaj obiektywnych praw przyrody, niezależnych od zmienności uzależnień, m.in. od osobistej motywacji osoby poznającej dany przedmiot. Wiadomo, że kantyizm w kręgu swoich oddziaływań hamował podejście psychologiczne do filozofii, psychologię w ogóle. Wywierał taki wpływ pomimo faktycznie psychologicznego charakteru podstawowych twierdzeń. Podobnie miała się rzecz z fenomenologią Husserla.

Za widoczny początek psychologii filozofowania można by uznać umownie Karla Jaspersa *Psychologie der Weltanschauungen* z roku 1919 (wydanie drugie poszerzone 1925–1927). Dzieło to i publikacje teoretycznie podobne oparte były na pojęciu typu psychicznego. Pojęcie to służyć miało wielu autorom do zastosowania lub co najmniej do uzupełnienia niewiele



obiecującej psychologii eksperymentalnej, tj. psychofizyki i psychofizjologii pokroju wundtowskiego, psychologią bardziej zbliżoną do potrzeb życia (stąd „psychologia życia”). Otóż na kanwie żywiotowo pleniącej się w latach międzywojennych koncepcji typów psychicznych Jaspers przedstawił w swym dziele w sposób sugestywny, acz mistyczny, teorię związków i zależności między typowymi układami cech osobowości a jakościowo różnymi, filozoficznymi zapatrywaniami na świat. Nowością był w tym raczej rozmiar dzieła niż jego treść, istotnie nawiązująca do pomysłów, zawartych w pismach Johanna Gottlieba Fichtego i Kierkegaarda, przede wszystkim zaś Williama Jamesa (*Pragmatism*, 1907, zwłaszcza zaś *A pluralistic universe*, 1909). U wszystkich przewija się jedna i ta sama myśl psychologiczna, że sposób patrzenia na świat, formułowania i rozwiązywania zagadnień filozoficznych przystosowany jest do typowej struktury osobowości człowieka, zdolnego do abstrakcyjnego myślenia o całości bytu.

Stanowisko to podtrzymywało w latach międzywojennych wielu filozofów psychologizujących, głównie Niemców. Donośny oddźwięk w świecie intelektualnym – zwłaszcza w promieniu oddziaływania języka niemieckiego – zdobyły sobie szczególne koncepcje Eduarda Sprangera (*Lebensformen*, 1914) i Richarda Müllera-Freienfelsa (*Persönlichkeit und Weltanschauung*, 1919). Pierwszy z nich uplasował filozofów w zasadzie w obrębie typu człowieka religijnego. Drugi opracował szczegółową typologię osobowości i odpowiednich nastawień do filozofowania.

W zasadzie w tym samym kierunku prowadziły pomysły głośnych ongiś rzeczników typologii w zasadzie przyrodniczej: Ernsta Kretschmera (*Körperbau und Charakter*, 1916) i Carla Gustava Junga (*Psychologische Typen*, 1921). Wprawdzie nie opracowali oni psychologii filozofowania, jednakże ich teorie prowadziły do wniosków co do zależności różnych sposobów myślenia filozoficznego od przynależności do określonego typu konstytucji psychofizycznej (Kretschmer) bądź do jednego z dwóch podstawowych typów psychicznych (Jung), w zasadzie wyjaśnianych różnicami budowy anatomicznej. Co prawda, Kretschmer wystąpił w swych *Ludziach genialnych* (*Geniale Menschen*, 1929) konkretnie z szeregiem twierdzeń co do jakości pogotowia do myślenia filozoficznego, rzekomo wynikającej z przynależności do typu schizotypicznego bądź cyklotypicznego osób inteligentnych i zdolnych do rozważań abstrakcyjnych o świecie i życiu. W jego przekonaniu sposób czyjegoś filozofowania jest uzależniony od przynależności do określonego typu konstytucji psychofizycznej. Co więcej, można się go słusznie domyślać z cech budowy, zwłaszcza zaś fizjonomii danego filozofa.



W innym kierunku prowadziły rozważania psychiatrów i psychologów, w zasadzie przekonanych o słuszności założeń psychoanalizy. Sam jej twórca Zygmun Freud nie sprecyzował wprawdzie konkretnych twierdzeń co do źródeł twórczości filozoficznej, jednakże swymi pomysłami teoretycznymi, w szczególności pojęciem sublimacji, zawiązkowo wskazał drogę w tym kierunku, np. w publikacji *Die Zukunft einer Illusion* (1927). Ogólnie rzecz biorąc, z psychoanalizy wynikało przede wszystkim nastawienie na poznawanie napędu do filozofowania, a więc na problem całkowicie inny niż u typologów. Ortodoksyjni psychoanalitycy za napęd istotny wszelkich poczynąń ludzkich, w szczególności poczynąń twórczych, uważali różnie (ponadto w liczbie pojedynczej lub mnogiej) nazywany popęd seksualny. Trzeba było przekonywać laików, a jeszcze bardziej psychologów, o tym, że twórczość malarska, naukowa, również twórczość filozoficzna stanowi sposób ujawniania się owego popędu. Pojęcie sublimacji służyć miało do uprawdopodobnienia tej zależności. Nie sposób tutaj wchodzić w szczegóły.

Nieortodoksyjni psychoanalitycy za oczywiste uważali energetyczne podejście do opisu życia psychicznego, oparte w zasadzie na pojęciu popędu wrodzonego, jednakże na ogół oderwali się od pojęcia sublimacji i przestali akcentować rolę popędu seksualnego. Zbliżali się tym samym mniej lub bardziej do teorii angielskiego psychiatry Williama McDougalla, zwanej hormizmem, opartej na przekonaniu, że postępowanie ludzi uzależnione jest od wielu niezależnych od siebie popędów wrodzonych, stopniowo w ciągu życia przystosowujących się do wymogów społecznych i do kultury.

Ten kierunek kontynuował psychoanalitik wiedeński Alexander Herzberg, autor drugiego historycznie rzecz biorąc dzieła frontalnie poświęconego psychologii filozofowania (*Psychologie der Philosophen*, 1926). W ujęciu zarysowym istotną przyczyną filozofowania jest – według Herzberga – otamowanie wypadkami losowymi wrodzonej energii do działalności praktycznej ludzi inteligentnych i zdolnych do rozważań abstrakcyjnych. Nie mogąc z powodu kalectwa lub niesprzyjających warunków środowiskowych działać aktywnie w sensie praktycznym, np. na polu organizacyjnym, ludzie tacy wyżywają się w rozważaniach spekulatywnych.

Koncepcja ta i teoria na niej zbudowana wydaje się w zasadzie prawdopodobna. Jej oczywiste granice zawarte są w braku odpowiedzi na pytanie, czemu to osoby wysoce inteligentne i pełne energii witalnej, lecz niemające warunków do jej ujawniania, zajmują się właśnie filozofią, a nie czymś innym, np. teoretycznymi problemami jakiejś nauki empirycznej lub lite-

raturą piękną, co przecież też można by robić pomimo przeszkód w działalności praktycznej. Można by już pominąć pytanie, na które w świetle teorii Herzberga odpowiedź sensowna w ogóle nie jest możliwa: Jak to się dzieje, że filozofowanie obraca się dokoła stosunkowo niewielkiego zbioru zagadnień w gruncie rzeczy wciąż tych samych, przede wszystkim ontologicznych i etycznych? Koncepcja zahamowania witalności (ludzi wysoce inteligentnych i zdolnych do teoretyzowania) byłaby w tej sprawie całkowicie nieprzydatna.

Otóż właśnie w psychologii filozofowania chodzić może, a nawet powinno, przede wszystkim o wykazanie rodowodu poszczególnych zagadnień filozoficznych z czynników psychicznych, a to wobec niemożliwości wyczerpującego wyjaśnienia ich powstawania na płaszczyźnie uzależnień społeczno-historycznych. W tym kierunku zmierzałem w latach 1931-1939, najpierw w badaniach – w szerokim sensie tego słowa – doświadczalnych (*Psychologia filozoficznego światopoglądu młodzieży*, 1933, *Zainteresowania filozoficzne młodzieży*, 1934), następnie w wielu pracach teoretycznych, podsumowanych w roku 1939 obszerną rozprawą *O pochodzeniu filozofii*.

Dalszy rozwój psychologii filozofowania przebiegał w kierunku innym, a mianowicie w kierunku szukania odpowiedzi na pytanie, jakie następstwa w świadomości pociąga za sobą nowoczesna wiedza naukowa jako główny czynnik powstawania wiedzy osobistej.

W przybliżeniu bądź umownie od czasu ukazania się dzieła *O obrotach ciał niebieskich* Kopernika, a na dużą skalę od wielkich odkryć Galileusza zaczął narastać kryzys światopoglądowy europejskich intelektualistów. Historyczne etapy tegoż są znane. W XX wieku, zwłaszcza jednak po drugiej wojnie światowej, pod wpływem lawinowego postępu nauk ścisłych i techniki kryzys ten stawał się coraz ostrzejszy i rzec by można – jednostajnie przyspieszony. W tempie coraz szybszym zaczęła się kurczyć uczuciowo-pojęciowa świadomość religijna na rzecz świadomości determinowanej przez wiedzę naukową. Proces ten narzucał się masą problemów wielu i różnym humanistom: historykom, socjologom, psychologom i innym. Jego odzwierciedlenie psychologiczne znaleźć można m.in. w pionierskiej pracy Władysława Witwickiego *La foi des éclairés* z 1948 roku (tłum. polskie *Wiara oświeconych*, 1954).

Postępujący zanik światopoglądu religijnego, oczywisty również u ludzi formalnie nadal wierzących, spotęgowany został po Rewolucji Październikowej w Związku Radzieckim, a po drugiej wojnie światowej również w innych krajach socjalistycznych. Rozumie się, że władze

w tych krajach, działające według filozofii marksistowsko-materialistycznej, były i nadal są zainteresowane w miarę możliwości planowym kształtowaniem świadomości, zgodnie nie tylko czy o prostu z treścią nowoczesnej wiedzy naukowej, ale ponadto z treścią materializmu dialektycznego i historycznego.

Na tym tle zrozumiałe są liczne publikacje rozmaitego pokroju i kalibru, zaliczane do kilku nauk, przeważnie jednak do publicystyki, dotyczące procesu przekazywania i przyswajania przez odbiorców światopoglądu marksistowskiego.

Dotyczy to w szczególności publikacji psychologicznych, np. Bolesława Hornowskiego *Psychologiczne podstawy kształtowania poglądu na świat* (1959). Problem mechanizmu myślenia filozoficznego znajduje się w nich na planie dalszym, jeśli obecny jest w ogóle. Natomiast na plan pierwszy występują: stwierdzenia statystyczne, przeważnie uzyskiwane na drodze ankiet, kwestionariuszy, wywiadów oraz rezultatów konkursów prasowych co do stanu zainteresowań, zapatrywań i przekonań mniej lub bardziej filozoficznych współczesnej młodzieży i dorosłych, analizy pojęciowe oraz opis warunków przypuszczalnie sprzyjających powstawaniu przekonań, zgodnych ze strukturą pojęciową światopoglądu naukowego. Osiągnięcia psychologiczne w sensie wyników pogłębionych badań naukowych są w tym piśmiennictwie raczej niewielkie. Są jednak potrzebne, a uzyskiwać je mogą przede wszystkim filozofowie, najbardziej tą sprawą zainteresowani.

## **Problematyka psychologii filozofowania**

W tym celu potrzebne jest nasamprzód należyte sprecyzowanie problematyki psychologii filozofowania. Wszak bez tego kroku nie sposób opracować długofalowego programu badań w przyjętym zakresie. Filozofowanie nie jest wysoce złożoną aktywnością, niekiedy odpowiednią działalnością twórczą. Rezultatem jednej i drugiej są jakieś ślady – czy to w osobowości, czy to ponadto w postaci dzieł twórczych. Znaczy to, że najpierw sprecyzować wypadałoby problemy dotyczące powstawania myślenia filozoficznego: form powstawania tegoż i uzależnień. Z kolei problemy funkcjonowania osobistej wiedzy filozoficznej, w jej zaś obrębie osobistych przekonań filozoficznych. Wreszcie, w rachubę wchodzi problemy współzależności między typowymi układami cech osobowości a układami przekonań światopoglądowych. A więc na plan pierwszy wysuwa się myślenie filozoficzne, z kolei dopiero rezultaty tegoż czy to osobowościowe, czy to

kulturowe. Jednak nie należy lekceważyć krótkich dziejów psychologii filozofowania. A zatem najpierw trzeba by sprawdzić pomysły już znane i na plan pierwszy wysunąć mieszczące się w nich problemy.

Jeśli zgodzić się z tym, pierwszy ramowy problem psychologii filozofowania dotyczy odpowiedniości między zainteresowaniami i przekonaniami filozoficznymi a układami cech osobowości. Takie, tj. formalne, ujęcie tegoż niech nie przesądza w sprawie, co od niego uzależnione jest rzeczywiście. Napomknięte wcześniej pomysły typologiczne w zasadzie sprawę tę przesądzały, a to w sensie biologicznym. Jest to jaskrawo widoczne na gruncie konstytucjonalizmu Kretschmera.

Rzecz tę można jednakże rozpatrywać inaczej, a mianowicie w świetle pytania, w jaki sposób cechy osobowości i układy tychże, powstałe w biegu życia na tle różnych form aktywności ludzi zdolnych do myślenia abstrakcyjnego, prowadzą na drodze refleksji logicznej do odpowiednich zainteresowań filozoficznych, w ślad za tym do niewyraźnych bądź zdecydowanych przekonań światopoglądowych. Zrezygnowalibyśmy tym samym z dość prymitywnego korelacionizmu, opartego ostatecznie na genetyce, na rzecz funkcjonalizmu psychologicznego. Nie wynikałoby stąd, że genetycznie uwarunkowane typy konstytucji psychofizycznej nie grają w ogóle żadnej roli w powstawaniu związków zależności między strukturą osobowości a kierunkiem zainteresowań filozoficznych i treścią czyjegóż ogólnego poglądu na byt i świat wartości. Prawdopodobnie jakąś rolę – oczywiście do zbadania – trzeba by im przyznać. Co prawda, zawsze tylko rolę pośrednią i zapewne od filozofa do filozofa nierównie wielką, a to stosownie do nierównego indywidualnie udziału splotu warunków biologicznych i w zakresie środowiska społeczno-kulturalnego w procesie formowania się cech i struktur ich osobowości. W takim ujęciu problem „typ osobowości a filozofia” jest w gruncie rzeczy nowy i tylko ogólnie nawiązuje do znanych nam twierdzeń typologicznych. Inna rzecz, jak dalece problem w ten sposób postawiony jest pilny i wart odpowiednich prac badawczych; dodajmy – prac zapewne długotrwałych z uwagi na przypuszczalnie skomplikowaną metodologię.

Kolejny problem ramowy, oparty na krótkich dziejach psychologii filozofowania, dotyczy napędu bądź wielu napędów do rozważań ontologicznych, etycznych, epistemologicznych i pochodnych. Nie ma wątpliwości, że jest to problem realny. Co innego, jak dalece lub czy w ogóle słuszne byłoby opieranie się na jakkolwiek bądź formułowanej koncepcji popędu wrodzonego. W szeregu publikacji teoretycznych, m.in. *Mechanizm natury ludzkiej* (1938–1939), *Natura ludzka* (1939), *Energetyczne problemy psycho-*

logii (1967), *Sporne problemy psychologii* (1969), usiłowałem wykazać małą przydatność pojęć „instynkt” i „popęd wrodzony” do naukowego opisu motorów ludzkiego postępowania. Z ewolucyjnego punktu widzenia pojęcia te wydają się słuszne. Uwzględnić trzeba jednak wyjątkowo wielkie trudności metodologiczne w dotychczasowych próbach utożsamiania napędów biologicznie odziedziczonych i u danej osoby wrodzonych z rzeczywistymi napędami występującymi w konkretnych motywach ludzkiego postępowania. Niezależnie od trudności metodologicznych trzeba się liczyć z wątpliwym skojarzeniem słowa „popęd” i źródłosłowu „pęd” z wrażeniami kinestetycznymi i ze złożonymi przeżyciami w granicach między wielką mocą a poczuciami słabości czy bezsily.

Jednakże mimo to termin „napęd” (ale nie „popęd wrodzony”) wydaje się o tyle słuszny, o ile domyślamy się wiodącej roli pewnego czy pewnych uzależnień w skomplikowanym układzie warunków postępowania, a więc na tle wielu innych warunków grających rolę drugorzędne. W takim rozumieniu tegoż można by się zgodzić, że napędami do filozofowania są stwierdzalne potrzeby w szerokim sensie tego słowa kulturalne oraz konkretne motywy postępowania od potrzeb mniej lub bardziej uzależnione.

Znaczy to, że problem napędów do filozofowania byłby w zasadzie tożsamy z problemem ogólnych potrzeb i konkretnych motywów wiodących dane osoby ku określonym zagadnieniom filozoficznym i przekonaniom światopoglądowym. Wszelkie inne napędy traktowalibyśmy w takim razie jako okoliczności wyzwalające filozofowanie na gruncie stwierdzalnych bądź faktycznie stwierdzanych potrzeb ogólnych i motywów konkretnych. W ich poznawaniu tkwi osobny problem psychologii filozofowania. Rozumie się bowiem, że osobno trzeba by badać wiodące potrzeby i motywy, osobno zaś okoliczności wyzwalające czy dodatkowe, zanim pokłóciłibyśmy się o syntetyczną teorię napędów do filozofowania.

## **„Mechanizm” myślenia filozoficznego**

Nie wystarczy poznawać napędy. Trzeba by na podstawie odpowiednich badań odpowiedzieć na kapitalne pytanie, czemu to ludzie zwani filozofami lub myślicielami mocowali się zawsze i wszędzie z zagadnieniami w gruncie rzeczy jednymi i tymi samymi pomimo niejednakowego akcentu na zagadnieniach poszczególnych. Ten właśnie problem interesował mnie przede wszystkim zarówno w pracach badawczych, jak i w rozważaniach teoretycznych.

Próbowałem go rozwiązać. Podniety po temu stanowiły: niezadowolenie z teorii typologicznych i psychoanalitycznych, a w ślad za tym ich krytyka. Na kierunek rozwiązania naprowadziły mnie w pewnej mierze zawarte w pamiętnikach i dziennikach oraz w korespondencji osób młodocianych liczne wypowiedzi, których treść ogólną można by podsumować w zwrocie „dziwność istnienia”. Jednakże w mierze istotnej oparłem się na własnej próbie zastąpienia „instynktologii” koncepcją wyjątkowo wielkiej u człowieka roli wyobraźni, podsycanej wciąż narastającymi masami osobistego doświadczenia, zaś w obrębie tegoż – osobistej wiedzy.

W ujęciu zarysowym tak oto przedstawiałem sobie w roku 1933 i w gruncie rzeczy bez zmian istotnych przedstawiam sobie nadal „mechanizm” pojawiania się zagadnień ontologicznych i etycznych w świadomości osoby nieodbywającej akademickich studiów filozoficznych. Niezależnie od szkolnego nauczania i w różnych warunkach społeczno-kulturowych, nawet w warunkach bardzo prymitywnych w trakcie osobistej walki o byt, zabawy i recepcji kultury człowiek zdobywa ogromną w porównaniu z hominidami masę doświadczenia osobistego. Podłożem po temu są wyjątkowe u człowieka cechy kory mózgowej, w związku z tym i zwrotnie specyficznie ludzkie możliwości życia.

Im więcej doświadczenia, zwłaszcza wiedzy osobistej, tym bujniejsza może być czyjaś wyobraźnia, jako zdolność uprzytomniania sobie rzeczy w danej chwili dla wzroku czy słuchu nieobecnych. Przy dużej sprawności tejże, rozpatrywanej jako inteligencja ogólna, istnieje wciąż pogotowie do odrywania się od spraw czy kłopotów bezpośrednio związanych z walką o byt, z życiem seksualno-erotycznym, z zabawą i z recepcją kultury ku problemom mniej lub bardziej abstrakcyjnym.

Sposób korzystania i rozmiar korzyści z pogotowia zależą od wielu czynników zmiennych. Jednakże niezależnie od nich sposób korzystania z pogotowia w formie myślenia abstrakcyjnego ujawnia się w pewnych tylko kierunkach. Dzieje się tak w kierunkach związanych zarówno z treścią, jak i z formami doświadczenia, wyrażającymi się czy wyrażalnymi w pytaniach dotyczących tożsamości rzeczy i zjawisk (kto? co?), miejsc i czasów (gdzie? kiedy?), stosunków przestrzennych i czasowych, przyczyn i skutków, celów działania rzeczywistego ludzi bądź domniemanego działania zjawisk, złożonych zależności zjawisk i układów tychże, stosunków i związków zależności między wielkościami myślowymi itp.

W miarę jak narasta doświadczenie osobiste, w szczególności wiedza osobista, odzwierciedlająca obiektywną wiedzę naukową, nasila się potrzeba stawiania nowych pytań w wymienionych kierunkach, a więc



zarazem potrzeba nowej wiedzy. Granice możliwości praktycznych, a w nauce możliwości metodologicznych, nie powstrzymują osoby wciąż czegoś nowego dowiadującej się i wciąż chciwej wiedzy przed stawianiem pytań, na które nie umie znaleźć odpowiedzi. Pytania takie nazwałem niegdyś hiperfunkcjami celem zaznaczenia przynajmniej chwilowej bezradności intelektualnej człowieka stawiającego pytania w ramach specyficznego przeżycia, które nazwałem „dziwnością istnienia”. Konkretnie rzecz biorąc, w rozważaniach osób młodocianych dziwność ta występuje często w odniesieniu do problemów kresu, względnie bezkresów czasu, przestrzeni i celów.

Wymogi walki o byt, w ich obrębie wymogi pracy zawodowej, opuszczenie murów szkolnych, niedostatek czasu i ochoty do samokształcenia pociągają za sobą postępujące ograniczenie nasilenia i częstotliwości pytań hiperfunkcyjnych pomimo ciągłego wzrostu zasobów wiedzy osobistej. Tym próbowałem wyjaśnić fakt „gorączki” filozofowania młodzieży kształcącej się, natomiast względną rzadkość tego zjawiska w przypadku pokolenia pracujących zawodowo.

W procesie powstawania przeżyć w postaci „dziwności istnienia”, a na ich tle formowania się konkretnych zagadnień uwzględnić trzeba ponadto czynniki okolicznościowo pobudzające do refleksji „nad światem”. W grę wchodzi tu przede wszystkim wstrząsy uczuciowe i kryzysy w życiu osobistym, pobudzające do rozmyślań nad sensem i mechanizmem życia, np. wstrząsy spowodowane utratą osób bliskich, silne podniety intelektualne ze świata nauki i techniki, np. informacje o możliwości kształtowania jakości genów człowieka. Ponadto – inaczej niż w teorii Herzberga – zaznaczyć trzeba rolę chwil słabości energii witalnej, a nie jej otamowania. Właśnie bowiem raczej chwilowa słabość niż nadmiar losowo otamowanej energii witalnej skłania do zadumy światopoglądowej ludzi zazwyczaj pełnych witalności, przy tym inteligentnych i o szerokim wachlarzu zainteresowań. Wreszcie nie bez znaczenia są dyskusje i spory w sprawach intelektualnych.

W tym układzie przyczyn istotnych i okoliczności mogą się pojawić całkiem sprecyzowane zagadnienia, zwane odwiecznie filozoficznymi, a skupione przeważnie bądź najpierw dokoła „istoty bytu”. Jakość ich sformułowania zależy istotnie od stanu osobistej kultury filozoficznej, jednakże treść jest w zasadzie jednakowa czy to u tzw. laika, czy to u „fachowca” w filozofii.

Treść zagadnień stanowi niejako ciąg dalszy pospolitych czy naukowych zapytań według podstawowych kategorii poznawania rzeczywi-



stości: 1. co (kto) to jest?; 2. gdzie, w jakim kierunku, jak daleko?, kiedy (w porównaniu z chwilą obecną), w szczególności jak szybko, jak dawno?, z czego (to powstaje, powstało)?, dlaczego (to zrobić)?, po co (chce to zrobić)?, jak jest wielkie czy małe (w porównaniu)?

Otóż właśnie na tle tych samych i podobnych pytań, powszednich czy naukowych, w szczególnym układzie przyczyn ludzie „wpadali” niekiedy i nadal „wpadają” na tory zagadnień ani powszednich, ani naukowych, lecz właśnie filozoficznych. Oto główne zagadnienia, które w związku z tym pojawiły się i ukształtowały w dziejach filozofii:

1. skończoności czy bezgraniczności przestrzeni;
2. skończoności czy wieczności czasu;
3. ostatecznej podzielności przedmiotów materialnych;
4. ostatecznej przyczyny bytu;
5. ostatecznego charakteru substancji tegoż;
6. ostatecznego celu bytu;
7. ostatecznej wartości bytu.

Sformułowania konkretne tych zagadnień bywały i bywają nadal różne, to jednak nie ma tutaj znaczenia istotnego. Natomiast istotny jest sposób rozwiązywania zagadnień filozoficznych w porównaniu z problemami naukowymi. Przyjrzyjmy się tej sprawie z bliska.

Spójrzmy w tym celu na filozofowanie najpierw oczyma laika. W jego ocenie zagadnienia filozoficzne są przede wszystkim zawrotnie zawile. Odbiegają one niezmiernie od wszelkich spraw „człowieka pocziwego”. Są niewidzialne i niedotykalne. Filozofować znaczy to – w oczach laika – używać słów wprawdzie w swym brzmieniu bardzo mądrych, lecz z trudnością zrozumiałych lub wręcz niezrozumiałych. Znaczy to, że zdaniem laików, specyficzną właściwością myślenia filozoficznego jest daleko posunięta abstrakcyjność i nieoglądowość.

Czy to prawda? Czy wysoce abstrakcyjne jest tylko myślenie filozoficzne? Czy myślenie matematyków i fizyków nie jest krańcowo abstrakcyjne? Zresztą w każdej nauce nie brak fragmentów lub momentów wielce abstrakcyjnych, takich w każdym razie, które w oczach laika musiałyby uchodzić za filozofowanie.

Podobieństwo to jest pozorne i pomimo wątpliwości intuicyjny pogląd laika wydaje się zbliżony do prawdy. Matematyk myśli wprawdzie również w sposób wysoce abstrakcyjny, ale przedmioty jego myślenia są innego rodzaju niż przedmioty myślenia filozoficznego. Matematyk rozwija – w oparciu o zasady logiki oraz przyjęte definicje – wnioski i rozumowania formalne. Filozof snuje nić pomysłów o rzeczywistości

lub o stosunku umysłu do rzeczywistości. W każdym wypadku zmierza do – ostatecznego – poznawania rzeczywistości, a nie po prostu do konstruowania przedmiotów fikcyjnych według przyjętych uprzednio aksjomatów.

Różnica istotna między wysoce abstrakcyjnymi sposobami myślenia filozofa a matematyka polega na możliwości sprawdzenia. Matematyk sprawdza rezultaty swoich przemyśleń abstrakcyjnych na zadaniach, do których wprowadza swe pojęcia, oderwane od rzeczywistości namacalnej. Filozof nie ma gdzie ani jak sprawdzać swoich rozwiązań.

Matematyk nie potrzebuje zasadniczo oglądowego styku z rzeczywistością pomimo tego, że ostatecznie jego wiedza służy do jej poznawania, pośrednio do jej opanowywania praktycznego. Jeśli jednak posługuje się pewnymi środkami do oglądania, np. wykresami lub metodami geometrycznymi, czyni to głównie ze względu na nauczanie, niekiedy również celem ułatwienia sobie pracy, od samego początku do końca pozostającej w dziedzinie abstrakcji. W przypadku filozofa jest inaczej. Potrzebuje on zasadniczo i szuka styku z rzeczywistością, bo wszak do niej odnosi „frontalnie” owoce swych wysiłków, tj. swoje pomysły abstrakcyjne. Wszak o niej mówi. Świadomie zmierza do jej odzwierciedlenia.

Rzecz w tym, że potrzebując istotnie na każdym kroku kontaktu z rzeczywistością, nie znajduje go w tym znaczeniu, w jakim go potrzebuje. Nie ma bowiem w doświadczeniu ostatecznych granic czasu i przestrzeni, całości bytu, ostatecznego celu, ostatecznej przyczyny, ostatecznego sensu bytu, ostatecznego dobra i zła, ostatecznej prawdy itp.

Filozof zmierza wprawdzie do poznania bytu, a nie do wniosków z pojęć dowolnie przyjętych, ale kontaktu z bytem realnym nie znajduje. W myśleniu jego brak przeto „zwrotnej” wymiany usług między rozumem a żywym doświadczeniem, wymiany tak istotnej dla myślenia powszedniego i naukowego. Obojętnie, jak nazwiemy czyjejs stanowisko filozoficzne, każde z nich jest wytworem „czystego rozumu”, w znaczeniu rozumu nie trzymanego na wodzy przez żywe doświadczenie. Dotyczy to jednakowo racjonalizmu, jak też empiryzmu.

W braku styczności z namacalną rzeczywistością filozof zdany jest w swoim myśleniu na przeprowadzenie działań wyłącznie umysłowych, na „alchemię słów”, na rozmyślanie, na poszukiwanie argumentów i kontrargumentów, na analizę pojęć. Innymi słowy, myślenie filozofa – ściślej – osoby w danej chwili filozofującej – polega na umysłowej kontemplacji zagadnień, na kontemplacji w najwyższym stopniu abstrakcyjnej, aczkolwiek umyślnie skierowanej na rzeczywistość.

Taki stan rzeczy myśliciele niektórzy odczuwali jako zarówno wielce przykry, jak i wysoce niezadawalający w porównaniu ze sposobami myślenia naukowego. Starali się też zaradzić złu lub wyrównać je w jakiś sposób. Jedną z form zaradzenia nadmiernej abstrakcyjności myślenia filozoficznego polega na posługiwaniu się obrazowymi porównaniami, przypowieściami i symbolami, a to celem unaocznienia odbiorcom lub sobie samemu pomysłów i rozumień, niemało również celem ich powiązania – choćby namiastkowo – z naocznym doświadczeniem.

Przypomnijmy sobie w związku z tym platońskie porównanie sytuacji umysłu chcącego dotrzeć do świata idei z sytuacją człowieka w jaskini, oglądającego świat poza nią jedynie w formie cieni rzucanych na jej ściany. W każdym razie wzrokowa metafora jest częstym zjawiskiem w tradycji filozoficznej.

Oprócz prób namiastkowego unaoczniania pojęć w najwyższym stopniu abstrakcyjnych znać też u wielu myślicieli skłonność do przesadnego wyrównywania niedostatków myślenia filozoficznego. Przede wszystkim więc od najdawniejszych czasów napotykamy na skłonność do podkreślania nadrzędności myślenia filozoficznego w porównaniu z myśleniem nawracającym wciąż na nowo do doświadczenia zmysłowego. W poglądach niejednego filozofa można znaleźć wyraz przekonania, że myślenie praktyczno-życiowe, a nawet myślenie naukowe specjalistów dotyczy spraw mało ważnych, natomiast tylko myślenie filozoficzne, jako odnoszące się do spraw „wiecznych” czy „nadrzędnych”, ma w całej pełni wartość poznawczą.

Razem wzięwszy, myślenie filozoficzne znamionuje przerost argumentacji. Rozpatrzmy dokładniej to twierdzenie.

Filozof – obojętnie jakich przekonań – zmierza do pojęciowego uchwycenia absolutu, zresztą jakkolwiek bądź pojętego. Zmierzając do swego celu, układa ciągi argumentów i wniosków; przeważnie ciągi długie w porównaniu z argumentacją powszednią i naukową. Wobec tego rezultat myślenia filozoficznego nad danym zagadnieniem jest w licznych przypadkach alternatywny. W jego przebiegu okazuje się nie tylko po prostu uzasadnienie jednej alternatywy, ale również wykazanie błędności alternatywy drugiej. Filozof zmuszony jest zatem z reguły do układania skomplikowanego ciągu argumentów i kontrargumentów, do wielce złożonych uzasadnień i ataków krytycznych.

Często z tego właśnie powodu niekończące się rozumowania filozofów mają charakter na wskroś polemiczny. Jest w nich walka obronna o pogląd własny i walka zaczepna z przeciwnikami, nieraz z kilku obo-

zów. Bodajże z tego właśnie powodu w oczach laika „filozofować” znaczy po prostu spierać się, walczyć bez końca o zapatrywanie abstrakcyjne, odległe od spraw życiowych.

Na taki właśnie charakter myślenia filozoficznego natrafiamy zwłaszcza w zawiłych rozumowaniach naśladowczych spadkobierców spuścizny wielkich klasyków. Nie znaczy to, że argumentacje klasyków były proste i zwięzłe, ale bądź co bądź były nierównie prostsze od argumentacji uczniów, naśladowców i epigonów. Myśliciel oryginalny tak dalece pochłonięty jest swoją ideą, że ignoruje przeciwników i wobec tego nie widzi potrzeby spierania się z nimi. Co więcej, układa zazwyczaj tylko szkielet nowej budowli filozoficznej. Z reguły dopiero uczniowie i naśladowcy wypełniają go cegłami argumentów dodatkowych i odpierają ataki przeciwników. Dopiero przeto ich poglądy stają się ponad miarę zawiłe, a ich traktaty wyrastają do rozmiaru dzieł pękających.

Zjawisko to obserwujemy na wielu kartach dziejów myśli filozoficznej. Względnie prosty był arystotelizm pierwotny w porównaniu z arystotelizmem scholastyków, kartezjanizm oryginalny w zestawieniu z kartezjanizmem epigonów, transcendentalizm Kanta w porównaniu z neokantyzmem Baucha, Cassirera, Hartmanna i innych.

Układanie mistycznej sieci argumentów i kontrargumentów, nastawienie obronne, a nawet agresywne, rozprawianie o rzeczach niezmiennie abstrakcyjnych, poszukiwania uzasadnień za wszelką cenę – dla stanowisk zdałoby się już z góry powziętych – to wszystko prowadzi do sporów w sensie wysoce emocjonalnej wymiany zdań. Zgodzić się trzeba, że taki sposób myślenia, względnie porozumiewania się i okoliczności temu towarzyszące same z siebie nie stanowią specyficznej cechy filozofowania. Ze sporami nabrzmiałymi uczuciowo, a polegającymi na niekończącej się argumentacji i kontrargumentacji, spotykamy się przecież w życiu powszednim i w dziejach kultury poza obrębem filozofii. Spory były bodaj zawsze i są nadal główną sprężyną wszelkiego ruchu umysłowego, np. w polityce, w sztuce. Wiadomo, że życie kulturalne starożytnych Greków skupiało się w dyskusjach i sporach na rozmaite tematy, w obrębie których filozofia (w znaczeniu nowoczesnym) stanowiła fragment. Współczesna publicystyka ma w dużej mierze charakter sporów, niekiedy długotrwałych.

Co prawda, między sporami filozofów a ludzi kłócących się o sprawy nieco bliższe życiu powszedniemu zachodzą ważne różnice formalne oraz istotne różnice treści. W dziejach filozofii rzadko napotykamy na spory pełne napastliwości pomimo emocjonalnego tła przekonań światopoglądowych. Filozofowie na ogół zbyt wysoko cenili swój niebywały –

w ciągu długich wieków – autorytet, jako „kapłanów wiedzy i czystego rozumu”, aby bez powściągnięcia się ulegać sporom pospolitym. Ważne i to, że filozofia uchodziła za przedmiot najbardziej ścisły spośród ścisłych. A zatem filozofowie na ogół dbali o ścisłość myśli, o ich dokładność, o oszczędność słowa. Niejeden raz brali sobie przy tym za wzór ścisłość matematyczną, czasem nawet sami uchodzili za wzór ścisłości w oczach matematyków. Spory filozofów bywały przeto i z tych względów na ogół umiarkowane i przybrane w szaty rozumowań, niejednokrotnie sterowanych względami uczuciowymi. W związku z tym dodać można, że w wielu traktatach filozoficznych podziwiamy niespotykaną gdzie indziej – powiedzmy, w pracach z zakresu specjalności naukowych – precyzję słowa, ścisłość, dokładność i jasność myśli.

Zaznaczyć trzeba ponadto różnicę między treścią zagadnień filozoficznych a innych zagadnień wywołujących spory. Budowa zagadnień filozoficznych jest tego rodzaju, że nawet w gorączce starć zmusza dyskutujących do baczenia na ścisłość, jasność i oszczędność myśli. Powodzenie w dyskusyjnym roztrząsaniu zagadnień filozoficznych jest tak dalece uzależnione od ścisłości i jasności argumentów, że każde potknięcie się logiczne grozi sztychem ze strony przeciwnika. Zapewne ta właśnie okoliczność doprowadziła sofistów starożytnych, uprawiających filozofię głównie w sposób dialektyczny, tj. poprzez argumentację i kontrargumentację, do zadziwiających ongiś swą pomysłowością sztuczek logicznych (dziś mówimy: sofistycznych), pośrednio zaś do bujnego rozwoju logiki. Zagadnienia filozoficzne są ze względu na swą najdalej posuniętą abstrakcyjność tak dalece trudne, że – w obronie własnego przekonania – trzeba w mierze nie byle jakiej wyteńczyć umysł, aby wyjść cało z szermierki argumentami i kontrargumentami.

Krótko mówiąc, brak „świadcstwa zmysłów” prowadzi filozofa do szermierki argumentami, a ta ze swej strony do niebywałego (na innych terenach myślenia i spierania się) wyostrenia myśli, kończącego się niekiedy na przysłowiowym „rozdzielaniu włosa na czworo”.

Charakterystykę tę warto zakończyć pewnymi zastrzeżeniami celem uniknięcia możliwych nieporozumień. Niekończące się „szermowanie” argumentami to nie jest cecha osobowości filozofa, lecz sposób pracy intelektualnej osoby usiłującej rozwiązać zagadnienia filozoficzne. Ta sama osoba na innym polu myśli w sposób „naukowo-specjalistyczny”, np. prowadząc badania fizykałne, lub „zwyczajnie”, tj. stosownie do sytuacji życiowej. Oczywiście, jeśli ktoś w ciągu dziesiątków lat wciąż tylko filozofuje, może skostnieć w nawyku do argumentowania *pro i contra*.

Można by rozróżnić formy pośrednie między myśleniem jaskrawo filozoficznym a myśleniem naukowym bądź powszechnym. Zgodnie z tym wiele problemów filozoficznych ma charakter pograniczny. Dotyczy to np. rozważań intuicyjnych nad sprawami doświadczalnymi i sprawdzalnymi, lecz do danego czasu naukowo niezbadanymi. Początki wielu nauk, zwłaszcza humanistycznych, np. socjologii, psychologii, teorii prawa, teorii kultury, miały charakter na wpół filozoficzny.

W wielu dziełach filozoficznych łatwo znaleźć splot rozważań na wskroś filozoficznych – według przedstawionej charakterystyki – z fragmentami jak najbardziej naukowymi, np. podsumowaniami z badań doświadczalnych.

## **Przekonania filozoficzne**

Osobno rozpatrzyć trzeba problemy dotyczące powstawania i funkcjonowania przekonań filozoficznych. Co do pierwszych, chodzi przede wszystkim o źródła w świadomości osoby zdolnej do filozofowania.

Przekonania filozoficzne uważać można za część składową wiedzy osobistej. Co prawda, część swoistą zarówno co do treści, jak i co do wyjątkowo silnego ładunku emocjonalnego w porównaniu z wiedzą – że tak rzec – zwyczajną, np. z botaniki. Znaczy to, że w zasadzie chodzi o odpowiedź na pytanie co do źródeł wiedzy osobistej, a nie co do źródeł poznania. Otóż te dwa pytania od drugiej połowy XVII wieku były notorycznie prawie że utożsamiane ze sobą pod wpływem empiryzmu i sensualizmu. Zarówno psychologowie, jak i pedagodzy wciąż na nowo pisali o powstawaniu pojęć u dzieci, przy czym jeszcze w pierwszej ćwierci XX wieku proces ten traktowali pospolicie jako jedną z form rozwoju naturalnego. Nie ma tu miejsca na pryncypialne rozpatrywanie problematyki rozwoju psychicznego. Poprzestanę na twierdzeniu, oczywistym dla każdego nauczyciela i organizatora oświaty, że wiedza osobista, jaką uczniowie zdobywają w szkole, pochodzi z wiedzy obiektywnej w swoisty sposób wybiórczo umieszczonej w programach nauczania, w podręcznikach, w lekturach szkolnych i mniej więcej zgodnie z zasadami dydaktyki przekazywanej przez nauczycieli uczniom do przyswojenia jej sobie. W świetle faktu istnienia szkolnictwa i procesu nauczania jest to problem nie lada, jaki ułamek wiedzy osobistej, wyrażalnej słowami, nie pochodzi z wiedzy obiektywnej i z działalności szkoły? Wiele wskazuje na to, że ułamek ten jest znikomy, i to nawet u ludzi nauki. Znaczy to, że całkiem



osobiste doświadczenie wyniesione z jakichkolwiek form aktywności – poza obrębem szkolnego uczenia się – gra niewielką rolę w powstawaniu struktury wiedzy osobistej.

Dotyczy to również wiedzy osobistej w zakresie przekonań filozoficznych. Niezależnie od wysokości „gorączki” osobistego filozofowania, przekonania te prawdopodobnie tylko w niewielkiej mierze stanowią rezultat przemyśleń własnych, subiektywnie oryginalnych. Przeważnie natomiast odzwierciedlają stan kultury obiektywnej w zakresie filozofii, pośrednio sił społecznych, wywierających wpływ na dostęp teje do świadomości ucznia młodocianego czy dorosłego.

Nie wynika z tego, że jakość i moc czyichś osobistych przekonań filozoficznych stanowi po prostu odzwierciedlenie obiektywnej kultury filozoficznej i sił społecznych. Gdyby to przyjąć, trudno byłoby zrozumieć różnego pokroju pospolitych dysydentów, interpretatorów, apologetów, tym mniej filozofów, tak czy owak usiłujących kroczyć własnymi drogami, nie mówiąc już o tych, którzy uważali siebie za Koperników w filozofii, jak np. Kant, Dewey czy Russell.

W ten sposób wyłania się szereg niełatwych problemów do ewentualnego zbadania. Oto niektóre z nich:

1. W zakresie jakich treści programowych i w jaki sposób nauczanie szkolne, poza szeroko pojętymi przedmiotami ideologicznymi, wzbudza problematykę filozoficzną i pośrednio przyczynia się do powstawania odpowiednich przekonań?
2. Jaka jest efektywność nauczania przedmiotów ideologicznych na odcinku pojęć ontologicznych, etycznych i pochodnych?
3. Jakie są drogi recepcji lektur, zawierających treści filozoficzne?
4. Jaką rolę grają dyskusje i spory teoretyczne w zespołach osób uczących się filozofii?
5. Jak przebiegają procesy akceptacji pojęć filozoficznych przekazywanych do nauczania się bądź przeciwnie – procesy krytyki, odrzucania, prób przekształcania itp.?

Niezależnie od sposobu powstawania osobistej wiedzy filozoficznej, jej obecność daje znać o sobie niechby tylko w formie pogotowia do pomyślnego składania egzaminów w jej zakresie, do informowania, do dyskusowania czy do korzystania z lektur filozoficznych. Oczywiście nie o to tylko chodzi w nauczaniu filozofii, lecz ponadto i przede wszystkim o jako tako silny i spoisty układ przekonań światopoglądowych. Przypuśćmy, że faktycznie do czynienia mamy z takim układem, a więc z czymś więcej niż z pamięciowo przyswojoną, osobistą wiedzą filozoficzną. Wyłania się przy



tym założeniu wiele pytań dotyczących sposobu funkcjonowania jako tako żywego światopoglądu filozoficznego w postępowaniu osoby nim rozporządzającej, pośrednio – w strukturze jej osobowości wynioskowanej z określonego postępowania.

Ze stanowiska historycznego najstarsze z tych pytań i odpowiednich przekonań ująć można pod nazwą symboliczną: „pocieszenie w filozofii”. Znaczy to, że jako tako żywy (a więc nie tylko czy po prostu formalnie uznawany czy wyznawany) światopogląd filozoficzny stanowi – niezależnie od swej treści – ostoję moralną, w tym niemało ostoję przed nadmiarem strachu; zresztą nie tylko strachu przed śmiercią czy w obliczu tejże. Rozumie się, że stosownie do swej treści każdy światopogląd filozoficzny daje „pocieszenie” swoiste, jemu właściwe. Jest to bez wątpienia funkcja realna, wobec czego warto poznać ją dogłębnie i wszechstronnie w sposób naukowy. Wiedza dotychczasowa na tym odcinku ma prawie wyłącznie charakter intuicyjnych domniemań, opartych na rozważaniach.

Prawie wcale nie badano dotychczas funkcji innej, nie mniej ważnej niż „pocieszenie” z filozofii, potrzebne w życiu tylko od czasu do czasu w nielicznych na ogół sytuacjach kryzysowych i wysoce stresowych. Chodzi tu o funkcjonowanie osobistej filozofii w charakterze miernika wartości nowych nabytków do niefilozoficznej wiedzy osobistej. Pomimo akcentów uczuciowych ujawniających się jako przekonania i odpowiednie zaangażowanie praktyczne, filozofia osobista jest przede wszystkim składnikiem wiedzy osobistej. Zależnie od swej jakości jest w niej składnikiem mniej lub bardziej istotnym. Od jego treści zależeć mogą bowiem niezliczone, nieraz zaledwie uprzytomniane, czynności oceny bieżącej informacji, narzucających się w różny sposób w trakcie uczenia się, poprzez lekturę, książkę, z prasy, z radia, z telewizji, w trakcie rozmów towarzyskich, dyskusji, sporów itp. Stosownie do swej treści, spójności logicznej i ogólności filozoficzny pogląd na świat może ułatwić ocenę informacji jako pewne, oczywiste, prawdopodobne, możliwe bądź przeciwnie – jako wątpliwe, niepewne, nieprawdopodobne, niemożliwe, jako sensowne lub bez sensu, jako istotnie ważne, drugorzędne i całkiem poślednie, jako nowatorskie, przełomowe, dobrze znane, naśladowcze, kontynuacyjne itp. Podstawę po temu stanowi jakkolwiek bądź nabyta wiedza osobista. Rozumie się przy tym, że zależnie od różnic w zakresie, jakości i układzie jej części poszczególnych podstawa ta jest w nierównej mierze mocna lub słaba w odniesieniu do informacji czy twierdzeń różnych. Im jest mocniejsza, tym pewniejsze jest pogotowie do oceny wartości ewentualnych nabytków intelektualnych. W ślad za tym odpowied-

nio większe są czyjeś możliwości pogłębienia czy rozwinięcia poniekąd własnego filozoficznego spojrzenia na rzeczywistość. Poza tym im bardziej ugruntowane jest to spojrzenie, tym lepsze staje się pogotowie do dalszych ocen intelektualnych. Staje się ono lub może się stawać coraz pewniejszym porządkiem nadrzędnym w stosunku do masy rozmaitych przekonań i w zakresie różnych form prawdopodobieństwa, pewności i ważności informacji narzucających się danej osobie, zarazem ewentualnych nowych nabytków do struktury wiedzy osobistej.

Regulacja powyższa funkcjonuje rozmaicie, zależnie od kilku czynników zmiennych: od jakości porządku w dotychczasowej wiedzy osobistej, od zasobów tejże z różnych zakresów poznawania, od logicznej spoistości przekonań filozoficznych, od ich przydatności do regulowania wiedzy osobistej, od bliskości bądź oddalenia od osobistej wiedzy specjalistycznej czy praktyczno-fachowej, od poziomu i jakości inteligencji ogólnej, od kierunku i mocy czyichś zainteresowań intelektualnych itp.

Uzależnień tych jak dotąd nie zbadano. Zresztą nie zrobiono tego również w odniesieniu do stanu faktycznego i uzależnień struktur wiedzy osobistej, relatywnie bardziej przystępnych do badań naukowych, np. struktury wiedzy osobistej absolwentów liceów ogólnokształcących w zakresie nauk ścisłych. Co innego bowiem poznawanie wyników nauczania w egzaminie maturalnym, a co innego stwierdzenie relatywnie pewnych i trwałych składników wiedzy osobistej i powiązań między logicznie jako tako ułożonymi składnikami programów nauczania z matematyki, fizyki, chemii i biologii.

Sprawę osobną, w sposób publicystyczny już nieraz poruszaną, stanowi funkcjonowanie wyrazistego – osobistego – poglądu na świat w działalności twórczej. Póki akcentowano – przesadnie – rolę fantazji twórczej, wyrazisty pogląd na świat mógł uchodzić za wędzidło. Jeśli natomiast zaakcentować związek twórczości z dorobkiem kulturowym w danym zakresie, pogląd na świat, obejmujący spoistą wiedzę o kulturze, stanowi lub stanowić może dla twórcy ułatwienie w poszukiwaniu i ocenie względnej ważności przedmiotów własnej działalności twórczej. Ułatwienie to nie musi prowadzić do hamowania twórczości ludzi inteligentnych i utalentowanych. Może natomiast stanowić cenne oparcie częściowe do decyzji osobistych w zakresie ewentualnych przedsięwzięć twórczych.



Rozdział czwarty

**Psychologia  
a filozofia człowieka**



## Co to jest filozofia człowieka?

Pojęcie „filozofia człowieka” jest relatywnie nowe, jednakże problematyka w nim domyślnie obecna jest tak stara jak cała w ogóle filozofia. Rozbieżność ta wymaga objaśnienia. Podstawowe zagadnienia filozofii człowieka spletały się odwiecznie na ogół z zagadnieniami etyki. W etyce istotne są zagadnienia wartości moralnych, w ślad za nimi powinności człowieka oraz układu jednych i drugich. Są to więc zagadnienia normatywne, jako takie zaś stanowią część ogólniejszej od etyki – normatywnej – filozofii wartości.

Otóż w każdym systemie etyki, względnie w ogólniejszej od niej aksjologii „rusztowanie” uzasadnień składa się z mniej lub bardziej spójnego zbioru ogólnych przekonań-twierdzeń na temat „natury” ludzkiej, tj. o faktycznych prawach ludzkiego postępowania oraz o rzeczywistych cechach człowieczeństwa. W grę wchodzi w pewnej mierze prawa i cechy dotyczące fizycznej budowy i czynności ludzkiego organizmu, jednakże istotnie i przeważnie chodzi o sposoby ludzkiego postępowania, zwłaszcza zaś postępowania z ludźmi i wobec ludzi. Znaczy to, że myśliciele rozpatrujący zagadnienia „ostatecznych” powinności i absolutnych (czy względnych) zasad moralnych faktycznie uprawiali i nadal uprawiają – stosownie do swoich potrzeb – przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie, psychologię. Bo właśnie psychologowie zajmują się przede wszystkim prawami zachowania się ludzi i w szczególności ich postępowania z innymi ludźmi bądź wobec nich. Sprawa ta interesuje wprawdzie również rzeczników nauk innych, np. socjologów czy historyków, jednakże raczej tylko pośrednio lub mimochodem.

W świetle poczynionych objaśnień filozofia człowieka istnieje i kształtuje się odwiecznie. Czemu w takim razie dopiero w naszych czasach upra-

wia się ją pod tą właśnie nazwą czy mówi się o niej? Odpowiedź wiąże się z faktami dotyczącymi powstawania, historycznego rozwoju i uprawiania psychologii naukowej. Celem przeciwstawienia się spekulatywnym rozważaniom filozofów nad naturą ludzką twórcy psychologii naukowej i ich dzisiejsi kontynuatorzy świadomie ograniczali swoje zadania naukowe do badań nad problemami, do których zastosowalne są metody robocze umożliwiające stwierdzanie faktów, zwłaszcza zaś ich stwierdzanie ilościowe i pomiarowe. W nawiązaniu do nauk wcześniej ustabilizowanych i wcześniej uznanych za ważne w świecie naukowym w grę wchodziły przede wszystkim metody eksperymentalne. Stąd wywodzi się pierwsza nazwa psychologii naukowej: psychologia eksperymentalna. Psycholodzy naukowcy zaakceptowali część przeważną ideałów nauki nowożytnej, ukształtowaną stopniowo pod wpływem kopernikanizmu oraz w oparciu o odkrycia i teorie Galileusza, Keplera, Newtona, Lavoisiera, Leeuwenhoecka, Spallanzanego i wielu innych rzeczników wiedzy antyscholastycznej. Dzięki temu – że tak rzec – wkupili się w grono uczonych, uprawiających naukę nowocześnie (a nie po arystotelesowsku). Jednak rychło okazało się, że problemy nadające się do zbadania w sposób eksperymentalny zarówno nawiązują bezpośrednio do problemów fizjologii i fizyki, jak i daleko odbiegają od odwiecznych i nadal żywo interesujących problemów dotyczących właściwości natury ludzkiej, tj. problemów leżących u podstaw wszelkiej etyki czy szerszej od niej aksjologii. A wobec tego, że psycholodzy naukowcy, a w ciągu około pół wieku (1860–1914) programowo eksperymentatorzy wyłączyli je ze swoich planów naukowych, podjęli je intelektualiści, nieskrępowani założeniami, problematyką i metodami roboczymi psychologii eksperymentalnej. I tak na tej właśnie drodze wielu myślicieli, niekoniecznie i nie zawsze nazywanych filozofami czy uważających się za takich, niejako równolegle z badaniami w zakresie psychofizyki i psychofizjologii, jak w sposób zróżnicowany nazywano mniej więcej od roku 1860 do 1914 psychologię eksperymentalną, rozwijali poglądy na temat natury ludzkiej. Te właśnie poglądy, przeważnie dotyczące problematyki psychologicznej, zaczęto w XX wieku coraz częściej nazywać filozofią człowieka i czasem również antropologią filozoficzną. Filozofią, a nie psychologią – celem zaakcentowania ich charakteru ogólnego i rozważaniowego. Człowieka – gdyż praktycznie biorąc odwiecznie i nadal chodziło i chodzi o ustalenie podstawowych praw natury ludzkiej. Praw – interesujących i ważnych przede wszystkim w ramach problematyki nasamprzód faktycznego, z kolei również normatywnego postępowania ludzi z ludźmi czy wobec ludzi. O zachowaniu



się zwierząt też wprawdzie niejednokrotnie mówi się w rozprawach czy dziełach zaliczalnych do filozofii człowieka, jednakże przeważnie mimochodem, np. w porównaniach bądź w przeciwstawieniach, a nie pierwszoplanowo.

Trzeba tu jednak stwierdzić, że gdy stopniowo – powiedzmy umownie, że od końca pierwszej wojny światowej, tj. od roku 1918 – psycholodzy zaczęli przystępować do nieeksperymentalnych badań nad psychiczną naturą człowieka (m.in. badań testowych, obserwacyjnych, metodą analizy i interpretacji dzieł, metodami klinicznymi), zaczęła narastać wiedza naukowa godna uwagi i coraz wartościowsza z punktu widzenia odwiecznych zagadnień dotyczących zrębów natury ludzkiej. Coraz częściej wyniki badań psychologicznych stanowią podstawę do ich rozpatrywania, względnie do prób ich rozwiązywania. Psychologia naukowa i filozofia człowieka stopniowo zbliżają się do siebie, a nawet się przenikają. Zgodnie z tym niejeden psycholog w zasadzie odżegnujący się od „jałowego filozofowania”, próbujący podsumowywać stan aktualny wiedzy psychologicznej uzyskanej w oparciu o uznane metody doświadczalne (eksperymentalne, statystyczne i inne, mniej lub bardziej od nich uzależnione), dokonuje ogromnej ilości „interpolacji” filozoficznych do układu naukowo stwierdzalnych faktów. Znaczy to, że jeśli nawet nie przyznaje się do tego, faktycznie w niemałej mierze nierzadko ostentacyjnie filozofuje. Widać to zwłaszcza w różnego pokroju syntezach, m.in. w podręcznikach akademickich. W ślad za tym na gruncie tej samej masy faktów syntezy bywają niekiedy krańcowo różne w swej treści teoretycznej.

W świetle tych tendencji rozwojowych rzecz można, że gdy w naszych czasach uprawia się filozofię człowieka, znaczy to, że rozpatruje się wprawdzie rozważaniowo, ale mniej więcej na podstawie aktualnego stanu wiedzy naukowej, problemy:

1. przeważnie psychologiczne, dotyczące człowieka;
2. wysoce ogólne, chociaż bynajmniej nie filozoficzne w takim znaczeniu, jak zagadnienia ontologiczne;
3. przeważnie z zakresu podstawowych cech osobowości i stosunków międzyludzkich z nimi związanych;
4. przeważnie z dziedziny dynamiki życia psychicznego w sferze energii potrzeb i motywów postępowania;
5. zarazem problemy i zapatrywania mniej lub bardziej sporne, jak to zaakcentuję dalej, nie chodzi tu jednakże o sporność w sensie zależności od spraw zdecydowanie filozoficznych i w tym sensie nierozwiązalnych,

lecz o rozbieżność stanowisk, spowodowaną – jak dotąd – niedostatkami naukowo stwierdzonych i stwierdzalnych faktów.

Rzecz w tym, że wielu humanistów-intelektualistów nie może i nie chce czekać „w nieskończoność” i powstrzymać się od konstrukcji ogólnych poglądów na temat natury ludzkiej. Uprzedzając badania przyszłe i pilnie potrzebne przedstawia „na razie” czy „do dyskusji” filozoficzny – a więc wybiegający poza obszar stwierdzonych faktów i o tyle sporny – pogląd na naturę człowieka. Dodajmy – pogląd w zasadzie i przeważnie psychologiczny, jak to wynika z sensu i treści głównych problemów.

Naturą ludzką, względnie filozofią człowieka zajmują się nie tylko psycholodzy. Ostatecznie rzecznik każdej nauki, a nawet każdy intelektualista może się przyczynić do rozumnego opisu natury ludzkiej. Wszak każdy z nich, poniekąd nawet każdy laik snuje czasem refleksje nad jej właściwościami i zrębami. Otóż zdarza się i zdarzać się może, że w ujęciu ze strony naukowców przyrodników, uczonych lekarzy czy ludzi związanych z techniką w poglądach na naturę ludzką wyraz przesadny znajdują pojęcia niepsychologiczne. Jest lub może to być zrozumiałe wobec faktu, że dynamika poczynąń ludzi z ludźmi czy wobec ludzi i napęd do działalności danego pokroju jest zawsze i częściowo zależny od czynników przyrodniczych, technicznych i kulturowych.

Znaczy to, że część rozbieżności w zapatrywaniach na istotne cechy ludzkiej psychiki może wynikać – i niewątpliwie wynika – z odrębności startu. Częściowo inne problemy interesują w tej dziedzinie specjalistów: psychologii, psychiatrii, socjologii, pedagogiki, futurologów, opierających się głównie na wiedzy o postępie technicznym itp. Osobno uwzględnić trzeba filozofów z wykształcenia, pryncypialnie starających się opisać naturę ludzką w dostosowaniu do własnych przekonań etycznych, autologicznych czy nawet epistemologicznych. Wyjaśnia to samo z siebie różnice zapatrywań na istotne formy i przyczyny ludzkiej aktywności. Wszyscy starają się oprzeć na ustalonej wiedzy naukowej, a jednak każdy z osobna patrzy na człowieka niechby tylko trochę inaczej, jeśli nie całkiem po swojemu i sprzecznie z poglądami cudzymi.

## **Zagadnienia filozofii człowieka**

Jako nadbudowa nad rozporządzalną w danym czasie wiedzą naukową – praktycznie biorąc nad wiedzą psychologiczną – filozofia człowieka obejmuje przeważnie próby zapatrywań na sposoby rozważania zagadnień

spornych. Wobec niedostatku należycie stwierdzonych faktów myśliciele konstruują poglądy mniej lub bardziej dyskusyjne. W tym właśnie sensie – filozofują nad człowiekiem.

Zanim sprecyzujemy zagadnienia stanowiące przedmiot filozofowania, uprzednio rozróżnimy teoretyczne problemy psychologii, stanowiące również przedmiot sporów, od zagadnień filozofii człowieka. Ponadto trzeba zwrócić uwagę na zagadnienia filozoficzne w ciągu wielu wieków powiązane z psychologią, jednakże ani przez fachowców nie zaliczane do naukowych, ani – na ogół – nie uważane za składniki filozofii człowieka. Należą tu przede wszystkim zagadnienia oddzielności ciała od duszy oraz jej nieśmiertelności. Odnośne pojęcia, względnie przekonania należały nieomal bez wyjątku do składników istotnych światopoglądów religijnych czy idealistycznych. Na nich – jak wiadomo – opiera się teologia chrześcijańska i jej (arystotelesowska) podbudowa ontologiczna. Podobnie ma się rzecz z zagadnieniem filozoficznym wolności woli oraz z idealistycznym sposobem pojmowania odpowiedzialności moralnej człowieka. Wszelkie próby uzasadniania przekonań idealistycznych w zakresie wskazanych pojęć są sprzeczne z całością wiedzy naukowej, w szczególności wiedzy przyrodniczej, toteż rzeczników filozofii człowieka, na wiedzy tej się opierających, po prostu nie interesują. Zgodnie z tym nie interesują ich również zapatrywania – pośrednio zagadnienia – mistyczne, osnute na tle koncepcji spirytystycznych, a kojarzone zazwyczaj ze sporną problematyką tzw. zjawisk parapsychicznych, w ciągu kilku dziesiątków lat nazywanych mediumicznymi. Działają w świecie naukowym kilkudziesięciu parapsychologów, rzetelnie starających się posługiwać „aparatem” pojęciowym nowoczesnej metodologii naukowej. I niesprawiedliwe byłoby twierdzenie, że są to po prostu pseudonaukowcy. Nie ma jednak wątpliwości co do tego, że należycie stwierdzone fakty „parapsychiczne” nie stanowią jakiegokolwiek oparcia ani dla spirytyzmu, ani dla spirytualizmu. Pomimo to parapsychologia i jej problemy nie stanowią części składowej współczesnej filozofii człowieka.

Otóż nie stanowią jej również problemy teoretyczne psychologii naukowej, mniej więcej od początku XX wieku pasjonujące wielu naukowców; problemy wysoce sporne, ale w znacznej mierze jeszcze nierozwiązane. Należą do nich przede wszystkim problemy:

1. trafnej definicji zjawisk psychicznych, definicji w zasadzie opartej na pojęciu przystosowywania się, zarazem zgodnej z całością problematyki naukowo-badawczej wszystkich gałęzi współczesnej psychologii;
2. obiektywności roboczych metod psychologii, w szczególności metody introspekcji;

3. w ślad za tym obiektywności faktów psychologicznych;
4. właściwej roli pomiarów i matematyki w stwierdzaniu faktów i w opracowywaniu teorii psychologicznych.

Są to problemy ważne dla fachowców, jednakże raczej „warsztatowe” niż filozoficzne. Nieobecne ani w długich dziejach filozofii człowieka, ani w intuicyjnych koncepcjach psychologicznych tzw. laików.

W ujęciu ogólnym filozoficzne są te zagadnienia psychologii, do których sprowadzić można ogół problemów doświadczalnych z zakresu „mechanizmu” natury ludzkiej, jednakże w których obrębie wyniki badań nie dają wystarczającej podstawy do opracowywania teorii spoistych, stanowiących więcej niż pogląd mniej lub bardziej osobisty czy przekonywający ich autora. Innymi słowy, filozofuje się na bazie „odwiecznych” problemów, dotyczących natury ludzkiej i w oparciu o wyniki szeroko pojętych badań doświadczalnych (nie tylko eksperymentalnych), jednakże wobec niewystarczalności faktów stwierdzonych naukowo w sposób niejako zachęcający do opierania się na niesprawdzonych bądź niesprawdzalnych przekonaniach, a wskutek tego prowokujący do zajmowania stanowisk odmiennych, jeśli nie przeciwnych, a więc do sporów wysoce abstrakcyjnych. W tym tkwi istotne podobieństwo do sporów filozoficznych w obrębie zagadnień ontologicznych, jeśli nawet stanowiska sporne nie mają nic wspólnego z ontologią. Przy tym psycholodzy spierający się z sobą abstrakcyjnie o właściwy sposób pojmowania natury ludzkiej mogą być przekonani o tym, że po prostu i tylko opracowują czy bronią teoretycznej nadbudowy nad należycie stwierdzonymi faktami naukowymi. Znaczący to, że mogą protestować przeciwko zabieraniu ich poglądów do filozofii człowieka. W ten sposób wciąż na nowo powstają różne „kierunki” w ogólnych zapatrywaniach na osobowość i postępowanie człowieka. Powstają kierunki mniej lub bardziej rozbieżne pomimo odwoływania się do tej samej masy faktów stwierdzonych doświadczalnie. Właśnie owe kierunki dotyczące zrębów natury ludzkiej to różne kształty dzisiejszej filozofii człowieka, tj. filozofii w zasadzie uprawianej przez fachowców w psychologii, a nie przez laików ani przez intelektualistów niezwiązanych z psychologią wieloletnią pracą naukowo-badawczą. Krótko mówiąc, dzisiejsza filozofia człowieka stanowi przeważnie nadbudowę naukowej wiedzy psychologicznej, a jej twórcami czy rzecznikami bywają psycholodzy naukowcy.

W obrębie zagadnień filozofii człowieka, rozpatrywanych głównie przez tych właśnie naukowców, na plan pierwszy wysunąć trzeba te, które od dawna intrygowały filozofów bądź laików, a zatem te, które narzucały

się im na tle ich doświadczenia powszedniego. Następujące zagadnienia wspólne jednym i drugim występują na plan pierwszy we współczesnej filozofii człowieka:

1. Jakie są istotne różnice psychiczne między człowiekiem a zwierzętami rozwojowo najbliższymi?

2. Jaka jest rola względna dziedziczności a warunków życiowych (środowiskowych) w urabianiu osobowości człowieka? W związku z tym, jakie są granice wychowalności człowieka?

3. Jakie są istotne źródła ludzkiej aktywności, konkretne źródła motywów ludzkiego postępowania?

4. Jaką rolę w życiu ludzi odgrywa tzw. szczęście, a w związku z tym względnie w jego obrębie pragnienia przyjemności, zadowolenia, rozkozy oraz cierpień fizycznych i przykrości moralnych?

5. Jaką rolę napędową w życiu ludzi grają różnego pokroju ambicje do osiągnięć życiowych oraz mniej lub bardziej z nimi związane formy pychy?

6. Jak dalece słuszne jest tylekroć w dziejach podtrzymywane stanowisko, że „w gruncie rzeczy” każdy człowiek jest egoistą, jeśli nawet pozory zdają się temu przeczyć i jeśli on sam twierdzi, że nim nie jest?

7. Jak dalece lub czy w ogóle ludzie nie bywają egoistami bądź jak dalece słusznie można dopatrywać się altruizmu w ich postępowaniu?

8. W ślad za tym, czy w ogóle bądź jak dalece ludzie kierują się ideowymi motywami w swych poczynaniach?

9. Jakie są źródła agresywności, nienawiści, zwłaszcza zaś wielopostaciowego okrucieństwa?

10. Jaka jest rola względna motywów bytowych a erotycznych w postępowaniu?

11. W związku z tym, jaka jest rola względna gry seksualnej a nadbudowy erotycznej w sferze postępowania powszednio określanej mianem miłości?

12. Jaką rolę w życiu ludzi odgrywają wierzenia – w szerokim sensie tego słowa – religijne, w szczególności wierzenia-przekonania, nazywane ideologicznymi?

13. Dodatkowo uwzględnić można by problem całkiem nowoczesny, w każdym razie nie odwieczny, a mianowicie co w świetle wiedzy naukowej sądzić można o psychicznej przeszłości człowieka, tj. o jego ewolucji w kierunku istoty coraz bardziej inteligentnej i coraz bardziej uzdolnionej do działalności twórczej? Jest to jeden z czołowych problemów futurologów.

Ze względu na potrzebę ścieśnienia przedsięwziętej tu analizy część problemów pominię, resztę zaś rozpatrzę zarysowo.

## **Istotne różnice między psychiką ludzi a zwierząt**

Prawdopodobnie nie było intelektualistów tak dalece antropocentrycznych, którzy by nie dostrzegali podobieństw między człowiekiem a zwierzętami; niechby tylko, anatomicznych i fizjologicznych. A przecież w ciągu wielu wieków akcentowano nie podobieństwa, lecz różnice. Powiedzmy dosadnie: różnice przepaściste. Oto dobrze znane akcenty: dusza nieśmiertelna, wolna wola, inteligencja, mowa, współżycie społeczne, chód prosty. W ich świetle łatwo zrozumieć zaciętość i długotrwałość walki intelektualnej między ewolucjonistami, w szczególności darwinistami, a zwolennikami teologicznego pojmowania cech istotnych natury ludzkiej; pośrednio – przeciwstawiania tejże naturze zwierząt, niechby najbardziej podobnych do człowieka. Ogrom piśmiennictwa naukowego, publicystycznego i literackiego powstał na kanwie tej sprawy. Niestety, nawet na największy skrót zapatrywać rozbieżnych brak tutaj miejsca. Ograniczę się więc wyłącznie do zwięzłego przedstawienia poglądu, któremu wielokroć i przy różnych okazjach dawałem wyraz w mych publikacjach. Przy tym prawie całkiem pominię omówienie wielce złożonego pytania: Jak powstawały różnice genotypowe i fenotypowe między człowiekiem a hominidami? Tym samym rezygnuję z rozpatrywania sprawy „człowiek a zwierzęta” od strony przyrodniczej, w szczególności genetycznej, anatomicznej, antropologicznej, fizjologicznej i ogólnobiologicznej. Pozwolę sobie jednak zauważyć, że zawsze raczej sceptycznie odnosiłem się do argumentów z zakresu anatomii i fizjologii układu nerwowego, np. do porównań między wagą mózgu małych człękokształtnych; również do porównań między wagą mózgu czy pojemnością puszek czaszkowej tzw. ludzi wielkich a przeciętnych bądź umysłowo upośledzonych. Doceniając stan aktualny i ciągle postępy wiedzy przyrodniczej w niniejszej sprawie, uważałem jednak i uważam nadal filozofowanie, oparte przeważnie na faktach z tej dziedziny, za chybione. Chodzi bowiem tylko o porównanie znamiennych cech psychiki człowieka z cechami psychiki zwierząt, najbliższych mu filogenetycznie, a nie o wyjaśnienie różnic. Rzecz ma więc w zasadzie charakter psychologiczny.

Otóż właśnie z tego punktu widzenia porównywanie psychiki ludzi z psychiką zwierząt trzeba rozpocząć od stwierdzenia faktu, że najbar-



dziej znamienne w życiu ludzi jest aktywność twórcza, zupełnie nieobecna u hominidów, tj. u zwierząt człowiekowi najbliższych filogenetycznie. Wcale nie współżycie społeczne, wcale nie mowa, nie chód prosty, lecz właśnie aktywność twórcza wyróżnia ludzi w świecie zwierzęcym. Ta właśnie aktywność wciąż i w tempie przyspieszonym oddala ich od hominidów, konkretnie – od orangutanów, goryli i szympanсів. Do istotnych różnic na pewno nie należy współżycie społeczne. Pewnego rodzaju mowę, choć porównawczo ubogą mają również hominidy. A sprawa chodu prostego jest raczej drugoplanowa.

Wynika z tego, że trzeba przyjrzeć się mechanizmowi aktywności twórczej. Jest on dość złożony, o czym świadczy choćby tylko istna powódź odnośnych prac naukowo-badawczych powstałych od początku XX wieku i jeszcze większy zalew piśmiennictwa różnego pokroju w granicach między ściśle naukowym a całkiem literackim. Z góry jasne jest przy tym, że w świetle problemu „psychika ludzi a hominidów” (i innych zwierząt) bezcelowe byłoby stwierdzenie faktów dotyczących cech specyficznych w poszczególnych rodzajach twórczości, np. naukowej, filozoficznej, muzycznej, plastycznej, technicznej. Chodzi natomiast o ustalenie wspólnych „korzeni” twórczości wszelkiej. Otóż jeśli tutaj pominąć źródła napędu do twórczości (co stanowi sprawę osobną poruszoną w jednym z rozdziałów dalszych), warunków podstawowych do jakiegokolwiek twórczości szukać trzeba przede wszystkim w cechach znamiennych wyobrażeń i wyobraźni człowieka. „Człowiek jako istota z wyobraźnią” – oto sformułowanie kluczowe do całej sprawy. Oczywiście nie jest ono nowe, gdyż z dawien dawna akcentowano istotną rolę wyobraźni w twórczości, zwłaszcza artystycznej. Jednakże również od dawna utrzymują się w tej sprawie pojęcia, względnie zapatrywania błędne, utrudniające jej analizę naukową. Chodzi tu nasamprzód o znane (psychologom) rozróżnienia: wyobraźnia, fantazja i wyobraźnia twórcza. Nawet w poważnych monografiach natrafić można na takie ich określenia, z których zdaje się wynikać, że do czynienia mamy z trzema różnymi, a więc oddzielnymi, zdolnościami umysłowymi. Najczęściej przy tym pisze, względnie mówi się, że wyobraźnia (w ogóle) jest to zdolność do konkretnego uprzytomniania sobie rzeczy czy zjawisk uprzednio poznanych spostrzeżeniowo – w postaci wyobrażeń odtwórczych. Zwykle zarazem pod uwagę bierze się (pierwsooplanowo, jeśli nie wyłącznie) wyobrażenia wzrokowe. Przez fantazję rozumie się pospolicie zdolność do łatwego biegu wyobrażeń o czymkolwiek. Głównie o to właśnie chodzi, gdy mówi się o „marzeniach o niebieskich migdałach”. Wreszcie w pojęciu wyobraźni twórczej



domyślamy się zwykle zdolności do snucia wyobrażeń, przystosowanych do określonego przedmiotu pracy twórczej, zarazem do kultury (tradycji) danego rodzaju.

Otóż jeśli nawet przyjąć przytoczone definicje, stwierdzić trzeba, że prowadzą one na manowce, gdyż sugerują możliwość posiadania wyobraźni (w ogóle) bez fantazji, tym mniej bez wyobraźni twórczej, możliwość posiadania wyobraźni twórczej bez fantazji i możliwość posiadania fantazji bez wyobraźni twórczej. W błąd wprowadzają w szczególności terminy: „zdolność”, „możliwość” i „posiadanie”.

Nie zaprzeczając słuszności wymienionych rozróżnień, rzecz trzeba oświecić inaczej, niż robi się to pospolicie. Przede wszystkim ustalić trzeba znaczenie słowa „wyobrażenie”, skoro tak czy owak pojmowaną wyobraźnię rozumie się jako zdolność do uprzytomniania sobie wyobrażeń. Jest to potrzebne zwłaszcza z uwagi na długą historię asocjacionizmu jako teorii psychologicznej na temat kojarzeń wyobraźni. Kojarzą się (łączą się) z sobą rzeczy oddzielne. Wszak trudno powiedzieć, że kojarzą się – na przykład – kawałki nieprzerwanej nici. Bardziej sensownie powiemy, że skojarzone są ogniwa łańcucha, pomimo tego że połączone są z sobą na stałe. Obrazowe porównania powyższe mają tu znaczenie ze względu na to, że wprawdzie są podstawy do traktowania wyobrażeń jako jednostek (psychicznych) w zasadzie tak, jak traktuje się oddzielne przedmioty spostrzegania wzrokowego, np. ludzi na ulicy, natomiast praktycznie biorąc granic między poszczególnymi wyobrażeniami uchwycić nie sposób. Również – granic między składnikami wyobrażeń. Od czasów Locke’a (1690) poprzez dzieła Herbarta (1816, 1825) do Müllera (1911, 1917) psycholodzy uparczywie traktowali wyobrażenia jako oddzielne jednostki psychiczne (światomie lub nieumyślnie wzorując się na jednostkach chemii – atomach, molekułach), ale wciąż na nowo popadali przy tym w kłopoty, wynikające ze wzrokowego traktowania zjawisk w swej istocie niewzrokowych.

Jeśli jednak kłopoty te pozostawić na uboczu, pewne fakty – dotyczące wyobrażeń – są oczywiste, m.in. następujące:

1. Potrafimy uprzytomnić sobie przedmioty spostrzegania wzrokowego bądź innego, np. dźwięk, bez aktualnej obecności podmiotów. Inaczej mówiąc, potrafimy to czy owo „widzieć oczyma duszy”. Wszystko jednak przy tym, jak dalece to, co „widzimy” w ten sposób, jest podobne do przedmiotu spostrzeganego wzrokowo.

2. Potrafimy uprzytomnić sobie „na ekranie wyobraźni” coraz to inne rzeczy. Wszystko jedno przy tym, czy wyobrażenia kolejne łączą się ze

sobą, jeśli tak, to w jaki sposób, czy są między nimi wyraźne granice itp. O tyle nie ma wątpliwości, że wyobrażenia „kojarzą się ze sobą”.

3. Potrafimy uprzytomnić sobie – na „ekranie wyobraźni” – rzeczy najprostsze, podobne do rzeczywistych i całkiem do nich niepodobne, przy tym na ogół (przy pełnej przytomności) bywamy świadomi stopnia odbiegania od rzeczywistości.

4. Na ogół bieg wyobraźni kojarzy się ze sobą, jest to po prostu cichy bieg słów, niejako zastępujących wyobrażenia niewerbalne, np. wzrokowe czy akustyczne, przetykany – zależnie od okoliczności – niewerbalnymi „odzwierciedleniami” spostrzeżeń. Jest tak zwłaszcza u osób wyrobionych umysłowo i zdolnych do myślenia abstrakcyjnego. A dzieje się tak, ponieważ kojarzenie słów znakomicie ułatwia porozumiewanie się ludzi ze sobą i myślenie abstrakcyjne.

Jeśli poprzestać na przedstawionej charakterystyce, stwierdzić trzeba, że obecność i bieg wyobrażeń – przede wszystkim wzrokowych, z kolei słuchowych – stanowi zjawisko wysoce znamienne dla psychiki ludzkiej. Wprawdzie nie mamy możliwości podejścia introspektywnego do psychiki zwierząt (konkretnie chodzi tu przede wszystkim o hominidy), jednakże w oparciu o metody pośrednie, związane z interpretacją widocznego zachowania się, można twierdzić z pewnością dostateczną, że wyobrażeniowe „uprzytomnienia rzeczy nieobecnych” są u człowieka „nieskończenie” bogatsze niż u jakichkolwiek innych gatunków zwierzęcych. Co więcej, że to ich relatywnie i potencjalnie niezmiernie bogactwo stanowi źródło wielu zjawisk pochodnych, istotnie znamienych dla psychiki ludzkiej, w szczególności np. myślenia logicznego.

Zależnie od okoliczności, m.in. od potrzeby, rzeczowe bogactwo bywa rozmaicie użyteczne. I tak w chwilach odpoczynkowego „rozluźnienia” ujawnia się ono w postaci marzeń na jawie i snów, tj. mniej lub bardziej chaotycznego biegu wyobraźni – w marzeniach częściej werbalnych, w snach przeważnie konkretnych czy wyraźnie zmysłowych, przede wszystkim wzrokowych i słuchowych. Od dawna, zwłaszcza jednak od czasów „wybuchu” psychoanalizy marzenia i sny stanowią przedmiot intensywnych zainteresowań badawczych, jako domniemany wyraz ukrytych popędów i pragnień.

Rola wyobrażeń i wyobraźni jest szczególnie doniosła we wszelkich postaciach myślenia, od tzw. zmysłowego myślenia poczynawszy, poprzez różne formy rozumienia (głównie w trakcie uczenia się), do myślenia problemowego, skończywszy na myśleniu jako istotnym składniku działalności twórczej. Przy tym zachodzą ściśle zależności między łatwością

wyobrażenia sobie (czegokolwiek), czyli „uprzytomniania sobie rzeczy nieobecnych” oraz kojarzenia wyobrażeń, a sprawnością rozumienia, myślenia jako rozwiązywania problemów zadanych (marzeniowych) oraz myślenia jako samodzielnego stawiania sobie problemów i ich pokonywania, tj. właśnie myślenia twórczego. Z kolei im większa jest (u danej osoby) owa łatwość wyobrażania sobie czegoś, choćby tylko w formie cichych słów, i kojarzenia wyobrażeń, tym – z kolei – zachodzą większe możliwości uczenia się przez rozumienie, pamiętania, przypominania sobie, przystosowywania wyobrażeń do potrzeb, w szczególności do problemów zadanych i własnych.

W ten sposób na kanwie podstawowych procesów psychicznych, jakimi są wyobrażenia i ich kojarzenie, wyłaniają się mniej lub bardziej złożone „nadbudowy” w postaci pamięci, inteligencji, myślenia problemowego i wyobraźni twórczej. Znaczy to, że w gruncie rzeczy całe życie umysłowe człowieka „powyżej” doznawania wrażeń (wzrokowych, słuchowych itp.) zbudowane jest na podstawie specyficznie ludzkich zdolności, jakimi są wyobrażanie sobie rzeczy (aktualnie zmysłowo) nieobecnych i kojarzenie wyobrażeń. Bardzo skromne byłyby rozdziały psychologii na tematy: inteligencji ogólnej, talentów, zainteresowań, myślenia, fantazji, marzeń, snów i wyobraźni twórczej, gdyby owe podstawowe zdolności były u człowieka w przybliżeniu tak niepozorne, jakimi są u filogenetycznych „krewniaków” – małą człekomkształtnych. Jeśli nawet w świetle licznych już wyników badań eksperymentalnych nad kształceniem hominidów (zwłaszcza szympanсів i goryli) przyznać zwierzętom zaczątkowe zdolności do wyobrażania sobie i kojarzenia wyobraźni wobec relatywnej słabości czy znikomości tychże, brak podstaw do rokowania, że – być może – w przyszłości dzięki właściwemu kształceniu uda się małpy „uczłowieczyć”. Nie ma wątpliwości po temu, że nie uda się nigdy. Nie uda się w szczególności dlatego, że jedynie u człowieka możliwe jest nagromadzanie się tradycji (kulturowych) i doświadczenia osobistego o zasięgu praktycznie biorąc nieskończonym, teoretycznie zaś nieoznaczalnym. Gdyby nawet wysoce inteligentne jednostki spośród szympanсів i goryli nauczyć o wiele skuteczniej, niż to już uzyskano, mówienia lub relatywnie stałego postępowania się dużą ilością znaków (rysunkowych), różnice między wciąż postępującym wykształceniem ludzi a pochodzącym od ludzi nauczycieli (psychologów) „wykształceniem” tych nielicznych osobników pozostałyby na zawsze przepaściste. Znaczy to, że przy aktualnym stanie zasobów genetycznych człowieka i hominidów praktycznie biorąc różnice psychiczne między ludźmi a hominidami (i w ogóle zwierzętami) są zasadnicze i nie

do zniwelowania, choćby tylko częściowego. W zasadzie trzeba się zatem zgodzić z odwiecznym i tradycyjnym przeciwstawieniem człowieka całej wszelkiej „reszcie” świata zwierzęcego. Nauka nowoczesna zerwała z teologicznymi fantazjami na temat duszy, jej pochodzenia, jej nieśmiertelności i wolności woli, jednakże w całej rozciągłości potwierdziła odwieczny pewnik, że człowiek – ogniwo w ewolucji życia na Ziemi – zajmuje pozycję „nieskończenie” wysoko ponad światem zwierząt, do którego w zasadzie przynależy. A jest tak dzięki zupełnie wyjątkowemu stanowi elementarnych uzdolnień, zaczątkowo obecnych prawdopodobnie u wielu ssaków, bo zapewne nie tylko u małych człekokształtnych. Dlaczego taki to wyjątkowy stan owych zdolności zaistniał – to sprawa bardzo skomplikowana. Z różnych perspektyw starają się ją wyświecić – oprócz psychologów – biolodzy, neurofizjolodzy, biochemicy, poniekąd nawet lingwiści i socjolodzy.

## **Dziedziczność a środowisko**

Problem roli względnej dziedziczności a środowiska był wprawdzie obecny już w filozofii greckiej, jednakże jasno sprecyzowany został dopiero w drugiej połowie XIX wieku pod wpływem ewolucjonizmu. A jego kształt psychologiczny – „rola dziedziczności a środowiska w powstawaniu cech i struktur osobowości” – w całej pełni sformułowany został pod koniec XIX wieku pod wpływem sporów nad rolą instynktów i popędów w zachowaniu się człowieka. W ciągu około 80 lat narosło w tej sprawie ogromne piśmiennictwo zarówno z badań doświadczalnych, jak i z rozważań teoretycznych, frontalnie lub ubocznie związanych z tym zagadnieniem. Jednakże pomimo obfitości literatury i stwierdzenia masy faktów wciąż brak syntezy w postaci spójnej i nie budzącej wątpliwości teorii naukowej. Wciąż też na gruncie nieustannie narastającej wiedzy w ramach problemów konkretnych konstruuje się poglądy ogólne mniej lub bardziej sporne o pokroju „kierunków” filozoficznych. Krótko – filozofuje się nad rolą względną dziedziczności a środowiska w psychice ludzi. Filozofują w tej sprawie przeważnie psycholodzy, ale nie brak poglądów opracowanych przez genetyków, psychiatrów, socjologów, prawników, kryminologów oraz filozofów z wykształcenia i działalności. Rozumie się, że tutaj zajmę stanowisko w ujęciu psychologicznym. Ponadto oprę się na własnych badaniach nad sporną sprawą.

Z końcem XIX wieku i w kilku dziesięcioleciach XX wieku psycholodzy teoretyzujący nad rolą względną dziedziczności a środowiska (wychowaw-

czego) nieomal jednomyślnie opowiadali się za przekonaniem, że w życiu ludzi rolę istotną i decydującą gra dziedziczność. Przemawiały za tym wnioski wysuwane ze zwycięskiego (w batalii z lamarkizmem) darwinizmu, ogromna ilość konkretnych stwierdzeń dotyczących zachowania się instynktowego zwierząt niższych oraz – być może – również ogólny klimat polityczny owych czasów, w których konserwatyzm przeważał nad ideami postępowymi. (Konserwatyści zawsze i wszędzie powoływali się na „prawa” z tytułu dziedziczenia i na swą genealogię). Przekonania w zasadzie „dziedzicznościowe” ujawniały się wprost lub pośrednio w całości ówczesnej problematyki psychologicznej oraz w wielu ujęciach teoretycznych na temat powstawania cech i struktur psychicznych. Wyraz jaskrawy znajdowały zwłaszcza w poglądach na prawa ontogenetycznego rozwoju psychicznego i na przyczyny zróżnicowania stopni i form jakościowych inteligencji ogólnej. I tak fakty – przeważnie stwierdzone statystycznie metodami testowymi – dotyczące rozwoju umysłowego czy uczuciowego objaśniano jednomyślnie jako rezultat stopniowego wyzwalań się związków dziedzicznych, względnie osobniczo wrodzonych. Stopnie inteligencji, wyrażane w postaci tzw. ilorazów inteligencji, uważano powszechnie za przejawy wrodzonych zdolności intelektualnych. Krótko mówiąc, w symbolicznie formułowanym przeciwstawieniu „natura – wychowanie” (w piśmiennictwie anglosaskim: *nature – nurture*) opowiadano się zdecydowanie za „naturą”.

Oczywista przewaga „natury” stawała się wątpliwa i sporna w miarę:

1. poznawania szczegółowych uzależnień rozwoju myślenia i wyników kształcenia szkolnego od metod nauczania;
2. ujawniania nonsensów w objaśnianiu wyników rozpoznaw testami inteligencji;
3. postępu badań nad warunkami środowiska wychowawczego;
4. nagromadzenia faktów etnopsychologicznych;
5. przypuszczalnie również coraz pewniejszego umacniania się ideologii postępowych i demokratycznych.

Wobec ciągłego narastania – w rezultacie wielu i różnych badań szczegółowych – masy konkretnych faktów dotyczących oddziaływania warunków środowiskowych na osobniczy rozwój psychiczny i na powstawanie cech osobowości w miejsce coraz bardziej wątpliwej koncepcji „natury” (tj. decydującej roli dziedziczności) zaczęto coraz mocniej lansować koncepcję zdecydowanej i przemożnej roli „wychowania”. Za krańcowy jej wyraz uznać można pogląd twórcy behawioryzmu Johna Watsona (ogłoszony w 1913 roku) w skrócie tak oto brzmiący: „Z każdego niemowlęcia

uksztaltuję wam człowieka, jakiego tylko sobie życzycie, pod warunkiem, że dacie mi odpowiednie środowisko po temu”. W wezwaniu tym, nawiązującym do krańcowego empiryzmu, tkwiła wiara we wszechmoc człowieka jako wychowawcy, planowo wywierającego – korzystne w jego przekonaniu – podniety środowiskowe, zarazem niedopuszczającego do wychowanka podniety niekorzystnych.

Stopniowo obydwa poglądy krańcowe przekształcono na rzecz umiarkowanych, tj. uwzględniających – w przekonaniu autorów – harmonijnie zarówno dziedziczność, jak i środowisko. Pojawiały się wciąż nowe teorie na temat „splatania się” obydwu rodzajów czynników, względnie oddziaływań na bieżące zachowanie się ludzi, pośrednio na formułowanie się cech i struktur ich osobowości. Jedną z nich – z pierwszej ćwierci XX wieku – teoria konwergencji Williama Sterna, wywierała długofalowy wpływ na poglądy psychologów, w szczególności rzeczników psychologii rozwojowej, i na pedagogów.

Łączne oddziaływanie – na postępowanie i osobowość – zarówno dziedziczności, jak i warunków środowiskowych, w ich obrębie planowego wychowania, jest oczywiste. W zasadzie nie przeczyli mu nawet najbardziej krańcowi reprezentanci stanowisk jednych czy drugich. Znaczący to, że skłonność do umiaru sama z siebie niewiele przyczynia się do rozwiązania problemu nad wyraz skomplikowanego. Nie wystarczy też po temu jakaś ogólna formuła dotycząca sposobu „splatania się” z sobą zawiązków odziedziczonych czy osobniczo wrodzonych z mniej lub bardziej złożonymi podniętami, sytuacjami i relatywnie trwałymi warunkami środowiskowymi. Potrzebny jest spoisty kompleks hipotez, a w ślad za nimi ogromna ilość badań weryfikacyjnych. W obrębie pierwszych potrzebne są w szczególności hipotezy uwzględniające intuicyjnie z dawna oczywiste, a niezależnie od tego należycie stwierdzone fakty dotyczące przeważającej, niekiedy wręcz „druzgocącej” roli czy to zawiązków wrodzonych, czy to mierników środowiskowych w przypadkach wyjątkowych. Z daleko posuniętymi upośledzeniami umysłowymi nie upora się najbardziej genialny wychowawca hołdujący teorii Watsona. Poza tym w splocie wyjątkowo korzystnych warunków środowiska wychowawczego nawet krańcowy rzecznik teorii dziedziczności jako istotnego czynnika rozwoju psychicznego może ulec złudzeniu, że w danym wypadku wychowanek X jest po prostu z natury genialny. Oczywiście, założyć trzeba, że nie był, względnie nie jest upośledzony umysłowo – u startu niezwykle starannego opiekuństwa i w trakcie działalności wychowawczej.



Po stronie badań potrzebne są przede wszystkim coraz bardziej zróżnicowane metody robocze na odcinku diagnostyki zarówno psychologicznej, jak i poznawania, w szczególności mierzenie stanu wyodrębnionych składników środowiska wychowawczego. W tym kierunku zmierzałem (od 1934 roku) w swej własnej pracy badawczej nad rolą względną różnych składników środowiska wychowawczego w rozwoju umysłowym dzieci i młodzieży. W rezultacie badań próbowałem kilkakrotnie nadbudować interpretację danych wyników ogólnym poglądem na temat powiązań warunków środowiskowych z dziedzicznością w znaczeniu psychologicznym, jednak zawsze z zastrzeżeniami, które tak można by formalnie streścić: „W świetle dotychczasowych badań i badań własnych taki pogląd ogólny wydaje mi się słuszny. Świadom byłem »hiperfunkcyjnego«, i o tyle właśnie filozoficznego charakteru mej »nadbudowy«”.

W związku z ramowym problemem „natura a kultura” potrącić wypada o odwieczne zagadnienie granic wychowalności człowieka. Zapatrywania w tej sprawie bywały i są nadal nie tylko po prostu mniej lub bardziej rozbieżne. Są zarazem przystosowane do charakteru „wiary” w moc, względnie przemoc dziedziczności a środowiska. Jednakże ponadto uwzględnić trzeba stronę praktyczną zagadnienia nad wyraz trudnego i spornego, o tyle zaś niemało filozoficznego. Chodzi mianowicie nie tylko o logiczne konsekwencje z danego – radykalnego bądź umiarkowanego – stanowiska w sprawie „dziedziczność a środowisko”, lecz także o praktyczne możliwości ogólnie pojętego zespołu wychowawców: lekarzy, rodziców, opiekunów, wychowawczyń, nauczycieli, profesorów, doradców itp.

W tym aspekcie sprawy wróćmy jeszcze do stanowiska Watsona. Przypuśćmy na moment, że miał rację. Ale zapytajmy w takim razie, kto, tj. jaka instytucja, jaki zespół fachowców kompetentnych, mógłby nam zapewnić wszelkie środki do wychowania jakiegokolwiek niemowlęcia według modelu zaplanowanego przez zleceniodawców? Samo to pytanie jest absurdem, nie mówiąc już o bezsensowności założeń teoretycznych, tkwiących w wiadomym – buńczucznym – wezwaniu.

Praktycznie biorąc, nie ma co do tego wątpliwości, że wszelkie – tj. nawet najgorsze – wychowanie jest w jakiejś mierze i w zakresie pewnych cech skuteczne. Rozumie się: skuteczne w tym znaczeniu, że prowadzi do jakichś rezultatów niezależnie od kwestii ich jakości ze społecznego punktu widzenia. Również i to jest pewne, że dobrze przemyślanymi metodami i właściwą pracą wychowawczą można wskórać „wiele”. Ile? Nie ma wystarczająco uzasadnionych odpowiedzi na to pytanie. W każdym razie wyniki oddziaływań w zakresie efektywności samego nauczania niechby



nawet oparte na bardzo dokładnych badaniach wskazują na drobną tylko część problemu ogromnie trudnego, bo nad wyraz złożonego. Faktem jest, że młodzież jako taką efektywnie kształcimy, że przysposabiamy ją do określonych zawodów, że przystosowujemy ją do norm współżycia społecznego. Przypuszczalne wyniki w tej dziedzinie mogą być i zapewne będą coraz lepsze, a to stosownie do lawiny narastającej masy wiedzy psychologicznej i pedagogicznej i do coraz bardziej przemyślanych metod oddziaływania nauczycieli na młodzież. Ponadto, i co do tego nie ma wątpliwości, że w wielu konkretnych wypadkach krańcowych najlepsze wyniki wychowawców nadal, a nawet zawsze będą wątpliwe czy mizerne z powodu niepokonanych trudności dziedzicznych, środowiskowych lub jednych i drugich łącznie. A jeśli przy tym uwzględnić niemożność dokonania należytych rozpoznania stanu faktycznego poszczególnych uzależnień procesu wychowawczego oraz faktycznie wciąż dokonujące się przeobrażenia w modelach-ideałach wychowania, przyjąć trzeba, że – praktycznie biorąc – granice wychowalności ludzi są nieoznaczalne. Wielu danych pilnie potrzebnych nie znamy i nie będziemy znali, wieloma niezbędnymi środkami nie rozporządzamy i nie będziemy rozporządzali, wiele idei w zakresie oddziaływań wychowawczych będziemy wciąż inaczej pojmowali bądź z innych powodów akceptowali albo odrzucali. Czemuż w takim razie mielibyśmy zbyt daleko zmierzać na polu działalności wychowawczej?

## **Motory aktywności ludzkiej**

Co skłania ludzi do działania w określonym kierunku, tj. ze względu na dany cel? Pod jakim wpływem i w jaki sposób wytyczają sobie określone cele do urzeczywistnienia? Skąd pochodzi napęd do działań jakichkolwiek? Do tych pytań sprowadzić można by kilkanaście innych – czy to zróżnicowanych, czy to zbliżonych treścią. Większą część rozważań nad człowiekiem i odnośnych zapatrywań zawartych w systemach filozoficznych i w literaturze pięknej można by z nimi skojarzyć wprost lub pośrednio. Tutaj też tkwi nadal rdzeń filozofii człowieka i również tej, która stanowi nadbudowę teoretyczną wyników badań w zakresie psychologii naukowej, w szczególności znacznie już zaawansowanych badań nad motywami ludzkiego postępowania. Obojętne przy tym, czy psychologowie jako autorzy rozpraw nad motorami aktywności ludzkiej sądzą, że dokonali lub dokonują ściśle naukowej syntezy nabycia stwierdzonych faktów, czy też świadomi są spornego charakteru swych zapatrywań, ich pokroju filozoficznego.

Psychologia naukowa startowała od problemów z pogranicza fizyki i fizjologii, a przez kilkadziesiąt lat na pierwszy plan wysuwała się sprawa wymienności wrażeń, raczej odległa od zagadnienia motorów aktywności ludzkiej. Niemniej na warsztacie badań znalazło się ono już w drugiej połowie XIX wieku, a to głównie w dwóch postaciach czy kierunkach:

1. roli instynktów w zachowaniu się zwierząt, zwłaszcza zwierząt ewolucyjnie wczesnych, znacznie później – instynktów u człowieka;

2. roli przyjemności – nieprzyjemności, względnie nagrody – kary w motywacji zachowania się zwierząt wyższych, np. szczurów, i ludzi, zwłaszcza uczniów szkolnych.

W postaci pierwszej badania (zoopsychologów) miały długo charakter przeważnie obserwacyjny, w postaci drugiej (rzeczników psychologii uczenia się) – przeważnie eksperymentalny. W obydwu kierunkach zebrano ogromną masę naukowych spostrzeżeń, a w ślad za nimi opracowano sporą ilość uogólnień teoretycznych, mniej lub bardziej stanowiących realny postęp wiedzy psychologicznej.

Osobno uwzględnić trzeba tu pomysły behawiorystyczne, koncepcje i poglądy wszystkich razem doktryn psychoanalitycznych, pryncypialnie dotyczących problematyki motorów aktywności ludzkiej. Z uwagi na związek z psychiatrią, a więc z konkretnymi problemami leczenia, doktryny te miały charakter empiryczny i – przynajmniej na pozór – pozostawały z dala od zagadnień filozofii człowieka. Faktycznie jednak były filozoficzne w całej pełni, co łatwo zauważalne było nawet dla laików, choćby tylko z uwagi na gwałtowność sporów między rzecznikami różnych szkół psychoanalitycznych i na wierzeniowy charakter podstawowych założeń i konkretnych koncepcji związanych z praktyką leczenia nerwic.

Aktualnie sytuacja jest tego rodzaju, że nowe poglądy na źródła aktywności ludzkiej oparte są wprawdzie w jakiejś mierze na wynikach badań eksperymentalnych (przeważnie w powiązaniu z problematyką szeroko pojętego uczenia się), ale że wciąż nadbudowa teoretyczna w postaci objaśnień i uogólnień wyraźnie wykracza poza granice wniosków indukcyjnych. Znaczy to, że – podzielnie, jak w sprawie „dziedziczność-środowisko” – psychologowie filozofują, tj. konstruują nadbudowy teoretyczne, wybiegające poza „wymowę” faktów. W braku miejsca na niechby bardzo zwięzłe streszczenie krytyczne wybranych poglądów na niniejszą sprawę przedstawię stanowisko własne, które stopniowo rozwijałem i częściowo przekształcałem w wielu publikacjach, poczynawszy od dwóch rozpraw ogłoszonych drukiem w latach 1938–1939: *Mechanizm natury ludzkiej* („Wiedza i Życie” 1939, z. 1-2) i *Natura ludzka* („Kwartalnik Filo-

zoficzny” 1939, z. 1), a skończywszy na części czwartej książki *Sporne problemy psychologii* (2. wyd. 1975).

Oto pogląd, któremu od 1938 roku wielokrotnie dawałem wyraz: Do naukowego opisu napędów ludzkiego postępowania w pewnej mierze służy całość rozporządzalnej wiedzy psychologicznej – począwszy od wiedzy o wrażeniach zmysłowych –, filozoficznej, biologicznej i ekologicznej, jednakże na plan pierwszy wysunąć trzeba jej składniki dotyczące złożonych form postępowania, a nie relatywnie prostych reakcji na podniety. Wybór pojęć, w ślad za nimi problemów do zbadania powinien uwzględnić przede wszystkim formy postępowania, nazywane zwykle działaniem i występujące we współżyciu ludzi ze sobą. Z tego punktu widzenia głównie interesujące zarówno laików, jak i twórców dzieł literackich oraz filozofów bywały i są nadal działania wprost lub pośrednio związane ze spełnieniem podstawowych potrzeb. Wszystko inne, np. postępowanie pod wpływem strachu, gniewu, trzeba widzieć i badać jako składniki lub okoliczności zaspokajania potrzeb.

Istota potrzeb stanowi zatem pierwszoplanowy problem psychologiczny. W tej sprawie pod wpływem ewolucjonizmu w ciągu kilku dziesięcioleci XX wieku miarodajna była teoria (wielopostaciowa), w myśl której potrzeby powstają na gruncie wrodzonych popędów instynktowych. Jej rzecznicy twierdzili, że popędy te stanowią (jedyną lub główną) energię wszelkiego postępowania w ciągu całego życia. Wynikało stąd, że ogromną różnorodność ludzkich działań wyjaśnić można opisując sposób i etapy jej przekształcania się w konkretne formy zachowania pod wpływem warunków życiowych. Inicjatorem tej teorii był twórca tzw. hormonizmu, psychiatra William McDougall, a jej głównym reprezentantem – twórca psychoanalizy Zygmunt Freud, który ogół energii wrodzonych utożsamiał z popędem seksualnym.

Od początku mej kariery naukowej pogląd ten uznawałem za istotnie błędny, a jego niedostatki wykazywałem w wielu publikacjach. Nie przecząc pryncypialnie koncepcji popędów stanąłem na stanowisku, że napęd do wszelkiego działania wywodzi się z wielu źródeł, przede wszystkim z całości funkcji biochemicznych i fizjologicznych organizmu oraz z całości doświadczenia osobistego. A jego kształt konkretny przystosowany jest do danych wymagań obiektywnych.

Z tego wyłaniały się problemy wielości i zróżnicowania potrzeb oraz ich mocy względnej i hierarchii. W tych sprawach za konieczne uznałem oparcie się nasamprzód na pojęciach biologicznych. W ich świetle na plan pierwszy wysuwają się potrzeby wyrastające z głodu i z płci.

Zgodnie ze swą naturą zwierzęcą człowiek potrzebuje przede wszystkim i wciąż na nowo pokarmu, przystosowanego do jego budowy i czynności fizjologicznych w zakresie przemiany materii. W ujęciu symbolicznym znaczy to, że wśród potrzeb na plan pierwszy wysuwa się „głód” jako ogół zjawisk związanych z tymi to podstawami ludzkiego bytu. W ich obrębie oczywiście nasamprzód głód psychologiczny, pojęty dosłownie. Jednakże w rachubę wchodzi również, w skomplikowanych warunkach współżycia ludzi ze sobą, daleko ważniejsze niż chwilowy głód „targający trzewiami” przeżycia i widoczne poczynania, dyktowane lękiem, podsycanym wyobraźnią. Na tym gruncie zawsze powstawały i powstają wciąż na nowo najrozmaitsze potrzeby, w ślad za nimi działania niejako tylko z ukrycia dyktowane głodem, nierzadko maskowane, wyrozumowywane, a nawet ideowo usprawiedliwiane. Oto niektóre spośród nich: troska o „wiązaną końcówkę” w utrzymaniu rodziny, zapobiegliwość, oszczędność, gospodarność, gromadzenie zapasów żywnościowych, „ciągnięcie pieniędzy”, skąpstwo, zabezpieczanie się klejnotami (rzeczami niewielkimi, lecz cennymi i łatwymi do ukrycia czy transportu), chciwość i wiele zjawisk innych. Wszystkie stanowią źródło bądź przejaw różnego pokroju konkretnych potrzeb, pobudzających do specyficznego działania. Również wszystkie – wymienione i inne – rozmaicie się ocenia w granicach między pełną aprobatą lub co najmniej wyrozumiałością a zdecydowanym potępieniem, nierzadko w formie wyroków sądowych.

Oto dziedzina „głodu”. W jej obrębie przede wszystkim szukano i szuka się wciąż na nowo, m.in. w sądownictwie, w twórczości literackiej, w powszednim obmawianiu bliźnich, konkretnych motywów postępowania, i to nawet – niekiedy – motywów wysoce ideowych, złożonych i czasem trudnych do rozwikłania nie tylko dla psychologów, ale również dla osób tak czy owak działających.

Odwiecznie laicy i filozofowie uznawali „płeć” za potężną dźwignię ludzkich poczynąń. Co prawda, również odwiecznie spierano się w sprawie zakresu zjawisk tutaj zaliczalnych w granicach od zbliżeń seksualnych do uduchowionych form sympatii, np. takich jak „intelektualna miłość do Boga” (*amor intellectualis dei*) według filozofii scholastycznej. Jednakże w warunkach zasadniczej zgody co do wielkiej roli poczynąń i przeżyć seksualno-erotycznych, potocznie obejmowanych zazwyczaj wieloznacznym mianem „miłość”, od dawna i nadal trwają spory co do kilku spraw wątpliwych, bo trudnych do należytego rozsądzenia. Przede wszystkim dwie sprawy bywały i są nadal sporne w tej dziedzinie:

1. mocy względnej ogółu potrzeb i napędów związanych z „bytem”, tj. z głodem i zjawiskami przechodnymi, w porównaniu z „miłością”;

2. roli względnej biochemicznych i filozoficznych jej podstaw, w porównaniu z całością nadbudowy humanistycznej.

W ogromnej już literaturze dotyczącej seksualizmu wciąż na nowo pojawiają się zapatrywania rozbieżne w tych sprawach. Znaczy to, że również w tej dziedzinie naukowej – głównie psycholodzy, psychiatrzy i socjolodzy – nadal mniej lub bardziej przekonywająco filozofują, pomimo coraz pewniejszego oparcia na narastającej masie faktów stwierdzonych doświadczalnie.

W zbiorze potrzeb, których realizacja uzupełnia życie ludzi, rolę szczególną zajmuje potrzeba szeroko pojętej wiary. Rolę szczególną, gdyż nie ma jej – poza człowiekiem – w świecie zwierząt. Swego czasu (w 1939 roku) w rozprawie *Głód, płęć i mit* oznaczyłem ją tym trzecim słowem, ponadto zaakcentowałem jej doniosłą rolę na tle ogółu spraw związanych z potrzebami bytowymi i seksualno-erotycznymi. Wobec tego, że „mechanizm” powstawania „mitów” przedstawiłem obszernie w kilku rozdziałach niniejszej pracy, tutaj tylko obrysuję zwięźle własny pogląd na rolę względną różnego ich pokroju w porównaniu z „głodem” i z „płcią”.

Według starego porzekadła łacińskiego *primum vivere, deinde philosophari* – „najpierw (trzeba) żyć, potem dopiero (można) filozofować”. W zasadzie można się z nim zgodzić, a to w rozumieniu następującym: Zainteresowanie i ochota do rozważań abstrakcyjnych, do dyskusji i sposobów teoretycznych wymaga na ogół dostatecznego zasobu sił witalnych i zdrowia, niezakłóconego w danej chwili ostrym głodem. Nie inaczej ma się rzecz z poczynaniami twórczymi w zakresie ogólnie pojętego filozofowania. Co więcej – we wszelkiego pokroju pracy twórczej, w szczególności w pracy naukowej. Nie można jednak przyjmować prostej korelacji – „im – tym” – między filozofowaniem a warunkami bytowymi, i to ani w zakresie twórczej działalności myślicieli, ani w ujawnianiu zainteresowań recepcyjnych dla idei i zagadnień filozoficznych. Jeśli tylko w grę nie wchodzi ostry głód fizjologiczny czy bezpośrednie zagrożenie życia – niedostatek bądź niebezpieczeństwa nie nagłące do przeciwdziałań mogą nie mieć żadnego znaczenia dla aktywności intelektualnej w zakresie szeroko pojętego filozofowania.

Inaczej ma się rzecz, jeśli na uwadze mieć zaangażowanie dla idei społecznych, politycznych, moralnych czy religijnych. Historia daje dość świadectw dla przekonania, że zagrożenia bytowe, niedostatek, prześladowania itp. stanowią istotne źródło aktywizacji przekonań ideowych i że

skłaniają do nich ludzi zaangażowanych, zarazem zdolnych do abstrakcyjnych rozważań. Stanowią podstawowy napęd w tym kierunku. Jednakże – w takim razie – potrzebę formułowania, precyzowania, uzasadniania, obrony, głoszenia idei, względnie odnośnych ideologii czy wierzeń można traktować jako szczególny wyraz – społeczno-kulturowy – potrzeb bytowych. Jeśli wyłączyć mity, powstałe przede wszystkim w wyniku „nadmiaru” aktywności poznawczej (zagadnienia i przekonania ontologiczne i etyczne, pośrednio – epistemologiczne), potrzeba wiary stanowi więc, przynajmniej częściowo, funkcję potrzeb bytowych, a „w rachunku ostatecznym” – głodu i w ogóle zwierzęcych podstaw natury ludzkiej.

Rzec by można, że ludzie żyją niejako zanurzeni w kulturze swej społeczności. Czy znaczy to, że potrzeby kulturowe należą do podstawowych i że o tyle są porównywalne z potrzebami bytowymi i seksualno-erotycznymi? W tej – nad wyraz spornej i od dawna rozpatrywanej – sprawie niezbędne jest nasamprzód rozróżnienie:

1. poczynań przystosowawczych;
2. aktywnej recepcji podniet kulturowych;
3. działań twórczych.

Co do poczynań przystosowawczych nie ma wątpliwości, że na ogół ludzie chcąc nie chcąc dostosowują się do obyczajów, zwyczajów i do stylu życia swojej grupy społecznej. Znaczna część wychowania polega na odpowiednim wdrożeniu do właściwych nawyków. Wiadomo, że zdarzają się – tak czy owak piętnowane – wyjątki, tj. przypadki postępowania niezgodnego z formami życia danej grupy. Ale napęd do ścisłego dostosowania się bywa na ogół przemożny. Jednak poza bezwładnością – wszelkich – nawyków siłę pędną stanowi w nim głównie strach przed „gniewem społecznym”. A zatem napęd pochodzi tu ostatecznie z zewnątrz, co niekoniecznie znaczy, że ludzie z wyrozumowania przystosowują się do obyczajów i do stylu życia swojego środowiska. Dodać trzeba, że w miarę komplikowania się życia zbiorowego w cywilizacji naukowo-przemysłowej i życia wielkomięjskiego naciski środowiska stopniowo tracą na znaczeniu. Odpowiednio do tego maleje potrzeba postępowania konformistycznego.

Potrzeba recepcji podniet kulturowych obecna jest na każdym poziomie życia i dotyczy wszystkich ludów, ale jest niezmiernie zróżnicowana. Przede wszystkim nie sposób w jej zakresie ustalić jakiegoś minimum, które by odpowiadało najmniejszej ilości kalorii dziennie w zakresie żywienia. Rozpiętość potrzeb recepcyjnych waha się w granicach między – praktycznie biorąc – obojętnością dla kultury, w szczególności dla nowych dzieł twórczych, a chłonnością tak dalece posuniętą, że w życiu



danej osoby potrzeby bytowe, niekiedy również erotyczne, zdają się nie grać roli żadnej. Dana – w tej dziedzinie wyjątkowa – osoba po prostu żyje kulturą. Na przykład całe dni i lata nałogowo uprawia czytelnictwo, muzykowanie, majsterkowanie techniczne. Świat jej poza tym nieomal nic nie obchodzi. Rozumie się, że w takich to wyjątkowych wypadkach osoby inne dbają o zaspokojenie potrzeb bytowych swych bliskich „pochłoniętych kulturą”.

Jeszcze inaczej ma się rzecz z potrzebami kulturowymi twórców. Rzecz by można, że w swoim zakresie żyją tylko kulturą, i to z reguły jakimś drobnym wycinkiem pewnego jej rodzaju, np. krytyką literacką. Nierzadko przy tym nie mają czasu na zróżnicowaną recepcję dzieł twórczych, a więc w tym sensie cierpią na ubóstwo potrzeb kulturowych. Niezależnie od tego ograniczenia na plan pierwszy występują u nich potrzeby bytowe – tj. „głód” – bo to twórczość stanowi w ich życiu istotne źródło ich zaspokajania. Ostatecznie więc w mnogości ludzkich potrzeb na planie pierwszym ostaje się „głód” i „płēć”, zaś „mił” jest mniej lub bardziej zakorzeniony w głodzie.

Szczególnego pokroju i wielokształtna jest potrzeba szeroko pojętej wolności. U podstaw fizjologicznych leży potrzeba swobodnego ruchu, wynikająca z podstawowych funkcji mięśni i całego aparatu ruchowego. Uwzględnia się ją nawet w bardzo nieludzkich więzieniach. Jednakże część istotna i przeważna potrzeby wolności wynika z relatywnego charakteru przystosowań psychicznych do podniet, sytuacji i warunków środowiskowych, a w ślad za tym z potrzeby „wyrażania” (ekspresji) doświadczeń osobistych, ocen, postaw i przekonań. Za przystosowaniami bieżącymi narasta doświadczenie osobiste, a na jego tle cechy i struktury osobowości, w ich obrębie różnego pokroju przekonania. Urzeczywistnianie tych jest tak samo potrzebne, jak wyrażanie strachu, gniewu, radości itp. wobec sytuacji bieżących. Otóż właśnie najważniejszy rodzaj wolności polega na możliwości nieskrępowanego wyrażania doświadczeń osobistych i cech osobowości. Najtrudniejszy do zniesienia rodzaj niewoli to ograniczanie lub całkowite uniemożliwianie ekspresji tychże słowem, pismem, działalnością twórczą i organizacyjną. O wolność w takim znaczeniu ludzie walczyli odwiecznie i walczą nadal.

W związku z tym warto teraz postawić pytanie – już raczej z zakresu filozofii społecznej niż filozofii człowieka – dlaczego ludzie nie mają swobody wyrażania swych doświadczeń i cech osobowości, zwłaszcza swych przekonań? Odpowiedź jest relatywnie prosta: Nie mają, względnie nie mówią jej dlatego i w tych układach społeczno-politycznych, gdy wyra-



zanie i propagowanie przekonań zagraża bądź wydaje się zagrażać interesom władców. Im więcej rzeczywistego zagrożenia lub choćby tylko strachu i gniewu – w ślad za tym uprzedzeń lub nienawiści – po ich stronie, tym ostrzejsze represje, tym większa niewola intelektualna i moralna.

Osobno uwzględnić trzeba zróżnicowany zbiór potrzeb zabawowych. Ich obecność – w formie prymitywnej u zwierząt wyższych – wskazuje na przynajmniej częściową zależność od podbudowy fizjologicznej. Póki młode zwierzę jeszcze nie musi samodzielnie walczyć o byt, a sytość dorosłego jest zabezpieczona, organizm może, a nawet musi wyładować się ruchowo, np. bezcelową gonitwą. W zasadzie dotyczy to również ludzi. A zatem przynajmniej część ich zabaw – tj. zabawy i gry ruchowe, sport – uwarunkowana jest biologicznie. Odrębnie, ale nie całkiem inaczej ma się rzecz ze specyficznymi ludzkimi zabawami o charakterze umysłowym. W nich wyładowuje się bezcelowo, tj. bez uzależnień od walki o byt, w szczególności od pracy, zasób doświadczenia osobistego; tu należą m.in. takie zajęcia, jak rozwiązywanie łamigłówek, krzyżówek itp. Wszędzie obecne powiązania walki o byt z obecnością i współdziałaniem z ludźmi bądź ze współzawodnictwem na tym tle, pociąga za sobą wielość i różnorodność zabaw umysłowych splecionych z życiem towarzyskim. Nie ma wątpliwości, że szeroko pojęty zabawowy ruch fizyczny i umysłowy jest niezbędny jako aktywizacja organizmu, w szczególności umysłu. Daje specyficzne zadowolenie i podtrzymuje siły. Ale i to jest pewne, że nie wynika z potrzeb tak istotnych i przemożnych, jakimi są potrzeby wyrażające się z „głodu” i z „płci”. W ślad za tym odpowiednia jest rola konkretnych motywów postępowania, w wypadku ich poważnego uzależnienia od potrzeb czy to bytowych, czy to seksualno-erotycznych, czy to wreszcie od potrzeby zabawowego „ruchu” – fizycznego i umysłowego łącznie.

Na tym miejscu parę słów o motywach postępowania, tj. „napędów” do konkretnych poczynań czy to wprost na gruncie potrzeb, czy to głównie pod wpływem zewnętrznych sytuacji lub warunków życiowych, ale – z reguły – w pośrednim związku z potrzebami. Odnosnej problematyce poświęcono już wielką ilość badań, w dużej mierze eksperymentalnych, a to zwłaszcza na odcinku motywów szkolnego uczenia się. Jest w tej dziedzinie niemało spraw niejasnych i wątpliwych, odpowiednio do tego wiele problemów do badań dalszych. Przeważnie dyskusje i spory – motywów dotyczące – mają charakter etapów w bieżącym postępie naukowym. Rzecz by można, że chodzi o spory „warsztatowe” czy fachowe, na ogół nieistotne w świetle odwiecznych zagadnień filozofii człowieka. Jednakże od dawna utrzymuje się szereg spraw formalnie dotyczących motywów postępowania

nia i niewyraźnie bądź tylko pośrednio związanych z potrzebami, w których zakresie spory mają charakter wysoce filozoficzny. Dotyczą one „ostatecznych” źródeł ludzkiego postępowania. Ich analiza prowadzi do rozwiązań mniej lub bardziej rozbieżnych, a nawet sprzecznych. Emocjonalne zaangażowanie stron spierających się czy podtrzymujących własne przekonania jest zazwyczaj bardzo silne. Przede wszystkim sprawy tego rodzaju spróbuję rozpatrzyć dalej i zająć wobec nich stanowisko własne – kilkakrotnie przedstawione w moich publikacjach. Najpierw chodzi tu o spór o źródła egoizmu i rolę tegoż w życiu ludzi. Z kolei o rolę ideowych motywów postępowania, o altruizm i o poświęcenie, w szczególności o poświęcenie (zdrowia, życia, własnych ambicji itp.) wymagające odwagi. Wreszcie – o naturę agresywności, nienawiści i okrucieństwa. Wszystkie trzy sprawy są złożone i obejmują wiele zagadnień pochodnych. Na tym miejscu możliwy jest tylko wybór co ważniejszych – w moim mniemaniu osobistym. Ponadto – oczywiście – tylko analiza skrótowa i uproszczona. Szczegóły przedstawiłem w publikacjach z różnych okresów mej kariery naukowej.

## **„Mechanizm” pychy i ambicji**

Do najbardziej spornych, i o tyle filozoficznych, w psychologii człowieka należą problemy dotyczące roli pychy i ambicji; w szczególności – problemy ich genezy, zróżnicowania i funkcji jako szczególnego rodzaju napędów do działania. W próbie ich przedstawienia nasuwa się najpierw pytanie, na jakiej podstawie łączymy z sobą dwie sprawy na pierwsze wejrzenie odrębne, tj. pychę i ambicję. Przekonania, pośrednio zaś problemy dotyczące roli pychy w życiu ludzi obecne są w powszechnej wiedzy psychologicznej. Odpowiednie pojęcia reprezentowane są – przypuszczalnie – w każdym języku. Znaczy to, że zapewne wynikają one przede wszystkim z ogólnych i wszędzie obecnych stosunków międzyludzkich, a dopiero wtórnie z różnic warunków kulturowych. Takie oto pojęcia, względnie terminy bliskoznaczne, jak zarozumialstwo, pewność siebie, duma, wyniosłość, próżność, nadętość oraz wiele zwrotów językowych, wskazują na ogólnie pojętą i wszędzie napotykaną pychę, jako postawę, wyrażającą przewagę nad ludzkim otoczeniem. Natomiast o ambicjach mówi się zazwyczaj w związku z dążeniami do uzyskiwania tej przewagi na tle działań ściśle związanych z określonymi formami kultury. Dotyczy to np. uczenia się i wiedzy osobistej, sportu, manier towarzyskich, ubioru,

mieszkania, majątku, uznania ze strony znawców. Zawsze jednak chodzi o osiągnięcia dające poczucie przewagi nad ludźmi innymi w określonych formach, warunkach bądź chwilach życia kulturalnego; oczywiście, zarazem w określonych stosunkach międzyludzkich. A zatem podstawowe formy pychy – wymienione wcześniej – i inne zbliżone są funkcjonalnie do niezliczonych form ambicji, odpowiadających określonym warunkom współżycia ludzi z sobą w określonych układach społeczno-kulturowych. Im bardziej zróżnicowane jest życie społeczne, tym bardziej potrzebne są ambicje specjalne, aby wyrosnąć ponad innych w zasadzie czy w przybliżeniu równych sobie. Znaczy to – aby mieć podstawę do świadomości określonej przewagi nad innymi. Innymi słowy, formy („fenomenologiczne”) pychy są nieliczne, natomiast formy ambicji są niezliczone i wciąż zmienne stosownie do przeobrażeń w życiu społeczno-kulturowym.

W jakim stopniu świadomość przewagi nad innymi wywołuje przeżycia i postawy próżności, górowania nad „swoimi”, wyniosłości itp., to zależy od konkretnego układu obiektywnych i subiektywnych warunków współżycia ludzi z sobą. Na ogół jeśli ludzie współpracujący z sobą znajdują się na tej samej „platformie” uprawnień i obowiązków (np. jako kole-dzy z tej samej „ławy” szkolnej), osoba wyróżniająca się uważana jest za dumną, wyniosłą, zarozumiałą itp., ogólnie rzecz biorąc – za pyszną, co jednak nie przeszkadza co najmniej cichemu uznaniu słuszności jej pychy. Natomiast im bardziej odległe od siebie są owe platformy wspólnoty, tym słabiej zaznacza się zawiść lub zazdrość, zarazem – tym lepsze są warunki do ocen obiektywnych. Tak przeto różne formy pychy, ambicji, zawiści, zazdrości oraz uznania stanowią specyficzny konglomerat zjawiska w stosunkach międzyludzkich i w odpowiednich poczynaniach. Tworzą one nieustannie obecne tło wszelkich form współżycia ludzi. Taka jest – że tak rzec – faktograficzna prawda. Ponadto same tylko opisy faktów wyglądają rozmaicie w różnych teoriach psychologii społecznej i socjologii, a także w różnych ujęciach literackich i estetycznych bądź moralistycznych. Znaczy to, że już począwszy od faktografii rzecz jest trudna, bo nad wyraz złożona. Już na tym etapie pobudza zatem do rozważań i ujęć teoretycznych trudno sprawdzalnych i – zresztą – niesprawdzanych, pośrednio do powstawania zapotrzebowań odmiennych i spornych, niekiedy wzajemnie przeczących sobie – co znamionuje filozofowanie w powszednim rozumieniu tego pojęcia. Sytuacja staje się jeszcze trudniejsza, jeśli podejść do niej z zamiarem wyjaśnień przyczynowych; w ślad za tym – celem poznania „mechanizmów” ambicji i ogółu form pychy. Niemniej próbować trzeba i oto próba autora:

Wszelka teoria pychy, zawiści i ambicji musi mieć przede wszystkim charakter psychologiczny, bo o psychiczne formy życia tutaj chodzi, jednakże powinna w granicach zdrowego sensu i stwierdzalnych faktów nawiązywać do biologicznych podwalin w naturze ludzkiej. Zgodnie z tym nasuwa się tu stara idea psychologów ewolucjonistów, że podstawowe formy zachowania się ludzi są odziedziczone w formie instynktów i że jako takie są w zasadzie jednakowe w przypadku ludzi i zwierząt; oczywiście, co najmniej zwierząt wyższych. Krócej – z biologicznego punktu widzenia pycha (w szerokim znaczeniu tego słowa, tj. z uwzględnieniem całego wachlarza form wymienionych uprzednio) jest przejawem wrodzonego instynktu. W rzeczy samej instynktolodzy w psychologii tak właśnie tę sprawę ujmowali. Dotyczy to w szczególności wielce wpływowej teorii McDougalla zwanej hormizmem; w ślad za nim dość liczny zastęp zwolenników tej teorii. W jej świetle impulsy do pysznego zachowania się są wrodzone, poszczególne zaś formy zarówno „górowania” nad innymi, jak i ambicji stanowią konkretne przystosowania instynktu „postawienia się” (godności osobistej, korzystnej samooceny itp.) do społeczno-kulturowych warunków życia danej osoby, zwłaszcza do jej najlepszych możliwości celem uzyskania przewagi nad innymi. W tym sensie ambicje są wprawdzie nabyte, ale ostatecznie służą „postawieniu się”, którego potrzeba zakorzeniona jest we wrodzonym popędzie instynktowym. Ambicje stanowią zatem szczególny rodzaj potrzeb, wprawdzie specyficznie ludzkich, jednakże osadzonych na instynkcie „postawienia się”, czyli pychy.

Sądzę, że można się oderwać od budzącego istotne wątpliwości słownictwa instynktologów, ale pomimo to podtrzymywać myśl zasadniczą, że pycha tkwi w filozoficznej naturze człowieka i że wyrasta z niej, niekoniecznie zresztą w postaci specyficznego instynktu czy popędu instynktowego.

Proces wyrastania pychy z uwarunkowań biologicznych wyobrażam sobie oto tak: Życie jest układem samozachowawczym części i funkcji danego organizmu. System nerwowy zwierząt (które go posiadają) stanowi swoisty instrument urządzeń samozachowawczych, umożliwiających skomplikowane przystosowania się do rzeczywistości. Z psychologicznego punktu widzenia system ten umożliwia w szczególności przystosowania do zmiennych i zróżnicowanych stosunków przewagi bądź zależności wobec osobników tego samego gatunku.

Trafne przystosowywanie się do obiektywnych warunków przewagi czy względnej stałości jest w zasadzie korzystne dla danego osobnika, a także dla gatunku. Relatywnie silny osobnik ma bowiem większe szanse przeżycia, jak też podtrzymania życia całego gatunku. Świadomość włas-

nej siły odpowiednio mobilizuje do walki o byt. Ale i świadomość własnej słabości poniekąd – czy niekiedy – ułatwia przeżycie, a to dzięki odpowiedniemu podporządkowaniu się silniejszemu czy silniejszym w danej grupie. Krótko mówiąc, zarówno pycha, jak i pokora ma wartość z punktu widzenia takich pojęć, jak walka o byt i szanse przeżycia. Idzie za tym pośrednio wartość trafnych ocen krytycznych i samokrytycznych.

W społeczno-kulturowych warunkach życia jakość i rozmiar przewagi danego rodzaju nad innymi (w szerokim sensie tego słowa: nad „kolegami” jako nad osobami czy grupą osób w zasadzie sobie równych) nie są widoczne po prostu tak, jak zjawiska fizyczne, lecz stanowią przedmiot ocen i są faktycznie oceniane. Stwierdzenia określonej przewagi stanowią zatem zawsze rezultat ocen, i to ocen dwustronnych. Z jednej strony daną osobę ocenia jej otoczenie społeczne, ze strony drugiej ona sama ocenia siebie, i to mniej lub bardziej „w świetle” domniemanych przez nią lub faktycznych ocen ze strony „zwierciadła społecznego”. Jeśli obiektywne podstawy do ocen są oczywiste, otoczenie – tj. przede wszystkim „koledzy” – z przykrością (w zakresie różnopostaciowej zazdrości lub zawiści) uznaje to i się podporządkowuje. Reakcja ta jest w zasadzie i na ogół społecznie korzystna, gdyż działania dla społeczeństwa, odpowiadające czyjejś przewadze, np. moralnej, intelektualnej, w zakresie umiejętności zawodowych, są też w zasadzie i na ogół bardziej korzystne dla społeczeństwa niż działania nie odpowiadające jej, tj. działania osób niekompetentnych w danym zakresie. Jeśli natomiast brak obiektywnych podstaw do ocen pozytywnych, a dana osoba pomimo to „pyszni się”, negatywne oceny otoczenia (oczywiście przede wszystkim takie oceny „kolegów”) pociągają za sobą działania „wyrównawcze”. Po stronie społecznej wywołują mniej lub bardziej przystosowane do konkretnej sytuacji „uderzenia” pod adresem osoby pysznej, np. wyszydzanie, wyśmiewanie, wykpiwanie, wyolbrzymianie jej „głupoty”, „szkalowanie”, oszczerstwa, akty fizycznej agresji, powodowanie uszczerbków bytowych. W ślad za tym idą zazwyczaj „skrucha” pyszałka, zmiany obiektywne w postaci jego wyłączenia z danych układów społecznych itp. W ujęciu ogólnym są to w zasadzie procesy dla społeczeństwa korzystne i oczywiste, jeśli pominąć szkody społeczne i krzywdy indywidualne spowodowane aktami agresji przeciwko pyszałkowi.

Oceny samokrytyczne na ogół idą w parze z ocenami ze strony „zwierciadła społecznego”, jednakże – w świetle badań empirycznych – z tendencją do „nadwyżki” stopni ocen pozytywnych. Pozytywne oceny samokrytyczne w zasadzie zgodne z opinią otoczenia, zwłaszcza zaś otoczenia „koleżeńskiego” („równego”, zarazem kompetentnego), stanowią źródło

szczególnego zadowolenia z wywyższania ponad otoczenie społeczne (ściślej: ponad „kolegów”). Same przez się ułatwiają życie, przynajmniej w danej chwili. Czynią je lepiej zabezpieczonym, mobilizują siły do nowych sukcesów. Co prawda, mogą też pociągać za sobą i często faktycznie pociągają pod wpływem lotnej wyobraźni przerosty w kierunku nadmiaru pewności siebie, próżności czy innej formy pychy. A jeśli otoczenie – szczególnie to niekompetentne – nadmiernie ocenia osiągnięcia obiektywne, co się zdarza notorycznie ze strony tzw. wielbicieli (np. aktorów, muzyków), droga do coraz większej pychy staje się krótka i nierzadko dla „pyszałka” niebezpieczna.

Samokrytyczne oceny negatywne stanowią przede wszystkim „zadrę psychiczną”, tj. szczególnego pokroju zazwyczaj nieznośny ból moralny. Jednakże trafne rozpoznanie jego przyczyn, subiektywne uznanie błędności nadmiernie pozytywnych ocen samokrytycznych, zwane pospolicie skruczą, oraz – w ślad za tym – odpowiednie działania korelatywne mogą „pyszałka” włączyć ponownie (i zazwyczaj włączają go) do obiektywnie trafnego układu ocen i samoocen, w dalszym rezultacie – do działań i „odsiewów” (czynów i ludzi) społecznie korzystnych.

Z psychologicznego punktu widzenia zatem takie czy inne formy pychy, jako wzmożonego poczucia własnej wartości, zarazem wyniesienia ponad otoczenie, mogą być korzystne i dla pyszałka, i dla otoczenia społecznego, a to głównie przez mobilizowanie do ambicji, odpowiadających jego – szeroko pojętym – zdolnościom fizycznym, umysłowym, moralnym, organizacyjnym itp. W takim razie piętnowanie za pychę stanowi wyraz zawiści czy zazdrości, a nie obiektywnie słuszną, negatywną kwalifikację moralną.

Jednakże ze względu na powszechną tendencję do nadmiernie pozytywnych ocen samokrytycznych, na całość społecznych reakcji na – że tak rzec – „pychę głupią”, w ślad za tym na dalsze losy „pyszałka” w osobistej walce o byt, znaczenie istotne ma trafność ocen samokrytycznych. Im trafniejsze są bowiem te oceny, tym większe są też szanse przystosowania do osobistych możliwości w zakresie kształtowania „zdrowych” ambicji życiowych.

Nie jest to rzecz łatwa, a to głównie z następujących przyczyn:

1. Trafne poznawanie samego siebie stanowiło odwiecznie w opinii filozofów problem nie lada. Otóż problem ten nie został rozwiązany mimo zastosowania fachowych porad psychologicznych. Co więcej, pogłębia się w proporcji do zróżnicowywania się zawodów i umiejętności w obrębie cywilizacji naukowo-technicznej.



2. Stare przeciwstawienie zamiarów możliwościom jest przyczyną wielu złudzeń w ocenach samokrytycznych, i to nie tylko złudzeń w postaci przerostu zamiarów („dobrych chęci”), za nimi zaś skonkretyzowanych ambicji. W grę wchodzi również – co prawda rzadziej – niedostatek chęci i określonych ambicji w porównaniu ze zdolnościami.

3. W zakresie wszelkich ambicji, zwłaszcza jednak ambicji politycznych odwiecznie i nadal jako czynnik zniekształcający zdolność do realistycznej samooceny możliwości osobistych rolę niepoślednią (przy tym różną w wypadkach konkretnych) grał wpływ opinii niefachowej i pochlebców. Znaczy to, że ludzie i bez tego ambitni – łatwiej niż inni – ulegają złudnemu przekonaniu co do swych walorów osobistych i rangi swych zdolności twórczych, co do siły własnego oddziaływania społecznego, co do możliwości „służenia” narodowi („milion jestem”) itp.

Mechanizm różnych form pychy i ambicji jest, jak widać, złożony, jednakże jeśli pominąć wypadki wyjątkowe, te zwłaszcza, w których pochlebstwo wywiera wpływ pierwszoplanowy, na ogół niedostatek samokrytycyzmu stanowi źródło najważniejszych przerostów; w ślad za tym – przyczynę cierpień moralnych i porażek. Niedostatek samokrytycyzmu połączony z dobrobytem w zakresie środowiskowych warunków wychowania skłania wielu młodych ludzi nie pozbawionych zdolności, przy tym ceniących, np. pod wpływem dobrych wyników nauczania, dane rodzaje kultury, np. muzycznej, do przesadnej oceny własnych możliwości twórczych. Poza tym ten sam niedostatek samokrytycyzmu może na tle cierpień moralnych spowodowanych określonymi niepowodzeniami, np. w nauce szkolnej, skłonić młodego człowieka do szukania „wyrównań” (kompensacji) na innym polu, a więc do ukształtowania określonych ambicji. Alfred Adler, twórca tzw. psychologii indywidualnej, sprowadzał – więcej po doktrynersku niż realistycznie – wszelkie ambicje, w szczególności ambicje twórcze, a nawet wszelką przedsiębiorczość życiową, do potrzeby kompensacji. Można się zgodzić, że wskazał trafnie na jedno z ważniejszych źródeł ambicji (a więc również jedno ze źródeł pychy), jednak nie ma podstaw do twierdzenia ogólnego, że siła czyichś ambicji i odpowiedniej pewności siebie stanowi po prostu i tylko skutek cierpień na tle frustracji, a jeszcze mniej – skutek pośredni tzw. małej wartości organów. Sprawa jest na pewno dużo bardziej złożona i wielokształtna, niż sobie to wyobrażał autor psychologii indywidualnej.

Wyłania się tu problem ogólny przyczyn skłonności do nadmiernie pozytywnych ocen samokrytycznych. Przyczyna – że tak rzec – ramowa tkwi w fakcie, że „każdy chce jak najlepiej dla siebie”. Każdy chce być zwy-



ciężcą w nieuniknionej walce o byt. A więc niejako „popycha” swą spostrzegawczość i rozum do nadmiernie „różowego” oceniania własnych możliwości. Idzie za tym nierzadko niedostatek wyobraźni na odcinku zdawania sobie sprawy z następstw nadmiernie pozytywnych ocen samokrytycznych. Osobno uwzględnić trzeba specyficzne cechy psychiczne ludzi – przeważnie tzw. ekstrawertyków – czujących się dobrze nade wszystko w otoczeniu ludzi i – co idzie za tym – w blasku „zwierciadła społecznego”. Ci właśnie ludzie łatwiej niż inni i niezależnie od stopnia inteligencji ogólnej dopuszczają do siebie nadmiar korzystnych samoocen. Tutaj bowiem leży część istotna ich szczęścia osobistego.

Jeśli na koniec skupić się na samej tylko pysze, dość faktów przemawia za opinią, że o wiele częściej źle służy ona pyszałkowi, niż ułatwia mu życie. Pycha utrwalona prowadzi do dalszego ograniczenia samokrytycyzmu. Idzie za tym zwiększone prawdopodobieństwo błędnych posunięć zarówno wobec przyjaciół, jak i wobec przeciwników i wrogów, a to głównie z powodu niedoceniań, jeśli nie lekceważenia ich możliwości i uzdolnień, siły, wpływów na otoczenie społeczne itp. Nadmierne, bo nierealne, ocenianie możliwości własnych ułatwia przeciwnikom krytykę negatywną pyszałka; krytykę przynajmniej na pozór niepodbudowaną zawiścią, natomiast obiektywnymi stwierdzeniami jego win, braków, śmieszności itp. Na tym tle zrozumiałe i w zasadzie trafne jest powiedzenie: „Pycha przed upadkiem”. Nie wynika z tego, że pycha zawsze prowadzi do zguby. Jeśli człowiek pyszny nie naraża się na otwarte i ostre konflikty z otoczeniem, zwłaszcza z ludźmi sprawującymi władzę, może się zdarzyć, że wiele błędów wynikających z pychy wybaczają mu się w imię postępów kultury artystycznej, nauki itp. Bywało tak nierzadko zwłaszcza z pysznymi artystami: aktorami, muzykami, malarzami, literatami. Oczywiście, inaczej miała, względnie ma się rzecz z pysznymi, ale zwykłymi „zjadaczami chleba”. Ci na ogół łatwo narażają się na „upadek”, względnie na ponawiane upadki, jeśli pycha stanowi utrwaloną cechę ich osobowości.

## **Spór o rolę przyjemności i rozkoszy**

Skromnie licząc od hedonistów i epikurejczyków w starożytności do psychoanalityków XX wieku toczył się spór o rolę przyjemności i rozkoszy w życiu ludzkim. Jeśli pominąć szczegółowe argumenty zwolenników ich zapatrywań na życie, a skupić się na myślach przewodnich, różnopoeciowe doktryny hedonizmu streścić można w twierdzeniach następujących:

1. Faktycznym celem ludzkich poczynań są jakkolwiek bądź pojmowane przyjemności.

2. Ich formę jaskrawą stanowią rozkosze seksualne.

3. Formę swoistą stanowi zadowolenie z jakichkolwiek osiągnięć, nazywane pospolicie szczęściem.

4. Zgodnie z tym ludzie życzą sobie nawzajem przyjemności, rozkoszy i szczęścia, zarazem pochwalają zdążanie do ich osiągnięcia.

5. Nieszczęścia – w formie cierpień fizycznych i moralnych – stanowią złą stronę ludzkiego życia, toteż trudno się dziwić, że ludzie robią, co tylko mogą, aby ich unikać.

6. Bezcelowe, bo sprzeczne z naturą ludzką, jest odmawianie ludziom pragnienia szczęścia, natomiast słuszne jest usuwanie czy pokonywanie trudności na drodze do tego szczęścia.

Wielkie różnice zachodzą w poglądach – na te sprawy – wyrażonych przez Arystypa (twórcę hedonizmu), Epikura (twórcę teorii zwanej epikureizmem, traktującej szczęście głównie jako rozkosze intelektualne) i Freuda, w którego przekonaniu źródłem istotnym ludzkich poczynań jest instynkt seksualny, a istotnym ich celem są rozkosze seksualne. Jednakże w gruncie rzeczy wszystkim razem i wielu ich zwolennikom przyświecała jedna i ta sama myśl istotna: Pragnienie przyjemności jest podstawowym motorem wszelkich poczynań ludzkich.

Wielekroć zabierałem w tej sprawie głos jako rzecznik negatywnej krytyki – ogólnie pojętego – hedonizmu. Na tym miejscu przedstawię zwięźle stanowisko, jakiemu dałem wyraz w części czwartej książki *Sporne problemy psychologii* (1975, PWN) „Spór o napędy aktywności ludzkiej”:

Potrzeba przyjemności jest faktem oczywistym i na co dzień stwierdzanym w życiu powszednim. Co prawda, potrzeba ta dotyczy przeżyć wielopostaciowych, z trudnością zaliczalnych do jednego zakresu. Z jednej strony chodzi o tzw. przyjemności zmysłowe, związane np. z podnieceniami smakowymi, ze strony drugiej – o stan psychiki z reguły nad wyraz złożony, określane wieloznacznymi nazwami: powodzenie i szczęście. A między tymi krańcami w grę wchodzi różne formy zadowolenia i radości, niekoniecznie uzależnione od podnieć zmysłowych; co więcej, często mające charakter złożonej, pozytywnej reakcji na pomyślne dla danej osoby sytuacje w stosunkach międzyludzkich, jako o stanie zadowolenia – że tak rzec – umysłowego. Można by też powiedzieć: osobowościowego. Życząc sobie nawzajem „wszystkiego najlepszego” ludzie na uwadze mają różnorodności stany zadowolenia, niekoniecznie, a nawet wcale nie stanowiącego zbioru przyjemności zmysłowych, np. z ucztowania,

z przeżyć seksualnych. W szczególności chodzi o zadowolenie z dobrego zdrowia i samopoczucia, z zabawy, z pomyślnej realizacji bieżących zadań (np. zakupów), z przyjemnych spotkań towarzyskich, z powodzenia w staraniach o drobne czy większe sukcesy, z pokonywania trudności i kłopotów itp. Oczywiście m.in. również ze współżycia seksualnego i z bardziej szlachetnie pojętej miłości. Co prawda, zadowolenie z przeżyć seksualnych rzadko wymienia się konkretnie ze względów moralnych czy pruderyjnych bądź „owija się rzecz w bawełnę” w postaci wieloznacznego życzenia „powodzenia w miłości”. Jeśli zatem opierać się na potocznym słownictwie i na powszednich stosunkach międzyludzkich, ogólnie pojęta sfera przyjemności jest w życiu ludzkim bez wątpienia pierwszoplanowa i oczywista. Z językowego punktu widzenia mniej oczywista jest sfera – że tak rzec – ucieczek przed bólem i cierpieniem wszelkiego pokroju. Po prostu o tym się w życzeniach (np. świątecznych), poza sytuacjami walki z chorobami czy poza konfliktami moralnymi lub prawnymi, mówi mniej lub nie mówi się wcale. To jest niejako odwrotna – przykra – „strona medalu” zwanego szczęściem, powodzeniem, zadowoleniem z życia itp. W każdym razie w świetle mowy powszedniej sfera przyjemności zmysłowych, a w szczególności rozkoszy seksualnych nie występuje na planie pierwszym. Występuje w nim za to zbiór mniej lub bardziej złożonych form zadowolenia, jako pozytywnej reakcji „uczuciowo-umysłowej” na sytuacje życiowe, przeważnie w zakresie różnego pokroju powiązań z ludźmi. Już sam ten fakt można by uznać za wystarczającą krytykę freudyizmu, kilku innych doktryn psychoanalitycznych i hedonizmu, tj. filozofii rozkoszy.

Do życia powszedniego bardziej zbliżony jest epikureizm, a jeszcze bardziej niektóre formy eudajmonizmu, tj. doktryny filozoficznej (etycznej), w myśl której ludzie pragną szczęścia, pojmowanego przede wszystkim jako powodzenie zamierzeń, planów i przedsięwzięć, mają – że tak rzec – moralne prawo po temu. Jednakże na tym miejscu nie chodzi o uzasadnienie takiego czy innego prawa moralnego, ale o wyjaśnienie faktycznej roli przyjemności (względnie kompleksów czy nadbudówek) tychże w życiu ludzi. Znaczy to, że analiza krytyczna doktryn czy to etycznych, czy to psychiatrycznych nie wchodzi tu w rachubę.

Do wyjaśnienia potrzebna jest podbudowa biologiczna. Człowiek należy do gatunku zwierząt, nie ma więc wątpliwości co do tego, że nie tylko on odczuwa przyjemności, a także cierpienia, poniekąd również moralne, np. z powodu choroby lub śmierci potomstwa. Nie jest istotne to, że zwierzęta nie mogą nas za pomocą mowy o tym informować. Do rozumienia ich cierpień i stanów zadowolenia wystarczy „wymowa” ich

widocznego zachowania się, w szczególności gestów i wyrazu mimicznego (np. szympansov). A więc trzeba odpowiedzieć na pytanie, jaką rolę przyjemności i cierpienia odgrywają w życiu zwierząt? Co do bólu fizycznego nie ma wątpliwości, że rola tegoż polega na sygnalizowaniu zagrożeń dla życia wynikających z chorób bądź ran. Dokuczliwość bólu zwierzę wyraża mimicznie, ponadto oszczędza swe siły, ogranicza ruchliwość i w miarę swych instynktowych możliwości stara się usunąć przyczynę bólu i cierpień.

Przeciwnie z dużej ruchliwości nie służącej bezpośrednio walce o byt, tj. mającej charakter mniej lub bardziej zabawowy, ponadto z wyrazu mimicznego wnioskujemy o tym, że zwierzę „cieszy się”. Przez analogię można się domyślać, że podobnie jak to jest u ludzi, stany szeroko pojętego zadowolenia świadczą o „dobrobycie” organizmu. Dzięki temu stany te ułatwiają dalszą walkę o byt, w szczególności mobilizację sił potrzebnych do szukania pokarmu, czynności opiekuńczych nad potomstwem, ataku, uciezki, zabawy itp. W każdym razie ani boleści, ani stany przyjemności czy – szerzej pojętego – zadowolenia nie stanowią w życiu zwierząt – że tak rzec – luksusu, lecz biologicznie niezbędne sygnały czy to zagrożeń, czy to bezpieczeństwa zewnętrznego i sprawności funkcjonowania całości organizmu lub jego części.

Rola cierpień fizycznych jest w przypadku ludzi w zasadzie taka sama, jak w przypadku zwierząt: stanowią one sygnały zagrożeń. Bardziej złożona jest sprawa cierpień moralnych, które u zwierząt występują tylko elementarnie bądź zawiązkowo, u ludzi zaś stanowią wielki – przykry – świat. Jednak również co do nich jest to oczywiste, że stanowią sygnały zagrożeń, że skłaniają ludzi do przeciwdziałania, choćby tylko przez ograniczenie aktywności w stanach smutku lub stresu. Ponadto służą do odpowiednich poczynań wyrównawczych, np. w formie rozmów, wyjaśnień, szukania pociechy i wielu działań innych – stosownie do przyczyny cierpień moralnych.

Podobnie jak cierpienia, przyjemności są w życiu ludzi mniej lub bardziej skomplikowane, a to odpowiednio do wielości i różnorodności przyczyn związanych z życiem intelektualnym i moralnym na tle wielości i różnorodności sytuacji społeczno-kulturowych. Na „piętrze” życia zwierzęcego przyjemności są w zasadzie takie same jak u zwierząt. Ogólnie rzecz biorąc, są to nasamprzód przyjemności z należytego funkcjonowania całości organizmu i jego części składowych: organów wewnętrznych, układu ruchowego, narządów zmysłowych. Życząc sobie nawzajem zdrowia, ludzie na uwadze miewają zazwyczaj właśnie zadowolenie z przyjemnego

funkcjonowania „maszyny ciała”. Świadomość zdrowia jest – powiedzmy tak – konglomeratem wielu drobnych przyjemności stąd wynikających.

Osobno uwzględnić trzeba przyjemności jedzenia, picia i czynności wydzielniczych, pozostające w związku ze sprawnością „ciała”. Zachodzi bowiem niemała różnica między nimi a przyjemnościami z dobrego samopoczucia stanowiącego subiektywny przejaw poprawnego funkcjonowania serca, płuc, wątroby itp. Są to powiedzmy – przyjemności aktywne. Zresztą są odczuwane w trakcie danych czynności. Ich znaczenia nieraz akcentowano w prymitywnej moralności, np. w maksymie: „Jedz, pij i popuszczaj pasa”.

Do przyjemności aktywnych należą kompleksy przeżyć seksualnych, tj. związanych z funkcjonowaniem aparatu rozrodczego. Wobec ich niezwykłego akcentowania przez rzeczników psychoanalizy, skupić należy tu na nich uwagę szczególną: Przyroda zespoliła z aparatem rozrodczym szczególnie wielkie ładunki przyjemności, a na ich oznaczenie używa się głównie słowa „rozkosz”. Przyczyna jej roli szczególnej jest zrozumiała z punktu widzenia biologicznego. Wyjątkowa jakość przyjemności seksualnych – w porównaniu z jakością dobrego samopoczucia wynikającego ze zdrowia – jest celowa jako mobilizacja sił do zachowania gatunku, a nie po prostu i tylko „mało ważnego” w porównaniu z nim życia pojedynczej osoby. Rzecz można by wyjaśnić tak: Cóż mogłoby skłonić zwierzę czy człowieka zdrowego do czynności rozrodczych, nierzadko sprzecznych z jego interesami osobniczymi (w sensie zachowania zdrowia i utrzymania życia), gdyby nie wielki ładunek rozkoszy? Czy na poziomie życia ludzkiego wystarczałaby po temu sama tylko chęć posiadania dzieci? I czy ta chęć stanowiłaby dostateczną przeciwwagę do obaw, oporów i rozumowań, w których bierze się pod uwagę całość uciążliwych następstw w postaci ciąży, chorób, nieuniknionych trudów i trosk bytowych i opiekuńczych? Prawdopodobnie nie stanowiłaby jej i nie wystarczałaby do pokonania obaw i oporów.

Stąd właśnie tyle w dziejach moralności i rozumowań etycznych (w Chinach, w Indiach, w kulturze europejskiej) rozważań nad szczególną rolą rozkoszy seksualnych i w ogóle seksu. Stąd również wciąż na nowo pojawiająca się idea – stanowiąca główne źródło hedonizmu – że rozkoszy seksualnych, a tuż za nimi rozkoszy „podniebienia” (obżarstwo i pijaństwo) można pożądać niezależnie od ich służebności dla zdrowia (dla organizmu) i dla gatunku. Oto jej korzenie w interpretacji psychologicznej: „I cóż mnie ostatecznie obchodzi trwałość gatunku? (Interes »Przyrody«, a nie mój osobisty!) I dlaczego nie miałbym wykorzystywać naturalnych

przyjemności jedzenia i picia? Wszak żyje się tylko raz?” Tu tkwi źródło mniej lub bardziej subtelnych rozważań hedonistów każdego czasu.

Przyjemności z dobrego funkcjonowania organizmu stanowią wyraz jego fizjologicznego dobrobytu i już z tego tylko powodu dodatnio nastawiają na dalsze życie. Przyjemności podniebienia wskazują na fizjologiczne zabezpieczenie organizmu na najbliższy czas, tj. do ponownego odezwania się głodu czy pragnienia. Rozkosze seksualne świadczą w zasadzie o zabezpieczeniu gatunku. Jednakże „zaprogramowana” przez naturę służebność przyjemności w interesie osobnika czy gatunku to jedno, a ich maksymalne wykorzystanie dla „osobistego dobrobytu” to drugie. „A więc szukajmy w życiu jak najwięcej przyjemności!”.

Zgodnie z takim to – fikcyjnym, ale prawdopodobnym – rozumowaniem już na prymitywnych etapach kultury i cywilizacji ludzie nauczyli się szukać przyjemności dla nich samych, a nie dla podtrzymywania sił i zdrowia czy dla zachowania gatunku. Nauczyli się też rozróżniania stopni przyjemności, przy czym na ogół przyjmują intuicyjnie, że tym więcej było – lub przypuszczalnie będzie – przyjemności, im więcej jest (czy było) atrakcyjnych podniet. Dotyczy to zwłaszcza oceny przeżyć zabawowych i nastawienia na różne możliwości zabawowego spędzania czasu. Bez wątpienia styl życia polegający na szukaniu przyjemności i na świadomym doborze ich źródeł może być i bywa efektywny. Świadczy o tym fakt, że w każdym społeczeństwie żyje niemało hedonistów lub bardziej od nich subtelnych czy wyrafinowanych epikurejczyków.

Tu wyłaniają się pytania: Dlaczego nie wszystkim ludziom („rozumnie myślącym”) odpowiada hedonistyczny ideał, styl życia? Dlaczego tylu ludzi piętnuje hedonistów i epikurejczyków? Odpowiedzi na te pytania wskazują na granice roli przyjemności, w szczególności zmysłowych rozkoszy w życiu ludzi. Spróbujmy je obrysować:

Rola przyjemności jest życiowo ważna i – że tak rzec – usprawiedliwiona, póki chodzi o zabawę dla „odprężenia się” po pracy, od trosk i kłopotów itp. Zabawa w zasadzie dobrze życiu służy. Pod warunkiem, że stanowi odprężenie, a nie całą treść czyjegoś życia. Znaczy to, że zabawy nie usprawiedliwiają hedonistycznego trybu życia ludzi dorosłych. Wprawdzie tryb taki, tj. styl życia nastawionego na coraz to nowe przyjemności („Co użyjem, to dla nas, za sto lat nie będzie nas”), jest możliwy i pewien odsetek ludzi faktycznie go prowadzi, ale jest to życie niejako „w ślepej ulicy”. Dzieje się tak, ponieważ wrażliwość na przyjemności szybko tępieje. Oznacza to wzrastającą potrzebę coraz silniejszych i nowych podniet. Hedonista smakosz szuka potraw coraz bardziej wymyślnych, hedo-



nista pijak – coraz większych porcji napojów alkoholowych, hedonista *bon vivant* – wciąż nowych zabaw w przyjemnym towarzystwie, hedonista donżuan – podnieć seksualnych z ciągle nowymi, „świeżymi” kobietami; hedonista narkoman – coraz silniejszych narkotyków. Wszyscy razem żyją „na krótki błysk”, co prawda, w różnym i nierówno gasnącym blasku, zależnie od treści przeżyć, od sytuacji, skutków organicznych, następstw w stosunkach międzyludzkich itp. W każdym razie prędzej czy później wewnątrz siebie się załamują – niekiedy szybko, jak to bywa w wypadku narkomanów – w sensie utraty „smaku życia” i pogłębiającej się frustracji. A zatem wewnątrz – osobowościowo – hedonistyczny tryb życia jest coraz bardziej niezadowolający, moralnie nieznośny, przeczący pierwotnym założeniom hedonistów.

Co nie mniej ważne, prędzej czy później ich tryb życia nierzadko kończy się klęską z przyczyn zewnętrznych, społecznych, i to w każdym układzie stosunków społecznych i międzyludzkich. Ani bowiem pojedynczy bliźni (krewni, przyjaciele, znajomi, towarzysze pracy), ani społeczeństwo reprezentowane przez instytucje prawne nie pozwalają sobie na wyzyskiwanie przez darmozjadów, którymi z konieczności wewnętrznej stają się hedoniści, uciekający przed „cierpieniami” związanymi z pracą. Hedoniści stają się przeważnie tzw. marginesem społecznym, z którym każde społeczeństwo walczy mniej lub bardziej skutecznie. A reakcje społeczne w postaci obszernego wachlarza kar same z siebie stanowią źródła różnorodności cierpień, na ogół pogłębiających załamanie wewnętrzne. Można by więc rzec, że hedonistyczny tryb życia jest po prostu nieinteligentny. Niezależnie od przyczyn innych – niekiedy od wielu przyczyn – jest wyrazem błędnego rozumienia życia i rzeczywistości społecznej.

Taki tryb życia jest ponadto sprzeczny z prawami psychologii osobowości. Rzecz w tym, że na poziomie ludzkiego życia, tj. życia osobowościowego, przyjemności zmysłowe stanowią tylko drobiazgi w porównaniu z wszelkimi formami zadowolenia wynikającego z realizacji długofalowych potrzeb, zamierzeń i przedsięwzięć. Te ze swej strony mają grunt w naturze ludzkiej psychiki, nastawionej na przyszłość, zaś konkretnie – w przygotowaniu do określonego rodzaju pracy, w wykształceniu, w określonych zainteresowaniach, w danych zobowiązaniach itp.

Przyjrzyjmy się przykładowi: Matka troszczy się o swe dziecko nie tylko ze względu na jego potrzeby chwilowe, ale także ze względu na jego zdrowie, jak najlepszy rozwój, przyszłość, szczęście w całym jego dalszym życiu. Przy tym w świetle hedonistycznego obrachunku (przyjemności i cierpień) prawie zawsze w tym wszystkim, co matka robi dla dziecka,



jest więcej cierpień różnorodnych niż przyjemności: cierpień z bezsenności, z nieustannego krztałania się oraz z wciąż ponawiających się obaw o zabezpieczenie bytu powszedniego, zdrowie, życie, przyszłość dziecka. A jednak – jeśli pominąć przypadki wyjątkowo niekorzystne – to wszystko razem daje matce zadowolenie. Stanowi o istocie szczęścia z macierzyństwa. Zgodnie z tym normalna matka nie zamieniłaby swego losu na „panieński”, gdyby nawet związane były z tym nie wiedzieć jak liczne i wielkie uciechy bieżące z zabaw tanecznych, wycieczek, hulanki, przeżyć seksualnych itp. Rozumie się, że „nasza” matka byłaby bardziej szczęśliwa, gdyby była bardziej wolna, niż jest, od masy trosk i gdyby ścierające się siły mogła odnawiać rozrywkami, zabawami, dostatecznym wypoczynkiem itp. A jednak nawet przy niedostatku rozrywek jest na ogół z życia zadowolona, jeśli cel istotny, tj. pomyślny rozwój dziecka, jest spełniony.

Młodość ze swą siłą, ruchliwością i zdrowiem nastawiona jest na różnorodną aktywność. Weźmy tu pod uwagę przykładowo aktywność alpinistów i grotolarzy. W świetle kalkulacji hedonistycznej ich działalność nie ma sensu, gdyż na ogół dużo więcej mieści się w niej trudu, zmęczenia aż do wyczerpania sił, niemało strachu i cierpień fizycznych niż przyjemności. A jednak kto odważny, energiczny i pełen zapału, ten nie rezygnuje z ryzyka pomimo wszelkich utrapień z nim związanych. Całościowo rzecz biorąc jest bowiem zadowolony, i to jest dlań istotne. Obliczanie „bilansu” cierpień i rozkoszy byłoby w tym przypadku absurdem.

Weźmy w końcu – w celu jaskrawego przedstawienia niniejszej sprawy – „cierpienia wynalazców” w ogóle zaś nierzadkich każdego czasu osób, które wciąż na nowo narażają się na niepowodzenie w próbach urzeczywistnienia „pomyślonych” przedsięwzięć. Wskutek tego bywają podmiotem politowania. Pomimo to „wspinają się” ku swemu celowi „o głódzie i chłodzie”. Ludzie ci w opinii otoczenia „nie mają nic z życia”, a jednak nie zamieniliby się z „filiśkami” sytymi, dobrze mieszkającymi, zamożnymi i mającymi dostęp do wszelkich uciech „tego świata”. Nastawienie na życie przyjemne i kalkulacja (większych – mniejszych) przyjemności w ich sytuacji nie wchodzi w rachubę.

W gruncie rzeczy twierdzenie to jest zastosowalne do wszystkich ludzi normalnych – oczywiście zdolnych do działania. Jeśli pominąć nastawienie na zabawę dla odpoczynku i odnowy sił, nierzadko „kalkulowane” ze względu na przyjemną jakość podniet, normalny człowiek nie oblicza przypuszczalnego bilansu przyjemności i cierpień, lecz działa w imię określonego zamierzenia w ramach danych warunków środowiskowych

i społeczno-kulturowych, stosownie do swoich możliwości. Rozumie się przy tym samo przez się, że oczekuje powodzenia w granicach znanych mu warunków określających prawdopodobieństwo sukcesu. Często powodzi mu się w tym, czasem doznaje niepowodzenia. Jednakże nie sposób twierdzić, że świadomość powodzenia jest równoznaczna z sumą jakichś przyjemności, a już zwłaszcza przyjemności zmysłowych. Niepowodzenie też nie jest po prostu specyficzną nieprzyjemnością, porównywalną z cierpieniami fizycznymi. Jest na pewno szczególnym, niezadowalającym stanem „moralnym”. Co więcej, na ogół bywa podnietą do nowych przedsięwzięć, do pokonywania nowych trudów, do narażania się na możliwość nowych niepowodzeń i wynikających stąd cierpień moralnych.

Znaczy to, że *per saldo* w osobowościowym, a zarazem społeczno-kulturowym życiu ludzi przyjemności – na których tak bardzo zależy hedonistom – „rozpływają się”. Nie tracą wprawdzie na znaczeniu, tak samo zresztą jak cierpienia fizyczne, natomiast stają się pewnego rodzaju składnikami, atomami wielce złożonych subiektywno-obiektywnych zjawisk, nazywanych pospolicie powodzeniem, niekiedy szczęściem. Przy tym ludzie szczęśliwi to nie są po prostu ludzie nie doznający cierpień, nie znający trudów i żyjący – że tak rzec – w stanie rozkosznej szczęśliwości. Nierzadko są to ludzie, którzy wiele wycierpieli fizycznie i moralnie, którzy wciąż cierpią. Mało tego – którzy wiedzą, że do końca życia wypadnie im, niestety, tylko lub przeważnie cierpieć. Ich szczęście tkwi w świadomości sensownego działania i choćby częściowego uzyskania tego, co zdziałać zamierzali. Absurdem byłoby nazywać ich szczęście rozkoszą intelektualną i w ogóle utożsamiać je z jakimikolwiek przyjemnościami. Jeśli o stosowną nazwę chodzi, celowa mogłaby być: „spełnienie życia”. Nazwa ta odpowiadałaby znanemu pojęciu „pełnia życia”, oznaczającemu szczyt szczęścia osiągalnego. Przy tym pełnia życia może być i bywa potraktowana z masą dolegliwości fizycznych, kłopotów i trudnych zadań „po uszy”.

Dodać warto, że tak rozumiane szczęście nie przeczy interesom społecznym. W każdym razie nie musi przeczyć, jeśli cel czyjejś działalności jest zgodny z normami społecznymi i moralnymi. Przeciwnie jest ze świadomym nastawieniem na maksimum przyjemności, oczywiście bez trudów. Prędzej czy później kończy się załamaniem wewnętrznym, przeważnie w kolizji z prawem i moralnością; pośrednio – wyłączeniem ze społeczeństwa.

Razem wzięwszy, wszystkie doktryny hedonizmu, tj. doktryny, w myśl których rozkosze – wszelkiego pokroju – stanowią sens życia, zarazem

słuszny cel ludzkiej aktywności, są sprzeczne z psychologią osobowości i z jej socjologią; pośrednio z interesami każdego społeczeństwa. Ich obecność i pojawianie się co pewien czas „na rynku” myśli europejskiej można wyjaśnić faktem istnienia grup ludzkich i klas społecznych żyjących z cudzej pracy. Dla ludzi niepracujących i tak czy owak wyzyskujących trud innych, nie ma właściwie innego sensu życia, jak tylko szukanie ciągle nowych przyjemności zmysłowych. W gruncie rzeczy smutny jest los ludzi żyjących po prostu dla przyjemności i mogących sobie pozwolić na taki tryb życia. W najlepszym razie jest to los ludzi trwale nudzących się i znudzonych.

Z przedstawionego wywodu nie wynika „potępienie” rozkoszy. W obrębie życia nastawionego na społecznie sensowne działanie – a taki jest przykładowo podany wcześniej ogół starań o przyszłość własnych dzieci – i na spełnienie marzeń społecznie pożytecznych lub co najmniej nieszkodliwych, bieżące uciechy, np. ze spotkań i zabaw towarzyskich, ułatwiają pokonywanie trudności i znoszenie cierpień. Mają więc „słuszne” miejsce w mechanizmie ludzkiego życia.

Podsumujmy nasze rozważania: W normalnym życiu ludzkim „uciechy ciała” nie wykluczają radości duszy ani odwrotnie. A najwięcej z życia mają ludzie, którzy przyjemności „nie liczą”, lecz efektywnie i w miarę rozumnie działają. Oczywiście, jeśli los oszczędził im wielkich cierpień i nieszczęść. To są najbardziej „chytry” hedoniści.

## **Spór o naturę egoizmu i jego rolę w życiu ludzi**

Pospolite jest przeciwstawianie: egoizm – altruizm, egoista – altruista. W ujęciu wstępnym chodzi z jednej strony o motyw postępowania dyktowany interesem osobistym, o osobę kierującą się mniej lub bardziej świadomie, trwale i konsekwentnie – po prostu i tylko osobistym interesem. Ze strony drugiej, tj. w przypadku altruizmu czy altruisty, chodzi o motyw postępowania albo o osobę kierującą się w swym postępowaniu – również mniej lub bardziej świadomie, trwale i konsekwentnie – względami na cudze potrzeby, zwłaszcza zaś na cudze potrzeby na tle cierpienia fizycznego lub moralnego, niedostatku, krzywdy bądź jakiegokolwiek nieszczęścia. Krótko mówiąc – egoista świadomie dba tylko o siebie, altruista dba również o swych bliźnich.

Zauważyć trzeba, że w dziejach filozofii człowieka dużo częściej „portretowano” egoizm i egoistów niż altruizm i altruistów. Wydaje się prze-

czyć temu fakt, że w dziejach idei moralno-religijnych wciąż na nowo za wzór stawiano altruizm i altruistów; np. w znanej przypowieści biblijnej o miłosiernym Samarytaninie, ratującym życie i zdrowie człowieka obcego, a nawet wroga plemiennego – bo Żyda. Skąd taka rozbieżność? Czy filozofowie bywali – na ogół – osobiście bardziej egoistyczni niż twórcy czy wyznawcy doktryn religijnych? Na pewno nie. Przyczyna istotna tkwi przeważnie i nasamprzód w poznawczym nastawieniu filozofów, a przede wszystkim w postulatycznym naśladowaniu twórców bądź wyznawców doktryn religijnych. Filozofowie stawiali się najpierw, jeśli nie wyłącznie, na ogólny opis stanu faktycznego zrębów człowieczeństwa. Twórcy idei religijnych najpierw, jeśli nie wyłącznie, na poprawę ludzkiego postępowania; na walkę ze stanem moralnym. Niezależnie od słuszności jednego czy drugiego nastawienia oczywiste jest to, że w głównych zarysach bliżsi faktycznemu stanowi rzeczy byli, względnie są, wyznawcy poglądu, w myśl którego egoizm stanowi tło, jeśli nie sprężynę, ludzkiego postępowania. Wszak gdyby było inaczej, czemużby wciąż na nowo wzywać ludzi do ograniczenia egoizmu, zarazem do postępowania altruistycznego?

Nie znaczy to, że doktryna egoizmu odpowiadającego podanej tu definicji jest zgodna z faktycznym stanem rzeczy, ani to, że ludzi wciąż na nowo trzeba poprawiać i skłaniać do altruistycznej postawy wobec bliźnich. Rzecz wymaga więc wyjaśnień. Przedstawiam niżej własną – wszystko jedno, oryginalną czy nie – próbę wyjaśnienia:

Przed wszystkim nie mam wątpliwości co do tego, że przeciwieństwo „egoizm – altruizm” mogło się pojawić i utrzymywać pod wpływem współżycia ludzi ze sobą. Praktycznie biorąc, poza wypadkami losowymi wieloletniej samotności, ludzie nieustannie stykają się ze sobą na płaszczyźnie życia rodzinnego, towarzyskiego, w pracy, na zabawie, w podróży, w firmie itp. Zarazem nieledwie na każdym kroku zdani są na cudzą opiekę, życzliwość, pomoc, współdziałanie, informacje, nauczanie. To wszystko odbywa się mniej lub bardziej gładko, w atmosferze przyjaznej lub przeciwnie – trudno, w atmosferze napięcia, nieżyczliwości, nieprzyjaźni. Zarówno osobiste zadowolenie z życia, jak i interes społeczny zgodne są z aprobatą dla postaw i aktów życzliwości, pomocy i współdziałania, natomiast z dezaprobatą dla postaw i działań przeciwnych. I to jest pewne, że wielokroć postawy i postępowanie sprzyjające bliźnim narażają na osobiste przykrości, na ograniczenie osobistych korzyści, na możliwości łatwego czy zabawowego wyżycia się itp. Wzbudzają więc bunt, powodują reakcję w formie niechby tylko wstrzymania się od udzielenia pomocy, jeśli nie wręcz postawy agresywnej.

Czy wynika stąd, że u podstaw tego rodzaju zachowania się leży wrodzony instynkt egoizmu? Instynkt polegający na świadomej dbałości o własne interesy? Bynajmniej, zwłaszcza jeśli w postępowaniu egoistycznym akcentujemy wyrachowanie lub kalkulację ewentualnych strat lub zysków w wypadku opowiedzenia się w konkretnych sytuacjach za postępowaniem altruistycznym. Bez wątpienia ludzie nierzadko „kalkulują”, czy się „opłaci”, czy nie. I zdarza się, że kalkulują „na zimno”, nieomal całkiem bez uczuciowego „współbrzmienia” dla swych bliźnich. Kalkulacje bywają czasem korzystne, czasem chybiają celu, jednakże niezależnie od jakości doraźnego efektu postępowanie jawnie egoistyczne jest prawie zawsze potępiane i w ostatecznym rachunku szkodliwe dla egoisty. Żadne społeczeństwo postępowania egoistycznego nie ocenia pozytywnie, acz formy wyrażania dezaprobaty bywają rozmaite w odniesieniu do postępów takich samych. Dlaczego tak jest? Ogólnie rzecz biorąc dlatego, że postępowanie takie utrudnia współżycie ludzi ze sobą. Zgodnie z tym każde społeczeństwo nie tylko ocenia je negatywnie, ale także stara się je ograniczyć przez odpowiednie wychowanie. Znaczy to, że niezależnie od stanowiska w spornej sprawie wrodzonych zawiązków do egoizmu liczyć trzeba się z oczywistym faktem, że w każdym społeczeństwie i na wszelkich poziomach moralnych współżycia ludzi ze sobą w grę wchodzi rezultaty wychowania, w każdym wypadku polegające na ograniczaniu „wrodzonego egoizmu”. Jest tak nawet w rezultacie wielkich zaniechań wychowawczych, co prawda na ogół ułatwiających powstawanie i utrwalanie się postaw mniej lub bardziej tożsamy z egoistycznym wychowaniem. Czy przy tym występuje wrodzona sympatia ludzi do ludzi jako przejaw „wrodzonego instynktu społecznego” („stadnego”) – nie jest to tutaj istotne.

Wielokroć wskazywałem w mych publikacjach na niewymierność – rzekomych – popędów wrodzonych. Po prostu brak dość pewnej metody po temu, jeśli by nawet na drodze dedukcyjnej w ślad za formami ewolucji i za faktami z dziedziny instynktownego zachowania się zwierząt przyjąć, że być może popędy takie leżą u podstaw życia ludzkiego. Dotyczy to jednakowo zarówno „wrodzonej sympatii”, jak i „wrodzonego egoizmu”. A jeśli nawet okazałoby się w badaniach psychologicznych, że są podstawy do liczenia się z obecnością wrodzonych zawiązków egoizmu, daleko łatwiej stwierdzić w sposób naukowy proces powstawania egoistycznych form zachowania się dzieci, młodocianych, a nawet osób dorosłych, wskutek wychowawczych błędów i zaniechań oraz z powodu bardzo niekorzystnych warunków środowiskowych aniżeli w rezultacie niekorzystnych

zawiązków pamięci gatunkowej. Zresztą, wielokroć szczegółowo badano i zbadano proces narastania – u dzieci i młodocianych – postaw egoistycznych w sensie:

1. „zimnego wyrachowania” zysków i strat;
2. braku życzliwości do otoczenia, w szczególności do osób bliskich (rodziców, rodzeństwa, kolegów);
3. nawyków do agresywności i gniewu.

Krótko mówiąc, egoizm w ogóle, „zacięty” i „zimny, wyrachowany” egoizm w szczególności daleko łatwiej zrozumieć i wyjaśniać jako specyficzny produkt błędnego wychowania i złych warunków życia aniżeli – jako „emanację” rzekomego instynktu wrodzonego. Bez wątpienia, wrodzony i w sensie biologicznym odziedziczony jest samozachowawczy charakter wszystkich urządzeń anatomicznych i fizjologicznych organizmów. Być może u człowieka w grę wchodzi również – oprócz niezliczonych odruchów wrodzonych – złożone urządzenia, m.in. predyspozycje do napędów zachowania się korzystnych dla organizmu. Jeśli tak, bynajmniej nie można utożsamiać ich po prostu z wrodzonym egoizmem.

W zasadzie tak samo ma się rzecz z rzekomą wrodzonością altruizmu. Nie ma bowiem podstaw do wyjaśniania form postępowania dyktowanych masą nawyków, w szczególności nawyków uczuciowych (do współżycia, współdziałania, do radosnego reagowania na obecność osób bliskich, poniekąd nawet – niekiedy – osób nieznanych), wrodzonym altruizmem, jeśli nawet natura obdarowała ludzi wrodzonymi zawiązkami do sympatii, jak ją niegdyś pojmował Adam Smith. Zachowanie się altruistyczne jest wypadkową wielu składników zmiennych i stwierdzalnych. Należą tu przede wszystkim: wychowanie moralne (ściślej: uspołeczniające) i relatywne zabezpieczenia życia osobistego. Bardziej szczegółowo: przyjęte przez tradycję i celowe wychowanie zasady moralne, sympatia do ludzi nieszczęśliwych, cierpiących, głodnych, pokrzywdzonych itp. W szkolnictwie nastawionym na uspołecznienie wychowanków w grę wchodzi wychowawcze akcje pomagania takim ludziom, niekiedy nawet całkiem nieznanym osobiście. Niemalże znaczenie mają tu oddziaływania środków masowego przekazu, literatury pięknej, zwłaszcza w postaci bajkopisarstwa, poniekąd przez moralistyczne wyrozumowania. Trzeba się zgodzić, że w korzystnym układzie czynników wymienionych i innych im większy stopień czy stan bezpieczeństwa osobistego bądź osób bliskich, tym łatwiej wyzwala się – zazwyczaj kompleksowe – napędy do pomagania innym, do okazywania im współczucia i sympatii, do rozumienia i uwzględniania cudzych potrzeb, do „wstawiania się” w cudze położenie trudne i krótko –



do postępowania altruistycznego. Przeciwnie bywa, im bardziej interesy osobiste lub osób bliskich są zagrożone. W takich wypadkach pojawiają się – na „ekranach” sumienia – mniej lub bardziej ostre, a nawet dramatyczne konflikty między splotem motywów – a w ich obrębie rozumowań – egoistycznych bądź altruistycznych.

Dla egoizmu, szczególnie zaś dla jaskrawych postaci tegoż, znamienne jest „zimne wyrachowanie” korzyści osobistych przy równoczesnym braku zrozumienia i „odruchów sympatii” do bliźniego. Nie wynika stąd, że wszelkie wyrachowanie w motywacji postępowania nosi znamię egoizmu. Wyłączyć trzeba – rozumie się – wyrachowanie w trakcie lub ze względu na walkę czy to na serio, czy to w postaci zabawy lub gry sportowej. W takich wypadkach na planie pierwszym znajdują się – jeśli nie wyłączenie – względy taktyczne bądź odruchy samoobrony. Wszak nie nazwiemy egoistą osoby napadniętej, która dzięki odpowiedniej taktyce i „zimnej krwi” zdoła napastnika unieszkodliwić lub ująć przed nim.

Na pograniczu egoizmu i altruizmu umieścić można styl życia, dla którego znamienne jest mniej lub bardziej harmonijne godzenie interesów sprzecznych z wykalkulowanymi interesami osobistymi. Ze społecznego punktu widzenia tkwi w tym defekt, jeśli wyrachowanie pozbawione jest prospołecznych przekonań moralnych i jakkolwiek bądź nabytych – uczuć sympatii i zrozumienia dla ludzi, w szczególności dla ludzi cierpiących, chorych, dotkniętych nieszczęściem osobistym lub zbiorowym. A zatem niekiedy „zdrowy egoizm” wcale nie zabezpiecza interesów społecznych. Stanowi jedynie dolną granicę postaw i form postępowania na pozór społecznych, w których pomimo braków altruizmu, jako „odruchów” sympatii do ludzi, „maszyna społeczna” może jeszcze w warunkach normalnych jako tako sprawnie funkcjonować. W warunkach złych czy kryzysowych „zdrowy egoista” szybko staje się jednostką wyzutą z wszelkich względów dla swych bliźnich, zwłaszcza dla bliźnich spoza kręgu rodzinnego.

Reasumując, powiemy, że egoizm jest wprawdzie zjawiskiem, pośrednio problemem, odwiecznie i nadal jak najbardziej realnym i społecznie doniosłym, ale że błędne jest wyjaśnianie tegoż w oparciu o koncepcję wrodzonego instynktu. Całość funkcji fizjologicznych i pierwotnych funkcji psychicznych ma charakter samozachowawczy, jednakże egoizm jako utrwalone pogotowie do postępowania wyrachowanego w interesie własnym jest cechą nabytą w trakcie działań w określonych warunkach życiowych. Nie stanowi wrodzonej „złej natury”, lecz rezultat społecznie niekorzystnych oddziaływań na ludzi, piętnowanych za egoizm, zwłaszcza niekorzystnych oddziaływań na dzieci i młodzież. Wykazano to



z wystarczającą pewnością w badaniach nad powstawaniem jaskrawych form egoizmu. Wynika stąd potrzeba właściwego wychowania w społecznie korzystnych warunkach środowiskowych.

Pogląd ten nie przeczy twierdzeniu, że w niektórych wypadkach upośledzenia wrodzone i biologiczne odziedziczone zawiazki poważnie utrudniają proces uspołecznienia, zarazem niedopuszczenia do uformowania się i utrwalenia postaw, nawyków i przekonań jaskrawo egoistycznych. Wielekroć kwalifikowano naturę ludzką z moralnego punktu widzenia. Sądzę, że oceny tego stanowiska są bezcelowe. Z samej przez się natury ludzie nie są ani źli, ani dobrzy, ani egoiści, ani altruści. Natura „nie przewidziała” społecznych aspektów współżycia ludzi ze sobą; zgodnie z tym – ani potępienia egoizmu, ani pochwał dla altruizmu. Natura wyposaża ludzi w spłot cech genetycznych w zakresie anatomicznym, fizjologicznym i paleomnemicznym, które pod wpływem wychowania i niekontrolowanych warunków środowiskowych prowadzą do powstawania cech osobniczych rozmaicie ocenianych z punktu widzenia społeczno-moralnego. W niefortunnym układzie warunków – do formowania się jaskrawego egoizmu, jako stylu postępowania dyktowanego głównie wyrachowaniem w interesie osobistym.

## **Spór o ideowe motywy postępowania**

Poruszane tu wcześniej zagadnienie egoizmu – altruizmu nieomal bezpośrednio prowadzi w gąszcz sprawy od dawna i nadal spornej, czy, a jeśli tak, to jak dalece ludzie zdolni są naprawdę do postępowania kierowanego motywami ideowymi? W gruncie rzeczy chodzi tu o realność motywów altruistycznych, jednakże skierowanych raczej lub wyłącznie ku danej społeczności, a nie ku osobie – cierpiącej, nieszczęśliwej, pokrzywdzonej itp. Nie chodzi bowiem o motyw Samarytanina, lecz społecznika w szerokim znaczeniu tego słowa, tj. człowieka mającego na względzie – w swym postępowaniu, nasamprzód zaś w przeżyciu motywacyjnym, przede wszystkim – określone dobro społeczne. Czy są tacy społecznicy? – zapyta sceptyk. Oto próba odpowiedzi psychologa.

Z jednej strony faktem jest, że wielu ludzi szanuje się, ocenia się ich mniej lub bardziej pozytywnie oraz wyróżnia spośród innych z tym uzasadnieniem, że ich postępowanie było czy jest przede wszystkim ideowe i w tym sensie bezinteresowne. Zdaniem sceptyków nie przeczy to faktowi innemu, mianowicie, że do czynienia mamy tu z pewnego rodzaju utrud-

nieniem bądź błędnym objaśnieniem motywów postępowania rzeczywiście dla społeczeństwa korzystnego. Chodzi o to, że za fasadą ideowości nierzadko kryje się – czasem również odkrywa – całkiem przyziemne motywy bytowe, ambicyjne lub jeszcze inne, nietrudno sprowadzalne do interesów osobistych, więc do podszezwki w jakiejś mierze egoistycznej.

Z drugiej strony nie ulega wątpliwości to, że odwiecznie i nadal w wielkiej ilości przypadków postępowanie ludzi dyktowane jest przede wszystkim uczuciami korzystnymi dla danej wspólnoty. Tu należy ogólnie pojęta miłość do ojczyzny (tj. do swojego narodu, plemienia, kraju, państwa), okazywana zwłaszcza w czasach zagrożenia, ucisku ze strony najeźdźców itp. Co prawda, można wystąpić z wątpliwością, czy działania, przeważnie zbiorowe, u których podłoża leży miłość do ojczyzny, nienawiść do wroga, więź grupowa itp., można słusznie nazwać ideowymi, skoro ich motorem istotnym jest uczucie? Wszak używając słów „idea”, „ideowość” domyślamy się przede wszystkim myśli, pojęć, twierdzeń, rozumowań, a nie uczuć (zwłaszcza zaś takich uczuć, jak strach, gniew i nienawiść) pozostających w związku z działaniem. Uczucia, postawy i dążenia stanowią następstwa myśli. Ponadto, mówiąc o postępowaniu ideowym, wskazujemy na konkretną osobę – czy to właśnie za ideowość wyróżnioną, czy to taką, której za to wyróżnienie się należy.

Odpowiedzieć trzeba – po tym objaśnieniu – w jaki sposób ideowość kształtuje się, względnie już ukształtowała się u danej osoby? Z góry odpada przypuszczenie, że kształtuje się pod wpływem wrodzonych zadatków „ideowo-twórczych”, co jednak nie wyklucza takich uwarunkowań odziedziczonych, jak nieprzeciętna inteligencja i dobre warunki dla zdrowia psychicznego. W takim razie źródeł ideowości u danej osoby szukać trzeba przede wszystkim w korzystnych warunkach rozwoju psychicznego, zwłaszcza w korzystnym układzie warunków wychowania uspołeczniającego. W zasadzie więc wyjaśnienie jest takie samo, jak w odniesieniu do wyrachowanego egoisty. Człowiek ten nabył pod wpływem społecznie niekorzystnych warunków wychowawczych – i wielu konkretnych postępów na tym tle – nawyków, w szczególności postaw i przekonań niesprzyjających bliźnim, natomiast nastawionych na maksimum korzyści osobistych. Niekoniecznie przy tym w kolejnych konkretnych sytuacjach wzrusza się swoim interesem i *explicite*, tj. w sposób wyraźny czy wyrażony w zdaniach (twierdzeniach, stwierdzeniach, zatwierdzeniach, wnioskach), rozumuje. Po prostu nawykowo biegle dba o swoje interesy, chociaż czasem „się myli”, impulsywnie okazując serce swoim bliźnim.

W zasadzie podobnie – oczywiście w konkretach przeciwnie – ma się rzecz z człowiekiem ideowym. Dzięki odpowiedniemu wychowaniu ukształtowały się u niego postawy i przekonania moralno-społeczne zmierzające do działań społecznie korzystnych. W trakcie wieloletniego wychowania nieraz wzruszał się pod wpływem radosnych czy bolesnych losów swego społeczeństwa, jednakże ponadto zdobył wiedzę dotyczącą interesów tegoż i warunków ich realizacji. Znaczy to, że w razie potrzeby treść tych interesów umie wyrozumować, uzasadnić i – w formalnym podobieństwie do egoisty – „wyrachować”. Co więcej, w zakresie własnych obowiązków i kompetencji wie jasno, co z ogólnej „teorii” interesów społecznych wynika w odniesieniu do zadań i interesów własnych. Niekoniecznie wzrusza się za każdym razem, gdy świadom jest należytego przystosowania tych działań do społecznych interesów, planów i dalszych perspektyw rozwojowych, chociaż mu się to zdarza. Ale i to się zdarza lub zdarzyć może, że raz ideowiec z wychowania czasem „pomyli się”, tj. że postąpi w sposób zdecydowanie potępiony, a może nawet samokrytycznie oceniony jako egoistyczny.

Podobne wyjaśnienie można by zastosować do „miłującego bliźnich” altruisty, z tym odróżnieniem, że w trakcie wychowania na plan pierwszy wysuwano nie interesy społeczne, lecz pojedynczych „bliźnich” – cierpiących, biednych, chorych, nieszczęśliwych w ogóle tak czy owak upośledzonych przez zły los.

Z różnym uzasadnieniem i pod różnymi nazwami każde społeczeństwo ideowość docenia i – zazwyczaj – w jakiś sposób wyróżnia lub wynagradza. Fakt ten zawsze i wszędzie pociąga za sobą symulację, tj. okazywanie postaw i przekonań ideowych pomimo ich braku lub wątpliwości, zarazem dyssymulację motywów egoistycznych. Co prawda, działania te, w swej istocie kłamliwe, mogą być i bywają niekiedy społecznie korzystne, o tyle mianowicie, o ile w jakiejś mierze zmuszają wyrachowanego egoistę i obłudnika do postępowania – wbrew własnym chęciom czy przekonaniom – społecznie korzystnego, do pohamowania egoistycznych apetytów i ambicji i do choćby częściowego przystosowania czy podporządkowania interesów osobistych interesom społecznym. Sądzę, że zawsze i wszędzie pewna ilość ludzkich poczynań ocenianych jako ideowe leży na pograniczu motywacji naprawdę ideowej, a dyktowanej interesami osobistymi. Odnosi się to zwłaszcza do ideowców, którzy wspinali się po szczeblach kariery społecznej. Zresztą, podobnie jak w „zdrowym egoizmie”, sposoby łączenia interesów społecznych z osobistymi bywały, są i mogą być najrozmaitsze. Do wyczerpującej analizy psychologicznej trzeba by w konkret-

nych wypadkach wielu danych, którymi na ogół „sąd społeczny” wyrokujący o czyjejś ideowości nie rozporządza. Tak czy owak osobiście nie mam wątpliwości co do tego, że zawsze i wszędzie nie mała ilość poczynañ ma swe źródło w ideowości, jako dzięki odpowiedniemu wychowaniu nabytemu pogotowiu intelektualno-uczuciowemu do pełnego ponawianych poświęceń i trudów postępowania dla dobra społecznego.

Wynika stąd, że im lepsze wychowanie oraz ogół (pozawychowawczych) warunków życia zbiorowego, w szczególności warunków ustrojowych, tym większe są szanse dla motywacji i działalności ideowej obywateli. Im gorsze wychowanie i ogół warunków ustrojowych, tym niklejsze są te szanse. Wynika i to, że w sprawie genezy i funkcjonowania ideowości w motywacji postępowania wrodzone cechy psychiczne przypisywane naturze ludzkiej nie mają – praktycznie biorąc – żadnego znaczenia.

## **Spór o naturę agresywności i okrucieństwa**

Do zbioru najbardziej spornych należą zagadnienia dotyczące agresywności i okrucieństwa. Świadczy o tym niezwykle obfite piśmiennictwo oparte na wynikach różnego pokroju badań i teoretyczne. W USA rozmiar ogromnego zainteresowania problemem agresywności pozostaje w widocznym związku z szybko nasilającą się przestępczością, wobec której społeczeństwo jest nieomal bezradne. Poszukuje się więc odpowiedniej wiedzy naukowej, jako podstawy do akcji zaradczej.

Okrucieństwo stanowi często jeden z przejawów przestępczej agresywności, jednakże zainteresowanie wzbudza nie tylko w aspekcie kryminologii i pedagogiki, względnie nauk dla niej podstawowych, w szczególności psychologii. Jest też tematem politologii, publicystyki i literatury pięknej, a to w związku z wciąż aktualnym i dramatycznym pytaniem, czy „trzecia wojna światowa” jest do uniknięcia. Każdy, kto stawia sobie takie pytanie, co najmniej domyśla się implikacji w postaci wszelkiego pokroju okrucieństw, zapewne nie mniejszych niż w czasie pierwszej i drugiej wojny światowej, być może na skalę nieporównanie większą. Niezależnie od takich skojarzeń okrucieństwo wzbudzało i wciąż na nowo wzbudza zdziwienie jako zjawisko niesamowite, zdałoby się całkowicie przeczące postępowi kultury moralnej i cywilizacji. Wiadomo przecież, że osobnicy pod pewnymi względami kulturalni i oglądzeni zdolni byli – i zapewne bywają i dziś – do aktów najbardziej wyrafinowanego okrucieństwa. Krótko mówiąc, jest dość powodów do naukowego, w szczególności

psychologicznego, interesowania się okrucieństwem i agresywnością. Niestety, pomimo masy naukowo stwierdzonych faktów wciąż otwarte pozostają pytania o naturę tych zjawisk, w ślad za tym o możliwości praktyczne niedopuszczania do nich bądź do ograniczania ich form i zasięgu. W tym stanie rzeczy psycholodzy wypowiadają poglądy mniej lub bardziej dyskusyjne i sporne, czyli filozofują na gruncie ustaleń faktycznych. Podobnie jak w zakresie zagadnień omówionych wcześniej przedstawiam tu próbę własnego objaśnienia faktów. Innymi słowy, próbuję odpowiedzieć na pytanie, jak zapatruję się na naturę agresywności i okrucieństwa. Z konieczności ograniczę się do analizy zarysowej.

Na fali pospolitej – pod wpływem ewolucjonizmu – „instynktologii” nasuwał się psychologom przede wszystkim jako niemal oczywisty pogląd, że agresywność jest swoistym instynktem, a więc że stanowi część składową pamięci gatunkowej. Tak oto w tej sprawie wielokrotnie rozumowano: Jeśli stereotypowe formy walki w świecie zwierząt – również zwierząt filogenetycznie niedalekich od człowieka – uważamy za przejawy wrodzonego instynktu, czemużby takiego wyjaśnienia nie zastosować do ludzi?

Co prawda, wyłaniało się niebłahe zastrzeżenie: Praktycznie biorąc, formy walki (fizycznej) ludzi są tradycyjno-kulturowe, chociaż oczywiście zastosowanie prostych czynności agresywnych aparatu ruchowego, np. posługiwanie się pięścią, może być odruchowe, a więc od tradycji niezależne. Tu jednak w grę wchodzi elementarne możliwości anatomiczno-fizjologiczne, przeto przejście stereotypów instynktowych wydaje się zbędne.

Z tą trudnością poradzono sobie w ten sposób, że wprawdzie na poziomie ewolucyjnym człowieka stereotypy instynktowe (stereotypowe układy i ciągi odruchów wrodzonych) są już w zaniku, jednak pozostały wrodzone popędy instynktowe, i że one właśnie stanowią napęd do wszelkiej aktywności, m.in. do walki, a zatem ludzie są z natury skłonni do walki. Tak samo, jak z natury skłonni są do działań seksualnych. Podobnie ma się rzecz z innymi popędami wrodzonymi. Taka była treść ogólna niegdyś nad wyraz wpływowego hormizmu McDougalla i wielu teorii podobnych, względnie pochodnych.

Zabierając kilkakrotnie krytycznie głos w tej sprawie (w wielu publikacjach od roku 1938), występowałem głównie z następującymi wątpliwościami, a na ich gruncie z poglądem konstruktywnym: Energię danego napędu do działania wyjaśnić trzeba przede wszystkim fizjologicznie i biochemicznie. Oczywiście jest to np. w wypadku chęci seksualnej. Taka jej natura jest sprawdzalna. Czy w ogóle bądź w jakiej mierze energia

danego napędu, np. agresywności, uważanego za naturalny czy pierwotny, jest ponadto instynktowa, czyli paleomnemiczna, tj. zależna od aktywizacji – w danej chwili – śladów pamięci gatunkowej to stanowi nie lada problem metodologiczny. Argumenty zaczerpnięte z ewolucjonizmu same z siebie nie wystarczają do jego rozstrzygnięcia. Natomiast sprawdzalne i naukowo stwierdzone są rozmaite proste i złożone sytuacje życiowe, w których ludzie różnego wieku okazują agresywność wobec swych bliźnich. W ślad za tym znane są różnego pokroju osobiste doświadczenia życiowe, które stanowią niejako pogotowie do pomocy w przypadku agresywności. Nie wszyscy i nie w każdej chwili są agresywni, a więc trzeba przede wszystkim znać i poznawać owe sytuacje pobudzające do agresywności i owe pozostałości w postaci określonych doświadczeń osobistych.

Z punktu widzenia pedagogicznego, kryminologicznego i socjotechnicznego wiedza naukowa w tym zakresie stanowić może istotny, jeśli nawet nie jedyny instrument do praktycznej działalności zapobiegawczej, poprawczej lub karnej. Wprawdzie teoretycznie można się liczyć (lub nie – zależnie od zasadniczych zapatrywań na obecność i rolę popędów instynktowych człowieka) z istnieniem „instynktu walki” (Bovet), jednakże znaczenie praktyczne każdego stanowiska w tej sprawie jest co najmniej wątpliwe. Niewątpliwe są za to fakty skutecznego określenia agresywności w sensie skłonności do działań nieprzyjaznych oraz społecznie i moralnie potępionych. Nie przeczą temu niepowodzenia wychowawcze i reedukacyjne w odniesieniu do niewielkiego odsetka dzieci i młodocianych trudnych czy „niedostosowalnych” do normalnego współżycia z ludźmi. Być może w ich wypadku i w jakiejś mierze w grę wchodzi czynnik na ogół niewymierny w postaci instynktowego popędu do walki. Ale okazać może się w badaniach pogłębionych, że nawet w tych wypadkach „winić” należy nie rzekomy instynkt, lecz pomijane lub trudno zauważalne przeżycia z wczesnego dzieciństwa, defekty układu hormonalnego, upośledzenia fizyczne lub to wszystko razem.

Szczególną rolę w wyjaśnieniu agresywności przypisać należy w związku z tym „mechanizmom” dwóch współzależnych układów regulacyjnych przystosowywania się człowieka (i zwierząt wyższych) do warunków otoczenia: układu gruczołowo-hormonalnego i układu neurowegetatywnego, oraz zmienności indywidualnej cech w ich zakresie. W ujęciu bardziej konkretnym: roli strachu i gniewu w życiu ludzi. Wszelkie formy agresywności wyrażają się widocznie w aktach nieprzyjaznych wobec ludzi, zaś niewidocznie w bardzo złożonym mecha-



nizmie „stracho-gniewu”, jak można by nazwać zwięźle ściśle związki wzajemnej zależności między dwoma kapitalnymi rodzajami wzruszeń: strachu i gniewu. Oczywiście, dla postronnego obserwatora niewidoczne są pozostałości pamięciowe po doświadczeniach osobistych na tle konfliktów oraz przeżyć strachu i gniewu, stanowiące m.in. lub mogące stanowić konkretne pogotowie psychiczne do nowych aktów agresywności. Co prawda, w odniesieniu do agresywności ludzi doświadczenia osobiste „napędzające” do strachu czy gniewu można z dostateczną pewnością poznać na drodze pośredniej – przede wszystkim przez wypowiedzi – bez stwierdzeń faktów naocznych.

Psychofizjologiczne mechanizmy wzruszeń strachu i gniewu zbadano już wszechstronnie, chociaż niejedno jeszcze pozostaje do zbadania. Nie trzeba więc ponawiać twierdzeń ustalonych. Natomiast celowe jest tutaj ogólne spojrzenie na rolę strachu i gniewu w życiu ludzi. Mówi się o uczuciach strachu czy gniewu. Oczywiście są to uczucia – ze względu na wyrazistą ekspresję mimiczną i ruchową oraz na wielce złożone i wyraziste „ruchy” fizjologiczne – nazywane wzruszeniami. Jednakże z uwagi na ich kapitalną rolę niemal we wszelkich poczynaniach ludzkich i w uczuciach złożonych, takich jak zawiść, zazdrość, miłość, nienawiść, lepiej byłoby mówić o „urządzeniach uczuciowych” (tj. swoistych, i to wielce złożonych instrumentach psychofizjologicznych) niż po prostu o uczuciach, a to dlatego, że potocznie przez „uczucie” rozumie się przeżycie „zwiewne”, przelotne i trudne do zdefiniowania. Rzec można by też, że strach i gniew to nie są uczucia-wzruszenia byle jakie, lecz w mechanizmie życia ludzkiego uczucia co się zowie; uczucia kapitalne. Tak czy owak je nazywać czy kwalifikować, stanowią one istotne urządzenia samozachowawcze w życiu ludzi i zwierząt. Znaczy to, że bez nich (nieomal tak jak bez serca czy wątroby) podtrzymywanie życia nie byłoby możliwe.

Strach i gniew stanowią funkcjonalną całość, jeśli nawet czasem występują rozdzielnie, względnie oddzielnie i bez wyraźnej obecności drugiego ogniwa w tym szczególnym „tandemie”. Przy tym strach z reguły występuje na plan pierwszy w obliczu zagrożenia negatywnego i w momentalnej ocenie wymagającego przede wszystkim ucieczki, schronienia się lub zniknięcia jako przedmiot obserwacji napastnika (człowieka czy zwierzęcia). Nagły przestrah jest dzięki temu „urządzeniem” ochronnym, samozachowawczym. Jest zarazem przeżyciem przykrym, niekiedy bardzo przykrym. To dlatego właśnie – w interpretacji subiektywnej – zmusza do ukrycia się, ucieczki, symulacji itp. Człowiek czy zwierzę stara się „odreagować” przykrość strachu odpowiednią przyjemnością gniewu,



rewanżu, agresji. Przyjemność ta nie jest – że tak rzec – podarunkiem od przyrody czy pewnego rodzaju luksusem. Podobnie jak inne przyjemności, rozkosze czy stany zadowolenia spełnia w zasadzie funkcję biologicznie ważną, bo ułatwia walkę. Daje poczucie siły i przewagi nad przeciwnikiem bądź fizyczną lub umysłową przeszkodą do pokonania. Dzięki temu zaś wzmacnia napęd do walki, przyczyniając się do mobilizacji sił psychofizycznych. (Nie sposób opisywać ją tutaj.) Na tym zazwyczaj konkretny proces „stracho-gniewu” się kończy.

Nowy cykl wzruszeniowy wyłania się wraz z nową podniętą czy sytuacją wzbudzającą przestrasz bądź lęk. Jeśli jednakże odreagowywanie bezpośrednie jest niemożliwe, proces się komplikuje. W grę wchodzi bowiem wówczas „odreagowanie” namiastkowe w postaci pragnienia i marzenia o zemście imaginatywnej. Powiedzmy też inaczej: w postaci uciechy wyobrażeniowego sycenia się zemstą; reakcja przykra dla rzekomego czy faktycznego agresora. W ujęciu ogólnym: dla czynnika, który spowodował przykrość strachu, której doraźnie nie sposób odreagować satysfakcją gniewu.

Osoba przestraszona, zastrachana czy załęczniona w wyobraźni „odbija się” na czynniku (osobie, osobach, urzędzeniu, instytucji itp.), który jej zagroził, pogroził, zastrachał możliwością ewentualnej przykrości (zagrożenia, straty, porażki, zawodu, frustracji itp.). Znaczy to, że dwa istotne i zasadniczo nowe czynniki komplikują moralny, zarazem prymitywny przebieg wzruszenia „stracho-gniewu”:

1. obecność wyobraźni, w ślad za tym zdolności przewidywania następstw podniety wzbudzającej strach;
2. obecność mniej lub bardziej złożonych układów międzyludzkich stosunków społeczno-kulturowych.

Zaczątki wyobraźni i stosunków międzyosobniczych stwierdzić można na podstawie interpretacji widocznego zachowania się wielu zwierząt, jednakże – praktycznie biorąc – można je ignorować porównując zwierzęta z człowiekiem. (Zrobiłem to w jednym z pierwszych podrozdziałów). Jedynie u ludzi do czynienia mamy z prawdziwym i nad wyraz zróżnicowanym światem przeżyć i form postępowania. Rozumie się, że nie sama wyobraźnia stanowi jego źródło, lecz nasamprzód pierwotny, zwierzęcy mechanizm „stracho-gniewu”. Niemniej porównując tutaj człowieka ze zwierzętami możemy rzec, że głównie wyobraźnia i skomplikowane układy stosunków międzyludzkich – wzięte razem – „odpowiedzialne” są za różnego pokroju cierpienia na tle strachu, w ślad za tym za wielość i różnaitość konkretnych form agresji i ogólnie pojętej agresywności.

Rzecz w tym, że w ogromnej liczbie zarówno powszednich, jak i niezwykłych przypadków ludzie tak czy owak przestraszeni (zastrachani, zagrożeni), fizycznie i moralnie bici nie mają żadnych szans po temu, aby cierpienia stąd powstałe odreagować widocznie i bezpośrednio. Aby sobie gniewem widocznym ulżyć. Aby tak czy owak „odegrać się” specyficzną satysfakcją z okazania swego gniewu i realnych jego skutków. Muszą milczeć, zmilczeć, zgnieść w sobie potrzebę ogólnie pojętej zemsty. W niezliczonych wypadkach ludzie z jakiegokolwiek powodu słabi (np. dzieci), głodni lub stale niedożywieni, niemający możliwości spełniania powszednich potrzeb w zakresie odzieży czy dachu nad głową, uzależnieni od innych (np. więźniowie, jeńcy) mniej lub bardziej trwale nie mają po temu szans żadnych. Pozostaje im więc marzenie o „słodkim” odwecie. Właśnie tu leży istotne źródło wielorakich form agresywności. Nieodreagowane przeżycia strachu (lęku, obaw, tremy itp.) pozostają w pamięci jako doświadczenia złe i po cichu wciąż jątrzące. A dają znać o sobie, gdy osoba nimi obarczona znajdzie się w sytuacji „pozycji siły” – nad słabszymi od siebie, podwładnymi, upośledzonymi itp. W takiej sytuacji może się bowiem „odegrać”; co prawda bardzo często, jeśli nie z reguły, nie na osobach, które jej dawały się we znaki, tak czy owak krzywdziły, poniżały, dokuczały jej, a wobec których musiała milczeć lub nawet się uśmiechać. Rozumie się, że rozmiary i jakość agresywności są w zasadzie – na ogół – nieświadomie przystosowane do rozmiarów zasobów i jakości cierpień na tle strachu, którego nie można było odreagować satysfakcją gniewu i odpowiednią reakcją na agresorze.

Przestawiony tu zwięzły opis mechanizmu „stracho-gniewu” w zasadzie wystarczyłby do zrozumienia samej obecności i form zróżnicowanych okrucieństwa jako zjawiska specyficznie ludzkiego. Zwierzęta bowiem jako napastnicy na ogół nie są okrutne wobec ofiary. Po prostu zabijają i rozszarpują ją stosownie do instynktowych form napaści i walki. Sporadycznie opisywane okrucieństwo wyjaśnić można prostymi doświadczeniami z ludźmi (np. myśliwymi), na których zwierzę nie mogło się doraźnie zemścić. Niemniej potrzebne jest uwzględnienie czynników komplikujących i różnicujących formy agresywności, zarazem pociągających za sobą wielość form zachowania się ogólnie nazywanego okrucieństwem.

Otóż rozpatrując ten rodzaj zachowania ludzi czy podając konkretne przykłady na uwadze miewamy nie same tylko akty agresji, napaści, uciechy z okazywania gniewu czy furii, jako gniewu gwałtownego i nieopanowanego, lecz świadome znęcanie się nad człowiekiem lub zwierzęciem, i to znęcanie się – z introspekcyjnego punktu widzenia – dla samej, okrut-

nej w rozumowaniu normalnego człowieka, satysfakcji z zadawania cierpień fizycznych, moralnych lub jednych i drugich łącznie. Podstawowa przyczyna tego, przypuszczalnie tylko u ludzi występującego, zjawiska tkwi w wyłącznie ludzkiej zdolności szukania przyjemności i rozkoszy dla nich samych. Jedynie człowiek potrafi się nastawiać na przyjemności smakoszostwa dla nich samych, a nie dla zaspokojenia głodu, na szukanie rozkoszy seksualnych dla nich samych, a nie dla miłości, dla założenia rodziny i dla wspólnego życia w jej interesie. Również jedynie człowiek ma tę – fatalną – zdolność do poszukiwania ponurych przyjemności znęcania się nad innymi. Krócej – do ich odrywania od w zasadzie pożytecznego i niezbędnego mechanizmu gniewu.

Co prawda, początkowo ludzie z natury gniewliwi szukają okazji i usprawiedliwień do agresywnego „wyładowywania się” na swym otoczeniu. Rzecz ma się tu w zasadzie tak samo, jak z szukaniem okazji i usprawiedliwień do ucztowania, „popijawy”, „podrywania” itp. W szczególnych okolicznościach społecznych usprawiedliwiają się (wobec innych, czasem wobec siebie) „teoretycznie”. Do tego celu służą generalnie różnego pokroju doktryny „wyższości” (ponad „niższe” kategorie ludzi), wszelki rasizm, „biologiczny” szowinizm itp. I tak w świetle uzasadnień „teoretycznych” wolno człowieka „niższego” rasowo (np. Murzyna jako tylko „półczłowieka”), a nawet trzeba traktować twardo i poniżać. A jeśli się swemu białemu naraził konkretnym nieposłuszeństwem, wolno, a nawet trzeba karać bezwzględnie. Mały krok prowadzi stąd do karania w postaci mniej lub bardziej wyrafinowanego sadyzmu. Jest to zarówno „sprawiedliwe”, jak i okrutnie ucieszne. A więc łączą się z sobą „sprawiedliwość” i rozkosz. Niezliczone są możliwości i odmiany okrucieństwa i sadyzmu, powstające w zasadzie w sposób tu opisany.

Do tego dołączają się zazwyczaj mechanizmy dodatkowe lub wtórne, wśród nich przede wszystkim: ogólna wrodzona słabość psychiczna (nerwowa), stanowiąca podłoże dla różnych postaci neurastenii, psychastenii i psychopatii, złe dzieciństwo, trudne warunki środowiska wychowawczego, konflikty z moralnością i prawem karnym, frustracje. Faktem jest w związku z tym, że okrutnikami bywali i są przeważnie ludzie psychicznie słabi i zboczeni. Jednakże istotne źródła okrucieństwa tkwią w specyficznych cechach natury ludzkiej. Co prawda, nie w rzekomym instynkcie okrucieństwa, lecz w lotnej wyobraźni i – w ślad za nią – w możliwości nastawiania się na same przyjemności, a nie na aktywne działania celem urzeczywistniania konkretnych przedsięwzięć. Znaczy to, że pryncypialnie każdy człowiek mógłby stać się okrutnikiem w układzie przyczyn

dodatkowych, częściowo wymienionych wcześniej i w okolicznościach sprzyjających wyładowaniu się ukrytych kompleksów, nabytych pod wpływem złych doświadczeń. Okolicznościami sprzyjającymi są różnego pokroju kryzysy społeczne, głównie wojny i rewolucje. W ich przebiegu osobnicy predysponowani do poczynań okrutnych albo sami – jako władcy – dopuszczają się ich, albo stają się wygodnymi narzędziami władców. Znaczy to, że – praktycznie biorąc – na okrucieństwo nie ma radykalnych środków zaradczych. W warunkach unormowanego życia społecznego i pokoju można jednak odpowiednim wychowaniem i profilaktyką jego rozmiary ograniczyć.



Rozdział piąty

# **Socjologia a filozofia społeczna**





## Socjologia i nauki społeczne

Etymologicznie i rzeczowo „socjologia” oznacza „naukę o społeczeństwie”. Co prawda, już od dość dawna i coraz częściej odróżnia się socjologię ogólną od coraz bardziej zróżnicowanego zbioru nauk społecznych – czy to systematycznie przynależnych, czy to logicznie zbliżonych do niej. Dla zbioru tego socjologia ogólna ma w przybliżeniu znaczenie takie, jak psychologia ogólna dla nauk psychologicznych. W pierwszej z tych nauk ogólnych istotny jest akcent na podstawowych założeniach, pojęciach i prawach życia społecznego, w drugiej – na kwestiach dotyczących życia psychicznego jednostki. Obydwie mają więc wyraźnie charakter teoretyczny. W związku z tym w obydwóch występują ogólne problemy epistemologiczne i metodologiczne; powiedzmy krócej: warsztatowe. Z nich krótka droga prowadzi do zagadnień mniej lub bardziej filozoficznych. Jednakże zarówno w ogólnej socjologii, jak i w psychologii nie te właśnie problemy stanowiły od wieków i stanowią nadal punkty wyjściowe do tych właśnie zagadnień, lecz (tylko pośrednio z „warsztatem” naukowym związane) sprawy wysoce emocjonalne, a zarazem sporne. Przykładowo w psychologii do rozważań filozoficznych skłaniało wciąż na nowo zagadnienie napędów aktywności ludzkiej, a nie nowoczesny, dawniej prawie wcale nie znany, problem obiektywności wiedzy psychologicznej. Podobnie ma się rzecz z ogólnymi problemami socjologii. Pokroju „warsztatowego” jest trudny i wciąż na nowo rozpatrywany problem teoretyczny praw socjologicznych. W nauce krajów socjalistycznych występuje on ostro na tle starań o przystosowanie socjologii i w ogóle nauk społecznych do założeń materializmu historycznego. Natomiast zdecydowanie filozoficzny charakter mają zagadnienia, które coraz częściej włącza się raczej

do politologii aniżeli do socjologii ogólnej. Chodzi tu przede wszystkim o następujące zagadnienia, względnie zjawiska:

1. walka o władzę i władanie;
2. czynniki istotne zróżnicowania społecznego;
3. praworządność i sprawiedliwość;
4. demokracja i równość.

A już bodajże najbardziej filozoficzne, bo nad wyraz sporne i emocjonujące było od wieków i poniekąd jest nadal zagadnienie idealnego państwa, względnie ustroju społeczno-politycznego. W każdym razie w filozofii społecznej każdego czasu i różnych krajów na planie pierwszym występują wymienione tu sprawy. Szereg zagadnień innych – też raczej filozoficznych niż naukowo-badawczych – potraktować można jako pochodne do wcześniej wymienionych.

Do filozofii społecznej podejść można również od strony wyspecjalizowanych nauk społecznych, a nie tylko od socjologii ogólnej; przede wszystkim od ekonomii politycznej bądź od poszczególnych nauk ekonomicznych. Oczywiście, w takim razie akcent w rozwiązaniach danego filozofa ekonomisty będzie padał na zagadnienia gospodarcze, np. sprawiedliwego podziału dóbr wytwarzanych przez dane społeczeństwo. W zasadzie podobnie ma się rzecz z podejściem od strony nauk prawnych, o ile opierają się na założeniach socjologicznych (a nie na historii prawa, stanowiącej dla nich główną płaszczyznę odniesienia). Tutaj filozofujących uczonych prawników intrygują przede wszystkim ogólnie ujęte zagadnienia praworządności i wymiaru sprawiedliwości. Uczonym zajmującym się zjawiskami z pogranicza socjologii i psychologii relatywnie łatwo „popaść” w filozofowanie na temat społecznych i psychicznych czynników zróżnicowań i selekcji społecznych. Wszak w obydwu naukach problem tych czynników nie tylko występuje w ogóle, ale także należy do pierwszoplanowych. W końcu dla współczesnych futurologów (niejako „z natury” raczej filozofujących niż uprawiających naukę w sensie działalności badawczej) najbardziej pasjonujące jest zagadnienie państwa doskonałego. Rozumie się – państwa, którego ludzkość się spodziewa.

Od początku swego istnienia i kształtowania się socjologia stopniowo wyzwalała się z wiedzy i z metodologii historycznej (w przeciwieństwie do naukowej psychologii, która musiała oderwać się od pojęć teologicznych). Jej twórcy świadomi byli z jednej strony powiązań rzeczowych z historią powszechną (niejako odpowiednikiem socjologii ogólnej) i w ogóle z naukami historycznymi, z drugiej strony – potrzeby stosowania (zasadniczo lub choćby tylko dodatkowo) innych metod roboczych niż

analiza źródeł (jako dokumentów do stwierdzania faktów historycznych). W związku z tym niektórzy inicjatorzy socjologii bywali i poniekąd nadal bywają historykami teoretykami, o ile snują rozważania nad etapami dziejów ludzkości bądź o ile w charakterze dowodowym powołują się na przykłady historyczne. Natomiast świadomość potrzeby oderwania się, choćby częściowego, od metodologii historiograficznej prowadziła i prowadzi socjologów nadal przede wszystkim do metodologii statystycznej. Wobec tego zaś, że „warsztat” naukowo-badawczy wyodrębnionych i specjalistycznych nauk społecznych wymaga istotnie oparcia o statystykę, zacięcie filozoficzne prowadzi socjologów – w tej dziedzinie twórczo działających – nierzadko ku filozofii matematyki, informatyki i cybernetyki; w każdym razie nie ku filozofii dziejów.

Zjawiska społeczne – przedmiot ogólnie pojętych badań socjologicznych, tj. badań w zakresie wszystkich nauk społecznych – są dużo bardziej złożone niż zjawiska psychiczne – nawet „na piętrze” struktur osobowości. Wynikają stąd ważne konsekwencje metodologiczne. Dotyczą one nasamprzód praktycznej niemożliwości posługiwania się w naukach socjologicznych metodami eksperymentalnymi. Co jeszcze w nauce o osobowości jest lub wydaje się osiągalne na drodze eksperymentalnej (przekraczającej stosowanie metod testowych), to w socjologii jest już nierealne. Z powodu komplikacji zjawisk społecznych oraz ze względów społeczno-moralnych nie można „manipulować” życiem grup społecznych w celach naukowo-badawczych. Co prawda, przebieg procesów społecznych nie wywołanych przez naukowców można objaśniać jako rezultaty uzależnione od warunków czy to powtarzających się, czy to zmiennych, i na tej drodze traktować jako swoiste eksperymenty, np. finansowe, prawne. Faktycznie w analizach naukowych socjologów nie brak interpretacji takich to „eksperymentów naturalnych”.

Pomimo tej szansy w badaniach socjologicznych na plan pierwszy występują metody statystyczne. Ściślej – metoda „próbkowego” poznawania postaw, opinii, przekonań, zainteresowań bądź awersji wybranych grup społecznych. Z danej grupy (zwanej zazwyczaj populacją) wybiera się tzw. grupę reprezentacyjną i poddaje się ją badaniu za pomocą odpowiednio opracowanego kwestionariusza, obejmującego zazwyczaj dużą liczbę pytań, w zasadzie wymagającego zwięzłych odpowiedzi „tak” lub „nie”. Wobec istotnego uzależnienia rezultatów badań od tej właśnie metody, starania socjologów idą przede wszystkim w kierunku jej teoretycznego ugruntowania i możliwie trafnego przystosowania do danego problemu jako przedmiotu badań. Z tego głównie powodu metodologia badań empi-

rycznych gra w socjologii i w naukach pokrewnych rolę pierwszoplanową i sama mieści w sobie problemy wymagające badań doświadczalnych. Zgodnie z tym wielu specjalistów socjologii zajmuje się przeważnie metodologią nauk społecznych.

Rezultaty badań opartych na metodzie kwestionariuszy i na statystycznym opracowaniu materiałów naukowych stanowią w zasadzie uogólnienia, dotyczące stanu aktualnego zjawisk w zakresie empirycznej problematyki socjologii. O tyle rzecz można więc, że są ahistoryczne. Wynikają stąd trudności i spory dotyczące sensu i możliwości korzystania z przykładów historycznych, a jeszcze bardziej podstawności powiązań z teoriami socjologicznymi, w swej istocie stanowiącymi filozofię dziejów. Półtora wieku temu chodziłoby o powiązanie empirycznych badań z pozytywistyczną filozofią dziejów Augusta Comte'a. Aktualnie od lat kilkudziesięciu (tj. odkąd miarodajne i powszechnie stosowane stały się badania statystyczne) chodzi o teoretyczne uzgodnienie materializmu historycznego z socjologią empiryczną. Praktycznie biorąc – w krajach socjalistycznych – o marksistowską interpretację uogólnień empirycznych, uzyskanych w rezultacie badań socjologicznych w szerokim sensie ich zakresu (tj. z włączeniem ogółu wyspecjalizowanych nauk o społeczeństwie).

Nietrudno zorientować się, że wobec filozoficznego charakteru materializmu historycznego interpretacja uogólnień empirycznych – *nolens volens* – nabiera cech właściwych wszelkiemu filozofowaniu. Znaczy to, że prowadzi do uogólnień, daleko wykraczających poza obręb wniosków uzyskanych z analizy danych faktów stwierdzonych empirycznie. Oczywiście, możliwe jest – do pewnych granic – powstrzymanie się od wysoce abstrakcyjnych interpretacji filozoficzno-historycznych. W takim razie socjolog – np. pracy przemysłowej, oświaty – poprzestaje na objaśnianiu wyników badań w świetle konkretnych potrzeb, do których je przystosował. Znaczy to, że tylko „minimalistyczne” uprawianie poszczególnych gałęzi socjologii (względnie poszczególnych nauk społecznych) może być wolne od filozofowania. Jednakże krótka droga prowadzi ku interpretacjom dalekosiężnym, a więc ku objaśnianiu konkretnych faktów statystycznych w świetle filozofii dziejów.

## Czynniki przeobrażeń społecznych

Pewne formy życia społecznego występują u wielu gatunków zwierząt. Niemała część zoologii (etologii, psychologii zwierząt) dotyczy tych właś-

nie form życia. Pomimo ich zróżnicowań w obrębie danego gatunku życie to z pokolenia na pokolenie toczy się w zasadzie jednakowo. Natomiast życie społeczne ludzi jest wysoce zmienne w ramach jednakowości jego form zasadniczych. I ten właśnie fakt, a nie sama obecność współżycia społecznego, należy do zbioru istotnych różnic między ludźmi a wszystkimi innymi gatunkami zwierząt. U podstawy jego specyficzności, zarazem wyjątkowości, leżą cechy intelektualne, o których mowa była w rozdziale poprzednim, a nie „instynkt stadny”, wielokroć uważany za właściwe źródło społecznej aktywności ludzi. Jeśli w ogóle mówić o takim instynkcie, przypisywać trzeba by go właśnie zwierzętom (filogenetycznie niższym od człowieka), a nie ludziom. Nie wynika stąd kategoryczne twierdzenie, że u ludzi instynktu stadnego nie ma wcale. Jednakże wobec ogromnych różnic w formach współżycia społecznego u ludzi jest on trudno stwierdzalny w porównaniu z wieloma czynnikami, „odpowiedzialnymi” za zmienność tychże i za ich zróżnicowanie, relatywnie łatwiej dostępne badaniom doświadczalnym. Otóż właśnie próbę naszkicowania filozofii społecznej rozpoczniemy od odpowiedzi na pytanie, jakie to czynniki, relatywnie łatwiej niż „instynkt stadny” dostępne badaniom naukowym i faktycznie od dość dawna stanowiące ich przedmiot, pociągają za sobą przeobrażenia w formach życia społecznego ludzi i ogromną ich zmienność? Oczywiście założyć trzeba przy tym, że chodzi o czynniki częściowo niezależne od innych, tj. takie, które przy innych warunkach względnie stałych ulegają przekształceniom, pośrednio tylko wywierając wpływ na czynniki inne, w ślad za tym na zmiany w całokształcie życia danej grupy społecznej bądź społeczeństwa jako układu grup. Krótko można by rzec, że chodzi tu o przyczyny dynamiki społecznej.

Rozpocząć wypada od zarysowego spojrzenia na teorie, w których mniej lub bardziej widoczny jest wpływ myślenia przyrodniczego, w szczególności ewolucjonizmu oraz pojęć antropologicznych. Do istotnych części składowych ewolucjonizmu (darwinowskiego i teorii pochodnych) należą koncepcje: walki o byt, doboru naturalnego, doboru seksualnego i przetrwania jednostek (pochodnie – całych gatunków) najlepiej przystosowanych do całości warunków życia. W odniesieniu do ludzi z ewolucjonizmu (darwinowskiego) wynikało przede wszystkim zaakcentowanie przewagi umysłowej jednych osób ponad innymi, poniekąd również przewagi w zakresie życiowo korzystnych cech temperamentu, pośrednio – cech charakteru, ukształtowanych na tym gruncie. W ciągu kilkudziesięciu lat podkreślano w związku z tym przemożną rolę wysokiej inteligencji ogólnej i specjalnych uzdolnień umysłowych, jako – rzekomo – głównych

czynników selekcji jednostkowej na „drabinie” społecznej. Nieco słabiej, ale również zaznaczano rolę przedsiębiorczości, siły woli i potrzeby władania. Im wyższy poziom inteligencji i uzdolnień umysłowych oraz im wydatniejsze cechy woli i charakteru, tym – rzekomo – lepsze możliwości w indywidualnej walce o byt.

Miało to konsekwencje socjologiczne: im więcej jednostek z nieprzeciętną inteligencją, z talentami i z silnym charakterem ma dana grupa społeczna, tym większe są jej szanse w danym społeczeństwie jako całości. Ponadto, im więcej jednostek inteligentnych i „z charakterem” ma cały naród, tym lepsze są jego szanse w międzynarodowej walce o byt.

Tutaj dołączali swój głos niektórzy antropolodzy, ci zwłaszcza, którzy z powodów politycznych lub mistycznych ulegali ideologii rasistowskiej: Rasy ludzkie są faktycznie zróżnicowane pod wieloma względami – jak wszelkie rasy różnych gatunków – w szczególności pod względami umysłowymi i charakterologicznymi. Z jednej strony są rasy wysoce uzdolnione intelektualnie i w ogóle szczerze obdarzone przez naturę. Z drugiej strony są rasy mniej lub bardziej tępe i w ogóle genetycznie upośledzone. Rozumie się, że rasy lepiej wyposażone (rasy „wyższe”) mają w porównaniu z tymi drugimi lepsze szanse w walce o byt. Dotyczy to pośrednio szans w walce międzynarodowej społeczeństw i narodów, w których cechy ras „wyższych” przeważają nad cechami ras „niższych”.

Ostatecznie na podstawie antropologii rasistowskiej czy tylko głównych przesłanek ewolucjonizmu wniosek ogólny brzmiał: Dynamika przeobrażeń społecznych wynika przede wszystkim z naturalnej nierówności grup społecznych pod względem istotnie ważnych cech psychicznych jednostek, z których się składają. Pierwszoplanowo: cech intelektualnych i charakterologicznych.

Nie ma wątpliwości co do tego, że różnice cech intelektualnych i charakterologicznych, a nawet w ogóle różnice indywidualne w zakresie wszelkich cech psychicznych, wywierają wpływ na efektywność osobistej walki o byt. Pochodnie znaczy to, że im więcej jednostek z korzystnymi cechami psychicznymi prowadzi życie aktywne, tym lepsze są możliwości dla całej grupy społecznej. Drastycznie rzecz ujmując: im więcej „geniuszy” – w potocznym rozumieniu tego słowa – ma dana społeczność, tym lepiej daje sobie radę w konkurencji z grupami innymi.

Niestety, wykazanie tej zależności jest – praktycznie biorąc – niemożliwe. Rzecz w tym, że wszelkie porównania, w szczególności porównania cech umysłowych i w ogóle cech osobowości za pomocą testów psychologicznych, mają (do pewnych granic) sens, jeśli przeprowadza się



je w innych warunkach jednakowych. Wobec tego absurdem byłoby porównanie uzdolnień intelektualnych, m.in. inteligencji ogólnej, grup osób przynależnych do różnych kultur, np. Szwedów i Zulusów w RPA, pomimo tego, że obecnie już znaczna część młodzieży tych drugich korzysta w przybliżeniu z tej samej wiedzy naukowej, co młodzież szwedzka. Po wielu rozzarowaniach antro-po-psycholodzy na ogół wreszcie przestali łączyć się co do możliwości i sensu posługiwania się tymi samymi metodami psychodiagnostycznymi w nieporównywalnych z sobą kręgach kulturowych i społecznościach.

Co więcej, w obrębie społeczności tej samej trudno byłoby dokonać na podstawie diagnostyki naukowej zróżnicowania populacji według poziomów inteligencji ogólnej, uzdolnień specjalnych, typowych cech (względnie układów cech) temperamentu itp. Wprawdzie nie leży to całkiem poza zasięgiem możliwości naukowo-badawczych, jednakże jest na razie nie-realne. Tym samym zbędne byłyby złudzenia co do poznawalności różnic w uzdolnieniach czy w przedsiębiorczości życiowej nie tylko np. między Francuzami a Niemcami, ale nawet między bliskimi sobie pod wieloma względami Szwedami, Norwegami i Duńczykami. A zatem nie lekceważąc całkowicie sensu i możliwości tego rodzaju porównań bez jaskrawego błędu można twierdzić, że nie tędy prowadzi droga do poznawania istotnych źródeł przeobrażeń społecznych. Uogólniając to rozumowanie można by rzec, że różnice w zakresie cech psychicznych osób przynależnych do różnych grup (plemion, ludów, narodów, grup zawodowych itp.) stanowią zapewne jakąś część uzależnień dynamiki społecznej, ale że części prze-ważnej szukać trzeba gdzie indziej. Przez „część przeważną” rozumiem tutaj „przyczynę istotną”.

Doszukiwanie się przyczyn ruchów społecznych w różnicach uzdolnień i wrodzonych cech napędu do aktywności, rozpatrywanych w skali społecznej, wprawdzie nie jest bezpodstawne, jednakże trudno spraw-dzalne. Na pewno łatwiej wykazać „ruchotwórczy” wpływ głodu w skali społecznej. Zresztą z dawna wpływ ten stwierdzano w formie przykładów historycznych. Stwierdza się go również obecnie metodami statystycz-nymi. Głód jako fizjologiczne zapotrzebowanie na pewną ilość kalorii dziennie przy prawidłowym układzie białka, tłuszczów, węglowodanów, soli i witamin jest czynnikiem relatywnie stałym i znanym w odniesie-niu do różnych grup wiekowych, względnie w stosunku do jednostki wagi ciała. Głód jako specyficzne, mniej lub bardziej przykre przeżycie zabar-wione gniewem stanowi w ogólnych zarysach „odповідź” psychiczną na głód fizjologiczny. „Głód” jako sprężyna ruchów społecznych bezpo-



średnio sterowanych gniewem na tle głodu jako cierpienia fizjologicznego wynika z niedostatku żywności – czy to okresowego, czy to trwałego. Ze swej strony niedostatek ten powstaje w rozmaitym układzie uzależnień. Na plan pierwszy wysuwa się rozrodczość niemal zawsze i wszędzie – w jednakowych pozostałych warunkach – większa aniżeli zasoby żywności rozporządzalne w danym czasie. Nie sposób na tym miejscu wnikać w komplikacje na tle tzw. prawa Malthusa czy spierać się o różne objaśnienia tegoż, wystarczy poprzestać na „grubo-empirycznym” stwierdzeniu niemal powszechnego nadmiaru „gęb do wyżywienia” w stosunku do zasobów żywności. Dużo rzadziej trafia się nadmiar żywności, też zresztą w pewnej mierze stanowiący zarzewie problemów społecznych, przeważnie jednak nie tak ostrych jak w wypadku „głodu społecznego”. W grę wchodzi problemy handlowe, komunikacyjne, poniekąd polityczne, współcześnie zaś ponadto technologiczne w zakresie przechowywania i konserwacji żywności.

Otóż niezależnie od interpretacji prawa Malthusa prawdopodobne wydaje się, że w pozostałych warunkach jednakowych ruchy społeczne są proporcjonalne do rozmiarów głodu społecznego, a to w granicach od wyrazów zaniepokojenia, niezadowolenia i gniewu do działań gwałtownych o charakterze rewolucyjnym lub wojennym. W obrębie danej społeczności (danego układu stosunków władzy i zależności od niej) grupy głodne atakują sytych i posiadających. Jeśli na tej drodze uporanie się z głodem jest niemożliwe, grupa jako całość (plemię, państwo) szuka zdołbyczy u sąsiadów. Osobno uwzględnić trzeba różnego pokroju migracje „za chlebem” – od jednostkowych do grupowych; od przygodnych do zorganizowanych. Do tej kategorii zapewne należą wszelkie „wędrowki ludów”.

Uwzględnić trzeba w związku z tym czynniki uzależniające się napędową głodu społecznego. Należy tu przede wszystkim stan potrzeb powyżej zaspokojenia głodu fizjologicznego. Chodzi o to, że ludzie syci chcą się zabezpieczyć przed niedostatkiem na przyszłość, a czy to głodni, czy to zabezpieczający się chcą żyć na poziomie wyższym, jeśli taki widzą u swych sąsiadów w obrębie danej społeczności lub poza jej granicami. Znaczy to, że pierwotny głód – fizjologiczny, przeżyciowy i społeczny – przekształca się w różnego pokroju interesy, celem zabezpieczenia się na przyszłość lub podniesienia poziomu życia. Czynnikiem zmieniającymi funkcjonowanie głodu społecznego bywają: naśladownictwo, zawiść, snobizm, a u ich podstawy tkwi lotna wyobraźnia.

W czasowo uporządkowanych warunkach życia społecznego wyobrażenia, „napędzana” nasamprzód widmem głodu lub niedostatku, z kolei

interesami, wyłaniającymi się z potrzeby lepszego życia, skierowuje ludzi ku pracy, względnie ku zabezpieczaniu się przez zdobycie odpowiedniego przygotowania do pracy. Gdyby założyć fikcyjnie – co tylekroć i w różnych kulturach robiono w sposób baśniowy lub poniekąd żartobliwy – że ludzie „na zawołanie” otrzymują w sposób cudowny wszystko, czego tylko sobie życzą („stoliczku nakryj się”), zabrakłoby podstawowego napędu do aktywności jednostkowej oraz do pracy, jako społecznej formy walki z głodem, względnie celem zabezpieczenia się przed nim. Zabrakłoby istotnej sprężyny wszelkich ruchów społecznych.

Licząc się z powszechnością głodu społecznego, jako podstawowego napędu ruchów społecznych, trzeba brać w rachubę komplikacje, stanowiące – że tak rzec – napędy pochodne. Pierwszoplanowego uwzględnienia wymagają tu nasamprzód takie ich przyczyny:

1. nierównomierna rozrodczość, umieralność i długowieczność w różnych grupach społecznych, u różnych plemion i narodów;
2. nierównomierny postęp w technikach pracy wytwórczej;
3. nierównomierny postęp w sztuce wojennej.

Na planie dalszym uwzględnić trzeba nierównomierne – w stosunku do społecznych potrzeb gospodarczych, organizacyjnych i kulturowych – postępy w poziomie, w upowszechnianiu i w jakości oświaty oraz w efektywności badań naukowych. Nie są to bynajmniej drugorzędne przyczyny przeobrażeń społecznych, jednakże ich znaczenie praktyczne stało się oczywiste dopiero w ramach cywilizacji naukowo-technicznej.

Rola nierównomiernych przeobrażeń demograficznych – jako czynników komplikujących formy ujawniania się głodu i gniewu społecznego – stwierdzalna jest wprawdzie od najdawniejszych czasów poznanych historiograficznie, ale od około lat kilkudziesięciu staje się przemożna. Opisuje się ją zwykle w związku z analizą „eksplozji demograficznej”, znamiennej dla tzw. trzeciego świata, oraz względnej stacjonarności demograficznej w krajach o wysokim poziomie i postępie cywilizacyjno-technicznym. Nie trzeba być socjologiem ani demografem, aby dostrzec następstwa eksplozji ludnościowej w krajach Ameryki Łacińskiej, w Indiach czy na Dalekim Wschodzie. Oczywiście jest narastanie głodu i gniewu społecznego wewnątrz tych regionów. Może nie tak dalece oczywiste, niemniej dość pewne jest pośrednie oddziaływanie tych zjawisk na stosunki międzynarodowe, w dalszej kolejności na ruchy społeczne i polityczne w krajach cywilizacyjnie zaawansowanych.

Może nie tak dalece jaskrawe, niemniej widoczne i dalekosiężne są przeobrażenia społeczne pod wpływem nierównomiernego postępu tech-

nologicznego i w zakresie organizacji pracy, przede wszystkim przemysłowej. Rozumie się, że jeśli dany produkt fabryczny wytwarza się według jednej technologii w ciągu jednej minuty, a według technologii innej, przestarzałej, w ciągu jednej godziny, muszą powstawać stany napięć w handlu międzynarodowym, pośrednio w stosunkach politycznych, a w krajach poszczególnych – różne formy głodu i gniewu społecznego.

Różnice postępu technologicznego odwiecznie stanowiły napęd do działań zbrojnych i wojen, które w zasadzie są również ruchami społecznymi. Zawsze tak było i jest nadal, że grupa (reprezentowana przez władcę, dowódcę wojsk czy rząd) rozporządzająca bardziej nowoczesnym uzbrojeniem i odpowiednią taktyką walki stanowiła, względnie stanowi agresora potencjalnego. Przewaga (rzekoma bądź faktyczna) broni i taktyki kusi do napadu celem uzyskania korzyści nieosiągalnych na drodze dyplomatyczno-psychologicznej. Dzieje wojen można by w lwiej mierze przedstawić na podstawie takiej motywacji.

Z wymienionymi napędami do – szeroko pojętych – ruchów społecznych związane są, zwłaszcza w ramach cywilizacji naukowo-technicznej, dysproporcje w oświacie i w nakładach na badania naukowe. Nie trzeba wykazywać, że w jednakowych pozostałych warunkach zarówno w skali indywidualnej, jak i społecznej lepsze (wyższe, bardziej specjalistyczne, gruntowniejsze) wykształcenie i przygotowanie do zawodu stanowi na ogół odpowiednio lepszą szansę w walce o byt. W skali społecznej liczniejsze i bardziej operatywne grupy specjalistów, m.in. menażerów, same z siebie stanowią swoistą siłę społeczną. Umożliwia ona czy to zwiększenie nacisków handlowych i dyplomatycznych, czy to wyrównywanie słabości na innych polach, czy wreszcie uzyskiwanie kompleksowej przewagi nad – w zasadzie równorzędnymi – współzawodnikami.

Przedstawiony zarys „energetyki społecznej” można by uzupełnić zwróceniem uwagi na jeszcze dwa czynniki, które odwiecznie uwzględniano w opisach życia społecznego. Chodzi tu o rolę „napędową” ogólnie pojętej wiary, zwłaszcza wiary o pokroju etycznym, oraz o klęski żywiołowe o rozmiarze kataklizmów czy to długotrwałych, czy to nieodwracalnych. Jaskrawy przykład napędowej roli wiary stanowi islam ze swym płomiennym wezwaniem do walki z niewiernymi. Liczne wyprawy wojenne Arabów i innych narodów opanowanych przez islam stanowiły w dużej mierze rezultat żarliwej wiary w Allacha i Mahometa, a nie tylko czy po prostu – przyczyn ekonomicznych, tj. ostatecznie społecznego głodu i gniewu czy gniewu na tle głodu. Znaczy to, że w naukowym opisie życia społecznego trzeba uwzględnić procesy powstawania wiary (jako

ideologii społecznej), tylko częściowo i w sposób pośredni wyłaniające się z bytowych warunków życia społecznego.

Rola kataklizmów w ruchach społecznych to stary temat wielu humanistów, a nie tylko socjologów. Co więcej, ze względu na materiał „dowodowy” – przede wszystkim historyków. Po prostu chodzi o odpowiedź na pytanie, jak dalece kataklizmy w rodzaju długotrwałej suszy, zmian klimatycznych, niezwyklej powodzi, trzęsień ziemi, katastrofalnych chorób epidemicznych i innych zmuszały ludzi w skali społecznej do działań rażąco odbiegających od tradycyjnego stylu życia. Na plan pierwszy wysuwają się tu wielkie migracje, ongiś obejmujące całe plemiona czy ludy („wędrowki ludów”), do migracji zbliżone ucieczki na tereny niedostępne lub nieatrakcyjne dla agresora, wielkie wyprawy wojenne (również całych ludów). Wielkie migracje wojenne, zarobkowe i inne wynikały częściowo z moralno-wierzeniowej mobilizacji sił społecznych celem przetrwania. Znaczący to, że wydarzenia katastrofalne w życiu niektórych ludów stanowiły co najmniej jedną z przyczyn ruchów wierzeniowych.

Uwzględnić trzeba też upadek fizyczny, moralny i kulturowy plemienia (ludu, narodu, państwa) wskutek katastrofy nadmiernej – co się w dziejach zdarzało wielokrotnie. Upadek społeczny spowodowany kataklizmem nie do pokonania oznacza wprawdzie raczej formę śmierci niż ruchu społecznego, jeśli nawet dane plemię (lud, państwo) nie uległo zagładzie całkowitej.

W końcu dodać trzeba, że wymienione wcześniej i nie uwzględnione tutaj napędy, względnie przyczyny przeobrażeń społecznych stanowią współcześnie coraz bardziej skomplikowany splot sił, trudnych do badawczego rozsupłania. Jedynie dlatego może się czasem wydawać, że rolę pierwszoplanową odgrywają takie czynniki – bez wątpienia ważne – jak inteligencja, doświadczenie i charakter (względnie braki w charakterze) mężów stanu, generałów itp. Nie trzeba nadzwyczajnej wnikliwości, aby dojść do wniosku, że u podstaw energetyki społecznej leżą przede wszystkim: społeczny głód i społeczny gniew. Większość czynników innych uważać można za ich pochodne.

## **Walka o władzę i władanie**

Nie ma społeczności – stanowiącej całość odrębną od innych – bez jakiegś władzy formalnej czy faktycznej, uznawanej czy nie uznawanej. Bez jakiegokolwiek władzy jest tłum, motłoch, przypadkowe zbiegowisko.

Nawet w przypadkowym zbiegowisku jednak powstaje niekiedy choćby tylko chwilowo jakaś namiastka władzy, gdy np. dość energiczny jego uczestnik zaczyna w nim krzykiem dyrygować – do ucieczki, do drogi wyjścia, do ataku itp. Nawet w chwilowych czy okolicznościowych formach skupienia się wielu ludzi kształtuje się czasem coś w rodzaju społeczności, tym samym zaś różnicowanie na osobę czy osoby kierujące czy rozkazujące i na grupę jej czy im podporządkowaną. W tym właśnie zróżnicowaniu tkwi załazek wszelkiej władzy, poniekąd jej istota. Wszystko jedno przy tym jakich nazw – w danym języku – użylibyśmy celem jej utożsamienia: władza, władca, wódz, dowódca, przełożony, kierownik, naczelnik itp.

Istotne jest to, że tak czy owak nazwany przełożony ma co najmniej faktycznie, jeśli nie formalnie, siłę do wydawania rozkazów w szerokim sensie tego słowa – nakazów, decyzji, poleceń do wykonania itp. – zaś osoby jemu podporządkowane powinny je wykonywać. Motywy podporządkowania się nie mają tu znaczenia decydującego i faktycznie bywają różne. Należą do nich pierwszoplanowo: autorytet władcy, strach przed karą, rozumienie i kalkulacja własnego interesu, wiara w słuszność danej sprawy (w której imieniu władca działa), poczucie odpowiedzialności i praworządności, nawyki i kilka innych. Obecność tego czy innego motywu oraz rola względna wielu motywów współistniejących bywają różne w różnych sytuacjach i grupach podporządkowanych danemu władcy czy bezosobowo pojętej władzy. W jako tako ustabilizowanym życiu społecznym w motywacji podporządkowania się na plan pierwszy wysuwają się: formalny autorytet władcy, względnie władzy oraz utrwalone biegiem spraw powszednich i wychowaniem „wdrożenia moralne”, jako swoiste nawyki umysłowo-uczuciowe. Znaczy to, że dla poddanych, tj. dla grupy osób faktycznie, jeśli nie formalnie, podporządkowanych władcy jako rozkazodawcy, posłuch jest na ogół sprawą oczywistą. W pogotowiu – w razie wątpliwości czy postronnych zachęt do sprzeciwu – są zarówno szablony uzasadnień, jak i odpowiednie napędy uczuciowe. Innymi słowy, w warunkach „normalnych”, zarazem tradycyjnych, wykonywanie władzy i podporządkowanie się jej odbywa się bez wyraźnych przeszkód. Co więcej, jedno z drugim stanowi funkcjonalną całość. Nie ma bowiem rzeczywistego władcy bez poddanych, ani też odwrotnie.

W ramach uniwersalnego stosunku społecznego „władca – poddany” formy władania i podporządkowania się bywają różne. W różnicach ujawniają się dzieje danej społeczności, jej rozwarstwienie, kultura, wielkość (liczebność), pośrednio – całość warunków środowiskowych. Niełatwo

poklasyfikować formy władzy, gdyby uwzględnić wszystkie przyczyny różnicujące. Nie podejmuję się takiego zadania, natomiast ograniczę się do praktycznego ujęcia sprawy.

Otóż z praktycznego punktu widzenia wystarczy – ale i trzeba – rozróżnić władzę (stosunek: władca – poddany) w ogólnym sensie tego słowa państwową (plemienną, rządową, społeczną itp.) oraz władzę instytucjonalną, tj. istniejącą i wykonywaną pod opieką czy za zgodą bądź bez formalnego sprzeciwu tej pierwszej. Należą tu formy władzy w: wojsku, organach bezpieczeństwa i wymiaru sprawiedliwości, urzędach, szkolnictwie, oświacie i pozaszkolnym wychowaniu, instytucjach gospodarczych, stowarzyszeniach politycznych, społecznych i kulturalnych, w szczególności naukowych i artystycznych, w służbie zdrowia, sporcie itp. Wszystkie wymienione i inne formy władzy instytucjonalnej czerpią swą „moc rozkazodawczą” w jakiejś mierze z władzy państwowej, jednakże wiele z nich ma częściowo lub przeważnie charakter umowny, oparty na zgodzie „poddanych”. Rzecz można by tak oto uchwycić formalnie: „Jeśli chcesz być naszym członkiem czy uczestnikiem, musisz spełnić lub trwale spełniać takie oto warunki: Nie ma i nie było tego rodzaju warunkowości w stosunku »władza państwowa – poddany«”. Innymi słowy, władza państwowa jest bezwarunkowa, a kto się jej rozkazom (prawom, konkretnym decyzjom) nie chce podporządkować, musi się liczyć z ewentualnością kary lub musi kraj opuścić.

Uniwersalności i bezwarunkowości władzy państwowej przeczą lub zdają się przeczyć zwolennicy teorii anarchistycznych, głoszący ideały likwidacji wszelkiej władzy państwowej, jako instrumentu gwałtu, oraz dobrowolnej umowy obywateli celem sprostania zadaniom czy potrzebom wspólnym dla wszystkich. Załączkowo można je stwierdzić w starożytności, jednak w formie pretendującej do naukowości pojawiły się dopiero pod koniec XVIII wieku (William Godwin). Ich bujny rozwój w XIX wieku i współczesna obecność ruchów anarchistycznych w niektórych krajach zachodnich każe postawić pytania:

1. Czy w ogóle jest zdrowy sens w szeroko pojętym anarchizmie?
2. Jakie są szanse urzeczywistnienia jego założeń?

Nie wchodząc w szczegóły ani w rozpatrywanie racji różnych doktryn przedstawiam w tej sprawie zwięzłe poglądy następujące: Teorie anarchistyczne są wprawdzie psychologicznie zrozumiałe, jednakże nierozumne. Zrozumiałe są jako teoretyczny wyraz gniewu społecznego i buntu przeciwko – że tak rzec – wszetecznym i nieludzkim formom wyzysku robotników, w szczególności dzieci i młodocianych, we wczesnych okresach



kapitalizmu. Zagniewanym teoretykom mogło wydawać się, że sama tylko likwidacja przemocy państwa kapitalistycznego otworzy bramy do sprawiedliwości społecznej. Nierozumne zaś są przede wszystkim w istotnym założeniu, że dobrowolne umowy obywateli stanowić mogą wystarczającą podstawę do utrzymania ładu społecznego i nieustannie zmiennych wymogów w zakresie organizowania pracy produkcyjnej. Jest to niemożliwe praktycznie na poziomie życia plemiennego, cóż dopiero mówić o poziomie życia i współżycia społecznego w warunkach cywilizacji naukowo-technicznej. W końcu droga do realizacji wciąż nowych idei sprawiedliwości społecznej prowadzi obecnie i musi prowadzić nawet w dalekiej przyszłości przez konstruktywną analizę wielu i coraz liczniejszych potrzeb jednostkowych i społecznych, a nie po prostu i tylko przez unicestwienie pewnych form przemocy władzy państwowej. Chodzi o stopniową racjonalizację form tej władzy, a nie o jej likwidację, co jest nierealne i absurdalne.

Z punktu widzenia zarówno socjologii, jak i historii twierdzić można z dostatecznym uzasadnieniem, że „zawsze i wszędzie” ludzie (przeważnie mężczyźni) o władzę walczyli i walczą. Nieliczne wyjątki dobrowolnej rezygnacji z posiadania władzy (np. abdykacja cesarza Dioklecjana) nie przeczą tej prawidłowości. Raczej – jako wyjątki – ją potwierdzają. Nasuwa się więc pytanie, jakie motywy skłaniają ludzi do walki o władzę, w szczególności do walki „za wszelką cenę”.

Pytanie to rozpatrzę ogólnie, tj. z uwzględnieniem walk o władzę na różnych poziomach cywilizacji i kultury oraz w różnych warunkach społecznych i demograficznych. Otóż w tak ogólnym ujęciu prawdopodobne wydaje się, że pomimo różnych komplikacji motywy walki o władzę bywały i są relatywnie proste i że na pierwszy plan wysuwały się przede wszystkim – w udziale zmiennym – dwa motywy:

1. blasku publicznego, dającego swoistą satysfakcję, odpowiadającą ambicji górowania nad innymi, potrzebie rozkazywania, wywierania presji, podporządkowywania sobie innych i z uciechy stąd wynikającej; motyw ten wynika z przemożnej roli szeroko pojętej „pychy” w życiu ludzi (o czym mowa była w rozdziale poprzednim);

2. korzyści praktycznych z posiadania i sprawowania władzy i możliwości odegrania się na wrogach osobistych, służenia dzięki władzy krajowi czy idei, w imię której formalnie toczyła się walka o władzę; wprawdzie uwzględnić trzeba tu nierzadkie w dziejach przykłady „przypadkowego”, a więc przynajmniej na pozór nie upragnionego wyniesienia na szczyty władzy, co zdarzało się w rezultacie międzygrupowych rozgry-



wek, w których osoba postronna i relatywnie słaba stanowiła przedmiot zabiegów czy ustaleń kompromisowych.

Trudno zazwyczaj odpowiedzieć na pytanie, jaki, względnie jakie motywy stanowiły w konkretnych wypadkach istotną sprężynę walki o władzę. Dużo łatwiej jest zwycięzcy głosić publicznie, że chodziło mu wyłącznie o interes społeczny. Faktycznie i z reguły zwycięzcy często taką właśnie legendę podtrzymywali. Trzeba jednak dodać, że im bardziej walka o władzę splatała się czy splata z walką wyzwolenczą danego ludu bądź klasy społecznej, tym głośniej kandydaci do władzy swoją bojowość motywują względami ideowymi. Nie ma wątpliwości, że niekiedy robili to czy robią w dobrej wierze.

Praktyczne korzyści ze sprawowania władzy dotyczą – oczywiście – przede wszystkim materialnego posiadania, tj. majątku w ogólnym sensie tego słowa. Odwiecznie i po dziś dzień wielu władców może – zgodnie z tym – dumnie utrzymywać, że w gruncie rzeczy „państwo to ja”. Weźmy tu np. pod uwagę niektórych dyktatorów latynoamerykańskich. Zazwyczaj w parze z powyższymi idą korzyści – również materialne – w postaci wynagradzania współpracowników, wyręczycieli, zastępców, „gwardii przybocznej”, donosicieli i w ogóle ludzi tak czy owak pomocnych w zdobywaniu władzy i w jej sprawowaniu. Przeważnie chodzi o tych drugich, gdyż wdzięczność wobec pierwszych, jeśli stali się już niepotrzebni, bywała i jest krępująca, a nawet ryzykowna.

Walkę o władzę rozpatrywać można zarówno w skali jednostkowej, jak i grupowej. Pierwsza wchodzi w rachubę, jeśli uwagę skupić na poszczególnych kandydatach do władzy, druga – w odniesieniu do splotu uzależnień personalnych i do grupy eksponującej danego kandydata. Oczywiście, również w wypadku, gdy w wyniku walki faktycznie – jeśli nie formalnie – władzę sprawuje zespół współrządców. Nie przeczy temu fakt, że z reguły w danym zespole jeden „współrządca” jest najbardziej miarodajny, tj. że co najmniej faktycznie, jeśli nie formalnie, dzierży władzę we własnym ręku.

Wobec tego, że do istoty rzeczywistej władzy należy wydawanie rozkazów – w możliwie obszernym sensie tego słowa – wobec tego władza z konieczności musi dbać o ich należyte wykonywanie. Musi zatem karać niedbałych lub sprzeciwiających się. Oczywiście, chodzi tu przede wszystkim o rozkazy, których wykonanie wywiera wpływ na utrzymanie się przy władzy i na jej efektywne sprawowanie. Jednakże pośrednio chodzi również o dostosowywanie się poddanych do praw już uprzednio obowiązujących, m.in. do przewidywań prawa karnego. Krótko mówiąc, wprost lub pośrednio władca musi karać. I z tym właśnie jego obowiązkiem wiąże

się odwieczne pojęcie władcy sprawiedliwego, względnie przeciwnie – niesprawiedliwego tyrana.

Prócz tego w interesie własnym lub zespołowym władca musi również nagradzać i wyróżniać osoby szczególnie przydatne czy zasłużone dla efektywnego utrzymania i sprawowania władzy, m.in. zasłużone dla podnoszenia blasku władzy. Blask ten z jednej strony odpowiada ambicjom większości władców, z drugiej pomnaża szanse utrzymania władzy w ręku. Na ogół wynagradzani i zaszczytani są poniekąd osobiście wdzięczni za wyróżnienia, przeważnie zaś zobowiązani pośrednio ze względu na interes własny. Siedzą na tej samej „gałęzi” co władca.

Podobnie przedstawia się sprawa utrzymania się przy władzy niezależnie od formalnych warunków zwyczajowych lub ustawowych. Chodzi o pytanie, dzięki czemu władcy faktycznie dzierżą władzę w okresie przewidzianym przez zwyczaj lub prawo? Wszak odwiecznie zdarzało się i zdarza nadal, że przed wyznaczonym czasem muszą ustąpić.

Kilka czynników zmiennych stanowi tu spłot, nie zawsze łatwy do rozsąpnięcia. Czynnik pierwszy i na ogół podstawowy można by ogólnie opisać tak: Władca dzierży efektywnie władzę w swym ręku dzięki temu i dopóty, dopóki w zasadzie spełnia nadzieje tych, którzy go powołali do jej wykonywania. Praktycznie znaczy to, póki ma za sobą siłę zbrojną, pośrednio siłę „grupy możnowładców”, którzy za nią stoją, czyli moralnie podtrzymują jej lojalność. W państwach nowoczesnych i praworządnych tego rodzaju uzależnienie wydawać się może przesadne, a to dlatego, że opinii publicznej znane są tylko rozgrywki na forum instytucji przewidzianych przez prawo państwowe i formalnie reprezentujących układy sił rzeczywistych, ostatecznie – sił zbrojnych. Mimo pozorów innych trzeba przyjąć, że władza naczelna, czyli suwerenna, stanowiąca faktycznie siłę rozkazodawczą, musi się wspierać na sile, a tą jest „w rachunku końcowym” jej ramię zbrojne.

Co prawda, im bardziej skomplikowane są stosunki społeczne i odpowiadający im formalnie ustrój państwowy, tym więcej czynników bierze udział w cichej i głośniejszej ocenie przydatności władcy do prowadzenia „nawy państwowej”. Wiele form zadowolenia, względnie niezadowolenia poszczególnych możliwych grup społecznych, ostatecznie zaś „ludu” spleta się w coraz bardziej złożoną całość. Przy tym zawsze i wszędzie istotnie ważnym atutem władców – w walce o utrzymanie się „w siodle” – była umiejętność lawirowania między sprzecznymi interesami, pośrednio między wyrazami zadowolenia i gniewu pojedynczych możliwych, grup i warstw społecznych; umiejętność wygrywania jednych przeciwko drugim. Ze

szczyptą przesady rzec można, że głównie na tym polegały i nadal polegają zdolności władców jako mężów stanu. Bez tych zdolności rzecznicy interesów sprzecznych dochodzą do porozumienia między sobą i władcą „przedterminowo” usuwają – gwałtem lub w rezultacie jego „własnej” rezygnacji.

## Selekcje społeczne

Pomimo odwiecznych marzeń o równości społecznej w zasadzie niezmiennym faktem jest społeczne zróżnicowanie. W ślad za tym – choćby tylko wskutek przemijania pokoleń, ale i pod wpływem czynników innych – nieustannie dokonują się selekcje społeczne. W obrazowym ujęciu: „przesiewanie” poszczególnych jednostek oraz grup (rodów, klanów, związków, wspólnych interesów itp.) na drodze ku szczytom hierarchii społecznej bądź w upadku ku jej „nizinom”. Podobnie jak władzę i władców także procesy zróżnicowania i selekcji społecznych można rozpatrywać od strony psychologicznej, jak i socjologicznej. Od pierwszej – jeśli poznawać uzależnienia osobowościowe i biografie osób „przesiewanych”. Jednakże zasadniczo problematyka jest socjologiczna, chodzi bowiem o „przesiewanie” dzięki współżyciu społecznemu i w jego obrębie, a więc wymaga przede wszystkim hipotez i metod roboczych właściwych naukom społecznym. W jej zakresie skupię uwagę na jednej tylko – złożonej – sprawie: czynnikach awansów społecznych i deklasacji społecznej.

W ciągu kilkudziesięciu lat XX wieku (mniej więcej od 1910 roku) rozbudowywano intensywnie teorię z praktyką testów inteligencji. U podstaw leżało założenie, że poziom inteligencji ogólnej stanowi czynnik decydujący o powodzeniu w walce o byt, w szczególności o powodzeniu w szkole, w pracy zawodowej, w realizacji interesów i przedsięwzięć życiowych itp. Założenie to było co najmniej nad wyraz uproszczone i grubo przesadne. Jeśli bowiem ogół form powodzenia odnieść do szeroko pojętej walki o byt, a tę rozpatrywać przede wszystkim z punktu widzenia „mechanizmu” selekcji społecznej, różnicom, względnie poziomom inteligencji ogólnej przyznać można tylko rolę jednego z niewątpliwie ważnych, ale nie jedyne, ani nawet podstawowego, czynnika efektywnego „wspinania się” po drabinie społecznej. Spróbujmy je wymienić i zwięźle opisać, i to z uwzględnieniem historii, a nie tylko współczesności w obrębie cywilizacji przemysłowo-technicznej.

W czasach, w których ludzie nieustannie wojowali: ród z rodem, plemię z plemieniem, miasto z miastem itp., istotnym czynnikiem awansów

bywała dzielność bojowa. Ona to stanowiła kryterium do awansów na rycerza czy w ogóle na towarzysza broni, pośrednio – do wynagrodzeń w formie tytułów i nadań ziemi wraz z poddanymi. Pokolenia potomne „nadanych” korzystały zatem bez zasług własnych z jednorazowego, ale z reguły trwałego wynagrodzenia. Kandydaci do tytułów szlacheckich nie musieli się specjalnie wysilać celem uzyskania nowych awansów. Przeważnie wystarczyło już tylko dbać o łaskę panów i władców i umiejętnie intrygować. Oczywiście, łatwiej było intrygować inteligentnym niż tępym. Jednakże nie tyle bystrość umysłowa, ile raczej brak hamulców moralnych decydował o powodzeniu w rozgrywkach wzajemnych między „panami”. Lepszy bywał ten, kto ujawniał największy cynizm z zachowaniem pozorów tradycyjnej moralności. W zasadzie nie inaczej bywało w czasach eksplozywnego rozwoju kapitalizmu w Europie Zachodniej, a zwłaszcza w USA. Nie tyle przewaga umysłowa nad konkurentami, ile raczej zupełny brak skrupułów moralnych stanowił istotne źródło powstawania wielkich fortun „królów” kolei żelaznych, nafty, stali itp. A inteligencja ogólna niezbędna do wciąż nowych sukcesów bywała przeważnie tożsama z chytrością, a nie ze zdolnością do myślenia problemowego.

Spójrzmy z kolei na rolę inteligencji ogólnej w karierze szkolnej. Nie ma wątpliwości co do tego, że poniżej pewnego minimum bystrości umysłowej uczniowie mają trudności w opanowywaniu programów nauczania, przystosowanych do przeciętności. I z tego głównie powodu funkcjonują szkoły specjalne. Jednakże i to jest pewne, że nawet w szkołach najbardziej nowoczesnych trzeba – celem uzyskiwania ocen dobrych – przede wszystkim być pilnym. Pilność oznacza nasamprzód systematyczne przygotowywanie się do lekcji i odrabianie zadań, a więc uległość wobec nauczycieli, a nie jest wyrazem inteligencji. W znacznej mierze – i z niezbędnymi zmianami w opisie – odnosi się to do powodzenia w pracy fabrycznej i w biurach. I tutaj bowiem raczej posłuszeństwo aniżeli przejaw nieprzeciętnej bystrości stanowi pierwszą podstawę do awansów. Oczywiście, nie wynika z tego, że inne czynniki selekcji są bez znaczenia w porównaniu z poziomem inteligencji. Na ogół jednak w mniejszym stopniu, choć indywidualnie nawet pierwszoplanowo. Weźmy tu pod uwagę przykładowo urodę i aktywność. Bez wątpienia uroda kobiet pracujących gra niemałą rolę w uzyskiwaniu uznania szefów (mężczyzn), a następnie w awansach. Inaczej ma się rzecz z aktywnością pracowników walczących o wspólne interesy z przełożonymi.

Jednakże zarówno inteligencja, jak i pilność, posłuszeństwo, uroda i aktywność stanowią raczej drugoplanowe sito selekcji społecznych

w porównaniu z nepotyzmem i protekcjonizmem, zjawiskami odwiecznymi i każdemu społeczeństwu dającymi się we znaki. Pierwsze – to „dbałość o krewnych”, drugie – wyróżnianie niezależnie od pokrewieństwa. Aspołeczny charakter tych zjawisk jest zmienny, bo zależny od okoliczności. Chodzi o to, kogo i za co wyróżnia się, awansuje i nagradza. Kogo się proteguje? Zawsze i wszędzie – niezależnie od pokrewieństwa i znajomości – przede wszystkim ludzi „tak samo myślących”, a zatem mogących stanowić część oparcia w walce o władzę. Mogących wejść w szeregi stronników. Niemniej zdarzały się i zdarzają protekcje „kulturotwórcze” czy też w interesie społecznym, np. gdy „mecenasi” ułatwiali kształcenie i zarazem awans społeczny dobrze zapowiadającym się muzykom, malarzom itp. Co prawda, królowie robili to – świadomie lub bezwiednie – ze względu na blask osobisty i chwałę swej władzy.

Nie ma wątpliwości co do tego, że w pewnej mierze czynnikiem selekcji w sensie awansowania w hierarchii społecznej jest – powiedzmy tak – dzielność osobista (w sensie: zdolność do działania, przedsiębiorczość, inicjatywa) jako splot różnych cech psychologicznych, głównie jednak cech umysłu i charakteru. Gdy się jest potrzebnym i nie zagraża się wyraźnie walczącym o władzę, inteligencja, wykształcenie, talent, zdrowie, siła fizyczna, uroda, układność w zachowaniu się, aktywność, przedsiębiorczość, „ruchliwość umysłowa”, różnorodność zainteresowań, posłuszeństwo, w zakresie cech charakteru: czasem prostolinijność i uczciwość, czasem natomiast cynizm i amoralność itp. stanowią układy cech „posuwających się naprzód” ku szczytom kariery i blasku społecznego. Nie przeczą temu fakty wyjątkowej roli jednej tylko lub nielicznych cech spośród wymienionych. W grę wchodzi w takim razie umiejętność przystosowania się ludzi ambitnych i chciwych władzy do specyficznego układu warunków społeczno-politycznych. Przyznać trzeba, że wówczas niezwykle znaczenie ma wyjątkowa inteligencja ogólna. Było tak zapewne np. w wypadku ministra Fouqueta, jednego z najgłośniejszych wiarołomców.

Ludzie nie tylko awansują, ale i spadają z drabiny społecznej. Wskutek czego? Przeważnie wskutek zmian w establishmencie. Oczywiście, w takich wypadkach „swoi” ludzie muszą zastąpić tych, którzy przegrali. Ale nie tylko dlatego. W ramach względnej trwałości władzy spadają niżej, niekiedy katastrofalnie, co najmniej zaś nie awansują ludzie „inaczej myślący”, czyli dysydenci w znaczeniu szerszym od powszechnie używanego (dysydenci – odszczepieńcy, ludzie nie wierzący jak trzeba lub inaczej wierzący). Rozumie się, że aby spaść z wysokich szczebli drabiny społecznej, trzeba się na nie najpierw dostać. Znaczy to, że dysydentami

mogą się stać ludzie, którzy nie zagrażali władzy w czasach „wspinaczki”, a robią to nabrawszy siły i blasku. Wówczas nieco pewniej mogą dawać wyraz swym prawdziwym przekonaniom.

Innego rodzaju „upadki” z drabiny społecznej zdarzają się „prominentom”, którzy narazili się na publiczne potępienie z powodu przestępstw pospolitych lub postępowania sprzecznego z zasadami tradycyjnej moralności, tak jak Oscar Wilde. Niekiedy zachodzi tylko ewentualność upadku, a to jeśli potępiająca opinia publiczna jest za słaba w porównaniu z establishmentem, przykładem może być postać holenderskiego księcia Bernharda.

Upadki bądź „zatrzymania” w karierze zależą od wielu czynników zmiennych, ponadto od ich układu indywidualnego w danym czasie. Przykładowo ludzie „byli” z wysokich stanowisk społecznych czy politycznych miewają, względnie miewali szanse czasowego ich zajmowania, ponieważ nowym władzom brak własnych ludzi o wysokich kwalifikacjach zawodowych, np. do inteligentnego prowadzenia spraw zagranicznych.

Osobnego zauważenia wymagają zmiany na drabinie społecznej w wyniku tzw. deklasacji, dotyczące całych grup czy warstw ludności. W ciągu wielu wieków deklasacja dokonywała się w wyniku przegranych wojen, jeśli zwycięzcy zajmując kraj podbity tylko część ludności tępiłi, pozostałą zaś zmuszali do pracy formalnie czy faktycznie niewolniczej. Sami stawali się elitą. Wprawdzie z reguły części byłego establishmentu udawało się wspiąć na wyżyny elity nowej, a to z reguły dzięki – że tak rzec – kwalifikacjom zawodowym, np. wysokiej rangi duchowni z ludności podbitej przez Normanów francuskich w Anglii po 1066 roku.

Ta sprawa naprowadza na zagadnienie rozwarstwień społecznych, częściowo związane z poruszoną wcześniej problematyką selekcji społecznych. Rzecz w tym, że zróżnicowanie grup społecznych (warstw, klas) ma prawie zawsze i wszędzie charakter układu pionowego, tj. w zasadzie taki sam, jak układ szczebli kariery osobistej. Znaczy to, że bywały i nadal są wyróżniane warstwy „wyższe” oraz „niższe”. W świecie kapitalistycznym są to warstwy majątkowe. W gruncie rzeczy istota rozwarstwień społecznych dotyczy względnego udziału w mechanizmie władzy. Najbardziej władni skupiają się dokoła „tronu”, najmniej władni i zarazem najliczniejsi są do „roboty” i posłuchu.

Podobnie jak selekcje również rozwarstwienia stanowią rezultat wielu czynników zmiennych. Oczywiście jest to, że liczba warstw społecznych jest proporcjonalna do zróżnicowania funkcji społecznych, a w ich obrębie – funkcji zawodowych. Te z kolei uzależnione są przede wszystkim



od zróżnicowania metod i narzędzi pracy produkcyjnej, pośrednio – od postępu naukowo-technicznego. Co prawda, w nowoczesnych społeczeństwach „technicznych” hierarchiczne ułożenie coraz liczniejszych grup – warstw zawodowych według względnej roli ich funkcji społecznej stanowi niełatwy problem teoretyczny. Jest to jednak raczej problem fachowy („warsztatowy”) socjologii niż zagadnienie filozofii społecznej.

## **Sprawiedliwość i praworządność**

O sprawiedliwości mówi się niemal na co dzień, i to w najrozmaitszych układach stosunków międzyludzkich i społecznych. Rozumie się, że nie poza ich obrębem, gdyż Robinson Crusoe przed spotkaniem z Piętaszkiem mógł tylko gniewnie rozpamiętywać różne formy niesprawiedliwości w Królestwie Angielskim. Natomiast idea praworządności jest w zasadzie prawnicza, aczkolwiek wywodzi się z poczucia i pojęcia sprawiedliwości. W odróżnieniu od tegoż nie odnosi się bezpośrednio do konkretnych stosunków międzyludzkich, lecz do władzy ze względu na praktyczne stosowanie zasady sprawiedliwości w stosunkach między państwem a obywatelem; ogólniej – między władzą a poddanym. Pomimo tej subtelności w rozróżnieniu, praworządność i sprawiedliwość dotyczą sprawy w gruncie rzeczy jednej i tej samej. Chodzi wprawdzie o sprawę mającą różne oblicza zależnie od punktu widzenia: raz jednostki w stosunku do innej jednostki bądź do władzy, innym razem władzy w stosunku do jednostek lub grup społecznych. Raz na plan pierwszy występuje moralność skupiona na sprawie cnoty, poczucia, rozumienia i pojmowania sprawiedliwości, innym razem – państwo, względnie jego konkretna władza w stosunku do poddanych. Zgodnie z tym o sprawiedliwości bądź niesprawiedliwości mówili i pisali wciąż na nowo przede wszystkim moralisci, filozofowie, teolodzy, literaci, publicyści, natomiast o praworządności głównie teoretycy państwa (politolodzy), prawnicy, oczywiście również socjolodzy, gdyż poznawanie stanu faktycznego i uzależnień w zakresie praworządności w zasadzie do ich zadań należy.

Tutaj połączymy analizę obydwu rzeczy istotnie z sobą związanych. Rozpocząć wypada od „sprawiedliwości” jako podstawy do rozważań nad praworządnością. Wobec pospolitego stosowania tego pojęcia w rozmaitych sytuacjach i zwrotach językowych przyjąć można, że przynajmniej intuicyjnie wiadomo, o co chodzi, zwłaszcza w odniesieniu do konkretnych sytuacji. Kto mówi o „jaskrawej niesprawiedliwości”, o „krzywdzie



wołającej o pomstę do nieba” itp., nie tylko po prostu oburza się, ale także wie, o co konkretnie chodzi. Nie tak prosto ma się rzecz, gdy wypowiada się opinię, np. „jako przełożony był to człowiek nad wyraz sprawiedliwy”. Ale i to jest jeszcze zrozumiałe. Gorzej jest z próbami logicznie zadowalającego zdefiniowania „sprawiedliwości” bądź związłego (ale obszerniejszego niż definicja) sprecyzowania składników treści i zakresu tego pojęcia. W tym celu przeprowadziłem pewnego razu na seminarium magisterskim (w 1970 roku) szybkie ćwiczenie. Okazało się, że wprawdzie w przybliżeniu magistranci krążyli dokoła jednej i tej samej idei, ale też ujawnili dwie rozbieżności w sformułowaniach. Zdawali sobie sprawę z trudności, ale zarazem ją wyjaśniali: „O sprawiedliwości mówi się praktycznie i konkretnie, jednak nikt nigdy nie wymagał od nas logicznej precyzji w odniesieniu do pojęcia niewątpliwie nad wyraz abstrakcyjnego”.

Celowe wydaje mi się podejście do trudnej sprawy od próby odpowiedzi na pytanie: w jakich warunkach społecznych dyskusja nad sprawiedliwością i krytyką niesprawiedliwości praktycznie biorąc nie wchodziła, względnie nie wchodziłaby w rachubę? Nieco inaczej – kiedy w socjologicznym ujęciu zagadnienia byłibyśmy poza obrębem sprawiedliwości? Odpowiedź brzmi: w stosunkach z ludźmi nierównymi sobie ze względu na istotne cechy człowieczeństwa lub z ludźmi uważanymi za nierównych (panami, sędziami, władcami itp.). W społeczeństwach opartych na niewolnictwie poddany był formalnie lub faktycznie traktowany jak rzecz, z którą jej właściciel mógł zrobić wszystko, co tylko zechciał, łącznie z zabiciem według zachcianki czy swobodnego uznania. W tej sytuacji nie było podstaw do oskarżeń o niesprawiedliwość. Swoją drogą pan bądź wolni obserwatorzy jego postępowania mogli ze względu na zwyczajne współczucie czy na wyczucie jednakowości człowieczeństwa pana i jego niewolnika traktować tego drugiego „po ludzku”, praktycznie biorąc tak jak innych ludzi wolnych, w rezultacie – sprawiedliwie. Znaczy to – z zastosowaniem tych samych przewidywań co do kary za określone przestępstwa, jak w odniesieniu do ludzi wolnych.

W świetle przedstawionego przykładu nie ulega wątpliwości, że sprawiedliwość wskazuje przede wszystkim na równość wobec prawa dla wszystkich uznawanych za ludzi. Wobec tego subiektywne wyczucie sprawiedliwości, ocena czy krytyka konkretnych przejawów niesprawiedliwości, pojmowanie sprawiedliwości jako cnoty – i to niemal zawsze i wszędzie najważniejszej cnoty moralnej – jej pojmowanie z prawniczego i socjologicznego punktu widzenia opiera się ostatecznie na idei równości wobec prawa: obyczajowego bądź pisanego. Zresztą takie obja-

śnienie wynika z etymologii słowa „sprawiedliwość” w różnych językach. Weźmy pod uwagę: łacińskie *iustitia*, francuskie i angielskie *justice*, rosyjskie *справедливост'*, niemieckie *Gerechtigkeit*; w każdym z tych języków tkwi źródłosłów, wskazujący na „prawo”; pochodnie – na oczywiście również polskie „sprawiedliwość”, zgodność z prawem.

Wyjaśnienie językowe nie wyczerpuje sprawy. Na jego gruncie budzą się niepokojące pytania, czemu to w sprawiedliwości ludzie dopatrują się obecności prawa; co więcej, czemu im tak bardzo zależy na sprawiedliwości? Pytanie drugie jest tutaj istotne, toteż od niego rozpocząć trzeba analizę zagadnienia. Rozpocznijmy od nawiązania do idei, wielokroć wysuwanej w dziejach myśli politycznej, np. przez Mandeville'a, Rousseau, że istotnym źródłem prawa i państwa (władzy suwerennej) jest nieznosność chaosu „walki wszystkich przeciwko wszystkim”, w którym – rzekomo – ludzkość pogrążona była w zaraniu swych dziejów. Nie mogąc znieść chaosu, ludzie mieli porozumieć się z sobą co do ograniczenia swej pierwotnej wolności (zabijania innych, grabieży, kradzieży, wyzysku i ucisku) na rzecz władzy nadrzędnej i prawa, na którym władza ta ma się opierać.

Nie trzeba wykazywać naiwności wywodu historycznego, natomiast przyznać wypada, że jego strona psychologiczna jest jak najbardziej przekonywająca. Rzecz w tym, że życie w warunkach całkowitego chaosu – wcale nie wyjątkowego w dziejach ludzkości – jest nieznosne wskutek nieustannego zagrożenia ze strony napastników jednostkowych czy grupowych. Jest to nie życie, lecz bytowanie w stanie trwałego strachu i nastawienia na walkę. Jest to życie, w którym istotne marzenie szarego człowieka skupia się na pragnieniu, aby „ktoś wreszcie wziął bandytów za mordę”, a w ślad za tym, aby ten ktoś powiedział publicznie i jasno, co wolno, a czego nie wolno. „Bo wiedząc, co wolno, a czego nie, będę mógł się przystosować do warunków. Pozbędę się strachu i będę mógł spokojnie pracować i odpoczywać”. Przy tym nawet najbardziej surowe prawo jest lepsze od zupełnego chaosu, wynikającego z bezprawia (*Dura lex, sed lex*: „Twarde prawo, lecz – mimo wszystko – prawo”). Zabezpieczenie życia – oto motyw podstawowy w idealizowaniu praworządności.

Rola tego motywu staje się oczywista, jeśli wziąć pod uwagę sytuacje społeczno-polityczne, w których wprowadzie formalnie rządzi prawo, jednak faktycznie panuje nieobliczalna przemoc, jak to się dzieje np. w niektórych państwach Ameryki Łacińskiej. W takim razie bowiem położenie szarego człowieka niewiele różni się od sytuacji, w której trwa „wojna wszystkich przeciwko wszystkim”. Jak widać, szaremu człowiekowi do

znośnego życia potrzebna jest praworządność realna, a nie tylko formalna. Oznacza to domyślnie przede wszystkim żądanie, aby w granicach prawa jednakowe przestępstwa czy wykroczenia karane były jednakowo, niezależnie od pozycji majątkowej, społecznej i politycznej przestępcy; oczywiście, również niezależnie od jego cech osobistych, chyba że prawo wyrażnie daje komuś „taryfę ulgową”, np. nieletnim.

Może nie tak dalece oczywiste jest żądanie, aby nagrody i wyróżnienia za jednakowe zasługi dla społeczeństwa były przyznawane bez względu na przynależność do określonych grup społecznych i aby odpowiadały wielkości zasług. Jest to niejako „druga strona medalu” sprawiedliwości i praworządności. Stwierdzić jednak trzeba, że wszędzie i zawsze ta strona „medalu” sprawiedliwości wykonana bywa o wiele gorzej niż ta pierwsza, czyli dotycząca karania i prawa karnego. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta. Praworządność i sprawiedliwość w zakresie ścigania przestępców jest wszędzie istotnie ważna ze względu na zabezpieczenie „gołego” życia, a więc ze względu na strach przed agresorem. Natomiast sprawiedliwość w zakresie awansów, nagród i wyróżnień wynika przeważnie z potrzeby i poczucia równości na poziomie wyższym niż jednakowa odpowiedzialność wobec prawa za przestępstwa. A w pewnej mierze dyktowana bywa zawiścią – przy bycie prawnie zabezpieczonym. Potwierdza to fakt, że nigdzie nie ma „porządnych” kodeksów, dotyczących awansów, nagród i zaszczytów, i że opinia publiczna liczy się z pośrednim lub bezpośrednim uzależnieniem tychże od polityki, względnie od przynależności do grupy rządzącej.

Znamienną różnicę między funkcją prawa karnego, względnie odpowiednich kodeksów i regulaminami awansów, nagród i wyróżnień można by zwięźle tak oto wyrazić: „Nikomnie wolno krzywdzić osoby równej wobec prawa, a to pod zagrożeniem kar dla wszystkich krzywdzicieli jednakowych. Natomiast nie każdy może się spodziewać jednakowego awansu, nagrody czy wyróżnienia za działalność, leżącą poza obrębem jego obowiązków”. Krótko: „Do prawa (karnego, cywilnego itp.) przystosować się musisz. Natomiast nie musisz się nadobowiązkowo wysilać dla społeczeństwa”.

Otóż właśnie tego rodzaju różnice stają się od dawna przedmiotem coraz ostrzejszej krytyki, a to w imię żądania, aby „równość obywatelska” obejmowała jednakowo równość wobec prawa karnego i cywilnego, jak też wobec wszelkich osiągnięć osobistych, korzystnych dla całego społeczeństwa, względnie państwa. Wynika stąd potrzeba „przyjrzenia się” złożonym zagadnieniom równości społecznej, pośrednio zaś – demokracji.

## Równość i wolność demokracji

Hasła „równość, wolność i demokracja” przewijały się w myśli politycznej starożytnych Greków, a głośnie stały się w czasie i pod wpływem Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Odtąd i po dzień dzisiejszy stanowią osnowę niezliczonych rozważań i rozpraw. Na ogół występowały w nich razem z dodatkowymi hasłami, np. „braterstwo”, lub bez nich. Prawdopodobne jest przeto, że chodzi tu o różne strony sprawy jednej i tej samej. Pomimo to wymagają omówienia oddzielnego. Rozpocznijmy od sprawy równości poruszanej już wcześniej z zastosowaniem do zagadnienia równości wobec prawa.

Przed wszystkim i na dobrą sprawę można się dziwić, że ludzie w ogóle mówią o równości i domagają się jej, a to wobec oczywistego faktu, że pod wszelkimi względami są sobie nierówni. W każdym razie na planie pierwszym widoczne są między nimi różnice: wieku, płci, wzrostu, wagi, zdrowia, cech antropologicznych, temperamentu, cech charakteru, wykształcenia, przygotowania zawodowego, zainteresowań, inteligencji, uzdolnień specjalnych, przekonań, postaw do rzeczywistości. Oczywiście jest i to, że u podstaw nierówności wymienionych i innych leżą różnice genetyczne. Wprawdzie wszyscy ludzie dziedziczą w sensie biologicznym około 20 000 genów, w przybliżeniu jednakowych, jako składników gatunkowego „planu rozwojowego”, jednakże ich szczegóły są indywidualne i niepowtarzalne.

Wobec tego nad wyraz silne motywy muszą skłaniać ludzi do akcentowania podobieństw między sobą i do idealizowania równości. Sądzę, że motyw podstawowy został już uprzednio stwierdzony. Jest nim strach przed w zasadzie jednakowym dla wszystkich zagrożeniem życia w sytuacjach społecznych chaotycznej walki wszystkich przeciwko wszystkim. Gdyby nie „równość strachu”, nie byłoby istotnego napędu do szukania sprawiedliwości, do ideałów równości wobec prawa i praworządności.

Uwzględnić trzeba jednak również czynniki inne, przede wszystkim konsekwencje współżycia pokojowego, względnie raczej i częściej pokojowego niż wojennego w takich grupach naturalnych, jak rodziny, rody, plemiona, ostatecznie zaś ludy, żyjące w jednakowych warunkach bytowych i kulturowych i posługujące się wspólnym językiem. Wiele nierówności, np. pod względem znaczenia społecznego, występuje wprawdzie w obrębie tych grup, ale na plan pierwszy wysuwają się czynniki wspólne, zarazem równościowe, decydujące o różnicy między swoim a obcym, ludźmi a barbarzyńcami, przyjaciółmi a wrogami. Wobec stopniowego zaniku

widoczności pokrewieństwa poza obrębem rodów coraz bardziej zaznacza się wspólnota językowa, ułatwiająca, a nawet istotnie umożliwiająca porozumiewanie się między współplemieńcami, wymianę doświadczeń, usług i dóbr materialnych. Sytuację stąd wynikającą można by tak oto przedstawić formalnie: „Pierwszy raz widzę cię, ale wobec tego, że mówisz tym samym językiem co i my tutaj, że mówisz o rzeczach nam znanych i bliskich, uważam cię za swojego i nie będę cię traktował gorzej niż tutajszych ludzi wolnych”.

Oczywiście, daleka jeszcze stąd droga do formułowania ideałów równości, z kolei zaś do walki o ich urzeczywistnienie. Niemniej jest to ważki atut dodatkowy do powstawania idei wyłaniającej się z „równości strachu” i z nieznosności chaosu „walki wszystkich przeciwko wszystkim”. Aby trafnie ocenić jego rolę względną oraz znaczenie innych jeszcze czynników napierających ku równości, trzeba wpierw sprecyzować konkretne formy równości, jakich ludzie domagają się przez rozumowania ideologów społeczno-politycznych.

Otóż w różnych układach społecznych (zarazem gospodarczych, politycznych i kulturowych) ludzie domagali się równości majątkowej. Najczęściej dwa motywy istotne mobilizowały w tym kierunku „gniew ludu”:

1. nieznośność poddaństwa, spowodowanego postępującym zadłużeniem u posiadaczy;
2. zawiść wobec ludzi niepracujących, wiele posiadających, „a przecież niczym – poza środkami władzy – od nas nie wyróżniających się”.

Nie jeden przewrót polityczny, np. Klejstenesa w Atenach w 509 roku p.n.e., dokonał się na tym gruncie, choć w obrębie tej samej formacji ustrojowej, np. niewolniczej. Nie mam wątpliwości co do tego, że w warunkach cywilizacji naukowo-technicznej elementy takiej motywacji są nadal aktualne, chociaż inaczej wyrażane i opracowywane teoretycznie. Nadal budzi się w szczególnych okolicznościach społecznych gniewne zdziwienie-zapytanie: „Dlaczego ludzie niczym nie wyróżniający się od nas mają opływać we wszystko, podczas gdy my bytujemy na krawędzi cywilizowanej nędzy”?

W odróżnieniu od przedstawionego całkiem nowoczesny jest ideał równości w postaci jednakowego startu życiowego. Ukształtował się pod wpływem szybkich przeobrażeń społecznych na tle postępu naukowo-technicznego oraz odpowiednich zmian w środkach i metodach produkcji. Z dawniejszych kilkunastu rodzajów działalności zawodowej wyłoniły się już nieomal tysiące zawodów specjalistycznych, zresztą nie tylko w obrębie produkcji, ale także poza nią – w oświacie, wychowaniu, pracy naukowej, wynalazczości technicznej, działalności artystycznej itp. Owe wciąż

płynne tysiące rozmaitych form działalności i zarobkowania wymagają znacznie bardziej niż w czasach minionych przede wszystkim odpowiedniego wykształcenia szkolnego, potem dopiero praktyki i doświadczenia życiowego. Obiektywne potrzeby ustrojowe wymagają – przede wszystkim w dziedzinie gospodarczej – dopuszczania do wszelkich zawodów, łącznie z wysoko specjalistycznymi, kandydatów najbardziej odpowiednich pod względem uzdolnień, zainteresowań oraz emocjonalnych cech osobowości. Stąd właśnie wyłania się idea równego startu, tj. dopuszczania do kształcenia, a następnie do działalności zawodowej, niezależnie od przynależności społecznej rodziców. Wiadomo, że w ustroju kapitalistycznym „równość startu życiowego” jest daleka od urzeczywistnienia. Ale i w ustroju socjalistycznym nie jest po prostu faktem dokonanym, lecz wciąż w znacznej mierze ideałem. Weźmy tu pod uwagę choćby tylko faktycznie nierówne możliwości kształcenia się i pełnego rozwijania najlepszych uzdolnień – dzieci i młodzieży wielkomiejskiej a wiejskiej i małomiasteczkowej; w zakresie ambicji i uzdolnień teatralnych dzieci artystów a rodziców spoza ich kręgu zawodowego itp.

Zanim wystąpiły warunki społeczne do idealizowania „równości startu”, już dawno domagano się równości politycznej w znaczeniu jednakowego dla wszystkich obywateli udziału we władzy. Chodzi tu – oczywiście – o ideał demokracji ukształtowany w starożytnej Grecji, a sprecyzowany głównie przez filozofów ateńskich. Dosłownie „demokracja” oznacza „władzę ludu”, a zatem tylko pośrednio prawa polityczne jednostki, bo poprzez ogół obywateli. Przede wszystkim stwierdzić trzeba, że mało jest w naukach społecznych pojęć tak dalece wieloznacznych, jak demokracja. Wydaje się, że spoiwem łączącym wielość znaczeń różnych jest „gniew ludu” przeciwko tyranii, jako władzy absolutnej, w ogóle nie liczącej się z „wolą ludu”, z kolei zaprzeczenie sensu tego rodzaju władzy. Jednak samo to spoiwo nie wystarcza do konstruktywnego opracowania zasad demokracji. Próbkę tegoż wypadu zacząć od nawiązania etymologicznego sensu słowa „demokracja”, czyli od władzy ludu. Otóż stwierdzić trzeba, że nigdy i nigdzie demokracja nie występowała w postaci rzeczywistej władzy ludu jako ogółu obywateli. Zawsze i wszędzie – od pierwotnych plemion poczynsz, a skończywszy na państwach dziś uchodzących za demokratyczne – z jednej strony była i jest władza faktycznie rządząca, ze strony drugiej „lud” władzy tej podporządkowany. W grę wchodziły zawsze tylko jakieś – różne od wypadku do wypadku – formy pośredniego udziału „ludu” w dostępie do władzy. Nie inaczej było ze „wzorcową” demokracją ateńską z czasów Peryklesa czy Demostenesa. Dodać trzeba, że demokracja ta, dająca formalnie



każdemu obywatelowi prawo udziału w zebraniach publicznych, wybierania (archontów-ministrów i wodzów) i wybieralności, stanowiła w dużej mierze pozór. Faktycznie bowiem o rezultatach publicznych wyborów decydowały małe nieformalne „grupy siły”, a nie lud.

Sens istotny demokracji zawierał się zawsze zarówno w teoretycznej zasadzie, jak i w praktycznej możliwości pośredniego udziału we władzy ludzi, którzy nie należeli ani do nieformalnych „grup siły” (w swobodnym ujęciu – kumotrów), ani formalnie do tak czy owak nazwanej grupy rządzącej. W takim rozumieniu sprawy demokracja była zawsze i pozostanie nieziszczalnym ideałem. Jednak zgodzić się trzeba, że zachodzą różnice przepaściste między ustrojem społeczno-politycznym formalnie i faktycznie (lub tylko faktycznie) absolutnie dyktatorskim a ustrojem zarówno formalnie, jak i faktycznie dopuszczającym do udziału we władzy ludzi „nieswoich”, przy tym zaś faktycznie ustrojem praworządnym. Na krańcu drugim występują w różnym kształcie „zadatki” demokracji. Co prawda, jeśli nawet występują wyraźnie, praktycznie biorąc ludziom nie związanym ani z grupą formalnie rządzącą, ani z nieformalnymi „grupami siły” (zespołem „kumotrów”) nie sposób nawet marzyć o współudziale we władzy, i to przy najlepszych możliwościach osobowościowych po temu. Bowiem praktycznie biorąc nie cechy osobowości (charakteru, umysłu, wiedzy, doświadczenia itp.) ani zasługi ogólnospołeczne, np. literackie, lecz walka o władzę przy wsparciu danej grupy walczącej (formalnej czy „grupy siły”) torują drogę do uczestnictwa we władzy.

Razem wzięwszy powiemy, że ideał demokracji, jako jednakowego prawa do uczestnictwa we władzy, nie jest wprawdzie po prostu złudzeniem, ale faktycznie i przeważnie stanowi – że tak rzec – cichy odwet szarego obywatela („poddanego”) na władzy za konieczność podporządkowania się jej. Swoją drogą, walka o demokrację, dobrze przystosowana do konkretnych warunków społeczno-politycznych, gospodarczych i kulturowych, jest niezbędna do ograniczania przemocy, do której skłania się wszelka władza, jako czynnik górujący nad szarym obywatelem. Będąc odwiecznym marzeniem, ideał demokracji jest o tyle – tj. jako narzędzie walki – czynnikiem wzrostu swobód obywatelskich.

Tym samym dotykamy skomplikowanego problemu wolności w znaczeniu społeczno-politycznym. Również ten problem jest trudny, a to z powodu wieloznaczności „wolności”. U samego startu występują dwa znaczenia:

1. wolności do czegoś, tj. do jakiegoś działania;
2. wolności od czegoś, tj. od agresywności cudzego działania.



Jedno z drugim się wiąże, jednak raz na uwadze miewamy pierwsze, to znowu drugie.

Zależnie od konkretnej treści i od układu stosunków społeczno-politycznych dany rodzaj wolności jest pożądaný lub – przeciwnie – potępiany. Oto przykłady:

1. wolność swobodnego poruszania się;
2. wolność wyboru zawodu;
3. wolność wyboru męża (lub żony);
4. wolność słowa;
5. wolność działalności twórczej;
6. wolność zrzeszania się.

Praktycznie biorąc, wszelkie rodzaje wolności są pożądane przez jednostkę lub grupę społeczną, potępiane zaś bądź hamowane przez władzę. Znaczący to tym samym, że różne wolności oznaczają różne formy czy kierunki uwolnienia od nacisku władzy; od jakiegoś rodzaju przemocy. Tym samym wszelkie formy wolności społeczno-politycznej oznaczają ograniczenia swobodnego władania nad poddanymi. W ujęciu paradoksalnym: wzrost wolności „ludu” idzie w parze z ograniczeniem wolności władców w szerokim sensie tego pojęcia; konkretnie: urzędników, „panów”, rodziców, nauczycieli, cenzorów itp.

W dziejach nowożytnej Europy, zwłaszcza po Wielkiej Rewolucji Francuskiej, przedmiotami szczególnego zainteresowania myślicieli różnego pokroju były idee wolności słowa i – w ogóle – działalności twórczej. Nierzadko absolutyzm i ucisk po prostu utożsamiano z formalnym brakiem tych to wolności, względnie z ich faktycznym tłumieniem. Zawsze na czoło argumentacji wysuwano: po jednej stronie nadrzędny interes społeczny i postęp kultury, po stronie drugiej tak czy owak uświęcony interes władzy. Interesy te często bywały i bywają sprzeczne. Dodać warto, że zdarzało się opieranie idei wolności słowa o rzekomo wrodzone prawa jednostki do swobodnego ujawniania jakichkolwiek „natchnień” twórczych. Z tego punktu widzenia nietrudno było wykazywać słuszność prawa do: dyskryminacji, nienawiści rasowej, niewolnictwa, ostatecznie zaś do zabijania ludzi „niższych” czy niepełnowartościowych.

## **„Państwo idealne”**

Zamiast „państwo idealne” można by też rzec: „ustrój idealny”, gdyż chodzi tu zarówno o ustrój polityczno-społeczny, jak i o organizację wła-

dzy. W starożytności traktaty o państwie idealnym zatytułowane były po prostu „o państwie”. W XVI wieku Tomasz Morus nadał publikacji na ten sam temat tytuł *Utopia* (1516), a to w sensie: ‘państwo wprawdzie nigdzie nie istniejące, ale pomimo to pożądana godne’. W gruncie rzeczy po dziś dzień niełatwo byłoby w olbrzymim piśmiennictwie dotyczącym państwa i ustroju społecznego łącznie znaleźć dzieło czy rozprawę „po prostu naukową” – opisową, analityczną, prawniczą, socjologiczną – bez domieszki akcentów ideologicznych, bez wyrazów życzeń i postulatów. Znaczy to, że teorie państwa (ustroju społeczno-politycznego) były zawsze mniej lub bardziej postulatywne, zabarwione emocjonalnie, nastawione na uzasadnienie jakichś ideałów życia społecznego. Trudno się temu dziwić, skoro na nieledwie każdym kroku konkretne stosunki społeczno-polityczne szarego obywatela mniej lub bardziej gniewają; w każdym razie raczej gniewają niż cieszą. Tym samym zaś pobudzają wyobraźnię w kierunku poszukiwania obrazu stosunków co najmniej zadowalających, jeśli nie idealnych. Wynika to z samego aktu istnienia władzy, a więc jest nieuniknione, i to „po wsze czasy”.

Czy pomimo to warto trudzić się nad konstruowaniem obrazu państwa idealnego? Czy w ogóle pojęcie takie ma sens? Jak dalece bądź w jakim ujęciu miałoby sens? Spróbujmy odpowiedzieć zarysowo na te pytania.

W tym celu najpierw potrzebne jest spojrzenie krytyczne na dawno przebrzmiałe, ale wciąż jeszcze przypominające się, np. poprzez bajki i literaturę piękną, „marzenie politologiczne” o tym, jakoby w czasach zamierzchłych ludzie żyli społecznie bez przemocy władzy, bez wymiaru sprawiedliwości, bez praw, bez kar – że tak rzec – w nieustającej szczęśliwości społecznej. Wyrazem tego marzenia jest u wielu ludów spotykany mit o tzw. złotym wieku, który stopniowo – w miarę jak ludzie stawali się coraz gorsi – przekształcał się w wiek srebrny, ostatecznie zaś w wiek żelaza, wiek miecza i krwi. Oczywiście, marzenie to i temu podobne nie ma nic wspólnego z historią, tym więcej natomiast z psychologią. (Historycznie rzecz biorąc, jest bowiem w pewnej mierze odwrotnie niż w bajkach, mianowicie przeobrażenia toczą się od wieku żelaza ku coraz lepiej dostrzeganemu przez ideologów wiekowi złotemu). Znaczy to, że można i trzeba wyjaśnić psychologicznie jego genezę i rolę. W zasadzie wyjaśnienie jest proste: Zawsze i wszędzie ludzie odreagowywali nieznośność przemocy i ucisku marzeniami o słodkiej zemście, a następnie o życiu „sielsko-anielskim” w raj.

Osobno stanowisko krytyczne zająć trzeba wobec zapatrywań, że kiedyś nastanie idealny ustrój społeczno-polityczny i że taki ustrój będzie

trwał wiecznie. Jest to oczywisty nonsens z ogólnoprzyrodniczego punktu widzenia, tj. wobec faktu, że „wszystko płynie i nic nie pozostaje w miejscu” (*Panta rhei, kai ouden menei*, Heraklit). A więc urządzenie rzekomo idealne nie może po prostu zaistnieć, aby następnie trwać w stanie niezmiennym po wsze czasy.

Teraz dopiero możemy przystąpić do pytania: czy w ogóle rzecz o państwie idealnym ma sens? W związku z tym nasamprzód uwzględnić trzeba pytanie pochodne: co to takiego ma być owo „państwo idealne”; ściślej – co znaczy „idealne”? O stanie idealnym czegokolwiek mówi się pod warunkiem spełniania wymagań przewidzianych, względnie postulowanych; np. idealnie funkcjonujący zegarek, idealnie realizowany rozkład jazdy na kolejach. W zakresie spraw społeczno-politycznych można by tu mówić o idealnej praworządności; oczywiście, jeśli udałoby się wykazać, że poszczególne władze, przede wszystkim zaś aparat wymiaru sprawiedliwości, rzeczywiście przestrzegają ściśle obowiązujących praw zarówno merytorycznych (karnych, cywilnych), jak i proceduralnych oraz wszelkiego pokroju zarządzeń. Realnie w grę wchodzi jednak tylko jakiś stopień przybliżenia do takiego to stanu.

Jeśli trzeci przykład uznać za podstawę do uogólnienia, słuszne wydaje się przypuszczenie, że idealne państwo (idealny urządzenie społeczno-polityczne) spełnia istotne potrzeby obywateli tego pokroju jak praworządność. Pryncypialnie rzecz biorąc, marzycielom i ideologom chodzi nie o potrzeby władców, lecz właśnie obywateli; w szerokim sensie tego słowa – poddanych. Wszak władcom najbardziej dogadzać mogą niczym nie skrępowane rządy absolutne. Trzeba zatem odpowiedzieć na pytanie: dzięki spełnianiu jakich to potrzeb – oprócz potrzeby bezpieczeństwa zapewnianego przez praworządność – poddani, względnie reprezentujący ich ideolodzy skłonni byłiby do uznawania danego ustroju społeczno-politycznego za idealny?

Sądzę, że nietrudno o odpowiedź sensowną w świetle ogólnych założeń co do cech istotnych natury ludzkiej (o czym mowa była w rozdziale poprzednim). „Najpierw trzeba żyć, aby móc filozofować” (*Primum vivere, deinde philosophari*). Jeśli tę maksymę zastosować do niniejszego zagadnienia, powiemy, że przede wszystkim potrzebne jest bezpieczeństwo, ale tuż za nim idzie zaspokajanie istotnych potrzeb bytowych – w zakresie wyżywienia, dachu nad głową, odzieży i możliwości leczenia. A gdy zaspokajanie tych potrzeb jest zapewnione, trzeba się zabawić i mieć obiektywne warunki po temu. Niesprzeczny z tym jest fakt, że czasem bawią się również ludzie głodni i bezdomni. Takie ujęcie sprawy tkwi w znanym żądaniu ludu rzymskiego: *Panem et circenses!* („Chleba i zabaw!”), przy czym oczy-

wiście „chleb” obejmuje całość istotnych potrzeb bytowych. A do dziedziny „zabaw” zaliczyć można słusznie ogół potrzeb kulturalnych.

Rozumie się, że potrzeb bytowych i kulturalnych nie można definiować absolutnie, lecz jedynie w odniesieniu do aktualnego stanu kultury i jej postępu w danym społeczeństwie. We współczesnym społeczeństwie – przede wszystkim w odniesieniu do postępu naukowego i technicznego. Wobec nieustannie przyspieszającego postępu i wzrastającej komplikacji wszystkich składników życia społecznego zaspokajanie potrzeb bytowych i kulturalnych staje się coraz trudniejsze, uzależnione od wciąż rosnącej liczby czynników zmiennych. Znaczy to, że coraz łatwiej narazić się na „gniew ludu” i coraz trudniej go uśmierzać. Coraz trudniej spełniać społeczno-polityczne marzenia obywateli na temat państwa idealnego; coraz bardziej złożone zadania piętrzą się przed ideologami, „przetłumaczającymi” owe marzenia na normatywne teorie społeczno-polityczne. Jeśli jednak pomimo wzrastających trudności podjąć się warunkowego obrysowania coraz bardziej płynnego trendu w kierunku do ustroju idealnego, prawdopodobne wydają się twierdzenia następujące:

Podstawowym warunkiem ciągłej realizacji wciąż zmiennego państwa idealnego jest maksimum praworządności. Władza w takim państwie nastawiona jest formalnie (tj. przez odpowiednie dyrektywy, znane obywatelom) i faktycznie (przez odpowiednie poczynania wszystkich jej organów) na tępienie wszelkich form niepraworządności. Z tym w parze idzie wymiar sprawiedliwości w zakresie wszystkich kodeksów (karnych, cywilnych, pracy, działalności wychowawczej itp.), ściśle przystosowany zarówno do litery, jak i do „ducha” danych praw, skierowany na tępienie wszelkiego kumoterstwa i wyjątkowości (wyjątkowej łagodności czy surowości).

Władza państwowa zapewnia obywatelom warunki bytowe stosownie do ich potrzeb obiektywnych, jak też ich przygotowania do pracy zawodowej, pośrednio do służby społeczeństwu. Idzie za tym zróżnicowanie dochodów, uwzględniające z jednej strony kwalifikacje i efektywność pracy, ze strony drugiej „minimum potrzeb” na danym poziomie cywilizacyjnym, ponadto „marzenia równościowe” szarych obywateli. Trzeba się zgodzić, że zadowalające ustalanie zasad sprawiedliwości społecznej, o którą tutaj istotnie chodzi, jest i pozostanie zawsze jednym z najtrudniejszych zadań organów władzy, w szczególności „reprezentacji ludowej” (parlamentów, sejmów, zgromadzeń narodowych itp.). Na tym odcinku marzeń i teorii na temat państwa idealnego spory będą zawsze ostre, a uzyskanie aprobaty „ludu” zawsze trudne i wątpliwe.

Praworządność i spełnianie potrzeb są w pewnej mierze zależne od „liter” praw i zarządzeń, natomiast istotnie – od ludzi sprawujących władzę, i to od całej ich hierarchii, począwszy od naczelnych władców, skończywszy na szarych urzędnikach miejscowych. Tu właśnie tkwiło zawsze sedno sprawy, tj. możliwość czy nierealność państwa idealnego. Na nic bowiem najlepsze prawa i zarządzenia, jeśli o ich praktycznym stosowaniu decydują ludzie niewłaściwi, tj. niekompetentni i złej woli.

Chodziło zatem tylko o dobór dobrych władców. Drobne „tylko”. Kłopot odwieczny tkwi w tym, że zawsze i wszędzie w walce o władzę zwyciężali ludzie silni, tj. silniejsi od pokonanych. A silni – to niekoniecznie dbający przede wszystkim o interesy „ludu”. Co więcej, zawsze jednym z głównych atutów „silnych” były rzesze ich zwolenników, nierzadko bardziej dbające o swoje interesy niż o interesy „ludu”. Znaczy to, że dobór ludzi sprawujących władzę bywał zawsze mniej lub bardziej wątpliwy z punktu widzenia dobra „ludu”, względnie marzycieli teoretyków, snujących wizje państwa idealnego.

Razem wzięwszy, wizje te były i zapewne pozostaną zawsze nad wyraz wątpliwe, jeśli nawet przystosowywane są trafnie do zmieniających się warunków życia społecznego i jeśli stanowią dzieła ludzi zarówno genialnych, jak i przepełnionych szczerą troską o dobro „ludu”. Pomimo to nie ma wątpliwości, że wizje te tworzone będą wciąż na nowo. Zawsze znajdzie się po temu grunt, jakim jest lotna wyobraźnia, i nieustające zarzewie, wynikające z „gniewu ludu”.



Rozdział szósty

## **Historia a filozofia dziejów**





## Historia i nauki historyczne

W znaczeniu bardzo szerokim, chociaż niestosowanym, historia jest to nauka o tym, co było czy już się stało, a więc nauka, w której rolę podstawową odgrywa kategoria czasu. „Było, jest, będzie” – oto szereg pojęć dotyczących czasu, w którym „było” stanowi istotny wątek zainteresowań badawczych historyków i pośrednio zainteresowań dydaktycznych, popularyzacyjnych, poniekąd również literackich i innych. Choćby tylko zaznaczenia wymagają tu dwie wątpliwości, dotyczące:

1. granic między „było” i „jest”;
2. zastosowalności poznania historycznego do przeszłości „pozaludzkiej”, tj. do zjawisk – w szerokim rozumieniu – przyrodniczych.

Pierwsza z nich pojawia się niekiedy w odniesieniu do sensu, granic i podstawności tzw. historii współczesnej, w której na plan pierwszy zdaje się wysuwać „jest”, a nie „było” czy „stało się”. Drugą miewamy na uwadze, gdy mówi się o historii Ziemi, górotworów, planet, galaktyk itp., zamiast o ich ewolucji.

W tej kwestii przyjmuje się na ogół bezspornie, że historia dotyczy dziejów współżycia ze sobą ludzi, a nie przeobrażeń w zjawiskach geologicznych, biologicznych, astronomicznych itp. A zatem chodzi o czas miniony ludzi – ściślej: ludzkich społeczności – a nie o czas przeszły zwierząt, roślin i przyrody nieożywionej. Co prawda, stanowiska w tych sprawach mają przeważnie sens umowny, więc nie warto tu kruszyć o nie kopii.

Natomiast bliższego wejrzenia wymaga fakt, że historia jest już od dość dawna raczej zbiorem, a nawet systemem, wielu nauk aniżeli spoiętą nauką pojedynczą. Taką właśnie naukę utożsamia się zazwyczaj z historią powszechną. Jednakże dawno wyodrębniły się z niej: historia gospodar-

cza, historia polityczna, historia społeczna i historia kultury. Przy tym w obrębie każdej z nich z osobna powstały i nadal powstają coraz to nowe historie specjalistyczne, np. historia gospodarcza Europy, historia gospodarcza Polski w XVIII wieku itp. Co więcej, w miarę wyodrębniania się poszczególnych nauk specjalistycznych w danym zakresie historii nauki relatywnie ogólniejsze stają się coraz bardziej obszarem podsumowań syntetycznych w porównaniu z naukami relatywnie specjalistycznymi. Na przykład: historia Polski a historia gospodarcza Królestwa Polskiego w latach 1815-1830. Przy tym prace badawcze z poszczególnych „poletek” historii niekoniecznie postępują naprzód odpowiednio do ich miejsca systematycznego w ramach całości historii czy historii powszechnej. Postępy odpowiadają częściowo, niekiedy istotnie, prestiżowi osobistemu historyków, potrzebom politycznym, wyposażeniu i budżetom zakładów naukowych, wielkości kadry naukowej itp. Znaczy to, że dane, obiektywnie drobne, poletko nauki i wiedzy historycznej urasta niekiedy bądź w pewnych okolicznościach do rangi jednej z podstawowych części tejże. Z reguły bywa tak z historią ojczystą danego kraju, a to ze względu na nauczanie i w ogóle na znaczenie praktyczne wiedzy historycznej. Będzie o tym mowa dalej, ale już na tym miejscu celowa wydaje się uwaga, że swoista rola praktyczna historii każe domyślać się komplikacji co do obiektywności badań i wiedzy historycznej jednego z podstawowych, zarazem trudnych problemów, które tutaj trzeba będzie omówić.

Historię uprawia się nie tylko w ramach systematycznego układu nauk historycznych – z tzw. historią powszechną na miejscu pierwszym. Swoją podbudowę historyczną mają również inne kierunki studiów; przede wszystkim studiów, względnie nauk w szerokim sensie tego słowa humanistycznych. I tak przykładowo uprawia się historię prawa w ramach studiów prawniczych, historię doktryn ekonomicznych czy politycznych w związku ze studiami ekonomicznymi czy politologicznymi. W dwóch kierunkach prowadzi się badania historyczne w ramach studiów filologicznych:

1. jako historię danego języka lub wielu języków;
2. jako historię językoznawstwa bądź części tegoż.

Ponadto swoją historię ma, a odpowiednie badania prowadzi się w odniesieniu do każdej nauki, całkiem niezależnie od sprawy jej związków z humanistyką. Przykładowo uprawia się historie: fizyki, biologii, matematyki, podstawowych nauk technicznych, medycznych, rolniczych itp. Oczywiście, można by je w układzie systematycznym nauk historycznych przyporządkować ogólniejszej od nich historii nauki i jeszcze bar-

dziej ogólnej historii kultury, jednakże na ogół nie robi się tego; w każdym razie – organizacyjnie. Bo z tego punktu widzenia historią matematyki zajmują się matematycy, biologii – biolodzy, nauk rolniczych – specjaliści agrotechniki itd. Rozumie się, że autor pracy badawczej z historii matematyki, biologii, agrotechniki itp. musi znać wymagania metody historycznej i stosować się do nich, jeśli chce, aby wyniki badań miały wartość naukową.

W każdym razie historia jest nauką rozległą i już nad wyraz zróżnicowaną. A piśmiennictwo w jej zakresie narasta wciąż – że tak rzec – lawinowo. Przy tym z teoretycznego punktu widzenia niełatwo byłoby ustalić jego granice. Można by paradoksalnie twierdzić, że w gruncie rzeczy wszystkie nauki – a więc zarazem całość naukowego piśmiennictwa – są to poszczególne rozdziały historii. Wszak aktualny stan matematyki, fizyki, biologii to jedynie przejściowy etap w historii tych nauk, a bez uwzględnienia etapów wcześniejszych „bieżąca” czy „w danej chwili” ustalona i ważna wiedza każdej z nich nie mogłaby być zrozumiała. Toteż w jakiejś mierze etapy te uwzględniane są czy to w podręcznikach, czy to w specjalistycznych monografiach. Co prawda, nikt na serio nie podtrzymuje przedstawionego tu stanowiska. Niemniej warto było je sprecyzować celem zorientowania się w ogromnej rozległości wiedzy historycznej i odpowiednich badań. Powiedzmy, że na ich obszarze do czynienia mamy na jednym krańcu z historią polityczną starożytnego Egiptu, na krańcu drugim z historycznie podbudowaną analizą problematyki geometrii nieeuklidesowych. W przypadku pierwszym historyczny charakter badań i odnośnej wiedzy nie ulega wątpliwości nawet dla zupełnego laika. W przypadku drugim już tylko amatorzy paradoksów mówiliby o historii, pomimo to odrobiny sensu można by przecież doszukać się w ich – na pozór zabawnym – stanowisku.

Poruszyć trzeba jeszcze wstępnie sprawę zamiennego używania pojęć „historia” i „dzieje” oraz sensu pojęcia „wydarzenie historyczne”. Kwestia zamienności pojęć wydaje się po prostu formalnojęzykowa; w przybliżeniu tak jak w wypadku zamiennego posługiwania się słowami „zagadnienie” i „problem”. Jednakże rzecz nie jest tak prosta. Wprawdzie bez wahań posługujemy się niekiedy zamiennie zwrotami „dzieje Polski” i „historia Polski”, jednakże już z wątpliwościami utożsamialibyśmy „dzieje geografii” z „historią geografii”. Dlaczego? Ponieważ w wypadku pierwszym na uwagę mamy (niezależnie od zastosowania jednego z dwóch słów faktycznie zamiennych) przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie, całość obiektywnych wydarzeń w czasie i przestrzeni związanych z Polską. Natomiast w wypadku geografii na planie pierwszym intuicyjnie występują uczeni

ludzie, którzy „robili” geografę jako naukę. W ślad za nimi dostrzegamy metody, wyniki badań, teorie geograficzne, publikacje naukowe, podręczniki geografii itp. Gdy mowa o dziejach Polski, też oczywiście można się domyślać pracy badawczej historyków, metod roboczych, źródeł i publikacji naukowych, jednakże rzecz ta interesuje raczej historyków i studentów historii niż użytkowników wiedzy historycznej, np. uczniów szkół podstawowych i średnich. Razem wzięwszy znaczy to, że dana nauka i wszystko, co z nią jest związane, odnosi się wprawdzie do swego – obiektywnego – przedmiotu, ale że można uwagę skupiać osobno czy to na niej, czy to na jej przedmiocie. Jeśli na myśli mamy daną naukę, w takim razie w odniesieniu do Polski do czynienia mielibyśmy z „dziejami badań w zakresie historii Polski”, a nie z dziejami Polski samej. Oczywiście, można to zastosować do przykładu dowolnego.

Otóż w tym świetle – teoretycznie rzecz biorąc – „dzieje Polski” bynajmniej nie są tożsame z „historią Polski”. Oto krótkie – celowo może nieco paradoksalne – uzasadnienie. Wróćmy przy tym znowu do Polski. Przypuśćmy, że z jakichkolwiek powodów – np. zniszczenie źródeł, w szczególności archiwów i bibliotek, zainteresowanie dla pewnych tylko odcinków dziejów – historycy Polski zrekonstruowali jej dzieje zgodnie z wymogami metody historycznej. Przypuśćmy dalej, że w innym wypadku z innych przyczyn losowych całkiem inne odcinki i problemy dziejów Polski zostałyby wszechstronnie opracowane w oparciu o źródła, natomiast inne poznano by i przedstawiono z wielkimi lukami. W ten sposób powstałyby – przy najdalej posuniętym obiektywizmie historyków – dwie całkowicie różne historie Polski. Czy wobec tego można by utożsamiać dwie całkiem różne historie Polski z jej dziejami? Oczywiście, nie można. Robimy to jedynie dlatego, że faktycznie i praktycznie rzecz biorąc zbiory źródeł, roboczych metod i wyników badań dotyczących dziejów Polski są jedne i te same i że w zasadzie jednakowo pozostają do dyspozycji historykom naukowcom. Wobec tego praktycznie biorąc można, zwłaszcza ze względów dydaktycznych, utożsamiać historię Polski z jej dziejami. Możemy nie pamiętać o metodologicznym i w ogóle naukowczym uwarunkowaniu historii Polski. Może nam się wydawać, że obiektywnie – tutaj i niezależnie od środków intelektualnych – poznajemy dzieje Polski.

Co to jest „wydarzenie historyczne”? Dzieje każdego kraju, dzieje powszechne składają się z wydarzeń historycznych. Z metodologicznego punktu widzenia: z faktów historycznych. Co jest wydarzeniem, względnie faktem historycznym, a co już nim nie jest? Odpowiedź zależna jest od wielkości skali. Na tle dziejów powszechnych, związane przedstawionych,

ogromna ilość wydarzeń (faktów) jest banalna. Znaczy to, że nie stanowi wydarzeń dziejowych. W skali dziejów danej miejscowości wydarzenie całkiem błahe w dziejach danego kraju, a jeszcze mniej ważne w dziejach międzynarodowych, urastać może do roli wydarzenia kapitalnego. Wynika stąd, że pojęcie „wydarzenie historyczne” jest względne. Dany fakt, stwierdzony źródłowo, jest lub nie jest wydarzeniem historycznym zależnie od przedmiotu badań, zarazem od pozycji w układzie całościowym faktów dotyczących tego przedmiotu.

Nasuwa się pytanie: czy do czynienia mamy z obiektywnym oznaczeniem faktów historycznych czy z wartościowaniem z istoty swej subiektywnym? Z punktu widzenia filozofii dziejów warto zastanowić się nad tą sprawą.

W miarę pewności źródeł i poprawności badań historycznych każdy fakt stwierdzony przez historyka jest obiektywny. Wątpliwości z kwalifikowaniem faktów jako wydarzeń historycznych o niejednakowym znaczeniu dla przebiegu dziejów wynikają częściowo z nastawienia badawczego na mniej lub bardziej rozległy przedmiot badań, po części również z trudności poznawania wszystkich powiązań – przyczyn i skutków – poszczególnych faktów z innymi. Praktycznie biorąc, nawet w rezultacie bardzo gruntownych badań poznaje się tylko ich część. Niewiadoma reszta jest i pozostanie nieoznaczalna. A zatem kwalifikowanie danego faktu jako wydarzenia historycznego wskazuje w pewnej mierze – trudnej do bezspornego ustalenia – na jakość wiedzy uzyskanej dzięki badaniom nad danym fragmentem dziejów. Stosownie do postępu badań margines niepewności stopniowo maleje.

Wątpliwości z kwalifikowaniem faktów jako wydarzeń historycznych zmalałyby istotnie, gdyby w rezultacie odpowiednio rozległych i metodologicznie pewnych badań udało się wszechstronnie poznać bliskie i coraz dalsze, coraz bardziej pośrednie powiązania danego faktu z ogółem faktów historycznych w skali międzynarodowej. Jest to oczywiście warunek nie do spełnienia. Możliwe jest jednakże praktyczne podejście do trudnej sprawy. Dany fakt można oceniać jako wydarzenie historyczne mniej lub bardziej ważne w obrębie „określonego” zakresu faktów. Wiadomy zakres – podany w przedmiocie badań – wskazuje pośrednio na skalę w granicach między dziejami całkiem lokalnymi a dziejami powszechnymi. Wiadoma pewność ustaleń faktycznych wskazuje na wielkość danego faktu jako wydarzenia historycznego w obrębie ustalonego przedmiotu badań. Zgodzić się trzeba, że nawet przy podejściu praktycznym możliwe są i będą spory o rzeczywiste znaczenie danego faktu jako wydarzenia historycznego.

## Praktyczne znaczenie historii

Od kilku wieków przyzwyczajano się stopniowo do myśli, że nauka, czyli badania i wiedza naukowa, ma służyć życiu. Tym samym – do powątpiewania w słuszność znaczenie starszego poglądu, że wartość istotna nauki polega na zdobywaniu prawdy. Otóż w odniesieniu do historii poglądu tego nigdy nie wysuwano na plan pierwszy, jeśli nawet nie odrzucano go całkowicie. Bo odwiecznie właśnie historia – a nie nauki inne, np. matematyka – uchodziła za „nauczycielkę życia”: *historia – magistra vitae*. Co to znaczy bez przenośni, a zarazem w ujęciu praktycznym? Znaczyło to odwiecznie, znaczy obecnie i zapewne znaczyć będzie również w odległej przyszłości, że wiedza historyczna służy za metodę oddziaływania na świadomość w kierunku przysposobienia jej odbiorców do szeroko pojętej uległości wobec czynników decydujących o życiu danego społeczeństwa. Konkretnie: do przyswajania sobie oficjalnych ideałów i poglądów polityczno-społecznych, do nabywania odpowiedniego pogotowia uczuciowego, zwłaszcza w zakresie uczuć moralnych, do adorowania osobistości wielkich w danym układzie stosunków społeczno-politycznych, do piętnowania przeciwników wewnętrznych i wrogów zewnętrznych, do bojowego nastawienia wobec nich, w końcu – do uznawania za wartościowe bądź – przeciwnie – za bezwartościowe (złe, zgubne, błędne, niebezpieczne, brzydkie, niemoralne itp.) dzieł twórczych wszelkiego rodzaju, jeśli nie odpowiadają interesom czynników miarodajnych.

Stosownie do przedstawionych znaczeń historii przede wszystkim nauczano, naucza się i – zapewne – zawsze będzie się nauczać w szkołach. Rzecz jasna, w pierwszej linii – w szkołach dla dzieci i w ogólnokształcących szkołach dla młodzieży. Oczywiście, również w szkołach innych, chociaż na planie dalszym. Jednakże wiedza historyczna przenika do umysłów jej odbiorców również poza obrębem szkolnictwa. Od dawna za pośrednictwem prasy, obecnie – poprzez wiele „publikatorów”, wśród nich zwłaszcza poprzez radio i telewizję. Jest wiele okazji, a nawet pilnych potrzeb w zakresie udzielania publiczności (poza obrębem szkolnictwa) informacji historycznej.

Nawet dla zupełnego laika jest to zapewne jasne, że realizacja celów przekazywania odbiorcom wiedzy historycznej musi w wielu szczegółach oraz w rozmaitego pokroju ujęciach ogólnych sprzeczać się z tzw. obiektywną prawdą historyczną. Znaczy to, że w odniesieniu do wielu szczegółów i ujęć ogólnych na pytanie formalne, „czy to prawda?” („czy tak było, względnie działo się naprawdę?”), nie sposób odpowiedzieć krótko i po



prostu „tak” lub „nie”. Odpowiedź właściwa może lub powinna brzmieć: „To czy tamto ujęcie sprawy – tj. wydarzeń historycznych – wydaje się zgodne z interesami czynników miarodajnych. Co prawda, niekonieczne jest błędne, tym mniej świadomie fałszywe, tendencyjne lub nawet po prostu zmyślane. Ale jakie jest naprawdę, to problem nie łączy do ewentualnego zbadania”.

W obrębie sposobów przekazywania odbiorcom (uczniom szkolnym, czytelnikom gazet, telewidzom itp.) zgodnie z interesami czynników miarodajnych, utożsamianymi zazwyczaj z interesami społecznymi, na plan pierwszy wysuwa się dobór informacji z istnego „oceanu” wiadomości historycznych. W ujęciu naocznym znaczy to przykładowo, że Francuzom (uczniom, dorosłym) przekazuje się przede wszystkim wiedzę o dziejach Francji, a Polakom przede wszystkim historię Polski. Rozumie się przy tym, że odpowiada to w zasadzie potrzebom intelektualnym i warunkom życia Francuzów czy Polaków. Na pewno byłoby źle, gdyby było przeciwnie, tj. gdyby Francuzom przekazywano przede wszystkim wiedzę z historii Polski, Polakom zaś – z historii Francji. Jednakże – w związku z tym – warto zwrócić uwagę na fakt, że w wielu krajach, i to w krajach o wysokiej kulturze, nauczanie historii ojczystej praktycznie biorąc wypełnia programy szkolne nauczania historii, zatem w grę wchodzi nie tylko czy po prostu zrozumiała potrzeba dostosowania wiedzy osobistej odbiorców do specyficznych potrzeb intelektualnych na tle życia społeczno-kulturalnego w danym kraju. Co oprócz tego? Przede wszystkim megalomania narodowa. Poniekąd również niedostateczne rozumienie interesów narodowych po stronie autorów podręczników szkolnych i programów nauczania w zakresie historii. W każdym razie już na odcinku samego tylko doboru działów wiedzy historycznej łatwo stwierdzić powiązania nie tyle z prawdą historyczną, ile raczej z interesami praktycznymi czynników wywierających wpływ – urzędowy lub pośredni, sugestywny, doradczy – na proces przekazywania wiedzy historycznej, praktycznie biorąc i przede wszystkim – na nauczanie szkolne.

W zasadzie nie inaczej ma się rzecz z doбором informacji historycznych – konkretnych i w postaci różnego pokroju uogólnień – w zakresie historii danego kraju. Zależnie od „szkoły” czy światopoglądu dobór informacji z masy wiedzy rozporządzałnej bywał i bywa różny. Wiadomo, jak dalece rozbieżnie dzieje Polski przedstawiali rzecznicy różnych naszych „szkół” historycznych. A nie ma wątpliwości co do tego, że – dajmy na to – historię początków chrześcijaństwa inaczej przedstawiają historycy marksiści, a inaczej historycy teolodzy. Ba, muszą przedstawiać ją inaczej.

Tym samym dotykamy dalszego problemu w obrębie obszernego zagadnienia praktycznej użyteczności wiedzy historycznej. Chodzi nie o nauczanie, względnie o ogólniej pojęte przekazywanie tej wiedzy, lecz o jej zdobywanie dzięki prowadzeniu badań naukowych i opracowywaniu ich wyników. Rzecz w tym, że przekazywanie wiedzy historycznej było i jest tym bardziej efektywne z punktu widzenia interesów czynników miarodajnych, im bardziej problematyka badań historycznych, metody robocze i wyniki badań są przystosowane do tych interesów. Nie znaczy to po prostu: im bardziej sprzeczne z ideałem poznawania prawdy. Znaczy natomiast, że historyk naukowiec chce lub musi najpierw dostrzegać interesy, potem dopiero – nastawiać się na poznawanie prawdy historycznej dla samej prawdy. A to oznacza istotną komplikację z punktu widzenia podstawowego problemu wszelkiej historiografii: obiektywności badań i wiedzy historycznej. Można też rzec: problemu obiektywizmu historycznego, jeśli na plan pierwszy wysunąć postawy historyków, a nie wyniki ich pracy badawczej.

## **Obiektywność badań i wiedzy historycznej**

Co to znaczy „obiektywność badań i wiedzy historycznej”? „Obiektywizm” – jako postawa? Terminów tych używa się niemal pospolicie, w każdym razie – w rozmowach, dyskusjach i sporach między naukowcami. Wydają się oznaczać pojęcia nowoczesne, ale w gruncie rzeczy wskazują na odwieczne pojęcie prawdy. I tak dane badania są obiektywne, jeśli prowadzą do poznania prawdy (poszukiwanej w świetle danego problemu), dana wiedza jest obiektywna, jeśli jest prawdziwa. Postawę danego naukowca cechuje obiektywizm, jeśli dzięki niej uzyskuje on prawdziwe wyniki badań, czyli – prościej – prawdy naukowe. Krótko mówiąc, chodzi o prawdę.

W pojęciu prawdy tkwią trudne zagadnienia epistemologiczne – zarazem filozoficzne – o których sensie i genezie mowa będzie w jednym z rozdziałów późniejszych. Tutaj skupię się na sprawach istotnych z punktu widzenia pojęcia prawdy historycznej. Nasamprzód – na implikacjach domyślnie zawartych w słowach: obiektywność i obiektywizm. Otóż etymologicznie je ujmując, domyślamy się czy to odpowiedniości (przystosowania) do danego przedmiotu badań (dyskusji, sporów), czy to nastawienia na poznanie tego przedmiotu, a nie na jego zafałszowanie, zmyślenie, przeinaczenie; nie na subiektywne objaśnienia cech stwierdzonych, w szcze-

gólności – na objaśnienia dyktowane jakimkolwiek interesem pozanaukowym, np. bytowym, prestiżowym, ambicyjnym, związanym z osobistą karierą. Pośrednio – nie na uczucia strachu, gniewu, sympatii, antypatii bądź ich rozmaite, mniej lub bardziej złożone, formy pochodne.

Objaśnienie to prowadzi, a nawet musi prowadzić do pytań ogólnych, czy, a jeśli tak, to jakie są możliwości sprawdzenia:

1. przystosowania badań i wyników tychże do danego przedmiotu;
2. faktyczności nastawienia badacza na poznanie prawdy, tj. przedmiotu badań.

Pytanie drugie jest trudniejsze od pierwszego, w zasadzie tak jak wszelkie rozpoznania motywów postępowania są trudniejsze od stwierdzania rzeczy naocznych. Co więcej, droga do odpowiedzi prowadzi przez odpowiedź na pytanie pierwsze. Otóż poszukiwanie odpowiedzi prowadzi do krytyki metod badań naukowych; w szczególności – do krytyki metod badań historiograficznych oraz jakości ich zastosowania faktycznego w danej pracy badawczej. Obydwa składniki krytyki są ważne, są też rozdzielne i zamienne. Chodzi o to, że robocza metoda badań naukowych może być – ze względu na dany przedmiot – mniej lub bardziej celowa, użyteczna, ścisła i że jej zastosowanie praktyczne może być i bywa mniej lub bardziej poprawne. Najbardziej wartościowa metoda robocza może nie przynieść wyników cennych dla postępu naukowego, jeśli zastosowano ją – z jakichkolwiek przyczyn – błędnie. A najdalej posunięty obiektywizm nie zda się na nic, jeśli metoda jest bezwartościowa. A więc przede wszystkim krytyka metodologiczna jest niezbędna do oceny naukowej wartości wyników danych badań, jako ewentualnych składników wiedzy naukowej. Oczywiście, krytyka ta ze swej strony jest narażona na krytykę. Teoretycznie rzecz biorąc, prowadzi to do rozpatrywań i powątpiewań nieskończonych o pokroju *regressus ad infinitum*. Praktycznie ciąg krytyk jest ograniczony, a w danym czasie kompetentni naukowcy zgadzają się ze sobą co do zalet i braków poszczególnych metod roboczych. Stopień – cichego czy umownego lub głośnego – uznania dla nich przyjąć można za granice obiektywności badań i wiedzy naukowej. Pośrednio – również za podstawę do krytyki obiektywizmu danych pracowników naukowych i wyników ich badań. Zastosujmy te objaśnienia do sprawy obiektywności badań i wiedzy historycznej oraz do sprawy obiektywizmu, względnie subiektywizmu historyków, jako pracowników naukowych (a nie nauczycieli).

Jeśli uwzględnić przystosowaną do różnych problemów rozmaitość szczegółowych sposobów badań – „metoda historyczna” jest nad wyraz złożona i zróżnicowana. Wymownie świadczy o tym od dawna zasobne

i wciąż rozrastające się metodologiczne piśmiennictwo tej nauki, w szczególności pękate dzieła poświęcone „historyce”, tj. właśnie nauce o pracy naukowo-badawczej w zakresie historii. Jednakże jeśli przyjrzeć się tej sprawie „z lotu ptaka”, łatwo zauważyć, że obraca się ona przeważnie dokoła dwóch problemów:

1. obiektywnego stwierdzania faktów historycznych;
2. charakteru uzasadnionych uogólnień na podstawie stwierdzonych faktów.

Mnogość rozpraw, monografii i pokaźnych dzieł metodologicznych – w obrębie „historyki” – sama przez się może świadczyć o poważnych trudnościach, z jakimi historycy mają do czynienia w związku z tymi problemami.

Oto co ważniejsze trudności w zakresie stwierdzania faktów historycznych:

1. krytyka autentyczności źródeł, oczywiście przede wszystkim wszelkiego rodzaju pisemnych pozostałości z życia minionych ludzi i pokoleń: zapisów, napisów, tekstów, dzieł literackich itp.;
2. krytyka sensu i wiarygodności tych źródeł, jako głównego rodzaju oparcia dla pracy nad stwierdzaniem faktów historycznych;
3. krytyka, jako interpretacja psychologiczna, zwłaszcza motywacyjna decyzji, poczynąń i złożonych działań, których prawdopodobieństwo uczony uprzednio wykazał przez krytykę autentyczności i sensu;
4. krytyka, jako interpretacja socjologiczna (polityczno-społeczna, ekonomiczna) powyższych decyzji, poczynąń i działań złożonych.

Każda z wymienionych trudności daje się – w różnej proporcji – we znaki historykowi nastawionemu na obiektywne stwierdzanie faktów. Przy tym, im bardziej odległe w czasie są dzieje danej grupy ludzkiej, tym na ogół coraz bardziej wątpliwe bywają rezultaty krytyki autentyczności źródeł pisanych, ich rzeczywistego sensu i wiarygodności. Interpretacja psychologiczna i socjologiczna staje się – w miarę zbliżania się do czasów dzisiejszych – z jednej strony relatywnie łatwiejsza, z drugiej strony coraz bardziej żmudna, a to z powodu narastającej masy powiązań danego faktu z innymi; bezpośrednio z powodu wzrastającej masy źródeł pisanych.

W obrębie problemu uzasadnionych uogólnień na plan pierwszy wysuwają się trudności następujące:

1. podstawności wnioskowania, w sensie stwierdzania „faktów typowych” na podstawie nielicznych faktów konkretnych, a jeszcze bardziej – podstawności takiego wnioskowania na podstawie pojedynczych stwierdzeń konkretnych, budzących wątpliwości ze względu na rezultaty krytyki źródeł;

2. podstawności takiego wnioskowania w wypadku wątpliwych interpretacji psychologicznych i socjologicznych danych stwierdzeń konkretnych.

Nie ma tu miejsca na analizę wymienionych trudności. Tym mniej – na analizę trudności pozostawionych na uboczu. Poprzestanę na wyrażeniu przekonania, że wiele przeszkód naraża historyka, uczciwie nastawionego na obiektywne stwierdzanie faktów, na „potknięcia”. Znaczy to, że stwierdzenia faktów historycznych bywają nierzadko wątpliwe. A przecież tutaj tkwi grunt wszelkiej dalszej pracy badawczej; mającej już mniej lub bardziej charakter teoretyczny. Cóż dopiero mówić o obiektywnym stwierdzaniu faktów, jeśli historyk jest w jakiejś mierze „zaangażowany ideologicznie” – w szerokim znaczeniu tego pojęcia. A jeszcze mniej, jeśli nie całkiem uczciwie, a może nawet całkiem nieuczciwie – fakty „zmyśla” lub jeśli „z igły robi widły”! Ileż to razy historycy nawzajem wytykali sobie takie postępowanie!

Zanim zajmiemy się obiektywnością badań i wiedzy historycznej oraz obiektywizmem postaw uczonych historyków w zakresie uogólnień, trzeba najpierw poruszyć starą sprawę rzekomo specyficznego charakteru nauk historycznych w porównaniu, względnie w przeciwieństwie do nauk przyrodniczych. Radykalny pogląd w tej sprawie przedstawił z początkiem XX wieku (1910) historyk i psycholog niemiecki Wilhelm Dilthey. Przeciwwstawił on krańcowo nauki historyczne (i oparte na metodzie historycznej inne nauki humanistyczne) naukom przyrodniczym. Celem istotnym pierwszych jest – rzekomo – indywidualizujące stwierdzanie faktów i ich niepowtarzalnego przebiegu. Celem istotnym drugich jest ustalanie ogólnych praw, np. praw fizyki, chemii, biologii. Za Diltheyem opowiedziało się wielu innych humanistów.

Pogląd ten nie jest bezpodstawny, jeśli przez pojęcie „prawo” rozumieć będziemy powtarzanie się danego zjawiska przyrodniczego w tej samej postaci w okolicznościach jednakowych bądź też jeśli nie uwzględnimy okoliczności zmiennych i potraktujemy je jako nieistotne zakłócenia. Otóż ściśle rzecz biorąc w takim znaczeniu historyk prawnie stwierdza, gdyż układy wydarzeń dziejowych są jednorazowe, a więc niepowtarzalne. Nie znaczy to, że historykowi obce są uogólnienia w postaci twierdzeń, opartych na – mniej lub bardziej licznych – stwierdzeniach konkretnych faktów, zdarzeń do siebie podobnych. Można by powiedzieć, że między powtarzaniem się zjawisk przyrodniczych a zdarzeń historycznych nie ma przepaści, lecz występuje wielka różnica stopnia co do różnicujących „zakłóceń”. W ślad za tym gdyby historyczne uogólnienia były bezpod-

stawne, nie byłoby możliwe coraz to bardziej syntetyczne przedstawianie historii danego kraju czy przebiegu życia danej osobistości. A przecież dla różnych celów „streszcza się” historię powszechną lub jej fragmenty w kierunku od wielkich dzieł syntetycznych, stanowiących niejako podsumowanie pewnej ilości wyników prac badawczych, poprzez zarysowe podręczniki uniwersyteckie, ku coraz szczuplejszym podręcznikom dla szkół średnich i podstawowych, w końcu – ku zwięzłym „pomocom” powtórkowym dla studentów czy uczniów szkolnych.

Jak to jest możliwe? Najpierw wiele faktów pomija się, jako szczegóły coraz to mniej ważne. Tkwi za tym nie tylko wartościowanie faktów historycznych, lecz także wyłączanie informacji szczegółowych, stanowiących podkład dla sformułowanych – w danym dziele – na ich podstawie informacji ogólnych, mających – jako syntezy – charakter swoistych praw historycznych. Na przykład w historii polskich miast z czasów średniowiecza może być w jednym wypadku obecna ogromna ilość konkretnych informacji co do ich formalnego założenia na tzw. prawie magdeburskim, natomiast w wypadku krańcowo innym po prostu i tylko stwierdzenie faktu, że większość tych miast założona została w ten sposób w drugiej połowie XIII wieku. Krótko mówiąc, proces streszczania wiedzy historycznej świadczy o podstawności i obecności uogólnień w jej obrębie.

Jednakże niezależnie od tego uogólnienia te są niezbędne. Nawet całkowitego laika nie trzeba by przekonywać o tym, że historyk (np. historyk miast polskich w średniowieczu) nie może poprzestać na nagromadzeniu masy konkretnych faktów bez jakiegokolwiek próby ich uogólnienia. Co więcej, bez wielu prób w kierunku uogólnień coraz to pojemniejszych. Zresztą, już nawet na pozór całkiem proste stwierdzenia faktów historycznych stanowią w pewnej mierze uogólnienie. Na przykład stwierdzenie, że miasto założono na prawie magdeburskim w roku 1276, stanowi poniekąd podsumowanie wielu konkretnych faktów co do źródłowo stwierdzonej działalności danych ludzi, np. danego księcia piastowskiego, i innych osób, którym zależało na tym, aby w nowy sposób zorganizować starą osadę dokoła grodu.

Czy ma to związek z obiektywnością badań i wiedzy historycznej, pośrednio z obiektywizmem, jako postawą istotnie ważną w postępie naukowym wiedzy historycznej? Bez wątplenia. Świadczą o tym spory wśród historyków co do interpretacji uogólnień na poszczególnych stopniach syntezy faktów konkretnych. Jak spory te powstają? Przede wszystkim trzy czynniki zmienne wchodzą tu w rachubę:



1. niepewność obiektywna co do stwierdzeń konkretnych, powiedzmy – pierwiastkowych;

2. różnice zapatrywań co do znaczenia danych stwierdzeń konkretnych bądź uogólnień danego stopnia;

3. wpływ ogólnych przekonań danego historyka (co do charakteru przeobrażeń dziejowych w danym kraju) na pracę nad uogólnianiem faktów.

Wystarczy tego, aby w rezultacie otrzymać nawet istotnie rozbieżne „podsumowania” faktów źródłowo stwierdzonych, dotyczących tego samego problemu, np. powstawania Polski niepodległej pod koniec 1918 roku. A zatem, do czynienia mamy z poważnym ograniczeniem obiektywności badań i wiedzy historycznej na etapie czy w zakresie uogólnień.

Wpływ przekonań ogólnych ujawnia się nie tylko w syntetyzowaniu konkretnych faktów historycznych. Niemniej w konstrukcji teoretycznej, stanowiącej odpowiedź na istotne dla historyka pytanie: od czego uzależniony był przebieg wydarzeń w danym fragmencie dziejów? Nie jest to po prostu zestawianie częściowych uogólnień, lecz ich „pragmatyczne” uporządkowanie, tj. przedstawianie, jako coraz to nowego układu różnych sił. Rozumie się, że w zasadzie „pragmatyzm” historyka jest uzależniony od „wymowy” faktów. Jest to dyskwalifikacja całkowita, jeśli uczony je zmyśla w dostosowaniu do swych przekonań politycznych, społecznych, ekonomicznych, moralnych czy jeszcze innych. Niestety, zmyślenia takie się zdarzają. Zresztą historyk rozporządza wieloma sposobami po temu, aby – „nie kłamiąc w żywe oczy” – dostosować stwierdzone fakty do swych uprzedzeń. W grę wchodzi tu przede wszystkim: odpowiedni dobór faktów, pomijanie faktów przeczących uprzedzeniom, akcentowanie faktów zdających się je potwierdzać, interpretacja socjologiczna i psychologiczna, naginająca fakty do uprzedzeń. A niezależnie od możliwości wymienionych (i innych) przystosowania konstrukcji teoretycznej do przekonań-uprzedzeń, zawsze trzeba się liczyć z niedostatkiem obiektywności w konkretnych stwierdzeniach faktów – o czym mowa była wcześniej. Stanowi to poważne utrudnienie na drodze rzeczywistego postępu naukowego, a to z powodu relatywnej rzadkości kontrolnego sprawdzania stwierdzeń konkretnych faktów historycznych przez uczonych innych. Problematyka badań historycznych staje się coraz bogatsza w miarę zbliżania się do współczesności, źródła są coraz obfitsze. Praktycznie biorąc, przeważna masa konkretnych stwierdzeń ustalona została jednorazowo i przedstawiona w danej pracy naukowo-badawczej. Rzadko powtarza się badania te same w celu sprawdzenia pracy cudzej. A zatem,



praktycznie biorąc, na niej opierają się inni bez wyraźnych, a nawet bez żadnych zastrzeżeń traktując ją jako „kapitalik” wiedzy obiektywnej, do którego należy raczej dodawać „kapitaliki” nowe aniżeli podważać jego wartość naukową. Zgodnie z tym spory wśród historyków toczą się przeważnie nie o prawdę konkretnych stwierdzeń, lecz o różne interpretacje częściowych lub całościowych ujęć teoretycznych, w których już na ogół wyraźnie widać wpływ przekonań-uprzedzeń.

Inaczej jest z konkretnymi wynikami badań naukowych w przyrodzownawstwie. Fachowiec na ogół szybko orientuje się czy to w zwykłych pomyłkach autora specjalistycznej pracy badawczej, czy to w „naciąganiu” wyników do danej hipotezy. Wtedy albo sam sprawdza swoje podejrzenia, albo zleca ich sprawdzenie, np. swoim asystentom. Wobec tego, że ogromna ilość naukowych stwierdzeń w fizyce, chemii, biologii i naukach pochodnych ma charakter praw wielokroć sprawdzonych, wielkie pomyłki – w zakresie pomiarów, ustaleń – na ogół szybko wychodzą na jaw, a drobne miewają zazwyczaj niewielkie szanse utrwalenia się jako wyniki badań, realnie wzbogacając daną wiedzę naukową.

Z punktu widzenia obiektywności, względnie obiektywizmu osobnego uwzględnienia wymaga sprawa ocen: ludzi, cech ich osobowości, decyzji (np. władców, wodzów), wydarzeń, dzieł twórczych, idei, ideologii, ustrojów, ludów, narodów itp. Występują one w różnej postaci w każdym dziele historycznym. Czy w ogóle mogą być w nim obecne, jeśli mamy je uznać za obiektywne? Wszak istotnym celem nauki jest poznawanie rzeczywistości, a nie jej ocenianie. Przecież nie ma ocen w naukach ścisłych. Wszak ocenianie, czyli wartościowanie, opiera się zawsze i koniecznie na kryteriach wartości. Te z kolei wprost lub pośrednio wskazują na określone interesy pozapoznawcze i na odnośny podkład uczuciowy, np. na strach, gniew, nadzieje, ambicje.

Często z tego powodu zarzucano i zarzuca się historykom subiektywizm, tworzenie teorii i wyjaśnianie wydarzeń według określonych (łatwo stwierdzalnych bądź ukrytych) życzeń, a nie według obiektywnych uzależnień faktów. Można wprawdzie dostrzec ogromne różnice między jaskrawo, nachalnie, a nawet nieprzyzwoicie subiektywnym uprawianiem historii a subiektywizmem „rzeczowym” i starannie uzasadnionym argumentami opartymi na należycie stwierdzonych faktach. Pomimo to nie sposób nie zauważać go i nie dostrzegać w nim istotnego niebezpieczeństwa w poznawaniu prawdy historycznej.

Razem wzięwszy, jest – niestety – wiele i poważnych przeszkód na drodze do obiektywnego poznawania wydarzeń historycznych, toteż w zasa-

dzie odbiorcy wiedzy historycznej na ogół nie mylą się, jeśli oceniają historię jako naukę wątpliwą. Wobec tego, że przeważna część ich wątpliwości odnosi się do konstrukcji teoretycznych, opracowanych na gruncie pewnej masy – dobrze czy źle stwierdzonych, poprawnie czy błędnie uogólnionych – faktów, przeto podstawność konstrukcji, tj. „pragmatycznych” ujęć danego ciągu wydarzeń historycznych, wymaga tutaj zwięzłego omówienia. Nie chodzi przy tym o poprawność konkretnej konstrukcji historycznej, np. co do genezy, przebiegu i wyników pierwszej wojny światowej. Natomiast chodzi o ogólne założenia i warunki tworzenia konstrukcji, tj. „pragmatycznego” przedstawiania dziejów. Sprawę tę od dawna poruszali autorzy tzw. metodologicznych wprowadzeń do historii, czyli autorzy dzieł z zakresu tzw. historyki. Jest to ich dziedzina i przede wszystkim oni mają powody po temu, aby się krzątać na jej terenie. Trzeba też jednak stwierdzić, że na tle problemu „pragmatycznego” ujmowania dziejów spory między historykami mają mniej lub bardziej charakter filozoficzny. Treść tych sporów należy od dawna do filozofii dziejów. A należy do niej, ponieważ odnośne rozumowania i poglądy zazwyczaj wykraczają daleko poza „warsztat” naukowy uczonego-historyka. Co więcej, wystarczająco sprawdzona fachowość i kompetencja danego historyka nie stanowi podstawy wystarczającej do definitywnego rozwiązania zagadnień wyłaniających się z zadania na pozór wyłącznie fachowego, jakim jest „pragmatyczne” poznawanie dziejów. – Pośrednio znaczy to, że to, co dalej spróbuję przedstawić, stanowi osobistą filozofię dziejów. Być może, nie bezpodstawną, na pewno jednakże nie pogląd, z którym można by wystąpić jako z teorią naukową czy też ze zbiorem hipotez do fachowego, w szczególności źródłowego, sprawdzenia.

## **Przegląd warunków wydarzeń historycznych**

Konkretne wydarzenia historyczne, układy i ciągi wydarzeń, ciągi tychże, nazywane dziejami – danego narodu, wielu narodów danego kontynentu, danej klasy społecznej, danej kultury i cywilizacji – dokonują się w układzie warunków uzależniających ich przebieg i kolejne skutki. Właśnie poznawanie tych warunków stanowi istotę „pragmatycznego” poznawania dziejów w odróżnieniu, a nawet przeciwstawieniu do poznawania kronikarskiego. Historyk z prawdziwego zdarzenia stara się poznać – powiedzmy tak – sieć uzależnień. Kronikarz stara się ustalić czasy i miejsca danych wydarzeń. Kto, co, gdzie i kiedy? Oto pytania, do których się

ogranicza. Historyk dodaje istotne pytanie: dlaczego? Przy tym ściśle biorąc nigdy nie może być zadowolony z własnej odpowiedzi, tj. z wyników własnych badań (oczywiście z reguły dołączonych do wyników badań historyków innych), gdyż zna granice swych możliwości metodologicznych. Praktycznie biorąc, prawie nigdy nie jest możliwe wyczerpujące zebranie i poznanie źródeł pisanych. Co nie mniej ważne, nierealny byłby zamiar poznawania, tym mniej wyczerpującego poznania uzależnień (wydarzeń historycznych i układów tychże), leżących poza obrębem źródeł i w ogóle całego warsztatu naukowego historyka. To drugie ograniczenie przedstawiłem dość szczegółowo, chociaż nie wyczerpująco, w odniesieniu do filozofii w rozdziale *Nauka a filozofia*.

Można jednakże i trzeba w tym miejscu próbować poszukiwać odpowiedzi na pytanie teoretyczne, dotyczące nie konkretnych wydarzeń historycznych ani ich ciągu czy „sieci czasoprzestrzennej”, lecz w ogóle wszelkich wydarzeń. Otóż właśnie do takiej próby przystępuję obecnie. Najpierw „z lotu ptaka”, z kolei szczegółowiej na temat roli poszczególnych rodzajów uzależnień.

Historia jest nauką o przeszłości ludzi, jako sprawców wydarzeń dziejowych. Rozumie się przeto samo przez się, że jakąś rolę ludziom samym trzeba przypisać w inicjowaniu i przebiegu wydarzeń. Jaką rolę – oto pierwsze, zarazem trudne pytanie, wymagające rozpatrzenia. Chodzi m.in. o takie sprawy szczegółowe, jak rola tzw. ludzi wybitnych, w porównaniu z „szaraczkami”; rola cech osobowości, zwłaszcza inteligencji, woli i namiętności; rola podstawowych potrzeb związanych wprost czy pośrednio z głodem; rola strachu, gniewu, radosnych uniesień i uczuć pochodnych; rola cech fizycznych, takich jak płeć, uroda, jej defekty, konstytucja psychofizyczna, siła, zdrowie, a nawet – niekiedy – wzrost i waga; rola osób pojedynczych a grup ludzkich itp. Wszystkie problemy wymienione i inne, zbliżone do nich, bywały od dawna przedmiotem rozważań. Żadnego z nich nie można jednak rozwiązać w oparciu o same tylko źródła historyczne. Źródła umożliwiają jedynie zebranie przykładów mniej lub bardziej przemawiających za określonym – filozoficznym – stanowiskiem danego autora.

Osobny problem ramowy dotyczy wpływu dziejów dotychczasowych (danego narodu, państwa, szeregu państw sąsiadujących ze sobą itp.) na inicjowanie i przebieg wydarzeń, względnie dziejów nowych. Wszyscy uczą się historii niemało właśnie dlatego, że oczywiste wydaje się przekonanie o oddziaływaniu przeszłości na powstawanie najbliższej i dalszej przyszłości. A politycy czy społecznicy uczą się jej pilnie, aby z przeszłości

wyciągnąć możliwie najtrafniejsze wnioski co do słuszności ewentualnych decyzji lub planów, co do przyczyn dotychczasowych błędów i niepowodzeń, np. narodowych, co do szans ich uniknięcia w działalności nowej. Intuicyjnie rzecz biorąc, zależność teraźniejszości i przyszłości od przeszłości jest więc oczywista. Natomiast wcale nie jest oczywisty „mechanizm” oddziaływania konkretnej historii danej zbiorowości na teraźniejszość i na „historię przyszłą”, jeszcze nieurzeczywistnioną. Jest to zagadnienie nie lada, wymagające zasadniczego rozpatrzenia.

Podobnie ma się rzecz z odwiecznie przemyśliwanym zagadnieniem wpływu warunków środowiskowych na konkretne wydarzenia i na przebieg dziejów danego narodu, państwa, danej zbiorowości w ogóle. Nikt nie wątpi w obecność tego wpływu, jednakże od dawna i wciąż na nowo ujawniały się różnice zapatrywań co do roli względnej środowiska – szeroko pojętego – w ogóle, co do różnych czynników środowiskowych w szczególności. Również w tej sprawie nieosiągalne jest zasadnicze rozstrzygnięcie na podstawie samych tylko źródeł historycznych. Z nich można tylko czerpać przykłady do argumentów przemawiających za lub przeciw określonemu stanowisku.

Od dawna historyków i laików intrygowało zagadnienie roli tzw. przypadków w przebiegu wydarzeń historycznych i złożonego z nich „potoku” dziejów. Ileż to razy wskazywano w związku z tym np. na urodę Kleopatry lub na przedwczesną śmierć Aleksandra Wielkiego! W tej sprawie historyczne badania źródłowe uważać można za praktycznie bez znaczenia. Nie może być bowiem na samym tylko warsztacie historycznym opartej odpowiedzi na pytanie „co byłoby gdyby?”.

W końcu najtrudniejsze do rozpatrzenia jest zagadnienie – w całej pełni filozoficzne – „mechanizmu” dziejów, jako teorii uwzględniającej harmonijnie wszelkie uzależnienia wydarzeń historycznych i dziejów ludzi w skali światowej.

## **Ludzie jako sprawcy wydarzeń dziejowych**

Rozumie się samo przez się, że sprawcami wydarzeń dziejowych są ludzie jako osoby działające. Wszak bez nich nie byłoby tych wydarzeń. Temu odpowiada stary łaciński termin na oznaczenie dziejów: *res gestae*, tj. „rzeczy zdziałane”, powiedzieć można by też: „działania wykonane”. Natomiast nie są oczywiste i sporne bywały odpowiedzi na pytania: W jakiej mierze (sprawcami)? Jacy ludzie? Jakie działania? W ciągu wielu

wieków nieomal oczywisty był pogląd, że dzieje ludzi są to dzieje ludzi władczych: królów, książąt, i w ogóle osobistości rządzących; poniekąd również – wodzów, doradców, zauszników, ministrów. W każdym razie – nie masy ludzi szarych, tj. podwładnych, zwłaszcza tych z najniższego poziomu uwarstwienia społecznego.

Pogląd taki odpowiadał w przybliżeniu faktowi, że w ciągu długiego okresu w źródłach historycznych pojawiały się nazwiska tych to właśnie osobistości. Ludzie inni występują w nich tylko ogólnie, bezimiennie i jako masa, np. jeńców, niewolników, chłopów, poddanych. Z metodologicznego punktu widzenia znaczyłoby to, że o ludziach jako o sprawcach wydarzeń dziejowych mówić można tylko o tyle, o ile na ich określone imiona i działania wskazują historyczne pisane źródła, np. napisy na pomnikach, edykty polityczne, dokumenty prawne, kroniki, w jakiejś mierze również spisane legendy o treści historycznej. Co prawda, wyłania się tutaj wątpliwość, czy w wypadku zapisków wprawdzie imiennych, lecz odnoszących się do błahych wydarzeń z życia powszedniego, np. konkretnego zakupu żywności na targu, można mówić słusznie o sprawcach wydarzeń dziejowych? W składowisku śmieci w Tell el-Amarna w Egipcie znaleziono masę zapisków tego rodzaju („służąca M. zakupiła dzisiaj na targu tyle a tyle mąki, oliwy itp.”). Kłopot leży w tym, że mówiąc o wydarzeniach historycznych, domyślamy się intuicyjnie przebiegów i rezultatów działań nie tylko wiadomej osoby, ale zarazem takich, które wywarły znaczny wpływ na działania i życie ludzi innych. Domyślamy się relatywnie dużej skali oddziaływań (co w wypadku zjedzenia obiadu ugotowanego z żywności zakupionej przez służącą M. zdaje się nie wchodzić w rachubę).

Pomimo zasugerowanej wątpliwości przyjąć trzeba teoretycznie, że niezależnie od obecności czy braku źródeł pisanych ani od skali przypuszczalnych oddziaływań na ludzi innych każda jednostka ludzka jest w jakiejś mierze sprawcą wydarzeń dziejowych; oczywiście pod warunkiem, że w ogóle ma czy miała możliwość stykania się z jednostkami innymi. Znaczy to, że fikcyjny Robinson Crusoe stanowiłby wyjątek od tej reguły, jeśli nie spotkałby się z Piętaszkiem, jeśli do końca życia pozostałby na bezludnej wyspie i jeśli śladów jego pobytu na niej nikt nigdy by nie napotkał.

Mało tego. Nie tylko w ciągu swego życia ludzie wywierają wpływ na innych. Kult przodków, w jakiejś mierze występujący wszędzie, świadczy o ich wpływie na poczynania pokolenia żyjącego. Świadczy o tym również fakt korzystania z jakichkolwiek pozostałości kulturowych pokoleń minionych. Rzec można by obrazowo, że przeszłość tkwi i działa w teraż-

niejszości. Przy tym uwzględnić trzeba oczywiście kulturowe pozostałości bezimienne, co odnosi się – praktycznie biorąc – do całego folkloru.

Z punktu widzenia metodologicznego, względnie w ogóle „warsztatowego” (tj. z uwzględnieniem problemów badań historycznych, a nie tylko metod) wyłaniają się z przedstawionego rozumowania następujące wnioski:

1. Wprawdzie wszyscy ludzie (poza fikcyjnym Robinsonem Cruzoe) są sprawcami („podmiotami”) wydarzeń dziejowych, jednakże – praktycznie biorąc – tylko nieliczni spośród nich upamiętnieni zostali w źródłach pisanych, i o tyle ich wpływ na ludzi innych może być wykazany imiennie.

2. Zachodzą ogromne różnice oddziaływań, a więc wpływu na wydarzenia dziejowe między ludźmi w granicach między wpływem relatywnie ogromnym a niemal znikomym.

3. Niezależnie od tych różnic imienne uwzględnienie sprawców wydarzeń dziejowych, obecnych w źródłach historycznych, przystosowane bywa (i musi być) do stopnia ogólności danego problemu.

Im bardziej ogólny problem, tym mniejsze prawdopodobieństwo oddziaływania coraz większej liczby sprawców, znanych z nazwiska i z konkretnych działań, na wydarzenia dziejowe. Tym mniejsza jest zarazem potrzeba ich uwzględnienia w pisemnym przedstawieniu danego odcinka dziejów. Dotyczy to również podręczników historii. Im bardziej syntetyczne są podręczniki, tym więcej nazwisk, skądinąd znanych, odpada w przekazie dla osób uczących się historii.

Wyłania się pytanie: czy w ogóle, a jeśli tak, to w jaki sposób nauka uwzględnia bezimiennych sprawców wydarzeń historycznych? Faktycznie uwzględnia ich, jednakże w oparciu o metody nie historiografii, lecz socjologii. Bezimienni „bohaterowie dziejów” wywierają wpływ – różnego pokroju i nasilenia – w masie, tj. jako członkowie określonych grup społecznych, warstw, klas itp. W oparciu o metody statystyczne stwierdzone prawidłowości socjologii umożliwiają wgląd w jakość i rozmiar wpływu danych grup, pośrednio zaś poznanie oddziaływań „przeciętnej” – oczywiście bezimiennej – jednostki jako członka grupy. „Przeciętnej”, gdyż jednostka wybitna znajduje z reguły swoje miejsce czy dokumentalne odzwierciedlenie imienne we właściwych źródłach historycznych.

Czym i w jaki sposób jednostka – teoretycznie biorąc każda – wywiera wpływ na działania jednostek innych, pośrednio zaś na wydarzenia dziejowe? Ograniczmy się na razie do jednostek mających jakąkolwiek władzę nad innymi, zwłaszcza władzę polityczną i gospodarczą. Ich wpływ na innych to przede wszystkim skutki ich: rozkazów bezpośrednich



i pośrednich, decyzji o cudzych losach (życiu, zdrowiu, majątku, przyszłości), porad, przekonywań, gróźb i życzeń. Niezliczone działania i wydarzenia historyczne można wyjaśnić tymi to, relatywnie prostymi, oddziaływaniami władców (w możliwie szerokim znaczeniu tego słowa) na poddanych. W tym zakresie nie widać różnic zasadniczych między oddziaływaniami o znaczeniu historycznym a ograniczonym do stosunków międzyludzkich – nieutralizowanych pisemnie – np. między rodzicami a dziećmi, panami a służbą, nauczycielami a uczniami.

Bardziej skomplikowany od wskazanego i często uwidaczniany w źródłach historycznych jest wpływ władców na podwładnych oparty na szeroko pojętym prawie. W tym zakresie oddziaływań, w ślad za tym pociągania za sobą wydarzeń historycznych, władcy – jako inspiratorzy prawa, a nie bezpośredni autorzy – nie zawsze są dostrzegalni, a nawet wykrywalni. Jest tak zwłaszcza w wypadkach, gdy wieloosobowe „ciała” prawodawcze lub doradcze uchwalają prawa czy jednorazowe decyzje bądź je proponują. Ostatecznie jednak zawsze „silni” decydują o losach „słabych”.

Za rozkazami, decyzjami, prawami czy zarządzeniami tkwią zawsze ludzie ze swymi cechami osobistymi, przede wszystkim cechami charakteru i umysłowości. Związek ten jest oczywisty w dziejach krajów niewielkich o relatywnie prostym ustroju społeczno-politycznym, jednakże wykazać można go również w dziejach współczesnych i krajów o skomplikowanej strukturze politycznej, społecznej i gospodarczej. Nie ma wątpliwości co do tego, że takie cechy osobowości jak słabość charakteru, brak przekonania, zdecydowane przekonania moralne, polityczne, społeczne czy ekonomiczne, upór, odporność na przekonywania i sugestie, wysoka inteligencja, tępota umysłowa, wyobraźnia, mściwość, nienawiść, wielkoduszość – i wiele cech innych unieśmiertelnionych u konkretnych „bohaterów” historycznych – stanowiły i stanowią nadal czynniki ważne w wydawaniu historycznych decyzji czy rozkazów bądź w inspirowaniu praw. Ogromna część piśmiennictwa historycznego, zwłaszcza piśmiennictwa pokroju biograficznego, dotyczy wprost lub pośrednio tego rodzaju uzależnień.

Z tym pośrednio związany jest wpływ – na postępowanie ujawniające się w wydarzeniach historycznych – cech konstytucji psychofizycznej oraz cech budowy fizycznej „bohaterów” historycznych. Budowa szczupła i wątła, czyli leptosomatyczna, inaczej kształtuje postawy do otoczenia, nastroje, napędy do strachu, gniewu, smutku, radości – niż budowa pikniczna, okrągława. Idzie za tym inny układ częściowych uzależnień uczuć złożonych z poniekąd z nich wyłaniających się cech charakteru, takich jak



pycha, mściwość, zawiść, nienawiść, utrwalone lęki, trudność, względnie łatwość powszednich styczności z ludźmi. Wiele decyzji, planów działania, okrucieństw bądź – przeciwnie – łagodnego i łaskawego odnoszenia się do poddanych ludzi ze „świecznika” historycznego można wyjaśnić, niechby tylko częściowo, tego pokroju zależnościami.

W sprawach tych nie ma istotnych różnic między postępowaniem ludzi pospolitych a „uwiecznionych” przez historię, tj. obecnych w źródłach pisanych. Jedni i drudzy ulegają wpływowi uczuć. Co prawda, uczucia ludzi zwykłych mają ograniczony zasięg wpływów. Ponadto w wyrazie uczuć „sprawców” wydarzeń historycznych częściej niż w wyrazie uczuć ludzi zwykłych zdają się występować ograniczenia dyktowane chłodnym wyrachowaniem, a to ze względu na czy to zdobywanie władzy, czy to żądę jej zachowania. Oznacza to praktycznie liczenie się z potrzebami i namiętnościami danych mas ludzkich, schlebianie im, okazywanie – stosownie do danych okoliczności – czy to wielkoduszności, czy to twardej ręki, nawet pomimo przeciwnych uzależnień ze strony cech danej konstytucji psychofizycznej.

Wielekroć przedmiotem rozważań – historyków, biografów, socjologów, psychologów, pisarzy – była sprawa roli wysokich uzdolnień umysłowych, zwłaszcza nadzwyczajnej inteligencji ogólnej sprawców wydarzeń historycznych, tych głównie, których uwieczniła historia powszechna. Zajmę zwięźle stanowisko w tej sprawie: Rozróżnić trzeba przede wszystkim „bohaterów” dziejowych, którzy zdobywali, zdobyli i umieli utrzymać władzę, a tych, którzy niejako na ich plecach jakiś czas utrzymali się przy władzy zdobytej przez tamtych. Nie ma wątpliwości co do tego, że zdobywanie władzy wymaga – zwłaszcza w wysoce złożonych układach stosunków polityczno-społecznych i gospodarczych – niezwyklej cech umysłu i charakteru. Wymaga przede wszystkim bystrego i trafnego rozeznania zmiennych układów stosunków między grupami społecznymi i – co nie mniej ważne – między kandydatami „do tronu” czy choćby tylko do stanowisk bliskich „tronowi”. Wiele pomyłek historycznych w tym zakresie skończyło się zepchnięciem w dół, jeśli nie utratą głowy. Trzeba jednak pamiętać o tym, że walka o władzę, prawie zawsze bezwzględna, wymaga oprócz niepospolitej inteligencji braku skrupułów moralnych. Niezależnie od swego usposobienia, zasad moralnych, stosowanych w wąskich stosunkach międzyludzkich, zdecydowany kandydat do władzy bywał nieomal zawsze chytry, wyrachowany, podstępny, przewrotny, niewierny i nieuczciwy wobec swych współników czy najbliższych zaufanych. Bywał taki, jeśli nawet po cichu miewał wyrzuty sumienia. Tego

pokroju uzależnienia socjohistoryczne uwiecznił znakomicie Machiavelli w swej rozprawie *Il Principe* (Ksiązę). Dotyczyła ona wprawdzie bezpośrednio specyficznej sytuacji społeczno-politycznej Włoch XV-XVI wieku, rozdartych na wiele księstw, ale zawiera sporo twierdzeń o wartości trwałej, bo przystosowanych bez zmian istotnych do warunków walki o władzę w różnych epokach historycznych.

## **Przeszłość i współczesność a nowe wydarzenia historyczne**

Sprawcy wydarzeń dziejowych – władcy i bezpośredni wykonawcy ich woli – działają w pewnej mierze pod wpływem określonych cech swej osobowości, pośrednio nawet cech swej konstytucji psychofizycznej. Jest to oczywiście uzależnienie bliskie, niekiedy zdałoby się nieomal namacalne. A jednak nie w nim tkwi przyczyna podstawowa zamierzeń, planów, zarządzeń i decyzji czy to władców formalnych, czy to ich „ramion wykonawczych”. Tkwi ona w bardziej lub mniej skomplikowanej sytuacji kraju, ludu, narodu rządzonego, sytuacji, do której sprawcy historii muszą się na bieżąco przystosowywać, jeśli chcą utrzymać się przy władzy. Sytuację swego kraju – ludu, narodu, państwa, związku państw – trzeba znać, aby nie działać na ślepo. A im lepiej się ją zna, tym większe są szanse działań skutecznych w jego interesie, pośrednio – w interesie władcy i szerzej pojętej wspólnoty interesów władczych (dziś mówi się: establishmentu). W czasach dawniejszych bądź w relatywnie prostych warunkach ustrojowych, np. życia plemiennego, znajomość sytuacji mogła czy może jeszcze być oparta na osobistych spostrzeżeniach i wnioskach władcy. Przypuśćmy, że może tak być w zarządzaniu u plemion jeszcze żyjących z dala od szerokiego świata gdzieś w górskich zakątkach Nowej Gwinei. Im dłuższe dzieje – oczywiście ludów cywilizowanych i mających swe tradycje pisane – im bardziej skomplikowane warunki ustroju politycznego, społecznego i gospodarczego, im większa masa tradycji kulturowych, ponadto im większy kraj, względnie naród, tym bardziej efektywne działania bieżące o pokroju wydarzeń dziejowych, pośrednio niezliczona ilość działań na pozór nieważkich, zależne są od obiektywnie pewnych bieżących rozpoznania sytuacji kraju rządzonego. A wobec coraz ściślejszych związków między poszczególnymi krajami, zwłaszcza sąsiadującymi ze sobą, bieżące rozpoznania sytuacji obejmować muszą stopniowo coraz większy zasięg. Już od dawna nie wystarczają oczy, uszy i rozum władcy.

Konieczna stała się i stopniowo coraz większą rolę odgrywa sztuka informacyjna – z reguły jako szpiegostwo potępiana i w miarę możliwości karana przez władców innych, natomiast coraz bardziej ceniona przez swoich – pomimo nierzadkich sprzeczności z moralnością w zakresie bezpośrednich stosunków międzyludzkich.

Co prawda, im dłuższe dzieje, tym bardziej potrzebna jest znajomość nie tylko bieżącej sytuacji, lecz również niejako na zapleczu tejże tkwiącej – historii własnego kraju. W czasach dzisiejszych – historii niemal całej ludzkości. Sytuacja i chwila bieżąca stanowi bowiem wypadkową całej historii kraju własnego i pośrednio krajów innych, zwłaszcza sąsiedzkich. W tym tkwi – jak już o tym była mowa wcześniej – istotna potrzeba nauczania historii, potrzeba niezależna od osobistych czy grupowych interesów władców (establishmentu). Zgodnie z tym wszędzie naucza się historii niezależnie od jakości uzasadnienia potrzeby tego działania. Wszędzie też stopniowo coraz wszechstronniej i w związku z wieloma naukami (zazwyczaj zwanymi – politycznymi) przekazuje się wiedzę historyczną, szczególnie z czasów nieodległych, adeptom kariery politycznej i społecznej. Nie ma bowiem wątpliwości, że im lepsza jakość wiedzy historyczno-politologicznej kadry rządzącej, tym większe są szanse trafnego przystosowania działań w szerokim sensie tego słowa politycznych (dotyczących losów danego kraju) do obiektywnych warunków, których znajomość i respektowanie umożliwia realizację celów władców czy establishmentu pośrednio zaś w jakiejś mierze – niełatwej do ustalenia – obiektywnych interesów ich kraju.

Tak przeto dochodzimy do unaocznienia faktu bliskiej zależności aktualnych wydarzeń historycznych od dziejów danego kraju. W zasadzie – od całości tychże, szczególnie jednak od dziejów relatywnie bliskich współczesności. Rozumie się bowiem, że – np. w odniesieniu do Polski – relatywnie bardziej potrzebna jest znajomość historii wieku bieżącego niż XIX, ta z kolei bardziej niż XVIII itd. Nie przeczy to możliwości, że niektóre wydarzenia historyczne z czasów Jagiellonów, a nawet Piastów, mogą być bardziej pouczające dla ludzi władających krajem niż niektóre wydarzenia – też historyczne i udokumentowane – z minionych lat trzydziestu. Poniekąd również bardziej interesujące młodzież uczącą się historii Polski.

Czy można wymierzyć lub niechby tylko jako tako racjonalnie ocenić wpływ przeszłości danego kraju na jego współczesność, a więc zarazem na bieżące wydarzenia historyczne? W historiografii nieraz poruszano to pytanie, co prawda zazwyczaj w szczególnej postaci i w zawężeniu: Czy,

względnie jak dalece zamierzenia, plany i decyzje władców były zgodne bądź – przeciwnie – niezgodne z interesami kraju rządzonego przez nich, rzekomo obiektywnie obecnymi w jego dziejach? Ileż to sporów – w związku z tym – toczono w czasach rozbiorów nad najbardziej trafnymi koncepcjami politycznymi Polski. W gruncie rzeczy sytuacja nie zmieniła się i obecnie, chociaż spory mają teraz inny charakter niż wówczas, gdy głos w tej sprawie zabierali profesorowie historii Polski i politycy. Skąd wynikają tego rodzaju spory i dlaczego zdają się mieć charakter permanentny? Z różnego pojmowania interesów i dróg do przyszłości danego kraju pomimo w zasadzie jednakowej znajomości jego dziejów. Znaczy to, że zamierzenia, plany, konkretne projekty oraz decyzje władców o znaczeniu wydarzeń historycznych są tylko częściowo przystosowane do historii i do współczesności, jako – w danej chwili – jej etapu końcowego. Częściowo – w różnych wypadkach niejednakowo – wynikają również pośrednio z potrzeb establishmentu. W jakiejś mierze, trudnej do określenia czy zmierzenia, potrzeby władców bądź establishmentu mniej lub bardziej odzwierciedlają potrzeby samych obywateli. Na tej drodze stanowią wyraz wzruszeń i namiętności „ludu” rządzonego: gniewu, strachu, nienawiści, poczucia wspólnoty, przywiązania do ojczyzny, ambicji patriotycznych itp. Niełatwo ani w sposób ogólny, ani w odniesieniu do konkretnej sytuacji dziejowej wyjaśnić poszczególne uzależnienia. Niełatwo więc ustalić dokładnie, jak dalece historia i jej „powierzchnia”, tj. bieżąca współczesność danego kraju, determinuje poczynania władców, a jaka w porównaniu z nią jest siła interesów i namiętności też przecież w pewnej mierze ukształtowanych historycznie w konkretnym przebiegu dziejów danego kraju, ponieważ również dziejów sąsiadów i krajów dalszych.

Osobno uwzględnić tu trzeba wpływ znajomości dziejów danego kraju (łącznie z dziejami kultury) i jego współczesności przez masy „szarych” obywateli na wydarzenia historyczne w formie zamierzeń, trendów, konkretnych planów, decyzji, zarządzeń i prawa, w sposób widoczny ustalanych przez zespoły władców, np. przez parlamenty. Intuicyjnie jest to oczywiste, a w wielu wypadkach również źródłowo stwierdzone i stwierdzalne, że plany, zarządzenia czy prawa formalne ustalone przez reprezentantów danego narodu odzwierciedlają oparte na znajomości historii namiętności, obawy, pragnienia narodu, bynajmniej nie podzielane przez władców lub tylko częściowo i z zastrzeżeniami uznawane przez nich za słuszne. Rzecz w tym, że władcy (czy rzecznicy establishmentu) we własnym interesie bądź pod wpływem opinii publicznej ustępują żądaniom,

które w świetle własnego rozpoznania współczesności uważają za mniej lub bardziej błędne, niebezpieczne, a nawet zgubne. A zatem również na tej drodze dzieje i współczesność danego narodu wywierają wpływ na coraz to nowe wydarzenia historyczne, np. w formie porozumień z sąsiadami czy ważkich decyzji w zakresie prawa karnego. Tak czy owak, „obecność” historii – w postaci określonej wiedzy i napędów uczuciowych – w świadomości zarówno władców, jak i podwładnych, należy do podstawowych uzależnień bieżących wydarzeń historycznych. Gdyby świadomość tę zmienić, stosownie do rozmiarów i jakości zmian bieżące wydarzenia historyczne w danym kraju uległyby przeobrażeniom odpowiednim pomimo relatywnej stałości pozostałych uzależnień biegu dziejów. Dotyczy to w szczególności uzależnień od szeroko pojętych warunków środowiskowych, o czym z kolei będzie mowa.

W związku z rolą „pamięci historycznej” jako czynnika wywierającego wpływ na inicjatywy do wydarzeń historycznych, poniekąd również na ich przebieg, warto na koniec przypomnieć znany fakt, że tradycja, pośrednio zaś ogół informacji o dziejach przekazywanych nowym pokoleniom (władców i podwładnych), ma w różnych krajach i przy innych czynnikach relatywnie stałych moc niejednakową. W jednych krajach nieomal wszystkie inicjatywy do nowych wydarzeń oraz reakcje na ich przebieg zdają się zależne od „pamięci historycznej”. W krajach innych na plan pierwszy zdają się wysuwać czynniki inne, w szczególności osobowościowe i środowiskowe. Z jednej strony do czynienia mamy z „chińszczyzną”, jako daleko posuniętą uległością wobec tradycji i odpowiednim skostnieniem bieżących działań i form życia (np. Chiny, Samaria – część starożytnego Izraela), ze strony drugiej – z daleko posuniętą gotowością do zmiany trybu postępowania pod wpływem nowych warunków życia. Pośrednio – do działań i decyzji mniej lub bardziej historycznych, niemal namacalnie dyktowanych aktualnymi interesami władców (establishmentu), a nie „pamięcią historyczną” danego kraju (np. USA).

## **Środowiskowe uzależnienia wydarzeń dziejowych**

Stary to pogląd, w myśl którego przebieg wydarzeń historycznych, razem z dziejów ujmowanych całościowo, uzależniony jest przede wszystkim od przyrodniczych warunków życia społecznego. Skłaniało się ku niemu wielu historyków, spośród nowych Karl Lamprecht, bardzo wpływowy i płodny historyk niemiecki. Wydaje się, że nikt nie lekceważył przyrod-

niczych warunków dziejów, jednakże różni historycy (socjologdy, filozofowie) przypisywali im niejednakową moc względną. Jedni akcentowali ją, inni traktowali raczej marginesowo.

Nietrudno wyjaśnić dawniejsze i współcześnie utrzymujące się rozbieżności zapatrywań w tej sprawie. Jest ona ogromnie złożona. Złożoność jej wzrasta niepomrotnie, im bardziej zbliżamy się do współczesności, szczególnie do wydarzeń historycznych w wielkich krajach z cywilizacją naukowo-techniczną. Wielość uzależnień i ich komplikacja nie daje podstaw do definitywnego ustalenia uzależnień w postaci praw, niechby tylko zbliżonych do praw przyrodniczych. Rozwiązywanie tego zagadnienia za pomocą samej tylko metody historycznej, tj. głównie w oparciu o źródła pisane, z góry skazane jest na niepowodzenie. Natomiast harmonijne uwzględnienie metod roboczych wielu nauk jest, względnie byłoby co najmniej nad wyraz trudne, jeśli w ogóle praktycznie wykonalne. W rezultacie pozostaje poprzestawanie na poglądach intuicyjnych, tj. na filozofowaniu w powyższej sprawie. Oto usprawiedliwienie autora poglądu następującego:

Wobec tego, że z przyrodniczych uwarunkowań wydarzeń historycznych już uwzględniono wcześniej uzależnienie od konstytucji psychofizycznej (jako dla częściowego podłoża cech osobowości ujawnianych w działaniu), do rozpatrzenia pozostaje stara, wciąż sporna sprawa środowiskowych przyczyn wydarzeń historycznych. Głównie chodziło i chodzi tu nadal o przyczyny w postaci warunków geograficznych, zwanych niekiedy (w związku z historią i polityką) geopolitycznymi. Konkretnie rzecz biorąc chodzi o: stosunki ludnościowe (demograficzne), w ich obrębie – o wielkość zaludnienia i o ruchy ludnościowe, proces starzenia się ludności; o wielkość danego kraju, jego położenie geograficzne, w szczególności o szerokość geograficzną, ukształtowanie pionowe, kształty i długość granic lądowych i morskich, o klimat, względnie o różnicowanie klimatyczne wewnętrzne i w porównaniu z krajami sąsiednimi. W pewnej mierze chodzi również o antropologiczną strukturę ludności. Na marginesie leży sprawa zróżnicowania językowego i kulturowego ludności, chociaż nie są to czynniki przyrodnicze.

Nie ma wątpliwości co do tego, że wszystkie wymienione i inne (niewymienione) warunki środowiska geograficznego (i ludnościowego) wywierają wpływ na powstawanie wydarzeń historycznych; pośrednio – na bieg dziejów danego kraju, w pewnej mierze oczywiście również na bieg dziejów powszechnych. Dwa pytania wyłaniają się z samego przez się różnicowania warunków środowiska geograficznego (i ludnościowego):



1. Jaka jest rola względna każdego z nich z osobna w obrębie całości warunków geograficznych?

2. Jaka jest ich rola względna w porównaniu z warunkami omówionymi w podrozdziałach poprzednich, np. w porównaniu z cechami osobowości (sprawców wydarzeń historycznych) czy z jakością „pamięci historycznej”?

W niniejszym opracowaniu możliwe jest tylko omówienie zarysowe części zagadnień w nich domyślnie zawartych.

Niezależnie od próby określenia roli względnej poszczególnych czynników geograficznych (zarazem „dziejotwórczych”) za pewne uważam twierdzenie, że wpływ względny żadnego z nich nie jest, a nawet nie może być po prostu proporcjonalny do jego wielkości absolutnej, liczbowo wyrażalnej. I tak np. rola Chin w układzie stosunków międzynarodowych nie jest po prostu coraz większa, im bardziej rośnie wielkość zaludnienia tego olbrzymiego kraju. Ani decyzje współczesnych władców chińskich w sprawach wewnętrznych i zagranicznych, ani też decyzje władców krajów ościennych nie są bezpośrednio czy pośrednio przystosowane do chińskiej „eksplozji demograficznej”. Być może jakieś zależności wchodzą tu w rachubę, jednakże ich naukowe określenie wydaje się zadaniem – praktycznie biorąc – niewykonalnym. Z drugiej strony historyczna rola Wielkiej Brytanii w wieku XIX była nieproporcjonalna do wielkości względnej ówczesnego zaludnienia tego kraju. A rola lilipuciego Izraela wydaje się prawie całkiem niezależna od tej wielkości, zwłaszcza jeśli brać w rachubę tylko obywateli narodowości żydowskiej. Znaczy to, że rolę wielkości zaludnienia można rozpatrywać słusznie tylko na tle wszystkich pozostałych warunków geograficznych i wszystkich innych warunków „dziejotwórczych”. Współzależność wszystkich warunków razem wziętych – oto prawidłowość podstawowa w tym zakresie. Nie przeczy ona możliwości wyjątkowo wielkiej roli czynnika pojedynczego lub kilku czynników w dziejach danego kraju.

Rozpatrzmy rzecz w odniesieniu do kilku czynników wybranych, zarazem warunków przeobrażeń historycznych. Niemało jest argumentów na uzasadnienie twierdzenia, że położenie nadmorskie danego kraju i zróżnicowane ukształtowanie wybrzeży, pełnych zatok nadających się na porty, stanowi dar natury niezwykle korzystny dla rozwoju gospodarki i kultury, pośrednio dla roli politycznej i bujności historii danego kraju. Nie ma wątpliwości, że starożytna Hellada „kwitła” w dużej mierze dzięki tym warunkom geograficznym. Warunki te pozostały do dziś niezmienione, a jednak Grecja współczesna należy do krajów najuboższych i najmniej znaczących w basenie Morza Śródziemnego. Z drugiej strony



nieporównanie wielką siłą polityczną, gospodarczą i kulturową rozporządzała Florencja XV i XVI wieku – pomimo braku dostępu do morza. Podobnie ma się obecnie rzecz ze Szwajcarią, krajem relatywnie małym i górzystym (o tyle trudniej dostępnym niż kraje inne), a przecież gospodarczo kwitnącym i politycznie wiele znaczącym, choćby tylko ze względu na siedzibę w Genewie wielu organizacji międzynarodowych.

Poważne znaczenie dla życia pojedynczych ludzi, pośrednio całych narodów, ma szerokość geograficzna, ściślej – klimat od niej uzależniony. Im bardziej zbliżyć się ku kołu podbiegunowemu na półkuli północnej, tym warunki klimatyczne były i są nadal trudniejsze w porównaniu z krajami o klimacie umiarkowanym w granicach między 30 a 55 stopniem północnej szerokości geograficznej. Faktycznie w tych granicach przetaczała się większość wydarzeń historii powszechnej. Nie jest to jednakże stałe „przeznaczenie” przyrodnicze. Wiadomo, że – z różnych przyczyn – pomyślny rozwój gospodarczy obejmuje coraz to nowe stopnie geograficzne krajów zimnych. A są dane na poparcie twierdzenia, że północna Kanada, Alaska i północna Syberia staną się w czasie nieodległym krajinami kwitnącymi gospodarczo, w ślad za tym na polu kulturowym i co do znaczenia politycznego jako części ZSRR, Kanady czy USA. Jak widać, klimat korzystny sam przez się niekoniecznie przyczynia się do pomyślnego rozwoju historycznego (np. Grecja współczesna), zaś klimat z samej natury niekorzystny może dzięki odpowiedniej działalności ludzi w warunkach techniki naukowej nie stanowić trwałej ani nieprzekraczalnej przeszkody dla pomyślnego rozwoju społeczno-gospodarczego i kulturalnego. Oczywiście, trzeba się zgodzić z twierdzeniem, że im gorsze były i są warunki naturalne, tym więcej trudu ludzie muszą wkładać w celu pomyślnego dla siebie przystosowywania się do środowiska. Ale trzeba też stwierdzić fakt, że wielu ludzi jest gotowych do trwale nadzwyczajnego trudu; co więcej, że sens i „smak” życia ludzie uzyskują niekiedy nie tylko w efektach niezwykle trudnej pracy, ale także w samym trudzie, stale noszącym w sobie coś z bohaterstwa. Weźmy tu jako przykład efekty twardej walki Islandczyków o byt powszedni i o pomyślną przyszłość swego kraju.

Niekiedy lub niektóre warunki geograficzne są nad wyraz trudne i niemal absolutnie zdają się pociągać za sobą skutki negatywne dla pomyślnego rozwoju życia społeczno-gospodarczego, politycznego i kulturowego. Odnosi się to przede wszystkim do krajów bardzo wysoko położonych nad poziomem morza, przy tym trudno dostępnych. Do takich należą Tybet i Boliwia. Można się zgodzić, że głównie owe bardzo niekorzystne warunki pociągały za sobą i pociągają nadal słabość zaludnienia,

ubóstwo i wiele skutków pochodnych. W krajach tych historia niejako zwolniła tempo. Czy jednak na stałe i bez szans na szczęśliwą zmianę? Być może niedługo medycyna i technika „manipulowania” atmosferą postąpią naprzód tak dalece, że nawet ludzie najciężej pracujący będą mogli żyć bez trudności fizjologicznych (w zakresie oddychania i krwioobiegu), np. dzięki temu, że łatwo stosowalne urządzenia umożliwią im oddychanie w przybliżeniu takie, jak w warunkach ciśnienia nadmorskiego. A jeśli warunki rozwoju gospodarczego tych i podobnych krain okażą się niezwykle korzystne, nie można by wykluczyć świetnego rozwoju w przyszłości. A zatem, determinizm środowiska geograficznego, jako układu warunków dla rozwoju społecznego i dla kształtowania dziejów nie jest absolutny i niezmienny. Zawsze wymaga on uwzględnienia: motywacji ludzi do efektywnego działania, postępów wiedzy naukowej, techniki, niemniej cech charakteru i woli.

W związku z tym poruszyć wypada problem pograniczny, mianowicie – uzależnienia wydarzeń historycznych i dziejowych, całościowo rozpatrywanych, od cech i typów antropologicznych, tj. w zasadzie składników przyrodniczego wyposażenia bytu ludzkiego. Poznawaniem cech i typów antropologicznych zajmuje się od przeszło stu lat antropologia, nauka obecnie już rozporządzająca daleko zaawansowaną wiedzą ścisłą, opartą na dokładnych pomiarach (antropometrycznych) i – przeważnie na statystycznych metodach korelacji. W szczególności zaawansowane są (w antropologii współczesnej) wyniki badań korelacyjnych nad fizycznymi i psychicznymi cechami niektórych typów antropologicznych.

W przeciwieństwie do antropologii charakter doktrynerski, przeważnie społeczno-polityczny, mają wszelkie ideologie rasistowskie, w myśl których pewne rasy bądź jedna tylko są przez naturę uprzywilejowane. Daje to – rzekomo – prawo do władania nad rasami i narodami innymi. Narodami – gdyż rasizm stanowi pewną odmianę nacjonalizmu szowinistycznego, wrogiego dla pokojowego współżycia między narodami. Rasizm hitlerowski był tylko jedną z wielu odmian tak pojętego rasizmu – szowinizmu.

Tutaj nie ma ani potrzeby, ani miejsca na szczegółowe rozpatrywanie rasizmu. Wypada natomiast choć pokrótce skupić uwagę na pytaniach, czy w ogóle, a jeśli tak, to w jakiej mierze wydarzenia historyczne są uzależnione od przynależności sprawców tychże do określonych typów rasowych bądź szerzej pojętych ras? Warto przy tym zauważyć, że formalnie pytania te nie odbiegają wiele od poruszanych już wcześniej zagadnień uzależnienia poczynąń ludzkich od przynależności do typów konstytucji

psychofizycznej. Otóż, podobnie jak tam, tak i tutaj stawiam sprawę pryncypialnie tak, że zachodzi prawdopodobieństwo zależności pośredniej na postępowanie, i to znów głównie w zakresie zróżnicowanego napędu do reakcji uczuciowych.

Natomiast w świetle naukowej wiedzy antropopsychologicznej brak podstaw do twierdzenia czy do wypracowywania poglądu, jakoby pewne rasy były bardziej inteligentne czy też bardziej uzdolnione do aktywności twórczej niż rasy inne. Nie przeczy to już wystarczająco udokumentowanym faktom, świadczącym o występowaniu różnicowań intelektualnych w obrębie każdej rasy; oczywiście również – każdego narodu. Jednakże jest to wysoce prawdopodobne, że każdy naród potrafi wyłonić z siebie – niezależnie od tego, czy obejmuje jeden czy wiele typów rasowych – dowolną ilość „czołówek” intelektualnych, nie gorszych od „czołówek” narodów innych. Zależne to jest istotnie od kształtowania, a nie od dziedzictwa biologicznego. Osobna jest sprawa szczególnych zainteresowań czy zamiłowań pewnych ludów do tańca, do muzyki i w ogóle do ekspresji artystycznej. Przyczyna tkwi w kulturze danego ludu, przekazywanej młodym pokoleniom od wczesnych lat życia, a nie w genach, pociągających za sobą zróżnicowanie cech i typów antropologicznych.

## **Historyczna rola tzw. wielkich ludzi**

Stare to zagadnienie, jak wielką rolę dziejową odegrali czy nadal odgrywają tzw. wielcy ludzie. Tutaj chodzi – oczywiście – o ludzi wielkich jako o bezpośrednich i pośrednich sprawców wydarzeń historycznych o zasięgu wyjątkowym. Uwzględnić można by również genialnych twórców kultury, w szczególności sztuki, nauki i filozofii, z tym jednak zastrzeżeniem, że ich oddziaływanie ograniczały się na ogół do postępów i recepcji kultury i że nierzadko ujawniały się w całej pełni nie za życia twórców. A zatem w zakresie historii, jakiej uczą się Europejczycy, praktycznie biorąc, chodzi o wielkich władców, zdobywców, odkrywców i polityków np. rangi Aleksandra Wielkiego, Cezara, cesarza Augusta, Kolumba, Ludwika XIV, Piotra Wielkiego czy Napoleona.

Z punktu widzenia pojęć zmienności indywidualnej i rozsiewu statystycznego rozumie się to samo przez się, że w ogromnej masie sprawców uwiecznionych w źródłach pisanych muszą się znaleźć jednostki całkiem wyjątkowe, tj. o niemal „nadludzkiem” – w opinii mas – oddziaływaniu na bieżące wydarzenia historyczne (we własnym kraju, pośrednio w krajach

innych), w ślad za tym – na bieg dziejów. Mimo to niełatwo odpowiedzieć teoretycznie na pytania:

1. Kogo można słusznie do nich zaliczyć?

2. Jak oceniać, a może nawet mierzyć ich wielkość historyczną?

Pytania to niełatwe, przede wszystkim z uwagi na szczególne źródło błędów możliwych i faktycznie popełnionych. Tkwią one głównie w takich oto faktach:

1. Ludzie historycznie wielcy to prawie wyłącznie władcy różnego pokroju.

2. Władcy stwarzali „aureolę” wielkości, wspaniałomyślności i wyjątkowości dokoła swej osoby.

Mieli, względnie nadal mają po temu relatywnie najwięcej możliwości i korzystali z nich. Niemal każdy człowiek we własnym interesie lub pod wpływem złudzeń co do swej wartości stara się – umyślnie bądź bezwiednie – o uzyskiwanie ocen własnych cech ponad ich jakość rzeczywistą. Nie każdy jednak ma jednakowe szanse po temu, aby jego „podobizna w społecznym zwierciadle” odbiegała daleko wzwyż od rzeczywistości. Władcy mają czy mieli te szanse. A im więcej władzy, tym więcej szans. Rzymianie ubóstwiali cesarza Augusta, a jego następcy po prostu sami siebie ubóstwiali i kazali budować sobie świątynie i stawiać posągi. Formalną zasadę z czasów cesarstwa rzymskiego: *princeps legibus solutus* (władca jest ponad prawem) faktycznie usiłowali stosować czy rzeczywiście w miarę możliwości stosowali władcy każdego czasu. Nie postępowali tak dalece ostentacyjnie wszyscy ludzie z pełnią władzy w ręku, praktycznie jednak wywyższali się czy kazali się wywyższać w zasadzie tak samo jak cesarze. W takim stanie rzeczy „chwała”, „nieśmiertelność” i wielkość ludzi skądinąd historycznie bez wątpienia wielkich jest w źródłach historycznych na ogół zwielokrotniona w stosunku do zasług i oddziaływań obiektywnych. Przy tym wobec wielowiekowego utrwalenia historycznych ocen niełatwo uczonym o ich sprowadzenie (obniżenie) do granic rozsądnych. Trudność osobną stanowi ponadto subiektywny podkład wszystkich ocen, jako rezultatu wartościowania, nigdy nie opartego po prostu i tylko na stwierdzeniach faktów.

Nie wynika z tego, że sprawcy wydarzeń dziejowych od dawna i nadal uznawani za wielkich nie byli wielcy po „odliczeniu” nimbu ukształtowanego dzięki władzy i propagandzie. Natomiast wynika potrzeba realistycznego rozpatrywania przyczyn i skutków ich wielkości obiektywnej. Ludy czy narody nie „ubóstwiały” spośród swych władców byle kogo i za byle co. A więc kogo i za co? W ujęciu ogólnym tak właśnie odnosiły się

do władców, którzy umieli sprostać potrzebom „swego ludu” – przeważnie i przede wszystkim potrzebom bytowym i ambicyjnym –, których spełnienie wymagało wyjątkowo wysokiej jakości cech umysłu i charakteru w ślad za tym – wyjątkowo wielkich trudów i poświęceń. W tym sensie – bohaterstwa. Co prawda, tylko niektórym bohaterom współcześni i historycy przyznali znaczenie wielkości, a to dlatego, że tylko niektórzy z nich okazali się sprawcami wydarzeń historycznych na wielką skalę współcześnie i w następstwach dalszych.

O jakie to wydarzenia chodzi głównie, gdy mówi się o ludziach wielkich (poza obrębem kultury)? W skali plemiennej czy narodowej – o wydarzenia w zakresie organizacji społecznej, gospodarczej, dzięki którym dany lud czy naród stał się niezwykle silny. Stał się syty, praworządny, zabezpieczony w życiu pojedynczego obywatela. W skali międzyludowej czy międzynarodowej chodzi tu o wydarzenia wojenne bądź polityczne, wskutek których stał się mocniejszy od swych sąsiadów; wprost lub pośrednio zapanował nad nimi i stosownie do tych skutków urósł w międzynarodowym znaczeniu.

Kryteriom tym odpowiadają setki sprawców wydarzeń historycznych, znanych z dziejów powszechnych. Jednakże historia dostrzegła tylko co najwyżej kilkudziesięciu, jeśli nie jedynie kilkunastu. Znaczy to, że w intuicyjnym rozumieniu pierwszoplanowej wielkości historycznej – na którym tutaj się opieram – potrzebne jest jeszcze pewne zagęszczenie sita selekcyjnego. Otóż niemal wszyscy kandydaci do wyjątkowej wielkości dziejowej – typowani przez historyków, biografów lub literatów – oprócz całkiem wyjątkowego spełnienia potrzeb swego ludu czy narodu oraz stworzenia jego potęgi i odpowiedniego uniżenia sąsiadów wywarli i długo wywierali wpływ cywilizacyjny doniosły w skali międzynarodowej, a zatem wpływ dodatni i ważny również dla państw czy narodów podbitych lub w jakikolwiek sposób przez nich poszkodowanych.

Spójrzmy w związku z tym na parę przykładów. Nie ma historyka, który by nie zaliczył Aleksandra Wielkiego (Macedońskiego) do czołowych postaci dziejów powszechnych (świata śródziemnomorskiego). Dlaczego? Najpierw dlatego, że zjednoczył Greków, podbił imperium perskie i wiele ludów i że swoją wyprawą wojenną – nieomal na krańce ówczesnego świata cywilizowanego – stworzył w świecie starożytnym trwały nimb wokół swojej osoby. Oczywiście, również dlatego, że spełnił ponad wszelkie marzenia potrzeby bytowe i prestiżowe małego narodu macedońskiego. Ale nie tylko dlatego. Historycy jednomyślnie podnosili już w czasach starożytnych kulturotwórczą i organizacyjną rolę Aleksandra

Wielkiego, jako „roznosiciela” hellenizmu, tj. kultury stworzonej przez liczne małe miasta-państwa starej Grecji. Hellenizm zdomował się w starożytnym Rzymie i stał się na długi czas uniwersalną podstawą kultury ludów śródziemnomorskich. A zatem Aleksander nie tylko wojował i zabijał w interesie własnym i swych Macedończyków, ale również tworzył kulturę, względnie przyczyniał się walnie do rozwoju kultury.

Podobne rozumowania – oczywiście z uwzględnieniem innych wydarzeń dziejowych – znaleźć można w dziełach historyków traktujących o Juliuszu Cezarze i cesarzu Auguście lub o Napoleonie. Ten ostatni niemal zdziesiątkował Francuzów licznymi, przeważnie zwycięskimi wojnami. A jednak żywy kult Napoleona utrzymywał się we Francji jeszcze pod koniec XIX wieku. A również w opinii historyków postronnych należy on do pierwszoplanowych sprawców dziejów nowożytnych. Czy tylko dlatego, że w ciągu lat kilkunastu „trząsł” całą Europą? Nie tylko. Ponadto bowiem dlatego, że „roznosił” po Europie demokratyczne ideały Wielkiej Rewolucji Francuskiej, sam będąc tyranem. Poniekąd również dlatego, że nowocześnie uporządkował prawodawstwo i że na dużą skalę przyczynił się do umocnienia w krajach europejskich przodującej w jego czasach kultury francuskiej.

Do podobnych wniosków doszlibyśmy rozpatrując przykłady inne. Uogólniając, powiemy, że wielkość historyczna „nadludzi”, tj. kapitalnych sprawców wydarzeń dziejowych, leży – poza skutkami autoreklamy i propagandy – częściowo w jednakowym wartościowaniu pozytywnym przez historyków kulturotwórczej i społecznie „postępowej” roli tych to sprawców w skali międzynarodowej. Znaczy to, że w wypadku istotnych różnic w kryteriach i skalach wartości, eksplicite lub domyślnie przyjmowanych przez różnych historyków – odpowiednio muszą się zmieniać zestawy i podobizny czołowych „bohaterów” historii. Z kolei – „bohaterów” nieco mniejszego formatu, drugorzędnych itd.

Czy można ich wielkość mierzyć bez uwzględnienia skutków władzy (w postaci autoreklamy i propagandy) oraz tożsamości kryteriów ocen stosowanych przez historyków, biografów itp.? W pewnej mierze można, a to w oparciu o źródła krytycznie objaśnione. Chodzi o źródłową stwierdzalność oddziaływań: politycznych, wojennych, organizacyjnych, ekonomicznych, społecznych, prawnych i kulturowych w danym kraju i w krajach ościennych. Niektóre z tych oddziaływań są oczywiste dla zupełnych laików w historiografii. Na przykład takie oto, jak zwycięskie bitwy, wielkość zdobyczy wojennych – łupów, terenów zagarniętych, jeńców pojmanych itp. – poddanie się przeciwników, wymuszanie kontrybu-



cji czy corocznych okupów, przekazanie zwycięzcy zakładników; dalej – zmuszanie krajów podbitych do wprowadzenia w nich zmian społecznych, gospodarczych czy organizacyjnych korzystnych dla zwycięzcy; dalej – przenikanie kultury kraju zwycięskiego i jego mowy do kraju podbitego czy w jakiś inny sposób uzależnionego itp. O wielu z tego rodzaju oddziaływań mówi się w podręcznikach historii już na poziomie szkoły podstawowej. Z odnośnych informacji składają się elementarze historii powszechnej. Inną rzeczą jest to, czy w ogóle, a jeśli tak, to jak dalece informacje te, względnie odpowiednie wydarzenia świadczą o wielkości konkretnego „bohatera” dziejów, a jak dalece o inicjatywie, przedsiębiorczości i energii jego najbliższej ekipy, dalszego establishmentu, ostatecznie – całego ludu czy narodu „stojącego za bohaterem historycznym”, a bezpośrednio niewidocznego, bo w źródłach albo wcale nie uwiecznionego, albo tylko częściowo lub mimochodem. To wiąże się z omówioną wcześniej przewagą władców nad poddanymi m.in. w zakresie sposobów i rozmiaru upamiętniania życia. Razem wzięwszy, wprowadźmy pojęcie wielkich ludzi historii nie jest bezpodstawne, ale naukowe ustalenia rozmiaru ich wielkości, zwłaszcza rozmiaru czasowego (tj. co do wpływu na pokolenia dalsze) było, jest i zapewne pozostanie problemem nad wyraz trudnym. Problemem z czasem prawdopodobnie rozwiązywalnym, jednakże tylko w granicach umownych.

## **Sprawa tzw. przypadków historycznych**

Wszelkie zjawiska, a zatem również wydarzenia historyczne, mają swoje przyczyny. Oto jedno z podstawowych założeń myślenia racjonalnego, w szczególności naukowego. Nazwać można je zwięźle: założeniem powszechnego determinizmu. Czy z deterministycznego punktu widzenia można mówić o przypadkowości jakichkolwiek wydarzeń, m.in. wydarzeń historycznych? Na pewno nie, jeśli ktoś przez przypadkowość rozumie bezprzyczynowość. Natomiast można i mówi się słusznie, jeśli na uwadze mamy nieprzewidywalność wydarzeń bądź przewidywalność ułamkową czy wątpliwą. Niekiedy mówi się też o przypadkowości w wypadkach całkowitej lub częściowej nieznanomości przyczyn. Co prawda, w takich wypadkach w grę wchodzi przede wszystkim brak odpowiedniej wiedzy osobistej, potem dopiero brak poznania obiektywnego. Wiele rozpraw napisano w powyższej sprawie ze stanowiska logicznego, epistemologicznego i statystycznego, co nas jednak tutaj może nie obchodzić.



W rzeczy niniejszej pojęcie przypadkowości ma sens tylko w świetle odwiecznie rozpatrywanych pytań, czy nieprzewidziane wydarzenia historyczne, w szczególności polityczne, wywierały wpływ przełomowy w biegu dziejów oraz – co się z tym wiąże – czy w braku tych wydarzeń bieg dziejów byłby inny, względnie jak dalece inny. Sprawę ujmuje się prosto w mowie potocznej: Co byłoby, gdyby to czy tamto się nie wydarzyło? Żartobliwie mówi się o „gdybologii”.

Rozpatrzmy sprawę konkretnie na paru przykładach:

1. Jak potoczyłyby się dzieje starożytnego Wschodu, gdyby Aleksander Wielki nie umarł nagle w młodym wieku i gdyby przeżył jeszcze kilkadziesiąt lat?

2. Jak potoczyłyby się dzieje nowożytne, gdyby Kolumbowi nie udało się dotrzeć do Ameryki? Wszak jego fregaty były to przysłowiowe łupiny-łajby, a nie statki pełnomorskie.

3. Co stałoby się, gdyby Bismarck nie wysłał swej „depeszy emskiej”? Wszak niekoniecznie była zaplanowana, a reakcja Napoleona III raczej nie do przewidzenia.

Tysiące przykładów tego pokroju można by tu rozpatrywać. Na dobrą sprawę można by „gdybizm” zastosować do niemal wszystkich, wielkich czy małych, wydarzeń historycznych. Ba, również do wydarzeń z osobistego życia ludzi „szarych”. Ostatecznie zaś czy to wielcy i historycznie znani, czy to mali ludzie „prywatni” mogą jako tako trafnie przewidywać tylko drobną część najbliższych wydarzeń swego życia czy to w stosunkach międzyludzkich, czy to w układzie zjawisk przyrodniczych. A zatem niezliczona ilość wydarzeń (wielkich czy znikomych) mogłaby, a nawet musiałaby się potoczyć inaczej, gdyby takie czy inne „przypadki” nie miały miejsca.

Czy znaczy to, że bieg dziejów lub bieg życia osobistego ludzi małych potoczyłyby się całkiem inaczej, gdyby nie owe „przypadki” lub gdyby treść tychże i przebieg były inne? Tutaj tkwi sedno zagadnienia. Rozpatrzmy je znów na kanwie dowolnie wybranych przykładów.

Czy historia starożytnego Wschodu potoczyłaby się całkiem inaczej, gdyby Aleksander Wielki przeżył jeszcze jakieś 20–30 lat? Do jako tako racjonalnej odpowiedzi potrzebne jest przypomnienie pewnych wydarzeń, jakie nastąpiły po jego śmierci i potoczyły się w okresie walk tzw. diadochów o spadek po wielkim wodzu i zdobywcy. Przede wszystkim dość szybko nastąpił faktyczny podział ogromnego imperium pomiędzy kilku wodzów macedońskich: Seleukosa, Ptolemeusza, Antigonosa, Demetriosa i innych, przy czym dość rychło – po bitwie pod Ipsos w roku 301 – ostali

się tylko pierwsi trzej, z kolei ich następcy. Dlaczego? Otóż gdyby nawet Aleksander Wielki żył do późnego wieku, niemożliwe byłoby utrzymanie na dłuższy czas spójności jego imperium wobec ogromnych różnic kulturowych i etnicznych między indoeuropejską Macedonią i Grecją, chemicznym Egiptem a semicką Syrią z Mezopotamią. A wchłonięcie na czas dłuższy do imperium północno-zachodnich Indii już w czasie wyprawy do tego kraju okazało się nierealne. Prawdopodobnie jeszcze za – dłuższego niż Parki na to pozwoliłyby – życia Aleksandra doszłoby do praktycznego, jeśli nie formalnego podziału jego imperium. I to niezależnie od uzdolnień wodzów dzielnicowych, od ich lojalności, sławy ich nazwisk, powiązań osobistych z Aleksandrem itp. Z wielu powodów Macedończyków razem z buntowniczymi Grekami nie było stać na utrzymanie i scementowanie imperium jako politycznej całości. Znaczący to, że w wypadku długowieczności Aleksandra Wielkiego bieg dziejów Grecji z Macedonią, państw wasali z Małej Azji, Syrii i Mezopotamii, Persji i Egiptu byłby w przybliżeniu taki sam, jaki znamy z historii.

Zastanówmy się z kolei nad Kolumbem i jego odkryciem Ameryki. Nie ma wątpliwości, że „sto przyczyn” mogło spowodować całkowite niepowodzenie jego tak wiekopomnej wyprawy. Co stało czy działo się w rezultacie jej powodzenia – wiadomo z elementarzy historycznych. Nie wiadomo z nich, co stałoby się w wypadku niepowodzenia. Pomimo to zarysowe usunięcie tej niewiedzy wydaje się relatywnie proste. Znalazłby się inny „Kolumb”, a gdyby i drugiemu się nie powiodło – trzeci, czwarty i jeszcze dalszy. Jest to prawdopodobne, ponieważ „Europa” od dawna nastawiała się na tzw. drogę zachodnią do Indii, wymarzonego kraju złota, pereł i korzeni; ponieważ istniały już poniekąd naukowe i nawigacyjno-techniczne przesłanki do odważnych prób podróży dokoła świata; ponieważ Turcy blokowali drogę wschodnią do Indii przez kraje arabskie; ponieważ powszechna była iluzja wśród ówczesnych geografów co do relatywnej bliskości Indii od strony zachodniej. Rozumie się, że w czasie kilkakrotnie ponawianych niepowodzeń „Kolumb” domniemany odkryłby Amerykę nieco później niż Kolumb historyczny, jednakże różnica nawet stu lat nie pociągnęłaby za sobą radykalnie innego biegu dziejów Nowego Świata. Układ sił i warunków w Europie Zachodniej był taki, że głównie Portugalczycy, Hiszpanie, Francuzi i Anglicy wchodzili w rachubę jako zdobywcy i kolonizatorzy, jeśli nie odkrywcy.

Idzie za tym wniosek ogólny, że konkretny układ sił politycznych, strategicznych, demograficznych, gospodarczych i społecznych, poniekąd również kulturowych, wyznaczał bieg historii, a nie takie czy inne

„przypadki”, np. „przypadki” w postaci przedwczesnej śmierci, szczęśliwych małżeństw, powodzenia wypraw wojennych, klęsk na polach bitwy, moru itp. Znaczy to również, że moc historycznego oddziaływania nawet największych mężów stanu czy wodzów była i jest relatywnie mała w porównaniu z nieosobistymi siłami wymienionymi wyżej. Wnioski te prowadzą do ogólnego zagadnienia „mechanizmu” historii.

## **Podstawowe „mechanizmy” historii**

Tylko niektórzy ludzie byli, względnie są sprawcami udokumentowanych wydarzeń historycznych, jednakże przez widoczne oddziaływania ludzi wyjątkowych z punktu widzenia źródeł domyślać się można wpływu pośredniego – teoretycznie rzecz biorąc – ludzi wszystkich. Nawet nieporozne wyniki działań ludzi już dawno przeminionych wywierają pewien wpływ na działania ludzi żyjących. Wywierają go poprzez pamięć i rozumienie śladów minionego życia. Znaczy to, że działalność uwidoczniiona w źródłach historycznych, w szczególności w źródłach pisanych, świadczy o obecności i wpływie w zasadzie tych samych motorów ludzkich poczynań, które decydują o aktywności powszedniej ludzi zwykłych, którzy nie weszli do historii nawet małego środowiska, w jakim się obracali czy jeszcze obracają. Motory te omówiłem obszernie w rozdziale na temat psychologii i filozofii człowieka. Tutaj nawiążę do myśli przewodniej części tamtego rozdziału i wyciągnę wnioski z punktu widzenia zagadnienia istotnych sprzężyn historii.

Podstawową potrzebą, zarazem motorem aktywności pojedynczych (nie żyjących z pracy czy na koszt ludzi innych – jak np. dzieci) jest walka o byt, tj. ogół starań, trosk, poczynań perspektywicznych, form pracy i zabiegów o sprawy codzienne, służących zabezpieczeniu przed głodem, niedostatkiem, przed niekorzystnymi warunkami atmosferycznymi itp.

W walce o byt zawsze i wszędzie na plan pierwszy wysuwały się działania celem zabezpieczenia przed głodem, względnie pokonywania głodu aktualnego, np. w formie przygotowywania potraw. Było i jest tak dlatego, że w życiu ludzi (i wszystkich innych gatunków zwierząt, a nawet w ogóle istot żywych) potrzebny jest stale dowóz „paliwa” i „budulca” do w przybliżeniu stale jednakowego metabolizmu podstawowego, czyli według terminu powszedniego – do przemiany materii. Dzień w dzień od narodzin do zgonu trzeba dostarczyć ludziom w przybliżeniu jednakowej dawki kalorii z żywności jakościowo zróżnicowanej, a to stosownie do budowy

organizmu i do faktu, że ludzie są wszystkożerni. Ludziom dorosłym średnio około 2 500 kalorii na dobę. Rozumie się, że gdyby budowa (anatomiczna i fizjologiczna) „maszyn ludzkich” była inna, niż jest faktycznie, odpowiednio różniłyby się zasady, również warunki walki o byt w zakresie głodu i zjawisk pochodnych. W porównaniu z pokonywaniem głodu, względnie z zabezpieczeniem się przed nim, np. przed niedostatkim żywnościowym, walka o dach nad głową i o odzież miała zawsze znaczenie drugoplanowe, przede wszystkim zaś zmienne, bo wysoce zależne od warunków klimatycznych i od wymogów cywilizacyjnych. Nie przeczy temu fakt, że w życiu ludzi sytych i w pełni zabezpieczonych przed widmem głodu, przy tym zamożnych, mieszkanie, odzież i luksus zajmują miejsca pierwszorzędne.

W życiu ludów pierwotnych, nieustannie borykających się z trudnymi warunkami środowiskowymi – np. w życiu tubylców Australii lub Eskimosów – związek niemal wszelkiej aktywności z głodem czy z niedostatkim żywności jest oczywisty. W miarę komplikowania się życia społecznego, a zwłaszcza w ramach cywilizacji naukowo-technicznej powiązania aktywności pojedynczych ludzi z głodem i niedostatkim wydają się lub mogą się wydawać niewyraźne – jeśli przeoczyć fakt, że w zasadzie trzeba pracować, aby otrzymać środki na zakup żywności czy na korzystanie z restauracji. W niezliczonych już formach działalności zawodowej bezpośrednie związki z żywnością, względnie z jej zdobywaniem nie istnieją wcale, a niejednemu konsumentowi może się wydawać, że związki te są przygodne. W ślad za tym wydawać może się i to, że konflikty międzynarodowe wszelkiego rodzaju – w granicach między otwartą wojną a wzajemnym „zwodzeniem się” dyplomatów – mają głównie charakter walki prestiżowej lub wierzeniowej. Prościej mówić, że „czołówkom” rządzącym, zwłaszcza zaś przywódcom w szerokim sensie tego słowa, chodzi przede wszystkim o postawienie się, o górowanie nad przywódcami innymi, o sławę, o wielkość swych krajów, o poglądy na świat itp. To wszystko bez wątplenia wchodzi poniekąd w rachubę. Co więcej, miało czy ma pewne znaczenie również na bardzo prymitywnych poziomach życia plemion „zagubionych w puszczy” i oderwanych od styczności z plemionami czy ludami innymi. Jednakże rola czynników wymienionych i podobnych do nich była zawsze i jest w gruncie rzeczy drugorzędna, niekiedy wręcz znikoma w porównaniu z głodem czy niedostatkim mas (plemion, ludów, narodów, klas społecznych), reprezentowanych formalnie bądź realnie przez władców. Chcąc dorwać się do władzy kandydat do niej musi zapewnić swemu „ludowi” sytość, jeśli nie dostatek. Musi co najmniej na czas

starań umiejętnie obiecywać i zręcznie pozorować dbałość o swój lud. A władca musi stale pamiętać o głodzie czy biedzie swego ludu, jeśli przy władzy chce się utrzymać, szczególnie gdy do czynienia ma z przeciwnikami wewnętrznymi, więcej i piękniej owemu ludowi obiecującymi.

Praktycznie biorąc, znaczy to, że nie ma przepaścistych różnic między stosunkami w hordach wilków a stosunkami społecznymi wśród ludzi. Tu czy tam, w życiu pojedynczego osobnika i w życiu społecznym na plan pierwszy wysuwa się walka o byt w postaci walki z głodem. Walka ta decyduje o stosunkach między jednostkami władczymi a podwładnymi. Co prawda, w życiu ludzi nowoczesnych, mających „za sobą” ogromny „bagaż” cywilizacji i kultury, w zasadzie wilcze stosunki w zakresie władzy i podwładności są niezmiernie złożone. W warunkach względnego pokoju wewnętrznego i zewnętrznego stosunki te miewają w przeważnej ilości wypadków i na wszelkich szczeblach władzy charakter powiązań – przynajmniej na pozór – nieomal towarzyskich. A nierzadko ujawniają się poprzez formy grzeczności, uprzejmości i formalnej życzliwości w danym czasie obowiązujące. Co więcej, znakomicie ułatwiające życie wszystkim: i władcom, i podwładnym.

To wszystko jest powiązane z masą tradycji i form organizacyjnych. Im bardziej złożone jest życie danej zbiorowości, im więcej ma oparcia w historii narodowej, przy tym im bardziej stabilne w danym czasie są stosunki wewnętrzne i międzynarodowe – w porównaniu z czasami wojen i rewolucji – tym bardziej na plan pierwszy wysuwają się cywilizowane formy życia. Zarazem – tym mniej oczywisty czy wyraźny staje się związek walk społecznych wszelkiego rodzaju i zagrożeń międzynarodowych z pierwotnymi podstawami walki o byt w zakresie pokonywania głodu bądź niedostatku.

Przy tym formy walki z niedostatkiem bywały zawsze zróżnicowane i zmienne stosownie do zasobów danej cywilizacji i kultury oraz form stosunków społecznych i międzyludzkich. Miały więc zawsze charakter relatywny. Co więcej, zawsze i wszędzie ludom, względnie władcom chodziło nie tylko czy po prostu o zabezpieczenie przed głodem, lecz ponadto o osiągnięcie wyższych poziomów życia, zwłaszcza poziomów zawistnie stwierdzanych u sąsiadów. Znaczy to, że do walki z głodem przyłączały się zawsze i przyłączają nadal czynniki socjopsychiczne, wzbudzone przez wyobraźnię. Niezależnie od tego tak silne motywy, jak chęć unikania trudów i cierpień, uzyskiwania najlepszych „kołaczy” najmniejszym wysiłkiem lub bez niego, tj. pracą cudzą itp. Rzec by można, że prawo ekonomii wysiłku decydowało zawsze i zapewne nadal decyduje o niezliczo-

nych powiązaniach między pojedynczymi ludźmi oraz między grupami społecznymi w zakresie szeroko pojętej walki o byt, w szczególności walki z głodem, względnie niedostatkiem.

Za otwarte uważam w związku z tym pytanie, czy, a jeśli tak, to jak dalece wysokie z reguły upusty energii na bójki, napady, walki zbrojne i wojny są z tym prawem sprzeczne? Jeśli wynikają z rzekomego instynktu walki, wydają się wprawdzie sprzeczne, lecz zarazem nieuchronne. Natomiast jeśli instynkt taki uważać za hipotezę zbędną lub bezpodstawną, w takim razie są to w ogromnej ilości przypadków działania „źle obliczone” w porównaniu z wydatkowaniem energii w formie pracy, tj. działalności konstruktywnej, a nie niszczycielskiej.

Wydaje się, że na sprawę tę można by też spojrzeć w oparciu o pojęcie tradycji nawyków agresywnych: głodne plemię, żyjące na poziomie zbieractwa płodów ziemi, napada na plemię obce, ponieważ bez walki nie zdobędzie żywności przez nie zebranej czy reprezentowanej w formie „żywego mięsa”. Raz utrwalone tradycje napadów i zabijania obcych utrzymują się pomimo ryzyka, rozmiarów energii do zmobilizowania i dostatecznych zasobów żywności zebranej bez walki. W takim razie ryzykowny napad usprawiedliwia się odpowiednim mitem, np. co do niezbędności posiadania głów wrogów dla udokumentowania męstwa. Nieustannie ponawiane walki i wojny między plemionami, ludami, narodami stanowiłyby w takim razie nie tylko bądź nie zawsze jedynie słuszny przejaw głodu czy niedostatku, ile raczej bądź w niektórych wypadkach kontynuację odwiecznej tradycji napadania i wojowania. Niewykluczone jest jednakże i to, że trzy odrębne siły, mianowicie: głód, względnie niedostatek, instynkt walki i powszechna (u wielu ludów uświęcona) tradycja napadania i wojowania splatają się w całość trudno rozdzielną.

Nie wszystko w działalności czy to ludzi pojedynczych, czy to ludów i w ogóle grup społecznych można sprowadzać do głodu i niedostatku. Ludzie syce bawią się, a niektóre formy i rezultaty zabaw miewają dzięki wyobraźni i tradycji charakter twórczy. Powstają różnego pokroju dzieła sztuki, myśli, pomysły organizacyjne itp. Już nawet w warunkach bardzo prymitywnej organizacji społecznej, a więc tym samym – podziału pracy, niektórzy ludzie mogą sobie pozwolić na to, aby – nie pracując ciężko dla innych – to czy owo tworzyć, przede wszystkim dla władców, tolerujących tego pokroju „lenistwo”, uprzyjemniające im życie. Stopniowo narasta w ten sposób kultura. Dzięki swoistym warunkom rozwojowym poszczególne ludy nagromadzają swoiste rezultaty twórczej działalności swoich ludzi. W miarę rozrostu demograficznego i zbliżania się ludów do siebie czy



to w walkach, czy to na drodze pokojowej, kultury poszczególne wywierają na siebie coraz to intensywniejszy wpływ wzajemny. Niemało dotyczy on wpływu w zakresie pomysłów i form organizacyjnych, np. organizacji i uzbrojenia wojska, rządzenia poddanymi, skutecznego ucisku i wyzysku warstw tak czy owak uzależnionych od władców. W ten sposób – tj. na drodze oryginalnych pomysłów i przyswajania pomysłów cudzych, wypróbowanych i efektywnych – powstają, zostają wprowadzane w życie i na jakiś czas utrwalają się m.in. formy organizacyjne ustrojów społecznych, politycznych i gospodarczych. Kształtują się dzieje ustrojów.

Przyjrzyjmy się temu procesowi na przykładzie postawiania i stopniowego upadku ustroju niewolniczego. W warunkach prymitywnego życia zbiorowego walki międzyplemienne z reguły kończyły się zabijaniem jeńców – bezpośrednio jako wyładowaniem agresywności i nienawiści, pośrednio ze względów magicznych, nierzadko również z braku bądź niedostatku białka. W wypadku zdobycia siedziby wrogów przy życiu pozostawiano zazwyczaj młode kobiety – do celów rozplodowych. Gdy powstały duże organizmy państwowe, w wojnach zaczęły brać udział nierzadko dziesiątki tysięcy żołnierzy. Zdarzało się, że – w wypadku bitew zwycięskich – wszystkich jeńców mordowano. Jednakże stopniowo utrwał się pomysł zabierania jeńców jako niewolników – przeważnie do ciężkiej pracy na roli, częściowo również do służby domowej u władców zwycięskich. Rzymski ustrój społeczno-gospodarczy oparty był – w miarę napływu coraz liczniejszych rzesz jeńców – na ustroju niewolniczym. Do pewnego czasu ustrój ten funkcjonował dość sprawnie, pomimo licznych buntów. W porównaniu z niezbędnymi wydatkami na utrzymanie niewolników korzyści okazały się wielkie i oczywiste. Dzięki nim warstwa rzymskich panów – senatorów i ekwitów – mogła żyć wygodnie i opływać we wszystko, czym rozporządzała ówczesna cywilizacja. Niemało korzyści z takiego ustroju miał również w zasadzie wolny lud rzymski.

Stopniowo jednak ustrój ulegał zwyrodnieniu. W relatywnie długich okresach pokoju nowych rzesz niewolników nie przybywało, a potomkowie dawnych coraz pewniej przystosowywali się do twardych warunków niewolniczej doli pracą pozorną. Wskutek tego i wobec często trwałej nieobecności panów majątki ziemskie (główny teren pracy niewolniczej) coraz szybciej podupadały. Przestały się opłacać (*latifundia perdidere Italia* – „latyfundia zgubiły Italię” – mawiali już ówcześni historycy).

W tej sytuacji zaczęły się pod wpływem wydarzeń militarnych kształtować warunki dla nowego ustroju społeczno-gospodarczego. Wojska sprzymierzone, coraz częściej złożone z obcych, przeważnie z Germanów,



umiały wymuszać na walczących ze sobą kandydatach do korony cesarskiej różne korzyści dla siebie, zwłaszcza dla żołnierzy wysłużonych. A rzymscy władcy nie mieli na ogół możliwości innej do „wywdzięczania się” jak przydziały ziemi w obrębie imperium rzymskiego – oczywiście, po wypędzeniu mieszkańców dotychczasowych. W ten sposób weterani stawali się tzw. kolonami, tj. kolonistami, w zasadzie ludźmi wolnymi i przez szereg lat zwolnionymi od świadczeń. Po umownym okresie zwolnień ich opłaty w naturze okazały się dla panów korzystniejsze niż wyniki pracy niewolników na latyfundiach. Proces powstawania nowej formacji społeczno-gospodarczej wyjaśniano i wyjaśnić można w zasadzie podstawowymi prawidłowościami walki o byt i kalkulacją w przystosowywaniu się władców do konkretnych warunków społeczno-gospodarczych w miarę degeneracji ustroju niewolniczego. A przystosowywanie się implikuje rozeznanie w bieżących warunkach życia społecznego i inteligentne wykorzystywanie masy informacji na ten temat. Przy tych samych – odwiecznie i nadal – napędach do walki o byt, tj. przede wszystkim do walki z głodem i z szeroko pojętym niedostatkiem zarówno poszczególni ludzie, jak i małe i wielkie zbiorowości ludzkie muszą w pewnej mierze walczyć coraz to inaczej, bo w przystosowaniu do konkretnych układów warunków środowiskowych; w ich obrębie – do aktualnie danych i praktycznie ważnych warunków społeczno-kulturowych.

Konieczność coraz to nowego, swoistego przystosowania do bieżących warunków każe domyślać się świadomości i jej wpływu na działanie. Otóż zarówno w postępowaniu jednostek o zasięgu osobistym, jak i w działaniu ludzi władnych, których decyzje mają czy mogą mieć znaczenie – drobnych czy wielkich – wydarzeń historycznych, ostatecznie domyślamy się roli świadomości. Konkretnie np. świadomego rozumienia własnych interesów, wyłaniających się z powszechnej walki o byt.

Znaczy to, że poza obrębem świadomości oraz ogółu (przyrodniczych i środowiskowych, zwłaszcza społecznych) uzależnień tejsze nie ma praw, o których można by twierdzić racjonalnie, że pociągają za sobą jednokierunkowy i jednorazowy bieg dziejów. Prawa w znaczeniu prawidłowości powtarzających się i trwałych tkwią ostatecznie w zwierzęcej naturze życia ludzkiego, pośrednio – w zjawiskach biochemicznych i fizycznych. A fakt, że historię mają tylko ludzie, względnie ludy z nich złożone, wynika nie z rzekomych praw ponadpsychologicznych i ponadbiologicznych, lecz ze swoistego charakteru życia społecznego ludzi, z powstania i narastania kultury oraz z potrzeby dostosowywania się władców, pośrednio i na drobną skalę również podwładnych, do nieustannie zmieniających się

układów w warunkach ludzkiego życia. Konkretnie: do coraz to zmieniających się warunków pracy, wzajemnej współzależności ludzi od siebie, warunków zabawy i wypoczynku. W skali międzynarodowej wynika to z coraz to nowych układów sił w postaci różnego pokroju działań, np. dyplomatycznych, gospodarczych, zbrojeniowych, wywierających wpływ na sąsiadów, poniekąd na cały świat cywilizowany. Ostatecznie za układami sił obecne są masy ludzkie o różnych możliwościach sprawczych za pośrednictwem widocznych menedżerów historii.

Nie wynika z tego, że do rozumienia wydarzeń dziejowych wystarczy znajomość biopsychicznych praw, znamienych dla natury ludzkiej, ani to, że przewidywanie wydarzeń – uprawiane od najdawniejszych czasów i nadal, obecnie w postaci tzw. futurologii – opierać można po prostu na wiedzy o naturze ludzkiej. Kiepska czy poprawna wiedza ta stanowi jedynie ogólne, przeważnie intuicyjne, bo niewyrażone w twierdzeniach bądź układach twierdzeń i poglądach z nich złożonych, tło dla przewidywań. Natomiast treść przewidywań, w ślad za nimi działań: pojedynczych osób czy społecznych, stanowi wyraz rozpoznania i ocen sytuacji, w których trzeba działać, aby pomyślnie urzeczywistniać interesy osobiste czy społeczne. Ostatecznie – aby zachować czy rozwijać życie.

W interesie władców leżało zawsze i leży nadal możliwie wiarygodne rozpoznawanie sytuacji wewnętrznych i zewnętrznych (międzynarodowych), do których trzeba się przystosowywać, aby się przy władzy utrzymać. Pośrednio znaczy to, aby zaspokajać potrzeby „poddanych”. W naszych czasach rozpoznania bieżących i coraz to nowych dokonują zastępy ekspertów w osobach socjologów, ekonomistów, demografów, politologów itp. Rozpoznanie sytuacji – w szerokim sensie tego słowa – „dziejowych” stanowią podstawę do przewidywań tendencji kierunkowych w stosunkach społecznych, wewnątrzno-politycznych i międzynarodowych oraz przewidywania ich przebiegu prawdopodobnego. W tym sensie mówić można o prawidłowościach wydarzeń dziejowych, dziejów w ogóle. Trzeba jednak zdawać sobie sprawę z granic przewidywań racjonalnych. Nawet przy bardzo realistycznej wiedzy tylko intuicyjnej co do mechanizmów natury ludzkiej trafne przewidywanie przyszłych wydarzeń (historycznych) jest wątpliwe. Dotyczy to wiedzy przede wszystkim działaczom „na arenie historycznej” najbardziej potrzebnej: co do względnej roli różnych potrzeb w zakresie walki o byt i wszelkich innych potrzeb, względnie motywów z nich wynikających oraz wiedzy o całości warunków społeczno-ekonomiczno-polityczno-kulturowych, w których politykom wypada działać. Co więcej, w miarę komplikowania się cywilizacji

naukowo-technicznej, zespalania się ludzkości w jedną całość, nieobliczalności częściowych czy terenowych wybuchów w obrębie „eksplozji demograficznej” – racjonalne przewidywanie przyszłości w skali społecznej staje się coraz trudniejsze i coraz bardziej niepewne. A więc coraz więcej można mieć wątpliwości co do sensu – jakkolwiek bądź pojętych – „praw rozwoju historycznego”. Paradoks tkwi w sprzeczności między wzrastającą dalekowzrocznością futurologów a malejącym prawdopodobieństwem racjonalnych przewidywań przyszłości społeczno-historycznej. Rzecz w tym, że nieomal z dnia na dzień coraz większą ilość niełatwo stwierdzalnych „parametrów” trzeba brać w rachubę, aby kierunki rozwoju historycznego przewidywać z dostatecznym uzasadnieniem. W ślad za tym – prawdopodobnie. Oczywiście nadal i w najdalszej przyszłości wszelkie wydarzenia dziejowe stanowić będą wypadkową określonych przyczyn i układów tychże. Jednakże nie w ogólnej zasadzie determinizmu tkwi sedno wiedzy, lecz w konkretnej przewidywalności, a więc w dostatecznie pewnym rozpoznawaniu „parametrów” i ich układów.

Niemal z całkowitą pewnością przewidywać można formalnie jedno, mianowicie to, że pomimo postępującego zespalania się ludzkości, konfliktowo-kryzysowy charakter przyszłych dziejów będzie coraz bardziej narastał, a nie malał, jak optymiści zdają się mniemać. Sprzeczności interesów różnego rodzaju będzie prawdopodobnie w „ludzkości jednolitej” (w „Narodzie Ludzkim”) daleko więcej niż w ludzkości – aktualnie – podzielonej na wielkie obozy ideologiczne. Jeśli nie nadejdzie (nuklearny czy innego pokroju) „koniec świata”, zadania polityków, tj. widocznych sprawców wydarzeń dziejowych, będą za sto lat o wiele trudniejsze, niż nimi są obecnie, a za tysiące lat – „nieskończenie” wielkie.

Rozdział siódmy

# **Twórczość a filozofia kultury**



## Naukowe poznawanie twórczości

Niechby nie wiedzieć, jak „przybliżyć” teoretycznie do człowieka zwierzęta najbliższe mu ewolucyjnie, wciąż stwierdzamy różnicę oczywistą: Zwierzęta nie okazują aktywności twórczej. Pozory tejsze w postaci niby-narzędzi są odległe od niej istotnie – przede wszystkim wskutek braku niechby tylko nikłych zaczątków tradycji jako społecznej pozostałości po przygodnym zastosowaniu rzeczy, np. kija czy kamienia, jako narzędzi.

A właśnie obecność tradycji pociąga za sobą dalekosiężne skutki, których ogół nazywa się zwykle kulturą. Niekiedy: kulturą i cywilizacją, jeśli z kultury wyodrębnia się szeroko pojętą technikę oraz całość form życia powszedniego i organizacji społecznej z nią funkcjonalnie związaną.

W ciągu wielu wieków historii kultury i cywilizacji europejskiej jej postępy opisywano przeważnie z historycznego punktu widzenia. Przy tym bynajmniej nie wysuwano na plan pierwszy historii techniki, a to zapewne dlatego, że wynalazczości, np. w formie nowych narzędzi rolniczych czy rzemieślniczych, długo nie doceniano należycie z powodu jej związków z pracą fizyczną, którą trudnili się niewolnicy. Natomiast już w starożytności grecko-rzymskiej powstały zaczątki historii filozofii, literatury pięknej, niektórych nauk, np. matematyki, zarysy teorii sztuk plastycznych i architektury, językoznawstwa itp.

Ogrom dzieł twórczych wszelkiego pokroju, nagromadzonych w ciągu około 50 wieków historii pisanej, stopniowo pociągał za sobą powstawanie i stabilizację nauk humanistycznych, nastawionych na specjalistyczną refleksję badawczą nad różnymi rodzajami dzieł twórczych. W ślad za tym – nad „mechanizmem” chwilowego tworzenia i długofalowej działalności twórczej. Wprawdzie nauki te nie mają jeszcze ustabilizowanej,

ogólnie przyjętej nazwy rodzajowej, jednak dość często nazywa się je kulturalistycznymi, tj. dotyczącymi czy mającymi za swój przedmiot różne dziedziny kultury. Oczywiście, nazwa „nauki humanistyczne” obejmuje te rodzaje nauk, ale nie wskazuje na ich cechy specyficzne, wobec czego nie może być stosowana zamiennie. Do humanistycznych należą omówione wcześniej, tj. psychologia, socjologia i historia (oraz wiele specjalistycznych nauk pochodnych), jednak ich przedmioty są inne, chociaż nieomal na każdym kroku „ocierają się” o przedmioty nauk kulturalistycznych czy – z uwagi na purystów językowych – nauk o kulturze.

Nauk tych jest już obecnie wiele, przy tym niełatwo je ułożyć w sposób logicznie zadowalający. Można by zwrócić tu uwagę na możliwość ułożenia ich alfabetycznie, np. filozofia, językoznawstwo, literatura piękna, moralność (i obyczaje), nauka, organizacja, polityka, prawo, sztuki plastyczne, technika (wynałazczość techniczna). Łatwo jednak podważyć formalizm i dowolność takiego ich uporządkowania. Nie silę się na rozpatrywanie tej – w gruncie rzeczy nieistotnej – sprawy układu nauk kulturalistycznych według kryteriów praktycznych, ale częściowo uwzględniam zasady „widoczności” twórców dzieł pojedynczych. Kryteria praktyczne są stosowane faktycznie w postaci szkół specjalistycznych i nauk z nimi związanych, kształcących dla działalności kulturowej. Przykładowo są wyższe szkoły muzyczne, a w ich programach ważną rolę gra muzykologia, jako ogólna teoria muzyki. Podobnie ma się rzecz z naukami teoretycznymi w obrębie programów wyższych szkół plastycznych. Pod różnymi nazwami figuruje w nich ogólna teoria sztuki bądź poszczególnych sztuk plastycznych, np. architektury czy malarstwa. Przy tym – rzecz znamienita – zazwyczaj muzykę traktuje się odrębnie, a nie jako pewien rodzaj sztuki.

Z tego punktu widzenia nie wyróżnia się obecnie – po prostu – nauki, jako pewnego rodzaju kultury, lecz tyle różnych nauk, ile ich faktycznie wyodrębniono organizacyjnie, zwłaszcza w postaci różnych kierunkowych studiów wyższych, jak matematyka, biologia itp. Podobnie nie istnieje obecnie – i od dawna – po prostu technika czy wynałazczość techniczna, natomiast wiele nauk technicznych, praktycznie wyróżnionych w organizacji wyższych szkół technicznych i w instytutach naukowo-badawczych związanych z techniką. Filozofię jako swoisty rodzaj kultury uprawia się głównie czy frontalnie w odpowiednich wydziałach szkół wyższych. Podobnie ma się rzecz z prawem i z politologią jako nadbudową teoretyczną praktycznej działalności politycznej. Wszystkie wymienione rodzaje kultury mają zatem swoją „reprezentację” w zbiorach wielu nauk i w badaniach naukowych uprawianych w szkolnictwie wyższym i w spe-



cialistycznych instytucjach naukowo-badawczych. Przeważnie mamy tu do czynienia z przedmiotami stanowiącymi – jako część programu nauczania – nadbudowę teoretyczną nad masą wiedzy konkretnej o danej dziedzinie kultury, np. o prawie. W zakresie wszystkich można bez trudności wskazać imiennie na konkretnych twórców, np. filozofów, prawodawców, wynalazców.

Inaczej ma się rzecz z ogółem nauk o języku i o językach poszczególnych, tj. z szeroko pojętym językoznawstwem. W zasadzie nie ma wątpliwości co do tego, że języki rozwijają się w jakiejś mierze dzięki działalności ludzi imiennie znanych, dzięki ich pomysłowości, reformom, staraniom o kulturę języka ojczystego itp. Wiadomo na przykład, kto i jaką rolę odegrał w „kodyfikowaniu” nowoczesnego języka greckiego, w ustalaniu słownictwa i gramatyki współczesnego języka rumuńskiego itp. Poniekąd źródłowo można w naszych czasach ustalić genezę tysięcy słów fachowych z medycyny, z nauk technicznych (łącznie z agro- i zootechniką), pedagogicznych oraz z zakresu działalności społeczno-politycznej i prawnej.

Ponadto wiadomo, że powstawanie i przeobrażenia historyczne poszczególnych języków przeważnie „giną w mroku historii”, aczkolwiek znane są tendencje rozwojowe w zakresie słowotwórstwa, składni, fleksji, stylistyki, korzystania z zapożyczeń bądź tworzenia słów nowych. Jednak tendencje nie są tożsame z mniej lub bardziej dokładnie poznanymi poczynaniami twórczymi. Są anonimowe, a ich motywów czy nieświadomych przyczyn można się tylko domyślać z wątpliwym prawdopodobieństwem.

Razem wzięwszy, z grubsza można ułożyć rodzaje działalności twórczej według stopnia pewności autorstwa – a to w granicach między rodzajami, w których przeważnie autorstwo jest znane bądź źródłowo stwierdzalne, a takimi, w których jest przeważnie anonimowe. Przy tym również w odniesieniu do pomysłów czy dzieł całkiem anonimowych można twierdzić słusznie, że w jakiejś mierze i one stanowią rezultat czynników, dzięki którym powstawały i nadal powstają dzieła twórców znanych. Stanowią zatem składniki kultury.

Wynika stąd zasadnicza tożsamość wspólnych problemów naukowych, stanowiących przedmioty badań w zakresie różnych rodzajów twórczości i formułowanych niezależnie od siebie przez rzeczników różnych nauk kulturalistycznych. I tak wszystkich, a więc również językoznawców, interesuje sprawa podstawowa: „mechanizm” aktywności twórczej w odróżnieniu od procesów i warunków pracy produkcyjnej, np. na roli, w warsztatach rzemieślniczych, w fabryce. Konkretnie przedsięwzięcia twórcze w muzyce, architekturze, badaniach naukowych itp. są nie

tylko po prostu różne, ale także – przynajmniej na pozór – nieporównywalne. A przecież do wszystkich jednakowo odnosi się pytanie: jakie są cechy istotne, składniki i przebieg aktywności twórczej – w odróżnieniu od pracy mechanicznej, stereotypowej, przy tym pracy wykonywanej porządnie, chociaż wciąż na nowo według tego samego wzoru, tej samej kolejności etapów, tej same technologii itp.

Pytanie to i odpowiednie próby udzielania odpowiedzi, m.in. na podstawie badań empirycznych, znajdujemy „na warsztatach” rzeczników różnych nauk o kulturze przeważnie w związku ze stwierdzeniami historycznymi. Nasuwają się one niejako same w trakcie opisów działań twórczych różnego pokroju. Rzec by można, że „technologia” pracy twórczej kompozytorów, rzeźbiarzy, literatów, reprezentantów poszczególnych nauk itp. wymaga przede wszystkim wiadomości na temat: jak to czy tamto robiono dotychczas? Wiadomości te są potrzebne zarówno do kształcenia nowych kadr twórców, jak i celem uzasadnienia nowych pomysłów i sposobów ich urzeczywistnienia. Znaczy to, że wymieniony problem wspólny różnych kulturalistów ma przede wszystkim oparcie w wiedzy historycznej i oczywiście, najsamprzód w zakresie danej dziedziny twórczości, np. architektury. Zgodnie z tym podbudowa historyczna stanowi istotnie ważny składnik studiów w każdej dziedzinie twórczości, jednakże coraz częściej uzupełniany przez inne składniki.

I tak mniej więcej z początkiem drugiej ćwierci XX wieku historię danego rodzaju twórczości zaczęto uzupełniać rozważaniami, a nawet próbami doświadczalnymi badań psychologicznych i socjologicznych nad powstawaniem dzieł twórczych. Na tej podstawie stopniowo zaczęły się kształtować psychologia i socjologia kultury, jako uzupełnienie jej historii. Co prawda, wciąż jeszcze uzupełnienie to jest relatywnie ubogie w porównaniu z historią rozporządzającą już bogatą i wysoce zróżnicowaną wiedzą. Pomimo to obecnie jest to już oczywiste, że wspólny dla wszystkich kulturalistów problem istotnych cech, typowych składników i etapów realizowania pomysłów i przedsięwzięć twórczych wymaga badań co najmniej z trzech różnych punktów widzenia: historycznego, psychologicznego i socjologicznego. Znaczy to, że rzecznicy trzech różnych nauk muszą się przyczyniać do wypracowywania ogólnej teorii aktywności twórczej. Osobne jest przy tym pytanie: jaka rola we współpracy przysługuje słusznie historykom, psychologom i socjologom? Próbowałem odpowiedzieć na nie w zastosowaniu do filozofii i moralności.

O wiele starszy od obrysowanego tu jest problem twórczej genialności. Wyróżniam go dopiero na trzecim miejscu, ponieważ wyrósł raczej

z rozważań filozofów i z refleksji biografów aniżeli z badań kulturalistów. Sprawa genialności jest oczywiście ściśle związana z o wiele pojemniejszym problemem aktywności twórczej. Wskazuje bowiem na jej formy szczytowe. Jednakże długo miała ona w większym stopniu posmak sensacyjny aniżeli naukowo-badawczy. Geniusze to bowiem w tym aspekcie pewnego rodzaju istoty cudowne, które należy podziwiać, a nie fenomeny historii kultury, które można by poważnie badać.

Pomimo szczególnego tła sprawa genialności, w zasadzie wspólna dla wszystkich rodzajów twórczości, prowadzi do zagadnienia ważnego dla wszystkich kulturalistów, mianowicie – do oryginalności dzieł twórczych. Chodzi w nim nasamprzód o sprawę praktyczną, w pewnej mierze prawną: kryteriów oryginalności rozpatrywanej w przeciwieństwie do plagiatów i pokrewnych form mało oryginalnych dzieł twórczych. Jednak kto mówi o genialności, ten zarazem domyśla się oryginalności na wielką skalę czy wyjątkowej. W ten sposób oryginalność i genialność są z sobą sprzężone. Obydwie sprawy intrygują niemal wszystkich kulturalistów, bo – poza obrębem twórczości językowej – wzbudzają w zasadzie jedne i te same pytania: Po czym poznaje się genialność? Co stanowi kryterium oryginalności, zwłaszcza zaś oryginalności wysokiego stopnia? Czy z rozpoznania cech genialności (danego twórcy) można wnioskować o oryginalności (jego) dzieł?

Z kolei wspólna dla wszystkich kulturalistów jest sprawa ogólniejsza od oryginalności, względnie kryteriów tejże: wszelkich kryteriów oceny dzieł twórczych. Z punktu widzenia odbiorcy tych dzieł – widzów, czytelników, słuchaczy, zwłaszcza zaś krytyków i recenzentów – istotne jest zajmowanie postawy oceniającej w granicach od pełnej i nadzwyczajnej aprobaty do całkowitego odrzucania. Odbiorca chwali lub odrzuca dane dzieło twórcze. Ogólnie rzecz biorąc, odbiorca, w szczególności krytyk, ocenia według własnego uznania, jednak podstaw do danej oceny szuka w dziele samym. Przy tym faktycznie pomimo różnorodności dzieł twórczych odbiorcy oceniają je według – formalnie rzecz biorąc – jednakowych kryteriów. Otóż właśnie analiza, próba ustalenia kryteriów i sprecyzowania konkretnych sposobów ich praktycznego stosowania interesuje prawie wszystkich kulturalistów. A wobec tego, że zagadnienia wymienione wykraczają poza obręb badawczej problematyki rzeczowników poszczególnych nauk o kulturze, rozwiązuje się je w sposób rozważaniowy. Filozofuje się na ich temat. W każdym razie od różnego pokroju mniej lub bardziej empirycznych badań nad dziełami i działalnością twórczą droga prowadzi do wielu wspólnych zagadnień, stanowiących stopniowo przedmioty

analiz coraz bardziej abstrakcyjnych. W ich rezultacie powstają ogólne poglądy na zagadnienia interesujące wszystkich kulturalistów. Poglądy te można wprowadzić nazywać teoriami – co się często robi – jednakże pamiętać trzeba o tym, że zawsze mają one charakter mniej lub bardziej filozoficzny. Zawsze bowiem można w nich wykazać braki w stwierdzeniach faktów, względnie przewagę hipotez nad faktami naukowo ustalonymi.

## **Działalność twórcza**

W przybliżeniu równoznacznie mówi się o twórczej pracy i działalności. Nieistotne różnice znaczeń dotyczą akcentu na cechach w zasadzie wspólnych. Otóż mówiąc o pracy twórczej domyślamy się przeciwstawienia pracy wytwórczej, czyli produkcyjnej. Natomiast „działalność” sugeruje – etymologicznie – rezultaty w postaci dzieł twórczych w ogólnym znaczeniu tego pojęcia. Jedno i drugie jest tu ważne i wymaga stosownego omówienia.

Nasamprzód chodzi więc o różnice między pracą produkcyjną we względnie pospolitym znaczeniu „pracy” a pracą twórczą. Nie ma między nimi przepaści, co znaczy, że występują formy przejściowe i niewyraźne. Niemniej, jeśli skupić uwagę z jednej strony na formach zdecydowanie twórczych, z drugiej strony na pewnych formach pracy wytwórczej, w szczególności pracy fabrycznej, różnice są oczywiste, a nawet jaskrawe. Praca wytwórcza, zwłaszcza zaś praca robotnika na jednym i tym samym miejscu w danej „linii technologicznej” czy przy „taśmie produkcyjnej”, jest przede wszystkim całkiem, tj. bez odchyłeń, stereotypowa, wskutek tego monotonna. Zresztą musi być taka, tj. musi być wykonywana w sposób ściśle jednakowy, ustalony określoną technologią, aby kolejne egzemplarze produktu finalnego odpowiadały normom ustalonym. Tu właśnie tkwi jedna z istotnych przyczyn niezadowolenia robotników fabrycznych oraz zastrzeżeń krytycznych ze strony ideologów pracy i socjologów, również literatów i filmowców pod adresem cywilizacji naukowo-technicznej, opartej nieuchronnie na „taśmie produkcyjnej”. Idzie za nią wiele następstw psychologicznych, na pierwszym planie brak lub niedostatek pozytywnej motywacji skierowanej na sam przedmiot pracy i produkt finalny oraz znużenie wskutek nieustannego powtarzania wciąż na nowo takich samych czynności bez zmian. W takim stanie rzeczy porządna i efektywna praca jest uzależniona istotnie od motywów bytowych, leżących poza obrębem danej technologii, toku konkretnych czynności robo-

czych i produktu finalnego. Prościej – motyw istotny do takiej pracy polega na tym, aby możliwie jak najwięcej zarobić i nie narazić się na szkody. Postulowane tylekroć motywy ideowe pozostają – poza chwilami zrywów – postulatami nieziszczalnymi.

W przeciwieństwie do krańcowo mechanicznych form pracy produkcyjnej pracę wysoce twórczą znamionują cechy następujące: motywacja „wewnętrzna”, niewyraźnie lub tylko pośrednio związana z potrzebami bytowymi, niekiedy niezależna od nich, a nawet sprzeczna z nimi; relatywnie duży udział czynności zmiennych, tj. od wypadku do wypadku, od dzieła do dzieła, częściowo innych bądź inaczej ułożonych, „ciepłe” nastawienie do wizji przyszłego dzieła, pośrednio przynajmniej do części kolejnych etapów wysiłku twórczego i rzeczy z nim związanych, swoboda przekształceń – poprawek, uzupełnień, przeróbek – zarówno w planie, jak i w sposobach jego urzeczywistniania, zarazem satysfakcja stąd wynikająca, nastawienie przede wszystkim lub wyłącznie na wartościowy wkład do kultury, a nie na praktyczną użyteczność „produktu finalnego”, relatywnie wysoki udział uzdolnień i czynników intelektualnych, w szczególności wyobraźni i myślenia problemowego, obecność i nieobecność biegłego opanowania przeważnie skomplikowanej „technologii” roboczej, elastycznie przystosowanej do wymagań konkretnego planu, względnie dzieła, pomimo związków z tradycją realizacja dzieł w jakiejś mierze oryginalnych, tj. w porównaniu z tradycją nowych, acz dostosowanych do jej całości. Ogół wymienionych cech pracy czy działalności twórczej i wiele cech pochodnych bądź różnicowych zdecydowanie odróżnia ją od większości rodzajów pracy produkcyjnej. Tam, gdzie różnice są niewyraźne lub zmienne, jak w niektórych formach rękodzielnictwa (kosmetyka, krawiectwo itp.), w grę wchodzi faktycznie niektóre elementy pracy twórczej.

Rozumie się, że udział względny oraz układ wymienionych tu i innych cech pracy twórczej jest częściowo swoisty w każdym rodzaju działalności twórczej, względnie kultury obiektywnej. Swoisty jest i musi być w działalności naukowej, technicznej, artystycznej, organizacyjnej, wychowawczej, społeczno-politycznej czy jeszcze innej. Ale również w obrębie każdej z nich z osobna jest i musi być swoście przystosowany do określonego rodzaju zadań.

Jednak w każdej dziedzinie działalności twórczej znaczenie istotne ma nowość w stosunku do tradycji, czyli oryginalność. W zasadzie dotyczy to jednakowo wszystkich wymienionych rodzajów twórczości. Aczkolwiek dzieła twórcze ocenia się z wielu różnych punktów widzenia, na plan pierwszy występują zawsze pytania bliskoznaczne: Co w danym

dziele jest nowego? Czym lub pod jakim względem różni się od tradycji pomimo ramowego przystosowania do niej? I właśnie tak pojęta nowość stanowiła zawsze główną podstawę oceny dzieł twórczych w granicach między niemal tradycyjnymi a oryginalnymi w mierze wyjątkowo wielkiej zazwyczaj nazywanych genialnymi ze względu na wyjątkowo wielki udział pomysłowości twórczej. Tak przeto w zasadzie odrębne problemy oryginalności dzieł i twórczej genialności sprzężone są z sobą psychologicznie. Poświęcano im od dawna wiele rozważań, obecnie również badań naukowych. Należą do najbardziej pasjonujących spraw filozofii kultury. Zgodnie z tym przeznaczam na ich omówienie cały następny rozdział.

W ogólnym opisie „mechanizmu” działalności twórczej dwa zagadnienia wymagają szczególnej uwagi:

1. Co skłania ludzi do tego rodzaju działalności?

2. Od jakich czynników bądź splotów tychże uzależniona jest działalność efektywna?

Zagadnienie pierwsze wyłania się poniekąd samo z przeprowadzonego wcześniej porównania między pracą produkcyjną a twórczą. Jednakże rozgłosu nabrało pod wpływem psychoanalizy. W zasadzie jest to oczywiste, że ludzie pracują produkcyjnie (również we wszelkiego rodzaju biurach i usługowo) przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie ze względów bytowych (w prostym ujęciu: kto chce jeść, musi pracować). Wyniki potwierdzają tę regułę. Obejmują one np. ludzi bytowo w nadmiarze zabezpieczonych, lecz bojących się „wytrącenia z obiegu”, samotności, nudy itp. Znaczy to, że motywacja pracy produkcyjnej jest w zasadzie prosta, chociaż w konkretnych przypadkach czy w szczegółach może być i bywa złożona.

Inaczej ma się rzecz z pracą, względnie z działalnością twórczą. Niekiedy wzbudza ona zdziwienie u laików, np. w takiej oto zmyślonej formie: „Po co maluje czy układa wiersze, skoro nic z tego nie ma, a nawet prawdopodobnie nic mu z tego nie przyjdzie. A jeśli nawet przyjdzie, długo będzie musiał czekać, aby móc z tego żyć”. Widać, że w psychice przyszłego malarza, poety, wynalazcy, uczonego czy innego pokroju twórcy musi tkwić jakaś siła, każąca nastawiać się na aktywność twórczą wbrew wszelkim wątpliwościom, podsuwanym przez tzw. zdrowy rozum. Niezliczone razy stwierdzano to w biografiach i w autobiografiach twórców. Pytanie – jaka to siła każe tworzyć, a zwłaszcza próbować twórczości wbrew obawom na tle wyrachowania bytowego?

Uniwersalną odpowiedź na to pytanie wypracowali w różny sposób psychoanalitycy, przeważnie w oparciu o koncepcję sublimacji, czyli uwznioślenia (wysubtelnienia) wrodzonego popędu seksualnego. Popęd



ten obecny jest w zasadzie u wszystkich ludzi w wieku płodnym. Znaczy to, że – również w zasadzie – wszyscy mogliby się stać jakimiś twórcami, niechby w drobiazgach, jeśli nie na miarę kulturową. Wrodzony popęd seksualny nie zawsze ma szansę normalnego „wyżycia się”, wskutek czego ulega różnego pokroju zahamowaniom i pozornym stłumieniem. Otóż właśnie popęd stłumiony może się ujawnić m.in. w silnych pragnieniach określonej aktywności twórczej. Tak przekształcony staje się trwale istotnym motorem twórczości danego rodzaju.

Nie ma tu ani miejsca, ani potrzeby krytycznego rozpatrzenia koncepcji sublimacji – w szczególności różnych – teorii na niej zbudowanych. Zająłem w tej sprawie stanowisko w mych publikacjach dotyczących „mechanizmu” zainteresowań filozoficznych i odnośnej twórczości, w niniejszej rzeczy zwięźle w rozdziale *Nauka a filozofia*. Krytycznie powiem tu krótko, że psychoanaliza jest pełna mistycyzmu sprzecznego z założeniami nowożytnej nauki i że napęd do twórczości wyjaśnić można na podstawie należycie stwierdzonych faktów dużo prościej, niż usiłowali to robić Freud, Herzberg, Fromm i inni rzecznicy doktryn psychoanalitycznych.

Przed wszystkim nie trzeba ani nie można doszukiwać się jednego i tego samego źródła motywacji w różnych dziedzinach twórczości. Weźmy tu pod uwagę dwa tak odległe od siebie rodzaje twórczości, jak wynalazczość techniczna i uprawianie poezji. Co do pierwszej wydaje się, że od jej przedhistorycznych prapoczątków po dziś dzień jakąś rolę – od wypadku do wypadku – grała potrzeba ułatwiania sobie i innym życia, np. w zakresie szybkiego rozpalania ognia, komunikacji, odzieży, dachu nad głową. Miliony drobnych „wynalazców” trudzą się wciąż na nowo – powiedzmy tak – ekonomizacją powszednich poczynañ w ogólnie pojętej walce o byt. Nie można przy tym przeoczyć faktu, że niezależnie od rezultatów trud wynalazczy cieszy, bo stanowi swoistą zabawę. A potrzeba zabawy i uciecha z niej tkwi nie we wrodzonych instynktach, lecz w konieczności posługiwania się narzędziami ruchu, wyobraźnią, myśleniem itp. Niezależnie od praktycznego pożytku ruch fizyczny (np. spacer), myślenie (np. podczas rozwiązywania krzyżówek), marzenie na jawie bawi i daje swoistą satysfakcję. Nie przeczy to faktowi, że nowoczesna wynalazczość techniczna jest przeważnie związana z przemysłem i że motywy do niej są w zasadzie pokroju bytowego, tak jak motywy do pracy zarobkowej. Niemalą rolę dodatkową – tj. poza zabawą i wynagrodzeniem – odgrywa potrzeba prestiżu, czynnik potężny we wszelkich poczynaniach i stosunkach międzyludzkich.



Początki uprawiania poezji, np. w ławie szkolnej, nietrudno wyjaśnić: szczególną łatwością kojarzenia słów i rymowania, satysfakcją z tej swoistej zabawy, potrzebą prestiżu (np. z występów na uroczystościach szkolnych) i odpowiedniego poklasku, wyróżnieniami i wysokimi ocenami postępów w nauce. U poety już jako tako ukształtowanego nieźle się zapowiadającego oprócz swoistej uciechy z „rymowania” stopniowo w grę wchodzi coraz bardziej względy praktyczne, zwłaszcza jeśli wybrany rodzaj twórczości literackiej daje nie tylko uznanie, ale także dochody, niechby dodatkowe.

Podobną analizę motywów można by bez trudu przeprowadzić w odniesieniu do każdego rodzaju twórczości z osobna. W każdym wypadku układ motywów byłby częściowo swoisty. Niemniej w każdym z nich bez trudności stwierdzilibyśmy elementy wspólne, do których należą:

1. nieprzeciętna łatwość wykonywania pewnych czynności, leżących u podstaw aktywności twórczej, np. technicznego majsterkowania, układania rymów, rozwiązywania matematycznych zadań;

2. szczególne zadowolenie z wykonywania tych czynności, takie samo w gruncie rzeczy, jak zadowolenie z zabaw;

3. narastanie i pogłębianie się zainteresowania tymi działaniami, umacnianie się pod wpływem zarówno nabywania biegłości, jak i przychylnych ocen;

4. skupianie się potrzeby prestiżu głównie na efektywności coraz korzystniej ocenianych działań twórczych;

5. kształtowanie się planów życiowych z uwzględnieniem twórczości.

Gdy plany te raz się skrytalizują, ich moc i „ciepło” z nimi związane w zasadzie wystarczają do zrozumienia energii działalności twórczej, i to również w wypadkach, w których efekty twórczości nie służą lub źle służą zaspokojeniu potrzeb bytowych.

Dodać można, że na ogół twórcy z naszych czasów nieźle łączą z sobą potrzeby bytowe z uciechą tworzenia. Wszak nieustannie pogłębia się deficyt wszelkiego rodzaju dzieł twórczych w stosunku do zapotrzebowania społecznego i pośrednio – do rosnącego poziomu wykształcenia mas i do zróżnicowań w kulturze osobistej. Nie przeczą temu i dziś stwierdzone „cierpienia wynalazców”, zapoznanych poetów, domorosłych filozofów itp. Na ogół jednak działalność twórcza stanowi nieprzeciętną i odpowiednio honorowaną szansę życiową, toteż sam ten fakt wystarczyłby za wyjaśnienie źródeł energii twórczej. Jakiegokolwiek wyjaśnienia psychoanalityczne są tu całkiem zbyteczne; oczywiście niezależnie od ich bezpodstawności.

## Uzależnienia twórczości

Nie wystarczy energia – zapal, zainteresowanie, zamięłowanie, ambicja – aby się okazać twórcą, i to zwłaszcza twórcą efektywnym i uznanym. Trzeba ponadto spełnienia wielu wariantów różnego rodzaju, bez czego nawet największy zapal okazałby się bezpłodny. W ogromnym uproszczeniu mówi się niekiedy, że oprócz zapalu niezbędne są odpowiednie zdolności, zazwyczaj utożsamiane z talentem. A do efektywnej twórczości wielkiego formatu trzeba genialności. Ogromną liczbę różnego rodzaju publikacji poświęcono odnośnym zagadnieniom – tj. zdolnościom, talentom, genialności – jednakże nie kwestionując ich sensu stwierdzić można ogólnie, że na nic najlepsze nawet zdolności, talenty czy zawiązki genialności, jeśli warunki obiektywne istniejące poza obdarzoną nimi osobą nie pozwalają na ich rozwinięcie. Ponadto błędne jest nierzadkie utożsamianie subiektywnych zadatków do twórczości po prostu z wysokimi uzdolnieniami umysłowymi, w szczególności z wysoką inteligencją.

Zarówno zadatki subiektywne, jak i warunki obiektywne (do spełnienia) są przeważnie nad wyraz złożone. Rzec można, że stanowią skomplikowaną sieć czynników współzależnych, częściowo uzupełniających się, ale niekiedy kolidujących ze sobą. Nie jest możliwa ani nawet celowa w tym miejscu ich wyczerpująca analiza. Ograniczę się do skupienia uwagi na kilku zjawiskach, względnie warunkach, przeważnie subiektywnych, zbieżnych z podstawowym kierunkiem mej działalności naukowej, z dotychczasową przewagą badań psychologicznych nad twórczością w porównaniu z badaniami socjologicznymi, ekologicznymi, ekonomicznymi i historycznymi (biograficznymi, historyczno-porównawczymi). Rozpocznę jednak od opisu warunków obiektywnych.

Wśród uzależnień obiektywnych uwzględnić trzeba najpierw ogólne tło warunkujące kierunek i jakość poczynąń twórczych danego rodzaju. Można by je nazwać „momentem historycznym”. W konkretnym zastosowaniu do działalności naukowej chodzi o to, że w danym „momencie” czy na danym etapie historycznym możliwe są jedynie pewne kierunki badań naukowych, pewne problemy ramowe, pewne metody robocze i pewna organizacja pracy naukowo-badawczej. Uprzytomnijmy sobie fikcyjnie takie oto ewentualności: z jednej strony badania Pasteura w dzisiejszych zakładach mikrobiologii, z drugiej – pracę dzisiejszych atomistów w skromnych pracowniach naukowych alchemików, np. Paracelsusa! Tkwi w tej fikcji domyślnie założenie konieczności dostosowania treści i metod pracy naukowo-badawczej do danego momentu historycznego,

tj. do całości przesłanek teoretycznych, metodologicznych, organizacyjnych i technicznych danego czasu. Stanowią one – zdeterminowany całą historią dotychczasową – kompleks sytuacyjny, do którego musi być – i z reguły jest – dostosowana praca naukowa każdego badacza specjalisty (chcącego pracować sensownie i efektywnie) czy każdego kandydata na takiego specjalistę. Jeśli bowiem nie jest dostosowana, jest po prostu bezsensowna. Być może byłaby sensowna sto lat temu. Nie jest wykluczone, że mogłaby być sensowna za lat kilkadziesiąt, ale o tym w chwili obecnej trudno sądzić.

Praca twórcza uzależniona jest również od aktualnych warunków ustroju społeczno-politycznego i gospodarczego danego kraju. Na tym odcinku uzależnienia nie są już tak dalece ogólne, względnie wspólne wszystkim twórcom, jak w zakresie „momentu historycznego”. W świecie współczesnym występują dwa krańcowo różne ustroje społeczne – socjalizm i kapitalizm – i wiele ustrojów pośrednich bądź niewyraźnych. Ponadto ustroje społeczne w poszczególnych krajach znajdują się na różnych etapach rozwojowych. Ale jakkolwiek są historycznie ukształtowane, każdy z nich wywiera wpływ – za pośrednictwem licznych „kanałów” – na bieżącą pracę naukową każdego uczzonego, na działalność inżyniera-wynalazcy, a także na podejmowanie przedsięwzięć artystycznych. Wyznacza bowiem warunki materialne i moralne pracy twórczej, jej efektywność, powiązanie z życiem społecznym, rozmiary i jakość swobody występowania z nowymi pomysłami, określa godność twórcy, jego rolę w życiu zbiorowym itp. To wszystko odbija się na szarym dniu roboczym danego twórcy. Oczywiście, jest tak również w takich wypadkach, gdy on sobie z tego nie zdaje sprawy.

Skutkiem niezmiernie złożonym i zarazem pośrednim warunków ustrojowych oraz historyczno-kulturowych jest struktura i jakość środowisk wychowawczych i szkoleniowych, w których kształci się kandydat na studia wyższe czy student uczelni akademickiej i w których następnie dojrzewa do pracy twórczej. Środowiska te, względnie sploty warunków środowiskowych można by porównać z lokalnymi mikroklimatami i – w takim razie – przedstawiać na tle klimatów o zasięgu krajowym czy kontynentalnym. Szczególnie doniosły jest „mikroklimat” w postaci struktury i dynamiki małych zespołów pracowników twórczych, skupionych w określonej instytucji oficjalnej lub nieformalnej.

W pewnej mierze od struktury i jakości tych środowisk i od „momentu historycznego”, poniekąd jednak również od cech całkiem osobistych, uwarunkowanych ostatecznie dziedzicznością (w sensie biologicznym),

uzależnione są liczne cechy umysłu i charakteru, które ze swej strony wywierają wpływ na kierunek, efektywność i następstwa – w życiu osobistym – czyjejs działalności twórczej.

W grę wchodzi tu przede wszystkim czynniki następujące: rozmiary i jakość przygotowania ogólnego wyniesionego ze szkoły, rozmiary i jakość przygotowania kierunkowego (fachowego) wyniesionego z uczelni akademickiej, rozmiary i jakość przygotowania specjalistycznego pod kierunkiem danego profesora – „mistrza”, stopień i rodzaj samodzielności w pracy twórczej, jakość uczuciowych powiązań z określoną gałęzią nauki, techniki czy sztuki i z określoną problematyką specjalistyczną, jakość i poziom inteligencji ogólnej, jakość i poziom uzdolnień specjalnych, jakość zdrowia i zasób sił żywotnych. W grę wchodzi również takie cechy charakteru, wyraźnie wskazujące na możliwości pracy twórczej, jak pracowitość, stosunek do uprawianego rodzaju twórczości (użyteczny, entuzjastyczny, niewyraźny itp.) i wiele podobnych.

Niektóre z nich w mierze oczywiście uzależnione są od warunków ustrojowych i środowiskowych (np. przygotowanie ogólne i specjalistyczne do pracy naukowej), inne wskazują w dużej mierze na dziedzictwo biologiczne (np. jakość i poziom inteligencji ogólnej). W każdym wypadku mamy do czynienia z uzależnieniami niezmiernie złożonymi, „wielowarstwowymi” oraz w rozmaitym sensie i w różnym stopniu determinującymi przebieg i efekty czyjejs konkretnej pracy i wieloletniej działalności naukowej. Wszystkie – te i inne – czynniki uzależniają się wzajemnie, stanowią w całości istny węzeł gordyjski. Na tym miejscu skupię się tylko na wybranych czynnikach, tych zwłaszcza, które od dawna były przedmiotem rozważań, z kolei – badań naukowych. Dotyczy to przede wszystkim roli fantazji w działalności twórczej.

Od dawien dawna utrzymywano na ogół zgodnie, że jednym z istotnych warunków osobistych wszelkiej działalności twórczej jest fantazja: zazwyczaj z przydawką „twórcza”. Wprawdzie rolę jej akcentowano szczególnie na odcinku twórczości artystycznej, jednakże nie przeczesano – i nie sposób przeczyć – jej ważności również na innych polach działalności twórczej. Sprawa ta intrygowała wielu psychologów, prawie od samych początków istnienia ich nauki. Napisano wiele prac, wykonano sporą ilość badań, wypróbowano wiele środków diagnostycznych w odniesieniu do fantazji twórczej, zwłaszcza jednak do „zwyczajnej” wyobraźni, jako zdolności relatywnie prostszej. Nie wszystko zbadano w tej sprawie, nie ma już jednak istotnych wątpliwości co do charakteru współdziału fantazji w działalności twórczej.

Zdolnością pierwiastkową w fantazji jest łatwość biegu wyobrażeń odtwórczych, np. wzrokowych lub słuchowych (w postaci cichych słów). Zdolnością wyższego rzędu jest łatwość skojarzeń niezwykłych (nie-typowych, oryginalnych). Łatwość pierwiastkową stwierdzić można już u dzieci, np. snujących głośno swe marzenia na jawie. Jednakże nie dzieciom, lecz ludziom dorosłym przypisuje się fantazję twórczą. Poczynania twórcze nie polegają bowiem po prostu na snuciu marzeń na jawie ani na ich obrazowości, chociaż bez wątpienia obecność i łatwość marzeń jest tu okolicznością ważną. Nie polegają też po prostu na rozwiązywaniu zadań „z zamkniętymi oczami”. Jedno i drugie jest potrzebne, ale w szczególnej postaci.

W odróżnieniu od myślenia, wyznaczonego określonym zadaniem, fantazja ujawnia się w marzeniu, to jest w swobodnym biegu „pomyśleń”, niejako z ukrycia kierowanym uczuciami. Nie zawsze bowiem świadomi jesteśmy motywów naszych marzeń. Nie inaczej jest z fantazją twórczą. U podstaw psychologicznych wszelkiej twórczości leży marzenie, powiedzmy: marzenie twórcze. To prawda, jego charakter jest inny niż w całkiem osobistych marzeniach czy to u dzieci, czy to u dorosłych.

Treść marzeń twórczych odnosi się do spraw, rzeczy i zjawisk, stanowiących przedmiot określonej dziedziny kultury, a z ich biegu wyłaniają się konkretne problemy twórcze. W życiu każdego twórcy ważką rolę odgrywa „swobodna igraszka wyobrażeń”. Stanowi ona niejako zaródź wszelkiej twórczości, start do pracy twórczej, przede wszystkim zaś do pracy nad wykrystalizowaniem zadań, tematów, zagadnień wymagających twórczego przemyślenia i opracowania. Nie jest twórcą, kto tylko w lotnym marzeniu miewa pomysły nowe, błyskotliwe, niechby nawet olśniewające. Zaczyna nim być dopiero ten, kto – przesiewając pomysły o pokroju marzeniowym – umie wydobyć z nich ściśle określone zadania twórcze. A od zadań do skończonego dzieła jest jeszcze zazwyczaj droga daleka. Niewątpliwie jednak na drodze tej fantazja w postaci twórczego marzenia gra rolę istotną. Warto przy tym zaznaczyć, że marzenie twórcze nie tylko leży u startu do skomplikowanej pracy nad danym dziełem twórczym, ale także zazwyczaj wchodzi w rachubę na wszystkich jej etapach, w każdym razie u progu każdego częściowego problemu czy zadania. Ale czy to u startu, czy to w przebiegu pracy twórczej, marzenie twórcze jest rezultatem wielu podnieć zabarwionych uczuciowo; rezultatem – niekiedy jawnej, często ukrytej – gry uczuć, pragnień, potrzeb, awersji.

Znaczy to, że takie czy inne uczucia to niejako motor warsztatu zwanego pospolicie fantazją twórczą. Dodać trzeba, że u ludzi twórczych

jest to motor niezwykajny. Wszak również pospolite marzenia dzieci i dorosłych mają podbudowę uczuciową, ale jakże różnią się od niepokoju twórczego artysty, uczonego czy wynalazcy. Przeciętny „zjadacz chleba” popędza swoje marzenia uczuciami, dotyczącymi przeważnie spraw osobistych, natomiast twórcę niepokoją rzeczy, które co najmniej mogą mieć, jeśli w danej chwili jeszcze nie mają, znaczenie kulturowe, względnie społeczne; np. znaczenie dla postępu danej nauki lub dla jej zastosowań praktycznych w interesie społecznym. Twórca niepokoi się i cieszy wizją dzieła, które będzie zrozumiałe i dostępne dla innych, a więc które będzie dobrem wspólnym. Co nie mniej ważne – które będzie odzwierciedleniem obiektywnej rzeczywistości.

W niepokoju twórczym mieszają się zazwyczaj przejawy niezadowolenia ze starego i radości z wizji nowego, ale nie tylko to. Jest w nim ponadto – w przypadku twórcy dzieł oryginalnych – niemała doza śmiałości i ducha buntowniczego. Dzieła twórcze już wykonane obowiązują, zniewalają do posłuszeństwa wobec mistrza, do naśladownictwa, do podziwu. Jednakże wielcy twórcy byli zawsze buntownikami. Zawsze nie tylko po prostu urzeczywistniali dzieła nowe, ale o nowość walczyli i – najczęściej – walczyć musieli. Konsumenci kultury niełatwo nadążają za odkrywcami nowych dróg, a twórcy małego formatu z reguły patrzą na nowatorów z niechęcią, co najmniej zaś z rezerwą i przekąsem. Niepokój twórczy jest przeto szczególną kombinacją niezadowolenia, radości, odwagi i buntu. I głównie w takiej kombinacji jest siłą pędną w działalności twórczej. On to stanowi skrzydła fantazji twórczej, przynajmniej zaś skutecznie je umacnia w postaci oryginalnych marzeń i pomysłów twórczych.

I to nie wszystko w obrębie uczuciowej „podszewki” twórczości. W życiorysach wielu twórców znajdujemy wzmianki o przymusie wewnętrznym, który niejako zniewala ich myśli i czyny, o niezwykłych cierpieniach i „bólach porodowych”, towarzyszących powstawaniu ich dzieł. Wizja dzieła twórczego zdaje się więc obezwładniać swego rodziciela, zmuszać do wyrzeczeń i cierpień. Zdaje się siłą pędną, ale i wyczerpującą. Zgodnie z tym wielu wynalazców, odkrywców, uczonych, filozofów, artystów w szybkim tempie zużywało swe zdrowie i życie w niepoahamowanej pracy twórczej.

Trzeba jednak dodać, że charakter przymusowy miewają również idee i przedsięwzięcia osobiste, egoistyczne lub wręcz obłądne ludzi pospolitych, których ogarnia przemożna koncepcja działania, np. jakaś namiętność. Obezwładnieni przemożną namiętnością, również ludzie pospolici lub chorzy umysłowo ujawniają czasem niezwykle bujną fantazję i pomy-



słowość. Ale jej przedmioty różnią się istotnie od przedmiotów idei twórczych o charakterze „przymusowym”.

Wielu ludzi niepokoją sprawy nieosobiste, związane z rzeczywistością obiektywną, a przecież tylko niektórzy z nich tworzą dzieła nowe. Tylko niektórym z nich przyznaje się fantazję twórczą. Widać, że pod tą wieloznaczną etykietą domyślamy się obecności jeszcze innych cech specyficznych, a zarazem zalet, oprócz już wymienionych. Nie można ich pominąć, aby zrozumieć funkcjonowanie osobistego warsztatu twórczego pracownika naukowego w szczególności.

W rachubę wchodzi tu przede wszystkim umiejętność, oczywiście wyszkolona, dostrzegania braków w dotychczasowym dorobku kulturowym danego rodzaju, np. braków metodologicznych w danej specjalności naukowej. Marząc twórczo, kształtując zarysowo pomysły twórcze, uczony krąży – cichym słowem, uczuciem, czasem żywym plastycznym wyobrażeniem – dokoła badań już wprawdzie wykonanych, problemów już wprawdzie rozwiązanych, ale przecież budzących wątpliwości, nasuwających nowe możliwości, w jakimś punkcie, czasem w wielu punktach niezadawalających, otwartych itp.

Krótko mówiąc, twórca krąży swą fantazją po pograniczu osiągnięć dokonanych i możliwych. Jego wizje osiągnięć możliwych oparte są na twardym gruncie rzetelnej wiedzy z danej specjalności i w dziedzinach pokrewnych, wiedzy o „technice” ich wykonania, pośrednio i poniekąd również wiedzy o powiązaniach ze sprawami społecznymi, leżącymi poza obrębem jego specjalności fachowej. Jeśli bowiem nie są na tym oparte, twórca fantazjuje, a nie tworzy.

A twórca fantazjujący podobny jest w swych pomysłach – niechby nawet nieosobistych i odnoszących się do obiektywnej rzeczywistości – do marzącego dziecka. Czasem do paranoików, z których ten i ów też „tworzy”, np. obrazy, utwory literackie, dzieła filozoficzne, wynalazki techniczne. Jednakże bez dostosowania się do obiektywnej kultury danego rodzaju lub w dostosowaniu się niedostatecznym i pozornym.

Potrzebne są zatem mierniki do odróżnienia takiej „twórczości” od twórczości prawdziwej, to jest sprawdzalnej przez konfrontację z historią twórczości danego rodzaju, np. danej nauki i jej aktualnego stanu, i ewentualnie również z potrzebami społecznymi. Wiele form i przejawów twórczości wyrosłej po prostu z fantazjowania, bez dostatecznej kontroli w postaci jasnego rozumienia osiągnięć i dostrzegania na tym gruncie realnych, nowych możliwości, przez czas pewien zdobywało sobie uznanie społeczne i uchodziło za twórczość prawdziwą. Ale przeważnie na



krótką metę. Prędzej czy później wspomniana konfrontacja odrzuca produkty fantazjowania.

Nie wystarczy po prostu widzieć nowych możliwości na gruncie osiągnięć dotychczasowych, niechby nawet uznawanych przez twórcę za już nieważne i pokonane. Trzeba ponadto naprawdę chcieć i móc realizować pomysły własne, a jednak przystosowane do kultury i do potrzeb społecznych, trzeba mieć twórczą wolę oraz zdolność, zaprawę i umiejętność twórczego czynu, aż do wykończenia dzieła.

Zreasumujmy krótko: Nie sposób wątpić, że twórczość wszelkiego rodzaju wymaga „odrobiny fantazji”, a twórczość wielka – fantazji niezwyklej. Trzeba jednak stwierdzić, że dla fantazji twórczej bynajmniej nie jest znamienna obecność żywych i plastycznych wyobrażeń, lecz raczej żywość i oryginalność wizji o charakterze znaczeń: żywotność intencjonalnych nastawień do przedmiotów możliwych, niekoniecznie „plastycznie” uprzytomnionych. Nie wyklucza to wprowadzie żywości wyobrażeń konkretnych, lecz każe zaakcentować rolę gry cichych słów, gry abstrakcyjnych znaczeń. Fantazja twórcza stanowi szczególną kombinację gry znaczeń, kierowanej regułami w postaci względów na margines osiągnięć już dokonanych i możliwych, „osadzonej” na wiedzy fachowej i sprawności technicznej, a podsycanej „paliwem” w postaci niepokoju twórczego, przymusu wewnętrznego i radości z osiągnięć ewentualnych. Bez fantazji nie ma twórczości, jednakże pomysły same przez się, niechby najlepiej przystosowane do rzeczywistości, znaczą niewiele bez szeregu walorów innych, przede wszystkim bez odpowiednio sprawnej inteligencji ogólnej, bez uzdolnień specjalnych, bez należytej pracowitości i bez uzdolnień moralnych, niezbędnych do doprowadzenia dzieł przedsięwziętych do końca. A więc splot wielu warunków jest potrzebny do tzw. natchnień twórczych, do twórczego stylu życia i do efektywnej działalności twórczej.

## **Genialność i oryginalność**

Problemy genialności i oryginalności dotyczą rzeczy istotnie tej samej, ale rozpatrywanej z różnych punktów widzenia. Oryginalność oznacza domniemaną w dziełach twórczych nowość w porównaniu z tradycją; nowość mniej lub bardziej od tradycji oderwaną, jednakże pomimo to do niej nawiązującą. W nauce: do dotychczasowego stanu wiedzy. Oryginalność jest więc cechą dzieł twórczych, w szczególności twórczych dzieł naukowych. Natomiast genialność jest cechą ludzi zdolnych do tworze-

nia dzieł wysoce oryginalnych. Ścisłej – układem wielu cech osobowości z akcentem na uzdolnieniach intelektualnych. Intuicyjnie przyjmuje się tym samym, że zachodzi zgodność w sensie korelacji wprost proporcjonalnej między oryginalnością wysokiej klasy a genialnością.

Czy pogląd ten jest uzasadniony? W zasadzie bez wątpienia tak, jednakże z zastrzeżeniami. Najpierw dotyczą one niejako sposobu patrzenia. Raz rozpatrujemy dane dzieło twórcze i w rezultacie odpowiedniej analizy krytycznej dochodzimy do wniosku-oceny, że jest ono wysoce oryginalne. Innym razem zastanawiając się nad osobowościowymi warunkami powstawania dzieł oryginalnych, wyjaśniamy sobie ich genezę szczególnym kształtem i układem uzdolnień intelektualnych, poniekąd również cech moralnych, przy czym całościowo nazywamy je genialnością. Krótko mówiąc, gdy patrzymy na jakieś dzieło, mówimy w pewnych wypadkach o jego wysokiej oryginalności. A gdy mamy do czynienia z dziełem wysoce oryginalnym i gdy próbujemy odpowiedzieć na pytanie, jak ono powstało dzięki jego twórcy, a nie dzięki układowi obiektywnych warunków kulturowych i społecznych, wtedy mówimy o genialności.

Znaczy to, że nie można poznawać genialności i geniusza na podstawie twierdzeń, np. testowych, wysokiej miary uzdolnień intelektualnych. Stwierdzenia – dotyczące wysokiej inteligencji ogólnej i uzdolnień, zwanych talentami – uzyskane w badaniach testowych mogą być trafne. Mogą sprawdzać się w rezultatach uczenia się lub w badaniach testami o innej treści. Pomimo to mogą nie mieć nic wspólnego z genialnością, póki osoba obdarzona wysokimi uzdolnieniami nie wykaże się dziełami wysoce oryginalnymi. Krótko mówiąc, na podstawie stwierdzenia obecności wysokich uzdolnień nie można przewidywać powstawania dzieł wysoce oryginalnych, a nawet w ogóle jakichkolwiek dzieł twórczych. Tym samym na tej tylko podstawie nie można mówić o czyjejś genialności. Genialność oznacza bowiem domniemanie obecności wysokich uzdolnień intelektualnych (z reguły związanych z wieloma szczególnymi cechami moralnymi) na podstawie dzieł wysoce oryginalnych.

Z punktu widzenia filozofii kultury pierwszoplanowe jest tutaj zagadnienie oryginalności dzieł twórczych. Jednakże – z uwagi na ścisłe skojarzenie – niezbędny jest niechby zarysowy opis problematyki genialności. Słowa „genialność” i „geniusz”, bezpośrednio wywodzące się z francuskiego *génie*, pośrednio z łacińskiego *ingenium*, oznaczają wyjątkowo wysokie uzdolnienie twórcze bądź osobę o takim uzdolnieniu. Ze względu zarówno na swą wyjątkowość, jak i na doniosłość społeczną – genialność była od dawna przedmiotem literackich rozważań, zaś od kilkudziesięciu

lat jest przedmiotem naukowych badań. W tych drugich na czoło wysu-  
nęły się zagadnienia:

1. dziedziczenia genialności;
2. stosunku genialności do talentu i do uzdolnień przeciętnych;
3. cech jakościowych i diagnostyki (rozpoznawania) genialności;
4. cech twórczości genialnej.

To ostatnie stanowi część problematyki oryginalności.

Podwaliny naukowe do pierwszego z nich stworzył Francis Galton sta-  
tystycznymi badaniami nad dziedziczeniem genialności. Zebrał on wia-  
domości biograficzne o kilku tysiącach wybitnych Anglików oraz o ich  
bliższej i dalszej rodzinie i wykazał, że genialność występuje daleko czę-  
ściej w rodzinach wybitnych aniżeli w przeciętnych lub upośledzonych,  
z czego wnosił o jej podłożu dziedzicznym. Co prawda, zastosowana przez  
Galtona metoda oszacowywania genialności na podstawie wywiadów  
i danych dotyczących pozycji społecznej była przedmiotem uzasadnionej  
krytyki.

Badania dalsze częściowo potwierdziły twierdzenia Galtona, częściowo  
im zaprzeczyły. Wykazały wpływ środowiska społecznego, zwłaszcza tra-  
dycji w zakresie kultury intelektualnej rodziny, poza tym przyczyniły się  
do stwierdzenia znanego faktu, że wielu wybitnych twórców pochodziło  
z rodzin mało znaczących. Nie przeczy to tezie o dziedziczeniu uzdol-  
nień genialnych, przemawia natomiast za wnioskiem, że genialność jest  
wypadkową skomplikowanego układu przyczyn, ponadto że jest może  
raczej zjawiskiem „skokowym”, wyjątkowym na gruncie przeciętności  
aniżeli produktem podłoża zbliżonego do genialności. W przybliżeniu taki  
sens ma zresztą Galtona prawo regresji, tj. cofania się uzdolnień u potom-  
ków ludzi genialnych ku przeciętności.

Wiele uwagi poświęcono diagnostyce genialności na tle pytania: „po-  
czym poznaje się wyjątkowo wielkie uzdolnienie twórcze?” Mniemano, że  
przede wszystkim po nadzwyczajnej inteligencji (Terman). Aczkolwiek  
wchodzi to w rachubę, według autorów nowszych (Kretschmer, Eichbaum,  
Paulhan i inni) podkreślić należy raczej wpływ szczególnych czynników  
emocjonalnych oraz znaczenie środowiskowych warunków dla rozwoju  
w dzieciństwie (Adler). Geniusz jest nie tylko nadzwyczajnie uzdolniony  
intelektualnie, ale także specyficznie wrażliwy uczuciowo, co ludzie prze-  
ciętni dość chętnie, ale niesłusznie utożsamiają z charakterem psychopa-  
tycznym. Z niezwykłą inteligencją, chłonną pamięcią, lotną wyobraźnią  
i wyjątkową wrażliwością idzie w parze zdolność do trwałego zatrzy-  
mywania się na pewnych zagadnieniach twórczych aż do ich rozwiąza-

nia. Hipoteza psychopatycznej natury geniuszów okazała się co najmniej wątpliwa, podobnie jak próby diagnostyki na podstawie budowy czaszki, rysów twarzy i sposobów zachowania się.

Mniej zawodną, lecz trudną metodą rozpoznawania genialności jest analiza dzieł ze względu na ich oryginalność. Jest to oczywiście rozpoznanie *ex post*. Psychodiagnostycznie można stwierdzić tylko niektóre warunki genialności, np. wybitną inteligencję, upór zainteresowań, ale nie można na tej podstawie wnioskować, że w danym wypadku do czynienia mamy z osobą o uzdolnieniach genialnych, tym mniej – że z geniuszem.

Twórczość genialną cechuje nade wszystko oryginalność, ta zaś jest skomplikowanym wyrazem stosunku dzieła gotowego do dzieł poprzedzających oraz do współczesnych i późniejszych, od niego zależnych. Dzieło oryginalne zawiera w porównaniu z naśladowczymi i epigonicznymi wielki potencjał generatywny, czyli pociąga za sobą (w swoich ramach) wiele utworów pochodnych. Jest ono w pewnym sensie utworem ramowym, bo otwiera horyzonty nowych dróg i zagadnień, ale ich nie wyczerpuje. Nawiązuje do danej kultury, ale na jej gruncie zbiera, jak w ognisku soczewki, sprawy z niej wynikające. Jest ogólne wobec licznych zagadnień i utworów szczegółowych, jakie zeń wynikają. Przyjrzyjmy się temu z bliska, ze szczególnym uwzględnieniem oryginalności w nauce.

„Oryginalność” pochodzi od łacińskiego słowa *origo*, które znaczy ‘początek’. Oryginalność jest to przeto – etymologicznie rzecz biorąc – zapoczątkowanie czegoś, nowość czegoś. Z reguły na myśli miewamy przy tym zapoczątkowanie czegoś w dziedzinie działalności twórczej i twórczości samej. Wobec tego, że dzieła twórcze stanowią – wielki czy nieznaczny – wkład w kulturę, mówić można o nowości kulturowej. Oczywiście, również – o nowości twórczej. Wyrażenia „oryginalność”, „oryginalny” mają zastosowanie uniwersalne, tj. do wszelkiego rodzaju dzieł twórczych, jednak szczególnie często używa się ich w odniesieniu do dzieł sztuki. W odniesieniu do prac naukowych raczej mówi się o ich nowości; co prawda, zawsze na oznaczenie nowości kulturowej. Ponadto znamienne dla słownictwa naukowego wyrażenie „odkrycie naukowe” zawiera w sobie nie tylko stwierdzenie faktu, lecz również ocenę, i to właśnie według zasad oryginalności. Coś podobnego odnosi się do „stwierdzenia faktu naukowego”. Uznając ogólne znaczenie pojęcia i problematyki oryginalności, tj. ich zastosowalność do wszelkich dzieł twórczych, skupię się tutaj w zasadzie na oryginalności w nauce. Sprawą tą zajmowałem się kilkakrotnie, poczynawszy od monografii z roku 1948 *Krytyka dzieł twórczych*.

Ocena oryginalności prac naukowych zasadza się na orzeczeniach o stopniu ich względnej nowości pod wieloma względami lub pod pewnym względem, przy czym nie chodzi o nowość „samą przez się”, lecz w zestawieniu ze stopniem ogólności problemów, hipotez, metod i wyników, czyli o nowość względną. Oryginalny problem jest bowiem tym bardziej wartościowy, im bardziej jest ogólny. Znaczy to: im bardziej jest pojemny, im więcej obejmuje zagadnień szczegółowych. Konsekwencje problemu relatywnie ogólnego dla postępu nauki, pośrednio również dla życia, bywają na ogół bardziej dalekosiężne niż konsekwencje problemu relatywnie wąskiego, szczegółowego. W przybliżeniu to samo odnosi się do oryginalności hipotez, metod i wyników badań.

Ponadto oryginalność, czyli nowość twórczą, oceniamy relatywnie ze względu na charakter związku dzieł twórczych danego rodzaju działań dotychczasowych. Ogólnie rzecz biorąc, tym bardziej uznajemy nowe w sensie publikacyjnym za oryginalne, im lepiej – przy swej nowości – powiązane są one swą treścią z tradycją, a to w granicach między bardzo ścisłą kontynuacją a radykalnym, lecz należycie uzasadnionym zerwaniem z nią.

Można i trzeba by rozróżnić wiele szczebli oryginalności w pracach naukowych. Poniekąd robi się to. Na jednym końcu drabiny do czynienia mamy z pracami prawie całkiem pozbawionymi oryginalności, na drugim z oryginalnością wyjątkowo wielką. Zdarzają się prace prawie całkiem nieoryginalne bądź tylko znikomo oryginalne, są kompilacje, prace naśladowcze i drobne przyczynki wykonawcze. Ślad nowości i wysiłku twórczego widać na nich czy to w drobnych zmianach układu znanego, czy to w nieistotnych uzupełnieniach do wiadomości znanych. Oczywiście, wysiłek twórczy w pracach kompilacyjnych i naśladowczych może wydawać się imponujący, jeśli zaakcentować trud gromadzenia i nowy układ składników istniejącej wiedzy. Z tego punktu widzenia niektóre podręczniki akademickie uważać można za wysoce oryginalne pomimo ich charakteru – w zasadzie – kompilacyjnego.

Prace oryginalne są dla nauki cenne, o ile dobrze nawiązują do dotychczasowej wiedzy, względnie niewiedzy oraz do potrzeb społecznych. Głównie dzięki nawiązywaniu do dotychczasowego stanu wiedzy specjaliści danej nauki mają możliwość wykrywania braków czy błędów w pracach ocenianych. Niezależnie od krytyki mają dzięki temu podstawę do formułowania i uzasadniania problemów pochodnych i pokrewnych, w ogóle zaś podstawę do kontynuowania pracy badawczej na kanwie osiągnięć dotychczasowych. Dzięki temu prace te stanowią cenne ogniwa w spo-

łeczno-historycznym życiu nauki. Im bardziej praca naukowa jest oryginalna, a zarazem im trafniej związana jest z dotychczasowym dorobkiem nauki, tym większy jest jej „potencjał generatywny”, tj. zasób możliwości do wywoływania prac dalszych.

„Nawiązywanie” bądź „przystosowywanie” do osiągnięć dotychczasowych mieści w sobie potrzebę rozpoznawania tegoż ze strony odbiorców prac oryginalnych, w szczególności krytyków. Wszak ktoś kompetentny musi ocenić jakość nawiązania czy przystosowania. A w tym tkwi kłopot nie lada. Praca oryginalna jako taka wymaga stosownego wysiłku zrozumienia, w tym również uczuciowego uznania w postaci jej akceptacji. Jednakże wszelka nowość wzbudza uczucie mieszane, nasamprzód nierzadko uczucie zdziwienia. Prawie zawsze zachodzą przy tym dwie możliwości:

1. dana praca jest obiektywnie dziwna, bo źle przystosowana do dobrze ustabilizowanej wiedzy naukowej;

2. dana praca jest dziwna ze względu na (subiektywne) trudności zrozumienia i uczuciowego uznania przez odbiorcę.

Zdarzają się prace wprowadzające pod jakimś lub pod wieloma względami przynajmniej na pozór oryginalne, tj. kulturowo nowe, jednakże zarazem obiektywnie dziwnie, bo niewyraźnie związane z dotychczasowym stanem nauki. Jeśli są to prace wadliwe pod względem logicznym i metodologicznym, ich oryginalność jest zazwyczaj bez wartości dla nauki. Powiemy w takim razie, że są to prace pozornie naukowe. Ich źródła tkwią niekiedy w defektach i zaburzeniach psychicznych. Co prawda, praca naukowa oryginalna, lecz dziwna, może się okazać wysoce wartościowa dla postępu naukowego, gdy czy to jej autor, czy to komentatorzy wykażą w pracach dalszych powiązania z tradycją niechby dawniejszą, z problematyką aktualną danej nauki lub z potrzebami społecznymi. Znaczący to, że ocena oryginalności może być – i bywa faktycznie – mniej lub bardziej zmienna, a to w zależności od zrozumienia, względnie wykazania związków nowości (np. nowej teorii) z tradycją i potrzeby częściowego bądź całkowitego zerwania z nią. Poza tym reakcja zdziwienia jest zależna od wielu innych warunków zmiennych, przede wszystkim od stanu wiedzy czytelnika. Zresztą orzeczenia o dziwności (czyli o oryginalności wątpliwej, bezwartościowej, a nawet szkodliwej) niekoniecznie muszą być słuszne. Podobnie bowiem, jak np. orzeczenia o niejasności myśli, wynikać mogą po prostu z niedostatecznego fachowego przygotowania krytyka; również ze skostniałości umysłowej. Historia nauki poucza wymownie o tym, że nierzadko idee, hipotezy, problemy i prace w sensie dodatnim oryginalne, a dzięki temu wysoce wartościowe, czyli przyczyniające się do postępu naukowego,



społeczność specjalistów piętnowała jako dziwne i dlatego fałszywe. Niekiedy świadomie przemilczała ich istnienie, póki to było możliwe.

Przedstawiony tu pogląd ramowy na istotny sens oryginalności spróbujemy rozwinąć, a to nasamprzód ze względu na pytanie, czy, a jeśli tak, to jak można rozróżnić stopnie bądź formy jakościowe oryginalności: tutaj – nowości kulturowej dzieł naukowych. (Pojęcie „dzieło naukowe” ma tu znaczenie ogólne, obejmujące: koncepcje, hipotezy, problemy, metody robocze, badania, organizacje badań, teorie, syntezy, monograficzne publikacje naukowe, podręczniki akademickie itp.). Wszak rozróżnienia stopni czy form mogą być przydatne w praktycznym zastosowaniu kryterium oryginalności do oceny prac i działalności naukowej. A właśnie z kolei ta sprawa wymaga rozpatrzenia. Nie chodzi bowiem o samo tylko rozróżnienie stopni czy form oryginalności w pracy naukowej, lecz nie mniej o możliwość trafnej oceny danych prac jako oryginalnych w określonej mierze.

Możliwość podstawowa – celem rozróżnienia stopni oryginalności dzieł naukowych – leży w logicznej pojemności pomysłów, problemów, hipotez, teorii i pojęć naukowych. Z tego punktu widzenia jedne z nich są bardzo ogólne, inne bardzo szczegółowe. Jedne można by nazwać generalnymi, inne specjalnymi lub lokalnymi. Nie trzeba uzasadniać, że te pierwsze są lub mogą być bardziej „płodne” od drugich. Znaczy to, że mogą wywierać odpowiednio większy wpływ na postęp naukowy. Weźmy pod uwagę teorie naukowe. Jako przykłady teorii generalnych, zarazem oryginalnych, bo płodnych, służyć mogą: Darwina teoria pochodzenia gatunków lub Einsteina teoria względności. Jedna i druga obejmowały wiele problemów pochodnych, o coraz większym stopniu szczegółowości czy „lokalności”. Obydwie pociągnęły za sobą ogromną ilość badań i teorii pochodnych. Dla porównania weźmy tu np. pogląd naukowy oparty na należycie wykonanych badaniach nad granicą północną zasiedlania danego gatunku roślin. I ten pogląd może wywrzeć pewien wpływ na badania pochodne. Będą one jednak daleko skromniejsze z uwagi na wąskość problemu.

Ogólność, względnie szczegółowość problemów odpowiada ogólności, względnie szczegółowości pojęć, a więc naprowadza na sprawę ich układu logicznego. Pojęcia i problemy mają swoje mniej lub bardziej ustalone miejsca logiczne. Są to pozycje w systemach klasyfikacyjnych, jakimi rozporządzają wszelkie nauki godne tej nazwy. Jest to oczywiste w naukach przyrodniczych, ale odnosi się zasadniczo również do nauk humanistycznych.

Oprócz stopnia ogólności problemów uwzględnić trzeba stopień ich ważności z punktu widzenia jakości powiązania z życiem, a więc w powią-



zaniu z szeroko pojętym kryterium praktycznej użyteczności prac naukowych. Znaczy to, że wysoki stopień ogólności problemów w połączeniu z ich relatywnie wielką ważnością praktyczną podnosi „cenę oryginalności”. Jedni uczeni mają zdolność do zauważania problemów w tym sensie ważnych, inni nie. Jedni mają zdolność do wytrwałego poświęcania czasu i wysiłku na badania przez nich samych uznane za obiektywnie ważne, inni wolą trzymać się problemów utartych. Rozróżnić trzeba – dalej – oryginalność koncepcji i problemów oraz oryginalność skończonych dzieł. Z tego punktu widzenia jedni uczeni widzą przed nauką zadania nowe i poświęcają się im, inni mają raczej zdolność do syntezy, tj. do podsumowywania wielu badań już przeprowadzonych, w postaci teorii usuwających dotychczasowe wątpliwości czy sprzeczności. Ich dzieła są może mniej płodne niż tamtych, ale nie mniej ważne dla postępu nauki. Zilustrujmy rozróżnienie na przykładach.

W zakresie fizyki do dzieł syntetycznych zaliczyć można np. *Filozofię naturalną* Newtona, jednego z najbardziej cenionych geniuszów nauki nowożytnej. W niej zostały zebrane, uogólnione i ściśle ujęte pojęcia fizyki, z jakimi mocowało się wielu uczonych, poczynawszy od Galileusza. Ten ostatni wskazywał na nowe pojęcia, nowe metody, nowe horyzonty i na wiele zadań do rozwiązania. Natomiast sformułowane przez Newtona prawo ciążenia powszechnego stanowi ogólne ich rozwiązanie i uwieńczenie twórczego rozwoju, trwającego bez mała sto lat. Fizyka Newtona stanowi zatem genialną i oryginalną syntezę. Nie wniosła ona zasadniczo nowych punktów widzenia, istotnie nowych problemów, nowych metod, nie otwierała istotnie nowych dróg, ale na gruncie pojęć teoretycznych, eksperymentów i obliczeń kilku pokoleń fizyków stanowiła dla ich prac przyczynkowych wyjaśnienie systematyczne. Stanowiła syntezę systematyczną, tak ogólną i doskonałą, że póki to było możliwe, starano się odkrycia nowe z dziedziny mechaniki, teorii ciepła, a nawet elektryczności i teorii fal podporządkować jako prawa szczegółowe ogólnym prawom, przedstawionym w *Filozofii naturalnej*. Było z tym coraz trudniej, mianowicie w badaniach nad falami, światłem i zjawiskami elektrycznymi. Ich autorzy starali się za wszelką cenę podporządkować zasadom sprecyzowanym w syntezie Newtona. Wreszcie na przełomie XIX i XX wieku fizycy doszli jednak do przekonania, że zasady te nie są do utrzymania, że niezbędne są nowe wielkie hipotezy ramowe.

Nowe ramy stworzył Einstein, wizjoner, lecz raczej nie systematyk, toteż podobnie jak Galileusz zwrócił uwagę na wiele problemów, wynikających z ogólnej i szczegółowej teorii względności. Newton i Einstein

są twórcami dzieł niewątpliwie oryginalnych, lecz wymagających dla słusznej oceny różnych miar oryginalności – tj. oryginalności w dokonywaniu naukowych syntez, a oryginalności w postaci nowych, należyście uzasadnionych ogólnych hipotez. Oryginalni „syntetycy” zamykają w generalnym „podsumowaniu” epokę żmudnych poszukiwań i nowych odkryć. Natomiast „wizjonerzy” otwierają epokę odkryć nowych i zaledwie ramową intuicją ogarnionych. Jedni tworzą spójne systemy pojęć, względnie praw naukowych, drudzy – wielkie ramy o potężnym potencjale generatywnym. Jedni i drudzy odgrywają rolę istotną w dziejach myśli naukowej. Jedni i drudzy są dla nauki ważni, ale pod innymi względami. Jedni są wskazicielami dróg nowych, drudzy porządkują i systematyzują drogi stare oraz tworzą syntezę osiągnięć. W obydwu wypadkach potrzebny jest prawdopodobnie jednakowy co do swej mocy intelektualnej, lecz odrębny w swym charakterze rozmach twórczy.

Niełatwo znaleźć odpowiedniki w naukach innych, prawdopodobnie z powodu ich relatywnie mniejszego zaawansowania w porównaniu z fizyką. Niemniej próbować można. Weźmy pod uwagę nauki biologiczne. W ich obrębie oryginalnymi syntetykami, po epoce przyczynkowych i nieuporządkowanych studiów morfologicznych, byli: Cuvier i Linneusz; po epoce domniemań, na wpół filozoficznych hipotez i teorii ramowych w sprawie ewolucji życia syntetykami byli Wallace i Darwin. Co prawda, wielką syntezę głównego twórcy ewolucjonizmu, tj. Darwina, można by oceniać również jako wielką hipotezę ramową obejmującą wiele hipotez i problemów pochodnych do naukowego zbadania.

Pomimo wątpliwości wynikających z rozróżnienia, ale i równorzędnego traktowania oryginalności wielkich, ramowych koncepcji i problemów oraz wielkich syntez intuicyjnie odczuwa się różnicę istotną między oryginalnością dającą początek a oryginalnością stanowiącą syntezę i niejako ukoronowanie twórczości pewnego okresu. Zazwyczaj tę drugą nazywa się nie oryginalnością, lecz wielkością. Ze względu na to potoczne określenie rozróżnić trzeba by w takim razie dwie odrębne klasy oryginalnych dzieł naukowych, istotnie ważnych kulturowo: dzieła ramowe i dzieła wielkie, czyli skończone.

W skończonym dziele nauki znajdujemy przede wszystkim uzgodnienie i uogólnienie hipotez szczegółowych, dotychczas sprzecznych, nieuporządkowanych lub rozbieżnych. Nowość polega więc na pojednaniu sprzeczności przez traktowanie znanych praw szczegółowych jako przypadków prawa ogólniejszego. Uogólnienie różni się istotnie od hipotezy ogólnej, czyli ramowej: jest logicznie dobrze wypracowaną teorią, zamy-

kającą okres badań szczegółowych, mniej lub bardziej zadawalającą i skłaniającą do rezygnacji z badań nad problemami lub hipotezami z nią sprzecznymi lub choćby tylko wyraźnie odrębnymi. W przeciwieństwie do teorii syntetycznej, hipoteza ogólna jako problem otwarty narzuca wiele pochodnych badań kontrolnych, wtórnych, uzupełniających. Teoria skończona spełniła już wymagania, problem otwarty dopiero stawia wymagania. Autor dzieła ramowego ma wątpliwości, wysuwa sporo zagadnień, na które udziela odpowiedzi tymczasowej, autor dzieła skończonego odpowiada definitywnie na wątpliwości albo nie ma ich wcale.

Dzieło skończone (w nauce, jak i w filozofii) to system. W systemie nie ma problemów, są natomiast dedukcje. Dzieło ramowe niepokoi, dzieło skończone uspokaja. W dziele ramowym jest pełno luk, w dziele skończonym wszystkie miejsca logiczne są jednoznacznie zajęte. W dziele skończonym można zauważyć tendencje do fikcyjnego zapełniania miejsc doświadczalnie otwartych twierdzeniami bez pokrycia doświadczalnego i bezproblemowymi. W ramach oryginalnych tkwi bujny temperament, ale zarazem niepewność, czasem chaos; w syntezie oryginalnej jest spokój, ale i skłonność do skostnienia. Pod tymi względami wielkie i skończone dzieła nauki są podobne do filozoficznych. Oryginalna synteza twórcza skłania do kontemplacyjnego podziwu, oryginalna hipoteza, względnie odpowiedni problem, skłania raczej do krytyki, buntu i do pracy badawczej. W syntezie twórczej, będącej dziełem doskonałym, jest niedostatek potencjału generatywnego, tj. podniet i możliwości twórczych dla następców. Synteza skłania do naśladownictwa, lecz nie do dalszych prac oryginalnych, aczkolwiek pochodnych. Stanowi to poniekąd ocenę porównawczą dzieł ramowych i dzieł skończonych.

Nie ma dzieła pozbawionego – choćby śladów – oryginalności. Mimo to z praktycznego punktu widzenia można pewne rodzaje dzieł naukowych, np. prac promocyjnych, uznać za prawie że, a nawet całkiem pozbawionych oryginalności. Warto nad tą sprawą zastanowić się nieco bliżej, a to tym bardziej, że do zadań krytyka czy recenzenta należy również ocena braków oryginalności, względnie jej przeciwieństw w zastosowaniu do dzieł konkretnych. A w niejednej recenzji prac promocyjnych w różnej formie – przeważnie uprzejmej – znaleźć można stwierdzenia albo twierdzenia co do obecności naśladownictwa, czasem zbliżonego do plagiatu.

Za całkowicie nieoryginalne uważa się kopie i plagiaty. Pierwszy z tych terminów stosuje się poza działalnością dokumentów zazwyczaj do dzieł plastycznych, będących umyślnym odwzorowaniem oryginałów. Przez plagiat rozumie się świadome przywłaszczenie sobie części lub

całości cudzych prac oryginalnych celem wzbudzenia przekonania o oryginalności dzieła „własnego”. Plagiat jest więc również kopią, ale kopia powstała z motywu społecznego.

Obiektywne wykazanie plagiatu napotyka czasem na trudności. Nie każde bowiem dzieło podobne jota w jotę do oryginału powstaje z chęci przywłaszczenia tytułu do cudzego dorobku oryginalnego. Zdarza się, że twórca uważa w dobrej wierze pewne pomysły i fragmenty własnych prac, zaczerpnięte faktycznie acz bezwiednie skądinąd, za produkty twórczości własnej. Wiąże się to z właściwościami pamięci. Osoby o pamięci wyjątkowo pojemnej i trwałej potrafią odtworzyć raz przeczytane czy posłyszane teksty nawet po upływie dość długiego czasu. Zdarza się to szczególnie w transie hipnotycznym. „Natchnienie” twórcze w pewnej mierze podobne jest do transu, nie należy więc wykluczać możliwości, że np. pisarz w niektórych fragmentach swojego utworu powtarza tekst cudzy i że w dobrej wierze uważa ten tekst za swój własny. Oczywiście, również autorowi pracy naukowej może się zdarzyć nieomal dokładne powtórzenie toku czyichś myśli bez świadomości ich zapożyczenia, a nawet w przekonaniu, że są to jego własne myśli czy fragmenty tekstów. Pomimo to na ogół nie ma istotnych trudności w „rozszyfrowaniu” powtórzeń złożonych układów myśli jako plagiatów.

W nauce szczególną postacią braku bądź niedostatku oryginalności stanowią kompilacje. Są to prace ułożone przez pozbieranie fragmentów z dzieł cudzych. Jeżeli autor nie powołuje się na źródła, z których czerpał, do czynienia mamy z mniej lub bardziej oczywistym plagiatem, zestawionym z części wielu prac cudzych. Co prawda, kompilatorzy zazwyczaj starannie powołują się na źródła.

Można by się pokusić o rozróżnienie stopni pośrednich między dziełem kompilacyjnym a oryginalnym. Więcej niż kompilacją jest praca, do której autor włożył oprócz niewątpliwie cennej uczoności nowy układ części znanych w obrębie już nie mniej znanego problemu. Jeszcze bardziej oderwał się od kompilacji, kto wprowadzie hojnie korzysta z prac cudzych i zasadniczo na nich się opiera, lecz czerpie z nich tylko niezbędny materiał do oświecenia nowego, własnego problemu naukowego. Oczywiście, daleka od kompilacji jest praca, wprowadzie zawierająca wiele cytatów i nazwisk autorów, lecz mimo to oparta na własnych badaniach autora, o własnej problematyce i koncepcjach.

Oparcie na tradycji jest niezbędne w każdym wypadku, toteż samo przez się powoływanie się na autorów innych nie świadczy o kompilacyjnym charakterze danej pracy. Do pewnych granic jest bowiem warun-

kiem poprawności pracy naukowej. Co prawda, granice te trudno ustalić w sposób ogólny. Zależą one od charakteru pracy, od tematu, głównie zaś od sposobu korzystania z prac cudzych. Czym innym jest powoływanie się na autorów innych celem potwierdzenia słuszności sądów „własnych”, czym innym natomiast krytyczna analiza wyników badań dotychczasowych celem pójsia o krok naprzód. Pierwsze świadczy o daleko posuniętej zależności moralnej od autorytetów, a zarazem o kompilacji.

Mianem „kontynuacja” (od łac. *continuatio* ‘ciągłość, przedłużenie’; pochodnie: ‘dalsze prowadzenie danej działalności’) określa się twórczość poniekąd oryginalną uczniów, pozostającą w zależności od bardziej od niej oryginalnych dzieł mistrzów. Wielkie dzieła kultury zawierają niezwykle „potencjał generatywny” i jako takie stanowią źródło natchnienia licznych twórców. Otóż właśnie dzieła naśladowcze, względnie tylko częściowo naśladowcze (ale nie plagiaty czy kopie), powstające niejako w cieniu dzieł wybitnie oryginalnych, nazywa się kontynuacjami. Powstają one pod przemożnym wpływem dzieła wysoce oryginalnego i stanowią wypracowanie szczegółowe pomysłów w nim zawartych.

W kontynuacjach naukowych znajdujemy opracowanie zagadnień obecnych w dziele macierzystym, lecz tam tylko szkicowo przedstawionych, zebranie materiałów dowodowych według wskazań i przewidywań autora dzieła wysoce oryginalnego, wyprowadzanie konsekwencji logicznych z hipotez oryginalnych, uporządkowanie przesłanek do nich, przeprowadzenie analizy porównawczej zagadnień wyłuszczonych w dziele oryginalnym z zagadnieniami pokrewnymi, zastosowanie twierdzeń i odkryć do zagadnień praktycznych itp. Krótko mówiąc, kontynuacje naukowe są to wypracowania szczegółów logicznych i metodologicznych do schematu oryginalnego.

Wszelkie kontynuacje są w zasadzie do siebie podobne, bo wszystkie rozwijają pomysły zawarte w dziele wysoce oryginalnym i o potężnym ładunku twórczym. Jednakże poza podobieństwem istotnym zachodzą między innymi różnice z punktu widzenia ich względnej wartości kulturowej. Inną ważność przyznamy kontynuatorom Darwina (np. Romanesowi, Wassmanowi), którzy poszukiwali dalszych materiałów dowodowych i krytycznych do tez jego dzieła *O pochodzeniu gatunków*, inną kontynuatorom, którzy, jak np. Hückel, wyprowadzili z ewolucjonizmu nowe hipotezy robocze (filogeneza a ontogeneza). Znaczy to, że w obrębie kontynuacji zachodzą różnice stopnia zależności od dzieł wysoce oryginalnych, a także różnice w zakresie „potencjału twórczego”. Co prawda – łatwiej stwierdzać czy twierdzić ogólnie, że jedno i drugie różnice wystę-

pują, natomiast daleko trudniej z dostatecznym uzasadnieniem rozróżnić stopnie i wskazać diagnostycznie na cechy znamienne stopni poszczególnych. Niemalą przeszkodę po temu stanowi sława, nie zawsze i niekoniecznie odpowiadająca poziomowi nowości kulturowej, przysługującemu danemu dziełu kontynuacyjnemu. I tak przykładowo sława Ernsta Häckla, w zasadzie darwinisty i kontynuatora, była swego czasu nie mniejsza niż sława samego Darwina.

Dwa rodzaje dzieł wykraczają daleko poza ramy kontynuacji: dzieła programowe i prekursorskie, oraz o dalszy wielki krok naprzód – dzieła rewolucyjne. Twórcy dzieł prekursorskich zrywają z szablonem, formułują nowe idee twórcze, lecz jeszcze swoich idei dostatecznie nie precyzują. Prekursorzy wyprzedzają prawdziwe rewolucje twórczości danego rodzaju, zapowiadają je, przygotowują im grunt, stwarzają „atmosferę” dla dzieł rewolucyjnych. Prekursorzy mają do pokonania wielkie opory tradycji, toteż w ich twórczości negatywizm i krytyka przeplecione są ideami pozytywnymi, oryginalnymi schematami twórczymi.

Prekursorów można by w takim razie nazwać inaczej awangardzistami lub protagonistami, czyli pierwszymi bojownikami o nowe wzloty twórczości. Protagonisci w jednym ręku dzierżą miecz, w drugim pióro. W zgiełku bojowym i wobec trwałego rozdwojenia uwagi nie stać ich jeszcze na umocnienie nowej budowli twórczej.

Protagonisci, awangardziści, prekursorzy, nowatorzy są to typowi schematycy i twórcy dzieł zarysowych. Do nich należą autorzy wszelkiego rodzaju planów twórczych i wizjonerzy. Warto zaznaczyć mimochodem, że schematycy i wizjonerzy w dziełach jednych, mogą być tylko naśladowcami i kontynuatorami w dziełach innych; być może nawet rewolucjonistami w dziełach jeszcze innych. Trzeba bowiem odróżnić typowe formy, względnie stopnie oryginalności dzieł od typów osobistości twórczych.

Przykładem twórczości prekursorskiej może być dajmy na to empiryzm Rogera Bacona. Znajdujemy w nim składniki scholastyki, wymieszane z ideami przebojowymi, całkowicie sprzecznymi z podstawami światopoglądu średniowiecznego. Gdzieś pośrodku między twórczością prekursorską a rewolucyjną umieścimy *Filozofię zoologiczną* Lamarcka, przynajmniej w kwestii jej stosunku do ewolucjonizmu. Lamarck stanowczo zerwał z kreacjonizmem, sformułował na wskroś oryginalne idee o „mechanizmie” ewolucji naturalnej w zależności od warunków środowiskowych, ale jeszcze niewystarczająco je uzasadnił. W psychologii protagonistą był np. J.F. Herbart. Powziął on oryginalną ideę wprowadzenia



matematyki do nauki o świadomości, ale nie zdawał sobie jeszcze należy- cie sprawy z właściwego sposobu oparcia psychologii na matematyce.

Protagonisci przygotowują rewolucje kulturowe, a nawet polityczne; np. protagonistami Rewolucji Francuskiej byli encyklopedyści. Twórczość ich jest dla przyszłej rewolucji niezbędna, ale sama przez się rewolu- cyjną nie jest. Rewolucjoniści wywracają tradycyjne idee, metody i tech- niki twórcze, aby na ich miejsce wprowadzić z siłą żywiołu idee, zasady, wzorce, problemy, metody, teorie, konstrukcje nowe. Rewolucjoniści szokują swych współczesnych, nierzadko wywołują gwałtowną opoży- cję, reakcję, nienawiść. Rewolucjoniści stwarzają ferment twórczy, dzielą twórców w zakresie swojego fachu, czasem nawet postronnych, na całko- wicie oddanych sobie przyjaciół i zwolenników oraz na zagorzałych prze- ciwników.

Dzieła rewolucyjne to nieliczne kamienie milowe na wielowiekowej drodze postępu naukowego. Są to dzieła w równej mierze wywrotowe, burzycielskie, co konstruktywne i płodne. W dziele rewolucyjnym skon- centrowana jest i do granic oczywistości doprowadzona krytyka form tradycyjnych. Równocześnie w sposób olśniewający pokazana jest droga ku realizacji form nowych. Ponieważ w dziele tym droga nowa zostaje tylko schematycznie wytyczona, co prawda na długą metę, nie znajdu- jemy w nim jeszcze form skończonych, lecz tylko ich zadatki. Z uwagi na to dzieła rewolucyjne nawiązują bezpośrednio do dzieł prekursorszych. Różnią się od nich wyraźnie stanowczością i wykończeniem kry- tyki, pewnością w wytyczaniu dróg i form nowych, wreszcie szerokością widnokręgów. Dzieło rewolucyjne odnosi się wprawdzie bezpośrednio do określonej dziedziny twórczości, lecz zawiera w sobie też pomosty do twórczości rodzajów pokrewnych, a nawet odległych. Z tych względów dzieła naprawdę rewolucyjne podniecają w pewnej mierze kulturę całą, twórców nawet w odległych zakamarkach kultury. Budzą ich z „drzemki dogmatycznej”.

Potęga impulsu wywrotowego i twórczego wskazuje na ogromny „potencjał generatywny” dzieł rewolucyjnych. Dzieła te pociągają za sobą stosunkowo największą liczbę dzieł kontynuacyjnych wszelkiego stop- nia i rodzaju. Stanowią one punkt startowy dla całych pokoleń twórców, „ewangelie”, która kontynuatorów i zwolenników urzeka swą imponującą oryginalnością, która narzuca pewne tylko ścieżki twórcze, wyklucza- jąc wszelkie inne. Dzieła rewolucyjne to niejako jaskrawa smuga światła potężnego reflektora, który oślepia ostro tylko wycinek horyzontu i każe patrzeć w swoim kierunku.



Dzieł twórczych o takich własnościach było w całych dziejach nauki niewiele. Bodajże na palcach można je policzyć. Należą tu w dziejach nauki nowożytnej teorie Kopernika, Galileusza, Darwina, Marksa, Pasteura, Einsteina, Pawłowa, Freuda. Swoisty rodzaj dzieł wysoce oryginalnych stanowią dzieła klasyczne, czyli doskonałe. Można by o nich z pewnymi zmianami powtórzyć twierdzenia, dotyczące oryginalnych syntez w przeciwieństwie do oryginalnych schematów. Dzieła rewolucyjne, czyli wielce oryginalne schematy, rozpoczynają nową epokę twórczości, dzieła klasyczne, czyli wielce oryginalne syntezy, wieńczą i kończą tę epokę.

## Recepcja kultury

Wszelka działalność twórcza skierowana jest na aktualny „odbior” ze strony właściwych jednostek i grup ludzkich. Tworzenie wyłącznie dla siebie – powiedzmy: dla samej tylko uciechy twórczej – jest zjawiskiem wyjątkowym. Uczony czy artysta chcąc nie chcąc nastawiony jest bowiem na „odgłos” ze strony ludzi, którzy sami nie tworząc czy to aktualnie potrzebują rezultatów jego działalności, czy to mogą ich potrzebować. W jednym i drugim wypadku chodzi o ludzi, którzy dane dzieło twórcze mogą nie tylko widzieć lub słyszeć czy też innymi jeszcze zmysłami spostrzegać, ale także w jakiejś mierze rozumieć, dzięki temu zaś na nie – niechby tylko „po cichu” – reagować.

Oto istotna podstawa problemów recepcji kultury. Począwszy od samego pojęcia „recepcja kultury” są to problemy relatywnie nowe, chociaż załazkowo stwierdzalne od dawna. Jest tak, ponieważ sam fakt i sposób „odbioru” dzieł twórczych bywały w ciągu wielu wieków rozwoju refleksji nad kulturą mało interesujące w porównaniu z faktem i „mechanizmem” genialności. Jej dziwność i zachwyt nad działalnością twórczą wielkiego pokroju przysłaniały pospolite i pozornie bezproblemowe zjawiska w rodzaju czytania książek, słuchania muzyki, oglądania obrazów, podziwiania dzieł architektury itp. Do niedawna mogło się wydawać, że wystarczy „po prostu” prawidłowo widzieć, słyszeć, ponadto umieć czytać, aby móc zapoznawać się z kulturą. Wystarczy w tym celu być człowiekiem zwyczajnym i normalnym. Natomiast trzeba być człowiekiem nadzwyczajnym, niekiedy całkiem wyjątkowym, aby tworzyć rzeczy podziwu godne. Oto w zarysie przyczyna różnicy między długą historią dociekań nad genialnością a – praktycznie biorąc – krótką historią badań nad recepcją kultury.

Czemu w ogóle do badań takich doszło? Nasamprzód w ujęciu lapidarnym i ze względu na politykę kulturalną. Polityka ta, jako działalność mniej lub bardziej planowa, jest zjawiskiem świeżej daty, aczkolwiek dorywczo uprawiano ją od dawna. Władcy, względnie władze rządzące zawsze usiłowały wywierać korzystny dla siebie wpływ na społeczeństwa odpowiednimi informacjami przede wszystkim w formie publicznych zarządzeń, pośrednio i w dalszej mierze również poprzez utwory literackie, dzieła naukowe i filozoficzne, poniekąd również poprzez muzykę i sztuki plastyczne. Znaczy to, że urabiały świadomość poddanych. W XX wieku, gdy prasa, z kolei radio i telewizja okazały się potężnymi narzędziami oddziaływania na świadomość mas i gdy wykształcenie elementarne upowszechniło się, a średnie i wyższe objęło coraz większe kręgi ludności krajów uprzemysłowionych, planowane oddziaływanie na świadomość milionów ludzi stało się w interesie politycznym ogólnie pojętej władzy zadaniem pierwszoplanowym. Chodzi tu oczywiście przede wszystkim o informację – w ogólnym sensie tego słowa dziennikarską – względnie o liczne formy i odmiany dezinformacji. Pośrednio, lecz istotnie, chodzi o urabianie chwilowych bądź trwałych nastawień uczuciowych; o potocznie pojęte namiętności zbiorowe, np. agresywność, poczucie zagrożenia, histerię wojenną, megalomanię narodową itp. Ostatecznie w jakimś sensie wszelka informacja publiczna, podana „adresatom” w sposób zrozumiały, jest przynajmniej granicznie zbliżona do składników dzieł twórczych, w których występują słowa. Jednakże pośrednio chodzi, i to w mierze wciąż wzrastającej, o informacje niejako wtopione w dziełach twórczych, począwszy od poniekąd literackiej publicystyki, skończywszy – poprzez teatr, film, książkę popularnonaukową – na dziełach w całej pełni literackich i humanistycznych dziełach naukowych. Zresztą w jakiejś mierze nawet najbardziej specjalistyczne dzieła naukowe pośrednio też wchodzą tutaj w rachubę.

Krótko mówiąc, oddziaływanie na świadomość mas ze strony wszelkich form kultury, przede wszystkim jednakże ze strony form związanych z mową, jest ze wszech miar problemem politycznym. A jego ostrość nieustannie wzrasta. Z tego punktu widzenia rzec można, że odwiecznie niepokojący ludzi dociekliwych problem genialności, względnie oryginalności dzieł twórczych staje się relatywnie mało ważny w porównaniu z problemem powiązań między kulturą a pospolitym odbiorcą dzieł twórczych. W problemie tym z punktu widzenia socjologicznego na plan pierwszy występuje oddziaływanie władzy za pośrednictwem kultury. Ze stanowiska psychologicznego pierwszoplanowy jest odbiór, czyli recepcja

dzieł twórczych. Problemy z jednej i z drugiej strony są w zasadzie jedne i te same. Socjolog, względnie politolog nie może bowiem nie uwzględnić strony psychologicznej „odbioru”, psycholog zaś – strony socjologicznej. Co prawda, można skupić się przede wszystkim na problemach czy to psychologicznych, czy to socjologicznych w tym zakresie. Jako psycholog, zarazem autor wieloletnich badań nad recepcją treści lektury, uwzględnię tutaj głównie problematykę psychologiczną.

W tym celu wyjść trzeba od objaśnień – na pozór – po prostu terminologicznych pojęć i percepcji, i recepcji. Póki w odniesieniu do styczności z dziełami sztuk plastycznych, z muzyką, poniekąd również z teatrem i literaturą piękną, akcentowano normalność widzenia i słyszenia, z psychologicznego punktu widzenia na plan pierwszy wysuwała się problematyka spostrzegania, czyli percepcji. Wiele badań w tym zakresie wykonano, poczynawszy od ostatniej ćwierci XIX wieku, nad percepcją muzyki i dzieł sztuk plastycznych. W odniesieniu do literatury i oczywiście również do publikacji naukowych w szerokim sensie tego słowa (z włączeniem elementarzy, podręczników szkolnych i piśmiennictwa popularnonaukowego) rzecz była o tyle bardziej złożona, o ile w naukowej analizie czytania do czynności spostrzegania znaków drukarskich i ich układów trzeba było dołączyć procesy rozumienia, niechby tylko pojedynczych słów. Jednakże również w psychologii czytania na planie pierwszym długo znajdowały się sprawy wprost lub pośrednio dotyczące widzenia i wzroku, m.in. widzenia, względnie spostrzegania normalnego, a połączonego z zaburzeniami fizjologicznymi lub psychicznymi. Znaczy to, że również odbiór dzieł kultury, w których istotnym składnikiem czy tworzywem jest mowa, wbrew oczywistości, jaką jest potrzeba rozumienia, traktowano przede wszystkim w zakresie problematyki psychologii spostrzegania. W zasadzie wystarczało zatem pojęcie percepcji.

Od około 30 lat sytuacja zaczęła się zmieniać, i to coraz szybciej, na rzecz problematyki recepcji, czyli – ogólnie pojętego – odbioru treści lektury i w ogóle odbioru dzieł twórczych. Pojęcie percepcji (podniet kulturowych) coraz bardziej zaczęło ustępować na rzecz pojęcia recepcji. Do polskiego piśmiennictwa naukowego wprowadziłem je publikacją z roku 1957 *Recepcja treści lektury*, wydaną przez WSP w Katowicach.

Czym różni się istotnie recepcja (podniet kulturowych) od ich percepcji? Ogólnie rzecz biorąc frontalnym uwzględnieniem czynności i przeobrażeń psychologicznych, dokonujących się w dalszym następstwie i pod wpływem uprzednich spostrzeżeń, dzieł twórczych, względnie składników tychże, tj. niejako wstępnych styczności z podnietami kulturowymi.

Trzeba – rzecz oczywista – najpierw widzieć czy oglądać obrazy, wsłuchiwać się w daną muzykę, widzieć litery i rozumieć znaczenie pojedynczych słów, jednakże w specyficznym związku „kultura a człowiek”, względnie „twórca a odbiorca” ma to tylko znaczenie czynności wstępnej, zapoczątkowującej wiele czynności dalszych oraz ich pochodnych.

W ich obrębie rolę istotną odgrywa rozumienie, toteż dokoła tego pojęcia, względnie problemów w nim domyślnie zawartych obraca się znaczna część badań nad recepcją kultury. Przy tym wiele uwagi poświęcono już próbom opisu „mechanizmu” rozumienia. Próbom, gdyż rzecz nie jest łatwa ani – w ślad za tym – wyczerpująco zbadana.

Celem obrysowania trudności rozpoczniemy od rozróżnienia stopni oraz jakości rozumienia w zakresie recepcji mowy żywej lub pisanej. Z elementarną formą, względnie stopniem jej rozumienia mamy do czynienia, gdy odbiorca – słuchacz lub czytelnik – rozumie sens pojedynczych słów, ale nic ponadto. Znaczy to, że potrafi skojarzyć z odpowiednimi słowami mowy ojczystej lub jakiejś innej i o tyle przetłumaczyć. Zdarza się to np. turystom w krajach obcych. O stopień wyżej posuwamy się, gdy odbiorca mowy rozumie sens poszczególnych zwrotów językowych, z kolei pojedynczych zdań. Jeszcze wyżej, gdy rozumie treść pewnego ciągu zdań, np. w formie całościowego opisu lub rozumowania. Dowodem po temu jest umiejętność streszczenia lub wyrażenia danego ciągu własnymi słowami. Znacznie wyżej posuwamy się – z rozumieniem – gdy odbiorca potrafi umiejętnie streścić lub wyrazić swoimi słowami całościowy układ ciągów rozumowania, opisów, wyjaśnień, np. układ zawarty w pracy naukowej lub w utworze literackim. Co prawda, niełatwo sprawdzić czy trafnie ocenić taką umiejętność. Osobno uwzględnić trzeba przy tym, już raczej z punktu widzenia stopni inteligencji ogólnej niż po prostu rozumienia, różnice szybkości trafnego odbioru tekstów. W końcu nie bez znaczenia pozostają zbliżone do siebie umiejętności „czytania między wierszami” oraz wyłuskiwania różnych możliwości sensu w przemówieniach czy w tekstach niejasnych, zawiłych, logicznie nie w pełni poprawnych lub błędnych itp. Oczywiście, jeszcze bardziej niż w przypadkach prostych rozumienie wiąże się z inteligencją.

Wymienione (i ewentualnie inne) stopnie rozumienia „przekazów” werbalnych kojarzą się z jego formami jakościowymi, przede wszystkim z różnymi postaciami odbioru błędnego. Można przy tym przyjąć, że rozumienie całkiem poprawne jest formą krańcową, niekiedy (np. w odbiorze tekstów trudnych dla danej grupy czytelników) wyjątkową, a zatem, że normalne są jakościowo różne formy błędnego rozumienia i w tym sensie – nieporozumienia.

Różne możliwości jakościowe błędnego rozumienia naprowadzają na skomplikowany problem obiektywnego istnienia treści lektur; w ujęciu szerszym – obiektywności podniet kulturowych. Takie oto wyłaniają się z niego pytania:

1. Czy w ogóle jest coś takiego, jak treść obiektywna tychże i w ślad za tym – treść obiektywna dzieł twórczych i całej w ogóle kultury?

2. Czy są sposoby jej stwierdzania; co więcej, pomiaru obiektywnej treści dzieł twórczych?

3. Czy są sposoby naukowego porównania treści obiektywnych z odzwierciedleniami subiektywnymi odbiorców?

Są to kapitalne sprawy nie tylko w zakresie recepcji kultury, ale również poszczególnych nauk o kulturze oraz – tym bardziej – filozofii kultury. Nie ma tu miejsca na ich rozpatrywanie. Zrobiłem to dość szczegółowo w książce *Czytanie i lektura* (1967), konkretnie – w rozdziałach VI: *Obiektywność treści lektur* oraz VII: *Metody stwierdzania jakości recepcji treści lektur*.

Jeśli pominąć postrzeganie wzrokowe i słuchowe – poniekąd również dotykowe (czytanie w przypadku niewidomych) – stwierdzić można, że rozumienie dzieł twórczych, względnie ich składników stanowi szeroki wstęp do recepcji podniet kulturowych. „Szeroki”, bo zmienny, zależnie od sposobu pojmowania „rozumienia”. Jednakże nawet w bardzo ogólnym pojmowaniu tegoż pozostają do uwzględnienia i zbadania zjawiska inne; niektóre z nich nie mniej złożone niż rozumienie. Oto ich inwentarz podstawowy:

Zależnie od różnych okoliczności zmiennych oraz od jakości rozumienia układy podniet kulturowych, np. lektury, utwory muzyczne, obrazy, wzbudzają u odbiorcy skojarzenia – słowa, konkretne wyobrażenia – niekiedy w postaci refleksji krytycznych. Z tym związane bywają mniej lub bardziej uczuciowo zabarwione oceny danego utworu, pośrednio autora bądź jego uzdolnień twórczych. Osobno w grę wchodzi reakcje uczuciowe na treść i formę utworu, np. powieści czy konkretnych sytuacji i działań jej „bohaterów”. Wiadomo, że w zakresie utworów literackich te właśnie reakcje występują na plan pierwszy. Czytanie powieści psychologicznych i sensacyjnych, utworów poetyckich, również uczestnictwo w widowiskach teatralnych i koncertach można by wręcz utożsamiać ze specyficzną grą uczuć. Szczególnie znamienna jest ona dla odbiorców łatwo wczuwających się w klimat danego spektaklu czy utworu literackiego. Rzec można, że po prostu z tego względu czytają, chodzą do kina lub teatru czy korzystają z telewizji i radia.

Nie koniec na tym. Skojarzenia luźne, refleksje, oceny, uczucia występujące w trakcie odbioru danych podniet kulturowych to początek szeregu trudnych do zbadania następstw zetknięcia się z nimi. W ich obrębie najbardziej oczywiste wydają się i relatywnie najlepiej zbadane zostały ślady w formie wiadomości zapamiętanych. Dotyczy to przede wszystkim śladów po jednorazowym przeczytaniu fragmentów podręczników szkolnych czy lektur naukowych. Wielokroć badano je i można zbadać za pomocą zadań czy pytań egzaminacyjnych; ponadto w związku z problematyką psychologii uczenia się i nauczania. Trudniej poznawać je w zakresie styczności z utworami muzycznymi, obrazami, rzeźbami, dziełami architektury, ponieważ do czynienia mamy nie z prostym powtórzeniem lub streszczeniem – jak to bywa w przypadku kontroli czytania książek szkolnych – lecz z „tłumaczeniami” doznań niepojęciowych na „język słów”, a więc na twierdzenia, względnie zdania w sensie gramatycznym. Podobnie ma się rzecz ze śladami w formie impulsów do działania i praktycznych poczynań, opartych na wskazówkach, zawartych w lekturach, np. poradnikach technicznych, higienicznych, kulinarnych. Jeśli odbiorca podniet korzysta z nich bezpośrednio, do czynienia mamy poniekąd z naśladownictwem, częściowo z przypominaniem sobie treści danej lektury. Co innego jeśli impulsy do działań czy zamierzenia praktyczne nawiązują do lektur dawno temu poznanych. W grę wchodzi bowiem trudne do zbadania wpływy lektur bądź w ogóle czynników innych niż treść wskazówek, do których dana osoba umyślnie nawiązuje.

Jeszcze bardziej złożone jest naukowe poznawanie postaw uczuciowych, przekonań i cech osobowości, ukształtowanych pod wpływem licznych i rozmaitych podniet kulturowych w ciągu wielu lat życia. Nie sposób wątpić, że masa podniet kulturowych w jakiejś mierze kształtuje osobowość. Na razie jednakże nie ma dość pewnych metod naukowego śledzenia procesu takiego ich oddziaływania. W szczególności – do poznawania: roli względnej mas podniet danego rodzaju, np. podniet ze strony utworów muzycznych, roli podniet ze strony różnych rodzajów kultury, roli wpływu bezpośredniego (np. na czytelników powieści, uczestników koncertów, radiosłuchaczy, telewidzów) a wpływu pośredniego ze strony osób, które przygodnie lub umyślnie relacjonują o swoich konkretnych „spotkaniach” z daną książką, sztuką teatralną, koncertem itp. Ten ostatni problem częściowy jest szczególnie ważny ze względu na życie kulturalne osób niemających czasu na bezpośrednią styczność z dziełami twórczymi, poniekąd również w odniesieniu do analfabetów i wtórnych analfabetów. Jak dotąd mało ścisłych faktów ustalono w tych i pokrewnych sprawach.



A nie dokonano postępów zadowalających z powodu wielkich trudności metodologicznych.

Warto przy tym uprzytomnić sobie rosnące trudności badań i stwierdzania faktów w miarę różnicowywania się czy indywidualizowania poszczególnych osobowości. Weźmy pod uwagę problemy „wrażliwości” na kulturę muzyczną melomanów wykształconych, mających dość czasu na częste korzystanie z muzyki, oraz nie mniej od nich wykształconych osób „nieładzko” zapracowanych i niemających chwili czasu na taki „lukus” jak słuchanie muzyki. Nie ma wątpliwości co do tego, że stopniowo pogłębiają się między nimi różnice w zakresie „wrażliwości muzycznej”. Jednakże różnice te niełatwo zbadać. Niełatwo poznawać bezpośrednie oddziaływanie danego fragmentu podręcznika szkolnego na grupę uczniów kształcących się w ciągu wielu lat w warunkach w przybliżeniu jednakowych i w oparciu o te same programy nauczania. Wielekroć trudniej poznawać porównawczo rezultaty oddziaływania tych samych utworów muzycznych na zmyślonego melomana albo muzycznego laika. Wszak pomimo ogromnej ilości przeżyć jednakowych i o tyle wspólnych (począwszy od jednakowej szkoły ogólnokształcącej) ogrom podniet różnych urabiał ich w ciągu wielu lat.

Otóż właśnie rezultaty wieloletniego oddziaływania skomplikowanych układów podniet kulturowych należą do najbardziej interesujących, zarazem praktycznie ważnych problemów w obrębie ramowego zagadnienia recepcji kultury. Tutaj wyłaniają się takie – od dawna rozpatrywane – sprawy, względnie zjawiska, jak: snobizm kulturowy, przesyt kulturą, bunt przeciw kulturze i ideał powrotu do natury, niedosyt kultury, kulturowe typy osobowości, kulturowa subtelność a prymitywizm (walterowskiego prostaczka). Wszystkie stanowią swoiste rodzaje reakcji kompleksowych na układy i zasoby podniet kulturowych; swoiste wyniki recepcji kultury. Wszystkie są – jak dotąd – przeważnie przedmiotem filozofowania w sensie rozważań intuicyjnych, chociaż nie brak prób badań doświadczalnych. Spróbujmy spojrzeć rozważaniowo na niektóre z nich.

Snobizm w ogólnym sensie znaczy ‘nieszlachetne’ (*sine nobilitate* ‘bez szlachectwa’, ‘bez rzeczywistej doskonałości’) udawanie i pozorowanie jakości i poziomu życia, cech moralnych lub umysłowych lepszych od faktycznie posiadanych. Tkwi w tym w zasadzie ocena ujemna. Jednakże zależnie od okoliczności i cech osobowości snobizm jako udawanie wyższego niż faktyczny poziom życia kulturalnego mieści w sobie możliwość rzeczywistego „podciągania się”, gdyż to nierzadko mniej wysiła czy kosztuje niż podtrzymywanie pozorów. Pośrednio snobizm może być zatem



i bywa niekiedy źródłem osobistego, poniekąd grupowego (np. rodzinnego) postępu kulturalnego.

Zbliżone do siebie zjawiska przesytu kulturą, buntu przeciwko kulturalnym formom życia i hasła powrotu do natury spotykamy nieomal wszędzie w dziejach narodu o kulturze bogatej i zróżnicowanej. Od dawna też próbowano je wyjaśnić. W XX wieku najwięcej rozgłosu miały psychoanalityczne próby wyjaśnień, w zasadzie oparte na twierdzeniu, że kultura wzbudza niezadowolenie z powodu otamowania popędów instynktowych.

Pomijając na tym miejscu krytykę psychoanalizy, zarysowo przedstawioną wcześniej (w rozdziale *Psychologia a filozofia człowieka*), sądzę, że bunt przeciw kulturze i wieloznaczne hasła „powrotu do natury” można wyjaśnić prościej i bardziej zgodnie z oczywistymi faktami. Co prawda różnie, a to stosownie do ich kształtów konkretnych. Przykładowo przesyt z życia dworskiego, wymagającego ścisłego przystosowania się do woli władcy, zarazem do sztywnych form towarzyskich wielokrotnie – według danych historycznych – skłaniał ludzi wygodnie i beztrudnie żyjących do rezygnacji z dobrobytu na rzecz życia skromnego, twardego, pustelniczego itp. Liczne uciążliwości związane ze skądinąd zadowalającym życiem wielkomiejskim skłaniają wciąż na nowo do szukania choćby paru chwil odpoczynku „na zielonej trawce”. W tym wypadku dokuczliwe są nie tyle wymogi pracy zawodowej, ile raczej brak tlenu, zieleni, kojącego odpoczynku dla znużonych oczu; często również brak nieskrępowanego ruchu i odprężenia fizycznego.

Dla wielu intelektualistów znanych z dziejów kultury hasło „powrotu do natury” bywało przynajmniej częściowo tożsame z hasłem oderwania się od „scholastyki”, znamiennej dla życia społecznego w danym czasie. Częściowo ząbepiało się z hasłem swobodnego powrotu do „prawdziwych” wierzeń przodków, np. powrotu do „pierwotnych” ideałów chrześcijaństwa. Swoistym protestem przeciwko kulturze są niektóre współczesne ruchy studenckie, uzewnętrzniające się zrywaniem z powszednimi formami ubierania się, dbałości o higienę, zachowania się towarzyskiego itp. Przynajmniej jedną z przyczyn tych – wysoce złożonych zjawisk – społecznych jest uciążliwy dla wielu i nużący nadmiar podniet kulturalnych, właściwy wielkim skupiskom miejskim.

Sądzę, że znacznie łatwiej, niż to ongiś robiono, można wyjaśnić genezę i cechy znamienne różnych typów osobowości. Nie wykluczając różnicujących zadatków z wczesnego dzieciństwa, a nawet z dziedziczności, można jednak bardziej przekonująco skupić się przede wszystkim na

łatwiej sprawdzalnych masach podniet kierunkowych z wieku szkolnego. Oczywiście, w rachubę wchodzi czynniki różnicujące z całego środowiska wychowawczego, a nie tylko ze środowiska szkolnego.

Słabo, jak dotąd, zaawansowane badania nad recepcją kultury będą mieć przypuszczalnie praktyczny wpływ na efektywność nauczania i wychowania, zwłaszcza zaś na racjonalne kształtowanie wychowania długofalowego na tle polityki oświatowej i kulturalnej. W obecnym stanie rzeczy ich znaczenie skupia się głównie na krótkofalowym oddziaływaniu druków w ogólnym sensie tego słowa bądź wypowiedzi na emocje, postawy i chwilowe oceny czy przekonania czytelników i słuchaczy radia, telewizji, odczytów, przemówień itp. Ale i w tym zakresie jest daleko więcej niewiadomych niż należyte stwierdzonych faktów.

## **Wpływy kulturowe a twórczość samorodna**

Dwa zagadnienia od dawna rozpatrywane zbliżone są do problemu recepcji kultury:

1. wpływów kulturowych;
2. roli względnej tychże w porównaniu z twórczością od nich niezależną, tj. samorodną.

Pierwsze z nich jest dobrze znane w historii literatury, muzyki i sztuk plastycznych oraz w odpowiednich rodzajach krytyki i publicystyki. W postaci konkretnej chodzi o zapożyczenia, względnie oddziaływania jednych dzieł twórczych na inne; praktycznie biorąc – wcześniejszych na późniejsze. W ujęciu potocznym chodzi tu o tzw. wpływologię. Wobec tego, że nawet najbardziej oryginalne dzieła twórcze zawierają w sobie składniki tradycji, jedno z istotnych zadań historyka kultury, np. w zakresie dziejów literatury pięknej, musi polegać na poszukiwaniu i stwierdzaniu wzorów. Wynikają stąd trudności metodologiczne – tym większe im bardziej oryginalne są dzieła stanowiące przedmiot badań „wpływologicznych”. Przy tym nierzadko stwierdzenia badaczy okazywały się wątpliwe, niekiedy bezpodstawne.

Otóż właśnie wątpliwości dotyczące faktycznego stanu zapożyczeń, pośrednio – obiektywności porównań prowadzą do zagadnienia ogólniejszego niż autentyczność konkretnych zapożyczeń, mianowicie do możliwości powstawania jednakowych pomysłów, motywów twórczych, ostatecznie nawet całych dzieł w „warsztatach” różnych, nawet wcale nieznających się twórców.

W sprawie tej liczyć się trzeba z taką oto próbą wyjaśnienia psychologicznego: Im bogatsza jest masa podniet kulturowych przyswojonych przed danego twórcę, np. literata, tym większa jest możliwość, że pewne układy słów lub zdań, faktycznie zaczerpnięte z pamięci, pośrednio z dzieł cudzych, pojawiają się w procesie twórczym jako układy nowe, własne, oryginalne. W przekonaniu osobistym twórca nowego dzieła komponuje – słowa, motywy muzyczne itp. – oryginalnie, faktycznie zaś zapożycza mniej lub więcej układów z dzieł już znanych. Oczywiście zawsze przy tym może się wyłonić pytanie: czy, a jeśli tak, to jak dalece zapożyczenia zbliżone są do plagiatów? W szczególnych przypadkach nawet dobremu biografowi, krytykowi czy historykowi, np. literatury, niełatwo dojść do wniosku trafnego, zarazem do orzeczenia sprawiedliwego.

Jeśli pominąć próbę wyjaśnień psychologicznych oraz znikome prawdopodobieństwo „oryginalnego dublowania” całych dzieł lub obszernych układów ich składników, sprawa zapożyczeń, względnie wpływów kulturowych prowadzi do zagadnienia możliwości powstawania oryginalnych, ale relatywnie prostych składników dzieł twórczych w różnych ośrodkach kulturowych niezależnie od siebie. Dotyczy to przede wszystkim możliwości wzajemnie niezależnego powstawania: wynalazków technicznych, idei moralnych, prawnych i politycznych, zagadnień i przekonań filozoficznych, wątków muzycznych, pomysłów w zakresie sztuk plastycznych i architektonicznych, metod diagnostyki chorób i leczenia, sposobów ubierania się i przygotowania potraw.

W ujęciu zasadniczym i ogólnym nie mam wątpliwości, że taka możliwość jest realna. Co więcej, przekonany jestem o tym, że w różnych kulturach powstawały niezależnie od siebie podobne wynalazki, pomysły moralno-prawne, artystyczne itp. Tak oto przekonanie to uzasadniam: Wszelka twórczość powstaje w określonych warunkach psychicznych i środowiskowych. Do psychicznych należą oparte na biofizjologicznej strukturze organizmu ludzkiego możliwości doznawania wrażeń, spostrzegania, snucia marzeń, myślenia, przeżywania wzruszeń oraz z nich wyłaniające się potrzeby, dążenia, namiętności itp. Warunki te są nieomal jednakowe u przedstawicieli różnych ras oraz u ludzi żyjących w różnych klimatach, na różnych szerokościach geograficznych itp. Jeśli przy tym warunki środowiska naturalnego oraz podstawowe warunki współżycia ludzi z sobą są w dużej mierze jednakowe, występują tym samym warunki po temu, aby z dala od siebie żyjący i nieznający się nawzajem ludzie inteligentni i z wyobraźnią doszli najpierw do konkretyzowania podobnych przedsięwzięć twórczych, w ślad za tym do podobnych pomysłów, osta-

tecnie zaś do oryginalnych rezultatów. Dzięki takiemu podobieństwu warunków psychicznych i środowiskowych niezależnie od siebie mogły powstać i zapewne powstały liczne relatywnie proste wynalazki techniczne, takie jak koło, wozy, kołowrotki, wędki, liny, tkaniny; a także idee elementarne w zakresie moralnego i społecznego współżycia ludzi z sobą itp. Sprawą niezależnego od wpływów postronnych powstawania podstawowych zagadnień i przekonań światopoglądowych rozpatrywałem w szeregu publikacji własnych poczynawszy od 1933 roku (*Zainteresowania filozoficzne młodzieży*).

Możliwość niezależnego od siebie powstawania w zasadzie jednakowych elementów kultury nie przeczy możliwości wpływów kulturowych i wzajemnego przenikania kultur. Wielką liczbę prac badawczych wykonano, masę faktów stwierdzono, wiele teorii opracowano na ten temat. Oczywiście jest to, że w miarę jak świat „zmniejsza się” – komunikacyjnie, turystycznie i w odczuciu milionów mieszkańców globu – wzajemne przenikanie kultur historycznie różnych staje się coraz pospolitsze, zarazem coraz trudniej stwierdzalne, podobnie jak to jest z recepcją różnych mas podniet kulturowych w procesie kształtowania się osobowości. W każdym razie naocznie coraz liczniejsze zapożyczenia wzajemne z wszystkich dziedzin kultury splatają się z sobą. Jedne z drugimi czy to walczą, czy to się uzupełniają. Dzieje się tak przede wszystkim w literaturze, sztukach plastycznych, muzyce, wynalazczości technicznej, ale często również w zakresie idei moralnych, prawnych, politycznych i innych. Coraz bardziej skomplikowane zadania stoją wobec tego przed krytykami i historykami kultury, usiłującymi rozsypać poszczególne zapożyczenia i oddzielić je od pomysłów oryginalnych. Tym samym coraz mniej pewne, bo coraz trudniej sprawdzalne są próby wykazania zapożyczeń.

Dotyczy to również pomysłów i twórczości naukowej, jeśli zważyć, że w naukach podstawowych i poza obrębem problematyki lokalnej (np. genezy folkloru zakopiańskiego) w wielu ośrodkach i w różnych krajach liczne badania prowadzi się w gruncie rzeczy w odniesieniu do problemów jednych i tych samych. Znaczy to, że roszczenia do oryginalności stają się coraz trudniej sprawdzalne.

## Oceny dzieł twórczych

W każdej dziedzinie kultury rezultaty działalności twórczej ocenia się jako mniej lub bardziej wartościowe. W skrajnych wypadkach jako wysoce

wartościowe lub jako bezwartościowe. Znaczy to, że nie tylko czy po prostu opisuje się cechy bądź składniki dzieł, lecz także zajmuje się stanowisko co do ich miejsca w postępie kultury danego rodzaju. Tym samym stosuje się – przystosowane do charakteru danej twórczości – kryteria ocen.

Kryterium podstawowe, omówione uprzednio, to oryginalność, tj. nowość kulturowa. Można by poprzestać na analizie już dokonanej, gdyby nie dwa istotne względy:

1. Droga do oceny stopnia oryginalności dzieł prowadzi z reguły poprzez krytyczną analizę sposobu ich wykonania.

2. Oprócz oryginalności uwzględnia się faktycznie i często uwzględniać trzeba inne kryteria wartości, nie dotyczące po prostu nowości kulturowej.

Z wielości kryteriów ocen wyłaniają się niełatwe zagadnienia, przede wszystkim następujące:

1. roli kryteriów poszczególnych;
2. wymierności ocen według kryteriów różnych;
3. możliwości racjonalnego „podsumowania” ocen na podstawie kryteriów różnych celem uzyskania jednolitej oceny całościowej.

Wielokrotnie próbowałem rozpatrzyć je jako składniki teorii krytyki; co prawda głównie w odniesieniu do oceny prac naukowych. Zarys odnośnej teorii przedstawiłem w 1948 roku w książce *Krytyka dzieł twórczych*. Z kolei poddawałem analizie co ważniejsze zagadnienia częściowo. Tutaj ograniczę się do opisu sprawy „z lotu ptaka”.

Rozumie się, że każdemu twórcy – np. uczonemu, pisarzowi, muzykowi – zależy na tym, aby jego osiągnięcia oceniano jako nowe, a nie jako powtórzenia rzeczy znanych. Niestety, oceny takie nastroczą wiele trudności. Przede wszystkim trzeba być tęgim specjalistą, aby trafnie i sprawiedliwie odróżnić to, co naprawdę nowe, od starego. Co więcej, nawet dobry rzeczoznawca ocenia to, co nowe, poprzez krytykę opanowania przez twórcę – uczonego, pisarza, plastyka itp. – specyficznego warsztatu twórczego. Weźmy tu przykładowo pod uwagę osiągnięcia naukowe. Recenzentowi danej pracy poszczególne hipotezy, twierdzenia, rozumowania czy wnioski mogą się wydawać prawdopodobne i o tyle przekonujące. Jeśli jednakże stwierdzi poważne błędy w stosowaniu metod roboczych, rażące braki w opanowaniu piśmiennictwa fachowego, zwłaszcza w zakresie literatury przedmiotu, będzie miał, a nawet musi mieć wątpliwości co do źródeł i podstawności nowych pomysłów autora danej pracy badawczej. Co prawda, zdarzyć się może, że pomimo błędów i braków w opanowaniu warsztatu naukowego, a więc zarazem dotychczasowych

osiągnąć w danej gałęzi wiedzy, pomysły autora pracy okażą się nowe, zarazem trafnie przystosowane do odnośnej wiedzy. W takim razie krytyk przyzna – być może – autorowi dzieła nadzwyczajną inteligencję, fenomenalną intuicję itp. Jednakże daleko bardziej prawdopodobne jest, że częściowy lub daleko posunięty ignorant w zakresie swojego warsztatu naukowego snuje twierdzenia, w szczególności hipotezy, teorie i wnioski bezpodstawne. Na pozór nowe, lecz wcale nie oryginalne w sensie nowości, należycie przystosowanej do osiągnięć ustabilizowanych, bo wytrzymujących krytykę.

Z tych względów nowatorzy ignoranci byli i zapewne zawsze będą podejrzani. W każdym razie odnosi się to do nowatorstwa w nauce. Sądzę, że w sztuce jest w zasadzie tak samo, pomimo tego, że tzw. sztuka naiwna, w szczególności naiwna plastyka, niekiedy przyciąga odbiorców znużonych poprawnością warsztatową malarzy czy rzeźbiarzy, tworzących w oparciu o fachowe studia w uczelniach wyższych. Rzecz w tym, że odbiorcy pragną nowości, tymczasem biegli fachowcy, absolwenci takich szkół, zbyt często prezentują im dzieła oparte po prostu i tylko na rutynie, bez wkładu pomysłowości oryginalnej.

Nauka zmierza do zastąpienia, co najmniej zaś do uzupełnienia stwierdzeń jakościowych ilościowymi. W pewnej mierze od dawna tendencja ta widoczna jest również w dziedzinie ocen. Przykładowo oceny postępów szkolnych już od dawna wyrażają się ilościowo; u nas w skalach cztero- lub pięciostopniowych, w niektórych krajach w skali stu-stopniowej. Wyłania się problem, czy, względnie jak dalece oceny dzieł twórczych można w oparciu o przesłanki racjonalne wyrażać również w skalach ilościowych, pośrednio zaś – dzięki temu – racjonalnie z sobą porównywać? Od wielu lat opowiadałem się za kwantyfikacją ocen prac naukowych, przede wszystkim promocyjnych; w ślad za tym również wszelkich innych prac czy dzieł naukowych. W tym celu rozwijałem ideę skali stopni jakościowych, „przetłumaczanych” na stopnie ilościowe. Za punkt wyjścia służyła mi skala ocen warunków środowiska wychowawczego, którą opracowałem po raz pierwszy i opublikowałem w 1935 roku. W zastosowaniu do oceny dzieł naukowych opracowałem i przedstawiłem odnośną metodę w monografii z 1975 roku *Kryteria ocen i recenzje prac naukowych*.

Zagadnienie ilościowego wyrażania ocen oryginalności i poprawności warsztatu twórczego nie różni się zasadniczo od – pozornie odległej i nic wspólnego z tym nie mającej – sprawy materialnego, w szczególności pieniężnego wynagradzania twórców. Przede wszystkim nie jest dziwne, że



w ogóle twórców wynagradza się materialnie. Już raczej to, że nie zawsze, względnie nie za każde dzieło – w ogólnym sensie tego słowa – otrzymuje się honorarium. Problem jest inny, a mianowicie, czy wynagrodzenia pieniężne, względnie przeliczalne na środki płatnicze odpowiadają wielkości istotnej wartości dzieł, tj. ich oryginalności? Innymi słowy, czy zachodzi korelacja „im – tym” między kulturową wartością dzieł twórczych a wynagrodzeniem?

Pytanie jest poniekąd retoryczne, gdyż z wciąż potwierdzającego się doświadczenia – jak dotąd – niesprawdzonego naukowo wiadomo, że korelacji takiej nie ma. Zarazem intuicyjnie wiadomo i to, że wynagrodzenie za dzieło, pośrednio za pracę i długofalową działalność twórczą zależy od wielu czynników. Należą do nich przede wszystkim: stan społecznego zapotrzebowania na dzieła danego rodzaju, związki z potrzebami władzy (jej zdobywania i utrzymania), moda, reklama i propaganda, sposób publicznego zachowania się twórców, względnie ich „niewidoczność” publiczna i wiele innych czynników pokrewnych lub różnicowych. Nie znaczy to, że rozmiar czy rozmach pracy twórczej, a w ślad za tym oryginalności nie dochodzi w ogóle do głosu. Znaczy jednak, że stopień oryginalności może być niedoceniony, a nawet czasowo niezamierzony. Często w dziejach kultury, m.in. w dziejach nauki i sztuki, natrafiamy na to zjawisko. Przy tym trudno odpowiedzieć na pytanie, czy długofalowo, tj. w skali historycznej, „krzywdy” twórców zostały wyrównane. Czy – powiedzmy tak – po długim czasie, niechby po paru wiekach, oryginalność niczym przyszłowiowa oliwa wypływa na powierzchnię życia kulturowego? Z drugiej strony, czy czasem nie dzieje się tak, jak np. z Miriamą „odkryciem” twórczości Norwida, że dany autor po wielu latach staje się sławny i wielki, chociaż w opinii części krytyków wątpliwie wielki?

Razem wzięwszy rzecz można, że na krótką metę oceny oryginalności dzieł ustępują zdecydowanie na rzecz ocen dyktowanych konkretnym układem sił społecznych, zapotrzebowaniom różnego pokroju, często uzależnionych od osobistych walorów twórcy, jego umiejętności „przebijania się” przez świat. Praktycznie znaczy to, że wynagrodzenia twórców nierzadko bynajmniej nie odpowiadają ich rzeczywistej dzielności twórczej. Sądzę, że nie ma istotnych różnic między uzależnieniami wynagrodzeń ludzi nauki i sztuki. Sądzę też, że cena dzieł, głównie dzieł sztuki, zależna jest od – oprócz czynników wymienionych wcześniej – uniwersalnego w stosunkach handlowych prawa popytu i podaży. W innych warunkach jednakowych im rzadszy „towar”, tym droższy.



## Rozdział ósmy

# **Nauki przyrodnicze a filozofia natury**

[Brak zawartości – rękopis zaginął]



Rozdział dziewiąty

**Nauki praktyczne  
a filozofia cywilizacji**



## Nauki praktyczne

Omówione wcześniej zagadnienia rozpatrują przeważnie rzecznicy nauk tradycyjnie nazywanych teoretycznymi lub czystymi, współcześnie zaś coraz częściej – podstawowymi. Naukom tym przeciwstawia się zazwyczaj nauki stosowane bądź techniczne w ogólnym znaczeniu tego pojęcia. Wprawdzie nazewnictwo nie jest tu istotne, jednakże ze względu na częściowe różnice znaczeń i na możliwość nieporozumień warto wybrać wyrażenia możliwie najwłaściwsze ze względu na treść niniejszego rozdziału.

Z tego względu raczej niecelowe jest używanie nazwy „nauki teoretyczne”. Do teorii – w swoim zakresie – zmierzają bowiem autorzy wszelkich prac naukowych, a więc również prac bezpośrednio związanych z jakimkolwiek działaniem praktycznym. „Podsumowywanie” wszelkiego pokroju doświadczalnych badań naukowych nad jakąkolwiek sprawą stanowi bowiem teorię czy pogląd ogólny – tj. ogólny rezultat badań – w danej sprawie. Mowa o naukach teoretycznych miała sens wówczas, gdy badania doświadczalne przeciwstawiano rozumowaniom dedukcyjnym, mniej lub bardziej przystosowanym do wyników badań i opartym przeważnie na matematyce. Na przykład: fizyka doświadczalna a fizyka teoretyczna.

Również dość pospolity, w każdym razie wciąż używany termin „nauki stosowane” nie jest wystarczająco trafny jako przeciwstawienie naukom „czystym” bądź teoretycznym czy podstawowym. Nie ma wprawdzie wątpliwości co do tego, że nauki techniczne w tradycyjnym – zarazem wąskim – znaczeniu tego pojęcia opierają się pojęciowo przede wszystkim na osiągnięciach fizyki i chemii, czyli że pojęcia te

„stosuje się” w badaniach technicznych, jednakże z równie dobrym uzasadnieniem można by twierdzić, że w grę wchodzi przystosowywanie (badań) do potrzeb. Jedno i drugie jest bowiem istotnie ważne. Znaczy to, że w doborze nazw klasyfikacyjnych zaakcentować wypada działanie, względnie działalność praktyczną w przeciwieństwie do czynności poznawczych, którym przyświeca ideał wiedzy „czystej”, czyli „wiedzy dla samej wiedzy”. Oczywiście jest przy tym, że sensowna działalność praktyczna musi być przystosowana zarówno do osiągnięć w zakresie czystej wiedzy, jak i do potrzeb. Stosunkowo najtrafniejszy wydaje się zatem termin „nauki praktyczne”, tj. dotyczące działalności na tle spełniania potrzeb. W takim razie ze względu na rozróżnienie nauki i wiedzy jego odpowiednikiem jest „wiedza praktyczna”. Można też równoznacznie mówić o ogólnie pojętych naukach technicznych bądź o wiedzy technicznej, co jednak wymaga objaśnień dodatkowych (przedstawionych niżej). Tym to naukom, względnie tej to wiedzy, najtrafniej przeciwstawiać nauki (względnie wiedzę) podstawowe; co się zresztą faktycznie robi coraz częściej. Trzeba jednak pamiętać, że nauki praktyczne opierają się równorzędnie na dwóch podstawowych i na osiągnięciach w zakresie nauk „czystych”, do których w obrębie techniki tradycyjnie pojmowanej (tj. jako konstrukcja i produkcja maszyn i urządzeń pomocniczych) należą głównie fizyka i chemia, oraz na rozpoznaniu potrzeb ludzkich – jednostkowych i społecznych. Wobec tego z góry liczyć się trzeba z możliwością klasyfikacji licznych już obecnie nauk praktycznych według dwóch głównych punktów widzenia:

1. istotnego oparcia na określonej nauce, względnie wiedzy „czystej”;
2. istotnego związku z określonym rodzajem potrzeb.

Faktycznie robi się jedno i drugie, przy tym w miarę możliwości z uwzględnieniem łącznym obydwu kryteriów.

I tak ze względu na istotny związek z określonymi naukami podstawowymi wiele nauk praktycznych ma przede wszystkim charakter fizyki stosowanej, inaczej – techniki fizycznej. Należą tu np. takie nauki, jak mechanika stosowana, w szczególności mechanika precyzyjna, maszynoznawstwo, spawalnictwo, budownictwo, w szczególności inżynieria lądowa, inżynieria wodna, elektrotechnika, elektronika techniczna, akustyka stosowana, w szczególności akustyka muzyczna, optyka inżynierska, radiotechnika, automatyka, informatyka, telekomunikacja, geodezja, energetyka, technika lotnicza, budowa okrętów, budowa pojazdów lądowych itp. Co prawda, nie ma w niektórych spośród wymienionych nauk praktycznych – zarazem technicznych w węższym znaczeniu tego

pojęcia – wyraźnych granic między nimi a odnośnymi naukami podstawowymi (np. między elektroniką techniczną a teoretyczną) ani też między naukami „fizykopochodnymi” a „chemiopochodnymi”.

Przeważnie na chemii oparte są liczne dyscypliny techniczne w zakresie przeróbki surowców energetycznych, surowców budowlanych, produkcji tworzyw sztucznych, lekarstw, niektórych używek itp. Nowoczesna farmacja jest w lwiej mierze nauką „chemiopochodną”. Natomiast w zasadzie i przeważnie na naukach w szerokim znaczeniu biologicznych opiera się kilka głównych i kilkadziesiąt pochodnych bądź specjalistycznych nauk medycznych. Krótko mówiąc, biologia stanowi istotną podstawę dla medycyny.

Podstawę pojęciową dla różnego pokroju technik psychologicznych, np. dla ogólnej teorii i praktyki testów psychologicznych, dla poradnictwa psychologicznego, rzeczowo, jeśli nie historycznie również dla psychologii, stanowią „czyste” nauki psychologiczne, w szczególności psychologia ogólna, psychologia rozwojowa, psychologia społeczna, nauka o osobowości i inne. Podobnie podstawę dla socjotechniki stanowi socjologia, w szczególności socjologia ogólna. Razem wzięwszy dla każdej nauki praktycznej – stosowanej czy w ogólnym znaczeniu technicznej – bez trudu można by wskazać na odpowiednią naukę podstawową czy w tradycyjnym sensie tych słów: czystą lub teoretyczną. Z reguły program studiów w zakresie danej nauki praktycznej sam przez się wskazuje na istotny charakter podbudowy teoretycznej. Dodać można, że wiele nauk praktycznych wymaga kompleksowego oparcia na całej „czystej” wiedzy naukowej, czemu nie przeczy szczególnie silny związek z jedną nauką podstawową; np. związek medycyny w zasadzie z biologią, a dopiero pośrednio również z fizyką, z chemią, a nawet z socjologią, psychologią, historią, matematyką.

Spróbujmy teraz spojrzeć na nauki stosowane od strony praktyki, jako ogółu działań nastawionych na spełnianie potrzeb. Z tego punktu widzenia na plan pierwszy wysuwają się nauki techniczne w wąskim, ale zarazem zazwyczaj stosowanym znaczeniu. Chodzi o nauki służące konstrukcji i ulepszaniu narzędzi produkcji, tj. wszelkiego rodzaju maszyn i urządzeń, których budowa oparta jest przede wszystkim na dotychczasowych osiągnięciach i postępach fizyki. W ujęciu powszednim technika jest to po prostu wiedza i wynalazczość w zakresie maszyn i urządzeń służących do produkcji przemysłowej. Wydaje się to oczywiste, i to dużo bardziej niż fakt, że istotny sens tej produkcji związany jest z zabezpieczeniem i rozwijaniem bytu w ogólnym sensie tego słowa, tj. z wyżywie-



niem społeczeństwa, z budową domów, z wyposażeniem mieszkań, z uławianiem komunikacji i łączności, stwarzaniem i podnoszeniem jakości wygod i udogodnień w życiu powszednim, w pracy czy w zabawie itp. Krótka, technika służy przede wszystkim potrzebom bytowym. Z nimi blisko związane są potrzeby w zakresie walki z chorobami i cierpieniem. Ludzie chcieliby żyć w miarę możliwości jak najdłużej, nie chorując i nie cierpiąc. Tu tkwi źródło zarówno zabiegów magicznych, jak i rozpoznań i działań lekarskich, opartych na naukowej wiedzy medycznej. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu wiedzę tę kojarzono z techniką (fizyczno-chemiczną) i z odpowiednią produkcją przemysłową tylko marginesowo, np. na odcinku kształtującej się wówczas rentgenologii. Obecnie nauki medyczne i techniczne – w sensie wyżej sprecyzowanym – przenikają się nawzajem z tym zastrzeżeniem, że na ogół bardziej lekarzom zależy na technice niż inżynierom na medycynie. W każdym razie, gruntem dla nauk medycznych jest nie mniej potrzeba walki z chorobą i cierpieniem niż wiedza „czysta”, zwłaszcza wiedza biologiczna. Co prawda, mówiąc o naukach medycznych (a nie o naukach wywodzących się z wiedzy „czystej”), domyślamy się przede wszystkim ludzkich potrzeb w zakresie walki ze śmiercią, z chorobami i cierpieniem, a dopiero wtórnie – podbudowy teoretycznej w postaci naukowej wiedzy o życiu. Zgodnie z tym dopiero wtórnie – i w naszych czasach – mówi się o medycynie naukowej. Wszak odwiecznie istniała i w jakiejś mierze ludziom służyła medycyna ludowa, nierzadko magiczna, niepodbudowana – obecnie olbrzymim – zasobem wiedzy naukowej.

Akcent na potrzebach – a nie na wiedzy teoretycznej – jest oczywisty w rozpatrywaniu zagadnień praktycznych, dotyczących walki i obrony w ogólnym sensie tego słowa wojskowej. Przy tym wymogi bądź warunki ataku czy obrony w znaczeniu wojskowym od prawieków po dziś dzień zbliżały narzędzia walki do narzędzi walki o byt. (Porównajmy tu dla przykładu ze sobą: kij, młot, pałkę, nóż, miecz, pług itp.). Znaczący to – do urządzeń i wynalazków techniki fizycznej. W związku z tym „technika wojenna” i „nauki wojskowe” oraz „technika pracy twórczej” i „nauki o pracy wytwórczej” są pojęciami z dużym obszarem zakresu wspólnego.

Miejsce pośrednie między naukami technicznymi, w sensie: uławiającymi walkę o byt, i biologicznymi zajmują nauki agrotechniczne. Ze względu na ich istotną służebność, tj. na postępy w uprawie roślin i w hodowli zwierząt, są to w zasadzie „stosowane” nauki biologiczne. Natomiast z uwagi na istotną pomoc – w tym kierunku – ze strony techniki fizycznej i chemicznej są to nauki „wtórnie stosowane”. Chodzi o to, że

wynalazki techniczne, np. mechaniczne lub komunikacyjne, a nie po prostu „czysta” fizyka lub chemia, stanowią mniej lub bardziej ważny warunek ich postępu.

Wielka część nowoczesnej wiedzy naukowej wskazuje na potrzeby wychowawcze zarówno w znaczeniu społecznym, jak i jednostkowym, ściślej – międzyludzkim, tj. w zakresie kłopotów czy zadań danego wychowawcy wobec określonego wychowanka. Potrzeby te tylko marginesowo łączą się z nowoczesną techniką, zwłaszcza z techniką fizykalno-chemiczną (np. na odcinku sprzętu audiowizualnego i niektórych przedmiotowych pomocy naukowych), niemniej stanowią silną podstawę do uprawiania – już licznych obecnie – nauk pedagogicznych jako szczególnej gałęzi nauk praktycznych. Za podstawę teoretyczną służą w zasadzie, choć w różnej mierze, wszystkie nauki o człowieku. Jednakże na plan pierwszy wysuwają się nauki psychologiczne, a to ze względu na istotne zadanie w procesie wychowawczym, tj. na kształtowanie osobowości. Inne nauki „czyste” wchodzą w rachubę pomocniczo lub pośrednio.

Jak dotąd, w porównaniu z wymienionymi wcześniej, mniejsze znaczenie praktyczne mają nauki służące organizacji zabaw, rozrywek, wczasów i wypoczynku; osobno – nauki mogące czy mające ułatwiać recepcję kultury. Co do pierwszych podstawę teoretyczną stanowią: wiedza psychologiczna i socjologiczna, znacznie mniej – historyczna. W przybliżeniu to samo powiedzieć można o podstawie teoretycznej takich nauk, jak prasoznawstwo, nauki o kinie, radiu i telewizji. Grunt teoretyczny niektórych nauk – bądź zbiorów tychże – w zasadzie praktycznych, jest złożony. Odnosi się to np. do drukarstwa, bibliologii i bibliotekoznawstwa, gastronomii. Kłopoty z tym związane widać w zmiennej i zróżnicowanej konstrukcji programów nauczania odpowiednich szkół zawodowych. Jednakże z kłopotami czy bez nich w obrębie każdego zbioru nauk praktycznych do czynienia mamy z dwutorowością nauczania:

1. na odcinku podstaw teoretycznych – ściślej: podstaw w postaci nauk „czystych”;

2. w zakresie przystosowań tychże do określonego rodzaju potrzeb.

Owa dwutorowość stanowi podstawę do próby odpowiedzi na pytanie: o ile w ogóle nauki praktyczne mogą stanowić punkt wyjścia do stawiania pytań mniej lub bardziej filozoficznych? Prawie na pewno nie ze względu na oparcie w naukach podstawowych. Wszak „swoją” filozofię uprawiają fizycy, chemicy, biolodzy, psychologowie itp. W każdym razie mają po temu więcej okazji niż inżynierowie, agrotechnicy, specjaliści techniki wojskowej, lekarze itp. Jeśli zatem naukowcy praktycy w ogóle miewają motyw

do filozofowania, tkwi on zapewne w analizie potrzeb, a nie w zakresie nauk podstawowych.

Z tego punktu widzenia pierwszy problem mogący stanowić powód do dyskusji – w zasadzie powód jednakowy w obrębie wszystkich nauk praktycznych – z kolei do sporów i do teoretycznych rozważań dotyczy podstaw naukowych stwierdzania potrzeb. Problem ten można też ująć w formie pytania: jak dalece na odcinku rozpoznania potrzeb nauki praktyczne spełniają istotne wymagania poznania naukowego? W odniesieniu do nauk podstawowych „odpowiedzialność” za poziom naukowy spada w zasadzie czy przeważnie na uczonych, których istotnie i przede wszystkim obchodzi poznanie „czyste”. Powiedzmy nieco inaczej: szukanie odpowiedzi na pytanie, jak świat „wygląda” w sensie niezależnego od ludzi biegu natury. Wszak rzecznicy nauk praktycznych na ogół po prostu korzystają z utrwalonej wiedzy i z bieżących osiągnięć fizyki, chemii, biologii, psychologii, socjologii i kilkuset specjalistycznych nauk, z nich czy to wywodzących się, czy to stanowiących ich części składowe (w systematycznym układzie nauk). Może się więc wydawać, że w zasadzie chodzi o naukową wartość rozpoznania potrzeb, którym służą czy mają służyć poszczególne nauki stosowane.

Pytanie to jest słuszne tylko pryncypialnie, tylko niewielu naukowców praktyków zajmuje się poznawaniem potrzeb w zakresie swoich badań, a jeśli się zajmuje, robi to czy to mimochodem, czy to w mniej lub bardziej filozoficznych próbach syntezy. Co w takim razie naukowcy ci robią przeważnie i niejako na co dzień? Otóż przeważnie wykonują badania, metodologicznie nie odbiegające od badań fizyków, chemików, biologów, psychologów uprawiających naukę „czystą”. Natomiast istotnie różnią się od nich nastawieniem na cel praktyczny, a nie „czysto” poznawczy, ten zaś wynika z określonych potrzeb czy to ludzi pojedynczych, czy to grup społecznych, rządów i państw. Chodzi przede wszystkim o już wymienione ogólnie pojęte potrzeby bytowe, potrzeby obronno-wojenne, potrzeby w zakresie walki z chorobami, wychowania itp.

## **Potrzeby społeczne jako źródło nauk praktycznych**

Jeśli – jak zaznaczono wcześniej – naukowcy praktycy na ogół nie zajmują się analizą potrzeb, odpowiedzieć trzeba na pytanie: jak to się dzieje, że potrzeby – czy to ludzi pojedynczych, czy to społeczne – przecież wywierają wpływ na ustalenie przedmiotów badań naukowych?

Słuszne wydaje się tutaj odwołanie się do konkretnych przykładów. Te zaś trzeba wybrać raczej z okresu przednaukowego poszukiwań niż ze współczesności, dla której znamienne jest uprawianie badań zaplanowanych. Chodzi o to, że współczesny uczony specjalista w zakresie danej nauki praktycznej niekoniecznie jest w pełni świadom związku konkretnego tematu badań z określonymi potrzebami społecznymi. Rozumie się, że dany naukowiec, np. elektronik techniczny, farmakolog, lekarz fizjolog, konstruktor motorów lotniczych, zmierza do określonych uła-twień, udogodnień, oszczędności materiałów i energii, niezawodnych rozpoznań itp., jednakże nastawiony jest przede wszystkim na możliwie poprawne wykonanie swoich badań. W jego imieniu rzecz by można, że o jego analizę i uzasadnienie celu badań niech troszczą się inni.

Inaczej bywało dawniej, powiedzmy 200 lat temu. Póki nauki praktyczne nie były tak rozbudowane, jak są obecnie, ich inicjatorzy mogli mieć i mieli znacznie większe niż obecnie zrozumienie dla określonych potrzeb społecznych. Przykładowo potrzeby transportu węgla z kopalni do miast i portów uskrzydlały w XVIII wieku pomysłowość angielskich wynalazców – wcale nie naukowców – do prób nad konstrukcją lokomo-tywy parowej. Katastrofalne epidemie ospy stanowiły istotny motyw Edwarda Jennera – lekarza społecznika, a nie naukowca – do szukania sku-tecznego środka zaradczego, który istotnie znalazł w postaci szczepienia „krowianką”. W zakresie każdej potrzeby spośród rodzajów wymienionych wcześniej można by bez trudności wskazać na istotną sprężynę działalno-sci – w ogólnym sensie tego słowa – wynalazczej. Zawsze i wszędzie okre-ślony niedostatek, niebezpieczeństwo bądź potrzeba wygod „napędzała” ludzi pomysłowych i przedsiębiorczych do poszukiwania środków zarad-czych. W czasach dawnych, w każdym razie przednaukowych ich „napęd” wynikał przeważnie z korzyści osobistych wynalazców, będących w służ-bie władców. Nie zmienia to istoty sprawy, którą jest pryzmat potrzeb – politycznych, społecznych, gospodarczych i innych, a nie pryzmat wie-dzy naukowej. Celem znalezienia żądanych czy poszukiwanych środków zaradczych wynalazcy korzystali w braku takiej wiedzy z tzw. grubej empirii, z wiedzy ludowej, z doświadczeń niesprawdzonych. Próbowali i czasem udawało im się trafić na pomysł właściwy, bo sprawdzający się praktycznie. Często przy tym ani wynalazcy, ani ich kontynuatorzy długo nie umieli wyjaśnić „mechanizmu” danego wynalazku, np. środka zarad-czego przeciwko epidemii. Krótko mówiąc, chodziło o to, aby wyżywić, ubrać, pomóc, zaradzić, zabezpieczyć, skonstruować właściwą broń, wyle-czyć itp., a potem dopiero, aby ewentualnie również należycie wyjaśnić.

Otóż w gruncie rzeczy nie inaczej ma się rzecz także obecnie, tj. w czasie zróżnicowanych, rozbudowanych, teoretycznie ugruntowanych nauk praktycznych. Również obecnie istotnie ważna jest praktyczna służebność wszelkiej wiedzy w zakresie nauk praktycznych. Co prawda, obecnie wiadomo, że bez ścisłości naukowej i metodologicznej poprawności badań w zakresie jakiegokolwiek problemu do nich przynależnego nie ma mowy o postępie ogólnie pojętej wynalazczości – przemysłowej, rolniczej, medycznej, obronnej, wychowawczej itp. Niemożliwy jest zatem postęp bez ścisłego nawiązywania badań – w zasadzie praktycznych – do bieżących osiągnięć w zakresie badań podstawowych. Wynika stąd ściśle oparcie studiów praktycznych na teoretycznych i brak wyraźnych różnic między naukowcami szukającymi wiedzy „czystej” a zmierzającymi do ulepszenia i zabezpieczenia życia ludzkiego w skali społecznej.

Brak wyraźnych granic między dwoma zbiorami nauk, tj. podstawowych i praktycznych, jednakowy tu i tam akcent na poprawności „warsztatu naukowego” pociąga za sobą pozornie znikanie z horyzontu myśli naukowej „świata” potrzeb. Wszak nimi zajmuje się przeważnie organizator badań – instytut, zakład naukowy, zaś powyżej tychże instytucje planujące problematykę badań – natomiast autor danej pracy badawczej przede wszystkim stara się dobrze nawiązać do wiedzy dotychczas osiągniętej na danym poletku naukowym.

Nie wynika stąd, że „świat” potrzeb – w ogólnym sensie tego słowa – społecznych znika w ogóle z widnokręgu nauk praktycznych. Przeciwnie, jest w nim trwale obecny, acz nie zawsze i nie przez wszystkich należyście zauważany. Jednakże w obrębie każdej nauki praktycznej trafiają się specjaliści, których nie zadowala konkretny postęp naukowy, a którzy snują refleksje nad wartością dotychczasowych osiągnięć praktycznych ze względu na potrzeby społeczne, a w ślad za tym starają się dokonywać syntez. W zasadzie postępują oni nie inaczej niż „syntetycy” w astronomii, fizyce, chemii, biologii, psychologii itp. Odróżnia ich wyraźnie jedno: analiza służebności globalnie rozpatrywanych osiągnięć naukowo-badawczych – czy to jednej nauki praktycznej, czy to jednego zbioru tych nauk, czy to wreszcie wszystkich nauk praktycznych łącznie – z punktu widzenia ludzkich potrzeb przede wszystkim potrzeb społecznych. Analiza ta prowadzi do uwzględniania wiedzy humanistycznej. Wszak potrzeby związane są ściśle z człowiekiem jako istotą działającą (a nie po prostu czy tylko jako z pewnym gatunkiem w świecie zwierząt). Otóż właśnie filozofowanie, którego nie brak w publikacjach rzeczników nauk praktycznych, dotyczy nierzadko tej właśnie sprawy. Wszystko jedno przy

tym, jak syntetycy wiedzy praktycznej czy uczeni na jej gruncie snujący refleksje filozoficzne korzystają z osiągnięć nauk psychologicznych, społecznych lub historycznych bądź jak dalece opierają się na tzw. zdrowym rozumie czy na osobistym doświadczeniu życiowym. Niezależnie od źródeł ich dociekań tak oto można by wyrazić ich problem podstawowy: Czy, a jeśli tak, to jak dalece postęp nauk technicznych (fizyki i chemotechnicznych), agrotechnicznych, medycznych, pedagogicznych i innych wychodzi ludziom na dobre? Jest to w gruncie rzeczy to samo pytanie, na jakie ongiś próbował odpowiedzieć Jan Jakub Rousseau: Czy cywilizacja służy ludzkiemu szczęściu?

## **Cywilizacja jako system spełniania potrzeb społecznych**

Znaczy to, że jeśli w ogóle wiedza w zakresie nauk praktycznych skłania uczonych do filozofowania, zagadnienia istotne wyłaniające się na jej gruncie dotyczą przede wszystkim wartości życia jednostkowego i zbiorowego w związku z ogólnie pojętymi wynalazkami, opartymi na osiągnięciach tych nauk. Od każdego zbioru tychże droga prowadzi rychło do pojęć i zagadnień w gruncie rzeczy tych samych: wartości życia, poziomu życia, szczęścia, doli (i niedoli) ludzi w warunkach cywilizacji, jako ogółu dzieł twórczych, urządzeń praktycznych i sposobów postępowania powstałych na tle potrzeb praktycznych. W ten sposób od każdego zbioru nauk praktycznych dochodzimy nasamprzód do wysoce abstrakcyjnych pojęć: „cywilizacja” i „kultura”, potem ewentualnie do innych pojęć i zagadnień, odwiecznie uważanych za filozoficzne. Tradycyjnie problematyką cywilizacji zajmowali się historycy (filozofowie historii), ale robili to głównie w związku z refleksjami nad praktycznymi osiągnięciami w społecznej walce o byt. W ten sposób „praktycy” i historycy zbliżali się do jednej i tej samej problematyki filozofii cywilizacji.

Pojęcia „cywilizacja” i „kultura” występują często w nauce, w publicystyce tuż obok siebie nierzadko zamiennie. Czy słusznie? Otóż „oboksiebnosc” jako kojarzenie jednego z drugim jest słuszna, natomiast utożsamianie jest bez wątpienia błędne. Etymologicznie „kultura” oznacza uprawę (czegoś), pochodnie – uprawę umiejętną; w ślad za tym – działalność twórczą i jej rezultaty. Zgodnie z tym zarówno naukowe, jak i filozoficzne zagadnienia kultury – o których była mowa w jednym z rozdziałów poprzednich – dotyczą przede wszystkim „mechanizmu” twórczości. W zakresie badań



dotychczasowych – głównie twórczości naukowej i artystycznej. Twórca i jego dzieła oto podstawowy przedmiot zainteresowań kulturalistów.

Natomiast „cywilizacja” oznacza – również etymologicznie – nasamprzód sposoby życia i współżycia z sobą ogółu ludzi jako „współobywatele” (od łac. *civis* – obywatel) danej zbiorowości; pochodnie – sposoby życia i współżycia zgodne z ogółem dzieł twórczych powstałych w tej to zbiorowości i stanowiących jej ogólnie pojętą tradycję. Można też rzec: systemy sposobów życia i współżycia z reguły mas ludzkich, a nie wybranych grup społecznych, opartych na danej tradycji. Wobec tego tradycja i ogół sposobów korzystania z niej – oto treść ogólna, zarazem istotna cywilizacji. W odróżnieniu od kultury – masowy użytkownik ogółu dzieł twórczych stanowi oś rozważań nad daną cywilizacją bądź rozważań porównawczych nad różnymi cywilizacjami. Co tu nie mniej ważne: chodzi zwykle o masowego użytkownika w zakresie podstawowych potrzeb społecznych, przede wszystkim potrzeb bytowych, tj. potrzeb w zakresie zdobywania żywności, przyrządzania jej i konsumowania, ubierania się, mieszkania, zabezpieczenia się przed wrogami i siłami przyrody. W ślad za tym – o użytkownika praw, obyczajów i zasad moralnych, regulujących jego współżycie z ludźmi innymi przeważnie na tle sposobów zaspokajania potrzeb bytowych. A w związku z tym i w szczególności chodzi o użytkownika praw i obyczajów regulujących współżycie małżeńskie i rodzinne. Podczas gdy tradycje w zakresie zdobywania i zabezpieczania żywności dotyczą przeważnie różnego pokroju narzędzi i pomocniczych urządzeń materialnych, tradycje regulujące stosunki międzyludzkie mają przede wszystkim charakter „duchowy” (ideowy, pojęciowy, uczuciowy), jeśli nawet związane są z rzeczami materialnymi jako „nośnikami” idei.

Zazwyczaj – w słownictwie etnograficznym – te dwa rodzaje tradycji nazywa się kulturą materialną i duchową, skąd można by wnioskować, że cywilizacja składa się z tych dwóch rodzajów kultury. Taki sposób posługiwania się terminami „cywilizacja” i „kultura” nie ma znaczenia istotnego; jest raczej nawykiem niż dyrektywą logiczną. Biorąc pod uwagę ścisły związek wszelkich rodzajów kultury powiemy, że „kultura” wskazuje przede wszystkim na twórców tradycji, „cywilizacja” nasamprzód na masowych odbiorców kultury i na sposób ich życia – na co dzień i od święta – dzięki korzystaniu z niej.

Takie rozróżnienie istotnej treści „kultury” i „cywilizacji” jest zgodne ze zwyczajnym sposobem posługiwania się tymi pojęciami w nazwach złożonych, np. cywilizacja hellenistyczna, cywilizacja naukowo-techniczna, sztuka grecka, nauka współczesna itp. Początkowe dwie nazwy wskazują



na całość życia i współżycia z sobą ludzi w epoce hellenistycznej i w naszych czasach. Kolejne dwie – przede wszystkim na określone rodzaje twórczości. Nie przeczy temu stosowanie terminu „kultura” w takich nazwach złożonych, jak: kultura grecka, kultura francuska, kultura polska. Na uwadze mamy bowiem wtedy czy to specyficzne cechy twórczości danego narodu, czy to – również specyficzne – cechy systemów życia i współżycia mas ludzkich w obrębie danej cywilizacji. Niekiedy jedno i drugie łącznie. A we wszelkim rozumieniu istoty cywilizacji i kultury domyślamy się wartości i różnic w wartościach – różnych dzieł twórczych czy sposobów życia i współżycia. Rzec można by, że wszelkie składniki cywilizacji czy kultury tkwią w świecie wartości.

Niezależnie od różnicy znaczeń terminów „cywilizacja” i „kultura” naukowy opis danej cywilizacji wymaga uwzględnienia twórczości poszczególnych rodzajów lub przynajmniej ją implikuje. Jednakże opis wszystkich razem rodzajów twórczości znamiennej dla danej cywilizacji nie wyczerpuje jej treści. Niewiele bowiem, jeśli cokolwiek, mówi o sposobach korzystania ludzi danej cywilizacji w życiu powszednim czy odświętnym z określonych form tradycji. Życie i współżycie ludzi danej cywilizacji a ogół dzieł twórczych nawarstwionych w jej obrębie to są rzeczy różne. Przykładowo wręcz biorąc: przepisy prawne a ich faktyczne stosowanie, utwory literackie a korzystanie z nich itp. Co nie mniej ważne, opis dzieł twórczych sam przez się nic nie mówi o układzie stosunków międzyludzkich w ramach danej cywilizacji, do której dzieła te przynależą.

Ze względu na masę zasobów, zwłaszcza zaś na jakościowe różnice w obrębie tradycji danego rodzaju i układów tychże, cywilizacje nie tylko po prostu się rozróżnia, ale ponadto ocenia się je porównawczo jako wyższe bądź niższe. Na przykład: „wysoko rozwinięta cywilizacja” (np. Babilończyków) a „prymitywna cywilizacja” (np. Beduinów) z tego samego okresu. Zgodnie z tym odróżnia się ludzi cywilizowanych od barbarzyńców. W języku greckim słowo *barbaros* oznaczało po prostu ludzi obcych, cudzoziemców, ale w ślad za tym szło istotne skojarzenie: „ludzi gorszych od nas w sposobach i w poziomie życia”. Wprawdzie obecnie terminów „barbarzyńcy”, „barbarzyństwo” używa się rzadko w odniesieniu do ludzi czy ludów obcych, jednakże daje się wyraz przekonania o wyższości własnej cywilizacji, w szczególności własnych form życia nad cywilizacjami i formami cudzymi. Z reguły przy tym cechy czy odcinki szczególnej przewagi „swoich” nad „obcymi” akcentuje się jako – rzekomo – treść istotną cywilizacji. I tak dla rzeczników cywilizacji euroamerykańskiej zna-

mienne jest akcentowanie osiągnięć naukowo-technicznych cywilizacji przemysłowej. W zakresie zróżnicowania społecznego w wielu krajach do niej przynależnych pospolite jest utożsamianie różnic cywilizacyjnych z różnicami majątkowymi w poziomie ogólnie pojętej konsumpcji i wydatków na życie. W zasadzie biedak żyje w obrębie tej samej cywilizacji naukowo-technicznej, naprawdę jednak jest – w mniemaniu jednostek społecznie uprzywilejowanych – mniej lub bardziej barbarzyńcą. Wszak faktycznie korzysta z nielicznych dóbr tej cywilizacji.

Rozróżnienie to prowadzi do zagadnień od dawna i nadal rozpatrywanych; dawniej – przeważnie przez filozofujących historyków, obecnie raczej przez futurologów, zafascynowanych problematyką postępu technicznego. Sprowadzić je można do zagadnienia ogólnego przyczyn wzlotów i upadków cywilizacji. Jest to zrozumiałe. Jeżeli poszczególne składniki cywilizacji nie tylko po prostu opisuje się – że tak rzec – faktograficznie, ale także ocenia się jako lepsze i gorsze bądź jako wyższe i niższe na drabinie postępu, oceniać można również ich całość. W takim razie wzlot oznacza osiąganie wartości coraz wyższych, natomiast upadek – prymitywizację, zubożenie jakościowe, drogę powrotu ku barbarzyństwu. Znaczy to, że pojęcie cywilizacji jest nierozzerwalnie związane z jakąś niechby tylko intuicyjną skalą wartości. Kto od opisu konkretnych faktów z dziedziny techniki, prawa, wychowania, stosunków międzyludzkich, moralności, pracy, zabawy itp. zmierza ku opisom coraz bardziej syntetycznym, ostatecznie zaś ku opisowi cywilizacji, dochodzi w rezultacie do ogólnych zagadnień aksjologicznych, tj. do zagadnień dotyczących ogólnych wartości i skal ważności. Tylko „drobne” czy konkretne stwierdzenia mogą się wydawać po prostu i tylko stwierdzeniami faktów, a nie ocenami. W świecie ludzkich form życia i dzieł wszystko jest wartością, oczywiście – mniejszą lub większą, tj. wartością co najmniej intuicyjnie rozpatrywaną w porównaniu z wartościami innymi.

## **Zagadnienia filozofii techniki**

Miliony ludzi zafascynowane są nowoczesną techniką. Zrozumiałe jest przeto, że tysiące pisarzy – naukowców, publicystów, literatów – snuje różnego pokroju rozważania nad istotą techniki i nad jej skutkami dla życia ludzkiego. Kamieniem węgielnym futurologii są refleksje nad perspektywami postępu technicznego. Im bardziej ogólne i dalekosiężne są te refleksje, tym szybciej ich autorzy odrywają się od konkretnej wiedzy

technicznej, tym wyraźniej filozofują. Spróbujmy zastanowić się pokrótce nad drogami filozofowania, startującego od techniki.

Następujące zagadnienia wysuwają się tu na plan pierwszy:

1. istota techniki;
2. istota postępu technicznego;
3. praktyczne korzyści z techniki i postępu technicznego;
4. wpływ techniki na życie ludzi i ich osobowość;
5. zagrożenia ze strony techniki i odpowiednich zabezpieczeń;
6. wizje techniki przyszłości.

Są to zagadnienia ramowe. Zmieścić można by w nich wiele spraw pochodnych, chociaż wciąż jeszcze ogólnych, z kolei sporą ilość problemów, z których wiele mogłoby prawdopodobnie stanowić przedmiot konkretnych prac naukowo-badawczych. Rozumie się, że w kierunku odwrotnym droga prowadzi od konkretnych problemów naukowo-technicznych ku wymienionym wyżej zagadnieniom ogólnym. W końcu – od nich ku odwiecznym, już całkiem filozoficznym: ostatecznego charakteru i sensu bytu, istoty i warunków prawdziwego poznania oraz źródeł i sensu wszelkich wartości. „Mechanizm” tych zagadnień spróbuję wyjaśnić w dwóch rozdziałach przedostatnich.

Wobec tego – według planu – spróbujmy nasamprzód zastanowić się nad zagadnieniem istoty techniki. Nowoczesna nazwa wywodzi się od starogreckich słów: *technos* ‘misternie (coś) obrabiam’, oraz *techne* ‘sztuka, rzemiosło, kunszt, umiejętność’. Sens dzisiejszy odpowiada w zasadzie pierwotnemu. Chodzi o umiejętność praktyczną, opartą na pomysłowości. Cechy dalsze „techniki” są w pewnej mierze domyślnie obecne w powyższych. Mówiąc o umiejętności praktycznej na uwadze mamy przede wszystkim wyuczone, a więc oparte na tradycji, sposoby działania związane z ogólnie pojętą walką o byt, zwłaszcza ze zdobywaniem chleba. A wskazując na pomysłowość domyślamy się inwencji twórczej, bez której umiejętności nie mogłyby powstać. „Ktoś” ze względu na ułatwienie walki o byt „coś” wymyślił, inni nauczyl się i według danego pomysłu działają, niekoniecznie lub wcale nie dodając nic nowego.

Tak objaśniając „technikę” etymologiczne powiemy ogólnie, że jej zakres obejmuje wszelkie środki służące do ułatwiania walki o byt, nasamprzód obmyślane i wypróbowane przez ludzi twórczych, z kolei przez innych praktycznie stosowane są jako umiejętności nabyte dzięki ogólnie pojętemu uczeniu się, poczynając od „podpatrywania” i naśladownictwa. Domyślamy się przy tym, że owe środki techniczne, opracowane i stosowane jako umiejętności, stanowią pewien rodzaj tradycji, a więc

„rzeczy” do stosowania, czyli obowiązujące. Ponadto domyslać można się i tego, że techniczne środki do walki o byt mają przeważnie, jeśli nie wyłącznie, dwie strony: materialną, w szerokim sensie tego słowa narzędziową, i metodyczną, w sensie ogółu tradycją utrwalonych wskazówek co do sposobu posługiwania się danymi narzędziami. Chodzi o to, co obecnie nazywa się zazwyczaj *know how* (wiedzieć jak) i co stanowi rdzeń wszelkiej technologii. Radło, młot, siekiera, piec, kaganek oliwny itp. – oto przykłady narzędzi. Wskazówki konkretne co do ich konstruowania i posługiwania się nimi – oto odpowiednia technologia. Na pozór przepaściste są różnice między przykładowo podanymi narzędziami (i właściwym *know how*) a maszynami i pomocniczymi urządzeniami nowoczesnej techniki naukowej. Jednakże pomimo ogromnych różnic istotne funkcje techniki prymitywnej czy naukowej są jednakowe, m.in. ten sam sens – ułatwienia walki o byt w skali społecznej. Tu i tam jednakowe warunki powstawania i posługiwania się narzędziami: pomysły twórcze, odnośne konstrukcje i ich wypróbowywanie, uczenie się i praktyczne ich zastosowanie oraz włączenie do zasobów tradycji kultury materialnej. Jedyna różnica (ale nie funkcja) istotna dotyczy podstaw pojęciowych. W technice prymitywnej podstawę stanowi intuicja w obmyślaniu i konstruowaniu narzędzi (i urządzeń) nowych oraz powoływanie się na tradycje w posługiwaniu się znanymi. W technice naukowej podstawę stanowią: całość wiedzy naukowej, zwłaszcza wiedzy fizycznej, oraz badania oparte na niej i przystosowane do określonych potrzeb.

Od dawna zwracano uwagę na fakt, że zachowanie się niektórych zwierząt jest inteligentne, a nie tylko czy po prostu instynktowe. Wolfgang Köhler wykazał (1917–1919) w badaniach eksperymentalnych, że szympansy zdolne są do posługiwania się niby-narzędziami, np. celem zdobycia pokarmu. Sporna była jego koncepcja wyjaśniająca („wgląd intuicyjny”), ale głównie dzięki jego badaniom uznano, że u niektórych zwierząt obecne są pewne zadatki do powstawania techniki, przede wszystkim w formie zdolności do uprzytomniania sobie możliwości doraźnego posługiwania się rzeczami jako środkami do osiągnięcia celu. Różnice istotne – w tym zakresie – między zwierzętami, np. szympansamami a człowiekiem, dotyczą: uczenia się, względnie uczenia „narzędziowego” stosowania rzeczy i powstawania zarazem obecności tradycji u tego drugiego.

Technika przeobraża się – jak wszystko w społeczno-historycznym życiu ludzi. Współcześnie jej przeobrażenia ujmuje się pospolicie nazwą: „postęp techniczny”. Na czym polega jego istota? Na pewno nie na samych tylko zmianach w budowie ogólnie pojętych narzędzi, na powstawaniu

coraz to nowych wynalazków (przeważnie maszyn i urządzeń pomocniczych), chociaż praktycznie biorąc owe zmiany, pospolicie zwane wynalazkami, stanowią – że tak rzec – treść postępu technicznego. Chodzi o to, że nie same przez się zmiany, lecz dzięki nim dokonujące się, względnie umożliwiające ulepszenia w społecznej walce o byt stanowią istotę postępu technicznego. Ze swej strony ulepszenia są to ostatecznie wartości cenniejsze w porównaniu z jakością narzędzi dotychczasowych, tj. stanowiących start do konstrukcji narzędzi nowych. Mówiąc o postępie technicznym domyślamy się zatem historycznego ciągu narzędzi coraz cenniejszych w społecznej walce o byt. W jakim sensie cenniejszych? Oczywiście w sensie: zwiększonej oszczędności czasu, sił (fizycznych i psychicznych) i nakładu środków celem spełnienia potrzeb związanych i wciąż obecnych bądź celem rozbudzenia potrzeb nowych. Jeśli ulepszenia coraz to nowe są – jak przypuszczać należy – coraz cenniejsze, słusznie domyślać się można stopniowej skali, poczynwszy od narzędzi prymitywnych – w zakresie danej potrzeby – poprzez stan aktualny (oznaczający ulepszenie w danej chwili najnowsze) ku przyszłości nieoznaczalnej, bo bezkresnej. Do czynienia mielibyśmy więc z wieloma skalami wartości postępu technicznego w zakresie poszczególnych narzędzi i urządzeń technicznych, służących do społecznej walki o byt. Ze względu na niewątpliwą częściową współzależność postępów poszczególnych można by o postępie technicznym mówić całościowo, oczywiście licząc się z możliwością zatrzymań, a nawet uwstecznień.

W pewnej mierze idee skalowania postępu technicznego na odcinkach poszczególnych, a nawet całościowego oznaczania tegoż w stopniach – intuicyjnie traktowanych jako wartości coraz wyższe – wydają się zgodne z rzeczywistością, a nawet pomiarowo sprawdzalne. Rozumie się, przy wcześniej przyjętym założeniu, że wymierność postępu technicznego polega na pomiarze składników ekonomii wysiłku, niezbędnego do uzyskania określonych efektów w realizacji potrzeb związanych z walką o byt.

Rozpatrzmy rzecz na przykładzie postępu w zakresie „ekonomizacji” sztucznego oświetlenia otoczenia bezpośredniego. Można by przy tym osobno rozpatrywać postęp w urządzeniach oświetleniowych i w „ekonomii” korzystania z nich, ale dla uproszczenia sprawy zrezygnujemy z tego rozróżnienia. Nie ma wątpliwości co do tego, że od czasu „wynalazku” ognia do współczesnych wynalazków oświetleniowych dokonał się postęp ogromny. Również co do tego, że niektóre składniki tegoż są wymierne. Ponadto w przybliżeniu znane są etapy postępu w technice oświetleniowej. Założmy, że są nimi etapy oświetlenia od:

1. ogniska (służącego zarazem do gotowania);
2. łuczywa;
3. świecy tłuszczowej;
4. kaganka oliwnego;
5. lampy naftowej;
6. lampy gazowej;
7. lampy elektrycznej.

Co w tym postępie ułatwień jest wymierne? Przede wszystkim czas i wielkość wysiłku niezbędnego do zapalenia danego „urządzenia” oświetleniowego. Gdyby tylko te dwa składniki brać w rachubę, uważać by można za nieomal pewne to, że kto w danej sytuacji mógłby wybierać swobodnie, wybierałby urządzenia stanowiące „ostatnią zdobycz” w zakresie oświetlenia elektrycznego. Pominąć można praktyczne trudności ewentualnych pomiarów, wynikające z różnic umiejętności w „obsłudze” poszczególnych urządzeń oświetleniowych.

Na tym jednakże nie koniec sprawy. Osobno trzeba by uwzględnić:

1. koszty (być może wymierne);
2. wzgląd na różnice i postęp bezpieczeństwa (wątpliwie wymierne);
3. raczej niewymierną estetykę poszczególnych urządzeń oświetleniowych.

Poniekąd w rachubę wchodzi również upodobania indywidualne, np. realne, m.in. alternatywę: jakie oświetlenie jest przyjemniejsze – gazowe czy elektryczne? Ale i to nie wszystko. Wątpliwości wzbudzać może bowiem podstawowe kryterium postępu technicznego: postępującej oszczędności w czasie i wysiłku ewentualnie również w kosztach. Komuś może bowiem zależeć – i zapewne niekiedy zależy – na zabawowej stronie urządzeń oświetleniowych, np. na „obsłudze” świec czy lamp naftowych. Może to mieć znaczenie, jeśli straty czasu, wysiłku i kosztów nie grają roli. Kiedy indziej, chociaż raczej w odniesieniu do innych składników techniki, zwłaszcza do maszyn, ocena postępu może być dwuznaczna. Technicznie dana maszyna jest „postępowa” (ze względu na oszczędności czasu, wysiłku i kosztów), natomiast w danym układzie warunków cywilizacyjnych może być „wsteczna”, gdyż czasowo utrudnia rozwiązywanie palących problemów społecznych, np. wskutek wywoływania bezrobocia. Uwzględnić trzeba również fakt, że milionom ludzi powszednia krzątania związana z walką o byt wypełnia życie i nawet nadaje mu sens, jeśli nie jest zbyt uciążliwa, i że ci sami ludzie, mający do dyspozycji wszelkie osiągnięcia nowoczesnej techniki, bywają nieszczęśliwi, bo nie wiedzą, jak wykorzystać nadmiar wolnego czasu.



Pomimo zasadniczych możliwości porozumienie się co do kryteriów pomiaru postępu technicznego jest i pozostaje złożone. W każdym razie trudno wykonalna byłaby próba bezspornego ustalenia – na drodze pomiarów, dyskusji i umownych porozumień – stopni postępu technicznego dla wybranych w tym celu kilkudziesięciu czy choćby tylko kilkunastu składników ogólnie pojętej techniki w zakresie walki o byt. Oczywiście, jeszcze trudniejsza miałaby być próba „dogadania się” zespołu kompetentnych specjalistów w kwestii umownego ustalenia szczebli postępu technicznego, rozpatrywanego kompleksowo – mniej więcej tak, jak rozpatruje się, a nawet ustala liczbowo zmiany w dochodach realnych czy nominalnych ludności danego kraju, pogłębianiu się inflacji, poziomu zubożenia itp.

Dodać trzeba, że wszelkie próby ustalenia kryteriów i skal oraz mierzenia postępu technicznego każą domyślać się współobecności postępu społecznego. Co prawda, wymienione tu kryteria, tj. głównie ekonomia czasu, wysiłku i kosztów, praktycznie biorąc w postępie społecznym nie wchodzi w rachubę. Na plan pierwszy wysuwa się idea sprawiedliwości społecznej, a w jej zakresie sprawa upowszechnienia i dostępu do wynalazków technicznych.

Z ideą postępu technicznego ściśle związana jest sprawa korzyści jednostkowych i społecznych z techniki rozporządzalnej w danym czasie i z postępu w jej zakresie. Chodzi tu o praktyczne skutki oszczędności czasu, wysiłków i kosztów, wynikające ze stosowania wynalazków technicznych. Spróbujmy w związku z tym odpowiedzieć zarysowo na dwa pytania:

1. Co technika i postęp techniczny „dają” jednostce?
2. Co technika i postęp techniczny „dają” społeczeństwu?

Ściśle biorąc, obecne są tu cztery zagadnienia:

1. indywidualnych korzyści z techniki bez uwzględnienia postępu;
2. indywidualnych korzyści z postępu technicznego;
3. społecznych korzyści z obecności i zastosowania środków technicznych bez zmian;
4. społecznych korzyści z postępu technicznego.

Dla uproszczenia sprawy ograniczę się do próby odpowiedzi na dwa pytania kompleksowe.

Co „daje” zatem technika „szaremu” jej użytkownikowi? Można by dodać pytanie: Jak wyglądałoby życie tegoż użytkownika, niechby tylko czasowo pozbawionego dostępu do znanej mu techniki? Załóżmy przy tym, że nie rozporządza on zapasami żywności gotowymi do konsumpcji. Jest to sytuacja możliwa, a nawet realna w życiu uciekinierów, zbiegów, niekiedy również turystów. Niełatwo odpowiedzieć na te pytania ogólnie,



ponieważ coraz liczniejsze wynalazki w zakresie walki o byt – narzędzia, urządzenia pomocnicze, wskazówki technologiczne – mają znaczenie nierówne z punktu widzenia ekonomii, ograniczenia niezbędnego wysiłku bądź cierpień i trudów fizycznych oraz uprzyjemnienia życia. Pomimo wątpliwości niektóre stwierdzenia są oczywiste.

Rozpocznijmy od ograniczenia wysiłku fizycznego i czasu pracy efektywnej. Tłuczenie ziarna w stepie było nie lada wynalazkiem w zakresie gospodarstwa domowego, ale śrutowanie tegoż i mielenie na żarnach stanowiło ogromny postęp, jeśli uwzględnić sam tylko niezbędny czas i wysiłek fizyczny. Z kolei stopniowe ulepszanie żaren umożliwiło dalsze zmniejszenie nakładu czasu i wysiłku. A jeśli pominąć późniejsze, raczej już nieistotne ulepszenia, na etapie młynków elektrycznych dokonał się ogromny jakościowy krok naprzód. Jest to już raczej ulepszenie organizacyjne niż techniczne, jeśli gospodyni domowa może po prostu kupić takie czy inne ziarno zmielone; co więcej – kupić je i otrzymać na zlecenie telefoniczne. W odniesieniu do powyższego i do innych przykładów uwzględnić trzeba ponadto czynniki niekoniecznie lub tylko pośrednio związane z ekonomią: jakość funkcji (przedmiotu), rozpył, a więc pewien ubytek (mąki, kaszy, śrutu itp.), zanieczyszczenie otoczenia, ubrania, nieprzyjemność z nadmiaru hałasu itp. Pewne znaczenie – różne w zakresie różnych narzędzi i urządzeń – ma tu ponadto wysiłek umysłowy i uczuciowy niezbędny w efektywnym posługiwaniu się danym urządzeniem oraz ograniczenie napięcia uwagi, zmniejszenie stresu w związku z możliwością pomyłek i uszkodzeń ciała itp. Oczywiście, dla każdego wynalazku z osobna, ale celem spełnienia zadań w zasadzie takich samych, układy korzyści różnych – tj. ekonomicznych i wszelkich innych – są i muszą być częściowo różne. Utrudnia to skalowanie w jednolitym ciągu postępu technicznego, niemniej pozostaje w obrębie osobistych korzyści z owego postępu.

Wielka część tychże wiąże się z pojęciem wygod. I tak dzięki postępowi technicznemu coraz wygodniejsze stają się: całe meble bądź ich części składowe, lampy i „punkty” oświetleniowe, sprzęty kuchenne i do czyszczenia mieszkań, całość odzieży i jej poszczególne składniki, sprzęt pralniczy, narzędzia i środki techniczne służące higienie osobistej, np. komplety do manicure, maszynki do golenia itp. Postęp w dziedzinie wygod jest tylko częściowo sprowadzalny do ekonomii czasu, wysiłku i kosztów. W nie-małej mierze, acz rozmaicie – do różnego pokroju zabezpieczeń (np. brzytwy do golenia a maszynka z żyłką), do uprzyjemnień (np. w zakresie usług kosmetycznych), do ułatwienia konserwacji i transportu (np. ubrań w walizkach podróżnych) itp. Osobno pod uwagę brać trzeba postęp zróż-

nicowania narzędzi (np. kosmetycznych), za czym idzie możliwość indywidualizacji, a więc zarazem ucieczki przed szablonami. Również o to chodzi w postępie technik tekstylnych, umożliwiających zróżnicowanie osobistej odzieży, zwłaszcza dzięki połączeniu nowych materiałów i wzorów ze sztuką krawiecką.

Coraz większe, choć indywidualnie zmienne korzyści daje użytkownikowi pojedynczemu postęp w dziedzinie środków komunikacji i łączności. Co prawda, w grę wchodzi tu zarówno korzyści indywidualne, jak i społeczne. Postęp w zakresie środków komunikacji i łączności umożliwia coraz łatwiejsze poruszanie się i zmiany miejsca pobytu, nawiązywanie i utrzymywanie kontaktu według doraźnych potrzeb, zmiany w planach, w terminach spotkań. Uwielokrotnia on i uplastycznia powiązania w stosunkach międzyludzkich. Warto przy tym zauważyć, że zmiany w tej dziedzinie, umożliwiające przez postęp techniczny, nie zawsze i niekoniecznie oznaczają zarazem wzrost poziomu życia czy zadowolenia ze wzrostu psychospołecznych podmiotów i możliwości. Zależnie od osobnych czynników zmiennych oznaczać może degradację życia osobistego i „spustoszenie” osobowości. Nieraz poruszano już tę sprawę w literaturze, publicystyce, psychologii społecznej itp.

Nie ma wątpliwości co do tego, że postęp techniczny przyczynia się wprost lub pośrednio do zróżnicowania potrzeb materialnych ludzi pojedynczych i całych grup społecznych. Wynika to zarówno z istoty wynalazczości technicznej, jak i z umasowienia produkcji przemysłowej na niej bazującej. Szary użytkownik techniki może mieć bez specjalnych zachodów coraz więcej i coraz bardziej zróżnicowanych urządzeń, sprzętów, narzędzi i materiałów rozmaitego pokroju. Gdyby jako „dobro” techniki i postępu technicznego uznać po prostu ilość różnych rzeczy do nabycia – za pracę – i do używania, trzeba by się zgodzić, że osobiste, praktyczne korzyści z postępu technicznego narastają niemal lawinowo. Nie można tu jednak pominąć pytania: jak dalece narastająca masa rzeczy różnych, wyprodukowanych dzięki technice naukowo-przemysłowej, uszczęśliwia ich posiadaczy? Dodać można pytanie dotyczące odwrotnej strony medalu: jak dalece utrudnia i uprzykrza im życie (np. w postaci rosnącej masy wciąż jeszcze poniekąd wartościowych staroci)? Wreszcie czy istnieje możliwość „odliczenia” szkód od osobistych korzyści?

Korzyści osobiste – jako podnoszenie poziomu życia jednostek dzięki postępowi technicznemu – bez wyraźnych granic zmieniają się na społeczne. Niektóre z nich są takie, w mierze oczywistej, np. korzyści z zakładów przemysłowych, z maszyn budowlanych. W ogólności – wszelkie

urządzenia techniczne i ich kompleksy, mają sens tylko w społecznej walce o byt, jeśli nawet – jak to jest w ustroju kapitalistycznym – stanowią własność jednostek. W grę wchodzi przede wszystkim wszelkie zasoby materiałowe i narzędziowe danego społeczeństwa, stanowiące tzw. infrastrukturę gospodarki. Należą do nich środki i sieci komunikacyjne, ogół fabryk, działających i rozwijających się w związku z postępem technicznym, nie mniej ogół technologii, dzięki którym fabryki funkcjonują. W znacznej mierze zaliczyć trzeba tu również postęp agro- i zootechniki, a to przynajmniej na odcinku maszyn i urządzeń opartych na wiedzy fizycznej. Na tej wiedzy bazuje również technika medyczna, technika w zakresie upowszechniania informacji i recepcji kultury, ponadto – choć raczej pośrednio – technika gastronomiczna (np. w zakresie konserwacji artykułów spożywczych), poniekąd również technika sportowa, zabawowa itp.

Osobno uwzględnić trzeba korzyści z techniki zbrojeniowej, od najdawniejszych czasów oceniane jako pierwszoplanowe. Osobno – gdyż korzyści są tutaj dwuznaczne: co dla atakującego stanowi korzyść, to dla zaatakowanego oznacza zagrożenie lub możliwość zniszczenia. Jest to najistotniejszy paradoks wszelkiej cywilizacji, w szczególności cywilizacji naukowo-technicznej.

Jeśli rozpatrywanie tegoż pominąć na tym miejscu, to i tak nie można zlekceważyć problemu zagrożeń życia jednostkowego i społecznego ze strony techniki, szczególnie techniki nowoczesnej i jej postępu. Jest to bowiem obecnie – że tak rzec – „zagadnienie numer jeden” kompleksu nauk zajmujących się ochroną środowiska naturalnego, ponadto – publicystyki i futurologii. Rzecz jest nad wyraz złożona i nie sposób wnikać w nią szczegółowo. Wystarczy musi – ze względu na plan i charakter niniejszej pracy – skupienie uwagi na faktach istotnych.

Otóż w przeciwieństwie do korzyści w zakresie szkód i zagrożeń na plan pierwszy wysuwają się raczej ujemne skutki społeczne aniżeli jednostkowe ze strony postępu technicznego. Rzecz w tym, że w odniesieniu do wielu zagrożeń potrzebne są badania, i to nierzadko na wielką skalę, a więc zarazem masy liczb, przeważnie o pokroju statystycznym, aby ustalić rozmiary i charakter szkód. Weźmy tu przykładowo wypadki drogowe związane z rozrostem automobilizmu. Nieomal każdy mieszkaniec krajów wysoko rozwiniętych zetknął się niechby jako przygodny świadek z wypadkiem samochodowym. Dopiero jednak statystyka wypadków oraz ich analiza techniczna i naukowa umożliwia właściwy wgląd w wysoce dramatyczną problematykę i w nad wyraz trudną profilaktykę. A więc

do czynienia mamy tu z zagrożeniem *par excellence* społecznym, aczkolwiek konkretnie i bezpośrednio poszkodowane są jednostki. W zasadzie tak samo ma się rzecz z pogarszaniem jakości powietrza, którym oddychamy, wody pitnej, ze szkodami w szacie roślinnej dokoła i w obrębie aglomeracji miejskich, z ginieniem wielu gatunków zwierząt, z rozkładem naturalnej biocenozy itp. O to wszystko – i o szkody inne – pojedynczy użytkownik nowoczesnej techniki ociera się, niekiedy nawet dotkliwie, jednakże rozmiar i nasilenie się szkód ocenić można jedynie na podstawie odpowiednich badań naukowych, a więc traktując je jako swoiste zjawisko społeczne. Dodać trzeba, że pomimo ogromnej masy różnego pokroju badań już wykonanych i nadal prowadzonych w tej dziedzinie, wnioski, względnie interpretacje stwierdzeń faktycznych bywają nad wyraz wieloznaczne. Wahają się one w granicach między daleko posuniętym pesymizmem czy nawet kataklizmem a różowym optymizmem, co świadczy nie tyle o cechach osobowości naukowców (zaangażowanych w tę sprawę), ile raczej o obiektywnej komplikacji problematyki zagrożeń i faktycznych szkód społecznych ze strony współczesnej techniki.

Po stronie szkód jednostkowych od dawna i nadal wysuwa się wieloznaczna koncepcja zagrożenia osobowości przez „molocha” maszyny, tj. przez ogólnie pojętą mechanizację życia. W ujęciu współczesnym – przez „hiperelektronizację” życia w pracy zawodowej, w zabawie, w odpoczynku, a nawet w stosunkach międzyludzkich.

W zasadzie tej sprawy dotyczy stary mit o uczniu czarnoksiężnika, który wprawdzie potrafił wyzwolić siły tajemne, lecz nie umiał ich opanować. Idea tego mitu narzuca się czasem wyobraźni ludzi „bezzadnych” wobec potęgi maszyn i w ogóle techniki, jest jednakże błędna i sentymentalna. Nie odpowiadają prawdzie przekonania w niej domyślnie zawarte, jakoby ludzie „nieopatrznie” wyzwalałi siły przyrody i nie mogli sobie dać rady z „przemocą” maszyn przez siebie skonstruowanych. Faktyczny stan rzeczy jest bowiem inny: Od najdawniejszych czasów i nadal ludzie wciąż na nowo wysilają swą inteligencję i wyobraźnię po to, aby narzędziami – w ogólnym znaczeniu tego pojęcia – ułatwić sobie życie, zwłaszcza trud walki o byt. A żadna maszyna nie zapanowała ani nie panuje nad człowiekiem, natomiast zawsze stanowiła i stanowi „bezmyślny” instrument, jeśli nawet „liczy i myśli” daleko sprawniej od swych twórców. „Robi” to bowiem tylko w granicach „zakodowania”, opracowanego dzięki ludzkiej pomysłowości. Nie zaprzęgnięta do konkretnego „działania” jest tylko „martwym żelastwem”, nie bardziej „inteligentnym” od materiałów, np. od stali, z której została zbudowana.

W pewnym sensie mistyczno-sentymentalna idea zawiera jednak ziarno prawdy, mianowicie o ile wskazuje na uzależnienia ludzkich działań, cech osobowości, pośrednio nawet struktury tejże. Otóż właśnie sens ten warto tutaj uchwycić. Przede wszystkim więc od danego zestawu urządzeń technicznych zależy rodzaj i układ czynności zawodowych milionów ludzi pracujących w przemyśle, komunikacji i łączności, ponieważ również na roli, w biurach urzędniczych, szkolnictwie, służbie zdrowia. Oczywiście, także w służbie wojskowej itp. Jest to po prostu stwierdzenie faktu, że wszelka praca, bezpośrednio czy pośrednio, istotnie czy pomocniczo lub mimochodem, oparta na ogólnie pojętych środkach technicznych, wymaga właściwego posługiwania się nimi, a więc przystosowania się do celu ich konstrukcji i obiektywnych warunków ich funkcjonowania. W zasadzie dotyczy to – rzecz jasna – również najbardziej prymitywnych środków technicznych ludzi pierwotnych. W ramach cywilizacji naukowo-technicznej nowością jest niezmierne zróżnicowanie urządzeń technicznych, a zarazem wyspecjalizowanych prac zawodowych, ponadto daleko posunięta precyzja działań na coraz większej liczbie urządzeń różnych. Z uwagi na postępujące zróżnicowanie i wymagania coraz większej precyzji można rzec – co prawda, raczej przenośnie niż realistycznie – że ludzie z epoki techniki naukowej stali się i stają coraz bardziej „niewolnikami maszyn”. Wiadomo jednak, że z punktu widzenia jednostki mamy tu do czynienia z „niewolnictwem” na ogół swobodnie wybranym, a to w ramach wyboru zawodu. Ponadto w przeciwieństwie do niewolnictwa historycznego uzależnienie od maszyn na ogół nie stanowi nieznośnego ciężaru ani źródła buntu. Nie przeczy temu uciążliwość pracy „przy taśmie”, zresztą wielokroć rozpatrywana w socjologii pracy, a krytykowana w literaturze, publicystyce, filmach itp. Jest wiele sposobów przynajmniej częściowego ograniczenia nudy i zmęczenia w produkcji „taśmowej”. Ostatecznie zaś pracownik niemogący się przystosować do niej może zmienić rodzaj zajęcia w ramach tego samego rodzaju produkcji bądź zmienić zawód. W każdym razie konieczności przystosowań do maszyn, w szczególności do urządzeń maszynowych w produkcji przemysłowej, nie można utożsamiać z koniecznością przystosowań do rygoru więziennego ani do statusu życiowego niewolników.

Niewątpliwy jest tu fakt, że wskutek przystosowywania się do określonego trybu działań zawodowych, mniej lub bardziej związanych z obecnością, konstrukcją i technologią maszyn, dokonuje się w mierze przeważnej zróżnicowanie nie tylko samych przez się zawodów technicznych, ale również typów osobowości. Psycholodzy przyzwyczaili się – w ramach

swojej problematyki, pośrednio w ślad za historią swej nauki – do różnicowania osobowości mniej lub bardziej na gruncie cech wrodzonych. Weźmy tu choćby powszechnie znane rozróżnienie introwertyków i ekstrawertyków. Ma ono swoje podstawy, jednakże daleko słuszniejsze jest różnicowanie według przynależności „fachowców” do zawodów specjalistycznych. Obiektywne wymagania tychże, w tym wymagania wynikające ze specyfiki urządzeń technicznych, daleko głębiej i trwalej rzeźbią osobowość niż skutki biologicznych podstaw dla różnych form zachowania się. Każdy rodzaj pracy zawodowej „rzeźbi” cechy osobowości stosownie do swej specyfiki. Dotyczy to oczywiście również zawodów w cywilizacjach prymitywnych. Ale właśnie technika nowoczesna rzeźbi je w szczególnie sposób, niezmiernie zróżnicowany, skąd wynikają „hiperspecjalistyczne” przystosowania do narzędzi i urządzeń pomocniczych, opartych na wynalazczości naukowej. I gdyby jedynie zróżnicowanie zawodowe, wynikające z postępu technicznego, kształtowało ludzi jako osobowości, coraz trudniej byłoby im porozumiewać się ze sobą, gdyż w ramach „tysiąca” zawodów powstają odpowiednie „tysiące” typów osobowości na gruncie specjalistycznych różnic wykształcenia zawodowego i pracy zawodowej.

Na szczęście temu trendowi przeciwstawiają się inne skutki techniki, skutki poniekąd psychiczne, mianowicie stopniowe „wyzwolenie człowieka” z „jarzma” maszyny, a to dzięki ciągłemu wzrostowi ilości czasu wolnego, rozporządzalnego – teoretycznie – według swobodnego uznania. Ludzie dawniejszych czasów, powiedzmy sprzed pół tysiąca lat, byli relatywnie mało zróżnicowani zawodowo, a w pracy na roli nieomal uniwersalni i samowystarczalni. O tyle na gruncie nieomal wspólnych doświadczeń nietrudno było im rozumieć się wzajemnie i porozumiewać. Poza tym przeważnie ciężki trud walki o byt, prawie wcale nie ułatwiany nawet prymitywnymi maszynami, nie pozostawiał im dość wolnego czasu na ujawnianie i rozwój zainteresowań spoza obrębu troski o chleb.

Trzeba jednak pamiętać o tym, że „wyzwolenie” ludzi dzisiejszych bynajmniej nie polega na uniezależnieniu się od cywilizacji technicznej i na ułatwianiu czy na umożliwianiu „powrotu do natury”. Nie ma i nie może być takiego „powrotu” w sensie wznowienia staromodnych obyczajów i trwałego zamieszkania na wsi „sielskiej-anielskiej” w warunkach prymitywizmu technicznego, który urzekał Mahatmę Gandhiego. Praktycznie biorąc możliwe jest tylko chwilowe, np. weekendowe, zbliżanie się do „łona natury”, ściślej – do zieleni coraz częściej pielęgnowanej (nawet w postaci kompleksów leśnych) i do krajobrazów innych niż dokoła środowiska pracy.



Co więcej, również chwilowe tylko zbliżenia do natury uzależnione są i będą prawie całkowicie od nowoczesnej techniki – przeważnie od technicznych środków komunikacji, łączności. Od ich obecności i rozporządzalności uzależnione są bowiem i będą coraz bardziej: turystyka, zamiejskie wycieczki, a nawet zwyczajne spacer. Oczywiście, również uprawianie sportu, jako szczególny rodzaj „wyzwolenia” od uciążliwości pracy zawodowej, zależne jest coraz mocniej od nowoczesnej techniki, niechby tylko w sensie budowy i organizacji stadionów i innych urządzeń sportowych. Wobec tego nie ma ucieczki od techniki, a więc zarazem od masy różnokształtnych oddziaływań tejże na życie ludzi współczesnych i przyszłych. W ślad za tym – na ich osobowość. Możliwe jest jedynie uniezależnienie częściowe lub pozorne, a to w formie rosnącej możliwości wyboru:

1. miejsca na „łonie natury” dla odprężenia chwilowego lub na wczasy;
2. środków komunikacji;
3. towarzystwa;
4. rodzaju rozrywki czy innych zajęć wczasowych.

Co prawda, wszystkie możliwości wymienione czy jeszcze jakieś inne są wciąż dla ogromnej większości ludzi – na co dzień „pogrążonych” w nowoczesnym zakładzie pracy – ograniczone. Krótko mówiąc, technika „zniewala” nas wszędzie: w pracy, w rozrywce i w wypoczynku.

Ograniczenie możliwości wyboru, a nawet brak tejże – w dążeniach do uniezależniania się – nie oznacza wcale, że wskutek postępu technicznego ludzie są czy będą coraz bardziej nieszczęśliwi. Przeciwnie, są i będą coraz bardziej szczęśliwi, jeśli za miarę szczęścia uważać przede wszystkim wyzwolenie od głodu i nadmiernych trudów związanych z fizyczną walką o byt. A niewątpliwie są to kryteria podstawowe dla miliardów ludzi niedożywionych bądź głodnych i prawie że bez ułatwień technicznych pracą fizyczną zdobywających swój chleb codzienny. Technika w mierze decydującej przyczynia się do fizycznego wyzwolenia ludzi. Wyzwolenie psychiczne – w sensie pokonywania jednostajności pracy i nudy, z kolei wzbogacania osobowości indywidualnymi zainteresowaniami – jest sprawą dalszą. Rozumie się – ważną, ale też ludzie coraz bardziej wprzęgają również do niej nowoczesną technikę, toteż są podstawy do przypuszczenia, że przez właściwe wychowanie do korzystania z wolnego czasu i dzięki postępowi technicznemu wyzwolenie człowieka jako daleko posunięty wzrost szans na drodze do zindywidualizowania i wzbogacania osobowości, stać się będzie stopniowo procesem coraz bardziej demokratycznym.

Wiele pisano i pisze się o dalszych perspektywach postępu technicznego. Sprawę tę ujmuje się zwykle jako niemal tożsamą z odległymi per-



spektywami cywilizacji naukowo-technicznej. Tak czy inaczej jest to najbardziej abstrakcyjne zagadnienie filozofii techniki. Najwięcej w nim wątpliwości, a więc zachęt do wyrażania zapatrywań trudnych do należytego uzasadnienia, intuicyjnych i o tyle niejako prywatnych. Spróbuję tu rzucić na nie okiem, i to tylko z uwagi na pytanie dotyczące przypuszczalnego kierunku dalszego postępu techniki. W każdym razie nie dotyczące przypuszczalnych, „kapitalnych” wynalazków przyszłości.

Przed wszystkim nie wątpię, że społeczne przyczyny oraz indywidualne warunki i motywy twórcze podniecające do wynalazczości będą w przyszłości – zarówno za sto, jak i za tysiące lat – w zasadzie takie same, jakie są obecnie. Po stronie społecznej będzie to nadal widmo głodu oraz niedostatek względny, uskrzydlający wyobraźnię coraz liczniejszych setek milionów ludzi, pragnących choćby trochę zbliżyć się do sytych i zadowolonych z cywilizacji technicznej. Nadal chodzić będzie zatem o: demokratyzację w budownictwie mieszkaniowym, coraz wydajniejsze maszyny i technologie w uprawie roślin i w hodowli zwierząt, o powszechnie dostępne, ale daleko bezpieczniejsze niż dotychczas i niegroźne dla środowiska naturalnego środki komunikacji masowej. Podnieceni przez palące problemy życia powszedniego ludzkich mas wynalazcy będą się zapewne „dwoić i troić”, aby coraz lepiej swym bliźnim służyć, a dla siebie oprócz korzyści materialnych zyskać sławę.

Oczywiście, również wciąż na nowo i coraz efektywniej będą wyciągać swą inteligencję uczeni-wynalazcy, którym śni się kosmonautyka i którzy odpowiadają potrzebom licznych zastępów marzycieli z pokąźnego już pola *science fiction*. Domniemania w tym zakresie wyłuszczyłem w rozdziale poprzednim.

Przypuszczalnie za lat kilkadziesiąt „eksplozje demograficzne” nie będą już tak gwałtowne, jak nimi są jeszcze obecnie w krajach słabo rozwiniętych. Pomimo to coraz większe i wciąż narastające masy ludności narzucać będą wynalazcom, oprócz wspomnianych już problemów związanych z głodem, zagadnienie kompleksowe ograniczenia zaboru ziemi uprawnej pod budownictwo i urbanizację. Tkwią w tym problemy:

1. budownictwa podziemnego, podmorskiego, nawodnego i ewentualnie powietrznego;

2. budowy długodystansowych dróg podziemnych i podmorskich.

Są to problemy realne już od kilkadziesiątu lat, na razie jednak rozwiązywane na małą skalę, m.in. na odcinku tuneli, estakad, wysp sztucznych. Otóż mniemam, że już w niedalekiej przyszłości wynalazcy, przedsiębiorcy i organizatorzy poszukiwać będą na wielką skalę właściwych rozwiązań

technicznych w tej dziedzinie. Nie byłyby więc pozbawione realnego uzasadnienia badania doświadczalne i pomysły wynalazcze nastawione na „przerzucenie” mas ludzi mieszkających „naziemnie” do „podziemi”, jednakże w luksusowych warunkach, stwarzanych przez nowoczesną naukę i technikę, a nie w grotach troglodytów. Natomiast za nierealne, a nawet zabawne uważam marzenia o „przerzuceniu” nadmiaru mieszkańców kuli ziemskiej na Księżyc czy na planety ewentualnie zamieszkane przez człowieka. Brak po temu podstaw nie tylko naukowo-technicznych, ale również – i bodajże jeszcze bardziej – socjopsychologicznych.

## **Nauki pedagogiczne a filozofia wychowania**

Gdyby porównywać z sobą wielkość kadr inżynierijno-technicznych z nauczycielskimi, stwierdzilibyśmy prawdopodobnie w przybliżeniu ich równoważność. Spierać by się można o status społeczny absolwentów średnich szkół technicznych, ale i tak pewne jest to, że – podobnie jak w zakresie działalności inżynierijno-technicznej – obecnie w krajach rozwiniętych miliony osób odpowiednio wykształconych uczy i wychowuje. Kontynuując takie porównania, rzec można by ponadto, że podczas gdy inżynierowie czuwają nad prawidłowym funkcjonowaniem maszyn, nauczyciele robią poniekąd to samo, lecz w odniesieniu do osobowości i rozwoju m.in. inżynierów. W każdym razie niedalekie od znaczenia dosłownego byłoby określenie ich roli istotnej mianem inżynierii psychospołecznej. Co więcej, wbrew stanowisku niektórych entuzjastów samokształcenia oczywiste jest to, że bez pracy należycie wyszkolonych nauczycieli oświatowy awans społeczeństwa nowoczesnego byłby tak samo niemożliwy jak awans gospodarki opartej na technice naukowej bez pracy odpowiednio wykształconych inżynierów specjalistów.

Z różnic zadań z jednej strony przemysłowo-technicznych, z drugiej psychospołecznych wynikają oczywiście różnice kształcenia – inżynierów i nauczycieli – niemniej i tu, i tam do czynienia mamy aktualnie z wielką liczbą przedmiotów specjalistycznych, a więc również odpowiednich nauk, jako odrębnych działów badań. Zasoby wiedzy w postaci usystematyzowanych wyników badań wymagają obecnie w obrębie niektórych przedmiotów szkolnych w kształceniu nauczycieli – podobnie jak w studiach politechnicznych – opanowania obfitego piśmiennictwa naukowego, od podręczników poczynawszy. Dla przykładu – wysoce zaawansowanych metodyk nauczania matematyki (na różnych szczeblach szkolnictwa)

i kształcenia początkowego. I nie ma wątpliwości co do tego, że na swoim polu nauczyciele – podobnie jak inżynierowie na swoim – są, że tak rzec, absolutnie niezbędni do prawidłowego funkcjonowania „maszyny społecznej”. Rozumie się tutaj – w zakresie kształtowania konkretnie czy to w efektywnym nauczaniu matematyki, czy to w opanowywaniu trzech tradycyjnych „sztuk”: czytania, pisanie i „rachowania”.

Krótko mówiąc, nauki pedagogiczne, o których teraz mowa, mają w zasadzie tak samo jak nauki techniczne charakter praktyczny. Wynika stąd znacznie bliższy ich związek logiczny z potrzebami społecznymi niż z ogólnymi problemami nauk podstawowych, na których się opierają – podobnie jak nauki techniczne. Jeśli nawiązać do podanych dwóch przykładów, można by sprawę postawić tak: Praktycznie biorąc, dobry znawca czy to metodyki nauczania matematyki, czy to kształcenia początkowego może w ogóle nie stykać się z zagadnieniami wysoce abstrakcyjnymi, które – słusznie czy niesłusznie – zalicza się do filozofii wychowania. Jeśli jest to naukowiec, „na warsztacie” może mieć tyle problemów konkretnych, jak dotąd tylko częściowo lub wątpliwie rozwiązanych, że po prostu nie będzie go stać na filozofowanie, jeśli zależy mu na postępie wiedzy naukowej w obrębie swej dyscypliny.

A jednak nawet wybitnie specjalistyczni nauczyciele fachowcy przecież czasem filozofują, i to przeważnie lub nasamprzód w kierunku zaliczalnym do filozofii wychowania, a nie do innych zbiorów „zdziwień” filozoficznych. Widocznie nawet od wysoce praktycznych i fachowych problemów nauczania droga prowadzi dokładnie i przede wszystkim w tym właśnie kierunku. Zazwyczaj przy tym okazję po temu stanowią wątpliwości metodologiczne, w znacznej mierze wspólne dla wszystkich rzeczników specjalistycznych nauk pedagogicznych. Jeśli bowiem skupić się na gałęziach tych nauk bezpośrednio związanych z procesami nauczania i wychowania – tj. przede wszystkim na dydaktykach przedmiotowych i na problematykach wychowania w warunkach specjalnych lub określonych grup wychowanków – z kolei na dydaktyce ogólnej, pedagodzy miewają do czynienia głównie z następującymi wątpliwościami, względnie pytaniami metodologicznymi:

1. Jak dalece naukowo poprawne są tzw. eksperymenty naturalne, w szczególności – co naprawdę do postępu naukowego wnoszą niby-eksperymenty w tzw. szkołach doświadczalnych i pionierskie obserwacje nauczycieli o zacięciu naukowym?

2. Jak dalece sensowne dla postępu naukowego jest nagminne w wielu krajach stosowanie zbliżonych do siebie metod ankiet i wywiadów?

3. Co w zakresie rozwiązywania praktycznych problemów nauczania można uzyskać dzięki stosowaniu ogólnie pojętych testów psychologicznych?

Jest jeszcze kilka innych pytań-wątpliwości, ale wystarczy poprzestać na trzech wymienionych. Otóż niezależnie od gałęzi czy zakresu praktyki nauczycielsko-wychowawczej wszystkie prowadzą rychło do spornej, bo skomplikowanej problematyki w zakresie metodologii nauk psychologicznych bądź socjologicznych, przede wszystkim co do: naukowej obiektywności metod, wartości wypowiedzi, względnie odpowiedzi na pytanie wymagające samoobserwacji (tradycyjnie mówi się: introspekcji), teoretycznych podstaw testów i praktycznej stosowalności tychże w pracy szkolnej czy wychowawczej itp. Z kolei ta problematyka prowadzi bezpośrednio w gąszcz podstawowych problemów psychologicznych, pośrednio – światopoglądowych. Rozumie się, że – jak już zaznaczyłem wcześniej – nauczyciel-badacz nie musi się nimi zajmować, ale jeśli konsekwentnie snuje ciąg wątpliwości, nie może ich zignorować.

Osobne źródło problematyki ogólnej, stopniowo zaś coraz wyraźniej filozoficznej, tkwi w logicznym ciągu refleksji nad sensem konkretnych zadań, względnie celów pracy nauczycielskiej. Weźmy tu znów pod uwagę dwa wcześniej podane przykłady: nauczanie matematyki i nauczanie początkowe oraz odpowiednie dydaktyki specjalistyczne. Szczególne trudności uczniów początkujących, a pośrednio trudności nauczycieli-specjalistów wymagają nie tylko czy po prostu poszukiwania środków zaradczych. W ślad za tym – odpowiedzi na pytanie: dlaczego i komu zależy tak bardzo na efektywnym pokonywaniu trudności? Czy nie można by „pofolgować” uczniom, jeśli nie nauczycielom? Byłoby to zgodne ze starą ideą swobody w naturalnym rozwoju psychicznym. Co prawda, nauczyciele-specjaliści, a nawet ogół nauczycielstwa wie, że z idei tej trzeba by zrezygnować, gdyby nawet ktoś był przekonany o jej słuszności. Efektywne kształcenie początkowe jest bowiem konieczne ze względu na coraz szybszy postęp wiedzy naukowej, na odpowiednią rozbudowę programów nauczania i szkolnictwa, z kolei na efektywne kształcenie kadr w szkolnictwie zawodowym i wyższym, ostatecznie zaś ze względu na rosnące wymagania gospodarki narodowej na tle współzawodnictwa międzynarodowego. W ten sposób bez długich uzasadnień stwierdzamy związki między celami efektywnego nauczania początkowego a wymogami społecznej walki o byt. Wymogi te łatwo przedstawić jako cel nadrzędny dla złożonych działań nauczycieli i specjalistów naukowców w zakresie racjonalizacji dydaktyki nauczania początkowego. Podobnie ma się rzecz z poczynaniami nowator-

skimi w nauczaniu matematyki. Różnice dotyczą okresu nauczania, obejmującego całość szkolnictwa ogólnokształcącego, ponadto specyficznych związków między nauczaniem matematyki a nauk technicznych i przyrodniczych, zwłaszcza fizyki. Od dawna stwierdzane trudności znacznej części młodzieży szkolnej z opanowywaniem matematyki stanowią tradycyjnie główną podniętę do badań w dydaktyce matematyki. Rosnące potrzeby szkół technicznych oznaczają istotne jej wzmocnienie. I tutaj rychło dochodzimy zatem do problemu dalekosiężnych celów nauczania. W przybliżeniu podobnie jest w zakresie innych dydaktyk przedmiotowych. A więc wszyscy nauczyciele mają dość powodów do refleksji nad ogólnymi celami nauczania. Refleksje te nie mają, w każdym razie nie muszą mieć, pomimo swej ogólności charakteru filozoficznego. Jednakże uzyskują go rychło, zwłaszcza w rezultacie zastanowień nad konkretnymi, z kolei ogólnymi zadaniami wychowawców poza obrębem samego tylko nauczania. Otóż właśnie połączenie refleksji nad ogólnymi celami nauczania z dociekaniem nad celami wychowania (w pozadydaktycznym sensie tego pojęcia) stanowi – że tak rzec – empiryczną podniętę do formułowania zagadnienia ogólnych celów wychowania. Kto jednak decyduje się na szczegółowe rozpatrywanie tegoż, nie może się uchylić od uświadomienia sobie powiązań między tą sprawą a ogólnymi zagadnieniami filozofii społecznej oraz filozofii człowieka, relatywnie najbliższej położonymi logicznie. A wobec sprzeczności lub co najmniej rozbieżności między różnymi poglądami w zakresie tych to obszarów filozofii – chcąc nie chcąc od strony – na pozór całkiem „fachowego” zagadnienia celów nauczania i konkretnych działań wychowawczych wpada w sam „matecznik” filozofii wychowania. Dodać trzeba, że w systematycznym wykładzie pedagogiki mniej lub bardziej filozoficzna analiza celów wychowania stanowi z reguły podstawę teoretyczną, na której dedukcyjnie snuje się rozważania i wnioski w sprawach coraz bardziej szczegółowych.

Również inne zagadnienia filozofii wychowania wyłaniają się rychło z praktyki wychowawczej, jeśli tylko nauczyciel bądź wąski specjalista nie chce na niej poprzestać. Rozpatrzmy sytuację konkretnie: Każdy nauczyciel ma czasem do czynienia z uczniami wybitnie uzdolnionymi lub przeciwnie – z bardzo tępymi, chociaż jeszcze umysłowo normalnymi; to znowu z uczniami niezwykle trudnymi z wychowawczego punktu widzenia lub przeciwnie z łatwymi „do prowadzenia”. Nawet bez odpowiedniego przygotowania naukowego – obecnie coraz gruntowniejszego – nietrudno w konkretnym rozpatrywaniu takich przypadków wejść na tory zagadnień i rozważań wysoce abstrakcyjnych co do granic: wykształcalności

wyjątkowo wybitnych uzdolnień intelektualnych, pokonywalności braków i opóźnień, socjalizacji, względnie resocjalizacji uczniów wyjątkowo trudnych itp. Współczesny nauczyciel, rozporządzający obfitymi źródłami informacji naukowej, znajduje już wprawdzie mocne oparcie w należycie stwierdzonych faktach, jednakże niewystarczających celem „definitywnego” rozwiązania zagadnień wymienionych i zbliżonych do nich. Zresztą, wie o tym, że im bardziej teoretycznie czy abstrakcyjnie ujęte jest dane zagadnienie, tym bardziej poglądy różnych uczonych pedagogów są rozbieżne, jeśli nie sprzeczne, a więc zarazem sporne. A i konkretne wyniki badań bywają wątpliwe i dyskusyjne.

Odnosi się to w zasadzie do wszystkich zagadnień, wyłaniających się czy to z praktyki wychowawczej, czy to ze specjalistycznych teorii, opracowanych na gruncie badań doświadczalnych. W ich obrębie od dawna i nadal wysoce sporne, a zarazem z powodów praktycznych często rozpatrywane są zwłaszcza dwa zagadnienia:

1. roli sensu i efektywności, względnie granic swobody i przymusu w działalności wychowawczej, w szczególności sensu i efektywności represji;
2. granic efektywności samokształcenia dydaktycznego i wychowawczego.

Zagadnienia te tkwią mocno w praktyce i empirii wychowawczej. W zakresie wszystkich naukowcy prezentują teorie, oparte nierzadko na imponującej masie faktów. A jednak wszystkie teorie stanowią rozwiązania sporne, o tyle więc filozoficzne. Nie zawsze ich autorzy są tego świadomi, zwłaszcza jeśli poglądy własne uważają za teorie w pełni zadowalające, natomiast poglądy swych przeciwników – za „w gruncie rzeczy bezpodstawne i już obalone”.

Po tych objaśnieniach spróbujmy przyjrzeć się genezie i cechom znamennym pedagogicznego filozofowania w zakresie następujących pięciu zagadnień od dawna i wciąż na nowo rozpatrywanych przez wychowawców:

1. ogólne cele wychowania;
2. granice wychowalności człowieka;
3. granice pokonywania trudności wychowawczych, w szczególności granice reedukacji;
4. granice swobody a przymusu i represji w wychowaniu;
5. granice samodzielności w kształceniu i samokształceniu.

Rozpocznijmy od stwierdzenia faktu oczywistego, że wszelkie działania wychowawcze są celowe, i to chociażby w tym sensie, że coś dzięki



nim zamierzamy wskórać w zachowaniu się wychowanków, pośrednio w cechach ich pamięci i ogólnie – w ich osobowości. Nasuwa się przy tym przekonanie, że im mniej sprzeczności występuje w masie konkretnych zadań i dalszych celów wychowawczych, tym bardziej wychowanie, traktowane jako swoista całość, jest logicznie spoiste, czyli racjonalne. Najbardziej spoiste byłoby, gdyby wszelkie podporządkowane i współrzędne cele wychowania można pojmować w całej pełni dedukcyjnie, względnie redukcyjnie, gdy zachodzi potrzeba uzasadnień. Znaczy to, gdyby rozporządzać spoistym systemem pojęć i rozumowań dedukcyjnych, względnie redukcyjnych.

Zgodnie z takim założeniem wciąż na nowo kolejni pedagodzy układają systemowe teorie wychowania. Mogłoby się wydawać, że teorie te są tym bardziej naukowe, im ściślejszy jest tok rozumowań od założeń podstawowych ku wnioskowi szczegółowemu, np. w zakresie wychowania estetycznego. Nie można tu wprawdzie lekceważyć logiki, jednakże nie ona jest najważniejsza w sprawie „ostatecznych” i pochodnych celów wychowania. Nasamprzód jest tak dlatego, że – ściśle biorąc – logika nie zapewnia prawdy ogólnych założeń dotyczących ludzkiego postępowania i że w ogóle w oparciu o prawa logiki – nie można uzasadnić wezwań, żądań, życzeń, postulatów; ogólnie biorąc: tego, co być powinno. Ich prawdy można być „święcie pewnym”, pomimo to przyczyny pewności tkwią w uczuciach, dążeniach, przekonaniach, potrzebach, a nie w formalnych założeniach poprawnego rozumowania. Bez wątplenia logika, w ślad za nią poprawny system rozumowań, ułatwia stwierdzanie obecności i usuwanie sprzeczności, które zawsze upośledzają jakąkolwiek teorię. Uwzględnić trzeba jednak wpływ sugestywny dedukcyjnych uzasadnień do twierdzeń, którymi wyraża się ogólne przekonania co do istotnych celów wychowania. Kto ma po temu siłę, aby narzucić – wychowawcom i wychowankom – przekonanie, że „to a to” stanowi podstawowy i uzasadniony cel wychowania, może już w rozumowaniach-uzasadnieniach (wtórnych zadań i celów wychowania) opierać się po prostu na logice. Sytuację można by tak oto pokrótce przedstawić: „Skoro nie macie wątpliwości co do ogólnych, zarazem podstawowych, ideałów wychowania, wszystkie ideały pochodne i zadania konkretne wynikają – jako twierdzenia dedukcyjne – z założeń, a więc stanowią po prostu nieodparte wnioski”.

Tu wyłania się niebagatelny problem: Komu głównie zależy na dedukcyjnej teorii wychowania? Nie ma wątpliwości co do tego, że przede wszystkim tym pedagogom, którzy teoretyzują w interesie władzy państwowej.



Im silniejszy jest nacisk tej władzy na obywateli, im głębiej władza wnika w ich życie, im szczegółowiej je reguluje, tym większa jest pokusa posługiwania się dedukcyjnym systemem jako narzędziem do uzasadniania ideałów traktowanych jako oczywiste i bezdyskusyjne. Natomiast im więcej uznania mają ideały, w myśl których ceni się przede wszystkim człowieka, jego indywidualność, potrzebę moralnej i umysłowej niezawisłości, tym słabszy jest nacisk na osobowościowe ujednolicenie obywateli, na ich – że tak rzec – uniformizację. Dodać trzeba, że nie chodzi po prostu o same tylko cele-ideały wychowania, natomiast o praktykę wychowawczą do nich dostosowaną. Chodzi więc o metody i konkretne działania, dzięki którym pojedynczy ludzie czy to coraz ściślej przystosowują się do potrzeb i wymagań państwa, czy to coraz pełniej rozwijają się jako osobowości.

W każdym razie ostatecznie w polityce tkwi istotne źródło nasamprzód haseł naczelnych w dziedzinie celów wychowania, a w ślad za nimi źródło zapatrywań w sprawie metody wychowania, źródło teorii zawsze bardziej filozoficznych niż naukowych. Łatwo zrozumieć wobec tego istnienie obszernego wachlarza doktryn pedagogicznych w granicach między totalizmem a krańcowym indywidualizmem. Pośrednio – między tendencjami do opierania filozoficznych założeń wychowania z jednej strony na socjologii, z drugiej strony na psychologii. Rozumie się bowiem, że psychologom bliższe są ideały pełnego rozwoju osobowości, natomiast socjologom bliższe jest sprawne funkcjonowanie „maszyny społecznej”.

Co prawda, pedagodzy na ogół świadomi bywali oczywistości, że krańcowe akcentowanie wartości czy to człowieka, czy to państwa jest nie-realne. Jednostka nie może pomyślnie żyć i rozwijać się poza ustrojem społecznym, państwo wymagające bezwzględnego i całkowitego przystosowania się do swej władzy prędzej czy później traci grunt pod nogami. W rozumieniu tych uzależnień przeważna część pedagogów filozofujących zmierzała i nadal zmierza do harmonijnego uwzględniania – w teoriach celów, z kolei zaś w teoriach metod – potrzeb społecznych i jednostkowych; prościej: wymagań władzy państwowej i potrzeb osobowościowych pojedynczego człowieka.

Charakter poglądów mniej lub bardziej filozoficznych, a nie spoistych teorii naukowych mają próby rozwiązania zagadnienia granic możliwości wychowawczych. W jego obrębie chodzi o kilka zagadnień częściowo różnych:

1. „urabialności” ludzi według danych ideałów wychowania;
2. granic rozwoju i wykorzystania uzdolnień indywidualnych, w szczególności talentów;

3. granic pokonywalności – dzięki właściwemu wychowaniu – trudności i zaniedbań w kształceniu;

4. granic możliwości reedukacji, czyli wychowania poprawczego.

Kilka innych zagadnień można sprowadzić do powyższych jako ich odmiany szczególne.

Ogromna liczba wyników badań pedagogicznych wprawdzie „wskazuje” na wymienione zagadnienia, lecz stanowi tylko częściowy materiał empiryczny do ich ewentualnego rozwiązania. Znaczy to, że pedagog „mierzący się z nimi” musi chcąc nie chcąc przekraczać granicę wiedzy aktualnie rozporządzalnej. Próba własna autora polega raczej na opisie trudności niż na syntezie.

W każdej próbie niezbędna jest nasamprzód odpowiedź na pytanie: z czego składają się i na czym polegają częściowe efekty działalności wychowawczej? Cechy tychże rzutują bowiem pośrednio na globalne zagadnienie możliwości i granic wychowania. Nie ma przy tym znaczenia rozróżnienie efektów zaplanowanych lub choćby poniekąd celowych i „przypadkowych”, tj. powstających i powstałych samorzutnie, w formie „odpowiedzi” na podniety, sytuacje i warunki środowiskowe.

W rachubę wchodzi następujące rodzaje częściowych efektów wychowania, względnie odpowiedzi na – ogólnie pojęte – podniety:

1. wiadomości i różne częściowe zbiory czy układy tychże, np. wiadomości historyczne;

2. proste i złożone umiejętności, np. logicznego rozumowania, manipulowania narzędziami, prowadzenia zebrań;

3. nawyki zachowania się wobec ludzi, np. nawyki towarzyskiej grzeczności i uprzejmości;

4. postawy wobec ludzi w różnych sytuacjach życiowych;

5. przekonania i zasady postępowania, np. zasady moralne, przekonania społeczno-polityczne, zapatrywania filozoficzne;

6. układy wiadomości, nawyków, umiejętności, postaw i przekonań, w swej całości oznaczających stopień i jakość uspołecznienia, tj. – formalnie biorąc – przystosowania do współżycia z ludźmi.

Można by przyjąć rozróżnienia subtelniejsze i więcej rodzajów tychże, ale nie jest to tutaj potrzebne.

Co oznacza „wychowalność” i „granice wychowalności” w odniesieniu do rodzajów efektów wymienionych wyżej? W zakresie wiadomości dwie „rzeczy”:

1. rozmiar masy wiadomości przyswajalnych;

2. pułap osiągalnej spistości tychże.

Na rzecz pierwszą wskazują poniekąd nieomal już niezliczone, nagromadzone od około stu lat wyniki badań nad: zapamiętywaniem, zapominaniem, niedouczeniem się, przeuczaniem się i nad sprawami podobnymi lub pochodnymi. Jednakże pomimo ogromu wyników dotychczasowych brak wystarczających podstaw do naukowo zadowalających odpowiedzi na pytania ogólne: co jeszcze udałoby się „zmieścić” w pamięci ludzi dzięki odpowiedniemu kształceniu? Również na ogóle pytania różnicowe: co jeszcze udałoby się „zmieścić” w pamięci dzieci i młodocianych i w różnych fazach rozwoju umysłowego, w pamięci dorosłych i ludzi w podeszłym wieku; w pamięci osób o określonym stopniu upośledzenia umysłowego, danego typu antropologicznego, danego rodzaju – pozaszkolnego – środowiska wychowawczego, nie sposób odpowiedzieć poprawnie na podstawie dotychczasowej wiedzy naukowej. Ba, nie tylko dlatego, lecz również ze względu na brak wystarczająco pewnej metody naukowej, która umożliwiałaby sporządzanie „inwentarzy” wiedzy osobistej, np. uczniów szkolnych na danym poziomie kształcenia. Ponadto również dlatego, że pedagodzy i psycholodzy (specjaliści psychologii uczenia się) nie byli, jak dotąd, nastawieni na poznawanie pułapu pamięciowego w ogóle, pułapu tegoż u uczniów szkolnych w szczególności. A jeśli by do tej sprawy podejść, trzeba by pokonywać trudny problem roli – w procesie zdobywania wiedzy w kierunku do rzekomego jej pułapu osobistego – nieustannej interferencji procesu zapominania, zainteresowań, rodzaju aktywności zawodowej i innych czynników wywierających wpływ na zapamiętywanie i na czynności pochodne. W tym stanie rzeczy pojęcie wiedzy osiągalnej indywidualnie jest nierozzerwalne. Pewne empirycznie jest to, że nawet w późnym wieku życia wciąż jeszcze można się efektywnie uczyć i czegoś nauczyć.

Nie sposób również uzyskać odpowiedź naukową na pytanie co do pułapu osiągalnej – dzięki właściwemu kształceniu – spoistości logicznej wiedzy osobistej. Do podniesienia tej spoistości szkoła zmusza począwszy od elementów. Nie ma też wątpliwości co do tego, że spoistość logiczna wiedzy osobistej jest coraz wyższa na kolejnych stopniach nauczania. Również co do tego, że jednym z istotnych czynników korzystnych zmian w tym zakresie jest ogół trafnie dostosowanych metod nauczania, w szczególności nauczania problemowego. Oczywiście – ponadto co do tego, że jednym z podstawowych warunków „integracyjnego” zdobywania wiedzy jest dostateczny poziom inteligencji ogólnej. To wszystko nie wystarczy jednak jako podstawa do odpowiedzi na pytania ogólne i wiele pytań różnicowych: jakie są granice zdolności umysłowej ludzi, w szczególności uczniów szkolnych, potrzebnej do scalania wiedzy naukowej w postaci dobrze rozu-

mianych hipotez, teorii i poglądów naukowych? Krócej – co w tym zakresie można uzyskać w szkole „doskonałej”? Nasuwają się wątpliwości: jaka to szkoła jest dydaktycznie doskonała? Czy na kolejnych etapach postępu naukowego – a więc zarazem postępu w zakresie obiektywnej integracji wiedzy – zdolność do scalania wiedzy pozostanie jednakowo odpowiednia do rzekomej stałości ilorazów inteligencji? Wszak za – powiedzmy – sto lat struktura logiczna wiedzy naukowej, zwłaszcza wiedzy w naukach matematyczno-przyrodniczych, będzie daleko ściślejsza niż obecnie. Inne będą więc wymagania intelektualne. Wobec tego nie sposób niechby tylko w przybliżeniu sensownie odpowiedzieć na pytanie, jakie są granice wychowalności ludzi w zakresie integrowania wiedzy osobistej jako odpowiednika obiektywnej wiedzy naukowej.

Nieco inaczej granice możliwości wychowawczych zdają się wyglądać w zakresie nabywania umiejętności, a to o tyle, o ile jednym z warunków istotnych po temu są talenty, jako wyjątkowo wielkie zdolności kierunkowe. (Co prawda, rozbieżność może zmaleć, a nawet zniknąć, jeśli rzadkość talentów porównać z rzadkością wybitnej inteligencji ogólnej). Talenty muzyczne, taneczne, prestidigitatorskie, językowe, matematyczne (kalkulacyjne) i inne stanowią bez wątpienia szanse wyjątkowe do nabywania odpowiednich umiejętności. Nie ma jednakże, jak dotąd, dostatecznie pewnych wyników badań co do osiągalnych granic umiejętności ani osób utalentowanych, ani „przeciętniaków” w danym kierunku. Tych drugich nie kształci się kierunkowo „aż do skutku”, bo szkoda czasu i środków, zaś ludzi z talentem kształcą mistrzowie, nie nastawieni na naukowe rozstrzygnięcie problemu wykształcalności człowieka.

W pewnej mierze bądź w pewnym sensie nabywanie ogólnie pojętych nawyków w zakresie przystosowywania się do współżycia z ludźmi można traktować podobnie jak nabywanie wiadomości i umiejętności. W rachubę wchodzi tu różnego pokroju przyzwyczajenia, wiadomości, np. co do form uprzejmości i grzeczności, zasady moralne, nawykowe postawy wobec ludzi, poczucia odpowiedzialności i obowiązkowości i wiele innych składników, względnie psychicznych warunków moralnego zachowania się. Niezależnie od różnic jakościowych poszczególnych składników, z psychologicznego punktu widzenia do czynienia mamy ze skojarzeniami składników uprzednio sobie obcych, np. wyobrażeń, słów, ruchów. Przy tym wyjaśnienie „mechanizmu” kojarzenia nie jest tu potrzebne. Z uwagi na rozsiew prawdopodobny powiemy więc, że „nabywalność” nawyków moralno-społecznych i obyczajowych jest u olbrzymiej większości normalnych wychowanków nieograniczona. W przypadku znacznej ich czę-

ści ponadto bardzo łatwa. Oczywiście, trudna lub bardzo trudna po stronie przeciwnej rozsiewu. W ujęciu niestatystycznym: praktycznie biorąc, do wszelkich warunków środowiskowych można ludzi przystosować odpowiednim wychowaniem. Rację mieliby więc Locke, Condillac, Watson i inni optymiści.

Rzeczywistość przeczy obiektywizmowi. Wszędzie pedagodzy borykają się z trudnościami wychowawczymi, i to nie tylko u części młodzieży trudnej niejako z natury rozsiewu prawdopodobnego. Dlaczego? Oto niektóre przyczyny: rozbieżności między skutkami braków w wychowaniu rodzinnym i w wychowaniu szkolnym, rozbieżności między aspiracjami młodego pokolenia i celami oficjalnymi wychowania oraz konieczność „poprawiania” nawyków i złożonych form postępowania nawet u normalnej większości wychowanków, przy czym „poprawianie” jest zawsze trudniejsze niż pierwotne formowanie nawyków postaw, przekonań i zasad moralnych. Jest wiele innych przyczyn trudności wychowawczych, i to w najrozmaitszych stopniach i układach całościowych.

Mówiąc o granicach wychowalności przedstawmy sprawę praktycznie w świetle pytania: Co w danych układach rzeczywistości społecznej jest osiągalne celem realizacji uzgodnionych i ustalonych ideałów wychowania? Idzie za tym pytanie domyślnie w pierwszym zawarte: Jakie są konkretne warunki tej rzeczywistości, do których chcemy przystosowywać działalność wychowawczą? Warunki te zmieniają się; co więcej, pedagodzy wciąż inaczej – przynajmniej w szczegółach – przedstawiają cele wychowania w zasadzie przystosowane do tej samej rzeczywistości społeczno-politycznej. Wynika stąd zarówno teoretyczna, jak i praktyczna nieoznaczalność granic wychowania, jako celowego kształtowania osobowości młodych ludzi, przede wszystkim w zakresie cech moralno-społecznych. Nieoznaczalność ta dotyczy nasamprzód młodzieży normalnej, tj. przeciętnie „urabialnej”, ale jeszcze pewniej odnosi się do młodzieży trudnej. Znaczy to, że w pewnych wypadkach dany wychowawca może uzyskać – wbrew słusznym obawom – wyniki znakomite. Natomiast w wypadkach innych, na pozór wcale nie gorszych, ten sam wychowawca może wcale nie uzyskać pomyślnych wyników w działalności reedukacyjnej.

Wielką rolę w dziejach teorii pedagogicznych XX wieku odgrywało i wciąż jeszcze odgrywa zagadnienie racjonalnego rozwiązywania sprzeczności między swobodą a przymusem w wychowaniu. Jej postać szczegółowa dotyczy sensu działań represyjnych, tj. kar za niestosowanie się wychowanka do stawianych mu wymagań. W ślad za tym – rzecz jasna – zagadnienia represji właściwych, tj. przystosowanych do celów

wychowania. Trudno pedagogom ominąć te zagadnienia. Jednakże wszelkie próby rozwiązywania miały i mają nadal w różnej mierze charakter zapatrywań czy przekonań osobistych. O tyle zaś należą do filozofii wychowania. Spróbujmy przyjrzeć się tej sprawie.

Jej korzenie tkwią w ideologii wychowania naturalnego. W postaci krańcowej przedstawił ją w swym *Emilu* Rousseau (1762). Pod koniec XIX wieku twórcy psychologii rozwojowej dali jej silny, nowy impuls w oparciu o założenia ewolucjonizmu. Jej rzecznikami byli w XX wieku liczni pedagodzy, przyjmujący psychologię rozwojową i ewolucjonizm za podstawę filozofii oraz empirycznych teorii i praktyki wychowania. Wprawdzie wszyscy starali się uwzględnić społeczną stronę wychowania, niemniej nacisk szczegółowy kładli na koncepcję rozwoju naturalnego (zainteresowań i uzdolnień) i w gruncie rzeczy do niej przystosowywali normatywną ideologię wychowania. Odnosi się to m.in. do wielkiego „pośrednika” między psychologami a socjologami, za jakiego uchodził John Dewey, filozof, pedagog i psycholog w ciągu lat kilkudziesięciu niezmiernie wpływowy, przede wszystkim jako główny inicjator i rzecznik doktryny szkoły aktywnej (autor głośnego dzieła *Moje pedagogiczne Credo* z roku 1897). Po drugiej wojnie światowej wpływ rosnący zyskiwała w swoistej postaci socjologiczna pedagogika marksistowska, przeciwna psychologizmowi (i ewolucjonizmowi) w konstrukcji ideologii wychowania. Stanowiska strony jednej i drugiej dotyczyły przeważnie zagadnienia swobody i przymusu w nauczaniu, jednakże miały zastosowanie również w odniesieniu do wychowania jako procesu nabywania nawyków, postaw, zasad moralnych i przekonań w zakresie współżycia ludzi ze sobą. Rzecznicy wszystkich stanowisk powoływali się i powołują nadal na różnego pokroju fakty naukowe, a tych zebrano już w obrębie kilkunastu wyspecjalizowanych gałęzi wiedzy pedagogicznej ilość ogromną. Mimo to poglądy wszystkich autorów na ten temat są w daleko większej mierze zapatrywaniami filozoficznymi niż należycie ugruntowanymi teoriami naukowymi. Jest tak nasamprzód i w znacznej mierze z powodu ideologicznej interpretacji wielu faktów. Nie mniej – z powodu wzrastającej komplikacji zagadnienia wymagającego wobec narastającej masy faktów uwzględnienia coraz większej liczby czynników zmiennych. W zasadzie chodzi o uwzględnienie – w danej teorii – dwóch ramowych czynników, tj. dziedziczności i środowiska (była o nich mowa w rozdziale *Psychologia a filozofia człowieka*), faktycznie zaś o wielką liczbę zmiennych, jednakże nie można porównywać całościowo roli dziedziczności z rolą środowiska, lecz – w świetle konkretnych badań dotyczących wyodrębnionych skład-



ników, a tych są setki. Otóż właśnie zależnie od sposobu uwzględnienia składników, względnie faktów różnych ogólne wnioski co do roli swobody i przymusu w wychowaniu muszą być różne. Stąd mniej lub bardziej filozoficzny charakter zapatrywań. Oto w ujęciu zarysowym pogląd autora:

Przed wszystkim trzeba stwierdzić ogromną wieloznaczność pojęć: „swoboda” i „przymus”. Intuicyjnie wydają się zrozumiałe, to jednak nie wystarcza. Oto niektóre znaczenia „swobody”: swoboda ruchów w sensie motorycznym, swoboda jako brak zajęć obowiązkowych, swoboda jako możliwość nieskrępowanego rozporządzania wolnym czasem czy własnym mieniem, swoboda wyboru rzeczy, planów, towarzystwa, kolegów, przyjaciół, swoboda działania w sensie nieskrępowanej realizacji własnych przedsięwzięć, swoboda w wypowiedaniu własnych myśli, przypuszczeń, przekonań. A oto niektóre znaczenia „przymusu”: przymus jako brak wyboru (w zakresie rzeczy potrzebnych), przymus sytuacyjny, przymus jako konieczność wykonania rozkazu, zlecenia, pilnej bądź autorytatywnej prośby, przymus dostosowania się do danego towarzystwa („jeśli wejdiesz między wrony, ...”), przymus wykonywania zadań szkolnych, przymus dostosowania się do programu nauczania, do obowiązujących regulaminów, do przyjętych obyczajów itp. Form swobody i przymusu jest coraz więcej stosownie do rosnącej komplikacji życia społecznego w obrębie cywilizacji naukowo-technicznej.

Jeśli jednak pojęcia wysoce wieloznaczne są w zasadzie zrozumiałe, chociaż niezbyt jasne, przyjąć trzeba obecność cech wspólnych w kształtach zróżnicowanych i licznych. Co w takim razie jest znamienne dla wszelkich form swobody? Przed wszystkim ocena pozytywna ze strony osoby tak czy owak swobodnej. Ludzie mniej lub bardziej cenią sobie daną swobodę, zwłaszcza jeśli w pełni nie przyzwyczaili się do niej i jeśli mają sposobność porównywania z sytuacjami czy warunkami przymusowymi, cieszą się z niej i – na ogół – chcieliby jej mieć jak najwięcej. Przeciwnie – przymus jest na ogół mniej lub bardziej przykry, czasem nieznośny; co nie przeszkadza, że nierzadko zaledwie zauważany i bez protestu znoszony. Na ogół jednak od przymusu ludzie starają się wyzwolić. To są oczywistości. Mniej oczywiste jest to, że praktycznie biorąc o różnych formach swobody i przymusu mówimy domyślając się obecności stosunków między ludzkich i wzajemnych wpływów ludzi na siebie. Jeśli chodzi o sam tylko przymus, domyślamy się obecności nie wpływów jakichkolwiek, lecz działania ze strony ludzi im podporządkowanych. Wpływ przeciwny ma z reguły znaczenie drugorzędne, chociaż nierzadko – m.in. w stosunkach wychowawczych – brany jest w rachubę.



W świetle przedstawionych objaśnień nasuwają się z pedagogicznego punktu widzenia następujące pytania: Jakie są słuszne formy i granice swobody dla wychowanków; praktycznie biorąc dla dzieci i młodzieży? Jak dalece wychowawca (w sensie ogółu i czynników nastawionych na wychowanie) może czy powinien stosować przymus i jakie jego formy? Nie trzeba ukazywać, że w pytaniach tych – i w wielu innych, pochodnych lub szczegółowych – domyślamy się obecności wartości, ostatecznie zaś (oczywiście za wartościowe uznanych) naczelných celów wychowania. Znaczy to, że w oparciu o same tylko stwierdzenia faktów na pytania powyższe nie można odpowiedzieć racjonalnie, aczkolwiek znajomość faktów – i to wielu faktów, obecnie jeszcze nieznaných lub tylko częściowo znanych – jest tu potrzebna.

Rozpocznijmy od faktów oczywistych. Otóż faktem jest społeczny charakter jakiegokolwiek wychowania. Ściślej – instrumentalny charakter tej działalności w interesie danej grupy społecznej. Wychowuje ona dzieci i młodzież dla siebie, a nie dla kogo innego. A wychowuje, aby trwać. Praktycznie znaczy to – w odniesieniu do działalności specyficznie wychowawczej – że nawyki w zakresie poprawnych stosunków międzyludzkich, normy moralne, zwyczaje, obyczaje, przekonania etyczne, np. dotyczące form sprawiedliwości, względnie niesprawiedliwości, są w zasadzie przystosowane do tradycji i do aktualnych potrzeb danego społeczeństwa, a to nie może się zgodzić na ich lekceważenie, tym mniej na postępowanie z nimi sprzeczne. Tkwi w tym implikacja przymusu. Nie wynika stąd, że nawyki w ogólnym sensie moralne muszą być czy bywają narzucane siłą pod rygorem represji i cierpienia, ani to, że całość nawyków (obyczajów, norm, zasad, postaw, przekonań itp.) musi być w interesie społecznym wychowankom wszczepiona. Warunki życia społecznego zmieniają się, w interesie postępu społecznego i kulturowego leży częściowe przekształcenie tradycyjnej moralności (oczywiście również praw) stosownie do całości przeobrażeń w warunkach społecznych, gospodarczych i politycznych. Zgodnie z tym nieustannie „nowe” ściiera się ze „starym” w interesie społecznym. Nie zmienia to w zasadzie faktu i obiektywnej niezbędności przystosowywania się pokolenia młodego do wymogów pokolenia wychowującego.

Co prawda, do wymogów tych przysposabia się młodych na ogół bezboleśnie, a to poprzez: informacje, przykład, ćwiczenia we właściwym zachowaniu się, a więc zarazem przez powtarzanie, zwłaszcza w zakresie złożonych form postępowania, przez oddziaływanie sugestywno-autorytatywne, pochwały, wyróżnienia, poniekąd również przez odpowiednie rozumowanie i uzasadnianie np. słuszności zasad moralnych. To

wszystko razem nie zawsze jest skuteczne, co praktycznie oznacza: nie-należyte wykonywanie zadań, wykroczenia przeciwko regulaminom lub normom moralnym czy przewidywaniom prawa. Idzie za tym konieczność represji, a ta z reguły prowadzi do pytania: jak dalece słusznej represji? Głównie w związku z tym pytaniem wyłania się potrzeba odwołania się do naczelných celów wychowania jako wartości. Wiedza „faktograficzna” co do bezpośrednich i pochodnych przyczyn i skutków różnego pokroju wykroczeń jest wprawdzie ważna – chociaż często niedostateczna – ale na plan pierwszy występuje kapitalna sprawa względnej (relatywnej) wartości człowieka jako osobowości wobec wartości społeczeństwa. Otóż właśnie w tym punkcie drogi różnych pedagogów – ściślej: filozofów wychowania – rozchodzą się. W przekonaniu jednych nie ma co do tego wątpliwości, że najwyższym dobrem jest człowiek jako osobowość, a więc zarazem jego wolność, zwłaszcza swoboda myśli i twórczego działania, jego szczęście osobiste, jego rozwój umysłowy i moralny. W przekonaniu innych pomyślny rozwój i szczęście jednostki jest tylko szczegółowym, a nawet przypadkowym wyrazem pomyślnego bytu i dalekich perspektyw całego społeczeństwa. Im pomyślniejsze warunki bytu społecznego, tym większe są szanse korzystnego rozwoju i pełnej realizacji potrzeb jednostkowych.

Na to pierwsi: W zasadzie można by się z tym poglądem zgodzić, gdyby nie słuszna obawa, wciąż na nowo potwierdzana historią, że nadrzędny interes społeczny oznacza w praktyce przemoc niewielkiej grupy „reprezentującej” interesy społeczne nad olbrzymią większością poddanych, uprzednio w interesie „elity” wychowywanych, zarazem w razie potrzeby przykładowie karanych. Gdyż mit nadrzędności „interesów społecznych” prowadzi nieuniknienie do nadmiernych („przykładowych”) represji za przekroczenia norm prawnych, uprzednio zaś do przesadnych represji wobec wychowanków, czyli do wychowania represyjnego.

Czy jest sensowne wyjście z tego dylematu? W kształtach konkretnych wyjście takie – nazwijmy je pozytywnym – musi być, rzecz jasna, oparte na realiach życia społecznego w danym czasie i kraju. W ujęciu formalnym rzecz widzę oto tak: z punktu widzenia interesów społecznych niezbędne jest przede wszystkim przystosowywanie młodego pokolenia do poszanowania prawa. Nawet tzw. drakońskie prawa są lepsze od chaosu (tej prawdzie odpowiada rzymskie powiedzenie: *dura lex, sed lex*). Faktycznie każde społeczeństwo poszanowania prawa wymaga i odpowiednio do tego działa, w szczególności przez wychowanie. W poszanowaniu prawa tkwi sens istotny sprawiedliwości, wprawdzie w różnych ustrojach państwowych i na różnych poziomach cywilizacji rozmaicie pojmowanej, niemniej

zawsze i wszędzie uważanej za podstawowy ideał współżycia ludzi ze sobą; dodajmy: współżycia przeciwnego powszechnemu chaosowi i „wojnie wszystkich przeciwko wszystkim”. Natomiast ściśle przestrzeganie tradycyjnych zwyczajów i obyczajów, zasad współżycia towarzyskiego nie jest niezbędne ani do pokojowego współżycia ludzi ze sobą, ani do pomyślnego rozwoju całego społeczeństwa. Wprawdzie nieprzestrzeganie obowiązujących zasad może drażnić i gniewać, dzieje się tak jednakże nie z powodu niesprawiedliwości, lecz sprzeciwiania się tradycyjnym nawykom. Również dostosowywanie się młodego pokolenia do kast społeczno-politycznych, do ideologii etycznych i politycznych pokolenia wychowującego nie jest konieczne ani ze względu na sprawiedliwość, ani ze względu na pomyślny rozwój danego społeczeństwa, państwa czy narodu. Wprawdzie władcy, pośrednio wychowawcy, jako ich narzędzia zawsze piętnowali nieprawomyślność, jednakże poddani, nie reprezentujący ich interesów, zawsze buntowali się i żądali swobody w wyrażaniu myśli, pośrednio – w dążeniu do ustalenia nowych zasad sprawiedliwości. Znaczy to, że pewien zakres swobody sprzyja ogólnie pojętym interesom społecznym, chociaż może być i bywa sprzeczny z interesami władców. Pośrednio rzutuje to na cele i metody wychowania, ponadto na stopnie i formy represji wobec wychowanków, nie przestrzegających regulaminów szkolnych czy nie wykonujących należycie lub wcale poleconych im zadań. Praktyka szkolnego rozwiązywania na co dzień dylematu „swoboda a przymus w wychowaniu” może wydawać się odległa od spraw dotyczących ustroju społeczno-politycznego, faktycznie stanowi szczególną ich postać.

## **Nauki prawne a filozofia winy i kary**

Wysoce zróżnicowane współczesne nauki prawne miały od samego początku ich uprawiania i mają nadal przede wszystkim charakter praktyczny, i to w mierze znacznie większej niż nauki pedagogiczne. Te drugie bowiem wyłaniały się stopniowo z filozofii, w szczególności z epistemologii i z filozoficznej psychologii. Nie przeczy temu fakt, że zadania i pracę nauczycieli opisywano wiele wieków temu. Jednakże podczas gdy studia prawnicze uprawiano już w starożytności, a w postaci osobnego wydziału w czasach scholastyki, studia pedagogiczne, pryncypialnie związane z teorią wychowania, powstały dopiero w wieku XX, w Polsce pod koniec lat dwudziestych. Zresztą jeszcze i obecnie w studiach tych na plan pierwszy wysuwa się podbudowa teoretyczna, mniej lub bardziej filozoficzna.

Natomiast w studiach prawnych od początku i nadal opanowywanie (w miarę możliwości pamięciowe) konkretnych przepisów prawa (artykułów prawa) zawartych w poszczególnych kodeksach stanowi istotne i podstawowe zadanie studentów prawa. W studiach pedagogicznych na palcach policzyć można by twierdzenia normatywne czy w formie informacji o faktach, które wymagają opanowania pamięciowego ze względów praktyczno-zawodowych.

Różnice te wskazują na potrzebę skupienia uwagi na genezie prawa i sądownictwa. Prawo stanowi składnik istotny każdej cywilizacji, a stwierdzać jest nawet w najbardziej prymitywnych warunkach życia zbiorowego. Miernikiem społecznej doniosłości prawa jest obecność kodeksów prawa we wszystkich cywilizacjach z przeszłością udokumentowaną w źródłach historycznych. Z tym wiąże się powstanie i rozwój funkcji społeczno-państwowej reprezentowanej przez sędziów w ogólnym sensie tego pojęcia. Ze swej strony funkcja ta zmuszała władców do właściwego kształcenia ludzi związanych z wymiarem sprawiedliwości. W starożytnym Rzymie, który odegrał historycznie niezwykle doniosłą rolę w rozwoju prawa europejskiego, kształcenie tych ludzi miało rangę odpowiadającą dzisiejszemu kształceniu akademickiemu. W ciągu wielu wieków kształcenia prawników skupiano się przeważnie na nauczaniu kodeksów prawnych, głównie obejmujących przepisy prawa karnego i cywilnego. Rychło – w każdym razie w Rzymie – doszły do nich przepisy wykonawcze w zakresie procedury sądowej. Obok nich – objaśnienia zarówno do poszczególnych artykułów prawa, jak też do procedury. Już w czasach Cesarstwa Rzymskiego z objaśnień do kodeksów prawnych wyłoniło się piśmiennictwo egzegetyczne, dotyczące rozmaitych okoliczności popełniania przestępstw, a więc przyczyn zarówno zewnętrznych, jak i wewnętrznych. Wprawdzie tymi drugimi w zasadzie sędziowie czy prawnicy się nie interesowali (*de internis non iudicat praetor*), niemniej faktycznie zaczęto je uwzględniać coraz wyraźniej i subtelniej. W rozwoju prawa europejskiego i studiów prawnych do niedawna na plan pierwszy wysuwały się: główne rodzaje prawa i procedura sądowa. Ze względu na istotny związek sądownictwa w krajach europejskich z prawem rzymskim historia tegoż stanowiła, i poniekąd nadal stanowi, jeden z ważnych – przeważnie wstępnych – przedmiotów akademickiego kształcenia prawników. Jeszcze w połowie XIX wieku takie przedmioty, jak prawo rzymskie, prawo karne, prawo cywilne, prawo kanoniczne i procedura sądowa, stanowiły przeważną, jeśli nie wyłączną treść studiów na wydziałach prawnych uniwersytetów. W tym stanie rzeczy nor-

malne cztery lata studiów aż nadto wystarczały na – przeważnie pamięciowe – przyswajanie treści kodeksów i procedury. Praktycznie możliwe było więc opanowanie przez pilnych studentów takiego materiału w dużo krótszym czasie, a nawet całej ówczesnej wiedzy uniwersyteckiej w ciągu czterech lat, jak temu daje wyraz J.W. Goethe we wstępie do *Fausta*: „Habe nun, ach! Philosophie, Juristerei und Medizin, Und leider auch Theologie Durchaus studiert”.

Co i dlaczego stało się w strukturze nauki i studiów prawniczych w ciągu nieco ponad stu lat, skoro obecnie studenci prawa mają do czynienia z coraz większą liczbą przedmiotów nauczania, na których opanowanie pięć lat studiów akademickich bynajmniej nie jest okresem przesadnie długim? Sądzę, że odpowiedź na to pytanie zbliży nas do sensu filozofii prawa.

Przeobrażenia cywilizacyjne związane z techniką i postępującym wręczaniem do produkcji maszyn zamiast mięśni ludzkich, pośrednio zaś postęp nauk, w szczególności nauk humanistycznych, zwłaszcza psychologii i socjologii, nie mniej postęp oświaty i kultury, pociągały za sobą proces „łagodnienia” prawa, w szczególności prawa karnego. Proces ten można by nazwać „humanizacją” prawa. Praktycznie biorąc, chodzi o postęp, jako coraz bardziej szczegółowe i wnikliwe rozpatrywanie okoliczności i przyczyn przestępstw. Przywidywania kodeksów karnych co do form i rozmiarów kar za określone przestępstwa przystosowywane były zawsze i są – pomimo nawet wprowadzanych co pewien czas uzupełnień – do sytuacji typowych. Wobec tego były i są mniej lub bardziej wieloznaczne w zastosowaniu do przypadków konkretnych. Wymownym dowodem po temu bywała i jest coraz bardziej możliwość wybronięcia wielu przestępstw przez inteligentnego i zręcznego adwokata. Przy tym coraz częściej i pewniej – wbrew stanowisku prawa rzymskiego – zaczęto brać pod uwagę wewnętrzne, tj. psychiczne przyczyny przestępstwa. Przestała wystarczać na wierzeniach teologicznych oparta koncepcja wolności woli, która z góry i generalnie w ciągu wielu wieków „rozgrzeszała” sędziów („Pan Bóg dał ci wolną wolę, popełniłeś przestępstwo, a więc cierp!”). A jeśli raz wejść na tory wyjaśnień motywacyjnych, trzeba przede wszystkim dokonywać coraz subtelniejszych rozróżnień w odniesieniu do stopni „świadomości przestępstwa” i odpowiedzialności za określone przekroczenie prawa, a więc zarazem do stopnia winy podsądnego. Otóż właśnie i głównie postępujące „psychologizowanie” problematyki winy było przyczyną powstania i nasilania coraz bardziej skomplikowanych problemów prawnych, a w ślad za nimi rozrostu nauk prawniczych i ich

zróżnicowania na tle problematyki kryminologicznej. Z kolei – postępującego udziału badań doświadczalnych, a nawet przewagi tychże nad rozprawami interpretacyjnymi z pogranicza logiki i historii prawa, co w ciągu wielu wieków stanowiło rdzeń nauk prawnych.

Oto w ujęciu fikcyjnym droga uczonego prawnika od problemów interpretacyjnych ku psychologicznym, socjologicznym, poniekąd nawet biologicznym. W ślad za nimi – ku zagadnieniom filozoficznym, obracającym się wprost lub pośrednio dokoła pojęć winy, odpowiedzialności, świadomości przestępstwa, wolności i sprawiedliwości, kary. Praktycznie i skróto: dokoła zagadnień winy i kary. Dlatego właśnie w tytule rozdziału obecny jest zwrot: „a filozofia winy i kary”.

Przypuśćmy, że zginęła osoba na drodze. Dlaczego? W szczególności – kto winien? Jeszcze konkretniej: Do czynienia mamy z samobójstwem czy morderstwem?

1. W niewykluczonym wypadku wyjątkowym mogło stać się tak, że gwałtowny poryw wichury rzucił jednego przechodnia na drugiego, a ten wpadł pod koła samochodu i zginął na miejscu. Bez wątplenia osoba rzucona przez wiatr nie jest winna. Co prawda, w razie potrzeby rzecz wymagałaby zbadania.

2. Osoba śpiesząca się na przystanek autobusowy potrąciła niechcąc przechodnia, a ten wpadł pod koła samochodu i zginął na miejscu. W tym wypadku przyczyna potrącenia i zgonu tkwiła w jakiejś mierze w osobie spieszącej się, chociaż w oczach zarówno laika, jak i milicjanta i rzeczników wymiaru sprawiedliwości odpowiedź na pytanie, czy bądź w jakiej mierze jest ona winna, może być i bywa dyskusyjna. Rzecz może wymagać analizy szczegółowej.

3. Kierowca samochodu potrącił na szosie osobę nieprawidłowo poruszającą się i spowodował jej śmierć. Przebieg wydarzenia wymaga dokładnej analizy, i to głównie ze względu na pytanie, jak dalece, a nawet czy w ogóle kierowca ponosi tu winę. Nie mógł on zatrzymać pojazdu wobec nieoczekiwanego wtargnięcia przechodnia na szosę – co się nierzadko zdarza, a więc brak winy po jego stronie można by uznać za bezsporny. Niezależnie od tego mogła akurat w tej chwili nastąpić jakaś awaria w układzie kierowniczym, wobec czego wina kierowcy tym mniej wchodziłaby w rachubę. Kierowca mógł dostać zawału serca, a w tym przypadku trzeba by uznać go za całkiem niewinnego. W rachubę wchodzi też możliwości inne, ważne w sprawie ustalenia winy.

4. Kierowca potrącił osobę, która prawidłowo korzystała z szosy, i spowodował jej śmierć. W zasadzie jego wina nie budzi wątpliwości, jed-



nakże dopiero dokładne zbadanie sprawy daje podstawę do odpowiedzi na pytania: jak dalece, a nawet czy w ogóle jest winny? W wielu tego rodzaju sprawach, względnie rozprawach kierowcę uznaje się za niewinnego. Co prawda, częściej za winnego zabójstwa nieumyślnego.

5. Kierowca potrafił osobę nieprawidłowo korzystającą z szosy i spowodował jej zgon. W zasadzie sytuacja podobna do opisanej w punkcie 3. Jednakże szczegółowa analiza okoliczności wypadku doprowadziła sąd do wniosku, że nie było to nieumyślne zabójstwo, lecz morderstwo, gdyż kierowca miał możliwość zatrzymania wozu, a pewne dane wskazywały na to, że swą ofiarę ścigał.

6. Co więcej, w jeszcze innym wypadku mogło się okazać, że kierowca od dawna czyhał na osobę potrąconą. A więc do czynienia mamy z morderstwem z premedytacją.

Życie jest o wiele bogatsze, niż by na to wskazywały wymienione wyżej możliwości. Bez trudu zestawić można by kilkadziesiąt form czy przypadków pośrednich między fikcją pierwszą a szóstą i bynajmniej nie wyczerpalibyśmy wszystkich. Z punktu widzenia prawniczego, a zarazem ze względu na problem winy istotne jest w odniesieniu do wszystkich łącznie pytanie: czy w ogóle, a jeśli tak, to jak dalece sprawca wypadku śmiertelnego był świadom swego czynu? Jest to jednakże – jak wynika z licznych przewodów sądowych – pytanie nad wyraz wieloznaczne. I tak najpierw „być świadomym” znaczy to samo, co „być przytomnym” – w przeciwieństwie do nieprzytomności. Znaczy dalej – „być uważnym” – w przeciwieństwie do stanu uwagi zwanego zwykle roztrągnięciem. Co prawda, trudno ściśle rozróżnić wymienione znaczenia, a w zakresie obydwu w rachubę wchodzi wiele form różnicowych, a nawet niemożliwych do rozpoznania na drodze sądowej. Dla zręcznych obrońców stanowi to wdzięczne pole do mniej lub bardziej przekonywającej argumentacji. Nie mniej ważne od wskazanych znaczenie „świadomości” bywa tożsame z trwałymi nastawieniami do otoczenia oraz z postawami wobec ludzi, a to w granicach między lekkomyślnością lub nawet pogardą dla ludzi, w przypadku kierowcy – dla niezmotoryzowanego społeczeństwa, a życzliwością i wyrozumiałością; w naszym przypadku – życzliwością i wyrozumiałością zarówno dla innych kierowców, jak i dla pieszych. Jasne jest, że na ogół kierowca życzliwy i wyrozumiały jest – w innych okolicznościach jednakowych – bardziej uważny i przytomny niż nieżyczliwy i lekkomyślny.

Ale i to nie wyczerpuje znaczeń „świadomości”, z jakimi do czynienia mamy zarówno w rozmowie potocznej, jak i w sądzie. O świadomości



mówi się bowiem również w sensie jakości kultury moralnej, która niejako z głębi osobowości wpływa na postępowanie z ludźmi innymi czy wobec nich. I tutaj możliwe byłoby rozróżnienie wielu form pośrednich, a mianowicie między kulturą osobistą sprzeczną z interesami społecznymi a kulturą dogłębnie i subtelnie do nich przystosowaną. I tak na jednym krańcu można by postawić osobę, która w gruncie rzeczy wszystkich ma za nic, która w każdej sytuacji stara się o największe korzyści dla siebie. Na końcu drugim – osobę, która na uwadze ma zawsze interes społeczny, co zresztą bynajmniej nie wyklucza jej trosk i starań o realizację celów własnych.

W przewodach sądowych, m.in. w procesach „drogowych”, niepoślednim argumentem dla obrońców i podsądnych jest możliwość czy próba wykazania, że sprawca wypadku jest człowiekiem wysoce współczesnym, czyli że jego świadomość moralna jest wysoka. Prowadzi to z reguły do umniejszania winy, a nawet niekiedy do orzeczenia niewinności.

Wbrew świeckiemu charakterowi sądownictwa w państwach nowoczesnych akcent na rozpoznaniu stanu świadomości podsądnych pozostaje w związku pośrednim z na ogół dawno już zarzuconą doktryną teologiczną wolności woli. Według niej jedynie człowiek otrzymał od Boga szczególny dar swobodnego decydowania o swoich losach, a w sytuacjach konkretnych o swoich postanowieniach i czynach. Znaczy to, że jest za nie – tj. za wszelkie następstwa – całkowicie odpowiedzialny. Wolna wola jest zła lub dobra. Jest zła, jeśli człowiek postępuje sprzecznie z przykazaniami boskimi. Jest dobra, jeśli pozostaje z nimi w zgodzie. Teolodzy byli wprawdzie świadomi trudnego – w świetle ich doktryny logicznie nierozwiązalnego – pytania: dlaczego w niektórych przypadkach bądź jedni ludzie korzystają z wolności woli w sensie pozytywnym, czyli dlaczego okazują dobrą wolę, a czemu lub kiedy indziej inni ludzie grzeszą, czyli okazują złą wolę?

Otóż aby sensownie odpowiedzieć na to pytanie bez oparcia na doktrynie teologicznej, zarazem metafizycznej, trzeba wiele wiedzieć o człowieku i o „mechanizmie” jego życia, a więc zarazem o uzależnieniach tegoż od różnych okoliczności. W ciągu wielu wieków funkcjonowania sądownictwa wiedza w tej dziedzinie była nad wyraz skąpa, niedokładna i pełna mniemań bezpodstawnych. W takich warunkach logiczne i równocześnie praktyczne wydawało się uproszczone traktowanie winowajców i ich winy: wina tkwi w winowajcy, przy tym wszystko jedno, jak ten fakt sformułować czy opisać. Zresztą wielu winowajców przyznaje się do przestępstwa. A jeśli nie przyznaje się dobrowolnie, można go do tego

zmusić. Przyznawanie się do winy zamyka sprawę, tj. przewód sądowy. Pozostaje wymiar kary. Wspomniane wcześniej akcenty na świadomości stanowią w gruncie rzeczy ciąg dalszy wielowiekowej tradycji uproszczonego sądownictwa.

Nie wynika stąd, że rozpoznanie stanu świadomości i cech osobowości podsądnych traci znaczenie w sądownictwie nowoczesnym. Współczesny rozwój nauk prawnych i odpowiedniej praktyki sądowej wskazuje na to, że „sędzia” coraz bardziej liczy się praktycznie, jeśli nawet nie w swych przekonaniach teoretycznych, z twierdzeniem, że taka czy inna świadomość podsądnego stanowi – że tak rzec – tylko jedno „oko” w skomplikowanej „sieci” uzależnień danego (i w ogóle wszelkiego) przestępstwa. Faktycznie „sąd” (wymiar sprawiedliwości) tak właśnie postępuje coraz powszechniej. Wymownym dowodem po temu jest coraz częstsze zapotrzebowanie sądów na porady rzeczoznawców specjalistów, i to nie tylko psychiatrów. W porównaniu z ich orzeczeniami rola świadków, wprawdzie nadal ważna, stopniowo traci poniekąd na znaczeniu, przeważnie zresztą z powodu narastania wiedzy naukowej na temat niedokładności bądź kłamliwości zeznań świadków i w sprawie warunków relacjonowania tzw. wydarzeń autentycznych. W tym świetle wszelka wina coraz bardziej staje się szczególnego rodzaju orzeczeniem nieomal przyrodniczym co do bezpośredniego zdeterminowania danego przestępstwa przez określoną osobę lub osoby oraz pośredniego uzależnienia tegoż przez pewną ilość przyczyn wewnętrznych, tj. tkwiących w obrębie tych osób, i zewnętrznych, leżących poza nimi. Oczywiście z pola widzenia nie znika uzależnienie od potocznie rozumianej złej woli ani w ogóle od czynników tkwiących w świadomości podsądnych. Jednakże w każdym wypadku rozpoznanie obecności i jakości tego uzależnienia stanowi tylko część rozpoznawania sądowego bądź uzasadnienia do danego wyroku.

Co nie mniej ważne, wzrost naukowej wiedzy kryminologicznej i praktycznej pewności konkretnych rozpoznań stopniowo przyczynia się do wzrostu obiektywizmu wymiaru sprawiedliwości oraz do oderwania represji od powiązań z gniewem i agresywnością, tj. od czynników, które odwiecznie – w mierze oczywistej lub pośrednio – wywierały mniejszy lub większy wpływ na ustanowienie systemu kar i na praktyczny wymiar tychże w przypadkach konkretnych. Dopiero w pełni naukowe, a więc deterministyczne traktowanie „mechanizmu” przestępstwa mogło, względnie może pociągać za sobą teorie i praktykę karania nie z punktu widzenia zagniewanej, bo poszkodowanej, jednostki, lecz w przystosowaniu do interesów społecznych. Wynika stąd potrzeba spojrzenia na sprawę

winy i kary przede wszystkim w świetle psychologii strachu, gniewu i agresywności.

Mniej więcej począwszy od teorii Waltera Bradforda Cannona (1915) wzruszenia strachu i gniewu stały się przedmiotem intensywnych badań psychofizjologicznych. Poniekąd na tym gruncie, niemniej jednak z powodu szybkiego wzrostu przestępczości po drugiej wojnie światowej niemal lawiną narastały i wciąż nasilają się badania nad „mechanizmem” agresywności jako subiektywnym napędem bądź zjawiskiem towarzyszącym wszelkim aktom gwałtu. Ważnym czynnikiem postępu tych badań są przy tym praktyczne potrzeby sądownictwa i przeważnie na odcinku profilaktyki racjonalnego przystosowywania kary do winy, a nie samej przez się winy.

W związku z tym niezbędne są tutaj elementarne stwierdzenia dotyczące strachu i gniewu. Wprawdzie zarówno przejściowo, jak i obiektywnie są to wzruszenia różne, jednakże z reguły występują razem lub na przemian, ponieważ stanowią niejako dwie strony w zasadzie tego samego urządzenia samozachowawczego, spełniającego rolę istotną w walce o byt. W urządzeniu tym strach „napędza” do ucieczki lub do ukrywania się i głównie w tym charakterze mobilizuje siły organizmu. Tymczasem gniew mobilizuje je przede wszystkim do napaści na „wroga”.

Strach jest nierzadko niesamowitym i nieznosnym z reguły uczuciem specyficznie przykrym i ten fakt „domaga się” wyrównania w specyficznej rozkoszy gniewu. Proces gniewnego wyrównywania cierpień związanych ze strachem umożliwia powrót do równowagi wzruszeniowej w zakresie „stracho-gniewu”. Natomiast brak wyrównania względnie obiektywnych możliwości po temu jątrzy w ukryciu i stanowi przyczynę wielu następstw szkodliwych subiektywnie, a nierzadko również społecznie. Tu tkwi m.in. źródło nienawiści i okrucieństwa.

Przewaga czy to strachu, czy to gniewu oraz sposób współistnienia tych wzruszeń zależne są od „rozpoznania” sytuacji, u zwierząt kierowanego nie tylko bieżącymi spostrzeżeniami, ale także instynktownym poczuciem siły własnej. Dotyczy to w zasadzie również zachowania się ludzi, oczywiście z uwzględnieniem różnic modyfikujących ich postępowanie: wyobraźni, inteligencji, osobistego doświadczenia, nawyków, umiejętności i wiedzy. W każdym razie również ludzie przed niebezpieczeństwami widocznymi czy zagrożeniami możliwymi lub przewidywanymi starają się nasamprzód – stosownie do orientacji – uciec, schować się, zabezpieczyć. I również stosownie do treści orientacji czy to z miejsca, tj. pomimo strachu, czy to w rezultacie refleksji nad swymi możliwościami, przeciw-

nika zaatakować. Znaczy to, że raz na plan pierwszy bądź w pierwszej chwili występuje strach, innym razem gniew-wściekłość, jeszcze innym razem subiektywnie i obiektywnie występuje „stracho-gniew” – agresywność podszyta strachem.

W świetle przedstawionych danych wróćmy obecnie do zagadnień prawnych, ściślej – karnosądowych. W pierwotnym sądownictwie plemion i ludów nieomal wszędzie opierano się na zasadzie: „oko za oko, ząb za ząb, wet za wet”. Dlaczego, względnie co to znaczy z punktu widzenia psychologii „stracho-gniewu”? Oznacza to bliski, a nawet bezpośredni związek z reakcją gniewu-wściekłości: „Ten oto winowajca zabił mego krewnego, ukradł moją rzecz, uwiódł moją żonę, jestem wściekły i żądam odpowiedniej kary”. Co prawda, „żądam, jeśli w ogóle jakiś sąd ma rozpatrywać sprawę i wymierzać karę, bowiem w miarę możliwości sam karę wymierzę!” Wobec tego nasamprzód samosąd wchodzi tu w rachubę; zresztą, nie tylko u plemion pierwotnych, ale także u wielu ludów cywilizowanych – w formie różnego pokroju wendetty. Sądy biorą w swe ręce sprawy karne czy to na pewnym poziomie organizacji społecznej, czy to wówczas, gdy poszkodowany wierzy, że jego wściekłość, nienawiść do krzywdziciela i potrzeba zemsty trudna do zaspokojenia własnymi siłami znajdzie zrozumienie organów sprawiedliwości. Niekiedy znajduje je, zwłaszcza jeśli sędzia zna sprawę z autopsji bądź z bezpośredniej relacji i jeśli na podstawie własnego doświadczenia współczuje poszkodowanemu i – po cichu – również gniewa się na gwałciela prawa. Znaczy to, że sędzia wprawdzie reprezentuje formalnie obiektywne prawo, ale pomimo to czy niezależnie od tego emocjonalnie stoi po stronie pokrzywdzonego. Po prostu – i on się gniewa. A w sądownictwie nowoczesnym prokurator niejako z obowiązku musi się gniewać na podsądnego. Zresztą cała procedura nastawiona jest na to, aby wyładowywać na podsądnym – przynajmniej w widocznym zachowaniu się – swój gniew, czemu nie rzadko odpowiada subiektywny stan rzeczy. Wszystko wskazuje na to, że pomimo niewątpliwych i ogromnych różnic między prymitywnym sądem plemiennym a wysoce cywilizowanym sądem opartym na bogatej wiedzy naukowej gniew stanowi nadal motyw do żądania kary i do jej wymierzania. Rozumie się, że nie sprzyja to obiektywizmowi, który w teorii stara się osiągać Temida, rzekomo ślepa już od dwóch tysięcy lat.

Wciąż jeszcze żywe, chociaż na ogół coraz bardziej pośrednie i coraz częściej podawane w wątpliwość powiązania wymiaru sprawiedliwości – zwłaszcza w sprawach karnych – z gniewem stopniowo słabną, i to głównie pod wpływem dwóch czynników:

1. postępu ogólnie pojętej wiedzy naukowej o przestępczości i wielopostaciowych uwikłaniach tejże;

2. wzrastającego rozumienia faktu poniekąd odwiecznie uznawanego, jeśli nawet nienależycie docenianego, że wszelkie przestępstwo jest pomimo swej konkretności (osoby przestępcy i jej czynu) zjawiskiem społecznym.

Postęp wiedzy stanowił początkowo rezultat dociekań teoretycznych i badań doświadczalnych nad cechami osoby przestępcy. Rezultat – przeważnie związany z pojęciem i zagadnieniem poczytalności. Zgodnie z tym w ciągu wielu dziesiątków lat prawie wyłącznie psychiatrzy spełniali rolę rzeczoznawców sądowych. I głównie oni byli autorami teorii kryminologicznych. Prymat psychiatrów zaczął ustępować w miarę narastania wiedzy o środowiskowych uzależnieniach nie tylko przestępstw, ale także w ogóle wszelkiego postępowania człowieka. Coraz mniej wiary dawano teoriom wrodzonych stygmatów (rzekomo usposabiających do przestępstwa – C. Lombroso), wrodzonych typów psychofizycznych (np. McAuliffe, Sigaud), późniejszego konstytucjonalizmu itp. Z czego zresztą nie wynika, że teorie te były całkiem bezpodstawne i bezużyteczne dla sądownictwa. Istotne w owym postępie wiedzy jest to, że doceniać i praktycznie uznawać zaczęto rezultaty wielu nauk – psychologicznych, socjologicznych, biologicznych, a nawet technicznych, oczywiście również nauk ścisłych, pośrednio ważnych w kryminalistyce. Zależnie od jakości konkretnego przypadku rzeczoznawcą sądowym może być obecnie specjalista każdej nauki. Jest to zgodne z zaznaczonym już wcześniej rozumieniem faktu, że przestępstwo jest drobnym „okiem” w skomplikowanej sieci zjawisk społecznych.

Interes społeczny wymaga kar i karania, ale jest problemem nie lada, czy, a jeśli tak, to jak dalece wymaga również gniewu i pochodnych tego wzruszenia, np. wściekłości, nienawiści czy pogardy – jako zjawisk subiektywnych. W próbie odpowiedzi uwzględnić trzeba nasamprzód fakt, że wszelkie uczucia, a więc również gniew i wzruszenia pochodne, utrudniają obiektywne stwierdzenie składników danego przestępstwa i poznanie uzależnień, tym samym w pełni obiektywne zastosowanie praktyczne coraz bogatszej wiedzy naukowej prawników.

Pomimo to gniewu nie można wyłączyć nawet z najbardziej nowoczesnego, a więc zarazem naukowego sądownictwa, w szczególności wymiaru kar. Istota sądu jako instytucji społecznej, niechby najbardziej prymitywnej, nie polega bowiem na emocjonalnym „odbarwieniu” wymiaru sprawiedliwości, natomiast na przystosowaniu uczuć, w tym przede

wszystkim gniewu, do przestępstw, rozpatrywanych w świetle prawa, jako miernika jednakowego dla wszystkich osób wobec danego kodeksu karnego w zasadzie sobie równych. Z tego punktu widzenia rzecz można, że chodzi o uspołecznienie i zobiektywizowanie gniewu. O wyładowanie tegoż według formalnych przewidywań prawa co do rozmiaru winy. A ta mogła być oceniana różnie i bywała nią, zależnie od – prawnie usankcjonowanej – sytuacji społecznej sprawców przestępstw. Według prawa wielu ludów starożytnych, w szczególności prawa rzymskiego, niewolnik nie był równy obywatelowi (nie był w ogóle obywatelem), wobec czego nierówne kary przewidywane były za zabicie przez obywatela czy to innego obywatela, czy to niewolnika, inne za zabicie przez niewolnika obywatela lub niewolnika. Rzec można, że prawo z góry przewidywało – wraz z sankcjami – rozmiar i jakość „gniewu społecznego” w ściśle określonych przypadkach. Natomiast nie przewidywało ani nie wymagało – ani od sędziów, ani od publiczności – bezuczuciowego ustosunkowywania się do przestępstw. Znaczy to, że w zasadzie gniew sędziego czy widza odgrywał taką samą rolę zwalniającą od napięcia i dającą specyficzną satysfakcję (i sędziemu, i widzowi), jaką daje gniew wyładowany w sytuacjach życiowych – prywatnych czy publicznych. Odwieczna i trwała funkcja społeczna sądu polega – że tak rzec – na regulowaniu gniewu i pochodnych, np. pogardy dla przestępcy, według obiektywnych cech przestępstwa, oczywiście cech uprzednio obiektywnie ustalanych. W dużym stopniu na tym polega ogromny postęp społeczny, jaki tkwi w samym fakcie ustanowienia sądu i sądowego wymiaru kary w porównaniu z samosądem i całkowitym chaosem w reagowaniu na czyny agresywne. Na ogół reakcje gniewu nie są przystosowane do rozmiarów i jakości agresji. Wprawdzie w prawie pierwotnym i na wpół barbarzyńskim tkwi – oczywiście gniewem dyktowany – postulat odwetu równego. Wiadomo jednak, że gniew człowieka potęgowany jest wyobraźnią, nie miarą „równościowo”, lecz nierówno. Z reguły bowiem człowiek zagniewany nastawia się, przynajmniej w ataku furii, na „oddanie” z wielokrotną nawiązką. Z tym zgodny jest fakt „dziesiątkowania” więźniów, jeńców czy zakładników przez zwycięzców, oczywiście również wymordowywania całych plemion i ludów, co tylekroć zdarzało się w pisanych dziejach człowieka.

Krótko mówiąc, samo przez się funkcjonowanie sądownictwa – niechby nawet opartego na prawie najbardziej drakońskim czy okrutnym – stanowi podstawowy warunek współżycia społecznego. Stanowi zarazem olbrzymi postęp w porównaniu ze stanem „wojny wszystkich przeciwko wszystkim”, zdarzającym się w chwilach przełomowych, i to nie tylko na



poziomie życia kultury ludów pierwotnych. Jednakże niezmierzone komplikacje życia zbiorowego w ramach cywilizacji naukowo-technicznej wymagają spełnienia nowych funkcji społecznych na gruncie prawa i sądownictwa.

Obecnie, i zresztą już od dość dawna, nie wystarczy – że tak rzec – reglamentacja gniewu społecznego w stosunku do przestępcy i udzielanie „widzom” satysfakcji, jaką niesie ze sobą wymiar sprawiedliwości. Coraz bardziej potrzebne, a nawet konieczne jest rozwiązanie dwóch problemów związanych z tym wymiarem, mianowicie:

1. sensownego postępowania z przestępcami, ponoszącymi kary za swe winy;
2. uchronienia społeczeństwa przed nowymi przestępstwami.

Praktycznie biorąc, chodzi o racjonalną, zarazem społecznie słuszną organizację więziennictwa, poczynwszy od karania więzieniem, i racjonalną profilaktykę.

W pewnej mierze, raczej jednak zapoczątkowanej i teoretycznej niż realnej, problemy te stawiano sobie od dawna. W czasach, w których więziennictwo prawie nie istniało, gdy przeważnie i za byle co skazywano na śmierć, na okaleczenie lub na konfiskatę mienia, „lochy więzienne” stanowiły raczej wyjątkowe niż powszednie narzędzia prawa. Często – krótki etap przejściowy przed wykonaniem wyroku śmierci. Ponadto również aktualny wyraz gniewu władców, jeśli nie gniewu społecznego. A profilaktyka polegała w zasadzie na odstraszeniu ewentualnych „kandydatów” do przestępstwa.

Wraz z instytucjonalizacją i rozbudową więziennictwa ludzie światli coraz częściej zaczęli stawiać i rozpatrywać pytania, jaki sens społeczny mają wyroki na dożywocie i długoterminowe. W ślad za tym pytanie dalej idące – jaki sens społeczny ma w ogóle pozbawienie wolności i zamykanie w więzieniach? Związek motywacyjny z gniewem i satysfakcją w postaci „zemsty społecznej” staje się bowiem odległy i wątpliwy. Więzień, który od wielu lat pozbawiony jest wolności, przestał już dawno budzić gniew u „widzów”, a nawet u personelu pracującego dla wymiaru sprawiedliwości. Wiadomo wprowadzić nadal, za co został skazany, natomiast nie wiadomo, po co siedzi w więzieniu? Bo to właśnie pytanie coraz częściej pojawia się w naukowych rozprawach i publicystyce prawniczej. I w dużej mierze na tle tegoż opracowano w ubiegłych stu latach wiele zapatrywań, zwykle nazywanych teoriami, jednakże stanowiących przeważnie nic więcej ponad wątpliwie uzasadniony pogląd intuicyjny. Co prawda, pewne składniki teorii czy myśli przewodnie powtarzają się.



Należy tu przede wszystkim „teoria” odstraszenia. Im cięższe przewinienie, tym dłuższy na ogół pobyt w więzieniu, wobec czego tym większy strach u „kandydatów” do przestępstwa podobnego. Zbliżona do niej jest „teoria” ochrony społeczeństwa przed przestępcami. Im większy wymiar kary pozbawienia wolności, tym dłuższy okres ochrony społeczeństwa przed osobnikami gotowymi do popełnienia nowych przestępstw. Tu dołączają się zwolennicy „teorii” resocjalizacji. Im większy wymiar kary, tym pewniej można przestępcę nagiąć do współżycia z ludźmi w poszanowaniu prawa.

Ci ostatni nastawiają się już pierwszoplanowo na rozwiązanie trudnego problemu celowości kary więzienia w ogóle, w szczególności problemu okresu pozbawienia wolności. Nie trzeba wykazywać, że jakikolwiek pogląd na problematykę resocjalizacji wymaga dostatecznej podbudowy w faktach, dotyczących:

1. skutków kary więzienia w cechach i w strukturze cech osobowości, kształtowanej pod wpływem odbywania kary;

2. możliwości powrotu byłego więźnia do normalnych warunków współżycia społecznego, zarazem zmiany postaw opinii społecznej i współpracowników wobec niego.

Tkwi w tym wiele problemów szczegółowych. Stanowią one przedmiot zróżnicowanych badań za pomocą wszelkich metod, jakie tylko tutaj wchodzi w rachubę. Na razie jednakże brak podstaw do dostatecznie spójnej i uzasadnionej teorii naukowej w tym zakresie. Komplikacja problematyki wymaga wciąż nowych badań, zaś potrzebna teoria nie mogłaby być po prostu związłym systemem dedukcyjnym twierdzeń i wniosków, lecz wysoce rozbudowanym i szczegółowym systemem wiedzy. W tym stanie rzeczy próbuje się różnego pokroju eksperymentów „naturalnych”, np. warunkowego zwolnienia, zamiany części kary więzienia na kary majątkowe i wiele innych. Nie ma, jak dotąd, wiążących wyników tego rodzaju eksperymentów i badań innego rodzaju.

Jeszcze trudniejsza jest kwestia społecznej profilaktyki. Nie ma wątpliwości co do tego, że w pewnym zakresie – nad wyraz zmiennym i trudnym do ustalenia wobec ogromnej liczby „parametrów”, jakie tu wchodzi w rachubę – kary wszelkie, w szczególności kary pozbawienia wolności, w jakiejś mierze zapobiegają przestępstwom ewentualnym. Rzecz to intuicyjnie oczywista, ale gdyby w ogóle nie karać, rychło społeczeństwo składałoby się niemal z samych przestępców, a więc nastąpiłby powszechny chaos. Niewielką pociechę daje taki truizm. Na ogół nie wątpi się w to, że do pierwszoplanowych czynników profilaktyki przestępstw

należą: odpowiednie warunki bytowe, właściwe wychowanie i praworządność. Oczywiście, oprócz nich wiele innych. Jednak gdyby tylko skupić się na pierwszych dwóch czynnikach, do czynienia mielibyśmy z „oceanem” problemów szczegółowych, nierozwiązanych i trudnych do rozwiązania. W ich obrębie – problemów na pozór odległych od kryminologii i w ogóle od filozofii prawa, zakresu naukowej diagnostyki cech osobowości. Nie może bowiem być postępu w rozwiązywaniu problemów kary i winy bez uprzedniego postępu naukowej wiedzy o osobowości człowieka.

## **Nauki medyczne a filozofia zdrowia i choroby**

Na pozór nic bardziej odległego od filozofii jak leczenie i poznawanie chorób; zarazem nic bardziej konkretnego i praktycznego. A jednak już u kolebki medycyny racjonalnej i o tyle jako tako naukowej przewijają się zagadnienia i pomysły filozoficzne; w każdym razie refleksje teoretyczne, daleko odbiegające od powszednich zadań „cyrulików”. Hipokrates, „ojciec” medycyny, był twórcą nie tylko podstaw racjonalnej diagnostyki i terapii, ale także załączków późniejszej filozofii medycyny. Rozwój tejże obracał się przeważnie dokoła moralnych aspektów zawodu lekarza, a to odbiło się na wczesnym wyodrębnieniu w naukach medycznych etyki lekarskiej i na tym, że ona właśnie po dziś dzień stanowi ich nadbudowę filozoficzną. Chodzi w niej głównie o wykaz i uzasadnienie powinności lekarza, ale niejako mimochodem również o analizę zagadnień, odwiecznie i nadal dyskusyjnych, a nawet wysoce spornych, o tyle też filozoficznych według „umowy” zaproponowanej w rozdziale *Nauka a filozofia*. Zanim jednak przystąpię do ich zarysowego rozpatrzenia, skupię się na chwilę na opisie nauk medycznych, w szczególności metod dla nich znamiennych.

Niezależnie od nazewnictwa – które się zmieniało – nawet w medycynie prymitywnej niezbędna była przede wszystkim znajomość dwóch rodzajów zjawisk:

1. budowy i czynności ciała ludzkiego;
2. symptomów i przebiegu chorób.

W medycynie o pokroju magicznym znajomość ta była, względnie jest nadal nieznana, pełna braków i błędów, niemniej na ogół większa niż u śmiertelników zdanych na korzystanie z usług znachorów. Im lepsza znajomość ciała i chorób, tym na ogół większe szanse poznawania skutków zadziałań magicznych, przyrodoleczniczych i psychicznych lekarza

na chorego. Tak przeto – przeważnie na drodze prób i błędów – wyłaniały się działy wiedzy medycznej, skupiane dokoła takich nauk podstawowych dla przyszłego lekarza, jak anatomia, fizjologia, patologia, terapia wewnętrzna i chirurgia. Z nich stopniowo wyłoniły się nauki zróżnicowane, np. autonomia opisowa i patologiczna. Stosownie do kryteriów samodzielności nauk można je ułożyć w szeregu bądź w systemie mniej lub bardziej długim czy rozbudowanym. Niezależnie od przyjętego wyodrębnienia czy układu wszystkie razem stanowią – że tak rzec – macecznik nauk, względnie studiów medycznych we właściwym sensie tych pojęć. Jednakże do nich bądź dokoła nich umieszcza się od dawna i stopniowo coraz więcej nauk różnie nazywanych, a to na ogół zależnie od ich roli w studiach medycznych. Wszystkie mają w zasadzie charakter pomocniczy dla przyszłego lekarza, lecz w logicznym systemie nauk jedne z nich są podstawowe, inne pochodne bądź specjalistyczne. Znaczenie podstawowe mają: matematyka, fizyka, chemia i biologia, poniekąd również – w systemie nauk – psychologia, socjologia i historia, chociaż po dziś dzień dużo słabsze niż tamte. Rolę nauk, względnie przedmiotów specjalistycznych grają – zwykle przystosowane do określonych specjalizacji medycznych – takie nauki, jak mechanika precyzyjna, elektronika, statystyka, cybernetyka, demografia i wiele innych. Zależnie od poziomu, czasu trwania i celu studiów medycznych wskazane zbiory nauk, względnie przedmiotów nauczania można oczywiście zróżnicowywać, a opanowywanie poszczególnych przedmiotów dowolnie pogłębiać. Robi się to faktycznie. Zgodnie z tym zachodzą ogromne różnice w poziomie studiów medycznych, a to stosownie do potrzeb. Pomimo to kardynalny zbiór wiadomości przynależy wszędzie przede wszystkim do anatomii, fizjologii oraz ogólnie pojętej patologii i terapii. Bez ich opanowania lekarz byłby ignorantem. Co prawda – jak wszędzie – jest wiele form pośrednich między wiedzą elementarną, lepszą od ignorancji a gruntowną, przy czym niełatwo byłoby zdefiniować te dwie formy graniczne i pośrednie, przyjęte umownie.

Pod względem metodologicznym badania – w ogólnym sensie tego pojęcia – medyczne są wprawdzie ogromnie zróżnicowane, jednakże na plan pierwszy wysuwa się tzw. metoda kliniczna, tj. metoda obserwacji i systematycznego sporządzania notatek przebiegu choroby u poszczególnych pacjentów, przy czym „punkty widzenia” do konkretnych zauważeń lekarz-naukowiec opiera na całości swej wiedzy medycznej, a na tym tle na „hipotetycznej teorii” co do etiologii i etapów choroby, stanowiącej przedmiot jego badań. Masa notatek „klinicznych” stanowi zwykle podstawowy materiał naukowy do ich realizacji. Co prawda, wiele prac

badawczych lekarze wykonują bez wskazanej metody i w zasadzie tak samo jak np. fizjolodzy, biolodzy, fizycy czy psychologzy, a to stosownie do specyfiki problemu, który ich interesuje. W takim razie posługują się metodą czy metodami znamienymi dla nauk podstawowych. Ponadto niejeden specjalista takich nauk ubocznie lub frontalnie przeprowadza badania nad problemami medycznymi, a w takim razie choćby mimochodem posługuje się metodą kliniczną; np. fizyk i chemik Pasteur. Znaczy to, że nie ma ostrych granic między naukami; nie ma też formalnych przeszkód dla naukowców, byle tylko badania swe przeprowadzali metodami właściwymi. Wreszcie nie ma formalnych przeszkód na drodze od badań medycznych do zagadnień daleko odbiegających od materiału naukowego, złożonego z masy konkretnych historii chorobowych. Jest natomiast uniwersalna po temu zachęta w postaci lotnej wyobraźni, zmierzającej ku pytaniom coraz ogólniejszym. Rozumie się, że pytania takie najpierw wyłaniają się z powszedniego doświadczenia lekarza – zresztą, niekoniecznie naukowca – a więc oznaczają poszukiwania uogólnień, dotyczących chorób i zdrowia, a nieobecnych w podręcznikach studenta medycyny. Dotyczyć mogą również powinności lekarza, a to w związku z etyką lekarską jako dodatkowym przedmiotem studiów bądź niezależnie od tego. Stąd droga niedaleka prowadzi do takich zagadnień – mniej lub bardziej filozoficznych – jak: dopuszczalność i formy eutanazji, granice sensu podtrzymywania życia pacjentów klinicznie zmarłych, sens i możliwości przedłużania życia ponad dotychczasowe granice wyjątkowo osiągnane, hibernacja itp. Zagadnienia te wymagają podbudowy zarówno biologicznej, jak i etycznej. Natomiast zdecydowanie etycznego pokroju są – nierzadko rozpatrywane – zagadnienia obowiązku bądź sensu leczenia osób skazanych na śmierć i wrogów na polu bitwy.

W końcu nietrudno lekarzowi już filozofującemu w obrębie zagadnień wymienionych lub pochodnych rozwijać skrzydła wyobraźni w kierunku „zdziwień” nad obiektywnym sensem życia ludzkiego, nad subiektywną wartością tegoż, nad obecnością i genezą życia we wszechświecie, a na tej drodze nawet w kierunku „ostatecznych” i odwiecznych zagadnień ontologicznych, epistemologicznych i etycznych. Na tym polu możliwe są spotkania filozofów z wszelkich dziedzin wiedzy i – oczywiście – również filozoficznych laików. A oto próba spojrzenia na niektóre spośród zagadnień wcześniej wymienionych.

Mówi się, że nie ma ludzi idealnie zdrowych, a termin „idealne zdrowie” stanowi część składową mowy powszedniej. Czy część potrzebną i sensowną? Najpierw odpowiedzieć trzeba na pytanie: co to jest zdrowie?

O zdrowiu mowa jest na co dzień, więc co najmniej intuicyjnie dobrze wiadomo, o co chodzi. Mimo to niełatwo zdefiniować „zdrowie” bezspornie, w sposób zadawalający i lekarzy, i laików. Proponuję taką oto definicję: Zdrowie jest to względnie trwały stan sprawnego funkcjonowania poszczególnych tkanek i organów, a dzięki temu całości organizmu. Oczywiście, podobnie jak w odniesieniu do innych definicji stanowiących „skrót myślowy” można, względnie trzeba domyślać się twierdzeń implikowanych, stanowiących logiczne rozwinięcie danej definicji, tutaj definicji zdrowia. Następujące „domyśły” wchodzi w rachubę pierwszoplanowo:

1. Sprawne funkcjonowanie tkanek zależne jest od normalnego toku „przemiany materii” (metabolizmu), wobec czego jakość tejże uznać trzeba czy to za składnik zdrowia, czy to za jeden z warunków istotnych tegoż.

2. Poszczególne organy, np. płuca, serce, układy tychże i cały organizm nieustannie przystosowują się do otoczenia, a zatem względna trwałość w zasadzie nieustannie zmiennych warunków środowiskowych stanowi jeden z istotnych warunków zdrowia. Znaczy to, że radykalne zmiany warunków środowiskowych niejako same przez się podważają lub niszczą zdrowie.

3. Zmienność warunków środowiskowych – do których organizm przystosowuje się – każe domyślać się odporności na zmiany oraz „elastyczności” tkanek organów i całości organizmu w sensie zdolności do coraz to nowych powrotów do względnej równowagi czynnościowej i strukturalnej, umożliwiającej utrzymywanie się przy życiu.

4. Z tego wynika, że względny stan równowagi między organizmem a otoczeniem wymagałby – celem ścisłego porozumienia się i ustalania istoty zdrowia – stosownej umowy co do granic między zdrowiem a chorobą. W rzeczy samej w etiologii chorób zawsze w grę wchodzi trudny do bezspornego rozwiązania problem owych granic.

Czy, względnie jaki sens ma w świetle wskazanych implikacji pojęcie zdrowia idealnego? Sądzę, że ma sens postulatywny, statystyczny i modelowy (wzorowy). Po pierwsze więc, ludzie życzą sobie i swym bliskim zdrowia jak najlepszego i możliwie najtrwalszego. Jest to wyraz odwiecznych marzeń o pełni życia, o życiu szczęśliwym, bez chorób i trosk. Idealne zdrowie zdaje się stanowić istotną gwarancję takiego życia. Oczywiście, niekoniecznie nawet laicy wierzą w możliwość idealnego zdrowia. Nie ma ostrych granic między stanami zdrowia i chorób, zwłaszcza tzw. chorób organicznych. Statystycznie wręcz biorąc, można by ułożyć nieograniczony ciąg form pośrednich między schyłkowym stanem ciężkiej choroby a tzw. pełnym zdrowiem. Takim to zdrowiem „cieszy się” graniczny odse-

tek ludzi w obrębie masy ludzi „w zasadzie” zdrowych. Nie ma przeszkód po temu, aby odsetek ten, określony umownie np. na 3%, uznać za ludzi idealnie zdrowych. Stąd krótka droga prowadzi do modelowego (normalnego, wzorowego) ustalenia istoty i cech znamiennej zdrowia idealnego. Na podstawie stosownej definicji lub bez niej lekarze pojęciem tym faktycznie się posługują. Faktycznie też treść wiedzy w zakresie anatomii opisowej i prawidłowej fizjologii (i nauk specjalistycznych w tym zakresie, np. anatomii w różnych fazach rozwoju osobniczego) człowieka dotyczy ludzi idealnie zdrowych. Przy tym z ujęciem modelowym zdrowia do czynienia mamy faktycznie, gdy opis czynności przystosowawczych (tkanek, organów, układów tychże i całego organizmu) potraktowany jest zarysowo, tj. z uwzględnieniem cech czy procesów istotnych, zarazem statystycznie normalnych – bez wnikania w szczegóły czy zróżnicowania. Co więcej, modelowe traktowanie idealnego zdrowia ma sens praktyczny, umożliwia bowiem skupienie uwagi lekarza lub laika na pierwszoplanowych cechach danej funkcji. Wobec tego można się wprawdzie zgodzić z przypuszczeniem, że nie ma człowieka w całej pełni i w detalach idealnie zdrowego, ale pomimo to koncepcja idealnego zdrowia ma sens zarówno naukowy, jak i praktyczny. Niechby tylko – jako pożyteczna fikcja.

Zdrowiu przeciwstawiamy chorobę – ściślej chory stan organizmu. Oczywiście, nie „idealną”, gdyż tym samym domyślalibyśmy się w chorobach wartości pozytywnych, jak w zdrowiu „modelowym”. Jak widać, logiczne trudności są tu mniejsze, co nie znaczy, że nie ma ich wcale. Przeciwnie – są, a to w świetle pytań, od jakiej chwili, względnie kogo można już uważać za chorego? Z punktu widzenia pojęcia idealnego zdrowia olbrzymią większość ludzi uznawać trzeba by za osoby chore, a to ze względu na jakiś stopień dysfunkcji (w szczególności – hipofunkcji lub hiperfunkcji) w danych tkankach, narządach, układzie tychże bądź w stosunku całego organizmu – jako organizmu bądź jako istoty społecznej – do otoczenia. Rozumie się, że takie rozgraniczanie chorych i zdrowych byłoby praktycznie nieprzydatne. Ludzie muszą walczyć o byt, a mogłaby garstka osób niemal idealnie zdrowych pracować za prawie całe społeczeństwo. A więc potrzebne jest rozróżnienie według zdolności do pracy. Zadanie niełatwe, zależnie od układu warunków społecznych, gospodarczych, a nawet kulturowych, rozmaicie rozwiązywane. W warunkach najtrudniejszych chory jest ten, kto przy największej mobilizacji sił fizycznych i moralnych nie potrafi pracować ani zawodowo, ani w sensie efektywnego krzątania się dokoła własnej osoby bez cudzej pomocy. Natomiast w warunkach najbardziej korzystnych chory jest ten, u kogo można stwierdzić niechby



chwilowo niepozorne zaczątki określonej dysfunkcji (hiper- lub hipofunkcji), kto zarazem subiektywnie czuje się źle, i – co nie mniej ważne – kogo można łatwo zastąpić w pracy zawodowej lub domowej, czasowo lub na stałe, kogo przy tym bez represji bytowych lub moralnych przyjmuje się ponownie do normalnego toku zadań czy zobowiązań. Między tymi krańcami można by według uznania wstawić umownie dowolną ilość stopni czy form pośrednich. Uwzględnić trzeba by ponadto aspekt diagnostyczny, względnie metodologiczny, jako częściową podstawę do rozróżnień skalowych. Wraz z postępem diagnostyki medycznej – pośrednio nauk dla medycyny podstawowych – wzrosła pewność i dokładność ustaleń co do stopni zagrożeń ze strony danych objawów chorobowych dla utrzymania zdrowia i życia. Wzrost liberalizmu w orzekaniu o obecności danej choroby na ogół idzie w parze ze wzrostem dokładności diagnostyki.

Przeważnie fachowe – acz dające asumpt do dyskusji, a nawet do sporów naukowych, problemy istoty choroby w odróżnieniu od zdrowia oraz granic między zdrowiem a chorobą kojarzą się z zagadnieniem pokonalności wszelkich chorób czy definitywnego zwycięstwa nauki (względnie społeczeństwa posługującego się nauką) nad chorobami. Innymi słowy – chodzi tu o pytanie, już raczej filozoficzne niż naukowe, czy zachodzi możliwość takiego przedłużenia życia, dzięki któremu każda osoba wyczerpywałaby całość szans zawartych w jednostkowym „planie życiowym”, w „kodzie dziedzicznym” czy jak tam jeszcze inaczej nazwalibyśmy jej biologiczny potencjał życiowy. Sprawa intrygowała uczonych – nie tylko naukowców medycyny – oprócz nich literatów, publicystów, obecnie zaś nierzadko występuje w wizjach futurologów. Trzeba się zgodzić, że fachowo kompetentni do jej rozpatrywania są przede wszystkim biolodzy. Natomiast „prawo” do szukania odpowiedzi w sprawie pokonalności wszystkich chorób zdają się mieć nasamprzód lekarze-naukowcy. Nie oznacza to wykluczenia laików. Oto właśnie próba przyjrzenia się tej sprawie oczyma laika.

W ciągu około stu lat dzięki odkryciom uczonych-lekarzy pokonano kilkanaście chorób bakteryjnych, które w ciągu wieków dziesiątkowały ludzkość. W przybliżeniu podobnie miała się rzecz z opanowywaniem chorób wirusowych. Razem z „cudami” chirurgii, aseptyki, pomocniczymi środkami higieny pacjenci współcześni mają wciąż wzrastające szanse przetrwania kryzysów, a więc coraz dalszego przedłużania życia. Nie są to przy tym szanse tego pokroju, jak w osiągnięciu coraz dalej idących rekordów sportowych. Te ostatecznie coraz bardziej dotyczą drobnych ułamków możliwości z dawna znanych. Wprawdzie granice możliwości są



nieoznaczalne, jednakże postępy (np. w skokach w dal) stają się znikome. Inaczej ma się rzecz w „walce nauki ze śmiercią”. W tej dziedzinie postępy są wciąż olbrzymie zarówno w skali społecznej, jak i na drodze przedłużania życia jednostek. Postępy te wydają się nie tylko nieoznaczalne teoretycznie, ale także nieograniczone praktycznie. Czy naprawdę są takie?

Od lat kilkudziesięciu i nadal barierą trudną do pokonania stanowią choroby nowotworowe i miażdżycowe, w szczególności krążeniowe. Zapewne choroby te nękały ludzi odwiecznie, jednakże na tle epidemii bakteryjnych i wirusowych, przede wszystkim zaś śmierci z niedostatku i głodu, mogły uchodzić uwadze obserwatorów, a to zwłaszcza z powodu ułomności środków diagnostycznych. Pomimo niezwykle trudności metodologiczno-diagnostycznych lekarze-naukowcy na ogół ufają, że zarówno nowotwory złośliwe, jak i skleroza i choroby pochodne będą – szczęśliwie dla gatunku ludzkiego – pokonane. Mogłoby się więc wydawać, że gdy to się stanie, nie będzie już przeszkód istotnych po temu, aby – w skali społecznej – wyczerpywać „przewidziane” dla poszczególnych jednostek „plany dziedziczne”, czyli osiągać biologiczne granice długowieczności. A te wydają się nie tylko praktycznie nieoznaczalne, ale także – w opinii futurologów – bardzo odległe. Pomimo to naukowcy-lekarze i biolodzy nie łudzą się co do tego, że daleko „wzwyż” poza życzeniową granicę „stu lat” ludzie nie sięgną nawet w najlepszych warunkach bytu. Co prawda, już tylko „setka” jako statystyczna przeciętna stanowiłaby postęp kolosalny.

W związku z tym wyłania się pytanie: Wskutek czego ludzie będą umierali, gdy wszystkie choroby zostaną – praktycznie biorąc – pokonane? Czy po prostu z uwiadu starczego? Przy czym ideałem byłoby, gdyby ten uwiad jako życie bez sił i bez sensu trwał krótko. Tak można by się umówić. Osobiście jednak myślę, że nadal można będzie słusznie zastanawiać się nad słowem: choroba, a to w świetle przyjętej wcześniej definicji choroby, jako nadwyrężenia możliwości przystosowawczych organizmu do środowiska zewnętrznego. Gdy zabezpieczane będą w granicach niemal maksymalnych możliwości przystosowawcze organów, układów tychże oraz całości organizmu do otoczenia, „na placu” pozostaną granice możliwości komórek i cząstkowych układów tychże. Granice te zawsze i wszędzie wchodziły w rachubę jako bariera przedłużania życia. Gdy jednakże na ogół pokonane zostaną choroby dotychczas czy jeszcze obecnie groźne, na czoło wystąpią choroby komórek, a pośrednio tkanek i organów jako postępujące wyczerpanie sił adaptacyjnych. Być może zamiast jednostki „uwiad starczy” pojawi się plejada chorób biochemicznych

dotychczas rzadko zauważanych lub nienazywanych i może nawet jeszcze nieznanych. Badając i pokonując je lekarze-naukowcy będą w szczegółach obserwowali sumarycznie dotychczas traktowany proces „wiednięcia” organizmu. Biorąc pod uwagę postępujące zaburzenia w czynnościach organizmu, mówić będą o chorobowych przyczynach śmierci.

Sprawa ta ma charakter „akademicki”. Natomiast realne, zarazem sporne, są zagadnienia wynikające z podstawowego zadania lekarza, jakim jest walka o życie pacjentów. Zagadnienia z pogranicza jego fachowej wiedzy i etyki. Konkretnie chodzi o granice obowiązku lekarza w stosowaniu „sztuki medycznej” celem podtrzymywania pacjenta przy życiu, o leczenie więźniów i skazańców; pośrednio również – o dopuszczalność stosowania „eutanazji”, czyli bezbolesnego uśmiercania pacjentów nieuleczalnie chorych. Sprawy te były od dawna przedmiotem dyskusji z udziałem lekarzy, moralistów, prawników, a nawet polityków i strategów. Bezpośrednio jednak dotyczyły, względnie dotyczą lekarzy i wynikają z ich fachu. Oto zwięzłe opinie autora, jako laika:

Sprawa pierwsza, najbardziej „fachowa”, rozwiązywana bywa przeważnie i praktycznie według rozporządzalnych możliwości techniczno-medycznych lekarza. Możliwości te są różne w klinikach, w szpitalach, ośrodkach zdrowia i w prywatnych gabinetach lekarskich. Inne są w warunkach normalnego dostępu do lekarza, a inne w sytuacjach nagłych lub wyjątkowych. Osobno uwzględnić trzeba sytuację lekarzy prywatnych w krajach kapitalistycznych czy w ramach społecznej służby zdrowia. Na ogół lekarze leczą czym mogą i jak umieją. Praktyczne problemy, za nimi moralne konflikty i refleksje filozoficzne mogą się pojawić i niekiedy pojawiają się, gdy w przekonaniu lekarza sztuczne podtrzymywanie życia pacjenta, np. pacjenta od dawna bezprzytomnego, wyczerpanego, nie rokującego żadnych nadziei i klinicznie zmarłego, nie ma sensu, natomiast osoby bliskie pacjentowi domagają się od lekarza czy służby klinicznej podtrzymywania zabiegów o utrzymanie resztek czy pozorów życia. W takich sytuacjach wysuwa się argumenty za i przeciw. Na tle konfliktów mniej lub bardziej filozofuje się głównie w zakresie problematyki etycznej.

Moralnie osobliwy jest problem leczenia według prawideł „sztuki lekarskiej” osób skazanych. Od czasu do czasu występował w różnych sytuacjach społeczno-historycznych. W krajach cywilizowanych, w których kary śmierci jeszcze nie zniesiono, jest to realny problem lekarzy więziennych. Tkwi w nim niemało makabry, ze względu na sprzeczność między sensem kary śmierci a istotą zawodu lekarskiego.

Zarówno lekarzy, prawników, jak i opinię publiczną porusza od czasu do czasu wysoce sporny problem eutanazji, marginesowo nawiązującej do poruszonej wcześniej sprawy leczenia „za wszelką cenę” pacjentów bez żadnych możliwości powrotu do zdrowia. Czynnikiem różnicującym jest litość w obliczu strasznych cierpień pacjenta nieuleczalnego. Ścierają się z sobą względy medyczne, prawne, społeczne i moralne, obarczone „arcy-ludzkim” współczuciem do człowieka niezdolnie cierpiącego. Pośrednio w grę wchodzi przekonania światopoglądowe, w szczególności etyczne.

Rozdział dziesiąty

**Powstawanie zagadnień  
ogólnej filozofii bytu**



## Zagadnienia ontologiczne

Filozofia obejmuje wiele różnych zagadnień, jednakże w oczach laika jest nieledwie tożsama tylko z ich częścią, nazywaną zazwyczaj – przez fachowców – ontologią. Wyrażenie to pochodzi z greckiego słowa *on* (łac. *ens*), znaczącego ‘byt’. Chodzi więc o zagadnienia dotyczące bytu. Co prawda, nie o byle jakie zagadnienia, gdyż wszystko, o czym się mówi i pisze, co się naukowo bada, jest jakimś fragmentem, jakąś stroną lub etapem bytu, czyli istnienia w najszerszym znaczeniu tego słowa.

Charakter filozoficzny, w szczególności ontologiczny, mają tylko niektóre zagadnienia odnoszące się do bytu. Jakie? W ujęciu lapidarnym chodzi tu o różne „ostateczności” w jego sposobie istnienia. Przykładowo: zagadnienie czy to skończoności, czy to nieskończoności przestrzeni i czasu jest pokroju filozoficznego. Takie są również zagadnienia istoty bytu, jako substancji „ostatecznej” podzielności najdrobniejszych części materii, „ostatecznej” przyczyny, „ostatecznego” celu wszechrzeczy itp. Wspólnym mianownikiem pięciu spośród wymienionych tu „ostateczności” (przestrzeń, czas, substancja, podzielność materii, przyczyna) jest związek z poznawaniem zewnętrznym, zwłaszcza naocznym. Zgodnie z tym trzeba się „przyjrzeć” takiemu właśnie poznawaniu, aby zrozumieć powstawanie owych „ostateczności” w umyśle danej osoby. Natomiast zagadnienie „ostatecznego” celu byłoby psychologicznie niezrozumiałe bez osobistych doświadczeń kształtowania celów i celowego postępowania. Mimo to włącza się je zazwyczaj do zakresu zagadnień ontologicznych, a to z powodu antropomorficznej skłonności do dopatrywania się celów w zjawiskach poznanych wzrokowo i w tym sensie obiektywnie. Przy tym zagadnienie celu niespostrzeżenie kojarzy się z zagadnieniem

przyczyny, ponadto z domniemaniem, że to, co celowe, jest wartościowe (sensowne, cenne). W każdym razie „ostateczny cel” bywał w systemach filozoficznych z reguły „ostatecznym sensem”.

Po tych objaśnieniach spróbujmy rozpatrzyć psychologicznie „ostateczności” ontologiczne. Rozpocznijmy od psychologii poznawania przestrzeni, w ślad za tym od próby psychologicznego rodowodu ontologicznego zagadnienia przestrzeni.

## **Rozwój poznawania przestrzeni**

Przypuśćmy, że dziecku czteroletniemu wpadło na myśl pytanie: co znajduje się poza znanym mu naocznie widnokreślem? Myśli sobie, więc dowiadyuje się, że tam dalej jest fabryka niewidoczna z jego miejsca obserwacyjnego i że tam za fabryką jest rzeka. Być może na wiadomości tej dziecko nasze poprzestanie. Jako sprawdzenie wystarczą mu słowa rozmówcy. Problem, „co też tam być może za widnokreślem”, okazał się więc łatwo rozwiązywalny. Nie znaczy to jednak, że niepokój o przedmioty w przestrzeni budzi zawsze problemy równie łatwe.

Stopień zadowolenia z danej odpowiedzi na temat obecności przedmiotów poza aktualnym polem widzenia uzależniony jest od kilku czynników zmiennych. Zależy on przede wszystkim od zasobu osobistej wiedzy o rzeczach i stosunkach przestrzennych, stopnia ogólnej dojrzałości umysłowej, stopnia inteligencji ogólnej, jakości wyobraźni, zwłaszcza wyobraźni wzrokowej. W związku z tym dziecku jednemu odpowiedź dana: „tam dalej jest fabryka, za fabryką jest rzeka” wystarcza, natomiast dziecku innemu bądź temu samemu, lecz w innej chwili, już nie wystarcza. Chce ono wiedzieć coś więcej, mianowicie co jest tam dalej, za fabryką i za rzeką. Chce sięgnąć myślą w przestrzeń dalszą. Dowiadyuje się więc, że tam dalej, i to z każdej strony widnokreśgu, znajdują się domy, lasy, wzgórza i osiedla. W ten sposób dziecko niespostrzeżenie rozwija swój „widnokrąg” umysłowy w zakresie stosunków przestrzennych. Jedno szybciej, inne wolniej, ale każde zdobywa wciąż nowe wiadomości o miejscach i miejscowościach coraz to nowych, o odległościach coraz to dalszych w porównaniu ze spostrzeganymi z mieszkania lub z miejsca zamieszkania, poznawanymi na spacerach itp.

Z czasem, zazwyczaj w ławie szkolnej, dziecko zapoznaje się świadomościowo z przestrzeniami, których sobie już nie uprzytamnia w swej wyobraźni, lecz o których się po prostu uczy. Dowiadyuje się na przykład, że w odległości 350 km od miejsca zamieszkania znajduje się stolica Polski



Warszawa, że Polska przylega od północy do Bałtyku, że od zachodu graniczy z Niemcami, że od południa opiera się o łuk Karpat, że leży w środkowej Europie, że Europa jest półwyspem lądu euroazjatyckiego, że jest wiele mórz i oceanów, wiele kontynentów i że to wszystko znajduje się na powierzchni kuli ziemskiej.

Mniej więcej u dziecka dziesięcioletniego, które w zwyczajnym szkoleniu wielu krajów rozpoczynało naukę szkolną między 6. i 7. rokiem życia, budzi się już niepokój umysłowy dotyczący głębi i wypełnienia ciętami niebieskimi przestrzeni międzygwiazdnych oraz rozmiarów szerokiego świata, w którym Ziemia stanowi już tylko niewiele znaczący pyłek materii gwiazdnej.

Niepokój ten podsycają coraz to nowe wiadomości szkolne i książkowe z astronomii. Tak przeto myśl młodego człowieka, zaprawiana różnymi podnietami, w szczególności informacjami do szukania przestrzeni coraz dalszych, zwraca się przy okazji nad lekturą lub nad słowami rozmówcy rozprawiającego o gwiazdach ku przestrzeniom, o których już nie mówią ani nauczyciele, ani książki. Umysł wyzwolony z „dogłędania” interesów naocznych stwarza w takich okazjach niejako siłą swego rozpędu zrazu niewyraźnie dziwne odczucie dotyczące przestrzennej nieograniczoności świata, a w ślad za tym mniej lub bardziej ostry problem: Czy w ogóle, a jeśli tak, to gdzie właściwie znajdują się granice wszechświata?

## **Droga do nadmiaru poznawania przestrzeni**

Umysł, przyzwyczajony do stwierdzania ładu przestrzennego, szuka coraz dalszych obszarów, nie znajduje ich kresu, równocześnie zaś protestuje przeciw łatwości, z jaką sunie po bezmiernej pustce świata za wszelkimi mgławicami i drogami mlecznymi, na jakich jeszcze znajdzie oparcie tymczasowe. Z jednej strony osobie marzącej intelektualnie wydaje się, że bezmiar przestrzeni nie ma granic żadnych. Z drugiej strony umysł przeciwstawia się bezgraniczności – z powodów, o których mowa będzie osobno w próbie wyświeatlenia genezy zagadnienia jedności świata – przypuszczeniem, że przecież „to wszystko” musi być jakoś skończone i całe. W ten sposób powstaje nie tylko jeden z odwiecznych i kapitalnych problemów wszelkiej ontologii (w szczególności – kosmologii), ale także zarys ewentualnych rozwiązań.

Rozwiązania te są zresztą pozorne. Osoba snująca rozważania nastawia się wprawdzie raz na nieskończoność, innym razem na skończoność

przestrzeni, jednakże brak jej sprawdzianów. Z niepokoju dotyczącego bezmiaru przestrzeni wyłania się potrzeba hipotez racjonalnych, lecz problemowi i hipotezom nie towarzyszy „wymiana zdań” z rzeczywistością naoczną, dzięki której dany pomysł co do skończoności czy nieskończoności przestrzennej wszechświata udałoby się sprawdzić. Wobec braku weryfikacji wszelkie hipotezy w sprawie granic wszechświata są przeto ostatecznie „pustym zmyśleniem”.

Niechby bowiem nie wiedzieć jak daleko posunęły się badania astronomiczne, wykonane z użyciem najnowocześniejszych i wręcz gigantycznych teleskopów, sytuacja nie zmieni się w sposób zasadniczy. Być może astronomowie przyjmą z czasem jednostki odległości przestrzennej, pozostające w takim stosunku do niewyobrażalnych lat światła, jak te w stosunku do sekundy. Być może za pomocą jakichś, nie sporządzonych jeszcze, niezmiernie uczulonych namiastek czy wysłanników oka poznamy dokładnie naturę gwiazd „najodleglejszych”. Być może granice zasięgu widzenia będą tysiąckrotnie bardziej odległe w porównaniu z obecnymi granicami teleskopowymi. Sytuacja nie ulegnie zmianie istotnej. Niezmienny pozostanie niepokój, w ślad za nim jasno sprecyzowany problem „najbliższego kawałka” przestrzeni tuż-tuż za granicami doświadczenia przestrzennego, zdobytego za pomocą – w danej chwili – najlepszych i najnowszych narzędzi nauki.

Co prawda, pytanie w sprawie „najbliższego kawałka” przestrzeni tuż-tuż za przestrzeniami już – dzięki astronomii – poznanymi, samo przez się nie jest jeszcze pytaniem filozoficznym. Każda nauka doświadczalna zmierza do przekroczenia granic doświadczenia w danej chwili dostępnego. Wciąż na nowo, o krok coraz dalszy, poszerzają się dla umysłu ludzkiego granice mikrokosmosu i makrokosmosu. W wyniku badań jedne hipotezy potwierdzają się, inne odpadają, jeszcze inne ulegają przekształceniu. Tak czy owak, nawet hipotezy mające z góry mało szans na potwierdzenie w badaniach sprawdzających należą – że tak rzec – do życia nauki, a nie do filozofii.

Znaczy to, że problem „najbliższego kawałka przestrzeni”, leżącego tuż-tuż za granicami świata poznanymi za pomocą narzędzi najnowocześniejszych ma jeszcze charakter naukowy. Problem ten leży co najwyżej na przejściu między nauką a filozofią. Natomiast bieda jest z problemem, w którym, nawiązując do poprzedniego, osoba snująca rozważania kosmologiczne stara się myślą ogarnąć całą przestrzeń wszechświata. Starając się to zrobić, gubi się w domysłach już całkiem bezpodstawnych. Wyobrażenia podsuwa jej wprawdzie pewne alternatywy, ale jakiegokolwiek

dane za poparciem tej czy innej z nich są kruche. Wobec tego nie doznaje ulgi, jaką niesie z sobą rozwiązanie problemów opartych na doświadczeniach. W braku oparcia na wyobraźni osoba ta albo rezygnuje z dalszych „pomyśleń”, albo mniej lub bardziej finezyjnie argumentuje. Alternatywę drugą w naszych czasach wybierają zazwyczaj „specjaliści od przestrzennego wszechświata” – astrofizycy i astronomowie.

## **Zagadnienie ostatecznych granic przestrzeni**

Póki laicy czy astronomowie trwają przy problemie: „Co znajduje się poza granicami świata dopiero co doświadczalnie poznanego?”, opierają się jeszcze przynajmniej „jedną nogą” na twardym gruncie doświadczenia. Jednakże gdy tylko pojawia się dalsze pytanie: „Gdzie są ostateczne granice przestrzenne wszechświata?” lub: „Czy w ogóle istnieją takie granice?”, brak jakiegokolwiek oparcia. Skutkiem tego zarówno filozofujący laik, jak i astronom tonie w nieokreślonej próżni myślowej.

Pojęcie „granic ostatecznych” jest bowiem nie do pojęcia, granice same nie są do wyobrażenia sobie. Wszak w pojęciu granicy mieści się domyślnie stosunek do przestrzeni dalszych, „zagranicznych”, a tu ni stąd, ni zowąd żądamy czy chcemy się domyślać jego braku. Wszak jeśli spróbujemy wyobrazić sobie kres wszelkiej przestrzeni, lotna wyobraźnia zaprawiona do poszukiwania przestrzeni coraz odleglejszych natychmiast podsunie „mgliste odczucie” obszarów dalszych, pogranicznych. Znaczy to, że brak umysłowi środków do ogarnięcia kresu wszechprzestrzeni.

Zresztą nie sposób uprzytomnić sobie przestrzeni absolutnie się nie kończącej. Wszystkie znane z doświadczenia obszary mają jakieś granice. Jak pojąć, jak wyobrazić sobie stan rzeczy radykalnie przeciwny jakiegokolwiek doświadczeniu? A zatem ani jedno, ani drugie wyjście z przedziwnego kłopotu nie daje zadowolenia. Sytuacja to na wskroś jęcząca i całkiem niepodobna do sytuacji jakiegokolwiek problemu czy to naukowego, czy też powszednio-życiowego. Oto typowa sytuacja zagadnienia filozoficznego.

Spróbujmy ją rozpatrzeć. Wiadomości o przestrzeniach astronomicznych nie są – zresztą tak samo, jak wszelkie inne wiadomości – martwymi śladami pamięciowymi, lecz są swoistymi energiami. Energie te prowokują wciąż nowe pytania w rodzaju: „A co jest za przestrzeniami wiadomymi?”. Stanowią podniety do nowych napięć emocjonalnych, a te domagają się likwidacji. W każdej wiedzy tkwi potencjalne napięcie

emocjonalne w odniesieniu do sąsiadującej z nią niewiedzy. Obok zasadniczego podobieństwa zachodzi też jednak różnica niebagatelna między wiedzą naukową bądź powszechną a kosmologiczną. Pytania i napięcie emocjonalne dotyczące spraw naukowych i powszednich ulegają likwidacji dzięki nowym doświadczeniom. Pytania i napięcie emocjonalne dotyczące przestrzeni poza obszarami poznanymi astronomicznie zlikwidować trudno.

Powie ktoś: jest przeciwnie. Wszak wystarczy odczekać lub zapoznać się z nowymi odkryciami astronomicznymi. Nie sposób przyznać mu racji. Nowe odkrycia astronomiczne wzbudzą nowe pytanie, nowy niepokój, nowe napięcie emocjonalne. Wciąż na nowo myśl uskrzydłona wybiegać będzie poza – w danej chwili doświadczalnie ogarnięte – kresy przestrzeni. Nastawienie poznawcze jest tu więc hiperfunkcyjne.

Rzecz na tym się nie kończy. Zazwyczaj chyba myśl nie zadawała się próbą uprzytomnienia sobie obszarów leżących tuż poza granicami przestrzeni już poznanej za pomocą „najnowszych metod” astronomii, lecz chce ogarnąć bez reszty obszary wszelkie. To miewamy na myśli mówiąc o wszechświecie, tj. o całości bytu. Tym samym jednak domyślamy się również całości przestrzeni, chyba że przestrzeni do bytu nie zaliczamy.

Nikt nie dostarczy materiału, dzięki któremu bylibyśmy zdolni uprzytomnić sobie przestrzeń wszelką. Wysiłek w tym kierunku może znaleźć oparcie jedynie we własnych środkach wyobraźni. Nowe odkrycia astronomiczne wzbudzą nowe napięcie poznawcze. Nikt i nic nie dostarcza materiału, dzięki któremu moglibyśmy zlikwidować je definitywnie. Możliwe są tu tylko mgliste domysły, słowa bez pokrycia, twierdzenia dogmatyczne, półśrodki intelektualne. Nic więcej.

Nauka zmierza do poznania związków między „rzeczami”, a rozwija się przez rozwiązywanie problemów opartych na hipotezach w zasadzie sprawdzalnych. Niepokój umysłowy związany z myślą o przestrzeni absolutnie skończonej lub nieskończonej odnosi się zawsze do przedmiotów nieracjonalnych, bo nie pozostających w stosunku do niczego więcej. Koncepcje świata czy to przestrzennie zamkniętego i ograniczonego, czy to otwartego i nieograniczonego są koncepcjami zupełnie nierelacyjnymi, tj. nie nadają się do ustosunkowania się do koncepcji innych. Z ich treści wynika bowiem, że „świat cały” z niczym więcej nie ma łączności. Koncepcje te są niewyobrażalne i nie do pojęcia, bo pojąć coś, to znaczy nawiązać, połączyć, ustosunkować coś do czegoś innego. Koncepcje świata przestrzennie czy to skończonego, czy to nieskończonego są to przeto koncepcje niemożliwe. Niemożliwy, hiperfunkcyjny, dech zatykający jest niepokój, nastawiony

na szukanie ostatecznych, przestrzennych granic świata. „Wszechświat” czy „przestrzeń całkowita” nie znajduje się w żadnym, choćby tylko mniej więcej uchwytym stosunku do przedmiotów innych. Są to więc pojęcia nie do pojęcia, przedmioty nie do uprzedmiotowienia.

Odnosi się to jednakowo do absolutnej i nieograniczonej przestrzeni Newtona, jak też do względnej przestrzeni zamkniętego w sobie wszechświata Einsteina. Jedna i druga koncepcja jest bowiem produktem w zasadzie tej samej hiperfunkcji poznawania obiektywnego. Ulegamy złudzeniom, wynikającym ze społecznego prestiżu nauki i uczonych, zwłaszcza zaś z ogromnego prestiżu uczonych genialnych, jeśli takie czy inne ich hipotezy dotyczące skończoności bądź nieskończoności przestrzeni (powiedzmy: wszechprzestrzeni) traktujemy jako hipotezy naukowe. Jeśli robią to uczeni sami (fizycy, astronomowie), ulegają autosugestii. „Aparat” matematyczny, zastosowywany do uzasadnienia danego poglądu co do skończoności (nieskończoności) przestrzeni, pogłębia złudzenia, ale nie stanowi środka do uzasadnień naukowo wystarczających, a więc sprawdzalnych.

Niemożliwość rozumnych rozstrzygnięć w sprawie przestrzeni nie ustosunkowanej do niczego więcej idzie w parze z wewnętrznym przymusem ich poszukiwania. Nie potrafimy konsekwentnie i na stałe odebrać się całkowicie od problemu hiperfunkcyjnego i zajmować stanowisko takie oto: „Obchodzi mnie tylko to, co mi daje doświadczenie, żadna absolutność nie wchodzi w rachubę; kto myśli o przestrzeni absolutnej, wpada na ślepy tor metafizyki; nauka definitywnie zerwała z metafizyką”. Łatwo zająć takie stanowisko, trudno się przy nim utrzymać, jak to wskazują wymownie życiorysy wielu wybitnych przedstawicieli nowoczesnej nauki, zarazem wielu zdeklarowanych wrogów metafizyki. Potępiali pewne formy metafizyki, sami powoływali do życia formy inne.

## **Zagadnienie skończoności, względnie nieskończoności czasu**

Problemy poznawania przestrzeni łączono zawsze, zarówno w fizyce, jak i w filozofii, z problemami poznawania czasu. Według Kanta czas i przestrzeń znajdują się na wspólnej platformie jako niezależne od doświadczenia „aprioryczne” sposoby spostrzegania. Jednakże niezależnie od treści filozoficznych sformułowań rozważania nad „naturą” czasu prowadzą do rozważań nad istotą przestrzeni i odwrotnie.

Nie inaczej jest z doświadczeniem potocznym. Również w nim czas i przestrzeń „chodzą” wspólnie. Mniej więcej też w jednakowym tempie rozwijają się u dzieci pojęcia o stosunkach czasowych i przestrzennych. Stwierdzenia te zdają się same przez się wskazywać na to, że hiperfunkcje poznania czasu i przestrzeni wywodzą się ze źródeł w zasadzie tych samych. W rzeczy samej, zapytania i spory ontologiczne odnośnie do czasu i przestrzeni leżą blisko siebie. Koncepcji nieskończoności (nieograniczoności) przestrzeni odpowiada koncepcja wieczności czasu. Koncepcji skończoności przestrzeni odpowiada koncepcja skończoności czasu. Nawet „wymiar” czasu i przestrzeni są podobne ilościowo; tu i tam trzy wymiary: długość, szerokość i głębokość przestrzeni; przeszłość, teraźniejszość i przyszłość czasu. Czasu i przestrzeni jednakowo dotyczą fizykalne koncepcje absolutności (Newton) i względności (Einstein). Kto stoi na stanowisku względności czasu, musi stanąć również na stanowisku względności przestrzeni i odwrotnie. Na podstawie tych analogii wydaje się, że również psychogeneza pojęć o wieczności bądź skończoności czasu musi być podobna do psychogenezy pojęć o nieskończoności bądź ograniczoności przestrzeni. Zastanówmy się nad tą sprawą bliżej.

Dziecięce pojęcia dotyczące czasu są – podobnie jak pojęcia dotyczące przestrzeni – niewyraźne i odnoszą się do bliskiej, lecz nieoznaczonej teraźniejszości. Przykładowo dzieci czteroletnie myślą wymiary czasu, a „okiem wyobraźni” nie sięgają poza bezpośrednio dany „horyzont czasowy”. Pod koniec wieku przedszkolnego – wcześniej lub później, zależnie od warunków środowiska wychowawczego – dzieci zaczynają wyraźnie odróżniać odcinki i kierunki czasu: chwilki, godziny, dni, wczoraj, dzisiaj, jutro, dawno, potem itp.

Pod wpływem nauki szkolnej dzieci zaczynają precyzować wskazane odcinki i stabilizować oś czasu od przeszłości poprzez teraźniejszość ku przyszłości. Wiele zależy przy tym od poziomu kulturalnego i od trybu życia danej zbiorowości ludzkiej. W naszej kulturze i cywilizacji do rozwoju pojęć dotyczących czasu przyczyniają się istotnie: uregulowany tryb wszelkich zajęć („z zegarkiem w rękę”) i szkolna nauka historii. Pierwszy – prospektywnie, druga – retrospektywnie. Przyzwyczajenie do szkolnego trybu życia, nastawienie na święta, imieniny, wakacje, wycieczki, a następnie rozrastanie się w przyszłość zamierzeń i planów, wszelkiego rodzaju zajęcia zawodowe stanowią z różnych stron oparcie do wyznaczenia etapów i odcinków czasu w kierunku ku przyszłości. Co prawda, kierunek ten pozostaje – w porównaniu z kierunkiem ku przeszłości – nawet u wykształconych osób dorosłych zawsze nieco mgławicowy. Pozna-



nie przeszłości i igraszki wyobraźni odnośnie do niej są u wszystkich ludzi bogatsze, częstsze i dokładniejsze niż odpowiednie poznanie i gra wyobraźni w kierunku ku przyszłości.

Wraz ze wzrostem doświadczenia osobistego rośnie zaciekawienie i niepokój odnośnie do coraz to nowych odcinków czasu. Najpierw na kanwie nauki historii myśl goniąca za przeszłością i uskrzydłona wyobraźnią „rozprzestrzenia się” ku czasom historycznym. Jednakże chłonny, pełen ciekawości, żywy umysł dziecka szkolnego na nich nie poprzestaje. Rychło wiadomości o danych początkach historycznych, np. początkach państwa polskiego, rozniecają niepokój w sprawie, co działo się wcześniej. W braku wiadomości konkretnych nauczyciel, książka, a za nimi wyobrażenia ucznia „dośpiewują” sobie czasem obrazy zamierzchłej przeszłości, częściowo legendarnej, po części opartej na badaniach prehistorycznych i archeologicznych. Uczeń odczuwa wprawdzie brak datowanych granic w praprzyszłości, ale pomimo to nadąża za nowymi pojęciami czasowymi i sięga coraz dalej, coraz głębiej wstecz.

Powoli układają się w myśli całe kultury: żelazna, brązowa, kamienia gładzonego, kamienia łupanego. Zależnie od typu szkoły niektórzy uczniowie precyzują swoje pojęcia o praprzyszłości na podstawie rozróżnień specjalnych, takich jak kultura Riss, Würm, kultura ludzi megalitu, kultura ludzi neandertalskich. Wciąż jeszcze „na skrzydłach” wyobraźni potrafią jako tako zdążać w pościgu za coraz odleglejszą przeszłością. Co ważniejsze, wciąż na nowo wyłania się w ich świadomości formalnie to samo pytanie: „A co było przedtem, a co było jeszcze wcześniej?”

W końcu nic czasów przeszłych, spleciona z elementami wiedzy naukowej, zaczyna się gubić i odmawiać swych usług jako przewodnik po przeszłości bardzo odległej. W umysłach ludzi uczonych, a nawet laików, powstają mniej lub bardziej jasne koncepcje o prapoczątkach kultury. Ale co było jeszcze wcześniej? Na skrzydłach wyobraźni myśl leci wstecz dalej i dalej. W braku wiedzy historycznej i archeologicznej szuka oparcia u antropologów, geologów, wreszcie astronomów, byle tylko znaleźć odpowiedź na coraz bardziej niepokojące pytanie: „A cóż było wcześniej?”

Antropolodzy informują o tym, jak to przypuszczalnie z antropoidów drogą kolejnych zróżnicowań dzięki przystosowaniom do środowiska i mutacjom wyłonił się gatunek „człowieka mądrego”, a w jego obrębie poszczególne odmiany i typy rasowe. Zoolodzy i paleontolodzy pozwalają na jeszcze głębsze zapuszczenie sondy czasowej, bo aż do owych zawrotnie odległych „chwil”, kiedy to z prochu czy z „mułu” ziemi wyłaniać się poczęły pierwsze prymitywy życia organicznego. A cóż było przedtem?



Przedtem – mówi z kolei geolog – Matka Ziemia, być może pod wpływem ruchu obrotowego prąsłańca, toczących się w nim procesów jądrowych lub może jeszcze w wyniku innego, całkiem nieznanego układu przyczyn, oderwała się od niego i zaczęła swoje własne, aczkolwiek niewolnicze życie. Dech to zapiera, ale mimo to nienasyceń i tą odpowiedzią kroczy my nieustraszenie w dal, jeszcze bardziej zamierzając.

Wobec bezradności czy niekompetencji geologa przyczepiamy się do astronoma z zapytaniem formalnie wciąż tym samym: „I cóż było przedtem? Cóż było przed narodzinami Ziemi? Jaka była przeszłość naszego Słońca?”. Astronom przedstawia nam typowy dramat „historyczny” Słońca naszego i słońc wszelkich – przypuśćmy – o treści następującej: „Na początku była niekształtna mgławica pyłków pramaterialnych. Z niej pod wpływem sił grawitacyjnych wyłoniła się już poniekąd skondensowana, półkształtna spirala. Z kolei wskutek coraz dalszej kondensacji, przemian jądrowych, działania sił grawitacyjnych i odśrodkowych wyłoniły się systemy gwiazdne o typowym przebiegu »historycznym«”.

Wciąż niezaspokojeni zapytamy: „Cóż było jeszcze przed mgławicami?” Tutaj już gubi się myśl goniąca za przeszłością. Brak jej punktów zaczepienia w stwierdzeniach lub hipotezach astronomów, fizyków i chemików. Jednakże pomimo to myśl „czasotwórcza” nie daje za wygraną. Wszak coś musiało się dzieć przed powstaniem wszelkich mgławic, przed wielkim Czasem, dostępnym badaniu naukowemu: „Co było przed nim?”.

Tu rozpoczyna się hiperfunkcja myśli kroczącej w ślad za ideą czasu. Póki do rozporządzenia były jakieś, zresztą jakiegokolwiek i choćby najstabsze punkty oparcia w wiedzy naukowej, póty rozpęd wyobraźni, wyrwywającej się ku prapoczątkom czasów, toczył się po „drodze bitej”. Natomiast teraz, gdy brak poszlak jakichkolwiek, wyobraźnia czynna jest wyłącznie „na własny rachunek”. Wobec rozpędu i utrwalonego nawyku do pytania: „A cóż było przedtem?” wyobraźnia nie może nie być czynna, nie może nie pozwolić sobie na powracające wciąż pytanie: „A cóż było przedtem?”. Niestety, nie sposób znaleźć odpowiedzi, która by zamykała pochod pytań i niosła zadowolenie.

Z braku wiarygodnych punktów zaczepienia odpowiedzi na niepokojące „coż dalej?” nie stanowią tylko spekulatywne rozpatrywania alternatywy: było może jeszcze coś, a może nie było nic więcej, tj. był prapoczątek. W gruncie rzeczy na każdym etapie „nici przeszłości” zachodzi zawsze ta sama alternatywa: było–nie było. Nadmierny problem czasu nie wyłaniał się z niej jedynie dlatego, że wciąż na nowo pojawiały się jakieś punkty zaczepienia do określonego „było przedtem tak a tak”.

Teraz dopiero myśliciel jest naprawdę w kłopotcie. Nie może, nie umie, nie chce przypuścić niemożliwego do pomyślenia i do wyobrażenia sobie: „przedtem – powiedzmy przed powstaniem wszelkich mgławic – nie było nic więcej”. Przeciwnie, chce wierzyć, że były przecież coraz odleglejsze etapy przeszłości astronomicznej. Były, toczyły się jakieś przemiany. Przeszłość była nieskończona, wieczna. Poza tym nie może, nie chce, boi się biec za wszak całkiem pustą przeszłością wieczną. Wobec tego usiłuje narzucić sobie ideę, że przeszłość miała swój ostateczny prapoczątek, swoją granicę. Przeszłość była skończona, ograniczona.

Aby upewnić się przy odpowiedzi kończącej, bo dającej wytchnienie wyobraźni zbyt chylącej i niedosytnej, człowiek znużony pogonią za prapoczątkiem wszechczasu mówi, dajmy na to, oto tak: „Prapoczątkiem rzeczy był Bóg, a o początek Boga pytać się nie należy”.

Nie inaczej jest z pogonią za przeciwnym wymiarem czasu, tj. z pogonią za przyszłością. I tutaj start skojarzeń „czasotwórczych” jest banalny. Ład przyszłości rozpoczyna się od małych odcinków czasu, związanych z potrzebami życia codziennego, z rytmem dni roboczych i świąt, z organizacją szkoły, z urlopem, z drobnymi planami i zamierzeniami. Jednakże z planów niepozornych wyłaniają się stopniowo coraz bardziej daleko siężne marzenia, z nich niekiedy ambitne plany i postanowienia, ogarniające coraz większe odcinki przyszłości. Osoba zaprawiona do myślenia o coraz większych odcinkach przyszłości osobistej niespostrzeżenie przechodzi do „pomyśleń” – coraz trudniejszych, lecz nieuniknionych – o czasach za lat dziesięć, sto, tysiąc. Znacznie szybciej niż w odniesieniu do przeszłości dochodzi do kresu, w którym czuje jeszcze jaki taki grunt pod nogami. Przypuśćmy taki oto bieg pomyśleń w mowie wewnętrznej: Nowe przeobrażenia społeczne, nowa stabilizacja cywilizacji i kultury. Gdzieś tam w przyszłości definitywne zjednoczenie całej ludzkości, okres niewyobrażalnego – dla ludzi XX wieku – dobrobytu i rozkwitu, potem zmierzch ludzkości, zmierzch Ziemi, potem wprawdzie nie wiadomo co, ale przecież musi być jakieś „potem”.

Historia się powtarza, lecz na przeciwnym krańcu czasu. I znów myśliciel stoi wobec dręczącej alternatywy: skończoność czy wieczność czasu? Znów pojawia się odczucie bezpodstawności pytań, od których jednakże trudno się oderwać. Myśliciel zaprawiony do porządkowania wydarzeń w czasie, w ślad za tym do uprzytomniania sobie coraz dalszych jego ogniów, nie chce poprzestać na ogniwie, do którego rozporządza jakim takim materiałem doświadczalnym. Odrywając się od wszelkiego rodzaju materiału, od wszelkich punktów zaczepienia, stoi wobec filozoficznego

problemu przyszłości bezgranicznej bądź przeciwnie – skończonej, czyli wobec myśli o ostatecznym, przyszłym kresie czasu.

Jest to już tylko próba uogólnienia sprawy, gdy umysł błakający się po bezkresach przeszłości i przyszłości najbardziej odległej dochodzi do koncepcji wszechczasu, tj. czasu obejmującego wszelką przeszłość i przyszłość łącznie, do koncepcji czasu ostatecznego, absolutnego. Podobnie, jak to bywa z koncepcją przestrzeni ostatecznej, absolutnej, także tutaj wyłaniają się dwie zasadnicze możliwości:

1. Wszechczas jest nieskończony w obu kierunkach (ku przeszłości i przyszłości).

2. Wszechczas jest wielkością skończoną, zamkniętą, całą.

## **Zagadnienia wyłaniające się z poznawania przemian**

Do pospolitych czynności poznawczych należy stwierdzenie rozmaitych przemian w rzeczach i zjawiskach. Dostrzega je już małe dziecko. W jego doświadczeniu wiktuały dopiero co zakupione na targu zmieniają się w potrawy; materiały tekstylne w sukienki czy inne części ubrania, deski, gwoździe, blachy w sprzęty, węgiel zmienia się w ogień, dym i popiół, woda w lód lub parę, ubranko nowe w zniszczone. W miarę nagromadzania się nowych doświadczeń tego rodzaju wzbogaca się wiedza dziecka o przemienności zjawisk.

Podobnie jak w poznawaniu stosunków czasowych i przestrzennych wiedza ta jest coraz dokładniejsza i coraz częściej odnosi się do przedmiotów znanych dziecku już tylko pojęciowo. Już w szkole podstawowej uczeń dowiaduje się co nieco o atomach, molekułach, przeobrażeniach radu. Uczniowi szkoły średniej zrozumiała wydaje się przemienność energii fizycznych. Dość szybko uczeń ten dochodzi do zrozumienia pojęcia elektronu, jako jednej z „ostatecznych” cegiełek świata materialnego. Pod łącznym wpływem nauki szkolnej, książek popularnonaukowych, odczytów w umyśle jego wyłania się niepokojące pytanie o „ostateczny” substancjalny charakter bytu.

Droga wysiłków poznawczych prowadzi tu w dwóch kierunkach:

1. Raz umysł obraca się wyłącznie w świecie doświadczenia zmysłowego – głównie wzrokowego – i zdąża za procesem rozkładania ciał (widzianych bądź widzialnych, dotykalnych) na ciała coraz prostsze lub też przeciwnie – za procesem składania się ciał prostych na coraz bardziej złożone. Przy tym pod wpływem tradycji filozoficznej ogół „ciał” (sub-

stancji, rzeczy widzialnych i dotykalnych) nazywa się zazwyczaj materialnymi, krótko – materią. W nazwie tej tkwi domysł co do ich niezależności od wzroku (dotyku), aczkolwiek nasamprzód właśnie wzrok służy do ich poznawania.

2. Kiedy indziej myśliciel wychodzi od przeciwstawienia przedmiotu spostrzegania czynności umysłowej i stawia sobie pytanie: Co jest pierwotne: przedmiot spostrzeżeń czy czynność spostrzegania? Czy jedno wiąże się jakkolwiek z drugim?

W wypadku pierwszym chodzi o zagadnienie najmniejszych cząstek substancji materialnej lub największych skupień materii w postaci rzeczy najbardziej złożonych, w drugim o jakość pramateriału, z którego ostatecznie cały świat jest „zrobiony”. W obu wypadkach osoba myśląca rychło natrafia na granicę swej wiedzy. Jednakże w obu wypadkach przekracza ją, ponieważ nie umie – zaprawiona do myślenia „substancjotwórczego” – powstrzymać się przed jej przekraczaniem. W obu wypadkach kształtują się swoiste problemy z „przesady” wysiłków poznawczych, mianowicie problemy filozoficzne substancji najprostszych, rzeczy najbardziej złożonych, a przecież stanowiących całość „przedmiotową” i wreszcie problem „ostatecznego” charakteru praszubstancji.

Głównie ten trzeci problem powracał wciąż na nowo w dziejach filozofii europejskiej, zaś próby jego rozwiązania nadawały ton systemom filozoficznym. Próby te oscylowały zawsze między tymi samymi dwoma biegunami: materializmu i spirytualizmu czy idealizmu ontologicznego. Prześledźmy ich przebieg.

W doświadczeniu powszednim, nie uprzedzonym wątpliwościami epistemologicznymi, patrzymy na rzeczy i zjawiska jako na coś obiektywnego, a to w dwóch znaczeniach łącznie:

1. coś dziejącego się bądź istniejącego przed oczyma;
2. coś od nas (od naszej woli, od naszej osoby, od naszego istnienia) niezależnego lub tylko częściowo zależnego.

Przekonani jesteśmy o tym, że rzeczy mają takie barwy, jakie dostrzegamy, że znany nam smak potraw tkwi w samych potrawach, znane nam zapachy są obecne faktycznie w substancjach pachnących, znane twardości i opory są własnościami samych przedmiotów przez nas dotykanych. Krótko, obiektywizujemy nasze doświadczenia i zajmujemy stanowisko, nazywane przez historyków filozofii naiwnym realizmem.

Tylko wyjątkowo zdajemy sobie sprawę z własnego udziału w jakości naszych doświadczeń. Trzeba było wielowiekowego rozwoju myśli filozoficznej, licznych rozważań i argumentów krytycznych, co ważniejsze,

wielu badań eksperymentalnych, zanim ludzie pojęli – częściowo – zależność jakości wrażeń zmysłowych od budowy układu nerwowego. Jednakże pomimo to, że ją w zasadzie poznali, nie potrafili zerwać całkowicie ze sposobem patrzenia na rzeczy widziane, jako na coś obiektywnego w sensie „niezależnego od czynności poznawczych”.

Przed sobą czy poza sobą człowiek dostrzega nieustanne przemiany, jednakże „aby się nie zgubić”, w przemianach szuka stałości. Wszystko się wciąż zmienia i porusza. Zmiana i ruch nie są złudzeniem, lecz właściwością czy „sposobem zachowania się” względnie stałych przedmiotów w najszerszym znaczeniu tego słowa: skał, roślin, zwierząt, ludzi, cieczy, gazów, ciał stałych, ziemi, księżyca, słońca, gwiazd. Przed czy poza sobą człowiek dostrzega więc przedmioty (rzeczy) zmieniające się, a nie po prostu zmiany same przez się.

Ludzie obracają się w granicach doświadczenia, póki potrafią wskazać na konkretne przedmioty – niechby nawet nieskończenie małe dla wzroku – spostrzegane choćby tylko pośrednio i za pomocą skomplikowanych przyrządów stosowanych w doświadczeniu naukowym. Właśnie w tym sensie mówi się o najmniejszych – nauce znanych – składnikach atomów jako o cegiełkach materii lub świata materialnego. Pomimo najdalej posuniętego oderwania się ludzi nauki od rzeczy naocznych, znanych z doświadczenia powszedniego, znajdujemy się przecież wciąż jeszcze w granicach doświadczenia, i to doświadczenia dokładnego, bo naukowego. Wobec tego fizykalne pojęcie materii, jakim w tym stanie dociekań nauka się posługuje, nie jest pojęciem filozoficznym, znanym z dziejów materializmu, ani też nie mieści w sobie domyślnie filozoficznego sporu między naturalizmem (materializmem) a idealizmem (spirytualizmem). Co prawda, droga od czy do powszedniego czy to fizykalnego pojęcia materii do pojęcia materii w ujęciu filozoficznym jest już niedaleka. Spróbujmy ją odtworzyć.

## **Powstawanie filozoficznego sporu: materializm – idealizm**

Gdziekolwiek się zwrócimy: ku najodleglejszym gwiazdom, ku ciałom stałym, płynnym i gazowym, ku roślinom i zwierzętom, wszędzie bez trudu zastosowujemy ogólne pojęcie materii, wszędzie dostrzegamy przedmioty, a zatem świat materialny. Wszystko, co tylko w świecie zewnętrznym zauważamy, podlega przemienności substancji jednych

w inne, substancji złożonych w coraz bardziej proste lub przeciwnie – substancji prostych w coraz bardziej złożone.

Nic nie stoi na przeszkodzie, aby również ludzi – wszak dostrzeganych jako przedmioty – pojmować jako cząstki materii. A więc nie istnieje nic oprócz materii. Inaczej to samo: cały świat jest materialny, jest materią w ruchu. Jeśli wszystko jest materialne, jeśli jest jakimś stanem skupienia materii w ruchu, w takim razie materialne jest również „ja” danej osoby. Materialne są jej spostrzeżenia, jej myślenie, jej uczucia, zamiary, decyzje, krótko – jej psychika. A jeśli nie jest materialne wręcz, jest czynnością lub produktem materii, jej emanacją. Znajdujemy się – jak widać – na platformie materializmu ontologicznego.

Tu jednak wyłaniają się wątpliwości. Cóż to ma znaczyć, że moje „ja” jest materialne, względnie że jest produktem materialnego mózgu? Wszak do pojęcia materii doszliśmy uogólniając doświadczenia z przemiennością przedmiotów (zjawisk) leżących przed nami, przedmiotów obiektywnych. Ni stąd ni zowąd włączamy w krąg materialności coś, co bynajmniej nie leży przed nami, w obrębie doświadczenia zmysłowego, lecz siebie samych i czynności poznawcze. Oczywiście, żadnych zastrzeżeń nie widać z włączaniem własnego – dostrzegalnego własnym wzrokiem – ciała w świat materialny. Tak samo jak nie ma zastrzeżeń co do materialności osób przez nas dostrzeganych. Wszystko, co wzrokowo zauważamy, jest materialne. Jest przemienne według praw fizyki, chemii i biologii. Jako wzrokowo dostępne jest zarazem – w pospolitym sensie tego słowa – obiektywne. Jednakże zmysłami, powiedzmy wzrokiem, wcale nie dostrzegamy obiektywnej przemienności w czynnościach własnej jaźni. Są one czymś subiektywnym, czymś niepasującym do ogólnego pojęcia materii wypracowanego przeważnie na gruncie doświadczenia wzrokowego.

W tym zastrzeżeniu tkwi początek typowej argumentacji idealistów wszelkich czasów. Pójdźmy jej śladem:

„Naprawdę nic nie wiemy o istnieniu materii jako substancji czy podścielisku warunkującym przemienność wzrokowo zauważanych zjawisk, czyli przedmiotów doświadczenia. Naprawdę wiemy jedynie coś o nas samych. To tylko jest pewne, że my sami istniejemy, że przeżywamy nasze myśli i uczucia, nasze pragnienia, dążenia, plany i postanowienia. Jeśli ogół naszych przeżyć nazwać świadomością, tylko jej istnienie jest pewne. Nic poza tym. Pojęcia przedmiotów obiektywnych, w ogóle zaś pojęcie świata obiektywnego jest niepewne. Jest wywnioskowana z niewątpliwego faktu istnienia naszej własnej, świadomej egzystencji. Jeśli cokol-



wiek istnieje naprawdę poza naszą własną jaźnią, mogą to być wyłącznie jaźnie inne, egzystencje świadome, a nie coś materialnego”. – Oto myśli przewodnie idealizmu subiektywnego.

Każda strona spierająca się ma swoje argumenty i kontrargumenty. Materialiści rzucają pytania pełne ironii: Czym to wytłumaczyć, że jaźń ludzi różnych ma do czynienia z przedmiotami i doświadczeniami takimi samymi? Czy stanowisko idealistyczne nie prowadzi – jeśli je konsekwentnie podtrzymywać – do solipsyzmu, to jest do przekonania, że „naprawdę istnieje wyłącznie ja sam, nikt i nic oprócz mnie?”.

W nawiązaniu do tych pytań rzecznicy materializmu orzekają: Idealizm jest bezpłodną metafizyką, niezgodną ani z duchem nauki, ani z podstawowymi wymogami logiki. Jest przeżytkiem myślenia animistycznego. Co więcej, jest narzędziem w rękach klas wyzyskujących i chcących podtrzymywać niewolę społeczną.

Na to idealiści: Materializm ma charakter nie mniej metafizyczny od idealizmu, jest przy tym metafizyką gruboskórną, bo ignorującą oczywisty fakt zależności wszelkiego doświadczenia od – wszak subiektywnych – czynności umysłowych. Chęć wygrywania metafizyki materialistycznej w imię potrzeb klas wyzyskiwanych społecznie nie jest argumentem wystarczającym do logicznego ugruntowania tego stanowiska.

I tak dyskusja, podsycana żagwią namiętności społecznych, toczy się z pokolenia na pokolenie bez rezultatu definitywnego, bez rozwiązania problemu, o który chodzi, tj. problemu „ostatecznego charakteru bytu”.

Czemuż to strony spierające się nie mogą dojść wreszcie do zgody? Odpowiedź psychologiczna brzmi: Nie mogą, ponieważ sposób ujęcia samego problemu na to nie pozwala. Póki posługujemy się pojęciem substancji na podstawie doświadczenia, jesteśmy na twardym gruncie faktów. Pojęcie materii i odpowiadające temu pojęcie energii ma ściśle określony sens, jako uogólnienie czy to z doświadczeń powszednich, czy to z naukowych pomiarów, dotyczących różnych rzeczy lub form i natężeń energii. Pojęcie to jest niezbędne do teoretycznego opisu doświadczenia. Gdy jednak, poniesieni chybą wyobraźnią, rzucamy samych siebie (w znaczeniu umysłu poznającego) na ekran doświadczenia przedmiotowego, sytuacja wikła się i stawia nas wobec trudności nie do pokonania.

Podobnie jest z poznawaniem samych siebie. Nie sposób poznawać samego siebie, nie sposób przedstawić wyników poznania w sposób zrozumiały, jeśli aktów i treści świadomości nie traktować jako przejawów jaźni, będącej – w dziedzinie poznawania samowiednego – odpowiednikiem substancji czy materii i energii w zakresie poznawania przedmio-



towego. Wszak zakładamy, że ktoś myśli, ktoś przeżywa swoje uczucia, pragnienia, ktoś postanawia. Gdy jednakże zaczynamy treści doświadczenia zmysłowego traktować po prostu jako treść świadomości i przejawy jaźni, zaczynamy się wikłać myślowo. Niknie – w naszym obrazie rzeczywistości – przyroda, niknie obiektywny świat i filozof naraża się na pośmiewisko w świetle zdrowego rozumu.

## **Powstawanie filozoficznego zagadnienia przyczynowości**

Do podstawowych problemów filozoficznych – przynajmniej w ramach tradycji myśli europejskiej – należał od wieków problem przyczynowości. Ściśle biorąc, mamy tu do czynienia z dwoma problemami, a mianowicie:

1. z problemem istoty i form związku przyczynowego;
2. z problemem przyczyny absolutnej, czyli ostatecznej.

W pierwszym z nich chodzi o ustalenie treści pojęcia „związku przyczynowego”, w drugim o sprawcę ostatecznej „sprężyny” wszelkiego bytu. Oblicze filozoficzne pierwszego z nich jest – na pierwszy rzut oka – niewyraźne. Oblicze drugiego jest od samego początku filozoficzne w całej pełni. Tutaj zajmujemy się tym właśnie, tj. w pełni filozoficznym problemem przyczynowości. Spróbujmy przedstawić jego psychogenezę.

Nie byłoby ani epistemologicznego, ani ontologicznego zagadnienia przyczynowości, gdyby nie było tego, co psychologowie zwą „myśleniem przyczynowościowym”, tj. czynnością poznawczą łączenia ze sobą zjawisk według „kategorii przyczynowości”. Jak rozwija się myślenie przyczynowościowe? Badania psychologiczne nad myśleniem dzieci, ludów pierwotnych, ludzi z różnych kultur, ludzi dorosłych wykształconych i niewykształconych pozwoliły na wytworzenie poglądu naukowego na prawidłowości w tym zakresie. Zapoznajmy się z nimi zwięźle.

Dzieci do pewnego wieku nie znają pojęcia przyczyny, a gdy zaczynają się posługiwać słowami „przyczyna” i „skutek”, czynią to początkowo werbalnie. Nie znaczy to, że nie myślą przyczynowo, to jest, że wcale nie starają się poznawać związku zjawisk. Ale staranie ich w tym kierunku jest inne niż w myśleniu dorosłych. Skąpość doświadczenia nie daje dziecku dostatecznych podstaw do przekonania, znamiennego dla dorosłych wykształconych, że między zjawiskami zachodzi związek konieczny i obiektywny, niezależny od czyichś życzeń i postanowień. Autorytet osób dorosłych, mogących na oczach dziecka i w myśl jego życzeń lub wbrew

tymże zrobić wiele, powoduje u niego skłonność do mniemania, że rzeczy są po prostu zrobione przez kogoś, powołane do egzystencji czyjąś wolą i sprawczą ręką. Skłonność tę nazwano artyficyalizmem.

Skojarzenie nazw z rzeczami i czynnościami powoduje w umyśle dziecka domniemanie jakoby słowa miały moc sprawczą. Psycholodzy niektórzy mówili tu o „magicznej” postawie dziecka wobec rzeczywistości. Magizm to wiara w potęgę słów, w ich moc sprawczą bez związku fizycznego ze skutkami. Lévy-Bruhl, etnopsycholog francuski, postawił tezę, że u ludzi pierwotnych istnieje osobny rodzaj myślenia przyczynowościowego właśnie w postaci myślenia magicznego. Jean Piaget, psycholog genewski, zastosował tę tezę do psychologii dzieci i mówił o „przedprzyczynowości” w ich myśleniu.

Spory specjalistów na ten temat mogą nas tutaj nie obchodzić. Czy będziemy mówili o specjalnym rodzaju myślenia przyczynowościowego u dzieci i u ludzi prymitywnych umysłowo, czy też tylko o słabym jego wyrobieniu, pozostanie oczywisty fakt, że myślenie to jest niewątpliwie jakościowo inne niż u wykształconych osób dorosłych. Wydaje się przy tym, że różnice między myśleniem przyczynowościowym dzieci i dorosłych ująć należy nieco inaczej, niż to robiono dotychczas, a mianowicie w oparciu o porównanie sposobów myślenia przyczynowościowego zarówno dzieci, jak i wykształconych osób dorosłych z myśleniem właściwym nowoczesnej nauce.

W nauce tej mówi się raczej o uwarunkowaniu (o uzależnieniu) zjawisk niż o ich przyczynach. Sposób wyrażania się ludzi nauki spowodowany jest prymitywizmem powszedniego pojmowania związku przyczyn ze skutkami, natomiast bynajmniej nie zerwaniem z myśleniem przyczynowościowym. W przekonaniu ludzi nauki i w myśl ich powszedniej praktyki badawczej uwarunkowania zjawisk stanowią, że tak rzec, więź ciągłą, wielostronną i wielce złożoną. Więż ta jest poniekąd nowoczesnym odpowiednikiem „łańcucha przyczyn i skutków”, ale nie jest tożsama z nim, gdyż z naukowego punktu widzenia chodzi raczej o skomplikowaną „sieć” niż o „łańcuch”, który można ciągnąć. Co prawda, idea „łańcucha” przyczyn i skutków jest o tyle sensowna, o ile w ogromnej ilości przypadków na plan pierwszy wysuwają się pojedyncze, łatwo oddzielne od innych, skutki, względnie przyczyny.

Cóż to znaczy: „ciągła więź uwarunkowań”? Znaczy: niekończący się i nieprzerwany nigdzie splot zjawisk. Skomplikowana „sieć” uzależnień. Dane zjawisko jest uwarunkowane przez szereg innych, te z kolei przez szereg zjawisk innych równocześnie i zwrotnie. Specjalista stara się o ilo-

ściowe określenie udziału poszczególnych warunków w powstawaniu danego zjawiska, na przykład wulkanizmu, oraz o – również ilościowe – jego powiązanie ze zjawiskami innymi, tak aby odtworzyć pojęciowo jego genezę. W rozwoju nie ma luk czy skoków, nie ma też początku. Rozumie się, że z uwagi na ograniczenie określonego problemu naukowego i na specjalizację badacz – danej sprawy – musi opis uwarunkowań od czegoś rozpocząć i na czymś kończyć.

Otóż w porównaniu z takim właśnie sposobem poznawania przyczynowościowego, poznawanie to u dzieci i u ludzi prymitywnych można by nazwać odcinkowym lub wyspowym. W naukowym obrazie zjawisk więź przyczynowa jest „sieciowa” czy „splotowa” i ciągła. Stanowi niejako bezbrzeżny ocean uwarunkowań wszechstronnie przeplecionych i niezmiennie złożonych. Dobrze odpowiada temu obrazowi zjawisk zasada materializmu dialektycznego, że „wszystko z wszystkim się wiąże”.

W dziecięcym lub prymitywnym obrazie zjawisk jest wiele osobnych odcinków więzi przyczynowo-skutkowych. Odcinki poszczególne niewiele lub nic wspólnego ze sobą nie mają. Wiele zjawisk współistniejących zdaje się nie mieć wzajemnego związku ze sobą. A jeśli dane zjawisko ma w ogóle jakąś przyczynę – ma ją niekoniecznie, bo wobec wielu zjawisk dziecko czy człowiek pierwotny nie odczuwa potrzeby wyjaśnienia przyczynowego. A jeśli ją odczuwa, narzuca mu się przede wszystkim związek rzeczy z działaniem ludzkim: z manipulacją zabawową lub z pracą.

W miarę rozwoju doświadczenia osobistego, w miarę gromadzenia informacji od ludzi i wiadomości z książek, wzbogacania się słownictwa, poniekąd również w miarę jak dziecko zaczyna stawać wobec poważnych wymagań, wymogi w zakresie przyczynowego zespalandia rzeczy i zjawisk rosną. Znaczą to: różnicują się, subtelnieją i włączają się do innych wymogów w zakresie czynności poznawczych. Dziecku zaczyna nie wystarczać byle jakie objaśnienie dorosłych lub byle jaki pomysł własny co do natury danego zjawiska. Na powyższym gruncie pojawiają się pytania o przyczyny, świadczące o narastaniu niepokoju poznawczego. Dziecko zaczyna coraz bardziej interesować się obiektywnymi związkami między zjawiskami. Coraz częściej związki te zaczyna pojmować jako niezależne od woli i poczynań ludzkich, i od słów.

Wpływ przemożny na dalszy rozwój myślenia przyczynowościowego mają szkoła i książka. Dają one uczniowi szkolnemu w sposób przystępny sprawozdanie z wyników badań naukowych. Ćwiczą go co dzień w poszukiwaniu związków obiektywnych między zjawiskami. Tak przeto na różnych drogach (dojrzewanie umysłowe, doświadczenie osobiste, wia-

domości od rodziców, nauka szkolna, wiedza książkowa) uczeń zaprawia się niespostrzeżenie do myślenia przyczynowościowego, właściwego dorosłym i nowoczesnej nauce. Niespostrzeżenie w umyśle jego łączą się ze sobą wiadomości fizyczne, astronomiczne, chemiczne, biologiczne, historyczne i inne w mniej lub bardziej spójną całość. Inna rzecz, że integracja wiedzy osobistej w umyśle ucznia szkolnego dokonuje się z wielkimi oporami i że jeszcze u maturzysty, a nawet u osób z wykształceniem wyższym, urzeczywistnia się tylko ułamkowo. Niemniej, wraz z powyższym procesem zaczyna się wyłaniać potrzeba dostrzegania związku wszystkiego z wszystkim. Jest to w gruncie rzeczy ta sama potrzeba, jaką znajdujemy w przekonaniu Laplace'a, że zależności wszystkich zjawisk we wszechświecie można będzie kiedyś ująć w postaci prawa jednego i uniwersalnego.

Jeśli pominąć to przekonanie, w naszkicowanym wyżej stanie rzeczy nie ma jeszcze problemu filozoficznego. Jest oparty na doświadczeniu osobistym i wykształceniu nawyk umysłowy do poszukiwania związków zależności między zjawiskami. Nawyk niezbędny w czynnościach przystosowywania się do warunków życia i do praktycznego opanowywania sił przyrody.

Rzecz nie kończy się na nawyku. Poza tym myślenie przyczynowościowe nie rozwija się niezależnie od innych form myślenia. Obojętne, jakich wyrażen użyjemy: przyczyna, uzależnienie, uwarunkowanie, determinanta, czynniki, wektory, parametry, czy jeszcze innych i jak je zdefiniujemy w każdym wypadku, nabywszy nawyku do łączenia zjawisk ze sobą, zmierzać będziemy do poszukiwania przyczyn (uwarunkowań, uzależnień, determinant) coraz to innych, coraz dalszych; niemniej, do coraz to dokładniejszego ich ustalenia. Przyczyny i skutki, uwarunkowania czy determinanty pojmujemy jako związki obiektywne zjawisk i rzeczy w przestrzeni i w czasie. Łatwo więc przypuścić, że rozwój myślenia przyczynowościowego toczy się mniej więcej równolegle do rozwoju myślenia o stosunkach przestrzennych i czasowych. Przyczyny i skutki należą do świata przestrzenno-czasowego.

Nic przeto dziwnego, że jeśli młodemu człowiekowi – dostatecznie już zaprawionemu do odkrywania na „skrzydłach wyobraźni” coraz to nowych szlaków bytu – przytrafi się myśl o nieskończeniu odległych czasach i przestrzeniach, z myślą tą mimochodem skojarzy się inna: o nieskończeniu odległych przyczynach. Zrozumiałe będzie w takim razie, że ni stąd ni zowąd obok przesadnych pytań co do granic lub co do nieskończoności przestrzeni i czasu wyłoni się pytanie bliskie o „ostateczną przyczynę”, czyli o ostateczne uzależnienie bytu lub o jego braku.

Czy jakiś nieskończenie odległy od nas (czasowo i przestrzennie) stan bytu miał jeszcze „swoje” przyczyny? Nawyk do myślenia przyczynowościowego każe odpowiedzieć: „oczywiście, miał”. Ale skutkiem jakich przyczyn były owe praprzyczyny? Pytania takie pozostają bez odpowiedzi. Bo któż odpowie na pytanie, dotyczące uzależnień rzeczywistości astronomicznej już jako tako poznanej? A kto odpowie na pytania coraz to dal-  
sze, nawiązujące do poprzedniego? Łańcuch czy sieć uzależnień wydaje się nie mieć granic, podobnie jak łańcuch coraz to odleglejszych odcinków czasu i przestrzeni. Poza tym: „Bez granic? Jak to być może?”. Nieskończony łańcuch przyczyn i skutków jest nie do pojęcia. Jednakże psychologicznie biorąc, taki sam jest łańcuch skończony.

Filozofowie decydowali się wprowadzić na przyjęcie raz jednej, to znów drugiej możliwości, ale mieli po temu motywy osobne, leżące poza obrębem samej przez się hiperfunkcji myślenia przyczynowościowego. Poznamy je osobno, rozpatrując skutki hiperfunkcji samowiedzy. Tu trzeba się ograniczyć do stwierdzenia, że prawie zawsze filozoficzne pojęcie przyczyny ostatecznej („przyczyny pierwszej” – *causa prima*) łączyło się ze światopoglądem idealistycznym. Również prawie zawsze koncepcja „łańcucha przyczyn i skutków bez prapoczątku i bez ostatecznego końca” łączyła się z jakąś formą światopoglądu naturalistycznego, w szczególności materialistycznego.

Koncepcja „nieskończonego łańcucha przyczyn i skutków” pojawiała się w dwóch wersjach:

1. „wiecznego kołowrotu wszechrzeczy” (światów);
2. w koncepcji „wszechświata zmieniającego się nieskończenie w sposób jednokierunkowy”.

Myśl o skończonym łańcuchu przyczyn i „przyczyny pierwszej” wiodła do pojęcia absolutu (Boga), jako początku i stwórcy wszechrzeczy. Tak czy owak, na szlakach nadmiaru samego tylko myślenia przyczynowościowego szybko docieramy w sam środek gęstwiny dociekań ontologicznych. Docierając do niego napotykamy na ścieżki w tym samym kierunku prowadzące, lecz wywodzące się z innych czynności poznawczych.

## **Droga do filozoficznego zagadnienia celowości**

W obrębie zagadnień ontologicznych jedno z miejsc najpocześniejszych zajmowało zawsze pytanie o cel ostateczny wszechrzeczy. Pytanie to nie-

zmiennie łączono ze sprawą ostatecznej wartości wszechrzeczy. Łączność celu i wartości uwydatnia dobrze termin: „sens”. A zatem sprawa metafizyczna ostatecznego sensu wszechrzeczy dotyczy ostatecznego celu i ostatecznej nadrzędnej wartości wziętych razem. Aczkolwiek obydwie sprawy nieraz utożsamiano, trzeba je przecież rozróżnić. Ich psychogeneza jest bowiem odrębna.

Pojęcie celu powstaje i pozostaje w związku z postępowaniem świadomym. Znaczy to, że bez tego prawdopodobnie nie mogłoby zaistnieć, a bez rozwoju świadomego postępowania stopniowo dokonujące się precyzowanie pojęć celowościowych byłoby prawdopodobnie niemożliwe. Postępowanie świadome jest to postępowanie kierowane wyobrażeniami celu, kierunku, mety. Konkretny cel, kierunek, metę wyobrażamy sobie zazwyczaj mniej lub bardziej jasno. Odpowiednie wyobrażenia są „naładowane” uczuciami, co powoduje, że cel jest przedmiotem pożądania godnym i faktycznie pożądanym.

Poznano już dość dokładnie etapy rozwojowe od celowego zachowania się małych dzieci do całkiem świadomego postępowania celowego dojrziałych umysłowo. Czynnikiem istotnym w rozwoju postępowania świadomie celowego jest życie społeczno-kulturalne. Znaczy to, że szybkość i rozmach tego rozwoju zależne są od bogactwa podniet społeczno-kulturowych. Pod ich wpływem i oczywiście dzięki wyobraźni, jako podstawowej energii „celotwórczej”, kształtują się mniej więcej równolegle poczynania celowe i pojęcia z zakresu celowości.

Ze względu na tę równoległość i na prymat potrzeby działania nad potrzebą myślenia, pojęcia celowościowe – mniej lub bardziej sprecyzowane – wyłaniają się w umyśle dziecka częściej i wcześniej niż podobne do nich pojęcia przyczynowościowe. Z tego powodu tak często już u dziecka kilkuletniego pytania „dlaczego” lub „czemu” odnoszą się częściej do motywów niż do przyczyn obiektywnych. Aczkolwiek samowiedne wytyczne życiowe tworzą się dopiero w okresie dojrzewania, cele – motywy (cudze) są dla dziecka wcześniej zrozumiałe niż przyczyny obiektywne. Skutkiem tego sporo czasu mija, zanim dziecko wyzbywa się przesadnego teleologizmu, jakim rządzi się w pierwszym dzieciństwie. Wszystko w jego świecie wydaje się związane z celowym działaniem.

Z tym zgodny jest fakt, że również w rozwoju kulturowym ludzkości najpierw krystalizują się pojęcia celowościowe i że długo mają przewagę nad przyczynowościowymi. Wiadomo przecież, z jakimi to oporami w rozwoju historycznym myśli poznawczej opowiadano się za stosowaniem pojęć przyczyny i skutku tam, gdzie uprzednio wszechwładnie rządził teleo-



logizm. Niekiedy nawet wysoce wykształconym osobom trudno wyzbyć się całkowicie myślenia celowościowego w opisie zjawisk przyrody.

Pewien nadmiar myślenia celowościowego może wystąpić z chwilą, gdy młody człowiek już dostatecznie przyzwyczajony do różnych – własnych i cudzych – poczynañ celowych, ogarnięty niepokojem wieku dojrzewania, w chwilach zadumy chciałby zorganizować sensownie swoje dalsze życie. Wtedy to od czasu do czasu w niezbyt przyjemnym napięciu uczuciowym całą własną przyszłość zdaje się widzieć przed sobą. Stąd wyłania się czasem próba przemyślenia możliwości celem racjonalnego zorganizowania własnego życia. Próba taka oznacza podporządkowanie środków zamierzeniom. Podobnie jak substancje, również zamierzenia miewają mniej lub bardziej złożoną budowę. Są zamierzenia proste, doraźne (np. pójść na dworzec), są dość złożone (np. zdać egzamin), są wreszcie wysoce skomplikowane (np. przebudować ustrój społeczny).

Zależnie od stopnia komplikacji celów i w związku z działalnością czy to osobistą, czy to społeczną używa się rozmaitych nazw: zamiar, cel, ideał, plan, idea, ideologia. Ale niezależnie od swej komplikacji rodowód psychologiczny wyobrażania sobie celów i odpowiednich środków jest w zasadzie zawsze taki sam. Taką samą i powszechną jest w szczególności droga komplikowania się form myślenia celowościowego: droga od zamierzeń bliskich, wyraźnych i konkretnych ku planom odległym, wreszcie ku ideałom niezmiernie abstrakcyjnym i odległym. Z doraźnych i prostych powstają w miarę narastania doświadczeń zamierzenia, obejmujące coraz to większą ilość ogniw pośrednich.

Rzućmy okiem na drogę komplikowania się zamierzeń. Przypuśćmy, że dziecko idzie do sklepu, aby sobie kupić cukierków. Na kupnie tym rzecz się kończy. Przypuśćmy dalej, że dziewczynka siedmioletnia przyszywa guzik do sukienki, sukienkę szyje dla lalki, a lalkę umieszcza w jej miniaturowym salonie. Cel „życie lalki w salonie” jest w tym przypadku już dość odległy i obejmuje spory ciąg poczynañ hierarchicznie uporządkowanych. W „bezgrzesznych latach” chłopcy toczą zażarte obrady na temat środków i sposobów do „kampanii wojennej” z tak czy owak nazwanym przeciwnikiem. Już od progu zwrotu do własnego wnętrza duchowego, tj. w okresie pokwitania, młody człowiek snuje mgliste rozważania nad całą swą przyszłością. Chciałby objąć obręczami środków i celów całe swoje życie. Rozmyślania te dotyczą początkowo i przeważnie osoby własnej i jej pozycji w świecie społecznym. Na jeszcze dalszym etapie rozwojowym z rozmyślań mglistych wyłaniają się stopniowo osobiste plany i ponadosobiste ideały. W ten sposób zdarza się czasem, że pełen niepokoju



i prężnej wyobraźni młody człowiek zaczyna dostrzegać nie tylko swój przyszły zawód, swoje przyszłe sukcesy, ale zarazem przyszłość ruchu politycznego, z którym sympatyzuje, przyszłość swego narodu, a nawet ludzkości całej.

W nienasyconym marzeniu śni się wielu młodym ludziom heroizm. Marzenia tego rodzaju są wyrazem innych jeszcze przyczyn, a więc np. znamiennej dla młodzieży postawy buntu przeciwko różnym uzależnieniom od osób dorosłych, od norm, konwenansów itp. W rachubę wchodzi tu jednakże niewątpliwie również pogoń umysłu, zaprawionego dostatecznie do myślenia celowościowego, za celami coraz bardziej nadrzędnymi.

Marzenia celowościowe prowadzą w końcu niekiedy do pytania: w jakim kierunku „to wszystko” zmierza ostatecznie? Gdzie jest meta, z której nie ma już perspektyw ku celom dalszym? Poza tym, jak to być może, aby „to wszystko”, cała ta gigantyczna hierarchia celów i środków – moich, twoich, społecznych, całej ludzkości, całego świata – kończyła się na jakimś celu ostatecznym? Na celu już bezcelowym, już do niczego nie prowadzącym? Wszak cel ten, czymkolwiek byłby: Bogiem, Duchem Absolutnym, Substancją Bezmyślną czy jeszcze czymś lub kimś innym, musi zmierzać do czegoś jeszcze bardziej gigantycznego, musi podlegać instancji jeszcze ważniejszej, podobnie jak Zeus Uranusowi.

Takie i podobne, jakże pospolite na wpół marzenia, na wpół racjonalne rozmyślenia nie są jeszcze wprawdzie tym problemem celu ostatecznego, jaki znamy z historii systemów filozoficznych, ale znajdują się blisko niego. Trzeba jeszcze tylko kontemplacyjnego zastanowienia się i oderwania od sytuacji osobistej, aby dojść do problemu bądź raczej do problemów sprecyzowanych i w całej pełni filozoficznych (ontologicznych), tylekroć formułowanych w dziejach pisanych myśli ludzkiej: Czy byt (wszechświat) zdąża obiektywnie do celu absolutnego? Jeśli tak, co jest tym celem?

Co do pierwszego z nich nasunąć się mogą w zasadzie tylko dwie odpowiedzi alternatywne, tj. np. „tak” lub „nie”. „Świat zdąża do celu ostatecznego”. „Świat nie ma żadnego celu przed sobą”.

Podobnie jak to już było z „ostatecznościami” wcześniej opisanymi i tutaj położenie myśliciela jest dramatyczne; jest bez wyjścia. Każda bowiem odpowiedź, niechby najbystrzej uzasadniona, jest niesprawdzalna i bez dostatecznej racji. W gruncie rzeczy argumentacja za „tak” lub za „nie” służyć czy zadawałać może tylko ze względu na swą moc sugestywną, a nie ze względu na swą logikę. A moc sugestywna wiązać się tu może – i zapewne wiąże się – z „instynktem życia”, ze strachem, z nawykami czy z potrzebami religijnymi, z autorytetem danego myśliciela itp.

W sposób podobny przedstawić można by psychogenezę pytań o „ostateczną” relację lub raczej „arelację” oraz o jakieś inne „ostateczności”, jeśli zachodziłaby potrzeba ich wyodrębnienia. W ten sposób całość problemów ontologicznych – z wyjątkiem problemu jedności wszechrzeczy – można by opisać psychogenetycznie, jako wyraz nadmiaru określonych czynności poznawczych. Nadmiaru spowodowanego określonymi nawykami poznawczymi oraz bujnością wyobraźni, korzystającej z coraz bogatszych zapasów osobistego doświadczenia i wiedzy.

## **Filozoficzne zagadnienia jedności i całości bytu**

Wśród zagadnień ontologicznych miejsce szczególne zajmuje sprawa jedności bytu. Nazwać ją można sprawą kosmosu. Spróbujemy prześledzić jej psychogenezę.

W postępującym naprzód procesie scalania doświadczenia i wiedzy osobistej można rozróżnić:

1. tworzenie pojęć coraz ogólniejszych;
2. tworzenie rozumowań coraz bardziej spoistych;
3. poszukiwanie związków między przedmiotami coraz bardziej odległymi od doświadczenia „naocznego”.

Integracja sprawności myślowych postępuje naprzód ponieważ niezależnie od treści i od stopnia urozmaicenia doświadczeń osobistych. Znaczy to, że jeśli tylko dana osoba jest zdolna do tworzenia pojęć, względnie do ich przyswajania sobie w procesie uczenia się, a więc np. jeśli nie jest upośledzona umysłowo, wszelkie doświadczenia prowadzić ją mogą ku pojęciom coraz ogólniejszym, ku rozumowaniom coraz bardziej spoistym oraz ku poszukiwaniu związków realnych coraz bardziej odległych.

Zasób doświadczenia osobistego, jakość i układ warunków życiowych, wreszcie również rozmiar zadatków do rozwoju umysłowego pociągają za sobą różnice tempa w nabywaniu coraz lepszych sprawności umysłowych – do dalszego uczenia się, nabywania doświadczenia, rozwiązywania problemów itp. Z tych przyczyn na różnym poziomie znajdują się i różnego pokroju bywają integracje poznawcze: dzieci i dorosłych u współczesnych ludów pierwotnych, dzieci i dorosłych żyjących w korzystnych warunkach nowoczesnej cywilizacji technicznej, dzieci i dorosłych w społeczeństwach żyjących pod wpływem kultur różnych. Wszędzie jednak napotykamy na proces integracji różnych składników doświadczenia osobistego.

W procesie tym tkwią zawiązkowo zadatki problemu filozoficznego, leżącego już poza obrębem nadmiernego funkcjonowania podstawowych kategorii poznawania obiektywnego. Jest nim problem jedności i całości bytu. Aby taki właśnie problem mógł się pojawić w czymś umyśle, „naturalna” skłonność do integracji doświadczenia musi ulec rozrostowi „ponad wszelką miarę”. Czynności integracyjne muszą w pewnym momencie dojść do poziomu „nadczynności”. Jak powstaje tego rodzaju hiperfunkcja? Trzeba tu uwzględnić kilka uzależnień. W rachubę wchodzi przede wszystkim „siła nawyku” tkwiąca w już nabytych sprawnościach myślowych. Biegłość w czynnościach uogólniania, rozumowania redukcyjnego, poszukiwania związków między przedmiotami pociąga za sobą skłonność do uogólnień, rozumowań i poszukiwań związków dalszych. Kto zaprawił się do stawiania pytań (obojętne – innym czy sobie samemu), ten dostrzega w odpowiedziach wątpliwości dalsze. Kto zaprawił się do mówienia, chce mówić wciąż na nowo. Kto przeprowadzał kiedyś pewnego rodzaju rozumowania, lubi rozumować w podobny sposób w nowych sytuacjach życiowych. Kto uzyskał już wiele wyjaśnień, potrzebuje wyjaśnień coraz to dalszych. A więc w miarę wzrostu zasobów doświadczenia osobistego i rozwoju sprawności do integracji umysłowych rozrasta się potrzeba integracji wciąż nowych i dalszych. Zachodzi tu zależność zwrotna i wzajemna podniecania ze strony dwu czynników: integracyjnego charakteru świadomości i siły nawyków. Wskutek tego ludzie potrzebują wiedzy coraz bardziej ogólnej, coraz bardziej zespołowej i coraz głębiej wnikającej w związki między przedmiotami myślenia. Przypuszczalnie potrzebę tę można by stwierdzić u wszystkich ludzi jako tako rozgarniętych umysłowo.

Do wskazanej potrzeby dołączają w wypadkach raczej wyjątkowych osobne czynniki rozwoju intelektualnego. Z racji swego szczególnego zawodu (np. prawnicy, specjaliści naukowci), szczególnego trybu życia (np. ludzie przewlekłe chorzy i z tego powodu otamowani w swej aktywności), szczególnego usposobienia (np. introwertycy) niektórzy ludzie już dostatecznie zaprawieni do integracji umysłowych mają dość czasu, sposobności i skłonności do zastanawiania się nad dalszymi powiązaniem wiedzy już przez siebie rozporządzanej. Ludzie ci łatwiej niż inni dziwią się i stawiają pytania – sobie samym bądź osobom innym. Mają też szczególne warunki do przeżywania ostrych stanów samokrytyki. Zdarza się, że potrzeba uporządkowania własnej wiedzy w jako tako spoistą całość staje się u nich dokuczliwa. Stanowiąc psychologicznie jednię, ludzie tacy chcą zdobyć jednię w swych pojęciach o świecie.

Obiektywna wiedza o świecie jest wciąż fragmentaryczna pomimo swego bogactwa i coraz szybszego postępu naukowego. A zatem sama przez się nie wystarcza do wytworzenia spójnej całości, do uniwersalnego i bez luk poglądu na rzeczywistość. Wobec założenia, że współczesny stan wiedzy naukowej jest tylko ułamkowy w stosunku do obfitości problemów już sprecyzowanych, rozumie się, że nigdy w rozwoju myśli ludzkiej nie było wystarczających podstaw do wypracowania jednolitego i całościowego obrazu pojęciowego o świecie. Podstaw tych zapewne nie będzie również w przyszłości. A przecież ludzie od najdawniejszych czasów wciąż na nowo takie właśnie obrazy wypracowywali. Zawsze wybiegali lotną myślą ponad rozporządzalną w danym czasie obiektywną wiedzę o świecie. Zawsze ujawniali skłonność do łączenia wiedzy ułamkowej w całość systematyczną, w całość bez luk. Znaczy to, że wciąż na nowo popadali w hiperfunkcję scalania swej wiedzy o świecie. A popadali w nią niewątpliwie przede wszystkim na tle całości i jedności jaźni, pośrednio również na gruncie samowiednych uprzytomnień sobie własnej, osobistej jedni, całości i odrębności.

Nie koniec na tym. Nadmierna skłonność do poszukiwania wszechjedni pojęciowej ma dwa oblicza. Przeważająca część naszych pojęć odnosi się do tzw. świata zewnętrznego. W pewnym sensie zdanie to można zastosować nawet do pojęć matematycznych, mianowicie jeśli przyjąć, że odnoszą się do całkiem formalnie uchwyconych stosunków w rzeczywistości fizycznej. Skłonność do integracji pojęciowej jest więc w gruncie rzeczy tożsama ze skłonnością do łączenia ze sobą przedmiotów poznania. Wszak w nich samych chcemy stwierdzić związki przyczynowe, celowe, energetyczne, substancjonalne itp. W rzeczach samych, a nie tylko w sobie – w naszym ja – dostrzegamy całości i jedności.

Wobec tego nic bardziej zrozumiałego psychologicznie jak to, że nadmierną skłonność do łączenia ze sobą wszelkich pojęć w jedną całość przerzuca się na domniemaną w naszych pojęciach całość świata. Zresztą niełatwo rozróżnić całościowy pogląd o świecie od – domniemanej w nim – całości świata samego. Tak przeto „naturalna” dążność do integracji doświadczenia, uwielokrotniona przez samowiedne uprzytomnienie sobie jedności własnego jestestwa, prowadzi nieuchronnie do filozoficznej myśli o świecie jako całości i jedności absolutnej.

Tu znajduje się istotne źródło tego tak często w dziejach myśli filozoficznej w różnym ujęciu wypowiadanego twierdzenia, że byt jest jeden i cały, a zmysłami dostrzegana zmienność zjawisk stanowi jedynie pozór.

## Zagadnienia ontologiczne z nadmiaru samowiedzy

Wśród zagadnień ontologicznych, kształtujących się na platformie refleksji samowiednej, miejsce osobliwe zajmuje sprawa istnienia bytu. Inaczej: sprawa „dziwności wszelkiego istnienia” lub krócej: „dziwności istnienia”. Zajmuje miejsce szczególne. Wprawdzie wyłuskać ją można z przesłanek każdego systemu filozoficznego, ale rzadko znajdujemy ją *explicitie* w racjonalnym sformułowaniu. Można by stąd wnosić, że nie istnieje ona jako „jasno i dokładnie” wypracowane zagadnienie. Nasuwa się przypuszczenie, że „dziwność bytu” jest raczej „miazgą twórczą” dla ogółu zagadnień filozoficznych, wyłaniających się z nadmiaru samowiedzy aniżeli problemem osobnym i specjalnym. Przeżycie szczególnej dziwności, właściwe każdej sprawie filozoficznej, w „dziwności istnienia” znajdujemy w postaci wyjaskrawionej.

Przypuszczalnie każdemu dostatecznie rozwiniętemu umysłowo człowiekowi zdarzają się przeżycia mniej więcej o takim oto pokroju w sformułowaniu konkretnym: „Dziwny ten świat, dziwne w nim moje istnienie. Jak wyglądałby świat beze mnie? Czy możliwe jest, aby w ogóle istniał beze mnie? Śmieszna myśl, bo przecież tyle istnień żyło, czuło i minęło bez śladu, a świat się nie zawalił. Istniał, istnieje i na pewno będzie nadal istniał. I cóż znaczą ja wobec wielkiego świata?”.

Rzecz umowy, czy przedstawiony rodzaj refleksji o formie na wpół uczuciowej, na wpół racjonalnej, nazwiemy zagadnieniem filozoficznym, zadumą światopoglądową lub jakoś inaczej. Być może wcale nie zdecydujemy się na zastosowanie przydawki „filozoficzny”. Na pewno jednak znajdujemy się blisko problemu niewątpliwie filozoficznego.

Zdziwienie nad własnym istnieniem, nad własną pozycją w świecie prowadzi czasem do przeżycia – wciąż jeszcze ni to intelektualnego, ni to uczuciowego – którego treść aż dech zapiera: „Jakby to było, gdyby w ogóle nic, i to absolutnie nic nie istniało? Czy byłaby nieskończoność pusta bez treści? A jakby to było, gdyby wcale nawet pustki nie było? Ani bytu materialnego, ani fachowego, ani żadnego innego, ani przestrzeni, ani w ogóle i całkowicie niczego?”.

Nie sposób skupić dłuższy czas uwagi nad możliwością absolutnego niebytu. Rychło przychodzi odprężenie i otrzeźwienie, powrót do rzeczywistości konkretnej: „Toć to śmieszne pomyśleć o możliwości uniwersalnego niebytu. Świat był, jest i będzie, egzystencja świata jest absolutnie pewna”.

Z takiej oto reakcji, tutaj wprowadzie z konieczności słowami wyrażonej, lecz w przeżyciu samowiednym raczej emocjonalnej niż racjonalnej, wyłania się czasem problem już całkiem racjonalny, splatający się z innymi: z problemem całości bytu jednego oraz z problemami wyrosłymi z nadmiaru poznawania przedmiotowego: jakościowego, sposobu istnienia, „prasubstancji”, ostatecznej przyczyny, ostatecznego celu, ostatecznych granic przestrzeni i czasu.

Pomimo łączności z nimi jest tu jednak coś osobnego, osobliwego, coś prowadzącego do swoistych form racjonalnych. Przede wszystkim więc przeżycie dziwności istnienia każe myśli refleksyjnej szukać jakiegoś fundamentu, jakiejś pewności, mogącej stanowić niezachwiany punkt wyjścia do upewnień pochodnych. W tym wypadku w jedną nierozdzieloną całość splatają się skądinąd odrębne tendencje umysłowe do poszukiwania pewności bytu i prawdy. Przygodny filozof, zaskoczony dziwnością, a nawet wręcz niesamowitością przeżyć, krótko tu scharakteryzowanych, stara się za wszelką cenę wybrnąć z matni i znaleźć spokój.

Droga prowadzi w dwóch kierunkach: W jednym z nich pewność, ukojenie, grunt twardy istnienia i prawdy, poczucie bezpieczeństwa osoba filozofująca znajduje lub znaleźć może w przekonaniu, pewnością nabrzmiałym, że nie ma nic bardziej realnego, bardziej oczywistego, nic pewniej istniejącego ponad własne „ja”. „Ja jestem” – oto pewnik fundamentalny i rzeczywistość najbardziej rzeczywista. Już raczej nieistotne jest tu pytanie, czy gwarantem tej rzeczywistości jest myślenie (*cogito, ergo sum*), wątplenie (*dubito ergo sum*), przeżycie trwania (*durée, élan vital*) czy cokolwiek innego. Natomiast istotnie ważne – to niezachwiana pewność istnienia własnego bytu; rozumie się, bytu jaźniowego, świadomego. Pewność ta stanowi podstawę do poszukiwań dalszych, w kierunku upewnień co do bytu ludzi innych, świata zwierząt i roślin, świata materialnego, wreszcie kosmosu, jako całości bytu.

Zwiąże: pewność egzystencji jaźni gwarantuje pewność jakiegokolwiek bytu innego. „Niemaż bytu ponad jaźń i jej reprezentantów w świadomości”.

W ten sposób przedziwność bytu znika. Rzucono pomost między „ja” a „nie ja”, pomost ponad przepaścią wykopaną przez samowiedzę. Jaźń wraca do naturalnej łączności ze swymi przedmiotami. Co prawda, ukojenie z łączności odzyskanej w ten sposób – tj. drogą spekulatywnego rozumowania – różni się od naiwnego spokoju i naiwnej pewności człowieka, który nie doznał cierpień i zadumy nad dziwnością bytu. W naiwnej pewności bytu nie ma „świata”, są natomiast ludzie i rzeczy, są sprawy i dzia-



łania, obawy i nadzieje. Jest potok bieżących spraw. W tym wszystkim rzeczywistość jest czymś twardym i oczywistym – ani jaźniowym, ani materialnym, ani wewnętrznym, ani zewnętrznym. Po prostu jest i nie ma w tym problemu.

W pewności – że tak rzec – posamowiedniej byt wprawdzie istnieje nadal, jest pewny i ugruntowany, ale pewność istnienia oparta jest na rozumowaniu, a rozumowanie zawsze wzbudzać może wątpliwości. Zawsze odezwać może się ktoś, kto będzie usiłował je podważyć. Jest to więc pewność połączona z pogotowiem do obrony, do nowych wątpliwości, problemów i do argumentacyjnych upewnień.

Podobnie ma się w zasadzie rzecz na drodze drugiej, przeciwnej. Zdumienie nad dziwnością istnienia ustępuje tutaj i rozładowuje się przez odwołanie się do egzystencji przedmiotów doznań zmysłowych. „Czyż to być może, aby nic naprawdę nie było? Śmieszne przypuszczenie. Wątpić można w istnienie własnej jaźni, ale nie w realną egzystencję świata barw, dźwięków i rzeczy namacalnych. Jeśli cokolwiek jest złudzeniem, pozorem czy majaczeniem, jest nim nasze rozmyślanie o świecie, nasze fantazje, nasze samowiedne przeżycia, nasze wątpliwości. Póki w doświadczeniu do czynienia mamy z rzeczami, z ludźmi, z wymogami społecznymi, możemy mieć niezachwianą pewność egzystencji w ogóle, egzystencji naszej w szczególności. Barwny, dźwięczny i namacalny byt rzeczy zmysłowych, twardy byt wymogów społecznych, co krok nam się narzucających – oto prawdziwa i jedyna gwarancja jakiegokolwiek realności. Pośrednio – gwarancja istnienia naszej, indywidualnej jaźni. Nie świat jest złudzeniem, nie jego byt jest problemem. Łudzące są chorobliwe stany samowiedzy. Problemem jest moja egzystencja na tle oczywiście realnej egzystencji świata przedmiotowego. Widać i słysząc, a więc świat realny istnieje. Stąd dopiero wynika pochodna pewność co do istnienia mej osoby, mej jaźni, mej świadomości”.

W ten oto sposób ze szczególnego – z samowiedzy wyłaniającego się – przeżycia dziwności istnienia powstają nie tylko swoiste formy pewności bytu, ale zarazem swoiste przesłanki rozstrzygnięć w sprawie ostatecznego charakteru bytu. Z pewności jaźni wyrasta rozstrzygnięcie o pokroju idealistycznym, w szczególności spirytualistycznym, zaś z pewności egzystencji przedmiotów doświadczenia zmysłowego wynika rozstrzygnięcie obiektywistyczne, naturalistyczne, w szczególności materialistyczne. Nie sposób rozpatrywać tych rozstrzygnięć. Zresztą ponieważ była już o nich mowa w związku z analizą pochodzenia innych problemów ontologicznych. Natomiast uwagę wypada zwrócić na dalsze



perypetie intelektualne, związane z samowiednym przeżyciem dziwności istnienia.

Przeżycie to wywiera potrzebę upewnień co do realności bytu własnego, bytu w ogóle. Potrzeba ta ze swej strony wzbudza – przy dostatecznej zaprawie do rozmyślań abstrakcyjnych – mniej lub bardziej skomplikowane rozumowania. Rozumujemy po to, aby coś uzasadnić. Wykazać, udowodnić, sprowadzić do jakiejś oczywistości. A więc rzecz szczególna: poczucie dziwności istnienia każe ludziom poszukiwać dowodów istnienia: „Udowodnij, że jesteś, udowodnij, że w ogóle cokolwiek istnieje, bez dowodu nie istniejesz bądź nie istnieje, cokolwiek miałoby istnieć!”.

Jest w tym coś w rodzaju pewności istnienia osobistego na podstawie dowodu osobistego. Spore traktaty filozoficzne lub przynajmniej ich części poświęcono na mniej lub bardziej bystre i skomplikowane dowody istnienia. Zaliczyć można tu traktaty, w których wykazywano określony charakter bytu, charakter czy to materialny, czy to idealny. Wszędzie tam, gdzie w myśli filozoficznej występowało pojęcie bytu ludzkiego w przeciwieństwie do bytu realnego, znajdujemy też argumenty i kryteria do odróżnienia bytu realnego od niby-bytu, a więc argumenty i dowodzenia tego, że w ogóle coś „naprawdę” istnieje.

Dziwność istnienia, jako specyficzne, przedziwne przeżycie samowiedne, skłania nie tylko do swoistej argumentacji, ale jest też platformą dla całych stanowisk i kierunków filozoficznych. Ogólnie rzecz biorąc, te stanowiska filozoficzne możemy dość słusznie – i przynajmniej częściowo – wydedukować z przeżycia „dziwności istnienia”, w którym akcent istnienia pada na uzasadnienie istnienia, w szczególności na uzasadnienie ludzkiego istnienia. W rachubę wchodzi tu wszystkie formy nowoczesnego egzystencjalizmu, nieco dziwniejsze kierunki subiektywizmu, solipsyzmu, irracjonalizmu, mistycyzmu, starożytny sokratyzm, niektóre stanowiska filozofii wschodu, np. hinduskiej.

„Dziwność istnienia” oznacza wstrząs oderwania jaźni od normalnego biegu działań, od aktywnego „zatopienia się” w rzeczywistości. Jest więc w gruncie rzeczy nie tyle uświadomieniem sobie problematyczności bytu w ogóle (powiedzmy: wszechbytu), ile raczej problematyczności bytu własnego oraz jego sensu. Kto dość często bywa pobudzony do takich niezmiernie dziwnych przeżyć, może mieć po temu powód w osobistych kłopotach z „bytem”, najczęściej oczywiście z ludźmi. Może też mieć realne trudności w aktywnym działaniu, w wykonywaniu swych zadań i przedsięwzięć życiowych, może doznawać bolesnych przykrości z osobistych niepowodzeń. Te właśnie okoliczności mogą wzbudzać w nim oderwane

od rzeczywistości refleksje samowiedne. „Dziwność istnienia” może być przeto przede wszystkim czy w gruncie rzeczy zdziwieniem nad niefortunnością osobistego losu, źle przystosowanego do warunków życia społecznego.

Może też w pewnej mierze stanowić skutek nadmiaru myślenia krytycznego i skłonności do tegoż. Człowiek wciąż na nowo parający się wątpliwościami, problemami, dziwnościami, natomiast znacznie rzadziej stykający się z faktami, z rzeczami i sprawami naocznymi, łatwiej popadnie w sidła „ostatecznej” kwestii, czy w ogóle coś istnieje i co znaczy w ogóle „istnieć”, aniżeli człowiek trzymający się twardej rzeczywistości. Ktoś wciąż na nowo miewający wątpliwości może ulec w wypadku samowiednej zadumy powątpiewaniu w realność czy to tego, co widzi, czy to tego, co „wewnętrznie” przeżywa. Ulegając, zrobi zrozumiały krok przesadny w dziedzinie czynności poznawczych; będzie filozofował pod wpływem nadmiaru samowiedzy.

Rozdział jedenasty

# **Ogólna filozofia poznania – epistemologia**



## Problemy teorii poznania

Teoria poznania, czyli epistemologia (jeszcze inaczej: gnoseologia), należy do zbioru podstawowych nauk filozoficznych. Pod wpływem transcendentalizmu Immanuela Kanta uchodzi za ich część najważniejszą. Stanowi bowiem w filozofii niejako trybunał apelacyjny. W niej omawia się bowiem krytycznie założenia tkwiące u podstaw wszelkich nauk, stwierdza nierzadko dogmatyczny charakter tych założeń. Teoria poznania pozwala spojrzeć niejako z piętra wyższego na wiedzę.

Pogląd ten oznacza powrót do starej idei, że filozofia jest „królową nauk”: „Usiłujecie zdetronizować filozofię z jej wysokiego piedestału, pogneźbiliście metafizykę, a przecież filozofia pozostała nadal tym, czym była: alfą i omegą wszelkiego poznania. Pozostała nią w nowej postaci, tj. postaci teorii poznania”. Tak mniej więcej można by wyrazić postawę epistemologów wobec krytyków filozofii.

Jednakże postawa ta budzi zastrzeżenia przedstawicieli nauk, którym rzecznicy teorii poznania usiłują narzucić swoje przewodnictwo i arbitraż: „Jakim prawem wtrącacie się w nasze sprawy? Wyroczni waszej nie potrzebujemy wcale. Na potrzeby własne krytykę naukową uprawiamy sami w sposób wystarczający. Ilekroć zachodzi wątpliwość co do jakiejś hipotezy, teorii, odkrycia, pojęcia, co do ścisłości sformułowań w zakresie tej czy innej nauki, zwracamy się do właściwych specjalistów, jako do arbitrów jedynie kompetentnych. Zresztą, cóż mieliby nam epistemolodzy do powiedzenia w sprawie tranzystorów, genów letalnych, koloidów, lęków chorobliwych, pisma kreteńskiego, pochodzenia kultury Majów, pokrewieństwa języków indoeuropejskich z semickimi, w sprawie pochodzenia wirusów itp.? Krytykę tej czy innej koncepcji przeprowadzić mogą

jedynie naukowcy, dobrze obeznani z metodą badań danego rodzaju. Gdybyśmy nawet chcieli epistemologom powierzyć »sądownictwo« nad poszczególnymi hipotezami, metodami i wynikami badań naukowych, to i tak droga do orzeczeń słusznych prowadziłaby ich przez specjalistyczną metodę badań. Epistemolog, chcący poddać krytyce dane pojęcia naukowe, musiałby się, zgodnie z tym, zapoznać szczegółowo z odpowiednią metodą roboczą. Musiałby się wyszkolić na specjalistę w danej dziedzinie badań naukowych, a w ich zakresie musiałby być autorem prac badawczych, bo krytykiem wytrawnym może być tylko uczony specjalista, a nie postronny obserwator danej dziedziny wiedzy. Krótko: ingerencji epistemologów nie potrzebujemy, zaś praktycznie rzecz biorąc, ingerencja ta jest niemożliwa”.

Być może epistemolog odpowie na to mniej więcej w ten oto sposób: „Nam wcale nie chodzi o ingerencję w cudze interesy. Rozumie się, że krytyka konkretnych poczyniń tej czy innej nauki – z naszej strony – byłaby chybiona. Fizyk, chemik, biolog, psycholog, prawnik, historyk znają swoje sprawy najlepiej, a więc jedynie oni są upoważnieni do zabierania głosu w ich zakresie. Trzeba tu jednak uwzględnić okoliczność, że oprócz spraw własnych występują w naukach poszczególnych sprawy – że tak rzec – publiczne, odnoszące się jednakowo do każdej z nich. Sprawami tymi fizycy, chemicy, psycholodzy, historycy faktycznie się nie zajmują, ale nie można ich zostawić odłogiem. Otóż właśnie nam, epistemologom, zależy na rozstrzygnięciu problemów dotyczących podstaw teoretycznych wszelkich nauk. Nam chodzi o ogólną krytykę podstawowych przesłanek badań naukowych”.

Na to odzywają się przedstawiciele tzw. naukoznawstwa, nauki stosunkowo młodej, lecz ambitnej i prężnej: „Owszem, zgadzamy się, że oprócz nauk o poszczególnych rodzajach zjawisk przyrodniczych i humanistycznych, o konstrukcjach szeroko pojętej techniki oraz o przedmiotach pomyślanych (matematyka, logika) potrzebna jest jeszcze nauka osobna o naukach: nauka o ich strukturze, o założeniach logicznych, o ścisłości i poznawczej wartości podstawowych pojęć, o powinowactwie wzajemnym nauk i układzie tychże, o społecznych i psychicznych warunkach twórczości naukowej, jednakże naukę tę trzeba uprawiać inaczej, niż to robili dotychczas filozofowie epistemolodzy. Nauka o nauce (naukoznawstwo) nie może być instancją krytyczną wszech nauk, a więc jakąś rzekomą nadnauką. Przeciwnie, jest ona swoistą, jedną więcej wśród nauk szczegółowych, nauką opisującą osobliwą dziedzinę zjawisk, mianowicie zjawisk w postaci pracy naukowo-badawczej i jej uzależnień. Epistemologia tradycyjna jest przeżytkiem, zupełnie tak samo jak metafizyka.

Oparta jest na błędnych domniemaniach, że filozofia jest nauką naczelną, i że jest instancją naczelną wszelkich spraw poznawczych”.

Kto tu ma rację? I czy w ogóle ktoś ma rację? Czy rzeczywiście epistemologia jest przeżytkiem? Sądźmy, że przynajmniej częściową odpowiedź znajdziemy, jeśli sobie postawimy pytanie podobne, jak w sprawach ontologii: Z jakich źródeł psychicznych wywodzi się teoria poznania? Jeśli się okaże, że źródła te są trwałe, można będzie na tej podstawie wnosić, że i sama epistemologia ostatecznie się pomimo ataków przeciwko niej wymierzonych. Poznanie źródeł tej gałęzi filozofii może oświecić poniekąd również charakter problemów epistemologicznych. Umożliwi rozpatrzenie pytania: w jakim stopniu problemy epistemologiczne są filozoficzne?

## Pojęcia podstawowe epistemologii

W teorii poznania powtarzają się trzy słowa pojęcia: prawda, poznanie, rzeczywistość. Mówiąc o poznaniu, epistemolog nie opisuje procesów poznawczych, tak jak robi to psycholog. Nie chodzi mu o zbadanie praw myślenia rzeczywiście występującego u ludzi, o rozwój uzdolnień i sprawności poznawczych dzieci i młodzieży, o związek faktyczny procesów poznawczych z mową. Epistemologa nie interesują również – przynajmniej pierwszoplanowo – faktyczne działania naukowców ani nawet logiczne związki nauk poszczególnych. Poznanie jest to bowiem – z jego punktu widzenia – „poznanie prawdziwe”, a jako takie jest „odpowiednikiem rzeczywistości”. Jest swoistym jej odzwierciedleniem.

Co znaczy „poznanie prawdziwe” i „odpowiednik rzeczywistości”? Otóż właśnie próby odpowiedzi na te pytania stanowią teorię poznania. Gdy epistemolog mówi o prawdzie, ma na myśli tzw. prawdę materialną, a nie formalno-logiczną prawdę sądów. Prawda materialna odnosi się do rzeczywistości. Sens tego stosunku oto rzecz, która istotnie niepokoi epistemologa. Poznać go, znaczy to zdobyć mierniki nadające się do uchwycenia związku między poznaniem a rzeczywistością. Mierniki te mają służyć do ogólnej oceny wartości wszelkiego poznania. A zatem mówiąc o miernikach poznania prawdziwego, epistemolog ma na myśli wartość poznania. Zamiast mówić: Czy poznanie jest prawdziwe?, można bowiem z jego punktu widzenia postawić pytanie ogólniejsze: Czy poznanie jest wartościowe?

W doświadczeniu powszednim i w nauce poznajemy określone przedmioty, w szczególności przedmioty wrażeń zmysłowych i spostrze-



żeń. Otóż epistemolog stara się ocenić wartość poznania jakichkolwiek przedmiotów w sensie najogólniejszym. Chce uchwycić jej zasadnicze i powszechnie ważne mierniki. Rozpatrzmy rzecz na odcinku poznawania zmysłowego, np. wzrokowego. W pospolitym spojrzeniu na świat przedmioty te istnieją niezależnie od umysłu osoby, która je poznaje, oczywiście równie niezależnie od jej istnienia. Tak pojęta niezależność od umysłu stanowi sens istotny epistemologicznego pojęcia rzeczywistości, to jest rzeczywistości niezależnej od umysłu poznającego. Epistemologia jest to przeto warsztat, w którym – że tak rzec – konstruuje się klucz do zamku całej rzeczywistości, pojętej jako byt niezależny od umysłu poznającego.

Oczywiście, klucz ten jest instrumentem umysłu poznającego świat. Sytuacja jest więc taka: Człowiek poznaje świat, a zarazem ten sam człowiek stara się poznać w sposób ogólny wartość swego poznania. Chodzi mu bowiem o wartość „wszelkiego” poznania, o jego wartość „pryncypialną”, a nie o wartość określonego stwierdzenia powszedniego, określonego faktu naukowego, określonej teorii naukowej. Można by przeto rzec, że człowiek poznający stara się sam siebie podnieść z posad, w których tkwi i opisać te posady. Stara się poddać krytyce siebie samego. Stara się ocenić, czy to, co robi jako istota poznająca, robi dobrze i w jakich warunkach robi to dobrze.

Na pierwszy rzut oka wydaje się, że chodzi tu po prostu o naukowe uogólnienie ocen wartości, ze sprawdzeń, z weryfikacji poszczególnych stwierdzeń faktów, odkryć lub teorii naukowych. Niemniej intuicyjnie odczuwamy komplikację takiego zamierzenia. Zaczynamy więc pojmować, że faktycznie epistemologia nie ma wiele wspólnego ani ze specjalistyczną krytyką naukową, ani z naukoznawstwem, ani wreszcie z psychologią, socjologią i historią poznania naukowego. Nasuwa się więc przypuszczenie, że być może epistemologia jest pewną postacią filozofii. Być może jest nią w podobnym sensie, jak nią jest ontologia. Być może jest splotem osobliwych zagadnień hiperfunkcyjnych. Czy jest tak, czy inaczej – to problem niełatwy. Ze strony psychologicznej wypada przynajmniej szukać odpowiedzi na pytanie: Skąd wywodzą się te tak osobliwe zagadnienia?

## **Refleksje historyczne**

Na początek celowe wydają się pewne refleksje historyczne. Otóż w pewnej mierze pochodzenie epistemologii wiąże się z antagonizmem między filozofią a naukami ścisłymi, jaki powstał pod wpływem rozwoju fizyki

w XVII i XVIII wieku. W filozofii starożytnej i średniowiecznej teoria poznania jako dyscyplina odrębna (w filozoficznych studiach wyższych) nie istniała. Tkwiła *implicit*e w poszczególnych systemach filozoficznych. Ściślej – w ontologii danego systemu. Istniały jednak podstawowe zagadnienia epistemologiczne, tj. zagadnienia bezwzględności (względności) prawdy, absolutności poznania i obiektywnej rzeczywistości. Bez trudu wyłuskano je – w pracach historycznych – z poglądów filozoficznych Platona, Arystotelesa, sofistów, epikurejczyków, stoików, platoników, scholastyków i innych. Jeszcze wielcy myśliciele XVII i przeważnej części XVIII wieku: Bacon, Kartezjusz, Hobbes, Spinoza, Leibniz, Hume nie znali teorii poznania jako wyrażnie – spośród innych – wyodrębnionej nauki filozoficznej. Pierwsze jej zarysy – ale sprecyzowane jako odrębna gałąź filozofii – znajdujemy w dziele Locke’a *Rozważania dotyczące rozumu ludzkiego* (1690). Pod tym tytułem jest to właściwie pierwszy podręcznik epistemologii; co prawda, ponieważ również psychologii poznania. Jednakże w całej pełni epistemologię ukształtował dopiero Kant, bo też jego transcendentalizm jest w gruncie rzeczy właśnie teorią poznania.

O cóż chodziło Locke’owi, Hume’owi, Kantowi i następcom? Motywem rozważań były dla nich wątpliwości w sprawie dogmatycznego charakteru systemów filozoficznych. Póki nie istniała nowożytna fizyka i astronomia, można było spierać się na temat „natury” rzeczy i zjawisk fizycznych. Można było „poznawać” świat po prostu za pomocą rozumowań. Kopernik, Galileusz, Kepler, Tycho de Brahe, Toricelli, Huygens, Newton i wielu innych uczonych z czasów nowożytnych nauczył ludzi wykształconych szacunku dla doświadczenia wspartego na matematyce. Tym samym uwielokrotniły się – już dawniej wysuwane – wątpliwości pod adresem metafizyki, czyli (według Kanta) filozofii dogmatycznej. Filozofowie, czerpiący wszak swe natchnienie z samego rozumu, a nie z doświadczenia, znaleźli się w defensywie. Podupadać zaczęła ich prestiż w świecie ludzi wykształconych.

W tej sytuacji nasuwał się wybieg: „Nie zrezygnujemy bynajmniej z metafizyki, ale zanim do niej przystąpimy, zbadamy umysł, jako narzędzie poznania. Stwierdzimy, skąd pochodzą nasze idee o świecie, a w ślad za tym zorientujemy się, czy w ogóle lub jakie mamy prawo do tworzenia pojęć metafizycznych”.

A zatem z historycznego punktu widzenia teoria poznania stanowiła w gruncie rzeczy tylko drogę okrężną do wiedzy absolutnej o świecie. Przypuszczać można, że gdyby nie było sprzeczności między metafizycznymi obrazami świata, a przede wszystkim rażącej przepaści między zdo-

byczami nauk nowożytnych a systemami filozofii, filozofowie nie krzataliby się tak żywo dokoła pojęć prawdy, poznania i rzeczywistości, jak to robili faktycznie. Nie byłoby, być może, kantowskiej formuły: „Jakim prawem istnieje poznanie powszechnie ważne?”.

Przyczyną osobną w powstawaniu teorii poznania jako osobnej nauki filozoficznej stała się w mierze niemałej nie tradycja, wywodzących się z dualizmu kartezjańskiego. Jego zawiązki spotykamy już w filozofii greckiej, a nawet hinduskiej i chińskiej, co wskazuje na źródła psychologiczne dualizmu: „umysł – obiektywna rzeczywistość”. Swoją drogą, ostrość przeciwstawienia „rzeczy rozciągłej” i „rzeczy myślącej”, jaką znajdujemy u Kartezjusza, otamowała na długi czas swobodę myśli wielu filozofów.

Z dualizmu kartezjańskiego wynikało, że świadomość jest w każdym calu subiektywna, i że nie ma w niej „furtki” do świata obiektywnego. Nie ma tym samym poznania obiektywnego, czyli „naprawdę prawdziwego”. Ze względu na tę właśnie konsekwencję zrozumiałe były wysiłki filozofów nad „uważnieniem” wyników poznania. Prowadziły one w samą głąb nowoczesnej epistemologii.

## **Psychogeneza teorii poznania**

Psychologicznie rzecz biorąc, wymienione tu źródła teorii poznania leżą blisko siebie. Analiza umysłu i walka z subiektywizmem prowadzą do tego samego celu: do prób ustalenia wartości i granic zdolności poznawczych człowieka. Są to cele obce „zwyczajnemu” uczonemu. Fizyk, chemik, biolog, historyk nie potrzebują ani analizy umysłu poznającego, ani przeciwstawiania się subiektywizmowi. Co więcej, mogą nie znać tradycji filozoficznej, a mimo to efektywnie prowadzić właściwe sobie badania naukowe. Potrzeba przeciwstawienia się subiektywizmowi może się pojawić jedynie w umyśle człowieka, który ostro uprzytomnił sobie samowiednie przeciwstawność jaźni poznającej i przedmiotu poznania; w umyśle człowieka, który na tle tego uprzytomnienia zachłysnął się ideą „rzeczy samych w sobie”. W jego to umyśle musi się wyłonić problem „przeskoku” od podmiotu do przedmiotu.

Zapewne problem ten może się pojawić również w umyśle fizyka, chemika, biologa, psychologa, poniekąd nawet w umyśle człowieka niewykształconego. W każdym razie niekoniecznie w umyśle filozofa z zawodu. Problem ten jest bowiem nie tylko pochodną dualizmu ontologicznego. Jako czynnik osobny, pierwotniejszy od niego, wysuwa się bowiem prze-

rost czynności poznawczych i samopoznawczych, o którym była mowa w rozdziałach wcześniejszych. Rzecz w tym, że kto przyswoił sobie lub samodzielnie wypracował określone rozwiązania zagadnień ontologicznych i jest świadom sprzeczności swoich rozwiązań z cudzymi, nie może nie wpaść na tory rozważań nad podstawnością poglądów swoich, a bezpodstawnością cudzych. Musi bronić słuszności własnych czy przyswojonych przekonań ontologicznych argumentami uzasadniającymi ważność własnego, ogólnego poglądu na świat, jako poglądu jedynie prawdziwego. Co więcej, zaprawa w myśleniu wysoce abstrakcyjnym bez możliwości sprawdzania jego rezultatów powoduje lub potęguje oderwanie się umysłu od rzeczywistości. Ułatwia zwrot „sokretyczny” ku własnej jaźni. Podsyca samowiedzę. W tym stanie rzeczy związek jaźni z rzeczywistością staje się problemem raczej coraz ostrzejszym aniżeli malejącym. Pozwala to na zrozumienie znanego z dziejów myśli europejskiej przeskoku od filozofii kosmogonicznej ku filozofii życia duchowego. Podobny przeskok zauważamy u młodzieży w okresie dojrzewania, zapewne pod wpływem przyczyn podobnych.

Krótko mówiąc, teoria poznania tkwi korzeniami w potrzebie obrony określonych przekonań ontologicznych, ponadto w odwracaniu się osób zaprawionych więcej do myślenia niż do działania, od przedmiotu poznania ku własnej jaźni, ku kontemplacji tejże. Co prawda, skłonności do kontemplacji same przez się nie stanowią przyczyny wystarczającej do powstawania problemów epistemologicznych. Stanowią uzależnienie częściowe. Najpierw bowiem muszą wyłonić się „zdziwienia” i zapytania ontologiczne, a w jaki sposób one powstają, o tym mowa była wcześniej.

Teoria poznania jest – historycznie i psychologicznie sprawy ujmując – swoistą drogą do roztrząsania problemów ontologicznych. Jest – że tak rzec – filozofią służebną i pochodną. Mimo to może się stać w pewnych okolicznościach filozofią centralną i jedyłą. Kto bowiem raz zaprawił się do rozważań epistemologicznych, ten z nich zaledwie wybrnie, ponieważ rosnąca – w jego umyśle – przepaść między przedmiotem a podmiotem kształtować będzie problemy coraz bardziej zawiłe i subtelne. Wymowny przykład stanowią koncepcje, względnie dzieła tzw. obiektywnych idealistów, np. Hartmanna, Natorpa, Baucha, Cassirera i innych. Pościg intelektualny za miernikami prawdy i za związkami „prawnymi” między poznaniem a rzeczywistością przesłonił całkowicie problematykę ontologiczną i uczynił z samego tylko pojęcia prawdy swoisty absolut.

Sytuacja ta pociąga za sobą szczególne następstwa. Filozofowie wciąż na nowo myślący o prawdzie i o wartości poznania skłaniają się ku przeko-

naniu, że pojęcia czy koncepcje przez nich wypracowane stanowią miernik ostateczny i niewzruszoną ostoję do zdobywania wszelkiej prawdy naukowej. A więc nawet rezygnując z ontologii dochodzą do odwiecznego stanowiska „rasowych” filozofów, że ich dziedzina myśli jest nauką ponad wszelkie inne nauki.

Jak wiadomo, w epistemologii przewijają się wciąż na nowo kapitalne pojęcia: prawdy, poznania i rzeczywistości. Można je zestawić razem w jednym zwrocie: „poznanie prawdy o rzeczywistości” lub „prawdziwe poznanie rzeczywistości”. Zwroty te, same przez się, zdają się wskazywać na to, że chodzi tu o trzy osobne zagadnienia:

1. prawdy;
2. poznania;
3. rzeczywistości.

Faktycznie jednak do czynienia mamy tylko z dwoma – niezupełnie odrębnymi – zagadnieniami:

1. prawdziwego poznania;
2. obiektywnej rzeczywistości.

Pojęcia prawdy i poznania są nierozdzielne, albowiem mówiąc o prawdzie, na myśli mamy pewną właściwość poznania.

Sprawa ma się tu podobnie jak z rzeczywistością i obiektywnością. Epistemologom chodzi o „ostateczne”, pojęciowe uchwycenie rzeczywistości, przy czym na myśli mają obiektywną rzeczywistość, taką mianowicie, do której odnosi się poznanie „prawdziwe”. A zatem w gruncie rzeczy do czynienia mamy w teorii poznania z czterema (a nie z trzema) kapitalnymi pojęciami bądź z dwoma ich parami: „prawda – poznanie”, „obiektywność – rzeczywistość” oraz z dwoma kapitalnymi zagadnieniami: prawdziwego poznania i obiektywnej rzeczywistości. Jest to więc skrót, jeśli powiemy, że chodzi po prostu o zagadnienia: prawdy i rzeczywistości. Zajmiemy się nimi z osobna, przy czym jednak trzeba pamiętać o tym, że są to dwa oblicza jednego zagadnienia: Czy możliwe jest prawdziwe poznanie rzeczywistości?

## Pojęcie prawdy w rozważaniach epistemologicznych

Aby zrozumieć, o co istotnie chodzi epistemologom rozpatrującym zagadnienie prawdy, spójrzmy najpierw na poczynanie specjalistów jakiegokolwiek nauki, np. fizyków lub historyków. W ich pracach badawczych rzadko natrafiamy na wyrażenie „prawda”. Nie znaczy to, że specja-

liści nie mają na uwadze prawdziwego poznania swojego wycinka rzeczywistości. Na pewno mają, a nawet wciąż właśnie o to im chodzi. Jednakże specjaliści nie posługują się pojęciami prawdy i rzeczywistości w sensie ogólnym. Fizykom chodzi o prawdę w zakresie ich specjalnego poznania i pewnego wycinka rzeczywistości, tj. w zakresie „zjawisk fizycznych”. Historykom chodzi o prawdę na odcinku „zdarzeń dziejowych”. Zresztą zazwyczaj nie fizycy czy historycy, lecz literaci i laicy mówią o „prawdzie historycznej”, „prawdzie psychologicznej”, „prawdzie fizycznej”, „prawdzie naukowej”. Mało mówiąc o prawdzie, specjaliści poszukują jej, a co ważniejsze, wciąż na nowo ją „sprawdzają”. Znaczy to: prowadzą badania naukowe i kontrolują ich wyniki.

Wszędzie stosowane są przy tym dwa główne sposoby kontroli prawidłowości wyników badań naukowych. Jeden – to logiczna ocena poprawności pisemnego opracowania badań. Drugi – to sprawdzenia własnych lub cudzych wyników badań w oparciu o ustaloną w danej dziedzinie i w danym czasie obowiązującą metodologię badań, przy czym najczęściej chodzi o stwierdzanie błędów i braków w jej zastosowaniu do konkretnej pracy naukowo-badawczej. Dane wyniki badań naukowych uznaje się za prawdziwe, jeżeli nie dostrzeżono w nich błędów logicznych ani usterek i braków metodologicznych. Dodać trzeba, że z reguły specjalista nie uważa konkretnych wyników swoich czy cudzych badań – jako rozwiązań danego problemu – za wyniki definitywne i w tym sensie za w całość pełni prawdziwe.

Nie każdy specjalista obeznany jest z kłopotami filozofów związanymi z zagadnieniem prawdy, jednakże specjalista obeznany z nimi i skłoniony do wyrażenia swojej opinii o prawdzie danych wyników badań naukowych zająłby przypuszczalnie stanowisko mniej więcej oto takie: „Prawda naukowa jest względna, ponieważ jest uzależniona od rozporządzalnych środków poznania naukowego. Prawda naukowa jest ich funkcją. Trudno mi zająć stanowisko w kwestii, co to jest »prawda w ogóle«, »prawda w całej pełni«, »prawda ostateczna«, jednak wydaje mi się, że nie ma i nie może być takiej prawdy wobec nieustannej zmienności środków poznania naukowego”. Być może, w przybliżeniu podobne, acz gorzej sprecyzowane stanowisko zająłby wykształcony laik, gdyby go przymusić do wypowiedzenia się w tej sprawie.

Inaczej ma się rzecz w rozważaniach epistemologicznych, a to przede wszystkim dlatego, że pojęcie prawdy występuje w nich w zastosowaniu do wszelkiego poznania, a nie do konkretnych wyników badań naukowych. Niektórzy filozofowie zajmują stanowisko relatywistyczne w zagad-



nieniu prawdy, ale nawet zajmując je bądź dochodząc doń, czynią to w rezultacie rozważań nad zagadnieniem daleko odbiegającym od spraw interesujących specjalistów nauki. Relatywiści, a nawet radykalni sceptycy, mówiąc o prawdzie, na myśli mają bowiem „prawdę absolutną”, i ta właśnie koncepcja jest jedną z osi rozważań epistemologicznych. Również relatywistom w epistemologii chodzi o to, co to jest prawda „w ogóle”, tj. prawda poznania jakiegokolwiek. Również oni stawiają sobie pytanie (właściwe rzekomo tylko „dogmatykom”), czy prawda „w ogóle” jest w całej pełni „prawdziwa”. Jedno pociąga za sobą drugie, zaś obydwie intencje są zrozumiałe ze względu na hiperfunkcyjne skłonności umysłu ludzkiego.

Hiperfunkcyjne rozważania nad skończonością – nieskończonością przestrzeni i czasu, nad ostateczną przyczyną wszechrzeczy, nad ostateczną celowością kosmosu, nad ostatecznym dobrem naprowadzają myśliciela na określone możliwości teoretyczne. Przy samych tylko możliwościach trwać nie sposób. Trzeba się opowiedzieć za jedną z nich, w rezultacie za określonym poglądem na świat. W braku dostatecznych danych – czy to doświadczalnych, czy to logicznych – powstaje wzmożona w porównaniu z poznawaniem konkretnych przedmiotów badań potrzeba upewnienia się co do słuszności uznanego już stanowiska lub całościowego poglądu na świat. J. Dewey nazwał potrzebę tę „poszukiwaniem pewności” i uznał, że jest to tendencja podstawowa we wszelkiej filozofii, niezależnie od jej treści.

Różni ludzie opowiadają się za różnymi stanowiskami i poglądami całościowymi, ale wszystkich ogarnia jednakowa w zasadzie potrzeba upewniania się. W toku nieuchronnych starć między filozofami głoszącymi poglądy sprzeczne potrzeba ta się potęguje. Logika wskazuje, że tylko jeden z dwóch (rzeczywiście) sprzecznych poglądów może być prawdziwy, tylko jeden może być uznany za taki. Ale który z nich? Który jest „naprawdę fałszywy”?

## **Psychogeneza zagadnienia mierników prawdy**

W takiej sytuacji wyłania się potrzeba określania mierników prawdy, i to nie prawdy tego czy owego poznania „konkretnego”, lecz prawdy poznania spraw „ostatecznych”; poznania zrębów rzeczywistości. Ta właśnie potrzeba znamionowała „zwrot sokretyczny” – zainicjowany przez sofistów – ku sprawom humanistycznym w ujęciu najogólniejszym, przede wszystkim ku sprawom ostatecznych wartości. Ta sama potrzeba



dyktowała Kartezjuszowi zasadę „powątpiewania metodycznego”, Kantowi przesłanki jego transcendentalizmu.

Gdy już raz wejść na tory rozważań nad miernikami poznania prawdziwego, trzeba iść po nich dalej. Trzeba wyczerpać wszystkie możliwości i argumenty. Znaczący to w konsekwencji, że trzeba coraz ostrzej uprzytamniać sobie stosunek umysłu poznającego do przedmiotu poznawanego; zarazem różnicę między poznaniem jako zbiorem prawd wszelkich a rzeczywistością jako ogółem wszelkich przedmiotów poznania. Droga wiedzie przeto od koncepcji „prawdy w ogóle” ku koncepcji „rzeczywistości w ogóle” przeciwstawionej umysłowi.

Rozpatrzmy najpierw możliwości i argumenty w sprawie mierników „prawdy w ogóle”. Poznawanie zjawisk dokonuje się w oparciu o zmysły. A zatem jedna z możliwości brzmi: „Ostatecznym miernikiem prawdy są tzw. dane bezpośrednie, zapośredniczone przez zmysły. W zmysłach ujawnia się świat. Trzeba tylko dobrze patrzeć, słyszeć, dotykać, aby dobrze poznawać, czyli aby poznawać prawdę”.

Już sofisci zdawali sobie sprawę z kłopotliwości tego stanowiska. Wszak zmysły nieraz „łudzą”. Różni ludzie mają różne doznania rzeczy „tych samych”. Czyje doznania są prawdziwe? Na przykład kto widzi naprawdę dobrze: daltonista czy osoba ze wzrokiem normalnym? A może ani jeden, ani drugi, lecz sokoł? Może jakaś istota nieznana? Zresztą, cóż to znaczy, że zmysły dają poznanie prawdziwe rzeczywistości? Czy zmysły dostarczają nam „kopii” przedmiotów poznania? Czy nie dostarczając ich, „odzwierciedlają” je w swoisty sposób, pozwalający na przypuszczenie, że te same dane zmysłowe „odpowiadają” tym samym cechom przedmiotów rzeczywistych?

Przypuszczenie pierwsze – w świetle wiedzy psychologicznej i fizjologicznej – nie ma już obecnie sensu naukowego. Jednakże gdyby nawet przyjąć – co czynili niektórzy filozofowie greccy – że od rzeczy odrywają się ich podobizny, niejako obrazki, i że docierają do umysłu poznającego, to przecież docierają przez powietrze i przez części ciała. Niełatwo przy tym oprzeć się przypuszczeniu, że ulegają w nich zmianie. W takim razie, czy doznania zmysłowe stanowią „prawdziwe odbicie rzeczywistości”? I co to w ogóle znaczy odbicie? Czy nie używamy tu słowa bez sensu?

Możliwość druga, tj. przypuszczenie co do „odzwierciedlenia swobodnego”, nastrocza jeszcze więcej trudności na kanwie pytania jak dokonuje się „uprzedmiotowienie danych zmysłowych”?

To nie wszystko. Cokolwiek poznajemy zmysłowo, wyrażamy to w sądach, a więc w czynnościach umysłowych. Doznania zmysłowe nie są prawdziwe lub fałszywe same przez się. Prawdziwe lub fałszywe są sądy

oparte na doznaniach. Tutaj rzecz trudna od samego początku zaczyna się wikłać. Sądy wydaje „rozum”, a zatem on jest właściwym „poznawcą”, a nie zmysły. Ostatecznego i miarodajnego kryterium prawdy szukać należy więc w rozumie.

Wniosek ten zdałoby się oczywisty – prowadzi rychło do trudności niezwykłych. Z jednej strony, rozum ludzi różnych, a nawet tego samego człowieka w różnych chwilach, każe zapatrywać się rozmaicie, nieraz całkiem przeciwnie, na sprawy te same. Z drugiej strony, takie same doświadczenia prowadzą ludzi różnych do wniosków niezgodnych ze sobą, czasem sprzecznych. A zatem od początku mamy kłopoty zarówno z empirystycznymi, jak i z racjonalistycznymi miernikami prawdy. Wielce kłopotliwą sytuację ujmijmy lapidarnie tak: „Zmysły nas łudzą, rozum zaś sprowadza na manowce”.

Kłopot szczególny wyłania się z poszukiwania coraz ogólniejszych przesłanek do rozumowań dedukcyjnych. Szukając ich dochodzimy ostatecznie do twierdzeń najogólniejszych, a mianowicie do pierwiastkowych założeń, do tzw. pewników. Tu już w całej pełni rządzić zdaje się dowolność. Kto bowiem, względnie co gwarantuje prawdziwość pewników? Intuicja? „Rozum czysty”? Zmysły? A zatem nie tylko „zmysły”, ale również „czysty rozum” nie dają gwarancji prawdy, prawdy oczywistej i niezawodnej. Nie stanowią wystarczającego miernika czy ostoji dla prawdy.

W tej to wysoce niepokojącej sytuacji intelektualnej filozofowie czują się niczym podróżni na rozdrożu bez znaków. Jedni uznają dalsze poszukiwanie kryterium prawdy za trud daremny, a zwątpiwszy w możliwość jego ustalenia orzekają: „Nie ma prawdy oczywistej, bo nie ma środków do niezawodnego jej poznania” (sceptycy). Inni, bojący się rezygnacji, wątpią wprawdzie w zdolności własnego rozumu – tym bardziej oczywiście i własnych zmysłów – ale wierzą, że „istota nadludzka” (Bóg, Absolut) może słabego człowieka oświecić i wskazać mu prawdę. Trzeba tylko dobrze wsłuchać się w słowa prawdy od Niego przychodzące, a usłyszawszy je – w objawieniu, w natchnieniu – powtarzać innym bez zmiany (fideiści).

Temu stanowisku z kolei przeczą stanowczo i racjoniści, i empiryści, i sceptycy – na chwilę z sobą pogodzeni. „Wiara w objawienie to już stanowisko całkowicie bezpodstawne, to mistycyzm; to przeżytek myślenia magicznego ludów pierwotnych, a zarazem woda na młyn dla tych wszystkich, którzy dzięki chytrze ułożonym objawieniom chcą rządzić innymi i korzystać z ich znoju w walce o byt”.

Niepowodzenia w poszukiwaniach kryterium prawdy niezawodnej („kamienia filozoficznego”) skłaniają obserwatorów stanowisk wcześniej

zauważonych do rezygnacji częściowej lub chwilowej: „Nie wiemy, co to jest prawda pewna i niezawodna, bo nie znamy jej miernika, ale z wielu względów liczyć powinniśmy się z prawdami częściowymi, tymczasowymi. Do takich prawd dochodzi na każdym polu nauka. Wyniki badań naukowych nie są całkiem pewne – bo są wciąż zmienne – ale nie są też całkiem błędne. Droga do prawdy jest długa, usiana trudnościami, być może nieskończona. Jest to droga poprzez badania cierpliwe i coraz to nowe; poprzez nieuniknione – nawet w badaniach najbardziej ścisłych i pomysłowych – błędy; poprzez ich wykrywanie i unikanie w badaniach dalszych, już trochę lepszych. Częściowa prawda »opłaca się«, bo służy ludziom w ich walce o byt. Prawda ta sprawdza się w ich walce i w dalszych poszukiwaniach za prawdą lepszą” (pragmatyści).

Jak widać, obserwatorzy, zorientowani na praktyce badań i na wynikach nauk nowożytnych, nie rezygnują z idei prawdy niezawodnej, oczywiście, pewnej, ostatecznej ani też z kryterium takiej prawdy, lecz jak gdyby sprawę całą odkładają chwilowo na bok. Po części przyznają się do racjonalizmu, po części do empiryzmu, po części do sceptycyzmu i do tzw. krytycyzmu, a nawet w pewnej mierze do dogmatyzmu („trzeba się opierać na prawdach dotychczas zdobytych, aby z kolei móc pójść o krok dalszy”). W gruncie rzeczy im również zależy na prawdzie. Oto zjawisko ze wszech miar dziwne. Warto zastanowić się nad nim.

Jedna z przyczyn filozoficznego zagadnienia prawdy zdaje się tkwić w chęci intelektualnego uporania się z niezgodnościami zapatrywań co do „ostatecznego” charakteru bytu i co do istotnego „przeznaczenia” człowieka. Jest to zarazem chęć pośredniego dotarcia – przez ustalenie mierników prawdy – do poznania całkiem pewnego. Przyczyny osobnej szukać trzeba – jak się zdaje – w krytyce. Wszelki postęp wiedzy związany jest z nią nieodłącznie. Jedni szperają, przeprowadzają badania, poszukują prawdy, inni lub ci sami ludzie, lecz w innych chwilach, powątpiewają w wartość wyników tych poszukiwań, czyli przeprowadzają krytykę. Jedni myślą o przedmiotach poznania, inni – lub ci sami w innej chwili – zastanawiają się nad wartością tego myślenia.

Motywy po temu bywają różne. Jeden z nich wyłania się z potrzeby obrony własnego stanowiska ontologicznego wobec sprzeczności między różnymi ogólnymi spojrzeniami na świat. W badaniach naukowych ten motyw prawie że nie wchodzi w rachubę. Pomimo to motyw do krytyki mieści się również w ich zakresie. Jest nim obawa czy troska o życiową lub społeczną użyteczność wyników badania, o prestiż własny uczonego jako „poszukiwacza prawdy”. Ważkim motywem krytyki jest ponadto dąże-

nie do intelektualnego pokonania przeciwników, do wykazania bezpodstawności ich haseł, przekonań, hipotez lub teorii. Co prawda, krytykom chodzi przeważnie o pokonywanie obcych idei lub ideologii. Wszak idee kierują działaniem. Określony rodzaj działania bądź działalności prowadzi do określonego powodzenia lub niepowodzenia. Przynosi korzyści lub pociąga za sobą porażki w walce o byt. Dlatego właśnie walka o idee i krytyka ideologiczna są zwykle zawzięte.

Na tym czy innym gruncie wyrabia się biegłość w myśleniu refleksyjnym w ogóle, w refleksji krytycznej w szczególności. Mieć ją znaczy to m.in. mieć biegłość w wytykaniu cudzych błędów, w poszukiwaniu dostatecznej racji dla twierdzeń, w wykrywaniu braku takiej racji, pośrednio zaś w pokonywaniu przeciwników. Biegłość w krytykowaniu ma również swoją „odwrotną stronę medalu”. Jest nią bezdroże hiperkrytycyzmu. Kto się wyćwiczył w poszukiwaniu i stwierdzaniu błędów poznawania, kto coraz to wyższe wymagania stawia myśli jako narzędziu poznania, ten niełatwo zadowoli się dowodami prawdy. Raczej nie zadowoli się w całej pełni żadnym dowodem. Kto w związku z tym żąda coraz pewniejszych kryteriów prawdy, tego nie zaspokoi bez zastrzeżeń żadne kryterium.

## **Psychogeneza epistemologicznego zagadnienia rzeczywistości**

Epistemologiczne zagadnienie rzeczywistości stanowi odpowiednik omówionego wcześniej filozoficznego zagadnienia prawdy. Obydwa kształtowały się równolegle, a sposoby rozwiązywania jednego wywierały wpływ na sposoby rozwiązywania drugiego. Innymi słowy: u kogo pojawiają się zagadnienia prawdy, kryteriów prawdy i prawdy całkiem pewnie, u tego również występują epistemologiczne zagadnienia rzeczywistości, sposobów poznawczego dotarcia do jej stanu obiektywnego.

Dla tzw. laika – rozumie się w filozofii – zagadnienie rzeczywistości nie istnieje, a jego formuła jest trudno zrozumiała. Jest wymysłem chorego mózgu. Osoba nie uprzedzona subtelnościami filozofii wzruszy ramionami, natrafiwszy na rozważania w sprawie obiektywności rzeczywistości. Gdyby ująć w słowa jej pogląd na tę – raczej dla niej nieistniejącą sprawę – brzmiałby on przypuszczalnie oto tak:

„Oczywiście żyjemy w rzeczywistym świecie, a nie w jakiejś ułudzie. Sami stanowimy część świata rzeczywistego. Doświadczenia walki o byt wciąż na nowo pouczają nas o tym, że do czynienia mamy z real-

nym, namacalnym bytem, a nie ze snem, z ułudą. Sprawa trafnej nazwy dla realnego bytu jest bez znaczenia. O to niechaj spierają się filozofowie”.

No i rzeczywiście filozofowie spierali i spierają się nadal. Co prawda, nie tyle o nazwę, ile raczej o kilka niezmiennie trudnych spraw, pokrewnych sobie i dziwnych. Przy tym w pewnym ujęciu spory ich zaliczalne są do ontologii, w ujęciu innym do teorii poznania, wtedy mianowicie, gdy punktem wyjścia jest problem prawdziwości poznania.

Aczkolwiek laik nie jest skory do dostrzegania ani do uznawania filozoficznych wątpliwości w sprawie istnienia bytu, pewne wątpliwości tkwią przecież domyślnie również w jego spojrzeniu na świat. A więc na przykład wątpliwość co do realności snów. Jeśli „namacalny” byt przeciwstawiamy złudności marzeń i snów, narzuca się kwestia, co z nimi zrobić, gdzie je uplasować? Nie sposób twierdzić, że nie istnieją wcale. Przecież i ułuda w jakimś sensie istnieje. Zapewne w sensie gorszym niż kawałek bytu widocznego, ale istnieje. W takim razie nasuwa się potrzeba rozróżnienia odrębnych rodzajów lub może różnych stopni rzeczywistości.

Ten i ów laik wie, że czasami zmysły łudzą, słyszał o tym, że na pustyni pojawia się niekiedy fatamorgana, że niektórzy ludzie nie rozróżniają wszystkich kolorów. Co krok stwierdza, że przedmioty widziane zmieniają swą widoczną wielkość w zależności od oddalenia od nich. Skłonny jest wierzyć temu, czego uczył się niegdyś w szkole, że nie Słońce obraca się dokoła Ziemi, lecz Ziemia dokoła Słońca, i że Słońce jest naprawdę wbrew pozorom wielokroć razy większe od Ziemi.

Te oraz wiele innych zauważeń i wiadomości musi – nawet w umyśle przeciwnika rozważań abstrakcyjnych – wzbudzić czasem niejasną myśl, że jest coś dziwnego z tą „twardą” rzeczywistością, znaną z powszedniego doświadczenia czy przekonania. „Jest w tym wszystkim jakiś orzech do zgryzienia – ale od tego są filozofowie”. A zatem w oczach laika przynajmniej świta niejasna myśl o problematyczności bytu.

Zaświtawszy, myśl ta urasta do rozmiarów niebotycznych, gdy w oparciu o to wszystko, co już na ten temat gdzieś i kiedyś napisano, do sprawy zabierają się filozofowie. Na każdym etapie historycznym ich rozważań niewątpliwie niepokój wzbudzały najpierw takie jak opisane lub nieco inne wątpliwości „laika”. Na każdym z nich dochodziły do nich nagromadzone już rozważania, przekazane przez myślicieli ubiegłych pokoleń. Na coraz to świeższym – historycznie – etapie pojawiały się w ten sposób rozważania coraz bardziej złożone, subtelne; sieć myśli coraz trudniejsza do rozwikłania. Do tego dołączyć trzeba coraz to nowy stan naukowej wiedzy o rzeczywistości.

Spróbujmy prześledzić drogę, jaką do przebycia ma dzisiaj adept filozofii zainteresowany w epistemologicznym zagadnieniu rzeczywistości. Następnie spróbujemy odpowiedzieć na pytanie, na czym to właściwie polega „filozoficzność” tego problemu.

Wiele zauważeń potocznych, szereg danych fizyki, neurofizjologii i psychologii samych przez się – tj. bez wykładu o zagadnieniach, stanowiskach i argumentach wysuwanych przez rzeczników teorii poznania – adeptowi naszemu narzuca niepewność co do realnego charakteru „danych” wzrokowych. Wystarczy mu wziąć pod uwagę choćby tylko różne formy tzw. dyschromatopii, aby go skłonić do rozróżnienia między „wyglądem” rzeczy a ich bytem „prawdziwym”; bytem niezależnym od czynności widzenia. Wystarczy na chwilę zastanowić się nad czynnościami siatkówki, nerwu wzrokowego i kory mózgowej, aby się utwierdzić w potrzebie tego rozróżnienia. Zresztą na każdym kroku fizyk i fizjolog każą mu rozróżniać: fale świetlne a światła i barwy widzialne.

Tu rozpoczynają się kłopoty, mogące laika zniechęcić do rozważań spekulatywnych. Jeśli naoczny wygląd rzeczy jest czymś innym od ich „wyglądu” prawdziwego, w takim razie zdajemy się mieć do czynienia z dwoma formami rzeczywistości:

1. rzeczywistością „niezależną od zmysłów”;
2. rzeczywistością zmysłową, czyli „odbiciem” rzeczywistości pierwszej.

Stajemy oko w oko z dualizmem epistemologicznym, tj. rozróżnieniem, a zarazem przeciwstawieniem umysłu poznającego przedmiotowi poznawanemu.

## **Nadmiar przeciwstawienia jaźni do rzeczywistości**

Na czym polega filozoficzny charakter wspomnianego dualizmu, zarazem epistemologicznego problemu rzeczywistości? Pytanie to jest trudniejsze niż w wypadku zagadnień ontologicznych, np. zagadnienia skończoności – nieskończoności przestrzeni. Nie narzuca się tak bardzo, jak tam, wyobraźni. Nie jest – jakby powiedział Gościcki – tak bardzo ejdetyczne. Co więcej, sprawa wydaje się ścisłym, aczkolwiek trudnym problemem naukowym. A zatem odpowiedzieć należy na pytanie: jakiego pokroju trudność tkwi w epistemologicznym problemie rzeczywistości, w problemie, który na pierwsze wejrzenie jest bardzo ścisłym, aczkolwiek bardzo trudnym problemem naukowym? Aby odpowiedzieć na to pytanie, zastanówmy się przykładowo nad jakimś problemem fizykalnym. Przy-



puśćmy, że chodzi o wymiary i właściwości fizykochemiczne Słońca. Zdobyto już imponującą wiedzę naukową o Słońcu. Przypuszczalnie żadnemu jej przedstawicielowi, tym mniej specjalistom nauk innych, a już najmniej studentowi astronomii lub laikowi zapoznającemu się z jej treścią w sposób popularny, nie przyjdzie na myśl traktować ją jako zbiór pojęć pożytecznych, acz niekoniecznie prawdziwych lub jeszcze inaczej, dajmy na to, jako wymysł wprowadzie nieunikniony, lecz sprzeczny ze zdrowym rozumem i doświadczeniem.

Znaczy to, że czy to uczony, czy to student lub laik traktuje wyniki badań nad Słońcem jako wiedzę prawdziwą o określonym fragmencie rzeczywistości, aczkolwiek nie ma w niej mowy o prawdzie ani o rzeczywistości. Przekonany jest o tym, że Słońce istnieje rzeczywiście, niezależnie od tego, czy je widzimy, czy nie, że Słońce jest ogromnym ciałem niebieskim, miliony razy pojemniejszym od Ziemi, że widoczna tarcza Słońca jest tylko wzrokowym odbiciem bryły słonecznej, że wielkość tarczy widocznej jest odpowiednia do jej rozmiarów, do odległości od Ziemi i do kąta załamania promieni słonecznych w atmosferze ziemskiej, że na powierzchni Słońca temperatura wynosi około 6 000 °C i o wielu innych danych, wypracowanych z niezliczonych już badań nad Słońcem.

Specjalista jest świadom wątpliwości co do prawdy naukowej wielu twierdzeń o Słońcu, ale zarazem i tego, że w toku badań dalszych niejedna wątpliwość zostanie usunięta, niejedno twierdzenie, niejedyn wynik liczbowy – poprawiony. Specjalista wie, że punktem wyjścia do wszelkich dotychczasowych i do wszelkich przyszłych badań nad „naturą” Słońca są nasze doznania zmysłowe i że w miarę doskonalenia metod astrofizycznych doznania te będą uzupełniane oraz objaśniane stosownie do postępującej naprzód subtelności instrumentów pomiarowych. Wiedząc o tym i będąc pewnym tego, że w razie braku jakichkolwiek zmysłowych danych – bezpośrednich i zapośredniczonych przez instrumenty – nie moglibyśmy o Słońcu niczego wiedzieć i dowiadywać się wciąż na nowo, specjalista po prostu pomija pytanie: „Na czym polega stosunek między doznaniem zmysłowym ze strony Słońca a Słońcem samym?”. Nie wchodzi w sens sprawy, czy nie mamy tu do czynienia z dwoma słońcami: widoczną tarczą słońca i Słońcem jako ogromną bryłą niebieską. Zresztą zdarzyć się może, że samorzutnie lub pod wpływem filozofów sprawę tę jakoś zauważy. Tak czy owak wie, że czym innym jest patrzeć na słońce i widzieć je, a czym innym – Słońce samo jako bryła niebieska.

Coś podobnego można by rzec o postawie specjalisty w każdej innej sprawie, w której do czynienia mamy z uznaniem obiektywnego istnie-



nia jakiegoś przedmiotu, tj. przedmiotu, pojętego jako coś niezależnego od samego procesu widzenia, słyszenia, dotykania, aczkolwiek dzięki temu procesowi poznawanego.

Ogólnie rzecz biorąc specjalista być może czasem uprzytomnia sobie, że co innego czynność spostrzegania jakiegoś przedmiotu, a co innego przedmiot sam, istniejący obiektywnie, czyli niezależnie od tej czynności. Jeśli nawet różnicę tę zauważa, nie ma ona w jego pracy znaczenia, chyba że jak się to zdarza w niektórych badaniach, np. astronomicznych, czynność spostrzegania wywiera wpływ zakłócający na wynik spostrzeżeń naukowych, jak to było w sporze astronomów Kinnebrocka i Maskelyne'a.

Krótko mówiąc: specjalista i laik traktują jako obiektywne przedmioty spostrzegania, nie martwiąc się o podstawność przechodzenia od podmiotu do przedmiotu. A to właśnie niepokoi epistemologa. Niepokoi go rzeczywiste istnienie nie jakiegoś określonego przedmiotu, a więc np. Słońca, lecz rzeczywistość przedmiotów wszelkich (1), „prawo” do ich poznawania przez umysł (2) i „absolutny” stosunek przedmiotu poznającego do przedmiotu poznawanego (3).

Jest w tym nasamprzód niezmiernie daleko posunięta abstrakcja. Jest zarazem niebezpieczeństwo wieloznaczności w samej koncepcji „przedmiotu wszelkiego”. Ale to nie tylko to, a nawet nie to właśnie budzi niepokój. Jest w tym przede wszystkim zrozumiała psychologicznie skłonność do ubezwzględniania czynności poznawczej, a zarazem podmiotu, jaźni, umysłu; skłonność do uczynienia z umysłu oparcia (powiedzmy: archimedowego) dla „prawa” do uznawania przedmiotów za rzeczywiste lub do pozbawiania go tegoż „prawa”.

Kto zatopiony jest nie w przedmiotach spostrzegania, lecz – refleksyjnie – w czynności spostrzegania i w innych czynnościach poznawczych, ten niespostrzeżenie kopie przepaść nie do przeskoczenia między światem a swoją jaźnią. Start jego refleksji będzie zrozumiały, lecz kroki dalsze będą coraz bardziej niepewne. Realność przedmiotów świata zewnętrznego, początkowo twarda jak skała, będzie krok za krokiem kruszeć, aż ni stąd, ni zowąd „świat zewnętrzny” – już tylko w cudzysłowie – stanie się znakiem problemu nie do pokonania.

Mogłoby się wydawać, że do takiego stanu rzeczy dochodzimy jedynie na drodze rozważań prowadzących do solipsyzmu, poprzez różne stopnie subiektywizmu, idealizmu epistemologicznego i fenomenalizmu. Nie tylko. Takie same – co do rodzaju – pułapki i zasadzki intelektualne czyhają na osobę filozofującą, gdy wierząc w obiektywną realność świata śmiało i pewna siebie kroczy po zawitych ścieżkach wielokształtnego

krytycznego realizmu. Zasadzka tkwi *implicite* w samym przekonaniu, że potrafi udowodnić realność egzystencji świata zewnętrznego. Wszak aby w ogóle musieć wierzyć w obiektywne istnienie świata, aby mieć motyw do przeprowadzania – zazwyczaj nad wyraz złożonych i subtelnych – dowodów istnienia świata zewnętrznego, trzeba uprzednio zająć stanowisko – że tak rzec – radykalnie refleksyjne, stanowisko obserwatora własnych obserwacji świata zewnętrznego. Trzeba dokonać zasadniczego rozbratu między umysłem poznającym a przedmiotem poznawanym.

Gdy rozbrat ten jest już faktem dokonany, kierunek drogi, czy to ku solipsyzmowi, czy ku reizmowi Kotarbińskiego, jest – psychologicznie sprawę ujmując – nieistotny. Jest rzeczą powiązań z przekonaniami ontologicznymi. W gruncie rzeczy jednakowo trudna do przebycia dżungla trudności intelektualnych leży na drodze do „uzasadnienia” czy to solipsyzmu, czy to radykalnego realizmu. Ba, dżungla ta zamiast rozwidniać się w miarę rozcinania jej przez „maczety” argumentów, gęstnieje coraz bardziej. Ostatecznie dochodzimy do punktu, w którym zdeklarowany subiektywista tylko wiarą unicestwia realność świata zewnętrznego, zaś radykalny obiektywista również tylko wiarą ustanawia „naprawdę rzeczywistą rzeczywistość”.

## **Hiperkrytycyzm – istotne źródło teorii poznania**

Podsumujmy wyniki przeprowadzonej analizy: W „naiwnym” spojrzeniu na świat prawie że nie uprzytomniamy sobie odrębności „naszej” czynności poznawczej i „cudzego” przedmiotu poznawanego. Zazwyczaj jesteśmy „zatopieni” w rzeczach, działaniach i zjawiskach, z którymi mamy do czynienia. Od czasu do czasu budzi się refleksja samowiedna, a wtedy na chwilę bywamy świadomi, że to my widzimy, my pojmujemy świat, my w nim działamy i że ten świat to coś od nas różnego.

W badaniach psychologów refleksja ta jest do pewnego stopnia niezbędna, mianowicie o tyle, o ile umożliwia wykrywanie tych zjawisk i zależności neuropsychicznych.

Gdy jednakże usiłujemy samą refleksję nad najbardziej ogólnie pojętym stosunkiem „ja” do „rzeczy” poddać subtelnej analizie epistemologicznej, wyłamujemy się ze zwyczajnej drogi poznawania, badania i działania, wynurzamy się z naturalnego „zatopienia” w rzeczach i krok za krokiem coraz ostrzej uprzytomniamy sobie problematyczność egzystencji świata zewnętrznego.

Powstające w ten sposób ostre rozróżnienie i przeciwstawienie jaźni poznającej i przedmiotu „zewnętrznego” pociąga za sobą wzrastające kłopoty z „urealnieniem” rzeczywistości. Powstaje zdradliwy i ponad wszelką miarę trudny problem obiektywnej egzystencji świata zewnętrznego. Problem to na wskroś hiperfunkcyjny; w gruncie rzeczy podobnie hiperfunkcyjny, jak problemy ontologiczne. Z tą różnicą, że rodzaj hiperfunkcji jest tutaj inny aniżeli w problematyce ontologicznej. Tam przestawiono uległy podstawowe sposoby czynności poznawczych, na przykład czynność przyczynowo-skutkowego łączenia zjawisk ze sobą. Tutaj wybujały niepomiarne czynności refleksji nad stosunkiem myśli poznającej do rzeczywistości poznawanej. Wskutek tego powstaje przepaść w miarę wysubtelniania argumentów – a to znaczy zarazem w miarę pogłębiania się refleksji, sięgającej do bezbrzeży nieskończoności.

Każda próba „ostatecznego” uchwycenia realności bytu obiektywnego prowadzi w końcu do aktu wiary, a ten ze swej strony wskazuje jaskrawo na „dogłębnie” filozoficzny podkład ogólnych zagadnień prawdy i rzeczywistości; zagadnień na pierwszy rzut oka i według nierzadko spotykanych twierdzeń w całej rozciągłości naukowych. Krótko: epistemologiczne zagadnienia prawdy, poznania i rzeczywistości są w podobnej mierze i w podobnym sensie filozoficzne, jak zagadnienia ontologii. Są nimi jako jeden z produktów hiperkrytycyzmu i hiperfunkcji refleksji samowiednej.

Rozdział dwunasty

# **Etyka i ogólna filozofia wartości**

[Brak zawartości – rękopis zaginął]



Rozdział trzynasty

## **Perspektywy**





## Futurologia a perspektywy

Pośpieszny rozwój nauki i coraz rozleglejsze planowanie działalności społecznej w oparciu o postęp naukowy spowodowało m.in. to, że przewidywania nawet dość odległej przyszłości przestały być – w opinii publicznej – wróżeniem i że stały się zajęciem nieomal naukowym. Dla wielu fachowców, np. dla ekonomistów, stały się przedsięwzięciem bezpośrednio nawiązującym do konkretnego planowania i prognozowania.

W zasadzie jest to zrozumiałe wobec faktu, że powoływanie się na postęp naukowy stało się zjawiskiem pospolitym. A postęp każe się domyślać nie tylko czy po prostu usuwania niewiedzy przez badawcze rozwiązywanie problemów naukowych, lecz także przystosowywania tychże do potrzeb aktualnych i przewidywanych. Praktycy w poszczególnych dziedzinach życia zbiorowego stwierdzają obecność, rozmiar i jakość różnych potrzeb w czasie coraz bardziej odległym, zaś naukowcy przeprowadzają badania nad kierunkami, sposobami i warunkami ich prawdopodobnego urzeczywistniania. Jedni i drudzy nastawiają się na przyszłość. Przystosowują się do odpowiednich wizji na podstawie rozpoznania aktualnego stanu rzeczywistości społecznej i w oparciu o rozporządzalną wiedzę naukową.

W zasadzie więc można się nie dziwić coraz częstszemu stosowaniu terminu „futurologia” na oznaczenie wizji przyszłości społecznej, przystosowanych do wiedzy naukowej, w szczególności do naukowych stwierdzeń tendencji rozwojowych w zakresie różnych potrzeb: gospodarczych, techniczno-cywilizacyjnych, kulturowych i innych. Etymologiczne znaczenie tegoż (*futurus* – przyszły, *logos* – nauka) zdaje się odpowiadać co najmniej zamierzeniom specjalistów od naukowego przewidywania przyszłości.

Zgoda powyższa nie powinna jednak przysłaniać poważnych różnic między pracą naukowo-badawczą a szczególnego pokroju – koncepcyjną – pracą futurologów. Otóż różnice istotne: przede wszystkim więc futurologzy nie prowadzą badań w ścisłym znaczeniu tego słowa; w szczególności nie sprawdzają hipotez naukowych. Na przykład przewidywany przez danego futurologa stan wychowania za lat pięćdziesiąt nie mógłby być sprawdzony obecnie. Hipotezy naukowe mają sens dla teorii i dla ewentualnej praktyki, jeśli sprawdzalne są aktualnie i – oczywiście – za pomocą właściwych metod roboczych. Futurologzy posługują się pewnymi namiastkami badań, mianowicie wyczerpującą daną sprawę dyskusją w zespołach rzeczoznawców, poniekąd również metodą badania opinii w zespołach poza obrębem kolegium dyskutującego. Powiedzieć można by więc, że „lepszy rydz niż nic”. Pomimo to nawet bardzo wnikliwie przez specjalistów wydyskutowane zapatrywania futurologiczne traktować można jedynie jako – mniej lub bardziej sensowne – wizje, a nie jako choćby tylko ułamkowo sprawdzone teorie naukowe.

Cóż dopiero mówić o wizjach obmyślonych przez pojedynczego naukowca – bez tasiemcowych dyskusji i sporów na dany temat „przyszłościowy”. A jednak na użytek własny naukowcy, i nie tylko oni, snują „teoretyczne marzenia” o przyszłości. I nie jest z góry wykluczona możliwość, że niektóre fragmenty ich marzeń staną się z czasem prawdą namacalną. (Rozumie się, że również całkowita rozbieżność z przyszłą prawdą wchodzi tu w rachubę). Jednakże potrzebne jest zachowanie dystansu między futurologią – że tak rzec – oficjalną, uprawianą przez zespoły rzeczoznawców, a prywatną.

Otóż właśnie z uwagi na charakter mniej lub bardziej osobisty niniejszy zbiór „marzeń teoretycznych” na temat przyszłości wypada nazwać bez zastosowania słowa „logos”, tj. nauka. Nasuwa się najpierw termin „futurystryka”, nawiązujący do historii literatury bieżącego wieku (futuryzm). Byłby bez wątpienia mniej zobowiązujący niż „futurologia”. Poza tym za mocno sugerowałby swobodę domysłów. Wydaje się, że w sam raz może być termin trzeci: „perspektywy”, wskazujący czy to na odległość, czy to na przyszłość. A zatem spróbujmy naszkicować perspektywy rozwojowe. Czego? Tych procesów czy dziedzin rzeczywistości, w których w ciągu wielu lat obracałem się jako psycholog, poniekąd również jako pedagog, filozof, naukoznawca i historyk. Inne potraktuję z lotu ptaka. A wszystkie razem umieszczę w czasie relatywnie niezbyt odległym, mianowicie w pierwszej ćwierci XXI wieku. Jeśli zważyć, że planowanie perspektywiczne sięga już obecnie nierzadko końca XX wieku, niżej przedstawione

szkice do ewentualnych obrazów przyszłości wydają się tkwić korzeniami we współczesności.

## Przyszłość nauki

Nauka jako swoista działalność stanowi pewien rodzaj pracy twórczej. Stwierdzenie to jest w zasadzie zgodne z prawdą, jednakże coraz więcej danych przemawia przeciwko tradycyjnemu przeciwstawianiu pracy twórczej wszystkim innym rodzajom pracy, w szczególności pracy produkcyjnej. Jakże to dane przemawiają przeciwko owemu przeciwstawieniu?

Faktem jest, że wiele form pracy produkcyjnej ma charakter mechaniczny i że przy tzw. taśmie produkcyjnej „nie trzeba myśleć”. Co więcej, refleksje umysłowe w trakcie wykonywania takiej pracy raczej upośledzają jej efektywność, aniżeli ją podnoszą. Jednakże faktem jest i to, że przygotowanie i organizacja pracy przy taśmie i w warunkach do niej zbliżonych wymagają – niezależnie od wynalazczości – myślenia problemowego, wcale nie mniej twórczego niż wykonywanie wielu składników bądź etapów pracy naukowej. Jeśli przyjąć, że obecnie nauką zajmuje się w skali światowej około 25 milionów osób, w tej ogromnej masie za pracowników twórczych uważać można jedynie odsetek znikomy, prawdopodobnie obejmujący – w zależności od kryteriów – nie więcej jak jeden promil, tj. około 25 tysięcy osób. Niezależnie od podstaw tego liczenia stwierdzić trzeba, że w działalności przeciętnych pracowników naukowych (tych nieomal 25 milionów), a nawet uczonych samodzielnych i faktycznie twórczych składniki stereotypowe, tj. mniej lub bardziej mechaniczne w potocznym znaczeniu tego słowa, stanowią ilości przytłaczające te składniki, w których zakresie trzeba myśleć. Znaczy to, że – praktycznie biorąc – nie ma mowy o przepaści ani nawet o znamiennej różnicy między w zasadzie twórczą pracą uczonego i – również w zasadzie – mechaniczną pracą robotnika przemysłowego. I tu, i tam występują gdzieś momenty myślenia twórczego. I tu, i tam przeważna ilość momentów dotyczy czynności stereotypowych, wymagających przede wszystkim wprawy. I tu, i tam niektórzy pracownicy miewają relatywnie często możliwość i sposobność twórczego ustosunkowania się do swych zadań.

Przedstawione stwierdzenia i porównania wydają się na tym miejscu ważne z dwóch powodów:

1. celem zerwania z uporczywym mitem co do wyjątkowego charakteru nauki i innych rodzajów pracy twórczej;

2. ze względu na przewidywanie roli nauki za lat kilkadziesiąt.

Mit powstał i utrzymywał się długo na tle problemu genialności i uwielbiania geniuszów. Jednakże już od dość dawna nie ma on realnego gruntu wobec faktu, że garstka prawdziwie twórczych ludzi nauki „dyryguje” wielkimi zespołami różnego pokroju pomocników: laborantów, asystentów itp. Wykonują oni na co dzień stereotypową robotę, np. w formie analiz chemicznych, pomiarów spektroskopowych, antropologicznych i innych, wynotowywania z lektur naukowych informacji według określonego klucza. Jeśli nawet nastąpią zmiany korzystne dla asystentów i dla rozwoju młodej kadry naukowej w jej pozycji wobec uczonych-feudałów, nie ulegnie zmianie sytuacja obiektywna. Leży ona w potrzebie wykonywania przez pomocników masy konkretnych badań, częstokroć powtarzanych lub praktycznie jednakowych, celem uzyskiwania materiałów do opracowań teoretycznych czy do potwierdzenia, względnie obalenia danej hipotezy. Znaczy to, że rzesze pomocników – w szerokim sensie tego słowa – stanowią i stanowić będą również w pierwszej ćwierci XXI wieku i później trzon kadry naukowej. Trzon ten będzie coraz liczniejszy wobec zarysowującego się od dawna wiązania wszelkich form życia społecznego z odpowiednimi badaniami naukowymi. Wszak nie tylko przemysł czy praca produkcyjna oparta na nowoczesnej technice wymaga obecnie podbudowy naukowej. To samo dotyczy – oczywiście – zbrojeń, służby zdrowia, handlu, komunikacji i agrotechniki. Obecnie podbudowy naukowej wymagają coraz bardziej również takie dziedziny życia, jak sport, turystyka, wczasy, upowszechnianie kultury itp.

W tym stanie rzeczy zarysowuje się obraz nauki jako działalności społecznej równorzędnej formom tradycyjnie uznanym i ustabilizowanym: działalności produkcyjnej, komunikacyjnej, handlowej, służbie zdrowia, oświacie, obronności itp. Osobno, jako w znacznym stopniu twórczą, uwzględnić trzeba tu ogólnie pojętą działalność organizacyjną. Znaczy to, że uprawianie nauki nie będzie traktowane jako uznanie dla twórczych uzdolnień i jako swoiste szlachectwo, ale jako działalność „równie dobra” bądź „nie gorsza” od innych. Rozumie się przy tym, że w zakresie każdego rodzaju działalności społecznej, a zatem również w nauce, potrzebna jest i będzie pomysłowość twórcza. Jeśli w wypadkach wyjątkowych mówić o geniuszach nauki, z równie dobrym uzasadnieniem mówić można o geniuszach wychowania, działalności produkcyjnej, służby zdrowia, popularyzacji wiedzy itp. Zresztą niekiedy tak o nich faktycznie się mówi.

Razem wzięwszy, w skali społecznej pozycja nauki w pierwszej ćwierci XXI wieku będzie inna niż obecnie. Wcale nie mniejsza, jednak pozbawiona nimbu wyjątkowości, który otacza ją jeszcze obecnie.

Wiążą się z tym przewidywania co do zmian w zakresie doboru pracowników naukowych i motywacji pracy naukowej. Normalna kariera naukowa przebiegała od dawna i nadal przebiega na drodze od asystentury do profesury. Formalne jej etapy pozostały w zasadzie te same, jednak zmianom istotnym ulegają czynniki doboru, i to zarówno po stronie kandydatów na pracowników naukowych, jak i po stronie profesorów i innych osób, mających wpływ na odnośne decyzje. Asystentura była i pozostaje nadal pewnego rodzaju stażem, i to stażem ryzykownym, ponadto rodzajem pracy bytowo nie lepszym niż pierwsze lata zatrudnienia w zawodzie nauczycielskim, w przemyśle, w służbie zdrowia, w sądownictwie itp. Jednakże perspektywy usamodzielnienia się oraz różnych korzyści z tym związanych są obecnie i będą w asystenturze (akademickiej) bardziej obiecujące, niż nimi były kilkadziesiąt lat temu; powiedzmy – z początkiem XX wieku. W porównaniu z setkami profesorów z tamtego czasu mamy ich obecnie tysiące nie tylko w uczelniach wyższych, ale także w coraz liczniejszych instytutach naukowych. Rzutuje to na motywację ewentualnych kandydatów do kariery naukowej. Dawniej bywali to w dużej mierze, jeśli nie przeważnie, kończący studia magistranci ze zdecydowanymi zainteresowaniami naukowymi; nierzadko osoby o rozległej wiedzy spoza obrębu danego kierunku studiów. Co ważniejsze, osoby gotowe do wielu i wieloletnich wyrzeczeń bytowych na z reguły niewdzięcznym i nierzadko wieloletnim stanowisku asystenckim. Było to w takim razie wysoce prawdopodobne, że na ogół kto asystenturę szczęśliwie przetrzymał i wyhabilitował się, ten ma poważne szanse po temu, aby okazać się w karierze dalszej naukowcem twórczym. Osoby nie związane z nauką emocjonalnie przeważnie odpadały w drodze do habilitacji.

Sytuacja współczesna różni się istotnie od opisanej, a za lat kilkadziesiąt różnice będą zapewne jaskrawe. Dlaczego? Przede wszystkim z powodu ciągłego i coraz szybszego rozwoju szkolnictwa wyższego i różnego pokroju pozaszkolnych instytucji naukowych. W krajach uprzemysłowionych jest obecnie tych szkół i instytucji kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt razy więcej niż około pół wieku temu (różnice zależą od stopni uprzemysłowienia, poziomu przeciętnego wykształcenia, od zróżnicowania zawodowego itp.). Oznacza to wciąż rosnące ogromne zapotrzebowanie na pracowników naukowych, w ich obrębie na pracowników samodzielnych, przeważnie nadal nazywanych docentami i profesorami. Idzie za

tym poszukiwanie – po stronie osób czy czynników wybierających – kandydatów, którzy wystarczająco spełniają ustawowe wymagania, a niekoniecznie entuzjastów nauki. Praktycznie biorąc, chodzi o kandydatów, którzy wykazali się najpierw poprawnie wykonaną pracą magisterską (lub inaczej nazywaną, lecz co do swego znaczenia podobną), z kolei również poprawną pracą doktorską, dalej – nie gorszą od niej pracą habilitacyjną, w końcu solidną publikacją, jako podstawą do uzyskania profesury. Oczywiście, nadal potrzebne jest praktyczne stosowanie na tyle ostrych kryteriów awansu, aby nie spowodować upadku nauki, niebezpiecznego dla kraju i w jego stosunkach międzynarodowych.

Dobór kandydatów „w sam raz” spełniających wymagania formalne nie znaczy, że do kadr naukowych nie dostają się (względnie nie będą się dostawali) ludzie utalentowani, potrzebni jako wybitni twórcy postępu naukowego. Znaczą natomiast, że pomimo wzrastającego nastawienia na selekcję kandydatów z uzdolnieniami twórczymi proporcje między średniakami a twórczymi indywidualistami wciąż zmieniają się i prawdopodobnie zmieniać się będą na korzyść tych pierwszych. Innymi słowy, proporcje te zmieniają się i będą się zmieniać na korzyść wielkiej i wzrastającej masy kandydatów do w sam raz poprawnej, a nie fenomenalnej, kariery naukowej. Przy tym absolutna liczba naukowców obiektywnie wybitnych, tj. oryginalnie twórczych, będzie prawdopodobnie pomimo to wzrastać, stając coraz to mniejszy ułamek wielkiej masy pracowników naukowych.

Nie bez znaczenia jest związek tego procesu społeczno-historycznego z szybkim przeobrażeniem się charakteru nauki jako instytucji społecznej w kierunku od badań przeważnie indywidualnych lub prowadzonych w niewielkich zespołach, ku badaniom zespołowo-kompleksowym, coraz bardziej zbliżającym naukę do przemysłu. „W przemyśle naukowym” potrzebna jest przede wszystkim sprawna organizacja, a w niej ściśle przystosowywanie się poszczególnych zakładów i pojedynczych pracowników naukowych do ustalonych planów. Nie ma wątpliwości co do tego, że również w nauce „uprzemysłowionej” potrzebni są i będą ludzie pomysłowi, z wyobraźnią, zdolni do oderwania się od tradycji – bardzo dobrze opanowanej. Jednakże ich położenie w nauce wysoce zorganizowanej i „uprzemysłowionej” będzie zawsze trudne, a nawet coraz trudniejsze. Daleko łatwiej będzie bowiem „przebijać się” i robić imponujące kariery naukowcom „w sam raz” porządnym, układnym, nie siłącym się na rewolucje intelektualne, przy tym pracowitym. Krótko mówiąc, przyszłość nauki, jako swoistego przemysłu należy coraz bardziej do masy dobrze wyszkolonych przeciętniaków.



W ślad za postępującym „uprzemysłowieniem” nauki przewidywać trzeba ważne zmiany organizacyjne w kierunku „ekonomizacji” procesu badań naukowych. I tak przypuszczalnie najpóźniej za ćwierć wieku rozwiązana będzie w sposób właściwy – efektywny i ekonomiczny łącznie – sprawa istotnie ważna, lecz obecnie wyglądająca na nierozwiązalną. Chodzi o udostępnienie pracownikom naukowym całości postępu naukowego w danym zakresie, względnie do badań nad danym problemem. W zasadzie było to od dawna i jest oczywiste, natomiast praktycznie coraz mniej realne, a to wobec nieomal „geometrycznego” postępu w narastaniu masy wyników badań nad tymi samymi lub zbliżonymi do siebie problemami w jednakowym „arytmetycznie” biegu czasu. Oprócz rzeczowej masy w grę wchodzi ponadto publikowanie prac naukowych w wielu językach (nie tylko „kongresowych”) i niedostępność coraz większej ilości publikacji zarówno książkowych, jak i czasopiśmienniczych. Skutkiem tego ogromna i wciąż wzrastająca ilość energii „naukotwórczej” marnuje się, gdyż badacz może zapoznać się z coraz mniejszą – relatywnie – ilością wyników badań na dany temat. Musi więc ponownie odkrywać fakty gdzieś już stwierdzone; prowadzić badania nad problemami już – i być może znakomicie – zbadanymi.

Od dawna przeciwdziała się temu, jednakże niedostatecznie, m.in. poprzez spotkania na zjazdach naukowych, czasopisma branżowe przeznaczone na bieżące publikowanie streszczeń z monografii naukowych, podręczniki itp. Potrzebne są jednakże nowe środki zaradcze. Otóż prawdopodobnie wydaje mi się, że za około ćwierć wieku powstanie i ustabilizuje się nowego pokroju „służba” naukowa w formie opracowywania na bieżąco swoistych syntetycznych sprawozdań z wyników badań w danej nauce bądź wyodrębnionej specjalności naukowej. W zasadzie będzie to ciąg dalszy działań już faktycznie od dawna wykonywanych. Jednakże od ich stanu obecnego różnić je będzie: instytucjonalizacja, istnienie, zarazem kształcenie, odpowiednich kadr naukowych, łączących w sobie wiedzę naukoznawczą, poligraficzną i w zakresie poszczególnych rodzajów badań specjalistycznych oraz bibliotekoznawczą. Sens nowego pokroju instytucji naukowych leżał będzie głównie w szybkości, sprawności i dokładności gromadzenia i przekazywania badaczom zbiorów informacji bieżących o postępie naukowym. Ponadto w indywidualnym doradztwie i pośrednictwie w korespondencyjnym, a nawet osobistym kontakcie z badaczami w zakresie problemów pokrewnych. Nowe instytucje umożliwią będą sprawne uzupełnianie funkcji spełnianych od dawna przez zjazdy, seminaria i kongresy naukowe, krajowe i między-



narodowe, ponadto przez czasopisma specjalistyczne, w szczególności czasopisma bibliograficzno-informacyjne. Prawdopodobnie dzięki ich istnieniu i działalności bardziej efektywna niż dotychczas stanie się międzynarodowa współpraca naukowców, m.in. w realizacji badań kompleksowych, prowadzonych na wielką skalę. Stopnieje masa badań powtarzanych zbędnie celem potwierdzenia lub zaprzeczenia hipotez istotnie, jeśli nie formalnie, jednakowych, np. badań nad etiologią chorób nowotworowych.

Powstanie nowego rodzaju służby „naukotwórczej” może mieć ponadto praktyczne znaczenie w dokształcaniu przyszłych „nad-specjalistów”. Coraz dalsze zawężanie się specjalizacji naukowych jest nieuniknione. Jednakże gdyby nie przeciwdziałać negatywnym skutkom tego procesu, stopniowo wzajemne rozumienie się naukowców – nawet w tej samej gałęzi wiedzy – stawałoby się coraz trudniejsze. Ostatecznie, poszkodowany byłby (i już jest) postęp naukowy, w ślad za nim interes społeczny. Otóż właśnie poważną szansą w przewyżczeniu umysłowych ograniczeń, powodowanych przez pogłębiające się zawężanie zainteresowań badawczych, mogą stanowić i – jak sędzę – będą stanowić łatwo dostępne bieżące podsumowania osiągnięć naukowych na „piętrach” coraz wyższych, umożliwiających ogarnianie postępu w coraz szerszym zakresie, a więc z uwzględnieniem nauk logicznie sąsiednich. Rozumie się, że nie chodzi o syntezы podręcznikowe, prawie zawsze bardzo spóźnione, ani o bibliograficzne zestawienia obok siebie streszczeń publikacji bieżących. Chodzi natomiast o logicznie ułożone syntezы bieżących wyników badań na tle danej problematyki. Takie syntezы ułatwią zarówno samokształcenie specjalistów, jak i krytyczną ocenę własnych osiągnięć badawczych.

W związku z potężniejszą rolą nauki nieomal w każdej dziedzinie życia społecznego wielu intelektualistów coraz częściej intryguje sprawa przyszłych powiązań między władzą – w szerokim sensie tego słowa – a działalnością i wiedzą naukową. Konkretniej rzecz biorąc, chodzi o odpowiedź na pytanie: czy coraz bardziej potrzebni i cenieni twórcy postępu naukowego nie uchwycą władzy w swoje ręce? Pytanie to od dawna przewija się w wielu utworach literackich. A twórcy dzieł z zakresu współczesnej *science fiction* nieomal jednomyślnie utożsamiają przyszłych władców z wielkimi uczonymi. Spróbujmy zastanowić się nad tą sprawą.

Gdy Bacon pisał blisko 350 lat temu, że nauka to potęga (*scientia est potentia*), było to właściwie tylko marzenie, gdyż w jego czasach faktycznie nauce i jej ludziom daleko było do odgrywania roli poważnej w życiu

zbiorowym. Prestiż wybitnych uczonych był wprawdzie niemały, ale w gospodarce, polityce, wojskowości, lecznictwie, szkolnictwie wiedza naukowa nie miała znaczenia istotnego w porównaniu z tradycją, opartą na tzw. grubej empirii.

Sytuacja ta zmieniała się poważnie pod koniec XIX wieku, a to przede wszystkim w medycynie i w związku z wyścigiem zbrojeń przed pierwszą wojną światową. A w czasie jej trwania współzawodnictwo naukowców w technice (pośrednio w niektórych naukach podstawowych) stanowiło o wielu zaskoczeniach i porażkach. W okresie międzywojennym i w czasie drugiej wojny światowej wyścig myśli naukowej przyczyniał się już – co najmniej na odcinku techniki wojskowej i w służbie zdrowia – prawie że bezpośrednio i pierwszorzędnie do efektywności działań wojennych. Wieloletnia „zimna wojna” po 1947 roku była w mierze istotnej wojną między laboratoriami naukowymi dwóch wielkich obozów politycznych. Zgodnie z tym świadomość rzeczywistej potęgi nauki w umysłach laików jest już nieomal powszechna.

Czy rozwój dalszy należy pojmować tak, że w nieodległej przyszłości nauka, ściślej biorąc uczeni, zawładną światem, tj. że w ich ręku znajdzie się potęga polityczna? Jest to co najmniej wątpliwe, głównie ze względów psychologicznych. Nauka a polityka wymagają różnych uzdolnień, nawyków i nastawień. Ludzie nauki są w zasadzie „obserwatorami rzeczywistości”, przy czym – rzecz jasna – również eksperymentatorów do nich zaliczyć trzeba. Politycy są w zasadzie działaczami i organizatorami. Wprawdzie może się zdarzyć i już nieraz zdarzało się, że uczeni brali żywy udział w życiu politycznym; również odwrotnie, że politycy okazali żywe zainteresowanie dla pracy naukowej. Nie przeczy to zasadniczej odrębności uzdolnień, nawyków, nastawień oraz funkcji społecznej.

Praktycznie biorąc, uczony wchodzący w skład gabinetu ministrów przynajmniej na czas urzędowania zrywa z nauką; niekiedy zresztą definitywnie, nawet po opuszczeniu fotela ministerialnego. A trzeba sobie zdać sprawę z faktu, że z reguły jako minister jest raczej rzeczoznawcą aniżeli politykiem lub inicjatorem decyzji czy „władcą”.

Zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie układ stosunków wzajemnych między nauką a władzą polityczną jest w zasadzie taki, że twórczy ludzie nauki wraz ze swymi laboratoriami i współpracownikami stanowią „trust mózgów” dla ludzi rozporządzających władzą. Doradzają, konstruują nowe rodzaje broni, wynajdują nowe środki społecznej walki o byt, natomiast ludzie stojący u władzy słuchają porad (według swego uznania) i korzystają z wynalazków naukowych do realizacji szeroko pojętych

celów politycznych. Oczywiście, z konieczności „otrząskują się” sami ze zdobyczami postępu naukowego.

Nie ma dość podstaw do przypuszczenia, że taki właśnie stan rzeczy w przyszłości zmieni się istotnie. Z pewnością rola nauki i uczonych będzie stale wzrastać. Ale to nie znaczy, że kiedyś uczeni wezmą w swoje ręce ster władzy – powiedzmy: ster przyszłego Państwa Światowego. Gdyby nawet formalnie tak się stało, że jakaś przyszła Światowa Akademia Nauk zamieniłaby się w Światowy Gabinet Ministrów, nie do niej, jako do zespołu wybitnych specjalistów nauki, należałaby władza, lecz do grupy ludzi o uzdolnieniach i nawykach politycznych, którzy – być może – „wczoraj” byli uczonymi, ale z nauką zerwali, obecnie zaś są władcami i rządzą dla realizacji celów politycznych, a nie specjalistyczno-naukowych. Zresztą, prawdopodobnie Sekretarz czy Prezes Światowej Akademii Nauk byłby „z urodzenia” raczej politykiem aniżeli uczonym, jak to faktycznie i nierzadko bywa w narodowych akademiach nauk.

Krótko mówiąc, nieustanny wzrost potęgi nauki nie oznacza ani nie będzie oznaczać w przyszłości jej dominacji w sensie politycznym; tym mniej supremacji nad całością życia w cywilizacji naukowo-technicznej. Dominacja i supremacja zawsze należeć będzie do polityków jako – do pewnego czasu – rzeczników woli społecznej; do władców. Nie przeczy to możliwości ich rodowodu ze środowiska ludzi nauki.

## Przyszłość filozofii

W sprawie przyszłości filozofii zajmowałem kilkakrotnie stanowisko w mych publikacjach, poczynawszy od monografii z 1933 roku *Psychologia filozoficznego światopoglądu młodzieży*. Szczegółowo rozpatrzyłem rzecz w skrypcie *Psychologia filozofowania*, wydanym w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Katowicach w 1967 roku. Wobec tego, że opierałem się przy tym na własnym poglądzie na temat powstawania zagadnień i przekonań filozoficznych, za niezbędne uważam przede wszystkim zwięzłe streszczenie tego stanowiska.

Filozofowali i nadal filozofują ludzie różnego wykształcenia i przynależni do różnych kultur. Co więcej, w zasadzie robili i robią to niezależnie od jakości lub braku wykształcenia filozoficznego; oczywiście, również niezależnie od znajomości „fachowego” słownictwa filozoficznego, ukształtowanego w dziejach myśli europejskiej. Przyczyny po temu nie leżą ani we wrodzonych zadatkach psychicznych – czy to umysł-

wych, czy to emocjonalnych – ani w sposobach czy treściach kształcenia umyślnego lub przygodnego. W czym w takim razie? We właściwościach i skutkach osobistego doświadczenia, zdobytego w trakcie poznawania otoczenia i działania, jako przystosowywania się do warunków środowiskowych i zaspokajania potrzeb. Rzecz w tym, że tylko ludzie zdolni są do gromadzenia wielkich zasobów doświadczenia osobistego; do przekazywania tegoż ludziom innym i do społecznego wykorzystywania jako tradycji. A zdolni są do tego dzięki wyjątkowym cechom gatunkowym, zwłaszcza dzięki wyjątkowo lotnej wyobraźni, abstrakcyjnemu myśleniu i mowie. Te to zdolności umożliwiają ludziom niezwykle prężne „pytajne nastawienie” do otoczenia w oparciu o „punkty widzenia” w zaczątkowej postaci obecne zapewne u wielu gatunków innych. Chodzi tu o „punkty widzenia” prowadzące do znanych już dzieciom pytań kto?, co?, czemu?, dlaczego?, gdzie?, kiedy? i szeregu innych.

Nagromadzające się od wczesnego dzieciństwa doświadczenie osobiste, w szczególny sposób wzbogacone przez kształcenie szkolne, wciąż na nowo wzbudza zapytanie według wymienionych i innych „punktów widzenia”. Odpowiedzi samodzielnie zdobyte lub uzyskane dzięki kształceniu zarówno zaspokajają umysłowo, jak i przyczyniają się do dalszego wzbogacania wiedzy osobistej i powstawania nowych pytań. Na tym tle rychło mogą się pojawiać i faktycznie w układzie pewnych okoliczności pojawiają się pytania o różne „ostateczności”, na które osoba stawiająca je nie potrafi znaleźć odpowiedzi w pełni zadowalającej. Fakt ten nazwałem – w monografii z 1933 roku – „hiperfunkcją poznawania kategorialnego”. Można by też rzec: nadmiarem i niedosytem czynności poznawczych. W tym to nadmiarze tkwią korzenie odwiecznie jednakowych w różnych kulturach zagadnień ontologicznych, np. skończoności bądź nieskończoności przestrzeni lub czasu, ostatecznej przyczyny wszechrzeczy, a więc głównego i wciąż tego samego zrębu zagadnień filozoficznych. Konkretnie formy tych zagadnień, sposoby ich wyrażania i uzasadniania bywały i nadal są różne stosownie do stanu kultury umysłowej danych osób. Natomiast istotna ich treść jest ta sama.

Geneza zagadnień etycznych i epistemologicznych jest wprawdzie bardziej złożona, bo uzależniona dodatkowo od samowiedzy, jednakże sprowadza się również do swoistego nadmiaru czynności poznawczych w stosunku do możliwości znalezienia czy udzielenia innym odpowiedzi zadowalających bądź przekonujących.

Z przedstawionego poglądu wynika, że przynajmniej same przez się zagadnienia dotyczące różnych „ostateczności”, tj. właśnie zagadnienia

filozoficzne, są w zasadzie trwałe („wieczne”) i w pewnym sensie przymusowe. Znaczy to, że ludzie nie mogą się ich pozbyć czy zrezygnować z nich, jeśli nawet są przekonani o ich jałowości. Dotyczy to również naukowców przekonanych o bezpodstawności filozofowania i filozofii jako produktu tegoż. A właśnie naukowcy od dawna odnosili się i nadal sceptycznie odnoszą się do filozofii, przede wszystkim zaś do samych zagadnień filozoficznych. I również naukowcy – rzecz paradoksalna – najczęściej stawiają i rozpatrują zagadnienia filozoficzne. Dotyczy to m.in. ludzi nauki odżegnujących się od „mrzonek” filozoficznych.

W zasadzie również odpowiedzi, jako próby rozwiązywania zagadnień filozoficznych, są w pewnym sensie przymusowe. Obracają się bowiem odwiecznie i nadal dokoła nielicznych możliwości, w ich zakresie przeważnie dokoła alternatyw. Na przykład w zakresie filozoficznych zagadnień przestrzeni jedni myśliciele opowiadają się za koncepcją co do jej nieskończoności, inni – przeciwnie – co do jej skończoności.

Nie trzeba uzasadniać twierdzenia intuicyjnie pewnego, że sposoby stawiania i rozwiązywania zagadnień filozoficznych oraz siła zainteresowań określonymi zagadnieniami są zależne od osobistej kultury filozoficznej, a w wypadku naukowców specjalistów – od rodzaju wiedzy uprawianej. Wszak pewne zagadnienia interesują przede wszystkim astronomów lub fizyków, inne głównie biologów, jeszcze inne historyków itp. Jest to również intuicyjnie pewne, że stosownie do swego wykształcenia filozofowie „fachowi” akcentują niektóre zagadnienia i próby rozwiązań tychże, a to głównie w ślad za dobrze im znaną historią filozofii. A nie można całkiem pominąć laików czy ludzi po prostu ogólnie wykształconych. Ich zagadnienia filozoficzne są w zasadzie te same, co naukowców i filozofów „fachowych”, jednakże sposób precyzowania i uzasadniania odpowiedzi jest daleko bardziej uproszczony. Wyłaniają się zatem zróżnicowane pytania co do:

1. sposobu stawiania i doboru zagadnień filozoficznych przez naukowców;
2. sposobu rozważań filozoficznych filozofów „fachowych”;
3. filozofowania umysłowo rozgarniętych laików.

Prawdopodobne jest to, że owi laicy filozofujący czasem popadają na tory zagadnień „ostatecznych”, przeważnie pod wpływem wiedzy specjalistycznej, to znowu na tle wykształcenia „ogólnofilozoficznego”. Znaczy to, że praktycznie wystarczy tu uwzględnić naukowców specjalistów i filozofów zawodowych.

W związku z tym spróbuję odpowiedzieć na dwa pytania „przyszłościowe”:

1. Jakie przypuszczalnie będą za lat kilkadziesiąt wiodące zagadnienia filozoficzne uczonych, w zasadzie związanych z pewnym wycinkiem wiedzy naukowej?

2. Jakie zagadnienia przede wszystkim interesować będą w tym czasie filozofów fachowych, tj. intelektualistów twórczych z wykształceniem filozoficznym?

Na ogół uczeni specjaliści odżegnują się od filozofii i nie uznają jej zagadnień. Zawsze – własnym zdaniem – uprawiają naukę i tylko naukę. Wciąż jeszcze wywiera na nich wpływ krytyka „metafizyki”, przeprowadzona przez wielu twórców współczesnej nauki mniej więcej w czasie od XVI do XIX wieku. Pomimo w zasadzie negatywnej postawy wobec filozofii, zwłaszcza wobec ontologii, poczynania twórcze wielu i coraz większej liczby naukowców specjalistów mają charakter filozoficzny. Bywa tak nawet w wypadkach, gdy uczeni, konstruujący nadbudowy dla swej wiedzy fachowej, są zdecydowanie przekonani o tym, że nadal stoją twardo na gruncie naukowym. Niemniej obiektywnie ich poczynania w tym zakresie mają charakter filozoficzny. Stanowią one bowiem pewnego rodzaju nadmiar teoretycznych objaśnień aktualnego stanu wiedzy bądź niewiedzy. Wobec tego aby określić – w sposób oczywiście nad wyraz hipotetyczny – tendencje filozoficzne w nauce z początkiem XXI wieku, trzeba by przewidywać stan nauki w tym czasie.

Czy jest to możliwe? Czy ma to jakikolwiek sens, jeśli brać pod uwagę lawinowy charakter postępu naukowego i technicznego oraz nieoznaczalność wielkich odkryć? Otóż do pewnego stopnia wydaje się to możliwe, jeśli skupić się na aktualnych głównych problemach i tendencjach rozwojowych nauki oraz na ich społecznych uzależnieniach.

Niebывały rozkwit fizyki od czasu odkrycia promieniotwórczości oraz w kręgu teorii względności i kwantów powoduje wciąż coś w rodzaju reakcji łańcuchowej w postaci wielokształtnych badań, odkryć i zastosowań technicznych. Fizyka jest nieporównalną z niczym potęgą w dziedzinie wiedzy naukowej i staje się nią coraz bardziej w tempie przyspieszonym.

Co więcej, nowa fizyka wzbudziła i coraz bardziej urealnia nadzieje nieporównalnego ze stanem obecnym opanowania materii i przestrzeni kosmicznej przez człowieka. Stanowi ponadto główny instrument naukowy w gigantycznej walce dwóch obozów ideologicznych i ustrojowych na świecie. Wyścig zbrojeń dokonuje się przeważnie na kanwie fantastycznego postępu w dziedzinie nauk fizycznych w przymierzu z matematyką, dostosowaną do wymogów nowoczesnej techniki.



Pociąga to za sobą niebywały wzrost kadry naukowej fizyków, wśród nich teoretyków, zafascynowanie fizyką i jej pochodnymi, opinii wykształconego ogółu, publicystów, istny zalew piśmiennictwa popularnonaukowego w zakresie nauk fizycznotechnicznych, szybkie przeobrażenia programów nauczania w kierunku coraz większego ich uprzywilejowania. Wszystko razem stanowi sieć „sprzężeń zwrotnych”. W ujęciu globalnym znaczy szybkie narastanie względnego znaczenia fizyki i jej pochodnych.

Prowadzi to do zaakcentowania w dociekaniach coraz liczniejszych fizyków odwiecznych i pryncypialnych problemów „ostatecznej istoty” materii, energii, ruchu i przestrzeni. A wydaje się prowadzić go do renesansu – oczywiście, w postaci całkiem nowej – przedsokratycznej filozofii przyrody i kosmologii. Wiele wskazuje na to, że wspomniana „reakcja łańcuchowa” będzie wciąż narastać i że potrwa długi czas. Znaczyłoby to, że dopiero w XXI wieku, już zapewne w wieku dojrzałym do podróży kosmicznych, plejady Talesów, Empedoklesów, Heraklitów i podobnych do nich fizyków-filozofów pouczają będą masy wykształcone o „ostatecznych” formach, wymiarach, kresach i zależnościach materialnego bytu. Wszak będzie to niezwykle interesujące i potrzebne dla „pielgrzymów kosmosu”. (Rozumie się – pod warunkiem, że gatunek ludzi jeszcze się ostanie lub że nie wróci do czasów kamienia łupanego!).

Z przedstawionym rozwojem pójdzie w parze zapewne szybki postęp szeroko pojętej wiedzy biologicznej (tj. łącznie z podstawami psychologii). Odwiecznie i co pewien czas ludzie usiłowali dotrzeć rozumem do korzeni swego bytu. Świetny rozwój teoretycznych i praktycznych nauk o życiu (medycyna, agrotechnika, zootechnika) już od wielu lat naprowadza wielu uczonych na tory myśli i badań dotyczących „ostatecznego” mechanizmu życia. Przy tym wielu biologów wcale nie widzi kresu możliwości badań najzupełniej i wyłącznie naukowych na tych torach: „Tu nie ma i nie będzie żadnej filozofii, lecz tylko i po prostu lawina odkryć eksperymentalnych”. Znaczy to, że biolodzy stawiać będą sobie czy swym kolegom pytania dotyczące „ostatecznych” uzależnień życia, „ostatecznych” kresów jego możliwości w kosmosie, „ostatecznej” jego przeobrażalności itp. Pytania na miarę ich wiedzy – hiperfunkcyjne, a więc filozoficzne w sensie tendencji do przekraczania granic wiedzy rozporządzalnej. Krótko mówiąc, również w XXI wieku istnieć będzie filozofia życia, a wydaje się prawdopodobne, że w dostosowaniu do przyszłej „fizykotechniki” jej rola względna w całości problematyki filozoficznej uczonych specjalistów będzie poważniejsza, niż nią jest w chwili obecnej.



Uzupełnieniem filozofii życia w ogóle będzie zapewne filozofia życia psychicznego. Jej zręby zaznaczają się od dawna czy to na torach *science fiction*, wygładzonych nowoczesną fizyko- i biotechniką, czy to w ślad za zainteresowaniami i rozumowaniami filozoficznymi, zwłaszcza w kręgu wpływów materializmu dialektycznego.

Wielu psychologów od dawna chce wiedzieć, jakie są „ostateczne” warunki i elementy świadomości, na czym „ostatecznie” polega budowa, rozwój czy rozkład osobowości, jakie są „ostateczne” powiązania energii psychicznych z fizykochemicznymi itp. W miarę rozrostu wiedzy psychologicznej prawdopodobnie coraz więcej będzie uczonych dociekliwych, którzy – własnym zdaniem – będą po prostu w sposób naukowy konstruowali teorie dotyczące wymienionych i pobliskich „ostateczności”. Obecnie „duch” pozytywizmu jeszcze na ogół powstrzymuje psychologów od poważnego zajmowania się tymi rzeczami. Ale wydaje się prawdopodobne, że „duch” ten będzie w zaniku stosownie do postępów nowej fizyki, kosmologii i nauk biologicznych. Prawdopodobnie coraz częściej pojawiać się będą „hipotezy robocze” dotyczące pryncypiów życia psychicznego. Powiększać będzie się zatem względne znaczenie psychologii filozoficznej w ramach czy to psychologii naukowej, czy to filozofii przyrody.

Pozostawiając szereg ważnych nauk na uboczu, spróbujmy jeszcze spojrzeć na pozycję specjalistów nauk technicznych w przypuszczalnym kształtowaniu się filozofii XXI wieku. Specjaliści ci miewali dotychczas mało powodów do filozofowania i do zajmowania stanowiska wobec filozofii. Nie było też na ogół sporu o prymat ich nauk w porównaniu z prymatem filozofii. Jedni i drudzy szli drogami osobnymi; zwłaszcza że na politechnikach – na ogół – nie było katedr filozofii. Dla inżynierów naukowców nie było więc problemu naukowości filozofii.

Nieustannie przyspieszający postęp techniki wyłonił i wciąż wzmacnia potrzebę i możliwości aktywizacji myślenia konstrukcyjnego, właściwego twórczości technicznej. Z jednej strony „technik” musi się trzymać twardych faktów fizyki czy chemii (względnie wiązki nauk pochodnych), a więc na każdym kroku mierzyć i liczyć. Ze strony drugiej konkurencja i współzawodnictwo osobiste zmuszają go do popuszczenia wodzy fantazji. W tej specyficznej sytuacji naukowcy w zakresie techniki „fantazjują” na rosnącą skalę. Architekci „fantazjują” na temat budownictwa, konstruktorzy środków komunikacyjnych i maszyn na temat coraz to nowych ich modeli. Zawsze przy tym konieczne jest uwzględnienie ludzkich potrzeb i możliwości ich urabiania. Znaczy to, że chcąc nie chcąc ludzie techniki

uprawiają poniekąd psychologię i socjologię na własny użytek i według własnych możliwości.

Nie ma w tym jeszcze filozofii i być nie musi. Ale jest grunt po temu. Snując pomysły konstrukcyjne uczony technik snadniej niż kto inny wkra-  
cza na tory rozważań nad przyszłością techniki i cywilizacji naukowo-  
-technicznej, nad groźbą „pokonania” człowieka przez technikę, nad „osta-  
tecznymi” granicami technizacji życia ludzkiego czy „ostatecznymi” szan-  
sami opanowania kosmosu za pomocą techniki itp. W zasadzie trzyma się  
wprawdzie twardego gruntu nauk ścisłych, ich zastosowań do problemów  
technicznych i wynalazków realnych, ale niespostrzeżenie filozofuje.  
Rodzaj jego filozofii, w dotychczasowych dziejach myśli słabo reprezento-  
wany, nazwać by można filozofią przyszłości gatunku ludzkiego i cywili-  
zacji. Jest to jak gdyby uzupełnienie filozofii dziejów lub skierowanie jej na  
dzieje możliwe, a nie dokonane.

Wiele wskazuje na to, że ten rodzaj filozofii, relatywnie najbliższy  
ludziom techniki, uprawiany będzie w przyszłości pospolicie; zresztą, nie  
tylko przez „inżynierów”. Przyłączają się od dawna i przyłączać się do  
nich będą przede wszystkim pedagodzy, socjolodzy i ekonomiści. Również  
bowiem ich praca myślowa jest w dużej mierze konstrukcyjna i wymaga  
wizjonerskiej wyobraźni.

Nie ma podstaw do obawy, że w wieku XXI nie będzie filozofów zawo-  
dowych, np. jako profesorów filozofii w szkołach wyższych. Prawdopo-  
dobnie będą to w większej mierze specjaliści niż obecnie, ale to jest sprawa  
inna. Wobec tego nad czym i jak filozofować będą myśliciele-specjaliści  
(fachowcy w filozofii) XXI wieku?

Ogólnie rzecz biorąc nad tym wszystkim, nad czym w ciągu wielu wie-  
ków filozofowano każdego czasu. Wszak w odniesieniu do każdego zagad-  
nienia filozoficznego można napisać jego historię rozpoczynając ją sche-  
matycznie na przykład oto tak: „Już Tales z Miletu i inni przedsokratycy  
wypowiadali twierdzenia na temat X”. Z kolei w każdym okresie dziejów  
można by znaleźć jakiegoś – wielkiego czy małego – reprezentanta danej  
sprawy filozoficznej. Innymi słowy, historia całości problematyki filozo-  
ficznej ma mniej lub bardziej charakter ciągły.

Nie przeczy to jednak faktowi innemu, że w różnych okresach dzie-  
jów myśli różne zagadnienia i stanowiska filozoficzne występowały  
na plan pierwszy. W czasach przedsokratyków były nimi zagadnienia  
i doktryny filozofii przyrody i kosmologiczne, u epikurejczyków i sto-  
ików – etyczne, u scholastów (na kanwie teologii) – filozoficzno-psycho-  
logiczne.

Począwszy od XVIII wieku na pierwszy plan coraz wyraźniej wysuwały się zagadnienia epistemologiczne. Odnośne zapatrywania ukształtowały się z czasem w dwóch poniekąd konkurencyjnych tendencjach: hume'owskiej (względnie pozytywistycznej) i kantowskiej. Ale w obydwu problem naczelnym brzmiał w zasadzie jednakowo: Czy w ogóle lub jaką wartość obiektywną ma ludzkie poznanie rzeczywistości? Prawda, poznanie i rzeczywistość – oto symbole główne filozofii europejskiej od czasów Kartezjusza, Locke'a, Hume'a i Kanta. W drugiej połowie XIX wieku i w czasach po pierwszej wojnie światowej symbole te stanowiły wyraz wręcz swoistej obsesji intelektualnej ludzi zawodowo uprawiających „miłość mądrości”. Jej szczegółowymi postaciami były najbardziej wpływowe i głośnie kierunki filozofii tych czasów: neokantyzm, neopozytywizm, scjentyzm, fikcjonalizm, pragmatyzm, russelizm, instrumentalizm Deweya, Koło Wiedeńskie, logistyka. Spośród doktryn wielkich jedynie ewolucjonizm Spencera wyłamuje się z tego kręgu. „Uniwersalna Ewolucja”, a nie „Prawda, Poznanie, Rzeczywistość” gra bowiem w nim pierwsze skrzypce.

Sprawa „prawdziwego poznania rzeczywistości” jest wprowadzić nadal ważna dla większości filozofów, jednakże od dłuższego już czasu stopniowo ustępuje na rzecz sprawy innej, acz też starej: Sensu Bytu oraz jej pochodnych. Problem wartości, integralnie zespolony z problemem „ostatecznego” celu istnienia, a nie problem „prawdziwego poznania rzeczywistości”, pojawiał się będzie najczęściej i najbardziej natarczywie na kartach „klasyków” filozofii XXI wieku. Tak jak wczoraj ludzie wielcy walczyli z chorobą, a dziś z głodem (w Trzecim Świecie), tak jutro będą walczyli o sens życia dostatniego.

W tym mieścić się będzie przypuszczalnie zagadnień kilka, razem stanowiących swoisty kompleks: ogólny problem sensu istnienia wszelkiego, problem wartości, względnie sensu życia ludzkiego, problem przyszłości cywilizacji i w ogóle gatunku ludzkiego, problem kresu życia wszelkiego, odwieczny problem szczęścia, problem układu hierarchicznego wartości różnych itp.

Wydaje się przy tym, że tradycyjny problem Dobra lub Zła jako przeciwieństw nie będzie należał do najważniejszych problemów filozoficznych. Przypuszczalnie bowiem za sto lat opanowane będą w skali społecznej podstawowe kształty ludzkiego zła: nieżyczliwość, zła wola, namiętności przestępcze, a nawet wiele form „ślepego fatum”. Prawo karne prawie że utożsamia się z psychoterapią i z leczniczym wychowaniem. Co więcej, wychowanie będzie o wiele bardziej skuteczne niż dzisiaj. Z etyką sprzy-

mierzona biotechnika w mierze istotnej przyczyni się do ograniczenia degeneracji i jej skutków społecznych.

Krótko mówiąc, na pierwszym planie znajdzie się problem sensu istnienia, jego pochodne i kształty szczegółowe. Będzie to dość zgodne z przewagą zagadnień filozofii przyrody, jaka przypuszczalnie zaistnieje – w kołach filozofujących specjalistów nauk i techniki – pod wpływem niebywałego rozkwitu fizykochemii, biologii i licznych nauk stowarzyszonych.

Niezależnie od treści zapatrywać co do istoty filozofii bywała ona faktycznie i odwiecznie (również) systemem wiedzy. Systemem syntetycznym; syntezą wiedzy o świecie i o człowieku. Niekiedy ten jej charakter wysuwał się na plan pierwszy. Comte, Spencer programowo traktowali filozofię jako syntezę wiedzy naukowej. Ważkie argumenty przemawiają za przypuszczeniem, że w filozofii XXI wieku znowu uprzywilejowana będzie tendencja do syntezy.

Rewolucja w fizyce, dokonana i wciąż jeszcze dokonująca się pod wpływem atomistyki, spowodowała zacieranie się granic między zbiorami nauk fizycznych i chemicznych. Mówić można obecnie o „stu kształtach” czy fragmentach jednej fizykochemii. Liczne są wysiłki teoretyków i popularyzatorów nauki zmierzające do stworzenia w jej ramach syntezy wiedzy.

Coraz pewniej do fizykochemii dołącza się nowa biologia, poczynając od biochemii. A więc mówić można o biologii fizykochemicznej, wobec czego coraz silniejsza jest potrzeba syntezy w ramach ogółu nauk przyrodniczych. Coraz bardziej potrzebne są odpowiednie dzieła naukowo-filozoficzne.

W ślad za postępem nauk przyrodniczych i za postępującą rewolucją w dydaktyce coraz bardziej nauczanie fizyki, chemii i biologii wymaga przesuwania akcentu od wiadomości o przyrodzie ku teoretycznym problemom i ku nauczaniu problemowemu. Zróżnicowanie formalne przedmiotów szkolnych utrzymuje się wprawdzie i zapewne utrzyma się nadal, ale szybko rośnie „korelacja” między nimi, przy czym dla masy uczniów szkoły średniej coraz wyraźniejsza staje się więź między matematyką a naukami przyrodniczymi.

W zaniku jest przepaść między naukami przyrodniczymi a humanistycznymi, tak akcentowana na przełomie XIX i XX wieku. Jedną z przyczyn po temu jest postępująca matematyzacja wielu nauk humanistycznych lub ich odcinków. Rośnie więc potrzeba syntezy wiedzy przyrodniczej i humanistycznej. Wzrasta też poziom wykształcenia ogólnego i jego upowszechnienie. Rośnie zarazem – w skali społecznej – pod-

łoże do wiedzy syntetycznej, obejmującej wszystko. Rosnącej potrzebie przypuszczalnie odpowiadać będą prace pisarskie.

Trudno je nazwać po prostu filozoficznymi. Próby syntez, wykonane przez naukowców, w zasadzie specjalistów jakiejś wąskiej dziedziny wiedzy, będą zapewne w ich własnej opinii oraz w mniemaniu czytelników podsumowaniami „najnowszego stanu wiedzy naukowej”. I wolno przypuszczać, że niejedna z nich będzie rzeczywiście i tylko układem uzasadnionych wniosków ogólnych z bieżącego stanu wyników badań w poszczególnych naukach.

Niemniej wydaje się prawdopodobne, że niejedna próba syntezy stanowić będzie „podsumowanie” daleko wybiegające ponad aktualny, a nawet tylko możliwy stan wiedzy naukowej. Jej autor próbował będzie – jak już tyle razy w dziejach myśli – „sprowadzić” naturę, człowieka, społeczeństwo i kulturę do nielicznych i „całkowicie ostatecznych” praw rządzących wszechświatem. Znaczy to, że będzie filozofował. Zresztą granice między tym to działaniem a zwyczajnym uprawianiem nauki zawsze były niewyraźne.

## Przyszłość religii

Pojęciowe podstawy religii dotyczą rzeczy „ostatecznych”, rozumie się przeto niejako samo przez się, że traktowano je i traktuje się jako pewnego rodzaju filozofię. Co prawda, z akcentem na ontologicznych i etycznych przekonaniach, uważanych za bezdyskusyjne dogmaty, a nie na zagadnieniach, bo ich obecności można się jedynie domyślać. W każdym razie religie są bliskie filozofii, toteż poniekąd z tego powodu rozważania futurystyczne nad filozofią wypada tu uzupełnić przyszłościowym spojrzeniem na sprawę dalszego istnienia i form egzystencji religii. Sprawy tej wprowadzić nigdy nie poruszałem frontalnie, niemniej potrącałem o nią, głównie w publikacjach, dotyczących pochodzenia filozofii.

Religie znajdują się od dawna w defensywie w porównaniu z coraz prężniejszym postępem naukowym. Na tej podstawie wielokrotnie wypowiadano opinię, że ich byt jest tylko kwestią czasu. Rzekomo trudny do pokonania konserwatyzm natury ludzkiej powoduje to, że wciąż jeszcze wielu ludzi wierzy w mity religijne. Co prawda – w myśl powyższej opinii – „wierni” coraz mniej naprawdę wierzą, jeśli nawet formalnie przyznają się do związku z danym wyznaniem religijnym czy kościołem. Stopniowo związki formalne ulegać będą coraz dalszym rozluźnieniom. W końcu,

praktycznie biorąc, ogół ludzi wykształconych uważał się będzie za bezwyznaniowców.

Pogląd ten nie jest bezpodstawny, jest jednakże nad wyraz uproszczony. Co więcej, nie uwzględnia się w nim wcale ważkich argumentów, przemawiających za trwałością wierzeń religijnych. Spróbuję je tutaj przedstawić, zaś w ich świetle odpowiedzieć na pytanie, jaki przypuszczalnie będzie stan tych wierzeń za lat kilkadziesiąt.

Sądzę, że rozpocząć wypada od zauważenia paraleli między zagadnieniem „nauka a filozofia” a problemem „nauka a religia”. Wielu intelektualistom XIX i XX wieku wydawało się, że historyczna klęska metafizyki skończy się ostatecznie likwidacją filozofii i całkowitym zapanowaniem „nauki pozytywnej”. Jak wiadomo, filozofia trwa nadal. Co więcej, rozwija się bujniej niż w czasach prestiżu i rozgłosu wielkich systemów światopoglądowych.

Czemu w ogóle zestawiano obok siebie naukę i religię? Dlatego, że w zdogmatyzowanych i myślowo uporządkowanych systemach religijnych obecne są zbiory twierdzeń na temat istoty rzeczywistości. Na tym odcinku systemy religijne są podobne do filozoficznych, a zarazem pozostają we współzawodnictwie z nowoczesną nauką. Praktycznie oznacza ono sprzeczności między nauką a religią. W ich świetle wiedzę religijną traktuje się jako niby-wiedzę, pełną przekonań bezpodstawnych, jeśli nie zabawnych. Traktuje się ją tak nawet w wypadku nad wyraz symbolicznych czy liberalnych objaśnień dogmatów (zawartych np. w *Piśmie Świętym*, czy w *Starym Testamencie*). Są one nie do pogodzenia z ustalonymi faktami i prawami nauki, w szczególności: fizyki, chemii czy biologii.

Nie sposób temu zaprzeczyć. Jednakże nie wynika stąd bynajmniej, że wierzenia religijne prędzej czy później – w przekonaniu niecierpliwych pozytywistów: prędzej niż później – ulegną zanikowi; powiedzmy, wskutek swoistej śmierci naturalnej. Jeśli bowiem spojrzeć na religijność, pośrednio na obiektywne wierzenia religijne, od strony ich roli w życiu osobistym ludzi wierzących, a nie od strony sprzeczności dogmatów z wiedzą naukową, przewidywany pochośnie ich zanik (zwłaszcza zanik w bliskim czasie) staje się co najmniej wątpliwy. A zatem spójrzmy na rolę, względnie na funkcje wierzeń religijnych w życiu ludzi.

Otóż przede wszystkim nie ma wątpliwości co do tego, że dane dogmaty („prawdy religijne”) nie grają w religijności roli decydującej. Wszak w różnych systemach religijnych, także w różnych niewyraźnie zdogmatyzowanych wierzeniach, są one różne. A przecież nietrudno dostrzec funkcje wspólne wszystkim wierzeniom religijnym. Buddysta, muzułmanin, hin-



duista, chrześcijanin, szintoista itp. jest bez wątpienia w zasadzie jednako-  
kowo człowiekiem religijnym. Oczywiście, jest nim pod warunkiem, że  
w ogóle w jakiejś mierze wyznaje daną wiarę. To jednak nie jest równo-  
znaczne ze stwierdzeniem, że za jedynie prawdziwe uważa dogmaty swo-  
jej religii, natomiast wszystkie z nimi sprzeczne za fałszywe, ani z tym, że  
gdy nie przykłada do nich wagi, wyobcował się ze „swojej” religii. Sedno  
rzeczy tkwi bowiem w fakcie, że taka czy inna – jakakolwiek – wiara reli-  
gijna spełnia funkcję narzędzia subiektywnie zapewniającego – osobie  
wierzącej – sens życia. Co to znaczy w ujęciu dokładniejszym?

Po pierwsze, znaczy to, że dzięki choćby tylko obyczajowemu i formal-  
nemu przystosowaniu się do wiary współwyznawców osoba wierząca nie  
musi się martwić o sens „kołowrotu” powszednich i świątecznych poczy-  
nań, pośrednio czy bezpośrednio związanych z religią. Innymi słowy,  
ma ona „na zapleczu” ludzi swoich, przynajmniej formalnie tak samo jak  
ona wierzących. Jest to – powiedzmy tak – społeczna strona sensu życia  
„zapewniona” subiektywnie przez daną religię. W zakresie tej funkcji jest  
niemało możliwości „przybliżania się” do wiary religijnej zdecydowa-  
nych ateistów i materialistów. W zasadzie wiarę odrzucają, a jednak jakoś  
godzą się z jej obecnością przez przystosowywanie się do tradycyjnych  
obyczajów religijnych.

Po drugie, znaczy to, że wiara w życie pozagrobowe i w nieśmiertel-  
ność, znamienna dla większości wyznań religijnych, wywiera wpływ  
sugestywny na danego jej wyznawcę, i to w pewnej mierze również wtedy,  
gdy on jest zdecydowanym racjonalistą (filozofem – w potocznym znacze-  
niu tego słowa). Rzecz w tym, że każda wiara miewa różne stopnie pew-  
ności subiektywnej – w granicach między pewnością bez ograniczeń ani  
zastrzeżeń a „niby-pewnością” autosugestywną, której nie unicestwia cał-  
kowicie wiedza naukowa – fizyki, chemii, biologii, psychologii – o mecha-  
nizmie obiektywnej rzeczywistości. Niemało jest danych po temu, że wielu  
ludzi wykształconych nowocześnie „hołubi” w sobie taką to „niby-wiarę”,  
i to przynajmniej w dramatycznych chwilach życia, co im nie przeszkadza  
uważać za oczywiste praw naukowych, zarazem za niemożliwe uznawać  
jakiegokolwiek cuda. Takie to godzenie ze sobą wiary religijnej z nauką ma  
poniekąd swoje usprawiedliwienie w fakcie traktowania praw nauko-  
wych przez niektórych uczonych i naukowców za osiągnięcia tymcza-  
sowe, niepełne, a nawet tylko za „pożyteczne fikcje”. Znamienny dla tego  
rodzaju poglądów był swego czasu fikcjonalizm Vaihingera.

Obydwie funkcje wiary religijnej razem wzięte wystarczają – mym  
zdaniem – za podstawę do przewidywania, że w przyszłości, w każdym



razie nieodległej, wielu ludzi nowocześnie wykształconych nie zrezygnuje z religii całkowicie i że będzie się starać o „praktycznie rozsądne” godzenie ze sobą wiary religijnej i nauki. (Robią to od dawna teolodzy czy profesorowie uczelni chrześcijańskich, uprawiający specjalistycznie daną naukę nowoczesną, np. biologię). Sposoby uzyskiwania „zgody” mogą i prawdopodobnie będą ulegały zmianom.

W związku z tym możliwe, a nawet prawdopodobne jest i to, że z początkiem XXI wieku wysunięte zostaną całkiem nowe „naukowe” wierzenia religijne, lepiej dostosowane do współczesnej i przyszłej wiedzy naukowej. Proces taki faktycznie i od dawna już się odbywa, a to w postaci reform religijnych i coraz to nowych prób „naukowej” interpretacji dogmatów religijnych, przeważnie w oparciu o ich symboliczne pojmowanie. W takim razie powyższego rodzaju objaśnienia dogmatów nie są, względnie nie będą dalekie od idealistycznych przekonań w zakresie ontologii i etyki. Zresztą filozofia idealistyczna stanowiła zawsze podporę pojęciową dla dogmatów religijnych. Wynika stąd, że również z początkiem XXI wieku – i zapewne również w przyszłości dalszej – nie będzie brakowało ludzi wykształconych i w zasadzie w sposób racjonalny zapatrujących się na rzeczywistość, którzy opowiadać się będą za „niby-wiarą” religijną, zarazem za jakąś postacią filozofii idealistycznej.

Trudno przewidywać, jak wielki odsetek ludzi wykształconych skłaniał się będzie ku takiej filozofii-religii, ku takiej niby-wierze. Łatwiej odpowiedzieć na pytanie, jacy to ludzie wykształceni czy kto spośród nich będzie się skłaniał w tym kierunku? Otóż wydaje się, że przede wszystkim raczej kobiety, a zwłaszcza kobiety matki aniżeli mężczyźni. Kobieta jako matka nastawiona jest – bardziej niż mężczyzna – na ciągłość gatunku, ciągłość życia. Wszak robi wszystko, aby w zakresie swoich możliwości i obowiązków macierzyńskich ciągłość tę podtrzymywać. Na tym gruncie łatwiej jej właśnie – niż mężczyźnie – ulegać mistycyzmowi w chwilach zadumy nad losem człowieka i nad sensem jego życia. W każdym razie faktem jest, że kobiety wykształcone częściej niż mężczyźni spełniają praktyki religijne, niechby tylko w postaci nawykowego chodzenia do kościoła.

Uwzględnić trzeba tu również stopień bądź jakość – niezależnych od płci – skłonności mistycznych u różnych ludzi w ogóle, ludzi wykształconych w szczególności. W ujęciu prostszym: jednym ludziom łatwiej, innym trudniej wierzyć w cuda; oczywiście, przy jednakowym wykształceniu. Pewnego rodzaju dowodem po temu jest historia mediumizmu, w której występuje wielu luminarzy nauki: fizyków, astronomów, biologów, psychologów i innych.

Razem wzięwszy, nie ma podstaw do przewidywania zaniku wierzeń religijnych wśród ludzi wykształconych z XXI wieku, a nawet – moim zdaniem – z czasowo późniejszych. Cokolwiek bowiem ludzie ci myśleliby o tych wierzeniach w chwilach pełnej sprawności umysłowej i rozważań racjonalnych, z ich obecnością bywa im dobrze w chwilach kryzysowych oraz pod wpływem marzeń irracjonalnych. A jedno i drugie przytrafiają się ludziom najbardziej rozumnym. Bez znaczenia przy tym byłaby refleksja, że istoty ludzkie pełne są sprzeczności zarówno w świadomości, jak i w praktycznym działaniu. Oczywiście, liczyć się trzeba z wyjątkami.

## **Moralność XXI wieku**

Problemy moralności zawsze wiązano z religią, gdyż stanowiły one w gruncie rzeczy i stanowią nadal trzon wierzeń religijnych bądź źródło ich kształtowania się. Zapatrywania metafizyczne, w szczególności eschatologiczne (tj. co do „rzeczy ostatecznych” związanych z losem człowieka), stanowiły zawsze nadbudowę czy to mitologiczną, czy to filozoficzną idei dotyczących moralności przede wszystkim w zakresie powinności w stosunkach międzyludzkich. Pomimo to usprawiedliwione jest rozdzielné traktowanie moralności i wierzeń religijnych. Idee moralne powstawały bowiem i nadal powstają również bez powiązań z religią. Tak samo jest w zasadzie z moralnym czy amoralnym sposobem życia. Spróbujmy więc przyjrzeć się sprawom moralności niezależnie od wierzeń religijnych, i to z futurystycznego punktu widzenia. Oznacza to zamiar sformułowania odpowiedzi na pytanie, jak – przypuszczalnie – przedstawiać się będzie moralność w XXI wieku, w tym moralność religijna i moralność świecka.

Trzon moralności stanowią ustalone praktycznie zasady poprawnego postępowania w stosunkach międzyludzkich. Jeśli sposób życia kolejnych generacji nie ulega zmianom istotnym lub jeśli zmiany w stylu życia danego pokolenia są niewyraźne, zasady poprawnego postępowania – odnoszenia się do ludzi, ich traktowania, oceny cudzych poczynań itp. – są mniej lub bardziej sztywne. Wydają się oczywiste i obowiązujące. Kto się z nich wyłamuje, oceniany bywa negatywnie i stosownie do tego traktowany. Aby tego uniknąć, osoby lekceważące sobie zasady moralne bądź postępujące sprzecznie z nimi albo poddają je krytyce, albo udają wobec otoczenia, że postępują zgodnie z nimi, a tam, gdzie to jest zgodne z ich interesami, próbują w słowach moralność tradycyjną. Na tym polega obłudą moralna – zjawisko obecne w każdej kulturze.

Odpowiednio do przeobrażeń społecznych dokonują się zmiany w stosunkach międzyludzkich. W ślad za nimi na drodze krytyki walki ideologicznej i pomysłów twórczych kształtują się zarysy nowej moralności, nowych idei moralnych, nowych kryteriów ocen moralnych, nowych obyczajów. Oto założenia ogólne do próby odpowiedzi na pytanie dotyczące cech moralności ludzi cywilizacji naukowo-technicznej za lat kilkadziesiąt.

W próbie tej najpierw rozróżnić trzeba dwie warstwy moralności:

1. obyczajową;
2. ideową.

Nie ma między nimi granic ostrych, niemniej łatwo je odróżnić od siebie, jeśli zwrócić uwagę na treści najbardziej znamienne. W moralności obyczajowej na plan pierwszy wysuwają się społecznie uznawane nawyki poprawnych form w stosunkach międzyludzkich. Do ich zakresu wchodzi m.in. tzw. formy towarzyskie, tj. za właściwe uważane sposoby stykania się ludzi, wymiana „grzeczności” i usług w życiu powszednim. Przystosowywanie się do nich ułatwia życie, umożliwia unikanie lub łagodzenie konfliktów. Można by rzec, że formy towarzyskie spełniają rolę smaru ochronnego.

Już raczej poza obrębem form towarzyskich w tej warstwie moralności umieścić należy nienawykowe odnoszenie się do bliźnich, w szczególności do osób bliskich, kolegów, towarzyszy wspólnych zajęć, podwładnych, przełożonych, a nawet do osób przygodnie spotykanych. Chodzi tu o świadome nastawienie na niepowodowanie cierpień czy zgryzot moralnych, na unikanie napięć, wybuchów gniewu bądź strachu itp. Również takie postępowanie stanowi pewnego rodzaju smar ochronny. Ułatwia bowiem współzycie ludzi ze sobą. Zdarza się przy tym, że zachodzą rozbieżności między obyczajowością towarzyską, zarazem nawykową i czysto formalną, a obyczajowością świadomie nastawioną na wzajemne ułatwianie sobie życia. Zdarza się, że z zachowaniem poprawności form towarzyskich dana osoba świadomie dokucza swym bliźnim, przy czym niełatwo wykazać jej złą wolę. Przeciwnie, ignorant w zakresie obyczajowych form „bycia” może subtelnie i życzliwie odnosić się do swych bliźnich.

Świadoma forma moralności obyczajowej, tj. moralności z zakresu powszednich stosunków międzyludzkich, graniczy z moralnością ideową, dla której znamienne jest przede wszystkim ogólnie pojęte postępowanie sprawiedliwe. A to z kolei obejmuje rozumienie, niechby tylko intuicyjne, wspólnoty losów ludzkich, zasadniczej równorzędności drugiego człowieka, w ślad za tym wrażliwości na cudze losy, zwłaszcza cudze

cierpienie, i to nie tylko osób bliskich. Zgodnie z tym ten, kto uważa się za sprawiedliwego, gotów jest każdego człowieka traktować jako człowieka niezależnie od przynależności rasowej, narodowej, klasowej, językowej, majątkowej, od pozycji społecznej; oczywiście, również od różnic wieku i płci. Mieści się w tym ogólnoludzka sympatia do drugiego człowieka, połączona z wrażliwością na cudze cierpienie oraz aprobatą dla pomyślnego rozwoju cudzego życia. Rozumie się, że tak szeroko pojęte sprawiedliwe odnoszenie się do ludzi i sprawiedliwe postępowanie praktyczne obejmuje wiele idei i spraw szczegółowych, zależnych od konkretnych warunków społeczno-historycznych i kulturowych. Jednakże podstawowa idea sprawiedliwości była zawsze i pozostaje w zasadzie jedna i ta sama.

Co w związku z takim pojmowaniem moralności można słusznie przewidywać za lat kilkadziesiąt? Ogólnie rzecz ujmując – degradację i relatywizowanie roli moralności zewnętrznej, wyrażającej się w przystosowaniu do szeroko pojętych towarzyskich form życia, natomiast istotny postęp moralności ideowej, skupionej dokoła kompleksu spraw związanych ze sprawiedliwością. Na jakiej podstawie?

Moralność zewnętrzna i obyczajowa jest ściśle zależna od trwałości bądź płynności układów w stosunkach międzyludzkich. Im bardziej trwałe są te układy, tym bardziej oczywiste i obowiązujące wydają się członkowi danej społeczności, np. grupy zawodowej, formy współżycia utrwalone przez tradycję. Im mniej trwałe – tym bardziej formy obyczajowego zachowania wydają się wątpliwe. Cywilizacja naukowo-techniczna pociąga za sobą wciąż wzrastającą płynność konkretnych stosunków międzyludzkich w pracy, zabawie, odpoczywaniu, uczeniu się, podróżowaniu itp. Osobno uwzględnić trzeba szybko narastające wymieszanie się – w podróżach, w nowych skupiskach ludności, na zjazdach i kongresach itp. – ludzi wychowanych w odmiennych strukturach obyczajowych. Tkwi w tych faktach postępujący „upadek” moralności obyczajowej i zewnętrznej. Oczywiście, upadek z punktu widzenia osób przyzwyczajonych do tradycyjnych form powszedniego współżycia, szczególnie tzw. form towarzyskich, np. w zakresie składania życzeń, wyrazów uznania czy ubolewania.

W przeciwieństwie do postępującej kruchości różnego pokroju kodeksów towarzyskich stwierdzić można ciągły postęp w zakresie moralności ideowej, skupionej dokoła pojęcia i potrzeby sprawiedliwości. W ujęciu ogólnym postęp ten dokonuje się stopniowo od uznawania za „swoich”, zarazem za ludzi, jedynie współplemieńców, do obejmowania pojęciem „swój” czy „swoi” wszystkich istot ludzkich. Jak wiadomo, w społeczeń-

stwach pierwotnych „swoi” są jedynie współplemieńcy. A jeszcze wspólniejsze ludzkie z narodów obcych są tylko częściowo lub z zastrzeżeniami „swoi”. Otóż postęp moralny idzie ku postulowaniu jednakowej sprawiedliwości dla wszystkich ludzi, z kolei ku obejmowaniu uczuciami lub postawami sympatii, współczucia i życzliwości ludzi wszystkich, w końcu – do praktycznego traktowania wszystkich według biblijnej zasady „miłości bliźniego”. Droga do tego rodzaju praktyki jest jeszcze daleka, ale szereg znamienitych faktów wskazuje na to, że jeśli tylko nie dojdzie do powszechnej katastrofy wojennej, ludzie stopniowo stawać się będą dla siebie – niezależnie od różnic językowych, od przynależności rasowej i narodowej – coraz bliżsi i coraz bardziej swoi.

W tym kierunku prą różne siły, przede wszystkim następujące:

1. postępujące zbliżenie ludzi z różnych krajów, a nawet kontynentów wskutek wymiany handlowej i w pośrednim rezultacie masowej turystyki;
2. rozwój współpracy gospodarczej między krajami i narodami całej kuli ziemskiej;
3. odpowiedni rozwój współpracy kulturalnej wraz z upowszechnieniem ogromnej ilości informacji o życiu i kulturze poszczególnych narodów docierające do poszczególnych ludzi nieustannie za pośrednictwem różnych „publikatorów”, przede wszystkim radia i telewizji;
4. światowy wzrost znaczenia ideologii socjalistycznych.

Aktualny stan oddziaływania sił wymienionych i innych jest jeszcze daleki od powszechnego traktowania, a nawet tylko teoretycznego uznawania za ludzi wszystkich mieszkańców globu z gatunku *homo sapiens*. Na razie znajdujemy się na etapie zasadniczego, niechby tylko werbalnego (tj. bez wewnętrznego przekonania) uznawania każdego przedstawiciela tego gatunku jako istotę w zasadzie równą każdemu innemu człowiekowi. Jeszcze wiele brakuje do emocjonalnego i praktycznego traktowania wszystkich ludzi jako „bliźnich”. Jednakże pomimo lokalnych wojen, napięć, konkurencji gospodarczych i napięć politycznych postęp w tym kierunku jest coraz wyraźniejszy, a nawet nieomal widoczny.

Otóż właśnie na tej podstawie uważam za prawdopodobne to, że za lat kilkadziesiąt zrozumienie i emocjonalne uznawanie jedności gatunku ludzkiego będzie już prawie powszechne. Wobec tego idee i teorie szeroko pojętej sprawiedliwości przestaną mieć w świadomości mas ludzkich charakter elitarny. Znaczy to, że przestanie się zastosowywać je tylko do wybranych grup ludzkich, społeczeństw czy narodów. Intuicyjne wyczucia i teoretyczne pojmowanie sprawiedliwości zastosowalne będą

jednakowo do wszystkich. Zgodnie z tym coraz bardziej oczywiste staną się – już od lat kilkudziesięciu inicjowane i realizowane – akcje międzynarodowej wzajemnej pomocy w wypadku klęsk żywiołowych. A w życiu jednostek i w stosunkach międzyludzkich coraz większą rolę odgrywać będą nie „kodeksy towarzyskie”, lecz szczegółowe „ciche” (umowne) bądź pisemne ustalenia w zakresie szeroko pojętej sprawiedliwości. Naprawdę ważne, pobudzające do ocen krytycznych i do ekspresji uczuciowych będą stosunki międzyludzkie, w których tak czy owak ujawnia się nierówność traktowania pomimo jednakowych umiejętności i efektów pracy produkcyjnej, twórczej czy w dziedzinie – lawinowo narastającej masy – usług. Problemy w tej dziedzinie już z dawna zauważane i coraz bardziej aktualne staną się palące. Pobudzać będą wciąż na nowo do dyskusji i sporów, pośrednio zaś do wielu rozważań teoretycznych. Oto dwa przykłady – jeden z zakresu sprawiedliwości gospodarczej, drugi oświatowo-kulturalnej:

1. Od dawna aktualny problem ekonomiczny jednakowych płac za jednakową pracę coraz częściej rozpatrywany będzie nie tyle z punktu widzenia możliwości gospodarczych danego kraju, ile w świetle idei sprawiedliwości społecznej i równości w stosunkach międzyludzkich. Co więcej, problem ten, mający już pewne znaczenie w porozumieniach (i napięciach) międzynarodowych, stanie się jednym z zagadnień palących w skali ponadnarodowej.

2. Od dawna i coraz częściej rozpatruje się i próbuje rozwiązywać praktycznie problem ważności dyplomów z uczelni wyższych jednego kraju w krajach innych. Wyrasta on z coraz liczniejszych migracji absolwentów szkół wyższych. W zasadzie nietrudno się z nim uporać. Po prostu wydaje się odnośne zarządzenia. Jednakże – czy słuszne? W miarę postępującego uczulenia na szeroko pojętą sprawiedliwość narastać będzie potrzeba równościowego traktowania absolwentów szkół obcych; oczywiście, pod warunkiem należytego spełnienia wymagań programowych przewidzianych dla absolwentów szkół kraju własnego. A zatem coraz bardziej oczywista staje się potrzeba sprawiedliwych ustaleń krajowych i porozumień międzynarodowych, należycie przystosowanych do programów i wymagań uczelni różnych.

Razem wziąwszy, moralność ludzi XXI wieku obracać się będzie daleko bardziej niż w chwili obecnej dokoła skomplikowanych spraw sprzężonych wspólną klamrą: ideą sprawiedliwości w zakresie stosunków międzyludzkich i społecznych łącznie. Moralność „prywatna”, tj. ta z powszednich czy wyjątkowych stosunków międzyludzkich, stanowić



będzie za lat 25 o wiele bardziej niż dzisiaj odzwierciedlenie sprawiedliwości w skali społecznej. Przewidywania te wydają się zgodne z obrazem wiodących zainteresowań filozoficznych z początku XXI wieku – o czym mowa była wcześniej.

## **Kształcenie i wychowanie z początkiem XXI wieku**

Stosownie do szybko narastających potrzeb ze strony gospodarki, usług i kultury szkolnictwo współczesne przeobraża się istotnie nieomal na oczach pokolenia w sile wieku, odpowiedzialnego za rozmiar i jakość postępu w tym zakresie. Na trzy fakty wystarczy tu zwrócić uwagę:

1. wydłużanie obowiązkowego szkolnego w wielu krajach do 10–12 lat kształcenia ogólnego;
2. zróżnicowanie szkolnictwa zawodowego do kilkudziesięciu formalnie odrębnych kierunków kształcenia;
3. nasilenie różnego pokroju planowych doświadczeń pedagogicznych, nierzadko realizowanych w szkołach eksperymentalnych.

Idzie za tym wzrost roli kadry nauczycielskiej, bezpośrednio pracującej nad kształceniem obecnie już nie tylko dzieci, młodzieży i dorosłych pracujących, ale nawet emerytów (przyuczanych do zawodów nowych). Z przedstawionego stanu rzeczy zdaje się wynikać, że w dziedzinie kształcenia i wychowania przewidywać można na początek XXI wieku zmiany prawie że rewolucyjne. Jakie zmiany? Spróbuję odpowiedzieć na to pytanie w odniesieniu do kilku zagadnień wybranych.

Od końca XIX wieku – umówić można by się, że od 1897 roku, tj. daty wydania manifestu pedagogicznego Johna Deweya *My Pedagogic Creed* – ze zmiennym szczęściem toczy się w wielu krajach i z udziałem wielkiego zastępu pedagogów batalia w sprawie aktywizacji nauczania. Zarysowo rzecz ujmując chodzi o:

1. zlikwidowanie klasowego systemu pracy szkolnej i zastąpienie go systemem laboratoryjnym;
2. problematyzację nauczania na miejsce nauczania „tradycyjnego”, opartego przeważnie na zapamiętywaniu masy informacji, w szczególności: reguł, twierdzeń, rozumowań, nazwisk, nazw, wzorów, liczb, fragmentów tekstów literackich itp.;
3. przystosowanie programów nauczania do zainteresowań uczniów;
4. zbliżenie programów do życia pozaszkolnego.



Chodziło ponadto o wiele celów czy też zmian innych, jednakże w niniejszym szkicu trzeba je pominąć.

Co z tego wszystkiego, czym pedagodzy entuzjazmowali się od lat kilkadziesiątu, urzeczywistniono do naszych czasów? Niewiele. Z nielicznymi ustępstwami klasowy system nauczania utrzymał się nadal, a wcale nie zanoszą na jego – ani rewolucyjną, ani stopniową – likwidację. Kształcenie problemowe jest nadal nieziszczonym ideałem. Przystosowywanie programów nauczania do zainteresowań (zwłaszcza zaś do zainteresowań rzekomo wrodzonych) okazało się koncepcją zarówno naukowo błędną, jak i nierealną. W zasadzie podobnie ma się rzecz z tzw. zbliżeniem szkół do życia; w każdym razie co najmniej w programach i w pracy szkół ogólnokształcących.

Wielekroć od 1932 roku zabierałem w powyższych sprawach głos w moich publikacjach. Z futurystycznego punktu widzenia ograniczę się więc do ich zwięzłego obrysowania: Nie ma wątpliwości co do tego, że w coraz bardziej zmiennych warunkach życia w cywilizacji naukowo-technicznej ludzie pracujący coraz częściej do czynienia mają z sytuacjami – w pracy zawodowej, w korzystaniu z czasu wolnego, w coraz bardziej zróżnicowanych stosunkach międzyludzkich – w których trzeba myśleć o formie rozwiązywania relatywnie nowych zadań, niezwykle kłopotliwych, problemów bezpośrednio lub pośrednio wynikających z postępu wiedzy naukowej i nowoczesnej techniki. Sprawnego samodzielnego i efektywnego myślenia trzeba się nauczyć, względnie wciąż się uczyć. Oczywiście, przede wszystkim w szkole. Wszak jej zadanie istotne polega na przygotowywaniu uczniów do życia. Nie wynika stąd, że myślenia samodzielnego (aktywnego, twórczego – jak często mawiano) trzeba uczyć przez problemowe opanowywanie programów nauczania. Można cel ten uzyskiwać innymi sposobami, np. przez samodzielne wykonywanie zadań bądź dobrowolnych zobowiązań uczniowskich. Co ważniejsze, idea aktywizacji nauczania w formie problemowego opanowywania programów szkolnych jest nierealna. Na jej drodze stoją bowiem dwie przeszkody nie do pokonania:

1. czasochłonność myślenia lub uczenia się (pośrednio również – nauczania) problemowego w porównaniu z myśleniem recepcyjnym, zwanym po prostu rozumieniem;

2. niemal nieustanny rozrost programów nauczania we wszelkich typach szkół stosownie do coraz szybszego postępu badań i wiedzy naukowej.

Właśnie te dwie przeszkody, oprócz kilku innych, mniej kłopotliwych, wciąż na nowo powodowały i powodują nadal załamywanie się różnego

rodzaju i wielu prób oparcia kształcenia szkolnego na idei systematycznej problematyzacji nauczania. Możliwe, realne i mniej lub bardziej pomyślnie realizowane są próby częściowej problematyzacji w formie ćwiczeń praktycznych bądź zadań pisemnych z zakresu nielicznych, zarazem węzłowych, składników programowych danego przedmiotu nauczania.

Niezależnie od istotnych błędów i fiaska ideologii „szkoły aktywnej” zaakcentować trzeba od dawna występującą, ale wciąż pogłębiającą się potrzebę systematycznego przekazywania uczniom wiedzy nowoczesnej. Jest to istotna metoda szkolna, prowadząca do integracji wiedzy osobistej, pośrednio do kształtowania w miarę możliwości spoistego poglądu na świat. Wobec ciągłego postępu wiedzy naukowej coraz wyraźniej na plan pierwszy wysuwają się warunki, sposoby i środki umożliwiające pełne rozumienie danych treści programowych, praktycznie biorąc jednorazowo przekazywanych uczniom w czasie lekcji i wykładów oraz czytania tekstów. Wśród sposobów znaczenie wciąż narastające mają bieżące „podsumowania” postępów wiedzy naukowej, układane systematycznie i przedstawione językiem możliwie najlepiej zrozumiałym dla danego poziomu nauczania. Chodzi o aktualne uzupełnienia do podręczników szkolnych. Tkwią w tym niemałe problemy organizacyjne, naukowo-pisarskie, a nawet ekonomiczne. Poniekąd zbiegają się one z omówionym wcześniej problemem organizacji nowego rodzaju działalności naukowej w formie instytucjonalnego udostępniania postępów wiedzy autorom lub badaczom celem odciążenia ich od żmudnych, zarazem coraz mniej skutecznych, poszukiwań aktualnej literatury przedmiotu. Na tej podstawie przypuszczam, że na przełomie dwóch wieków sposoby systematycznego udostępniania uczniom z wyższych klas szkoły ogólnokształcącej postępów wiedzy naukowej będą wystarczająco efektywne, aby ułatwiać integrację wiedzy osobistej.

Razem wzięwszy, prawdopodobne wydaje się, że z początkiem XXI wieku pedagodzy przestaną się łudzić błędną ideologią szkoły aktywnej w jej kształcie wyżej opisanym. Słuszny w zasadzie postulat aktywizacji uczniów urzeczywistniany będzie całością warunków nowoczesnej szkoły: znacznie wyższym niż obecnie poziomem wykształcenia nauczycieli, wysokim standardem piśmiennictwa szkolnego, należyтым wyposażeniem pracowni do ćwiczeń, trafnym połączeniem programów nauczania z praktyką pozaszkolną oraz rozładowaniem programów w związku z organizacją kształcenia ustawicznego. Natomiast klasowa organizacja pracy szkolnej utrzyma się prawdopodobnie nadal. Jest bowiem w zasadzie celowa i ekonomiczna.

Istotne zmiany nastąpią przypuszczalnie w zakresie wychowania opiekuńczego oraz pod wpływem realizacji kształcenia permanentnego. Według znanego sloganu – nauczając (czegokolwiek) zarazem wychowujemy. Pryncypialnie jest to oczywiste, nie ma bowiem takich podniet – słów, gestów – ze strony nauczyciela, które by na psychikę ucznia nie wywierały żadnego wpływu. Jednakże praktycznie biorąc nauczyciel w zasadzie uczy np. arytmetyki. I przede wszystkim o jakość jego pracy dydaktycznej chodzi społeczeństwu organizującemu szkolnictwo. Inaczej ma się rzecz z formami pracy nauczycielskiej, w odniesieniu do których z góry akcentuje się oddziaływania wychowawcze, a osoby, na które się oddziałuje, traktuje się nasamprzód jako wychowanków, a tylko niejako mimochodem również jako uczniów. Różnica wynika z jednakowego w zasadzie traktowania ucznia nerwicowego, przewlekłe chorego oraz w jakiegokolwiek dziedzinie z wychowawczego punktu widzenia trudnego, bo niedostosowanego do prawnych i moralnych norm współżycia społecznego. Masę dzieci normalnych wychowuje się w ramach każdego z przedmiotów nauczania w sposób niełatwo zauważalny, bo całość niedydaktycznego postępowania poszczególnych nauczycieli jest w zasadzie jednakowa. Na ogół takie oddziaływanie wystarcza. Natomiast w odniesieniu do wychowanków wyraźnie upośledzonych czy trudnych nie wystarcza. Konieczne są zabiegi i metody specjalne, dostosowane do różnych kategorii upośledzeń i trudności. W przeciwnym wypadku kształcenie i wychowanie mija się z celem. Społeczeństwo jest poszkodowane wskutek nadmiernego obciążenia utrzymywaniem dorosłych niezdolnych do żadnej pracy oraz ściganiem karnym zbyt wielkiej liczby przestępców młodocianych i dorosłych. A niemały odsetek młodocianych i dorosłych żyje nieszczęśliwie wskutek różnego pokroju frustracji.

Od dawna zauważano ten stan rzeczy i wynikające zeń konsekwencje, toteż stopniowo, zwłaszcza w wieku bieżącym, kreowano coraz to nowe formy kształcenia i wychowania opiekuńczego w szerokim sensie tego słowa. Form tych jest już obecnie wiele w krajach rozwiniętych, jednakże jeszcze daleko mniej i na poziomie o wiele niższym niż tego wymagają potrzeby społeczne.

Otóż właśnie w tej dziedzinie przewiduję milowy krok naprzód w ciągu około najbliższego ćwierćwiecza. Szybko postępujący wzrost rozumienia społecznej ważności wychowania opiekuńczego pociągać będzie za sobą warunkujące się nawzajem działania bądź procesy:

1. rozbudowy zróżnicowanych badań naukowych;

2. kreowania coraz to nowego rodzaju i coraz liczniejszych instytucji opiekuńczych;

3. usamodzielnienia się zawodu wychowawcy (rozumie się: opiekuńczego), jako równorzędnego zawodowi nauczycielskiemu.

Rozumie się przy tym, że zawód wychowawcy będzie zróżnicowany odpowiednio do (co najmniej kilkunastu) rodzajów pracy wychowawczo-opiekuńczej. Rozumie się i to, że część wychowawców spełniać będzie (i już spełnia w klasach bądź w szkołach dla dzieci umysłowo opóźnionych lub dziedzicznie upośledzonych) równorzędnie funkcje nauczycielskie i wychowawcze.

Osobny, jak dotąd formalnie nieznany, zawód nauczycielski ukształtuje się i ustabilizuje pod wpływem i w trakcie urzeczywistniania kształcenia ustawicznego (zwanego też równoznacznie permanentnym lub ciągłym). Jak dotąd jest to wciąż jeszcze „muzyka przyszłości” – co prawda, już na ogół zaakceptowana ideologicznie i obrysowana teoretycznie. Jest jednakże dość podstaw do przewidywania, że na przełomie dwóch wieków stanie się faktem tak samo oczywistym i realnym, jak nim są aktualnie ustabilizowane formy szkolnictwa. Uprzednio jednak wiele problemów praktycznych, w szczególności organizacyjnych, wymagać będzie należytego rozwiązania. Problem najważniejszy – tylko częściowo organizacyjny – to przygotowanie odpowiednich kadr. Jakich? W bardzo szerokim znaczeniu tego pojęcia – nauczycielskich, do których w zasadzie zaliczani są wychowawcy. Oczywiście, chodzi o kadry wysoko kwalifikowanych nauczycieli do udzielania porad oraz do stwierdzania aktualnych osiągnięć w procesie ciągłego uczenia się osób już w zasadzie od dawna wykształconych i przygotowanych do swojego zawodu specjalistycznego. Chodzi więc o nauczycieli posiadających wybitną wiedzę naukową w swoim zakresie, a zarazem zdolnych do udzielania konsultacji w zasadzie indywidualnych. W pewnej mierze rolę tego rodzaju nauczycieli spełniają już od wielu lat wykładowcy na studiach zaocznych uczelni wyższych. A pierwociny takiej roli spełniali od dawna korepetytorzy w szkołach średnich. Te formy, tym mniej pierwociny, obecnie nie wchodzi już w rachubę. Nauczyciel nowego pokroju – nazwijmy go konsultantem – musi być wybitnym, zarazem wszechstronnym znawcą danego przedmiotu, np. matematyki. Przy tym raczej ani wykładowcą w obecnym znaczeniu formalnym i realnym tego pojęcia, ani badaczem naukowym. Wykładowcy są na ogół miernego pokroju znawcami stanu dotychczasowego i postępów wiedzy w danym przedmiocie. Wszak są to zazwyczaj osoby, którym nie udało się wspiąć wyżej – do habilitacji lub co

najmniej do etatowej docentury. A naukowcy z prawdziwego zdarzenia bywają na ogół kiepskimi przekazicielami wiedzy.

Jako jedyne wyjście pozytywne z poważnego kłopotu pozostaje przeto planowe kształcenie przyszłych konsultantów spośród kandydatów o wybitnych, przy tym rozległych, zainteresowaniach naukowych, o gruntownej wiedzy w swoim przedmiocie, wyniesionej ze studiów wyższych, o nieprzeciętnej inteligencji ogólnej oraz o niezwykłych predyspozycjach (tak czy owak nabytych, poniekąd i wrodzonych) do informowania, rozpoznawania i poprawiania stanu cudzej wiedzy, przy tym niekoniecznie mających ambicje naukowo-badawcze. Przewiduję więc, że na drodze prób i błędów ukształtuje się relatywnie nowy zawód: nauczyciela konsultanta. Dzięki odpowiedniej kadrze w tym zawodzie kształcenie ustawiczne spełniać będzie funkcje społeczno-oświatowe, aktualne już obecnie, a za 25 lat nie mniej ważne niż funkcje specjalistyczno-wychowawcze, o których mowa była wcześniej.

## **Wymiar sprawiedliwości z początkiem XXI wieku**

Przewidywania co do postępów w wymiarze sprawiedliwości kojarzą się z omówioną tu prognozą w sprawie przeobrażeń w wychowaniu opiekuńczym, dlatego więc przedstawiam je na tym miejscu. Rozpocznę od analizy problemu coraz częściej rozpatrywanego publicznie, i to nie tylko od strony prawnej: zniesienia kary śmierci. Nastawienie w tym kierunku widoczne jest nieomal we wszystkich krajach cywilizowanych. W wielu krajach zniesiono tę karę konstytucyjnie. Co prawda, znamienna jest chwiejność i warunkowość odnośnych ustaw. A w niektórych krajach karę śmierci już wprowadzie formalnie zniesiono, jednakże stosuje się ją faktycznie na drodze bezprawnej, m.in. w formie zabójstw inspirowanych przez organa władzy lub tolerowane przez nie grupy.

Fakty wymienione każą zastanowić się nad pytaniami:

1. Dlaczego postęp w wymiarze sprawiedliwości zmierza do zniesienia kary śmierci?

2. Jakie są przyczyny chwiejności i nawrotów ku faktycznemu jej stosowaniu lub ku jej formalnemu akceptowaniu bądź usprawiedliwianiu?

W odpowiedziach na pytanie pierwsze przewija się pospolicie argument, że kara śmierci jest pozostałością epoki barbarzyństwa, przeczącą postępującej humanizacji stosunków społecznych i międzyludzkich. Idą za tym rozmaite uzasadnienia szczegółowe przede wszystkim takie oto:

1. Kara śmierci nie stanowi skutecznego zabezpieczenia przed mordercami, bandytami i innymi – „ciężkiego kalibru” – gwałcicielami porządku społecznego.

2. Społeczeństwo nie ma prawa odbierać życia nikomu – nawet mordercy, gdyż nie powołało go do życia. W ujęciu mistycznym w zasadzie ten sam argument brzmi: „Życie jest święte”.

3. Naprawdę skuteczna ochrona przed gwałcicielami prawa – w stosunku do których tradycyjnie i wciąż jeszcze gdzieś tam żąda się kary śmierci – polega na właściwym wychowaniu dzieci i młodzieży oraz na efektywnej resocjalizacji osób odbywających karę pozbawienia wolności.

4. Postępy nauk społecznych i psychologicznych, w szczególności nauki o środowisku wychowawczym i o osobowości, coraz bardziej wskazują na potrzebę uwzględnienia społecznych przyczyn przestępstw, m.in. takich, za których dokonanie tradycyjne kodeksy prawne przewidują karę śmierci.

Niełatwo ocenić znaczenie względne wymienionych i innych uzasadnień. Zapewne wpływ na prawników i na ciała ustawodawcze wywiera kompleks argumentów, ponadto postęp w ogólnym wykształceniu społeczeństw. Pośrednio w grę wchodzi wzrastające zrozumienie faktu, że postępowanie ludzi (niezgodne czy zgodne z prawem i moralnością) stanowi wypadkową złożonego układu przyczyn, a nie tylko lub po prostu przewidywania następstw danego postępu.

Osobno uwzględnić trzeba zmiany w filozofii prawa bądź w teoriach prawa karnego pod wpływem postępującego rozumienia deterministycznego charakteru wszelkich poczynąń, m.in. przestępstw. Praktycznie biorąc, wymiar sprawiedliwości wciąż jeszcze traktuje ludzi jako odpowiedzialnych za wszelkie postęпки – ganione czy chwalone – dzięki rzekomej wolności woli, a nie jako produkt mniej lub bardziej złożonego układu przyczyn. W gruncie rzeczy w teoretycznych uzasadnieniach winy i kary nadal występuje w zasadzie taki sam mistycyzm, który sędziom dyktował ongiś potępienie i skazywanie na śmierć czarownic, ludzi obłąkanych, a nawet chorych wenerycznie. Obecność świadomości przestępczych motywów i skutków przestępstwa traktuje się mistycznie jako wyraz wolności woli. Zrozumiałe reakcje gniewu wobec przestępców tłumaczy się rzekomo racjonalnie naprawdę zaś mistycznie na język prawniczy.

Otóż właśnie postępujące rozumienie tego faktu przyczynia się niemało do rewizji tradycyjnych nastawień aparatu wymiaru sprawiedliwości nasamprzód w stosunku do przestępstw karanych śmiercią, stopniowo do wszelkich innych. Interpretacja prawnicza interesu społecznego – przede



wszystkim zabezpieczenia przed przestępcami – coraz bardziej zastępuje teoretyczne wyrazy reakcji gniewu, pogardy, strachu itp.

Razem wzięwszy, czynniki i argumenty wymienione wyżej i inne prowadzą ku upowszechnieniu oczywistości, że kara śmierci jest absurdem. Zgodnie z tym przekonany jestem o tym, że na przełomie dwóch wieków nigdzie w krajach cywilizowanych kara ta ani nie będzie przewidywana przez prawo, ani faktycznie stosowana.

Co prawda, trzeba tu zwrócić uwagę na oczywistą zależność nastawień za zniesieniem kary śmierci lub – przeciwnie – za jej utrzymaniem bądź przywróceniem od stabilizacji wewnętrznej społeczeństw oraz od stosunków międzynarodowych. Im mniej stabilizacji, a więc im więcej zagrożeń wewnętrznych i zewnętrznych, tym silniejsza staje się tendencja do utrzymania kary śmierci bądź do jej przywrócenia, choćby tylko na pewien czas w ramach tzw. stanu wyjątkowego lub wojennego. Tym samym widoczna jest zależność pośrednia nie tylko postanowień ogólnych w sprawie kary śmierci, ale także całości kodeksów karnych od pierwotnych – ostatecznie biologicznych – źródeł prawa, mianowicie od mechanizmu agresywności i strachu. Była o tym mowa w części rozdziału 4: *Psychologia a filozofia człowieka*, więc nie będę powtarzał. Zaznaczę tylko, że wprawdzie długa jest droga od prawa „oko za oko, ząb za ząb”, dyktowanego gniewem i pragnieniem zemsty, do kodeksów karnych, opartych istotnie na analizie i realizacji interesów społecznych, ale że w wypadku istotnego i trwałego zagrożenia wewnętrznego czy zewnętrznego społeczeństwa relatywnie szybko mogą pogrążyć się do poziomu barbarzyństwa i reaktywności pierwotnej, dyktowanej strachem i gniewem. Znaczy to, że w sytuacjach kryzysowych „ludzkie” traktowanie przestępców staje się nieaktualne, chociaż na pewno przez pewien czas u wielu osób, m.in. sędziów, utrwalone nawyki i przekonania humanitarne mogą wywierać wpływ hamujący na wyrażanie gniewu i mściwości, pośrednio – na praktyczne stosowanie praw wyjątkowych. Historia daje wiele dowodów po temu.

Zakładając, że w ciągu najbliższych dziesięcioleci – a może w ogóle – nie dojdzie do katastrofy wojny nuklearnej, sądzę, że z początkiem przyszłego wieku wymiar sprawiedliwości będzie daleko bardziej „ludzki”, niż nim jest obecnie. Dotyczyć to będzie nie tylko sprawy drastycznej, tj. kary śmierci, ale również wszelkich innych kar. Przede wszystkim więc za nieomal tak samo absurdalną jak kara śmierci opinia społeczna w krajach cywilizowanych traktować będzie karę dożywotniego pozbawienia wolności, a nawet kary długoterminowe. Freud w tym kierunku ujawnia



się od dawna zarówno w kryminologii i prawodawstwie, jak i w praktyce sądowej. Zgodnie z tym sądzę, że z początkiem XXI wieku „dożywocie” należeć będzie wszędzie do wstydliwie traktowanej przeszłości.

Narzuca się pytanie, w jaki sposób społeczeństwa o wiele bardziej „ludzkie” niż w chwili obecnej zabezpieczać będą porządek prawny w ogóle, w szczególności zaś w obronie życia, zdrowia i mienia obywateli? Odpowiedź tkwi już poniekąd w obecnym faktycznym stanie rzeczy w zakresie wymiaru sprawiedliwości. Trend faktyczny idzie już od dość dawna w dwóch kierunkach:

1. ku szeroko pojętej profilaktyce, tj. zapobieganiu przestępczości;
2. ku – również szeroko pojętej – reedukacji, względnie resocjalizacji przestępców.

Kierunek pierwszy wiąże się ściśle z – omówioną wyżej – rozbudową i pogłębianiem działalności specyficznie wychowawczej, nastawionej na indywidualizację w traktowaniu dzieci i młodocianych: trudnych, społecznie nieprzystosowanych, wychowawczo zaniedbanych, psychopatycznych, zwłaszcza charakteropatycznych, wykolejonych, umyślowo niedorozwiniętych itp. To, co się obecnie w tym zakresie robi, jest niezadowalające zarówno z punktu widzenia społecznego, jak i jednostkowego. Są to jednak dopiero początki, zaś w ciągu około ćwierćwiecza dokona się w tej dziedzinie – w moim przekonaniu – prawdziwa rewolucja. Obecnie nie bez podstaw reedukację opiekuńczą nieletnich ocenia się dość pośpiesznie jako nieefektywną, jeśli nie chybioną. Nie tylko tradycyjne „domy poprawcze”, ale nawet całkiem nowoczesnie prowadzone instytucje reedukacyjne uważa się nierzadko za „szkoły przestępcstwa”. Znaczy to, że „absolwentów” uważa się za „fachowo przygotowanych” potencjalnych przestępców.

Niezależnie od przesady pesymistycznych uogólnień trzeba tu zwrócić uwagę na realne czynniki zmian na lepsze, tj. reedukacji i resocjalizacji rzeczywistej. Pierwszym z nich, już wcześniej omówionym, jest kształtowanie się istotnie nowego zawodu „wychowawcy opiekuńczego”, zarazem narastanie odpowiednich kadr wytrawnych wychowawców. Aktualnie nieliczne jednostki z kadry domów opiekuńczo-wychowawczych mają jakieś takie przygotowanie fachowe do trudnego zawodu. Większość – to wychowawcy przygodni lub z nazwy. A dom wychowawczy nie może spełnić należycie swych zadań społecznych, jeśli cała kadra – od dyrektora do sił pomocniczych i administracyjnych – nie będzie odpowiednio wykształcona. Rzecz jest trudna, ale w toku realizacji.

Czynnikiem nie mniej ważnym, przy tym warunkującym kształcenie kadry nowoczesnych wychowawców opiekuńczych, jest odpowiedni

postęp wiedzy naukowej, dotyczącej nieprawidłowości rozwojowych i przestępczości młodocianych. Chodzi o wielki obszar wiedzy w zakresie wielu nauk. Wiedza ta, względnie odpowiednie badania rozwijają się obecnie lawinowo. Są zatem podstawy do optymistycznego przekonania, że za jakieś 20-30 lat przyszli wychowawcy opiekuńczy rozporządzać będą – do efektywnego uprawiania swej działalności – wiedzą naukową nieporównanie lepszą i bogatszą niż ją przyswajają sobie współcześni studenci pedagogiki, a zwłaszcza niż ją mają nawet najlepsi wychowawcy aktualnie działający w domach wychowawczych i reedukacyjnych.

Ważne jest lub będzie właściwe urządzenie i wyposażenie domów opiekuńczo-wychowawczych i reedukacyjnych. Zakładam to jako rzecz oczywistą, że w warunkach pokoju międzynarodowego za ćwierć wieku wychowawcy opiekuńczy będą mieli (w krajach uprzemysłowionych) powszechnie znakomite warunki do efektywnego uprawiania działalności tak doniosłej społecznie. Praktycznie znaczyć to będzie, że znacznie mniejszy odsetek niż obecnie spośród „absolwentów” domów opiekuńczych trafiać będzie na ławy dla oskarżonych – pełnoletnich. Domy opiekuńcze w zasadzie przestaną być szkołami dla przyszłych przestępców. Przeciwnie, staną się instytucjami rzeczywiście przywracającymi społeczeństwu przestępców nieletnich. Pomimo to trudno żywić złudzenia co do możliwości radykalnego zmniejszenia przestępczości nieletnich dzięki istotnemu unowocześnieniu wychowania opiekuńczego i poprawczego. Zjawisko jest bowiem zależne od kompleksu przyczyn społecznych, ekonomicznych, politycznych, środowiskowych, a nawet genetycznych łącznie. Niemniej za lat kilkadziesiąt spodziewać się można realnego postępu m.in. w zakresie wymiaru sprawiedliwości dla nieletnich.

Postęp ten będzie licował z przeobrażeniami w wymiarze sprawiedliwości dla przestępców dorosłych. W ujęciu ogólnym nazwać go można drogą ku resocjalizacji poprzez nieuniknioną represję. Już od kilkudziesięciu lat represje organów ścigania i sprawiedliwości nie stanowią – formalnie – celu samego dla siebie, lecz środek do celu, tj. do ponownego przystosowania przestępców do społeczeństwa i jego interesów. Rzecz rozwija się w parze z postępującym zanikiem „ideologii” zemsty społecznej na przestępcy, pośrednio – z odstępowaniem od mechanizmu gniewu w działalności organów prawa. Co prawda, postęp jest powolny i wciąż wiele racji tkwi w pospolitej opinii, że więzienia dla dorosłych stanowią szkoły przestępcstwa. Co więcej – szkoły wyższe w porównaniu z zakładami karnymi dla nieletnich. Opinia niewątpliwie przesadna, gdyż tylko

stosunkowo niewielka część „absolwentów więzień” popada w recydywę. Część przeważna po odbyciu kary stara się unikać organów sprawiedliwości. Niemniej są podstawy do twierdzenia, że owa większość postępuje tak przeważnie ze strachu przed więzieniem, a nie dzięki nabyciu postaw i przekonań moralnych zgodnych z interesami społecznymi.

Otóż właśnie w tym tkwi sedno rzeczy, gdy mówi się o postępie w funkcjonowaniu wymiaru sprawiedliwości. Z rzeczywistym postępem będziemy mieli do czynienia wówczas, gdy proces odbywania kary prowadził będzie do prospołecznych zmian w osobowości przestępców, a nie tylko czy po prostu do ugruntowywania strachu.

Zmiany istotne na lepsze dokonywać się będą pod wpływem czynników w zasadzie tych samych jak zmiany w reedukacji przestępców młodocianych. Znaczący to, że uzależnione są lub będą od wykształcenia odpowiedniej kadry więziennych dozorców (w szerokim sensie tego słowa – od naczelników do szeregowych strażników), od postępów wiedzy kryminologicznej (również w szerokim znaczeniu, obejmującym wszystkie nauki mające wartość dla ścigania przestępców i dla wymiaru sprawiedliwości) oraz od spełnienia ogółu bytowych warunków tej instytucji społecznej.

Wiele w tych kierunkach robi się od dość dawna. Na ogół jednakże wciąż jeszcze kadra jest nieodpowiednia, wiedza kryminologiczna pozostaje wciąż pełna braków, a warunki bytowe instytucji wymiaru sprawiedliwości są – począwszy od budynków – przestarzałe i niedostateczne. Jednakże coraz pełniejsza jest w wielu krajach świadomość konieczności istotnych zmian na lepsze w każdym z tych zakresów. Wymaga ich oczywisty interes społeczny, toteż bez wątpienia wielkie koszty zmian się opłacą. Na tej podstawie można nie wątpić, że z początkiem XXI wieku w przodujących krajach wymiar sprawiedliwości będzie o wiele bardziej – niż obecnie – skuteczny, a to w sensie uzyskiwania przez represje karne w znacznym odsetku wypadków rzeczywistej resocjalizacji byłych więźniów-przestępców. Prawdopodobne wydaje się ponadto, że – przy innych warunkach jednakowych – za ćwierć wieku znacznemu zmniejszeniu ulegnie odsetek recydywistów.

Zapewne jednym z istotnych warunków po temu będzie zabezpieczenie bytowe i moralne osób, które odbyły karę, a wrócić mają do normalnego życia społecznego – konkretnie do pracy i do swojego środowiska towarzyskiego. Trudności z tym związane stanowią dotychczas poważną przyczynę recydywy. Z powodu lęku i nieufności ze strony środowiska wielu byłych więźniów nie może znaleźć ani pracy dla siebie odpowiedniej, ani zrozumienia. Nierzadko traktuje się ich jako potencjalnych prze-

stępców. Pociąga to za sobą szukanie sprzecznych z prawem sposobów dawania sobie rady.

Zmiany w tym stanie rzeczy są nie tylko konieczne, ale i wysoce prawdopodobne. Przypuszczalnie pójda one – zresztą poniekąd już idą – w dwóch kierunkach:

1. efektywnego opiekuństwa prawnego nad byłymi więźniami;
2. odpowiedniego uświadomienia społecznego.

To drugie, jak dotąd, prawie wcale nie istnieje. A wymagać będzie przede wszystkim zmian w programach nauczania ogólnokształcącego w postaci wprowadzenia elementów wiedzy w zakresie prawa i kryminologii, podbudowanych socjologią i psychologią. Równolegle – odpowiednich akcji społecznych rozpowszechnianych przez publicystykę w prasie, w radio i telewizji. Nie wątpię, że za około ćwierć wieku nastąpią w tej dziedzinie istotne zmiany na lepsze; zmiany społecznie niezbędne, a zarazem humanitarne, bo sprzyjające ponownemu włączeniu się osób karanych do współżycia z ludźmi bez trwałych kompleksów mściwości, nieufności, frustracji i zagrożenia.

Oczywiście, pomimo zmian przewidywanych wymiar sprawiedliwości nie przestanie funkcjonować. Ze względu na kompleks przyczyn trwałych, wymienionych wyżej, pozostanie on na zawsze istotnym składnikiem życia społecznego. Najbardziej „idealne” społeczeństwo nie obejdzie się bez sądownictwa, w szczególności bez sądownictwa karnego, a więc również bez organów ścigania i represji. Wynika stąd jeden z najtrudniejszych problemów filozofii prawa: racjonalnego przystosowania represji zarówno do interesów społecznych, jak i do względów na dobro swoich chorych osób, jakimi są przestępcy. Nie wątpię, że za lat kilkadziesiąt uznawać się ich będzie generalnie za ludzi chorych, tak jak od blisko 200 lat traktuje się obłąkanych. Na razie nie widzę właściwej terapii – społecznej i humanitarnej łącznie.

## **Czas wolny i rozrywki z początkiem XXI wieku**

Zawsze i wszędzie ludzie bawili się i bawią. Nie ma wątpliwości co do tego, że będzie tak również w najdalszej przyszłości. Wprawdzie podstawowe formy zabaw – życie towarzyskie, zabawy ruchowe, tańce, gry, podróżowanie i korzystanie z podniet kulturowych – były zawsze i zapewne pozostaną te same, jednakże kształty i treści konkretne ulegały zmianom w przystosowaniu do wielu warunków zmiennych. Należą tu

przede wszystkim: wolny czas, wiek, zdrowie, konkretny układ stosunków międzyludzkich, możliwości bytowe, wykształcenie, zainteresowania oraz warunki techniczne.

Pierwsze i ostatnie z wymienionych warunków stają się coraz bardziej motorami przeobrażeń w zróżnicowaniu zabaw, w ich stylu i nakładzie czasu poświęcanego życiu „zabawnemu”. Bawili się i bawią nawet ludzie notorycznie „zaorani” pracą, jednakże częściej i więcej ludzie mający sporo czasu wolnego do swej dyspozycji. A właśnie w tym kierunku dokonują się coraz szybciej zmiany istotne. Czas wolny nawet pracowników niekwalifikowanych wciąż wzrasta w krajach uprzemysłowionych. Jeszcze niewiele ponad sto lat temu czas pracy wynosił przeciętnie co najmniej dwanaście godzin, obecnie zaś w wielu krajach – z uwzględnieniem wolnych sobót i zmniejszonej liczby godzin w poniedziałki – mniej niż osiem godzin dziennie. Trend ten rozwija się nadal. Trzeba przy tym uwzględnić fakt, że coraz liczniejsze grupy pracowników mają czas pracy czy to nie limitowany, czy to nieustalony w liczbie godzin dziennie, ponadto coraz dłuższe urlopy.

Wśród następstw na plan pierwszy wysuwa się pytanie: co robić z czasem wolnym? Jest to pytanie nie tylko milionów osób, ale także naukowców, starających się poznać przejawy i uzależnienia „wolnego czasu” – w języku socjologów angielskich: *leisure time*. Chodzi bowiem o zjawisko wymagające wielu badań naukowych, nie tylko socjologicznych. Nie wchodząc w analizę problematyki i dotychczasowych badań, spróbuję odpowiedzieć na pytanie, jak – przypuszczalnie – za ćwierć wieku masy ludzi mających sporo czasu wolnego będą go spędzały.

Ogólnie rzecz ujmując, nie widać podstaw do przewidywania istotnych zmian jakościowych. Znaczy to, że w zasadzie ludzie wolni od pracy będą tak samo spędzali czas wolny, jak dzisiaj. Będą odpoczywali biernie, od „wysypiania się” rozpoczynając. Będą urządzali spotkania towarzyskie lub brali w nich udział jako goście. Część będzie uprawiała różne gry, znaczna część będzie ruszała na zieloną trawkę, wreszcie część poświęcać będzie wolny czas ulubionemu hobby. Niektórzy będą łączyli wszystko razem. Jednakże zajdą prawdopodobne znaczne zmiany w roli względnej poszczególnych sposobów spędzania wolnego czasu. Przede wszystkim więc w „postępie geometrycznym” wzrośnie turystyka krajowa i międzynarodowa. „Wędrówki ludów”, jakie obserwujemy współcześnie, staną się zjawiskiem gigantycznym, zarazem przedmiotem troski instytucji międzynarodowych, od IATA począwszy, a skończywszy na ONZ. Powietrze stanie się zbyt gęste od linii normalnych i czarterowych,

zbyt niebezpieczne, aby móc w drodze łatwych porozumień regulować przeloty, i to we wszelkich kierunkach. Coraz częstsze stawać się będą wielkie katastrofy lotnicze, do tego stopnia, że obecnie statystycznie najbezpieczniejszy środek komunikacji spadnie do rzędu najbardziej niebezpiecznych. Podobnie będzie się miała rzecz z komunikacją samochodową, obecnie „już” najbardziej niebezpieczną. Problem bezpieczeństwa komunikacyjnego stanie się zatem prawdopodobnie problemem „numer jeden” zarówno wczasowiczów, jak i instytucji krajowych i międzynarodowych. „Wszyscy” będą chcieli podróżować, i to dużo, możliwie nawet po całym globie ziemskim. Wszystkich będzie gnębiła ta sama zmora niepewności powrotów, już i tak groźna w chwili obecnej.

Częściowo pod wpływem opisanej sytuacji, po części od niej niezależnie narastać będzie trend w kierunku przeznaczenia wolnego czasu na hobby i na aktywność sportową. Jedni pójść w tym kierunku z uwagi na stan zdrowia i na wzrastające ryzyko kraks. Inni będą mieli „po uszy” wrażeń z przeróżnych odysei. Jednakże coraz większe zastępy ludzi – niekoniecznie słabych i starych – będzie świadomie pielęgnowała różnego pokroju hobby jako źródło satysfakcji i powodzenia, opartego na osobistej przedsiębiorczości i aktywności, nie nastawionej na zawodną kalkulację uzyskiwania jak największej sumy przyjemności i uciech, tj. na konsumpcyjny tryb życia. Jedno hobby drugiemu nierówne. I tak hobby oparte po prostu na zbieractwie, np. znaczków pocztowych, ma w sobie wiele hedonistycznego nastawienia na zaspokojenie próżności i na glorię unikalności. Ale wiele innych form hobby wymaga uciążliwych wysiłków, przedsiębiorczości, a nawet gotowości do ryzyka i poświęcenia. Wymaga działania i niesie ze sobą satysfakcje potencjalnie tkwiące we wszelkiej życiowej działalności. Należą tu formy aktywności okazywanej poza pracą zawodową, np. uprawa roślin domowych czy ogródków działkowych, spacer i turystyka „niedzielną”, praca społeczna. Osobno w grę wchodzi dostępne dla pracujących wszelkiego rodzaju sporty. W nich wyżywa się coraz liczniejszy odsetek młodzieży, a nawet osób bliskich średniemu wiekowi życia. Rosnąca potęga sportu ma wiele szans ciągłego umacniania się. A jeśli uwzględnić możliwość wyżywiania się w czynnym uprawianiu sportu bez narażania na szwank interesów społecznych, a nawet w ich służbie, zrozumiała jest troska różnych instytucji, a nawet rządów, o zabezpieczanie sportowcom warunków niezbędnych dla ich aktywności. Można więc nie wątpić, że za lat kilkadziesiąt wiele rodzajów sportów, w ich obrębie szczególnie lekka atletyka, kolarstwo, sporty zimowe, wodne i piesza turystyka, święcić będzie prawdziwe triumfy w zakresie ich upowszechnienia.



Co innego ze sportem wyczynowym. Jego dalsze postępy będą coraz mniej widoczne, bo mierzone w milimetrach i milisekundach.

Natomiast coraz bardziej efektywne – ze względu na interesy osobiste i społeczne łącznie – będą postępy w upowszechnianiu i pogłębianiu wszelkiego rodzaju aktywności „prywatno-twórczej”. Chodzi tu głównie o aktywność muzyczną, artystyczną i wynalazczą. Źródłem przeobrażeń jest, a stanie się coraz bardziej nowoczesne, na poziomie szkoły średniej realizowane, wychowanie muzyczne, plastyczne i techniczne. Już obecnie w krajach przodujących na polu szkolnictwa te formy wychowania stanowią milowe kroki naprzód w porównaniu z tradycyjnym nauczaniem śpiewu, rysunków i robót ręcznych. Głównie dzięki nowoczesnemu wychowaniu technicznemu, muzycznemu, artystycznemu i literackiemu miliony ludzi będą umiały w sposób poniekąd twórczy zadowalająco spędzać czas wolny od pracy zawodowej. Sport i turystyka zadowalać będą przede wszystkim ludzi młodych.

## **Sprawa dalszej ewolucji człowieka**

Na koniec pozwalam sobie zabrać głos w sprawie od przeszło stu lat intrygującej pisarzy, a nawet naukowców: czy w ogóle bądź jak dalece realne są przewidywania ewolucji gatunku ludzkiego w sensie powstawania odmian wyższego rzędu niż *homo sapiens*? Można by też powiedzieć: w sprawie przeobrażeń natury ludzkiej na lepsze? Pytanie to wciąż na nowo pojawia się w różnych publikacjach.

Rzecz wyrasta z nowożytnego ewolucjonizmu, i to w zasadzie z darwinowskich idei selekcji naturalnej. Świat istot żywych wciąż się rozwija. Powstają gatunki coraz to nowe, zarazem coraz bardziej skomplikowane anatomicznie, fizjologicznie i psychologicznie. Istotnymi sprężynami przeobrażeń ewolucyjnych są selekcje naturalne. Przy życiu ostają się osobniki najlepiej przystosowane do całości warunków środowiskowych. Największe szanse rozrodu i pozostawienia potomstwa mają jednostki biologicznie najsprawniejsze, tj. górujące nad innymi zdrowiem, siłą, odpornością na choroby, stresy i trudne warunki, młodością i urodą. Wskazany mechanizm doprowadzi prędzej czy później do powstania nowych odmian człowieka, a to na drodze czy to nagłych mutacji, czy to długotrwałych zmian stopniowych.

Liczne marzenia futurystyczne oparto na takim schemacie myślowym. Marzycielom przyświecała idea przekształcania się dzisiejszych



ludzi „złych” w „ludzi jak bogowie” (np. H.G. Wells, *Men like gods*). „Oliwy do ognia” dolali i wciąż dolewają marzyciele, opierający się na fakcie potęgującego się postępu naukowo-technicznego. Zawrotne już piśmiennictwo w zakresie *science fiction* stanowi przeważnie konsekwencję tego to faktu. Przewijają się w nim następujące przekonania istotne: Ludzie coraz bardziej inteligentni, twórczy i wyselekcjonowani z masy ludzi zwykłych wykorzystywać będą coraz to nowe odkrycia naukowe i coraz świetniejszą technikę do coraz dalej postępującego opanowywania przyrody, a to przede wszystkim w formie zdobywania kosmosu. Postęp jest faktem, natomiast „marzenia kosmiczne są przeważnie na wodzie pisanie”.

A oto krótka analiza sprawy: Przede wszystkim postawić trzeba pytanie: czy możliwe jest mutacyjne lub „powolnie ewolucyjne” przeobrażenie obecnego gatunku, względnie powstanie nowego gatunku człowieka, oczywiście, człowieka lepszego biologicznie niż *homo sapiens*? Pryncypialnie w świetle podstawowych założeń ewolucjonizmu odpowiedź musi brzmieć twierdząco. Jednakże możliwość pryncypialna nie jest tożsama z możliwością realną, w sensie choćby tylko w przybliżeniu prawdopodobnego przewidywania w sprawach, czy w ogóle ani kiedy ewentualnie mogłoby to nastąpić. Na pewno nie „jutro” – w znaczeniu np. „za tysiąc lat”. Procesy ewolucyjne trwają bowiem setki tysięcy i miliony lat.

Z kolei w ślad za tym wyłania się pytanie, nierzadko podnoszone w oparciu o współczesną biologię, w szczególności o genetykę, biochemię i embriologię: Czy możliwe jest „wyhodowanie” nowego gatunku człowieka? Pryncypialnie i z punktu widzenia samej tylko biologii możliwość ta bez wątpienia istnieje. Wszak – jako jeden z gatunków zwierzęcych – człowiek podlega prawom biologii. Od dawna ludzie zwierzęta hodowali, zaś od lat kilkudziesięciu robią to planowo i efektywnie na podstawie całości nowoczesnej wiedzy naukowej. Jednakże w odniesieniu do ludzi jest to praktycznie biorąc nierealne ze względów społeczno-moralnych.

Sprawa wiąże się niemało z rasizmem, z którym ludzie walczą w sposób coraz bardziej zdecydowany i skuteczny. Ale również podejście do niej od strony nierasistowskiej eugeniki, tj. nauki o „poprawianiu” cech biologicznych gatunku ludzkiego, okazało się ślepą ulicą, jeśli nawet naukę tę lansowano bez uprzedzeń politycznych i dyskryminacyjnych. W świetle genetyki nie ma już wątpliwości co do tego, że dobór seksualny par małżeńskich, świadomie przystosowany po prostu do korzystnych cech fenotypu (widocznych cech urody, siły, zdrowia, młodego wieku), bynajmniej nie gwarantuje niepojawienia się u potomstwa cech niekorzystnych,

zawartych w genotypie i niewidocznych. Praktycznie więc biorąc eugenika, dość głośna z początkiem XX wieku, upadła.

W zasadzie nie inaczej ma się rzecz z ewentualnością eksperymentalnego „wyprodukowania” częściowo zmienionych genotypów gatunku ludzkiego celem wyhodowania „nadludzi”. Jeśli nawet udało się sztucznie (poza łonem matki) „wyprodukować” niemowlęta z korzystnie zmienionymi genami (jak to wykpiwał Aldous Huxley), istoty ludzkie urodzone w inkubatorach musiałyby się wychowywać w środowisku społeczno-kulturowym takim samym w zasadzie jak dzieci normalnie urodzone. Jest to wysoce prawdopodobne, że wychowawcy – w szerokim sensie tego słowa – nie dopuściliby do uniezależnienia się od nich „ludzi-bogów” i do zapanowania nad sobą. A więc tego pokroju obraz przyszłości gatunku ludzkiego uważać można za „marzenia ściętej głowy”.

Za bardziej zgodne z faktami można uważać raczej pesymistyczne obrazy przyszłości gatunku ludzkiego, „malowane” z punktu widzenia biologicznego. Od najdawniejszych czasów, przy tym w coraz większym natężeniu dokonuje się wciąż na nowo selekcja ujemna w obrębie gatunku. Rzecz w tym, że wszelkie wojny prowadzili – jeśli chodzi o bezpośrednie starcia wrogów – mężczyźni w najlepszym wieku biologicznym. Oni to przeważnie ginęli na polach bitewnych. Przy życiu pozostawał „garnitur” gorszy, na ogół bądź co bądź słabiej rokujący dla cech fenotypowych nowych pokoleń. Jest to sytuacja w zasadzie tego samego rodzaju, jak w hodowli zwierząt czy roślin – w której do rozrodu dobierano by poślada, a nie osobniki (czy nasiona) najlepsze. W takim stanie rzeczy złudna byłaby nadzieja, że – pomimo potępienia rasizmu i nierealności eugeniki – gatunek ludzki „sam przez się” w ciągu kilkunastu nowych pokoleń stanie się genetycznie lepszy. Rzec by można, że będzie doskonale, jeśli dość szybko się nie pogorszy. Wszak zdaje się wskazywać na to fakt coraz skuteczniejszej selekcji negatywnej, spowodowanej utrzymaniem przy życiu dzięki postępom medycyny, w szczególności higieny, setek milionów dzieci słabych, które samymi tylko siłami obronnymi organizmu nie mogą sobie dać rady z chorobami wieku dziecięcego i ze skutkami niedożywienia. Społeczeństwa niektóre robią wprawdzie co tylko mogą, aby szczęśliwie uratowane dzieci wyżywić i należycie wychować, jednakże „planów życiowych” jednostek psychicznie i fizycznie słabowitych samą tylko medycyną i dostatkiem kalorii istotnie poprawić nie mogą. I tu właśnie zdaje się tkwić jedna z trwałych przyczyn przestępczości. Tylko częściowo można będzie ją pokonywać nowoczesnym wychowaniem opiekuńczym i rozumnym wymiarem sprawiedliwości. Również tutaj – a nie po prostu

czy tylko w zgubnych warunkach nowoczesnej cywilizacji technicznej – tkwi jedna z przyczyn nieustannego wzrostu odsetka ludności (zwłaszcza dzieci i młodocianych) psychicznie słabowitej, biernej i nastawionej na zabawowo-konsumpcyjny tryb życia. Odsetek ten był dawniej relatywnie niewielki, ponieważ głównie dzieci psychofizycznie słabowite nie wytrzymywały walki o byt, a w szczególności walki z chorobami.

W sprawie niniejszej warto jeszcze zwrócić uwagę na dość pospolite złudzenie co do – rzekomo – nieomal widocznego postępu biologicznego gatunku ludzkiego. Wskazuje się mianowicie na widoczne – wciąż podnoszone przez demografów – zwiększenie przeciętnej długości życia oraz wzrostu człowieka. Otóż pierwszy parametr istotnie zależy od warunków zdrowotnych i żywienia. Nie ma dowodów po temu, jakoby ludzie dawniej przeciętnie dożywający tylko do 25–30 lat nie mieli w takim samym odsetku wypadków jak ludzie dzisiejsi (dożywający przeciętnie 70 lat) szans genetycznych osiągnięcia do 150 lat życia. Podobnie ma się rzecz z postępującym zwiększeniem wzrostu pokolenia dzisiejszego w porównaniu z ustępującym i dawniejszymi.

W związku z tym prawdopodobne – acz niesprawdzałne – wydaje się, że ludzkość współczesna żadnymi uzdolnieniami nie góruje nad ludzkością sprzed, dajmy na to, 10 tysięcy lat. W szczególności dotyczy to inteligencji ogólnej i talentów specjalnych, np. artystycznych. Co więcej, nie byłoby bezpodstawne przypuszczenie, że wobec wciąż wpływowych trendów selekcji negatywnej dziś żyjący przeciętny Europejczyk jest gorzej wyposażony psychicznie przez naturę niż Europejczyk np. z okresu paleolitu. Oczywiście, chodzi o potencjalne możliwości, a nie o efekty w postaci wykształcenia, zainteresowań, dorobku twórczego itp. Krótko mówiąc, futurystykę biologiczną uznać trzeba za błędną.

Na pewno korzystniej ma się rzecz, jeśli rozwój gatunku ludzkiego rozpatrywać z punktu widzenia społeczno-kulturowego. Chodzi konkretnie o szanse umasowienia postępu moralnego, postępu recepcji kultury i działalności twórczej. Fakty mówią tu niejako same za siebie. Jeśli „kariera” gatunku ludzkiego nie skończy się nagle wskutek katastrofy nuklearnej, za lat 25 postęp we wskazanych zakresach może być olbrzymi. I tak pod wpływem upowszechnienia wychowania muzycznego, artystycznego i technicznego na poziomie szkoły ogólnokształcącej miliony ludzi pracujących podtrzymywać będą i umożliwiać na skalę dziś nie spotykaną działalność twórczą wielkiego odsetka fachowców w muzyce, sztukach plastycznych i w technice. Podstawę do tego przewidywania stanowi założenie, że do działalności twórczej, w szczególności wynalazczej,

trzeba – oprócz odpowiedniego wykształcenia i przygotowania praktycznego – dostatecznego rozumienia, zachęty i zapotrzebowania ze strony odpowiednio licznych rzesz „konsumentów” kultury. W zasadzie podobnie ma się, względnie będzie miała rzecz z dostatecznie silnym podłożem społecznym działalności naukowo-badawczej. Inaczej uprawia się naukę, gdy mało kto jej sens rozumie, inaczej zaś gdy masy ludzi wykształconych bieżąco interesują się jej postępem.

Razem wzięwszy, wprawdzie z biologicznego, w szczególności z genetycznego punktu widzenia ludzie nie będą ani za 25, ani za 2 500 lat lepiej (jeśli nie gorzej) wyposażeni przez naturę, niż nimi są obecnie, jednakże z uwagi na daleko lepsze społeczno-kulturowe warunki rozwoju indywidualnego będą „wyglądali” na nieprawdopodobnie inteligentnych, mądrych i utalentowanych. Dzięki odpowiednim warunkom społecznym odskoczą – swymi umiejętnościami i osiągnięciami – daleko w przód od pokolenia współczesnego.

## Spis treści

Przedmowa . . . . .	7
Wstęp . . . . .	9

### Rozdział pierwszy

#### **Powstawanie światopoglądu osobistego**

Idea zdobywania spójnej wiedzy . . . . .	23
Pojęcia: „wiedza”, „poznanie”, „wiedza obiektywna”, „wiedza osobista”, i rodzaje wiedzy . . . . .	24
Składniki wiedzy osobistej . . . . .	27
Formy i uzależnienia spójności wiedzy osobistej . . . . .	28
Walka o byt i zabawy jako czynniki integracji wiedzy osobistej . . . . .	32
Integracyjna rola nauczania szkolnego . . . . .	33
Kształcenie ideologiczne jako czynnik integracji wiedzy osobistej . . . . .	35
Granice integracji wiedzy osobistej . . . . .	36
Spoista wiedza a osobisty pogląd na świat . . . . .	37
Rola światopoglądu w życiu i w dalszym rozwoju wiedzy osobistej . . . . .	41

### Rozdział drugi

#### **Nauka i wiedza**

Światopogląd osobisty a nauka i nauczanie . . . . .	47
Cele poznania naukowego . . . . .	48
Ideały nauki nowożytnej . . . . .	49
Fizyczny wzorzec nauki . . . . .	50
Ideał matematyzacji poznania naukowego . . . . .	53
Tendencje rozwojowe nauki nowożytnej . . . . .	60

Proces emancypacji nauki . . . . .	61
Proces stabilizacji i organizacji nauki . . . . .	63
Proces specjalizacji nauk . . . . .	64
Proces integracji nauki . . . . .	66
„Industrializacja” nowoczesnej nauki . . . . .	67
Sprawa dominacji i supremacji nauki . . . . .	69
Planowanie w nauce . . . . .	70
Postęp naukowy . . . . .	71
Uzależnienia postępu naukowego . . . . .	73
Metody oceny postępu naukowego . . . . .	76
Problem ilościowej oceny postępu naukowego . . . . .	78
Logiczne podstawy oceny postępu naukowego . . . . .	80
Postęp wiedzy naukowej . . . . .	83
Obiektywny a osobisty charakter wiedzy naukowej . . . . .	85
Pochodzenie wiedzy naukowej . . . . .	88

### Rozdział trzeci

## Nauka a filozofia

Sens przeciwstawienia . . . . .	93
Dwie drogi do uprawiania filozofii . . . . .	96
„Dziwność istnienia” – wspólna rama zagadnień filozoficznych . . . . .	99
Dwa sposoby zajmowania się zagadnieniami filozoficznymi . . . . .	100
Na czym polega historia filozofii? . . . . .	103
Socjologiczne podejście do filozofii . . . . .	108
Psychologia filozofowania . . . . .	114
Problematyka psychologii filozofowania . . . . .	118
„Mechanizm” myślenia filozoficznego . . . . .	120
Przekonania filozoficzne . . . . .	128

### Rozdział czwarty

## Psychologia a filozofia człowieka

Co to jest filozofia człowieka? . . . . .	135
Zagadnienia filozofii człowieka . . . . .	138
Istotne różnice między psychiką ludzi a zwierząt . . . . .	142
Dziedziczność a środowisko . . . . .	147
Motory aktywności ludzkiej . . . . .	151
„Mechanizm” pychy i ambicji . . . . .	159
Spór o rolę przyjemności i rozkoszy . . . . .	165
Spór o naturę egoizmu i jego rolę w życiu ludzi . . . . .	174

Spór o ideowe motywy postępowania . . . . .	179
Spór o naturę agresywności i okrucieństwa . . . . .	182

#### Rozdział piąty

### **Socjologia a filozofia społeczna**

Socjologia i nauki społeczne . . . . .	193
Czynniki przeobrażeń społecznych . . . . .	196
Walka o władzę i władanie . . . . .	203
Selekcje społeczne . . . . .	209
Sprawiedliwość i praworządność . . . . .	213
Równość i wolność demokracji . . . . .	217
„Państwo idealne” . . . . .	221

#### Rozdział szósty

### **Historia a filozofia dziejów**

Historia i nauki historyczne . . . . .	229
Praktyczne znaczenie historii . . . . .	234
Obiektywność badań i wiedzy historycznej . . . . .	236
Przegląd warunków wydarzeń historycznych . . . . .	243
Ludzie jako sprawcy wydarzeń dziejowych . . . . .	245
Przeszłość i współczesność a nowe wydarzenia historyczne . . . . .	250
Środowiskowe uzależnienia wydarzeń dziejowych . . . . .	253
Historyczna rola tzw. wielkich ludzi . . . . .	258
Sprawa tzw. przypadków historycznych . . . . .	262
Podstawowe „mechanizmy” historii . . . . .	265

#### Rozdział siódmy

### **Twórczość a filozofia kultury**

Naukowe poznawanie twórczości . . . . .	275
Działalność twórcza . . . . .	280
Uzależnienia twórczości . . . . .	285
Genialność i oryginalność . . . . .	291
Recepcja kultury . . . . .	305
Wpływy kulturowe a twórczość samorodna . . . . .	313
Oceny dzieł twórczych . . . . .	315

#### Rozdział ósmy

### **Nauki przyrodnicze a filozofia natury**

[Brak zawartości – rękopis zaginął] . . . . .	319
---	-----



Rozdział dziewiąty  
**Nauki praktyczne a filozofia cywilizacji**

Nauki praktyczne . . . . .	323
Potrzeby społeczne jako źródło nauk praktycznych . . . . .	328
Cywilizacja jako system spełniania potrzeb społecznych . . . . .	331
Zagadnienia filozofii techniki . . . . .	334
Nauki pedagogiczne a filozofia wychowania . . . . .	348
Nauki prawne a filozofia winy i kary . . . . .	363
Nauki medyczne a filozofia zdrowia i choroby . . . . .	376

Rozdział dziesiąty  
**Powstawanie zagadnień ogólnej filozofii bytu**

Zagadnienia ontologiczne . . . . .	387
Rozwój poznawania przestrzeni . . . . .	388
Droga do nadmiaru poznawania przestrzeni . . . . .	389
Zagadnienie ostatecznych granic przestrzeni . . . . .	391
Zagadnienie skończoności, względnie nieskończoności czasu . . . . .	393
Zagadnienia wyłaniające się z poznawania przemian . . . . .	398
Powstawanie filozoficznego sporu: materializm – idealizm . . . . .	400
Powstawanie filozoficznego zagadnienia przyczynowości . . . . .	403
Droga do filozoficznego zagadnienia celowości . . . . .	407
Filozoficzne zagadnienia jedności i całości bytu . . . . .	411
Zagadnienia ontologiczne z nadmiaru samowiedzy . . . . .	414

Rozdział jedenasty  
**Ogólna filozofia poznania – epistemologia**

Problemy teorii poznania . . . . .	421
Pojęcia podstawowe epistemologii . . . . .	423
Refleksje historyczne . . . . .	424
Psychogeneza teorii poznania . . . . .	426
Pojęcie prawdy w rozważaniach epistemologicznych . . . . .	428
Psychogeneza zagadnienia mierników prawdy . . . . .	430
Psychogeneza epistemologicznego zagadnienia rzeczywistości . . . . .	434
Nadmiar przeciwstawienia jaźni do rzeczywistości . . . . .	436
Hiperkrytycyzm – istotne źródło teorii poznania . . . . .	439

Rozdział dwunasty  
**Etyka i ogólna filozofia wartości**

[Brak zawartości – rękopis zaginął] . . . . .	441
---	-----

## Rozdział trzynasty

### **Perspektywy**

Futurologia a perspektywy . . . . .	445
Przyszłość nauki . . . . .	447
Przyszłość filozofii . . . . .	454
Przyszłość religii . . . . .	463
Moralność XXI wieku . . . . .	467
Kształcenie i wychowanie z początkiem XXI wieku . . . . .	472
Wymiar sprawiedliwości z początkiem XXI wieku . . . . .	477
Czas wolny i rozrywki z początkiem XXI wieku . . . . .	483
Sprawa dalszej ewolucji człowieka . . . . .	486

Redakcja  
**Barbara Malska**

Korekta  
**Wojciech Szaforz, Ewa Pieter-Kania**

Projekt okładki, projekt typograficzny i łamanie  
**Beata Klyta**

Copyright © 2019 by  
Jacek Pieter  
Wszelkie prawa zastrzeżone

**ISBN 978-83-226-3728-9** (wersja drukowana)  
**ISBN 978-83-226-3729-6** (wersja elektroniczna)

Wydawca  
**Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego**  
ul. Bankowa 12B, 40-007 Katowice  
[www.wydawnictwo.us.edu.pl](http://www.wydawnictwo.us.edu.pl)  
e-mail: [wydawus@us.edu.pl](mailto:wydawus@us.edu.pl)

Wydanie I. Liczba arkuszy druk.: 31,0. Liczba arkuszy wyd.: 31,5. Cena 80 zł (w tym VAT)  
Publikację wydrukowano na papierze Alto 90 g, vol. 1.5  
Druk i oprawę wykonano w drukarni  
[Volumina.pl](http://Volumina.pl) Daniel Krzanowski, ul. Księcia Witolda 7-9, 71-063 Szczecin



**JÓZEF PIETER** urodził się 19 lutego 1904 roku we wsi Ochaby koło Skoczowa na Ziemi Cieszyńskiej. Ukończył Gimnazjum Klasyczne im. A. Osuchowskiego w Cieszynie (obecnie I LO im. A. Osuchowskiego), a następnie studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim historię, filozofię, psychologię i pedagogikę. W 1928 roku uzyskał doktorat z zakresu filozofii. Rozprawę habilitacyjną opublikowaną w roku 1939 przedstawił dopiero po wojnie na Uniwersytecie Poznańskim i tam w roku 1945 uzyskał stopień doktora habilitowanego. Tytuł profesora nadzwyczajnego otrzymał w roku 1949, zaś profesorem zwyczajnym został w 1962 roku.

Ten polski psycholog, pedagog, filozof jest autorem ponad 230 publikacji naukowych, w tym 50 monografii. Pięć jego dzieł pozostaje wciąż nieopublikowanych. Poszerzył wiedzę naukową w wielu dziedzinach, jest też jednym z prekursorów tzw. psychobiografii. Profesor Czesław Głombik napisał: „Profesor Pieter zajął wyjątkowe miejsce wśród psychologów i pedagogów XX wieku. Zdobył je tym, że udanie i konsekwentnie łączył myśl psychologiczno-pedagogiczną z refleksją filozoficzną”.

Zasadniczą część swojego czynnego zawodowo życia Józef Pieter oddał szkolnictwu Śląska, był aktywnym członkiem Związku Nauczycielstwa Polskiego. Podczas wojny brał czynny udział w organizowaniu i prowadzeniu tajnego nauczania. Był kierownikiem katedry psychologii na Uniwersytecie Łódzkim, Uniwersytecie Warszawskim oraz w Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie. Po II wojnie światowej zorganizował na nowo Instytut Pedagogiczny w Katowicach, przyczynił się do powołania do życia Wyższej Szkoły Pedagogicznej, otworzył oddział Polskiego Towarzystwa Psychologicznego, wznowił działalność czasopisma pedagogicznego „Chowanna”. Przez 4 kadencje (1956–1968) był rektorem Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Katowicach – aż do włączenia jej do powstałego w 1968 roku Uniwersytetu Śląskiego.

Jako pierwszy (w 1929 roku) wystąpił na łamach „Zarania Śląskiego” z oświadczeniem o konieczności utworzenia uniwersytetu na Śląsku. Po wyzwoleniu już w 1945 roku podjął działania w tej sprawie i prowadził je konsekwentnie w kolejnych latach.

Otrzymał wiele odznaczeń państwowych i edukacyjnych.

Zmarł 3 marca 1989 roku w Katowicach. W marcu 2016 roku odsłonięto w Skoczowie pomnik z inskrypcją: „Józef Pieter urodzony w Ochabach, psycholog, pedagog, filozof, inicjator utworzenia Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach”.

Mecenas wydania



Fundacja

Cena 80 zł (w tym VAT)

ISBN 978-83-226-3728-9



9 788322 637289

Więcej o książce

